

Lewis Perdue

GENOM ŚMIERCI

Tytuł oryginału: Slatewiper

*Pamięci Raymonda Verdesa
(12 stycznia 1930 - 24 czerwca 2002),
podpułkownika Francuskiej Legii Cudzoziemskiej,
człowieka wielkiego talentu i uczciwości,
w którym wojna nie zabiła hartu ducha.
Spoczywaj w pokoju.
Pamięci jego współpracownika i towarzysza broni,
doktora Wolfganga Schroedera, który zajmuje szczególne
miejsce w naszych sercach.
Niech Bóg ma Cię w swojej opiece.*

PODZIĘKOWANIA

Jako pisarz mam naprawdę dużo szczęścia.

Miałem szczęście, że moja agentka, Natasza Kern, wierzyła w tę książkę od samego początku, od roku 1995, kiedy nikomu się nie jeszcze nie śniło, że terroryści mogą zdobyć broń genetyczną.

Mam także wielkie szczęście, że moim wydawcą jest. nadzwyczajna Natalia Aponte, która pod warstwą powieści sensacyjnej dostrzegła w mojej książce opowieść o ludziach i podziałach rasowych. To ona przekonywała mnie, że powinienem pisać o znaczeniu ludzkiej wspólnoty i potrzebie zwalczania podziałów, zamiast koncentrować się na mrozących krew w żyłach scenach i wartkiej akcji.

Natalia jest moim mistrzem w niedoścignionym zespole Tor/Forge, w którym na słowa wdzięczności zasługują też Tom Doherty, mój wieloletni współpracownik oraz Paul Stevens, dusza całego zespołu. Dziękuję również pracownikom działu marketingu i sprzedaży, którzy dołożyli wszelkich starań, by moje książki dotarły do jak najszerszego kręgu czytelników.

Kolejnym powodem do radości jest dla mnie fakt, że mam wiernych czytelników, którzy piszą do mnie i komentują moje powieści, które czytali jeszcze w latach osiemdziesiątych.

Mam szczęście, że znam Mary Evelyn Arnold, która poza tym, że jest nieocenioną przyjaciółką mojej rodziny, jest także bezlitosną korektorką, redaktorką i konsultantką merytoryczną, bez której nieraz musiałbym rumienić się ze wstydu.

Na koniec muszę oddać honor mojej żonie Megan, która jak dobra muza czuwa nad wszystkim, co piszę. Rzeczywiście, z nim ją poznałem, nie napisałem niczego godnego uwagi.

Rozdział 1

Skłębione tajfunowe chmury sunęły po wrześniowym niebie nad Tokio. Pod nimi, w niemodnej północnej prefekturze Toshima, pracownicy Szpitala Ogólnego Otsuka uwijali się w południowym półmroku, żeby zdążyć sprzątnąć z chodników trupy i konających, zanim luną gwałtowne potoki deszczu.

Najciężej chorzy całymi setkami leżeli pokotem na ziemi, w duszących, cuchnących oparach, które wydobywały się z ropiejących wrzodów na skórze i krwawej biegunki. Niektórzy milczeli, inni wydawali wysokie jęki, na ile pozwalały opuszczające ich siły. Gnijące kikuty rąk, nóg i palców przyciągały muchy, ukazywały nagie kości. Ciało na szkieletach zmarłych wydawało się topnieć w oczach.

Ludzie we wczesnym stadium choroby, którą gazety okrzyknęły koreańskim trędem, siedzieli w zabrudzonych spodniach i koszulach, z głowami zwieszonymi między kolanami, jęcząc i pokasłując. Tu i ówdzie zebrały się całe rodziny, tworząc w tłumie jakby mikrokosmosy ze swoimi umarłymi, konającymi i rannymi, którzy jeszcze mogli chodzić. Matki i ojcowie tulili do siebie dzieci w próżnym wysiłku uchronienia ich przed potwornością, która atakowała od wewnątrz.

Chorzy leżeli na chodnikach, trawnikach i podjazdach dla karetek, wypełniali szczerze puste przestrzenie parkingu, nie wyłączając nawet miejsc między pojazdami. Ci, którzy mieli najwięcej szczęścia, tłoczyli się w korytarzach izby przyjęć, gdzie medycy z Wojskowych Sił Samoobrony dokonywali bez-

owocnych rutynowych czynności, pompując w chorych antybio-tyki i dożylnie kroplówki.

Na obrzeżach terenów szpitalnych, żołnierze Sił Samoobrony w jednorazowych kombinezonach, maskach i gumowych rękawiczkach, nieprzerwanie pracowali wśród stosów ciał. Żywych kładli na nosze i przynosili do wojskowych wozów transportowych. Galaretowate szczątki trupów zbierano szuflami i umieszczano we wszelkiego rodzaju prowizorycznych pojemnikach: w beczkach, metalowych wannach, kubłach, skrzynkach na lód, transporterach do napojów, nawet w dziecięcych dmuchanych basenikach.

Pośród całej tej jatki krążyli trzej mężczyźni: siwowłosa Japończyk około siedemdziesięciu lat, w białym lekarskim kitlu, oraz dwaj biali w bluzach i dżinsach, znacznie górujący nad nim wzrostem. Obaj taszczyli duże worki z marynarskiego płótna. Wszyscy trzej nosili gumowe rękawiczki i maski chirurgiczne, spoza których wyglądały tylko oczy.

Dwaj biali co i raz przecierali oczy łzawiące od ostrej, żrącej mgiełki unoszącej się nad całym terenem szpitala. Wokół nich poruszali się żołnierze Samoobrony, rozpylając roztwór dezynfekujący z noszonych na plecach aplika-torów, jakich zwykle używa się do spryskiwania trawników środkami chemicznymi.

Trzej mężczyźni szli zygzakiem, wykonując nagłe zwroty. Po kilku krokach w jedną stronę zatrzymywali się, bo człowiek w białym kitlu wybiegał przed pozostałych dwóch, odwracał się do nich twarzą i blokował im drogę. Wymieniali jakieś słowa, po czym jeden z białych startował w innym kierunku, Japończyk doganiał go i wszystko powtarzało się od nowa.

- Naprawdę kontrolujemy sytuację - mówił Japończyk w białym fartuchu, znów zagradzając drogę swoim towarzyszom. Doktor Yoshichika Iwamoto był dyrektorem administracyjnym

Szpitala Otsuka, profesorem Uniwersytetu Tokijskiego oraz byłym członkiem Parlamentu.

- Przyjechaliście niepotrzebnie - powtarzał. - To piękny gest z waszej strony, ale w istocie zbyteczny. - Jak większość japońskich lekarzy, Iwamoto mówił po angielsku. I jak większość z nich, uważał go za język barbarzyńców.

Na twarzy Iwamoto nie widać było śladów wewnętrznego wzburzenia, jakie przed półgodziną wywołało w nim niespodziewane przybycie dwóch lekarzy Armii Stanów Zjednoczonych. Przybrawszy *shiran kao* - nonszalancki wyraz twarzy - usiłował uświadomić im, że ta epidemia to sprawa dla specjalistów najwyższej klasy, a oni będą tylko przeszkadzać. Ku jego przerażeniu nieproszeni goście dowiedli, że w istocie byli ekspertami od takich medycznych przypadków, prezentując nawet opublikowane prace, których byli współautorami, przywiezione na wypadek spodziewanego oporu.

Tym, co Iwamoto w gruncie rzeczy pragnął uzmysłowić nieokrzesanym intruzom, był fakt, że zaistniała sytuacja jest wewnętrzną sprawą Japonii, czymś w rodzaju wstydlivej rodzinnej tajemnicy, z którą należy obejść się nad wyraz dyskretnie. Było rzeczą karygodną, że telewizja NHK, a po niej inne stacje telewizyjne, od tygodnia, czyli od początku epidemii koreańskiego trądu, nadawały bieżące relacje. Haniebne i nie do przyjęcia jest publiczne wywieszanie własnych brudów. Znowu potrząsnął w oburzeniu głową, przypominając sobie te programy i artykuły prasowe, które po nich nastąpiły. Niedługo potem sprawą zainteresowali się zagraniczni dziennikarze - jeszcze więcej *gaijin*. Co się dzieje z Japonią i to przez samych Japończyków? *Kurata-san* zrobi z tym porządek.

Właśnie relacje w mediach sprowadziły tych *gaijińskich* doktorów. Już samo to było policzkiem, dowodem braku wiary w jego kompetencje, w możliwości całej rasy japońskiej. Wiel-

kie, anglosaskie rasistowskie byki, które automatycznie zakładają, że małe żółte ludziki nie poradzą sobie same i wmuszają nam swoją brudną „pomoc”. Iwamoto aż się wzdrygnął w środku. A te ich maniery! Przyjechali bez uprzedzenia, czuł się skrzepowany, że odebrano mu możliwość należytego powitania.

Arogancja *ketojin*, Amerykanów, nie zna granic.

W duchu zmówił krótką dziękczynną modlitwę, że to nie Japończycy siłą narzucają mu swą pomoc. Taka sytuacja stworzyłaby on, zobowiązanie, przymusowy dług wdzięczności, który i on, i szpital byliby zobligowani spłacić. Na szczęście *gaijin* pozbawieni byli honoru i prawdziwych cnót. A ludzie niehonorowi nie mogą stworzyć on, nie należy im się też kurtuazja i ochrona należna prawdziwym synom Yamato. Iwamoto czuł się zobowiązany jedynie do tego, żeby jak najrychlej pozbyć się tych dwóch szkodników, zrobić wszystko, by nie utrudniali procesu usuwania szczątków, który przebiegał tak sprawnie

W ciszy przeszli jeszcze kilka kroków, szerokim łukiem omijając mężczyznę, który konwulsyjnie wymiotował na skraju ulicy.

- Obawiam się, że nie będziemy wam mogli zapewnić wygodnych warunków - Iwamoto z nadzieją w głosie jeszcze raz spróbował zastąpić im drogę. - Nasze urządzenia sanitarne są przeciążone.

- Nie ma sprawy - odparł jeden z *gaijinów*. - Jesteśmy w armii. Przywykliśmy do niewygód.

- Przepisy to przewidują - dodał żartem drugi, zmieniając kierunek marszu.

Iwamoto zjeżył się cały, usiłując go dogonić. Jakże mogli być tak pozbawieni wrażliwości, tak ignorować jego rozterkę? Jak mogli nie dostrzegać tak oczywistych aluzji?

Stając im na drodze, Iwamoto zebrał się w sobie i raz jeszcze przypuścił atak. - Proszę zrozumieć, mamy ograniczone za-

pasy żywności i sprzętu. Obawiam się, że...

- Mamy wszystko ze sobą - wpał mu w słowo bezczelny *gaijin*. Dla potwierdzenia klepnął swój płócienny worek, po czym odwrócił się i ruszył w inną stronę.

Zdesperowany Iwamoto poczuł piekący ucisk w gardle, znów zmuszony za nim gonić.

W oddali przetoczył się grzmot, silny powiew wiatru zakłócał drzewami i chaotycznymi zrywami natarł na budynek szpitala. Patrząc z nadzieją w niebo, Iwamoto wmanewrował się przed Amerykanów i stanął. Jednak zamiast natychmiast przemówić, przez chwilę z uwagą śledził pogodę. Dwaj biali popatrzyli krótko w górę, potem znów na niego.

- Te wczesne tajfuny bywają bardzo gwałtowne - powiedział Japończyk. - Może być niebezpiecznie. - Wyczekująco przenosił wzrok z jednego na drugiego. — Możecie być potrzebni swoim w Camp Zama.

Gaijini jednocześnie potrząsnęli głowami, jakby karki mieli połączone dźwignią. Z równą precyzją odwrócili się i podjęli marsz.

Iwamoto wydał wyraźny syk zniecierpliwienia, wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby. Zaciął usta. Stary lekarz dostał zadyszki, zanim zdołał raz jeszcze raz zejść drogą swoim towarzyszom, tym razem zaledwie o kilka jardów od wejścia do szpitala.

- To odrażająca choroba - odezwał się Iwamoto. - Fekalia, zgnilizna, odór, krwawe wydzieliny...

Ostry zapach środków dezynfekujących maskował teraz prawie skutecznie mdlący smród, który wcześniej, gdy wysiadali z pociągu na stacji kolejowej *Shin-Otsuka*, gwałtownie zaatakował nozdrza amerykańskich lekarzy.

- Ależ doktorze, dla nas to nie pierwszyczna - powiedział podpułkownik Denis Yaro, specjalista chorób zakaźnych w 9

korpusie Armii Stanów Zjednoczonych, który stacjonował w pobliskim Camp Zama, na terenie prefektury Kanagawa. - Jesteśmy starymi wyjadaczami. Niejeden raz gównem splamiło nasze śnieżnobiałe kitelki. Według nas sytuacja tutaj jest niezwykle poważna i bardzo pragniemy pomóc wam wyjaśnić tę serię zachorowań na nosaciznę -jeśli to jest nosacizna - ale jeśli nasza obecności jest niepożądana, dlaczego nie powie pan tego wprost?

Przecież mówię wprost, pomyślał Iwamoto, ale jesteście zbyt gruboskórni, żeby mnie usłyszeć.

- Daj spokój, Denis - ostrzegawczo powiedział doktor Jim Condon. On także miał stopień podpułkownika, był epidemiologiem i internistą, a jego gabinet sąsiedował z gabinetem doktora Yaro w budynku służb medycznych w Zama.

Przybyli tu jako ochotnicy - naruszając surowe rozkazy dla wszystkich lekarzy w Zama, żeby się trzymać z daleka - częściowo dlatego, że chcieli pomóc, częściowo dlatego, że Yaro miał nadzieję wejść w posiadanie próbki całkowicie nieznannej, niezdiagnozowanej choroby, którą można by przekuć na naukowy artykuł do publikacji.

Iwamoto z trudem panował nad gniewem. Po chwili odezwał się tonem sztywnym i oficjalnym. - Patogen nie został jeszcze rozpoznany. Jak się zdaje, nie jest to żadna znana bakteria, wirus ani prion, ani nawet ameba czy inny organizm jednokomórkowy. Z tej prawdopodobnie przyczyny choroby nie mają naturalnej odporności i w rezultacie żaden z pacjentów jak dotąd nie przeżył.

Amerykańskim lekarzom wydało się, że Japończyk mówi to z niejaką satysfakcją.

- Próbkę genetyczną, które byliśmy w stanie zidentyfikować na wstępnym etapie badań, wskazują, że czynnik chorobotwórczy może być identyczny z nieznanym wariantem a-087, który

uśmiercił wszystkich mieszkańców małej osady na północno-wschodnim wybrzeżu Chejudo.

Yaro skinął głową. Condon dostrzegł błysk w oczach kolegi. Dwa tygodnie wcześniej ponad dziewięćset osób na Chejudo - niewielkiej wysepce na południowym Pacyfiku, jakieś pięćdziesiąt mil na południe od Półwyspu Koreańskiego, zostało zmiecionych przez chorobę, zanim przybyła pomoc medyczna z kontynentu. Nikt nie wiedział, jakie było pochodzenie choroby, która wyniszczyła osadę, a dziesięć dni później sama z siebie zanikła.

- Powinniście także wiedzieć - powiedział Iwamoto - że jest już jasne, iż jest to biotyp, którego specyficzni nosiciele z dużym prawdopodobieństwem ograniczają się do rasy koreańskiej. Jestem przekonany...

- Nosiciele! Rasa! - z pogardą rzucił Yaro. - Wie pan tak samo dobrze jak ja, że nie ma czegoś takiego jak rasa koreańska!

Iwamoto odsunął się od wysokiego Amerykanina, zachwiał się i szybko odzyskał równowagę.

- Tu chodzi o władzę i o politykę, a nie o naukę! - mówił dalej Yaro, tonem przepelnionym gniewem. - To, że użył pan takich słów - pan osobiście, doktorze - w telewizji, stało się katastrofą dla koreańskiej społeczności w Japonii. Nie sposób nie dostrzec pańskich aluzji w tych wszystkich wywiadach. Sugeruje pan wszystkim to, co chcą usłyszeć: że Koreańczycy są nosicielami tej potwornej choroby, ponieważ są niżsi rasowo.

- Z przykrością stwierdzam, że pańskie insynuacje...

- Słuchaj, palancie, na własne oczy widziałem w telewizji, jak mówiłeś do dziennikarza, że to tak, jakby bogowie wymyślili tę doskonałą chorobę, by nazaczyć rasę niemal powszechnie pogardzaną przez cały naród japoński.

- Spokojnie Denis, bez nerwów - Jim położył dłoń na ramie-

niu kolegi. Ale Yaro zrobił kolejny krok w stronę Iwamoto.

- Jesteście pieprzonymi faszystowskimi hipokrytami, doktorze. Pan i pańscy rodacy. Okupowaliście Koreę, zrobiliście z nich niewolników, porywaliście koreańskie kobiety i zamykaliście je w wojskowych burdelach, a wasi żołnierze gwałcili je dzień po dniu. Mnóstwo ludzi tytułujących się „doktorami” wykorzystywało Koreańczyków jako dogodny króliki doświadczalne dla japońskich eksperymentów medycznych.

Cofając się przed doktorem Yaro, Iwamoto potknął się o własne stopy i przysiadł ciężko na wypielęgnowanym trawniku.

- Wystarczy, doktorze - powiedział Condon stanowczo, łapiąc Yaro za ramiona i odciągając go siłą. Iwamoto powoli wstał i otrząpął się z kurzu. Jim Condon stanął między dwoma mężczyznami.

-Jeżeli naprawdę jest to choroba tylko Koreańczyków, nie grozi ani mnie, ani mojemu koledze, nieprawdaż, doktorze? - zapytał. - Czemuż mielibyśmy się niepokoić?

Kiedy Yaro przestał mu bezpośrednio zagrażać, Iwamoto poczuł rosnącą wściekłość. Zamknął na chwilę oczy, próbując okiełznać emocje. Spojrzał głęboko w głąb siebie, aby uniknąć sprowokowania przez keto, ale na próżno. Potem, ponieważ, modlił się, żeby zdjąć z siebie hańbę utraty panowania nad sobą.

- Oczywiście, że to koreańska choroba, wy durnie okrągłokie! Mamy jej genotyp. Dlatego właśnie w ogóle was to nie powinno obchodzić. To Koreańce! Psy, którymi żywią się te małpy, są więcej warte, nie rozumiecie? Leczenie ich jest poniżej godności lekarza!

Wybuch Iwamoto sprawił, że Condon i Yaro zamarli, jakby uderzono ich w twarz. Na dłuższą chwilę zapadła niezręczna cisza. W końcu przerwał ją Condon. Chłodnym od powstrzymanego gniewu głosem powiedział:

- Doktorze, w naszej ojczyźnie nawet psy otacza się opieką

medyczną.

- Tak, w waszym kraju sypiacie też z *kurombo* - z czar-
nuchami, więc o czym tu w ogóle mówić! - Iwamoto splunął,
jakby same te słowa brukały mu usta.

- Dziękujemy, że podzielił się pan z nami swoim oświe-
conym poglądem na świat. Ale my, doktorze, przybyliśmy tu
właśnie po to, żeby dowiedzieć się, jak wyleczyć te, jak pan
mówi, psy.

Yaro cały dygotał z wściekłości. Condon odwrócił go, wrę-
czył mu worek, który upuścił, i poprowadził ku sześcioosobowej
rodzinie, rozłożonej na starym brezencie jakieś dziesięć jardów
od nich.

- Nie ma lekarstwa, jest tylko śmierć! - krzyknął za nimi
Iwamoto. - Róbcie jak chcecie, ale tracicie tylko czas! Tu jest
tylko śmierć!

W odległości pięćdziesięciu jardów wysoki, młody Ja-
pończyk ubrany od stóp do głów w szpitalną biel, chodził z no-
tatnikiem w rękę od jednej grupy wyniszczonych chorych do
drugiej, robiąc notatki i od czasu do czasu zdjęcia. Łzy ciekły po
krawędzi jego maski chirurgicznej. Kiedy słowa Iwamoto roz-
niosły się echem po nienagannie zadbanym ogrodzie szpitalnym
i dotarły do uszu Akiry Sugawary, młody człowiek odwrócił się
od ciała czteroletniej koreańskiej dziewczynki i jej rozpaczają-
cych rodziców. Parzył, jak doktor Iwamoto oddala się od wyso-
kich *gaijinów*.

Co to za piekło, zastanawiał się po raz któryś Sugawara.
Nieodparte, nieznanne brzemie zaciążyło mu tak mocno, iż zda-
wało się, że serce wypadnie mu z piersi i zniknie we wnętrzu
ziemi.

Co to za piekło? I dlaczego wuj wysłał go tutaj, żeby je
udokumentował?

Rozdział 2

Grad genetycznie modyfikowanych pomidorów odmiany Flavr Savr rozkręcał się -jak zawsze - powoli. Czerwone wilgotne plamy z cichym plaśnięciem rozlewały się po karoserii i szybach ciężkiego chevroleta suburbana. Flavry Savry, zakreślając regularne łuki, wyfruwały z gęstego tłumu ludzi, który zebrał się po obu stronach wyłożonej kostką brukową nowej drogi, niemałym kosztem poprowadzonej przez rolnicze tereny stanu Maryland na zachód od Bethesdy. Droga ta miała własny dojazd do obwodnicy i prowadziła prosto do bram GenIntron Corporation.

Tłum oblepiający ulicę napierał na malowane w pasy metalowe barierki ochronne, metalicznobordowy suburban usiłował zbliżyć się do bramy, a uzbrojeni policjanci z oddziału prewencyjnego zajęli pozycje wzdłuż barierek, spoglądając niespokojnie to na protestujących, to na nadjeżdżający samochód, to na siebie nawzajem. Policjanci, usiłując zagonić tłum za bariery, ostrzegawczo oscylowali dłońmi w pobliżu służbowych rewolwerów, gumowych pałek, granatów z gazem łzawiącym oraz krótkofalówek. Nad zbiegowiskiem niósł się terkot śmigłowca.

Ci, którzy nie rzucali pomidorami, machali transparentami, głoszącymi „Precz z żywnością z laboratorium Frankensteina!”, a także mnóstwem tablic z innymi hasłami, wzywającymi do przerwania badań nad inżynierią genetyczną, położenia kresu badaniom genetycznym, modyfikowanej genetycznie żywności oraz genetycznie produkowanym lekom i szczepionkom. Najlepiej widoczne były błyszczące, kosztowne tablice organizacji Ręce Precz od Naszych Genów. Ich doskonale finansowaną akcję prowadził Elliot Sporkin, demagog biotechnologii, który nie miał zielonego pojęcia o nauce, wiedział natomiast, jak wpły-

nać i zbić kapitał, zerując na lękach nieorientowanej ludności.

We wnętrzu półciężarowego chevroleta pocztówkowy widok na wiejski krajobraz, oblany miękkim światłem poranka i różowawe szczyty gór pod błękitem nieba szybko zanikał pod impresjonistyczną czerwienią rozbitych pomidorów, które padały coraz gęściej.

Lara Blackwood machinalnie włączyła wycieraczki i przebiegła wzrokiem po zgromadzonych demonstrantach; rozpoznała te same wykrzywione złością i nienawiścią twarze, które dzień w dzień obrzucały ją przekleństwami. Tuż przed nią eskorta policyjna - dwaj motocykliści i furgonetka z oddziałem prewencyjnym, którą dołożono z okazji dzisiejszego dorocznego zebrania - przyspieszyła w stronę bacznie strzeżonego wejścia do GenIntronu. Lara nacisnęła pedał gazu, żeby dotrzymać im kroku. Poranne słońce malowało malutkie tęcze na jej krótko ściętych czarnych włosach, a szafirowe gwiazdki w kolczykach błyszcząły jak grudki żaru. Dostała je w prezencie od ojca, który dwadzieścia lat wcześniej przywiózł je z Kaszmiru.

Jako założycielka i dyrektorka generalna korporacji GenIntron Blackwood była rodzyńkiem w przeważnie męskiej ekipie biotechnologów, a zasłużone zaszczyty przyniosło jej opracowanie przynoszącej krociowe zyski terapii opartej na „intronach”: fragmentach ludzkiego genomu, które inni naukowcy odrzucali jako „śmieciowe DNA”. Media z upodobaniem udostępniały swoje łamy i czas antenowy tej wysokiej, atrakcyjnej kobiecie, której obrona doktoratu z genetyki molekularnej na Uniwersytecie Cornelia nie przeszkodziła w dwukrotnym zdobyciu brązowego medalu olimpijskiego w wioślarstwie i żeglarskim.

Wycieraczki zgarniały kolejne fale przecieru pomidorowego, a Lara spoglądała na swojego pasażera, opalonego, srebrnowłosego mężczyznę dobrze po czterdziestce, ubranego w konserwatywny prążkowany garnitur, białą koszulę i niecieka-

wy czerwony krawat, typowy uniform pracowników najwyższego szczebla w First Mercantile American Bank & Trust. Jason Woodruff, prezes First Merc i najnowszy członek zarządu GenIntronu, obdarzył ją półuśmiechem.

- Przechodzi pani przez to co rano? - zapytał.

- Prawie - odparła. - Zwykle nie jest tak ekstremalnie. Takie cuda zachowują na specjalne okazje, jak dziś - uśmiechnęła się cierpko.

Głowa Woodruffa nie ustawała w ruchu, kiedy próbował objąć wzrokiem cały otaczający ich tłum. - Zbiegowisko popaprańców. Nie sądziłem, że jest ich aż tylu.

Lara spojrzała przez ramię i rozbawił ją wyraz bezbrzeżnego zdumienia na twarzy bankowca. Witaj w realnym świecie, pomyślała, odczytując na głos napisy na transparentach.

Woodruff zauważył, że się śmieje i zmarszczył brwi. - Pani się to w gruncie rzeczy podoba, tak?

- Co mi się podoba?

- No, to wszystko... - zatoczył łuk ręką, pokazując ścisk, zamieszki, hałas i gniew - ... co tu się odbywa.

- Dlaczego tak pan uważa? - zapytała Lara.

- Bo się pani tak radośnie uśmiecha.

Teraz Lara uśmiechnęła się jeszcze szerzej, pokazując równe białe zęby, po czym zachichotała, co mogło być zarówno potwierdzeniem, jak i zaprzeczeniem.

Woodruff skrzywił się. Jak większość bankowców, we wszelkiej niejednoznaczności upatrywał podstępu, a spontaniczność budziła w nim rodzaj lęku. Czuł się bezpieczniej wśród swoich sprawdzonych liczb, konserwatywnych biznesmenów i klientów, którzy kłaniali mu się w pas, bo był szefem największego banku w Stanach. Wyraz niesmaku zastygł na jego twarzy, bo Lara była przeciwieństwem wszystkiego, co akceptował.

Woodruff musiał przyznać, że nigdy jej nie rozumiał, ani jako szefa przedsiębiorstwa ani jako kobiety, a już najmniej jako wybitnego, błyskotliwego naukowca, za jakiego uznawała ją cała reszta świata. Była zbyt wysoka, zbyt silna i jak na kobietę, zbyt ambitna i pełna aspiracji. Kobiety nie powinny być takie.

- Jest jeden z wielką żółtą gwiazdą Dawida - powiedział na poły do siebie. - Z napisem „Nigdy więcej Holocaustu”. A dalej... - zmrużył oczy i kontynuował z niedowierzaniem: - A dalej „Śmierć faszystowskiej wilczycy”. Woodruff odwrócił się do Lary. - Co?...

- Chodzi o nasze genetyczne badania przesiewowe - wyjaśniła. - Wielu ludzi uważa, że zostaną wykorzystane do jakiegoś nowego programu związanego z eugeniką. Wie pan, opracować test na „normę” dla sekwencji genów, a resztę wyeliminować. - Przerwała, żeby włączyć spryskiwacze przedniej szyby. - Tępi ignoranci - mruknęła. - W ogóle się tym nie zajmujemy. Rzeczywistość jest po prostu zbyt niewygodna dla tych urojonych światów, w których żyją ci ludzie.

Wciąż rozglądając się po tłumie, Woodruff potrząsnął głową. - Zdaje się, że właśnie do tego piją tamte transparenty, które trzyma grupa z zespołem Downa, o tam. Oni chyba też życzą pani nagłej śmierci. - Przerwał. - Tak, teraz widzę wyraźnie „Nie jestem... błędem natury, nie trzeba... nie trzeba mnie poprawiać”. To ludzie z zespołem Downa - zauważył, odwracając się do Lary.

Skinęła głową. - Mielibyśmy już lekarstwo na zespół Downa, gdyby nie te świry z ruchu wyzwolenia zwierząt, które włamały się do naszych laboratoriów i uwolniły małpy - powiedziała Lara beznamiętnie. - Cztery lata pracy poszły w diabły dzięki szlachetnym obrońcom praw zwierząt.

- Koledzy obrońcy pikietują o, tam - pokazał na lewą stronę ulicy. - A tu ekipa „Ocalić Życie” - wskazał tym razem na pra-

wo. - Niech zgadnę. Protestują przeciwko badaniom przesiewowym, bo mogą być wskazaniem do aborcji?

- Szybko pan chwyta, Jason - rzekła Lara, okrążając autem płonący plastikowy kubek na śmieci, który wyturlał się spomiędzy manifestujących. - Jest pan wspaniałym nabytkiem w naszym zarządzie. - Jej sarkazm był tak subtelny, że Woodruff postanowił go nie dostrzec.

Okrzyki z tłumu brzmiały coraz donośniej, chociaż wciąż dały się znieść we wnętrzu specjalnie przystosowanego suburba-na.

- Co oni wrzeszczą? - zapytał Woodruff niespokojnie, zauważwszy, że odległość między ich wozem a policyjną eskortą zwiększyła się.

- Oj, to co zwykle - uśmiechnęła się lekko.

- Czyli co? - zirytowała go jej zdawkowa odpowiedź i ten cholerny enigmatyczny uśmiech.

- Proszę bardzo. Niech pan sam posłucha - automatycznym włącznikiem zaczęła opuszczać szybę. Wściekły ryk przedostał się przez szczelinę.

- Niech pani przestanie! - wystraszył się Woodruff, odruchowo uchyłając głowę.

W nawale dźwięków w zasadzie trudno było wychwycić poszczególne słowa, ale górę brały „Dziwka, morderczyni”.

Lara roześmiała się i zamknęła dźwiękoszczelne okno.

- Nic nie rozumiem - powiedział bankowiec. - Oni pani nie-nawidzą... a pani się z tego cieszy?

- Jason - powiedziała spokojnie - ci ludzie to najbardziej marginalny margines - ekstremiści, którzy nic nie pojmują, poza wysyanymi z palca koszmarnymi wizjami. Biorąc to pod uwagę, musiałabym się poddać ciężkiej terapii elektrowstrząsowej, gdyby mnie lubili.

Jechali w ciszy, zbliżając się do bram GenIntronu.

Flavry Savry wciąż rozpryskiwały się o karoserię suburbana.

Po dłuższej chwili Lara przerwała milczenie.

- A więc? Powie mi pan to, co mi pan przyjechał powiedzieć?

- Słucham?

- Niechże się pan nie kryguje, Jason. Chyba nie prosił mnie pan o podwiezienie po to tylko, żeby wykazać się obywatelską postawą i ekologicznie zaoszczędzić na paliwie?

- Mówilem pani, moja beemka...

- W warsztacie? - Lara potrząsnęła głową. - Wspominał pan. Taa, jasne.

-Ale...

-Jason, ostatni raz, kiedy pan się ze mną zabrał, to był dzień, kiedy chciał pan być pewny, że nikt nie usłyszy, jak mi pan mówi, że pański pozbawiony jaj bank zamyka mi linię kredytową i że gdybym wiedziała, co jest dla mnie dobre, przemyślałabym raz jeszcze ofertę wykupu akcji złożoną mi przez Da-
iwa Ichiban.

- Wie pani równie dobrze jak ja, że kiedyśmy tę linię kredytową zamknęli, nic lepszego nie mogło się pani zdarzyć.

- Nie lubię być w sytuacji przymusowej, Jason.

- Ale wszak wzbogaciła się pani natychmiast po transakcji.

- W odróżnieniu od pana, nie uważam pieniędzy za najważniejszą rzecz na świecie.

- Łatwo się mówi, kiedy ma się takie miliony. Lara usłyszała w jego głosie nutę zawiści.

- Ale to nie tę wiadomość kazali panu dziś przekazać z Da-
iwa Ichiban, prawda?

Bankowiec nie odpowiedział, a Lara potrząsnęła głową. - Znowu wysłali pana na czarną robotę, ale pan nie ma jaj, żeby mi powiedzieć.

Zawahał się i wypalił:

- Pani należy już do historii. Dzisiaj przeżywa pani ostatni dzień jako prezes zarządu i dyrektor generalny.

- Należało powiedzieć: pani prezes - poprawiła. -I niech pan nie plecie bzdur. W kontrakcie przewidziano jeszcze sześć miesięcy. Muszę dokończyć ważne prace laboratoryjne, zanim nastąpi całkowite przekazanie.

Woodruff po raz pierwszy naprawdę się uśmiechnął.

Nagle z tłumy po lewej stronie ulicy doleciał przenikliwy krzyk. Lara odwróciła się w samą porę, by dostrzec krwistoczerwoną, galaretowatą kluchę wylatującą spomiędzy członków ruchu „Ocalić Życie”. Owa klucha, roniąc w locie krople, pacnęła w przednią szybę, pozostawiając na niej szeroki, oślizgły ślad, zanim ruch wycieraczek nie odrzucił jej w stronę manifestantów z ruchu obrony zwierząt po drugiej stronie drogi.

- Co to było? Jasny gwint, wyglądało jak płód.

- Bo to był płód - potwierdziła Lara, naciskając guzik spryskiwacza, żeby oczyścić szyby.

- Poważnie? - Głos Woodruffa zadrżał histerycznym falsem.

- Płód świni - poinformowała Lara rzeczowo. - Taki, jakie się trzyma w pracowniach biologicznych w szkołach. Członkowie ruchu „Ocalić Życie” kupują je całymi beczkami. Efekciarstwo.

-Wyglądał tak... po ludzku.

- W tym cała rzecz - powiedziała Lara - to jest... Nagle bariery chroniące przed tłumem poddały się i runęły jak pęknięta tama pod naporem wody. Rozwścieczeni obrońcy praw zwierząt na widok nieposzanowania świńskiego płodu rzucili się szturmem na obrońców życia poczętego. Ułamek sekundy później z gardeł po obu stronach drogi wydarł się potężny ryk, a demonstranci rozmaitych proveniencji przemogli słabo strzeżone bary-

kady i wylali się na ulicę.

- Oj - powiedziała Lara, kiedy tłum otoczył szczelnie ich samochód. Nacisnęła gaz, żeby podjechać bliżej do policyjnej furgonetki. Suburban szybko zmniejszył dystans, kilka sekund później był kilka stóp za policją. Po prawej stronie obrońcy praw zwierząt bili się do pierwszej krwi z obrońcami życia. Policyjna furgonetka musiała się zatrzymać, ponieważ tłum napierał. Byli już tak blisko, że oślepiły ich kamery telewizyjne schowane bezpiecznie za ogrodzeniem GenIntronu.

W tej chwili luźna kostka brukowa, zatoczywszy leniwy łuk, odbiła się od zbrojonej przedniej szyby suburbana Lary.

- Boże! - wykrzyknął Woodruff, kiedy w chwilę potem na suburbana posypały się jedna za drugą następne kostki. Tłukły o szybę, a on uchylał tylko głowę, co wywołało na zewnątrz niejednen wybuch uciechy.

- Najlepiej w ogóle nie reagować - skomentowała Lara chłodno. - To ich tylko nakręca.

- Nie rea... jak to? - opuścił szczękę. - Pani też ma nierówno pod sufitem!

W bramie ochroniarze GenIntronu oraz prewencyjne oddziały policji wynajęte z okazji dorocznego spotkania ruszyły z miejsca, operując pałkami, ale mało skutecznie. W stronę tłumy wystrzeliły armatki z gazem łzawiącym. Daleko na przedzie, ekipy telewizyjnych wiadomości, zgłodniałe sensacji do popołudniowych programów, przewijały taśmy.

Zadymiarze rozkołysali suburbana i policyjną furgonetkę.

- O, Jezu, Lara, niechże pani coś zrobi, przewróć nas i pozabijają! Niechże pani tak nie siedzi, gaz do dechy i przejedźmy wreszcie przez tę cholerną bramę!

- Błąd - powiedziała lakonicznie.

- Ale oni chcą nas zabić! -jego głos drżał, trochę za sprawą gwałtownego szarpania samochodem, ale trochę i ze strachu. -

To obrona konieczna - upierał się histerycznie.

Lara potrząsała głową. - Widzi pan te kamery? Kiedy puszcza zmontowany materiał, nie zobaczy pan ani wymierzonych w nas brukowców, ani rannych glin. Będzie widać wielkiego pieprzonego suburban, który kosi niewinnych działaczy ekologicznych i społecznych.

-Ale...

- Niech się pan przytka, Jason. I nie posika w portki ze strachu.

Pobladły i spocony, wykończony zamieszkami, bankowiec osunął się na fotel.

Przed nimi zgaś silnik policyjnej furgonetki.

Widząc, że zbiegowisko coraz gwałtowniej potrząsa oboma pojazdami, Lara znalazła chytre wyjście z sytuacji. Wrzuciła bieg i puściła hamulec. Ciężki samochód szarpnął do przodu. Nagłe szarpnięcie wybiło tłum z rytmu. Lara nacisnęła gaz i łagodnie zderzyła się z policyjnym wozem, ten zaś posunął się z wolna naprzód. Ruch ten zaskoczył zadymiarzy, którzy chcieli go przewrócić. Zaczęli się odsuwać, widząc, że suburban popycha furgonetkę powoli, ale bez przerwy.

Tego wieczoru w telewizji można było zobaczyć demonstrantów teatralnie rzucających się pod koła furgonetki i uciekających w ostatniej sekundzie. Szczerząca zęby blondwłosa reporterka wydawała się niezadowolona z faktu, że suburban i furgonetka przedostały się bezpiecznie na teren GenIntronu, pozbawiając ją o wiele bardziej smakowitego newsa, który mógłby zwrócić na nią uwagę całego kraju i otworzyć drogę prawdziwej kariery w mediach.

Rozdział 3

Lara Blackwood jak wichher przeznaczenia gnała cylindrowatymi korytarzami głównego skrzydła oddziału badań naukowych Genintronu. Wyłożony połyskującymi kaflami, długi na sto jardów korytarz był jednym z trzech w tym kompleksie. Wzdłuż wszystkich korytarzy ciągnęły się laboratoria, a co sto stóp przedzielały je śluzy powietrzne. Miało się wrażenie, że się jest we wnętrzu nieskończenie długiego wagonu kolei podziemnej. Projekt ten zdobył liczne nagrody i z honorami pokazywano go w dwóch słynnych nowojorskich muzeach.

- Stać! - nawoływał Woodruff za oddalającą się długimi krokami Larą. Pobiegł truchcikiem, żeby ją dogonić. - Niech pani nie robi nic, czego mogłaby pani potem żałować!

Lara zatrzymała się i odwróciła tak błyskawicznie, że bankowiec zderzył się z nią.

- Chce pan powiedzieć, żebym nie robiła nic, czego pan mógłby pożałować - mówiła głosem cichym, z ledwie wstrzymaną złością. Niemal nos w nos stała z wysokim na sześć stóp Woodruffem. - Gwarantuję panu, że właśnie coś takiego zrobię. - Na te słowa spuścił z tonu i wycofał się.

Równie szybko, jak się zatrzymała, Lara znów się odwróciła i podjęła szybki marsz futurystycznym korytarzem.

Woodruff patrzył, jak znika w oddali, po czym podszedł do telefonu na korytarzu, żeby wezwać ochronę.

Trzydzieści jardów dalej Lara przystanąła, żeby przesunąć swoją magnetyczną kartą identyfikacyjną przez czytnik zabezpieczenia. Chwilę później wezwano ją do wprowadzenia hasła na klawiaturze i pneumatyczne bramy otwały się z lekkim westchnieniem. Ta sekcja korytarza otoczona była grubymi zielonkawymi pancernymi szybami, za którymi znajdowały się laboratoria. Większość laboratoriów w tym korytarzu miała potężne stalowe drzwi, śluzy powietrzne i strefy odkażania, wszystkie dodatkowo zabezpieczone elektronicznymi zamkami i systemem identyfikacji siatkówki. Stosowano tu czwarty stopień zabezpieczeń biologicznych, zarezerwowany dla najbardziej zabójczych zarazków chorobotwórczych oraz eksperymentów z formami życia nieistniejącymi w przyrodzie, które mogłyby spowodować katastrofę w razie wydostania się z laboratorium.

Z pomocą właściwych enzymów i pobranych z różnych organizmów fragmentów DNA, można tu było tworzyć formy życia, których jeszcze dziesięć lat temu nikt sobie nie wyobrażał. Naukowcy tworzyli tu kombinacje genów drożdży, grzybów, psów, żab, alg i ludzi, układając je na nowo, niczym klocki Lego genetyki molekularnej. Na poziomie molekularnym DNA wszystkich organizmów jest równe. Demokracja na nanopoziomie: jedna zasada kwasu nukleinowego, jeden głos.

To tutaj Lara wytrwale odkrywała sekrety odrębności etnicznej ukryte w ludzkim genomie, co otworzyło Gen-Intronowi drogę do pierwszego komercyjnego sukcesu firmy: leku na chorobę Taya-Sachsa. W toku własnych badań udało jej się zlokalizować właściwe sekwencje genów, które umożliwiały innym lekom wyspecjalizowane działanie i leczenie chorób, które w nieproporcjonalnie dużej mierze dotykały pewnych grup etnicznych - spośród lepiej znanych na przykład niedokrwistości sierpowatej u osób pochodzenia afrykańskiego, mukowiscydozy u białych mieszkańców Europy Północnej, oraz licznych mniej

znanych zespołów chorobowych.

Leki te udało jej się znaleźć dzięki skoncentrowaniu badań na intronach - tak zwanym „śmieciovym DNA”, ignorowanym przez innych naukowców. To właśnie w tych rozległych ciągach DNA, w których inni widzieli materiał zbędny, ona dopatrzyła się ogromnych możliwości i zrealizowała je poprzez takie manipulowanie intronami, które zmieniało mechanizmy produkcji ważnych dla życia białek. Poprzez stworzenie nowych, nieznanych w naturze molekuł, które aktywizowały się tylko w obecności DNA występującego wyłącznie u konkretnych grup etnicznych, mogła nieść ulgę w cierpieniu, bólu i śmierci.

Z przyległego korytarza wyszedł wysoki, chudy mężczyzna o kawowym odcieniu skóry, siwiejących włosach, wydatnym nosie i lodowatoniebieskich oczach. Pomachał do Lary i zaczął się uśmiechać, kiedy uderzył go wyraz jej twarzy.

- Coś się stało? - zapytał, zrównując z nią krok.

Ismail Brahimi, laureat Nagrody Nobla i niegdyś nauczyciel akademicki w Cornell, był współzałożycielem GenIntronu i jako jeden z prezesów przez ostatnie dwa lata zajmował się większością spraw firmy. Jego właśnie Lara wytypowała na drugiego dyrektora generalnego, ale nowi japońscy właściciele odrzucili tę kandydaturę na korzyść Edwarda Rycrofta, kierownika badań naukowych. Rycroft był wybitnym naukowcem, ale kapryśnym człowiekiem, którego największa siła, poza zdolnością zrażania do siebie ludzi, leżała w ambicji zdobycia Nagrody Nobla i zawiści o kapitał, jaki zgromadzili Lara i Brahimi od czasu założenia firmy. Jako człowiek uczciwy i wysoce etyczny, Brahimi odmówił angażowania się w pokątne działania i zakulisowe intrygi, jakie byłyby konieczne, by zdetronizować Rycrofta. Według Brahimiego, nominacja Rycrofta zdarzyła się, jak wszystko na świecie, „z woli boskiej”. Lara nie była aż tak dobroduszną.

- Woodruff i Kurata. To się stało - odparła zwięźle.

- To nic nowego - powiedział ponuro.
- Chcą mnie wylać.
- To też nic nowego.
- Ale już dziś - zatrzymała się pod drzwiami laboratorium z tabliczką ze swoim nazwiskiem i wprowadziła hasło. - Wo-
odruff znów mnie dzisiaj złapał na stopa.

- Cóż go skłoniło?
Potrząsnęła głową i wzruszyła ramionami. - Jakaś zadyma w Tokio, zdaje się.

Na wyświetlaczu nad klawiaturą zapalił się napis: „Dostęp wzbroniony”.

- Szlag - mruknęła Lara. Powtórnie wprowadziła szyfr.
Znowu: „Dostęp wzbroniony.”

- Co z tym systemem?
Po chwili drzwi pneumatyczne na końcu korytarza otwarły się ze świstem, wypluwając Edwarda Rycrofta w towarzystwie umundurowanego strażnika GenIntronu, uzbrojonego w palkę i sprej pieprzowy. W bezpiecznej odległości za nimi ciągnął się Jason Woodruff.

- Pewnie wolałbyś się w to nie wdawać - podsunęła Lara Brahimiemu. - Mógłbyś zaszkodzić swojej karierze.

- Ależ nie, jestem po twojej stronie.
Lara spojrzała z sympatią na tego miłego, szlachetnego człowieka, którego głęboka religijność czyniła odważnym i nieugiętym, kiedy wymagały tego okoliczności.

- Nie, naprawdę. Idź stąd - nalegała.
- Dobrze, ale...
- Ismail, nic i tak nie możesz zrobić, chyba, że chcesz tylko utrudnić sobie życie. Sio!

- Jak chcesz - powiedział Brahimi niechętnie i oddalił się.
Lara odwróciła się do Rycrofta i jego obstawy.

- Wpuście mnie do mojego laboratorium - krzyknęła, kie-

dy się zbliżyli.

- To już nie jest twoje laboratorium - odparł Rycroft, wymawiając słowa z akcentem z Izby Lordów, który niemal całkowicie kamuflował jego bynajmniej nie arystokratyczne korzenie. Zatrzymał się na odległość ramienia od Lary. Ochroniarz w szarym uniformie stał w gotowości tuż za nim.

Lara przyjrzała się strażnikowi i zdała sobie sprawę, że rozpoznaje go mętnie tylko z twarzy, nie pamiętała, jak się nazywa. W miesiącach, które nastąpiły po sprzedaży Gen-Itronu, cały lojalny wobec niej personel ochrony, ludzie, których imiona, nazwiska i życiorysy znała bardzo dobrze, został zastąpiony przez załogę z innej filii Daiwa Ichiban Corporation. Mogła liczyć na ich profesjonalizm, ale na pewno nie na sentymenty.

Za strażnikiem spięty Woodruff przestępował z nogi na nogę.

-Jak to, nie moje?

- Sprzedałaś je razem z całą firmą.

- Ale spisaliśmy umowę - nie rezygnowała Lara. - Kurata osobiście zapewnił mnie, że mam prawo używać laboratorium, dopóki nie ukończę prac, które rozpocząłam. Piszę na ich podstawie ważną rozprawę...

- Nasza strategia uległa zmianie - powiedział Rycroft spokojnie, z lekka podrzucając podbródkiem. -Jak ci wiadomo, uwarunkowania ekonomiczne zmusiły Daiwa Ichiban do podjęcia wszelkich niezbędnych kroków, aby wszystkie należące do niej przedsiębiorstwa przynosiły jak najmniejsze straty.

- Straty? - Lara zrobiła krok w jego stronę. -Ja przynoszę straty?

Ochroniarz ruszył, by zasłonić Rycrofta.

- W porządku - Rycroft uniósł ramię, by go powstrzymać. - Ona mi nic nie robi.

- Chciałbyś - rzuciła Lara wściekle.

Rycroft zachybotał się niepewnie. Pełna napięcia cisza drgała między nimi przez długą chwilę.

- Tam jest moja praca badawcza i jeśli będzie trzeba, zawlokę twój tyłek przed sąd.

- Ta praca już także nie jest twoja - powiedział Rycroft ze znużeniem. - Wiesz równie dobrze jak ja, że tak naprawdę nigdy nie była twoją własnością. Wykorzystywałeś czas korporacji, jej infrastrukturę, pomieszczenia, sprzęt.

Zszokowana Lara ciężko westchnęła.

- Tak, Edwardzie, jestem tego świadoma. Doprowadziłam wszystko prawie do końca, więc czemu nie pozwolisz mi sfinalizować pracy, żeby i firma mogła skorzystać z jej owoców. - Prawą dłonią mimowolnie potarła szafirowy koleczyk.

- Decyzje zapadły na najwyższym szczeblu - powiedział Rycroft. - Nie jestem upoważniony do ich wycofywania.

- Przynajmniej pozwól mi zabrać notatki...

- Notatki należą do GenIntronu. Jestem przekonany, że dysponujemy potrzebnym personelem i środkami, aby doprowadzić prace do pomyślnego finału.

Lara zmarszczyła brwi, otworzyła usta, żeby wysunąć kolejny argument, kiedy nagle przyszło olśnienie.

- Po prostu chcesz ukraść moją pracę dla siebie, zgadza się? - powiedziała głośno, szorstko. - Twoje samolubstwo i niezdrowe ambicje już tak przyćmiły ci inteligencję i zdolności naukowe, że musisz uciec się do plagiatu, żeby piąć się w górę!

- To są beczelne insynuacje - odparł Rycroft. - A nam tymczasem chodzi o zwykłą alokację środków. Twoje laboratorium jest pilnie potrzebne do przeprowadzenia prac o wiele ważniejszych - zaczął Rycroft. — Zarząd Daiwa Ichiban uchwalił, że maksymalne środki należy poświęcić na monetyzację badań naukowych oraz podejmowanie projektów przynoszących jak największe zyski.

Lara gapiła się w niego osłupiała ze zdumienia.

Kiedy Rycroft znów przemówił, jego głos zabrzmiał arogancko i protekcyjnie. - Tak że realia są takie, moja droga: nie masz prawa dostępu do laboratorium. Twoje konta logowania zostały usunięte z systemu. Ochronę poinformowano, że mają cię nie przepuszczać przez bramę. Teraz ja tu kieruję wszystkim i to jest moje ostatnie słowo. No, zmykaj. Pojedziesz sobie do Waszyngtonu i przyjmiesz stanowisko doradcy, które zaoferował ci Biały Dom. Tu już nie jesteś mile widziana.

Lara postąpiła krok do tyłu, jej ramiona opadły w poczuciu kęski. Przez ułamek sekundy Rycroft uśmiechał się zwycięsko, ochroniarz odprężył się, nawet Jason Woodruff przestał nerwowo dreptać w miejscu.

Zanim któryś z nich zdążył zareagować, Lara rzuciła się błyskawicznie do przodu, z prawym ramieniem ugiętym jak skrzydło. Posługując się łokciem i przedramieniem jak maczugą, grzmotnęła Rycrofta prosto w głowę, szybkim ruchem podcięła mu nogi, aż rąbnął na ziemię.

- Masz tu swoją monetyzację, mój drogi - odgryzła się. Ochroniarz chwycił za pieprzowy sprej.

- Nie waż się! - szczerknęła Lara i wykręciła mu nadgarstek. Strażnik zastygł. Rycroft pojękiwał na podłodze, krew płynęła mu z nosa.

Ochroniarz był od Lary wyższy o głowę, ale to ona była w lepszej kondycji i on dobrze o tym wiedział. Zaczynając pracę, słuchał uważnie, jak odchodzący ochroniarze Lary opowiadali historie o niej: niektóre prawdziwe, niektóre zdecydowanie apokryficzne, wszystkie gloryfikujące jej niezwykłą siłę i sprawność fizyczną. Prawdziwe były zwłaszcza historyjki o jej doskonałym opanowaniu tych samych sztuk walki i posługiwania się bronią, których wymagano od wszystkich pracowników ochrony GenIntromu.

- Pomóście mu - rozkazała Lara strażnikowi, nie odrywając oczu od jego twarzy i nie puszczać żelaznego chwytu. -Ja wychodzę.

Pozwolił odebrać sobie pieprzowy sprej. Kiedy strażnik pochylił się nad Rycroftem, Lara odwróciła się i odeszła.

Martwi i konający rozciągali się aż po horyzont z zachodzącym słońcem, jak równo obsadzone grządki pól uprawnych. W bladym świetle o barwie ochry, Akira Sugawara przechadzał się po tej połaci śmierci, z Kuratą po lewej stronie i Edwardem Rycroftem po prawej. Uśmiechali się i szli jak rolnicy wśród żniwnych pól, pewni rekordowych zbiorów.

Ich uprawne rośliny spoglądały na nich z dołu ze ściągniętymi bólem twarzami, ustami wykrzywionymi płaczem i bezgłośnym krzykiem, który nie zakłócał miłego, ciepłego zmierzchu. Uśmiech błędził po twarzy Rycrofta. Wszystko wydawało się takie naturalne, dokładnie tak powinno to przebiegać. Rany i szybki rozkład, topniejące ciało, kości na wierzchu, o tak, właśnie tak powinien wyglądać ich plon.

Sugawara posuwał się naprzód, nie dbając o to, że nie słyszy, o czym rozmawia Rycroft z wujem, bo chwycił w lot każdy niuans ich myśli, kiedy oceniali zbiory, rozmawiali o nadzwyczajnym plonie w stosunku do tego, co zasiali, przewidywali pogodę na czas żniw i obliczali zysk, kiedy sprzedadzą swój towar na rynku. Tak, zgadzali się co do tego, że będą to żniwa rekordowe, wyjątkowo opłacalne, w pełni warte poniesionego ryzyka.

W jednej chwili w powietrzu powiało ostrym chłodem, kiedy słońce osunęło się ku widnokręgowi. Z wiatrem niosły się ogłuszające jęki i zawodzenia, chorzy w bólu darli palcami stopy, wczepiali się w resztki swoich ciał. Sugawarę zmroziło przeraźliwe uczucie na myśl o zaciskających się na nim kościstych

palcach i poczuł, jak przewracają się w nim wnętrzności, kiedy ciało poczęło znikać z twarzy Rycrofta i Kuraty, jak wosk pod wpływem gorąca. Dwaj mężczyźni zaczęli wydawać rozdzierające, niekończące się lamenty, jak jakieś piekielne syreny.

A wokół tych dwóch twarze ludzi roślin porastały znów ciałem, rany zasklepiały się, rzędy rodzin z małymi dziećmi zaczynały się uśmiechać.

Sugawara zastanawiał się nad tym tylko przez krótką chwilę, zanim miazdzący ból, niczym sama śmierć, przebiegł po jego duszy. Poczuł, jak jego własna twarz ścieka na pierś. W przerażeniu patrzył na swoje dłonie, widział spływającą skórę i odsłaniające się najpierw ropiejące mięso, potem ścięgna, potem szkielet. Dłonie kurczowo ścisnęły wypływające wnętrzności.

W tej chwili, tak jak każdej nocy od pamiętnej przechadzki po szpitalu Otsuka, Akira Sugawara obudził się wykończony, zapłątany w zwężlone, złane potem prześcieradła.

Rozdział 4

Wieczorem w Genewie zaczął prószyć pierwszy śnieg, a gęstniejący mrok wypełnił się wielkimi, wilgotnymi płatkami. Za szklanymi drzwiami Banque Securite Internationale du Geneve, Sheila Gaillard w towarzystwie ubranego w ciemny garnitur mężczyzny wyglądała na zewnątrz, na samochody stojące w korku na Rue du Rhone, spowodowanym przez kierowców, którzy nie mogli poradzić sobie z pierwszym opadem śniegu tej zimy.

- Na pewno nie chce pani, żebym wezwał dla niej jednego ze swoich kierowców? - usiłował utrzymać wzrok na jej twarzy, ale - tak jak przez całą minioną godzinę - co chwilę zjeżdżał on na jej biust. Głęboki dekolt krótkiej kaszmirowej sukienki odsłaniał imponujący widok.

Sheila spojrzała na usłużnego bankowca : zlekceważyła go, jak każdy inny chodzący worek spermy przystrojony w garnitur.

- Nie, dziękuję - odparła z fałszywą skromnością, podając mu swój płaszcz. - Piękny wieczór na spacer.

- Oczywiście - odpowiedział posłusznie, rozkładając dla niej płaszcz. - Jak zawsze osobiście powiadomię panią, kiedy nadejdzie wpłata.

- Dziękuję - odwróciła się i odchyliwszy ramiona wsunęła je w rękawy. Czyniąc to, zrobiła pół kroku do tyłu, jakby się potknęła. Jego erekcja dźgnęła ją w pośladek, przez sekundę otarła się o niego.

- Ojej! - krzyknęła lekko, kiedy ją pochwycił. Jedną ręką złapał ją za pierś, ale szybko zsunął ją na kibić.

- Przepraszam, to jest... eee - wyjąkał zmieszany. Uniosła oczy i rzuciła mu swoje najbardziej wdzięczne spojrzenie królewnej uratowanej znad przepaści. - Chyba zaczęłam o coś obcasem. - powiedziała. Tak naprawdę ostatnio zaczęła o coś obcasem, jeszcze kiedy była małą dziewczynką. Wyprostowała się i wsunęła ramiona w płaszcz; oboje patrzyli w dół na gładziutką powierzchnię marmurowej posadzki.

Włożyła kapelusz, pozapinała guziki płaszcza i wyszła w noc. Obejrzała się jeszcze na niego i spostrzegła, że wciąż gapi się w podłogę, z pałającą czerwienią twarzą i erekcją widoczną w okolicach rozporaka; posiała mu uśmiech i poszła.

Mężczyźni... Ciepłe pisiory na dwóch nogach... śmieszni, do jednorazowego użytku. Gdyby tylko miała na to czas.

Długimi, pewnymi krokami, niespowolnionymi śniegiem leżącym na chodniku, Sheila ruszyła wzdłuż Renu w kierunku mostu Pont de la Machine, który był właściwie tylko kładką dla pieszych przez rzekę.

Zatrzymawszy się w połowie mostu, Sheila oparła się przez barierkę, jakby chcąc spojrzeć na zegarek, i przeszukała wzro-

kiem tłum, sprawdzając, czy ktoś jej nie śledzi. Nie, żeby tego oczekiwała, robiła to rutynowo i automatycznie. Zauważyła, że śnieg w miarę zapadania nocy robi się drobniejszy, a temperatura spada. Odnotowała pełne podziwu spojrzenie mężczyzny w średnim wieku i jeszcze raz spojrzała na zegarek. Wszystko zgodnie z planem. Pewien naukowiec z belgijskiego oddziału Daiwa Ichiban przyjechał tu poprzedniego wieczora z Brukseli, znęcony perspektywą zawrotnych pieniędzy dzięki sprzedaży informacji o procedurach wytwarzania leku przeciwdepresyjnego, który przyniósł jego firmie niemal miliard dolarów zysku netto w poprzednim roku fiskalnym. Naukowiec ten sądził, że ma się spotkać się z przedstawicielem najważniejszego rywala Daiwa Ichiban; nie zdawał sobie sprawy, że jego e-maile zostały przechwycone przez filtr zabezpieczeń firmy i przekazane Gailard.

Włączając się znów w strumień przechodniów, Sheila przestrzegła się w duchu, żeby nie oczekiwać zbyt wiele po spotkaniu z tym człowiekiem. Prawdopodobnie działał na własną rękę; zapewne nie krył się za tym spisek innej firmy. Ale jej zadaniem było sprawić, żeby przecieki zostały zlikwidowane., a osoby za nie odpowiedzialne poniosły karę. Doszła do końca mostu i przeszła przez światła na plac des Bergues. Ulica zaczynała pięć się w górę i Sheila przyspieszyła kroku, czując przyjemne napięcie w mięśniach łydek i ud, kiedy przeganiała wszystkich idących chodnikiem.

Kierując się na rue du Mont-Blanc, szła wciąż pod górę w stronę placu de Cornavin.

Dorodne płatki śniegu o fakturze cukru pudru odbijały rozproszone światło ulicznych latarni i wypełniały noc wirującą, jakby brzoskwinową mgiełką.

Na placu di Reculet, gdzie odległości między latarniami

były większe niż w bardziej szacownych dzielnicach Genewy, samotny mężczyzna wszedł na chodnik i zawahał się na chwilę. Obejrzał się na wiadukty dworca Gare Cornavin. Szybkim, nerwowym ruchem wróbla, Martin Allard rozejrzał się wokół: w górę na rue des Gares, w dół na place de Montbrillant, za siebie w wąski, ciemny zaułek des Alpes, który biegł pod torami kolejowymi. Wsunął prawą rękę do kieszeni płaszcza i owinał palce wokół cieniutkiej koperty, która wkrótce miała stać się jego funduszem emerytalnym.

Uśmiechnął się do siebie, usiłując odgonić czarny strach, który przewiercał mu brzuch. Jeszcze kilka minut i będzie mógł jaśniej patrzeć w przyszłość. Nieciekawy biochemik o mało charakterystycznej twarzy wziął głęboki oddech i zagłębił się w labirynt wąskich, krętych zaułków, otaczających plac des Grottes. Minał starszego pana, który potykał się na śliskim chodniku, grzebiąc w śniegu laską. W odróżnieniu od staruszka, noc była cicha i spokojna, poza stłumionymi odgłosami jego własnych kroków na śniegu.

Już postanowił, że miejscem, w które się uda, będzie ciepłe marokańskie wybrzeże. Myślał o białych budowlach, o plażach. Nie trzeba wielkiego majątku, żeby żyć tam jak król. Doprawdy niedużo.

Szedł z głową pełną wizji grand hotelu otoczonego palmami, kiedy z zaciemnionej bramy po prawej stronie nadleciał niski, zmysłowy głos i przerwał jego rozmarzenie.

- Hej, Martin.

Podskoczył na dźwięk jej chropowatego głosu i odskoczył, usiłując nie posikać się w gatki ze strachu. Sheila płynnym ruchem wysunęła się z bramy. Zanim przerażony naukowiec zrobił kolejny krok, objęła go ramionami jak kochanka i przycisnęła pierś do jego piersi. Uśmiechnęła się na widok łatwej do przewidzenia przemiany przerażenia i zaskoczenia w zamglony wy-

raz niepohamowanego pożądania, które nie pozostawiało miejsca na ostrożność i nie dawało szans ucieczki.

Jej serce przyspieszyło na myśl, co się zaraz będzie działo. Poczula, jak twardnieją jej sutki, kiedy przygważdżała go biodrem, i poczuła jak mu staje. W jego oddechu wyczuła alkohol i lukrecję, zauważyła też słabe wspomnienie taniego płynu po goleniu oraz niezniszczalny, obrzydły smrodek dymu tytoniowego. Zapachy nie zniweczyły jej podniecenia, jej oddech przyspieszył, a między nogami pojawiła się gorąca, jedwabista wilgoć, kiedy kładła lewą rękę na małym zagłębieniu na jego karku. Głaskała drobne włoski, które tam rosły, przesuwała palcami w górę i w dół, obliczając coś w myślach, w górę i w dół, a z zatrzymała palce u nasady szyi.

Z szeroko otwartymi oczami Sheila przyciągnęła jego wzrok i poruszyła głowę, jakby go chciała pocałować. Poczula, jak ich serca biją obok siebie. Był już twardy jak kamień i zaczął ocierać się o nią, szukając rozkoszy przez wszystkie warstwy ciepłej, zimowej odzieży. Ale to nie jego żalosne męskie narzędzie spowodowało orgazm Sheili. Żar, który ją ogarnął, miał raczej związek z czymś, co się miało stać za chwilę.

Czując jej wargi i urywany oddech, zajęty wyłącznie swoją żądzą, mały belgijski uczonec nie mógł zauważyć momentu, kiedy Sheila prawą ręką niepostrzeżenie wydobyła coś z lewego rękawa.

Sheilę ogarnął nieodparty płomień wędrujący od podbrzusza. Allard nie widział skalpela z nierdzewnej stali w jej prawej ręce, ani też nie spostrzegł, kiedy chirurgiczne ostrze, posławszy błysk w ciemność, zatoneło głęboko między jego kręgami szyjnymi, w punkcie, który wcześniej tak precyzyjnie odmierzyła na jego karku palcami lewej dłoni.

Praktyka na oddziale chirurgicznym przydała się jej, kiedy pewnym ruchem przesuwała skalpel, najpierw przez wiązadło,

potem przez błonę maziową. Ostrze przesunęło się sprawnie w górę między blaszkami kości, opór zmniejszył się i skalpel przeciął nerwy rdzenia kręgowego.

Sheilę przeszył dreszcz rozkoszy dokładnie w chwili, kiedy facet oklapł bezwładnie. Rozkoszowała się płomieniem, który przebiegł przez jej ciało i naelektryzował skórę.

Uczony najpierw przestał panować nad kiszkami i pęcherzem, roztaczając w ciemności wstrętny smród.

Sheila puściła go, odeszła o krok i obserwowała, jak zalamują się pod nim nogi i Allard pada na ziemię.

Noc zawirowała wokół Allarda; chciał wyciągnąć rękę, żeby się podeprzeć, ale jego bezwładne ramiona zwisały pozbawione czucia jak mięso w rzeźni.

Zabolało, kiedy uderzył ciężko o płyty chodnika. Chwilę później poczuł jej dłonie, chwytające za płaszcz i ciągnące go z powrotem do ciemnej bramy. Przerzuciła torebkę przez ramię i oparła go o zamknięte drzwi. Śmiecie nawiane przez wiatr zebrały się w kątach bramy, niedopałki, skrawki papieru, piach. Serce półleżącego Allarda tłukło się dziko, kiedy podnosił oczy na Sheilę, ze wstrętem wciągając odór własnych odchodów. Próbował poruszyć nogami, ramionami, chciał przekręcić głowę. Ale zbuntowane mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa.

- Coś ty mi zrobiła? — krzyknął, nie mogąc zmusić bezwładnych kończyn do ruchu.

- Zostałeś unieruchomiony - odparła

Tępo zawiesił oczy w okolicy jej pasa. Odchyliła jego głowę do tyłu, żeby mógł spojrzeć jej w twarz. Po raz pierwszy zauważył skalpel w jej ręce. Powoli zaczynał rozumieć.

- Robiliśmy to na żywych żabach w laboratorium - wyjaśniła. - Z pewnością ty też miałeś z tym styczność na jakimś etapie swojej edukacji, co? - Sheila przyklekła przy nim i jednym palcem delikatnie pogłaskała go po policzku. Uśmiechnęła

się. - Przypominasz sobie? Przeciąg rdzeń kręgowy we właściwym punkcie i żabka ani drgnie, ale może żyć niemal w nieskończoność, można ją poddać sekcji, pokroić i zobaczyć, jak pracują organy wewnętrzne. Ludzie pod wieloma względami przypominają żaby.

Naukowiec popatrzył na swoje kończyny, znów próbując wprawić je w ruch. Otworzył usta, by wypowiedzieć jakieś słowa, ale nie zdołał dobyć z siebie głosu. W jego oczach stanęły łzy, kiedy zrozumiał, co mu się przydarzyło.

- Tak, tak, słodziutki - powiedziała Sheila spokojnie - jesteś dotknięty paralizem kończyn. Pod odpowiednią opieką możesz żyć jeszcze przez lata. Założą ci cewnik na kutaфона i trzeba też pewnie będzie wykonać kolostomię i podwiesić worek na gówna.

Znów się uśmiechnęła; łzy w jego oczach zabłyśły.

- Chcę się czegoś od ciebie dowiedzieć - zażądała.

- Czemu po prostu nie zapytałaś? Wszystko bym ci powiedział bez... -jego oczy zatańczyły dziko - bez tego.

- Masz reputację milczka i kombinatora. Musiałam dodać ci bodźca.

Naukowiec patrzył na nią w milczeniu. Potem:

- Powiem ci. Tylko zrób, żebym znowu mógł się poruszać. Jesteś lekarką. Proszę cię... - zaczął szlochać, łzy pociekły po twarzy. - Zrobię wszystko, wszystko, tylko mnie tak nie zostawiaj, wolałbym już umrzeć.

- Każdy by wołał - zgodziła się Sheila. - Ale przerwanie rdzenia kręgowego jest nieodwracalne. Żaden lekarz nie sprawi, że się zrośnie.

Rozśmieszył ją wyraz głębokiego wstrząsu, który przebiegł po twarzy mężczyzny na te słowa. Przeszukała jego kieszenie i od razu odnalazła kopertę.

- Dobra - powiedziała, trzepnąwszy go rogiem koperty po

czole. - Powiedz mi, z kim pracujesz.

- Z nikim.

- Jesteś pewien?

- Z nikim! Z nikim! - krzyknął. Usatysfakcjonowana, pochyliła się nad jego kroczem, palce manipulowały przy zamku od spodni. Nie minęła dłuższa chwila, a wyciągnęła na wierzch jego męski instrument. Ku jego najczarniejszemu przerażeniu, w jej ręce stanął w pełnym wzwodzie.

Ale Sheila nie interesowała się tym i wstała. Poszperała w torebce i wyjęła z niej przygotowany zawczasu wilgotny papierowy ręcznik. Stojąc i wycierając starannie ręce, spojrzała na niego z góry i rzuciła: - Będzie ci tak stawał bez ostrzeżenia. - Zmiała ręcznik i rzuciła go na ulicę.

- Za erekcję odpowiada inny zestaw nerwów, ten sam, który kontroluje oddychanie i trawienie. Tyle, że nie masz jak pozbyć się napięcia - chyba, że namówisz pielęgniarkę albo salową, żeby ci ulżyła.

- I tak przez całe lata, Martin. Zastanów się nad tym, proszę. Przydasz mi się żywy, dla przestrogi, jak kończą ci, którzy okradają Daiwa Ichiban. - Przerwała. - Jeżeli będziesz grzeczny, to może wrócę i jak mnie ładnie poprosisz... - Przerwała i pochyliła się, żeby podnieść torebkę. - ... to może którejs nocy cię zabije.

- A jak nie będziesz grzeczny, pamiętaj: policji trudno będzie uwierzyć w twoją opowieść o mnie. W końcu jesteś złodziejem. Mamy pliki z twojego komputera. Powiedz słowo, a nasza firma ujawni dokumenty i każe cię aresztować. Policja po prostu pomyśli, że wykiwał cię wspólnik. Zgarną cię i wpakują do więziennego szpitala, a tam współwięźniowie i klawisze będą się na tobie wyżywać, aż ci dupa zgnije.

Mężczyzna jęknął.

Sheila Gaillard pogmerawszy chwilę w torebce, zamknęła

skalpel w plastikowym futerale. Na koniec wydobyla butelkę taniej brandy i odkręciła korek. Potem, przerzucając torebkę przez ramię, przyklękła obok Allarda i zanim ten zdołał stawić opór, siłą wetknęła mu otwartą butelkę między wargi.

Odruchowo napił się, potem zaczął płuć. Sheila zmarszczyła się i zatkała mu nos. - Pijże, dupku! - rozkazała. — Albo zostawię twojego kutasa na wierzchu, aż ci tu zamarznie.

Wypił prawie do dna. Resztę wylała mu na pierś i kark.

Sheila rozbiła butelkę o drzwi tuż nad jego głową, po czym starannie przebierając w kawałkach szkła, wybrała płaski, przypominający sztylet odłamek i ujęła go między palce prawej ręki, wciąż w rękawicze. Jednym zwinnym ruchem podniosła mu głowę i zatopiła odłamek głęboko w cięcie, które wcześniej zrobiła mu w karku.

Rozległ się dziki pisk bólu; puściła jego głowę, odłamek wciąż sterczał mu z karku. Wstała, rzuciła ostatnie spojrzenie na sponiewierane ciało i sterczący penis, odcinający się czerwienią, po czym odwróciła się i odeszła. Jego krzyki wypełniły noc.

W hali dworca kolejowego Gaillard sprawdziła czas odjazdu i tor ekspresu do Paryża, po czym usiadła w kafejce. Sącząc gorzkie podwójne espresso doprawione mocną miejscową eau-de-vie włączyła telefon i przesłuchiwała pocztę głosową.

Większość wiadomości stanowiły rutynowe zapytania klientów małej firmy handlującej materiałami biologicznymi, którą prowadziła jako przykrywkę dla częstych podróży, jakich wymagała jej prawdziwa praca dla Daiwa Ichiban. Przekazała te zapytania swoim pracownikom w Osace, niech oni zajmą się zamówieniami. Pozbywszy się ich, skoncentrowała się na najważniejszej wiadomości od prezesa Daiwa Ichiban.

„Zakładam, że bieżące zlecenie dla mnie zostało pomyślnie zrealizowane. Proszę się ze mną spotkać w mojej posiadłości

pod Kioto", powiedział cyfrowo nagrany głos Tokutaro Kuraty. „Pragnę się z panią skonsultować w sprawie kolejnego zlecenia, które właśnie wynikło. Proszę zabrać swego niemieckiego współnika. Teraz udaję się na bardzo ważną ceremonię”.

Rozdział 5

Tokutaro Kurata stał przed wdzięcznie wygiętymi okapami jinja Yasukuni, architektonicznie nieciekawej, ale politycznie znaczącej świątyni sintoistycznej w centrum Tokio. Podobnie jak osiemdziesięcioletni Kurata, *jinja* odgrywała potężną rolę w odrodzeniu japońskiego ducha.

Chudy, wysoki, wyprostowany jak struna Kurata patrzył w chmury mknące po ciemnym niebie; jego oczy śledziły wielkie jak groch pierwsze krople deszczu, spadające w dół. Patrzył, jak tworzą się ciemne kręgi na płytach w kolorze piasku wiodących do świątyni. Pełen szacunku tłum wzniosł w górę parasole i stał cierpliwie za kordonem z grubego sznura. Dziesięć kroków stamtąd, odziany w galowy mundur Japońskich Lądowych Sił Samoobrony, stał siostrzeniec Kuraty - Akira Sugawara, który modlił się w duchu, by jego wuj i licznie zgromadzeni wyznawcy nie dostrzegli, jak bardzo czuje się skrępowany.

Akirę krępowało własne skrępowanie. Czyż nie ukończył z najlepszymi wynikami Narodowej Akademii Obrony Narodowej? I czyż nie odbył wzorowej służby w Siłach Samoobrony, czyż nie odebrał najwyższych odznaczeń i pochwał? Czy nie powinien czuć się wspaniale podczas uroczystości upamiętniającej poległych wojowników? Znał odpowiedź, ale sam przed sobą nie chciał przyznać, że to charakter tych, którym oddaje się tu cześć, wywołuje w nim takie napięcie. A przecież nie powinien mieć takich odczuć.

Zamiast tego wolał zdumiewać się, że pomimo niepogody

tak kolosalny tłum, bez żadnych wątpliwości i mieszanych uczuć przybył na obrzędy w świątyni Yasukuni, w której japońskich żołnierzy poległych na wojnach wynosi się do rangi kami, „bohaterów bogów”. Zgromadzeni tu dzisiaj ludzie stanowili tylko niewielką częśćkę ośmiu milionów Japończyków, którzy każdego roku odwiedzali świątynię, by oddawać im hołd. Od założenia świątyni przez cesarza *Meiji* (Meidzi) w roku 1869 ubóstwiono już ponad dwa i pół miliona poległych. Jako najważniejsza japońska *gokoku* - „świątynia obrońców narodu” *Yasukuni* wyznaczała wzorzec charakteru narodowego Japończyków. Od założenia *Yasukuni* wojownicy wyruszający na niebezpieczne akcje tradycyjnie żegnali się słowami „Do zobaczenia w *Yasukuni*”. Wierzyli, że nieuchronnie się tu spotkają -jako żywi lub jako duchy.

Większość Japończyków czciła to miejsce wraz z ukochanymi kami bez głębszej refleksji nad szerszymi społecznymi i politycznymi implikacjami tego faktu.

Jednak poza Japonią *jinja* budziła międzynarodowe kontrowersje i podejrzenia, ponieważ w panteonie uwielbianych bogów *Yasukuni* znaleźli się ludzie, którzy zaplanowali okupację Korei, gwałt na Mandżurii i Chinach, Marsz Śmierci w Bataan, niespodziewany atak na Pearl Harbour, a także ci, którzy prowadzili haniebne, nieludzkie eksperymenty medyczne na niewinnej ludności cywilnej, eksperymenty, które okrucieństwem dorównywały, a często i przewyższały potworności Trzeciej Rzeszy. Na czele tego panteonu bóstw stał Generał Tojo (Todzio), stracony za zbrodnie wojenne po drugiej wojnie światowej.

Kiedy świat zewnętrzny sądzi, że zbrodnie wojenne Japonii w wojnie na Pacyfiku należą już do przeszłości, ludzie, którzy je popełniali, są wciąż przedmiotem kultu prostego ludu, jak i przedstawicielei rządu najwyższej rangi.

Kurata uśmiechnął się z satysfakcją, konstatując, że w pu-

blicznych sektorach Yakusuni mimo tak paskudnej pogody zebrał się tak liczny tłum. Oddychał rześkim tajfu-nowym powietrzem, zachwycał się silnymi porywami wiatru, który szarpał poły jego ciemnego garnituru i mierzył gęstą czuprynę siwych włosów, która bardzo często pojawiała się w żartach rysunkowych w gazetach, zarówno w Japonii, jak i w prasie międzynarodowej.

Jako szef Daiwa Ichiban Corporation, największego przemysłowego zaibatsu w Japonii, Kurata miał w rękach wielką władzę i międzynarodowe wpływy. Potomek starożytnego rodu, którego członkowie figurowali w zapisach od ponad 1800 lat, angażował się gorąco w debatę na temat esencji japońskości. Swoim najbliższym współpracownikom mawiał, że to przeznaczenie sprawiło, iż został wybrany, by wspomagać odrodzenie Japonii, odkrywanie na nowo jej świętych korzeni.

W ostatnich dniach przed Hiroszimą i Nagasaki Kurata był młodzieńcem, uczęszczającym do szkoły marynarki wojennej, gdzie przeszedł szkolenie do misji samobójczej wraz z setkami tysięcy innych, którzy zgłosili się na ochotnika, by aż do śmierci walczyć w obronie Jamato, ducha i esencji Japonii.

Inspirowali go, jak innych jego rodaków, waleczni obrońcy Saipanu, którzy do ostatnich sił bili się z barbarzyńskimi najeźdźcami, a w obliczu klęski pozabijali wszystkich cywili, nie oszczędzając dzieci i wreszcie sami sobie zadali śmierć, byle uniknąć niezmywalnej hańby niewoli. Tak było na każdej z tysięcy wysp japońskich.

Kurata miał dosiąść specjalnej, sterowalnej torpedy, przystosowanej do dalekiego zasięgu. Jego misja miała polegać na cichym zbliżeniu się - wraz z innymi desperatami - nocą do floty alianckiej, z głową tuż nad wodą. W ostatnim pędzie ku zniszczeniu, mieli nakierować torpedy z najwyższą prędkością na najbliższe statki.

Hiroszima i Nagasaki oraz cesarski akt kapitulacji wobec sił aliantów położyły kres nadziejom Kuraty na ubóstwienie w Yasukuni jako kami, ale prestiż, jaki przyniosła mu sama wola śmierci za kraj nadał rozpęd jego karierze i ukształtował jego najgłębsze przekonania.

W dumie nastąpiło poruszenie; Kurata dostrzegł drobną, starszą kobietę ubraną w tradycyjne jedwabne kimono - rozpoznała go. Zaraz potem po wyczekującym tłumie przebiegł pomruk. Niektórzy dyskretnie wskazywali go sobie palcami, inni kłaniali się głęboko. Sugawara poczuł się jeszcze gorzej.

Zauważywszy, że Kurata został rozpoznany, nienagannie ubrani członkowie jego obstawy przysunęli się do niego; „obrońca Yamato” miał wielu wrogów wśród lewaków.

Kurata odwzajemnił się publicznie lekkim ukłonem. Chwilę później usłyszał za sobą przyciszony głos premiera, Ryoichi Kishi, rozmawiającego z najwyższym kapłanem - kan-nushi - świątyni Yasukuni. Kurata odwrócił się i schronił się w drzwiach. Czekał, aż tamci dwaj podejną do niego.

Podobnie jak Kurata, premier miał na sobie skromny granatowy garnitur. Obok niego siedł kan-nushi, odziany w odświętne szaty. Nakrycie głowy kapłana podskakiwało przy każdym kroku. Dwaj mężczyźni zatrzymali się tuż przed wejściem i ukłonili się. Jak przystało jego randze i prestiżowi, Kurata każdemu z nich odwzajemnił się płytszym pokłonem. Spojrzał na kapłana.

- Wspaniała organizacja. Jestem przekonany, że kami muszą być zadowoleni z dzisiejszej ceremonii i nowej wystawy' w Yushukan.

Parę minut wcześniej w wewnętrznej, niedostępnej dla wszystkich izbie świątyni, najwyższy kapłan zakończył prywatną uroczystość dla Kuraty, Kishiego, Sugawary oraz ponad dwustu jiminto, członków Parlamentu, którzy wpatrywali się w

siostrzeńca Kuraty z mieszaniną zawiści i ciekawości w oczach. Jiminto, członkowie zgromadzenia parlamentarnego z Partii Liberalno-Demokratycznej, w większości wchodzili w skład gabinetu premiera. Przed ceremonią, grupa ta zwiedziła jeden z budynków, Yushukan, jak twierdzą niektórzy, najważniejszy w kompleksie świątyni. Dzięki hojnej pomocy finansowej korporacji Daiwa Ichiban i entuzjastycznemu politycznemu poparciu Zgromadzenia, Yushukan przekształcono w muzeum upamiętniające rolę Japonii w drugiej wojnie światowej.

- To bardzo uprzejme z pana strony - skłonił się głęboko kapłan. - Nie jesteśmy godni takiej wspaniałości.

- Proszę wybaczyć śmiałość, ale moim obowiązkiem jest docenić waszą doskonałość.

- Ależ nie trzeba prosić o wybaczenie, Kurata- sama - odparł kapłan, używając najbardziej zaszczytnego tytułu.

Z drugiego końca świątyni dobiegła rozmowa.

- Przepraszam - rzekł kapłan, spoglądając w stronę źródła słów. - Jeśli panowie pozwolą, będę asystował przy wyjściu *Jiminto*.

Kurata i premier skinęli głowami. Z głębokim ukłonem kapłan oddalił się.

Kurata gestem dał znak Sugawarze, by przyłączył się do nich.

- Jak sądzę, zna pan mojego siostrzeńca? - zwrócił się Kurata do premiera.

- Oczywiście - ukłonił się lekko premier. Sugawara odwzajemnił się pełnym szacunku głębokim ukłonem. Premier poikiwał z aprobatą głową, przyglądając się wstążkom i orderom na mundurze Sugawary.

- Akira właśnie wrócił ze studiów podoktoranckich w Ameryce i wstąpił do Daiwa Ichiban jako mój osobisty asystent. Być może pewnego dnia stanie na czele firmy.

- Zapewne - powiedział premier, patrząc na Sugawarę. - Znam przebieg pańskiej służby. W Nibetsu byli niezwykle rozczarowani, kiedy postanowił pan opuścić czynną służbę.

Akira spojrział niepewnie na wuja, potem znów na premiera. Wydział Wywiadu Nibetsu był tajną jednostką wywiadowczą Japońskich Lądowych Sił Samoobrony. Akira awansował tam błyskawicznie dzięki swej niezwyklej inteligencji i doktoratowi z informatyki w Stanfordzie. Wyróżniał się zarówno na polu naukowym, jak i w sztukach walki, wymaganych w służbie, a także w posługiwaniu się bronią. To połączenie zapewniło mu wybór do najbardziej elitarnych jednostek oddziałów antyterrorystycznych, specjalnych służb operacyjnych. W rekordowym czasie dostał awans do stopnia Itto Rikui, odpowiednika rangi kapitana w armii amerykańskiej.

- Ależ w porządku - powiedział premier uspokajająco. - Ze względu na moją pozycję wiem wiele rzeczy, które lepiej przemilczeć - uśmiechnął się.

- Cieszę się, że pozostanie pan w rezerwie. Pański ogromny talent przynosi korzyść całemu krajowi.

- Dziękuję, panie premierze - skłonił się nisko Sugawara.

- Ale teraz - ciągnął premier - razem z wujem podejmujecie się innego zaszczytnego obowiązku, któremu musi pan poświęcić swoje nadzwyczajne zdolności.

- Dziękuję, panie premierze - powtórzył Sugawara, znów się kłaniając. Zauważył, że wuj daje mu znak i dyskretnie usunął się z zasięgu głosu, kiedy Kurata zwrócił się do premiera: - Wydaje się, że w obliczu cudzoziemców chwieje się pan w swych przekonaniach. Jeden z członków pańskiego gabinetu niemal przeproszał za chwalebne osiągnięcia naszej walki.

Pod polityczną presją obu Korei, Chin i innych narodów azjatyckich, japońscy dostojnicy państwowi wyrazili łagodne „słowa ubolewania” z powodu podręczników szkolnych i innych

wspieranych przez państwo działań, które zaprzeczały, jakoby „gwałt na Mandżurii” w ogóle miał miejsce i określały rolę Japonii w drugiej wojnie światowej jako „wyzwalającą”. Mnożyły się procesy sądowe przeciwko japońskim zakładom przemysłowym, które wykorzystywały jeńców wojennych do niewolniczej pracy oraz przeciwko samemu rządowi japońskiemu za przymywanie oczu na zniewalanie koreańskich kobiet, które zmuszano do prostytucji w wojskowych burdelach.

- Hai, Kurata-sama - przełknął przytyk młodszy z mężczyzn. Kurata obrzucił spojrzeniem tego człowieka, którego sam wyniósł na szefa rządu, zastanawiając się, czy młode pokolenie ma w sobie dość hartu ducha. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku miliony młodych Japończyków zaczęły podchwytywać nacjonalistyczny ferwor i wciąż uzupełniały szeregi tych, którzy rozumieli, że członkowie rasy japońskiej są szczególnie, wyjątkowi i lepsi od innych.

- Pan wybaczy, o mędrze - powiedział premier. - Te słowa padły tylko na użytek cudzoziemców, ponieważ ich rządy tak łatwo zadowolić samymi słowami. Może pan być pewien, że nie zmienimy naszych podręczników i będziemy kontynuować nasz kurs tak, jak tego wymaga dobro narodu.

Kurata lekko kiwał głową. - Spodziewam się. - Przerwał na chwilę. - W takich ustępstwach czai się wielkie niebezpieczeństwo. I dla pana, i dla naszego wyjątkowego ludu.

Strugi targanego wiatrem deszczu zadudniły po bruku, kiedy jeden z ochroniarzy Kuraty przemówił do mikrofonu w kłapie. Potem wsłuchał się w swoją słuchawkę i odwrócił do rozmawiających. Pokłonił się, stanął w pełnym szacunku dystansie i czekał, aż go zauważą. Kurata dał znak głową i ochroniarz podszedł bliżej.

- Za pozwoleniem, Kurata-sama, ale wydaje się, że bezpieczniej będzie dla pana wsiąść do auta przy tylnym wyjściu.

Tam nie ma tłumów.

Bez wahania Kurata potrząsnął głową. - Po tysiącokroć doceniam twoją troskę, ale prawdziwy syn Jamato nie ucieka przed zagrożeniem. Wychodzi mu raczej naprzeciw.

- Jak pan sobie życzy - ochroniarz pokłonił się nisko. Była to zrytualizowana rozmowa, która powtarzała się niezliczoną ilość razy w tysiącach różnych miejsc. Nie lada wyzwaniem było utrzymać przy życiu człowieka, który upierał się, by raz po raz rzucać się w ramiona śmierci.

- Proszę też powiadomić szofera Kishi-sana, że życzy on sobie pojechać ze mną. - dodał Kurata. - Musimy porozmawiać po drodze do jego gabinetu. Potem zabierzesz mnie na lotnisko Narita.

- Hai, Kurata-sama - potwierdził z głębokim ukłonem ochroniarz. Ze swego długiego doświadczenia wiedział, że kiedy chodziło o sprawy najdelikatniejszej natury, słowa nigdzie nie były tak bezpieczne, jak w limuzynie Kuraty.

Ochroniarz mruknął coś w stronę kłapy marynarki i potoczył bystrym okiem po zgromadzonym tłumie, by sprawdzić, czyjego ludzie bez przeszkód dotarli na swoje pozycje.

Widząc ich na swoich miejscach, ochroniarz znów zagadał do mikrofonu w kłapie: kilka sekund później opancerzona limuzyna mitsubishi Kuraty zajechała przed wejście, za nią wóz premiera oraz cała ekipa obstawy. Wielki bykowany ochroniarz, zajmujący miejsce obok szofera Kuraty, wyskoczył, zanim jeszcze limuzyna do końca się zatrzymała i walcząc z wiatrem, rozłożył ogromny parasol.

Krzyk poderwał się z tłumy, kiedy Kurata gestem odtrącił parasol i z Kishim u boku, a Sugawarą z tyłu, dumnie przemaszerował pod strugami siekącego deszczu, minął otwarte drzwi limuzyny i wkroczył prosto między zgromadzonych, których zachwycone okrzyki zagłuszyły wycie wiatru i szum ulewy. W

strugach deszczu Kurata kłaniał się, podawał dłoń, dziękował tym, którzy mu dobrze życzą i zapewniał, że będzie wspierał ich wiarę i nie zawiedzie pokładanego w nim zaufania. Większość ludzi nie zwracała uwagi na premiera.

- Uwielbiają pana - powiedział premier, kiedy już zasiedli w limuzynie korporacji Daiwa Ichiban. Sugawara usiadł na odchyłanym siedzeniu naprzeciwko wuja. Wszyscy powycierali głowy i twarze podgrzewanymi ręcznikami, które podał im kierowca.

Kurata spojrział na premiera. - Tak, ale ja jestem tylko i wyłącznie symbolem. Uwielbiają nie mnie, ale odrodzenie Yamato damashii, ducha Japonii, nieprawdaż?

Obstawiona z przodu i z tyłu przez samochody ochrony, opancerzona, hermetyczna limuzyna z gracją oddalała się od świątyni Yasukuni. Premier patrzył, jak zgromadzona tam cizba ludzi maleje i niknie za ciemnymi szybami. Z wolna potrząsnął głową, potem znów zwrócił się do Kuraty.

- Proszę wybaczyć, że się sprzeciwie, ale kochają właśnie pana - mówił Kishi w roztargnieniu i, jak się wydało Kuracie, z zawiścią. Kurata zauważył również, że premier wraca do swojego rodzimego akcentu Osaka-fon, co było widomym znakiem, że jest przemęczony, a może czymś zgnębiony. Osaka-fen uważa się za zwulgaryzowaną wersję Kansm-ben, którym posługują się mieszkańcy regionu Osaki, Kioto i Kobe. Niektórzy uważali ten dialekt za ordynarny. Rzeczywiście, wpływy Kishiego w kraju kulały, dopóki nie zaangażował logopedy, który nauczył go posługiwać się nienaganną standardową japońszczyzną, która w zasadzie jest lekko zmodyfikowanym dialektem tokijskim. W odróżnieniu od premiera, Kurata posługiwał się dialektem Kyoto-fon, uznawanym przez purystów językowych oraz ruch neonacjonalistów za najbardziej elegancką z eleganckich odmian japońskiego, jedyny „prawdziwy” japoński. Kurata uznał cień zawiści w głosie premiera za niestosowną, rozczarowującą utratę

opanowania, ale nie okazał w żaden sposób, że to dostrzega.

- Pan inspirować - ciągnął Kishi. - Ja jedynie administruję.

Kurata milczał przez chwilę, podczas gdy limuzyna włączyła się w gęsty ruch uliczny na alei Uchibori i posuwała się z wolna ku budynkowi Parlamentu.

- By inspirować, trzeba mieć wiarę - rzekł Kurata, po czym znów zamilkł. - Pan i ja stanowimy dwa różne elementy drogi do tego samego celu. Potrzeba wiatru, latawca i dłoni trzymającej za sznurek. Wiatrem jest Yamato damashii, ja jestem latawcem, pan dłonią. Bez wszystkich trzech składowych nie będzie lotu. - I dodał w myślach: a Daiwa Ichiban steruje twoją dłonią, tak, żebym leciał tam, dokąd zechcę.

- Przyjacielu, pan i ja często mówiliśmy o potrzebie odnowienia narodowego ducha, oczyszczenia się z kulturalnej degrengolady przychodzącej z zewnątrz - kontynuował Kurata. - Bez wspólnego mitu o tym, kim jesteśmy i skąd przybywamy, nie możemy utrzymać naszej wielkości. Kultura definiuje się poprzez powszechnie podzielane iluzje. Bez mitu nie ma kultury, a bez czystości jest tylko skażenie i brud.

- Proszę przyjrzeć się Amerykanom: pomimo faktu, że pozwolili na genetyczne skażenie swojej krwi przez mieszane małżeństwa, przez wiele lat byli potężnym narodem, ponieważ rozmaite narodowości uznały swoje pochodzenie za drugorzędne wobec wspólnej narodowej iluzji na temat tego, kim są. A teraz rozlatują się jak Bałkany, bo nikt już nie chce być przede wszystkim Amerykaninem, każda grupa etniczna obstaje przy prymacie własnych korzeni, obrzędów, kultury etnicznej.

Premier Kishi poważnie skinął głową. Wyjrzał przez okno na gwałtowny deszcz, który lał się strumieniami, wybijając dziki rytm na dachu limuzyny.

- Oczywiście - powiedział w końcu Kishi - mieszanka tak wielu zasadniczo odmiennych narodów stała się zalążkiem

zniszczenia. Nie możemy pozwolić, by to się stało u nas.

Zadzwonił telefon. Kurata przytaknął Kishiemu i podniósł słuchawkę. Światelko diody wskazywało, że ta rozmowa jest -jak większość jego rozmów - specjalnie zabezpieczona przed podsłuchem.

- Moshi-moshi - powiedział Kurata w słuchawkę. - Hai - odpowiedział po chwili. - Hai, hai, ichiban! - odłożył telefon.

Kishi zdawał się nie zauważać, że Kurata rozmawia przez telefon. Byłoby to nieuprzejmym naruszeniem prywatności.

- Oczyszczenie przebiega zgodnie z planem - poinformował Kurata. Kishi uniósł brwi. - Mija dziesiąty dzień, nie ma nowych zachorowań na koreański trąd. To się zgadza z zapewnieniami naszych uczonych. I żadnych nowych przypadków - żadnych w ogóle - wśród Japończyków.

-A co z tym...

- Żadnych wśród Japończyków - uciął szybko Kurata. - To była w całości koreańska rodzina, mieli sfalszowane dokumenty. Oszukali rząd. Oszukali swoich sąsiadów. Ale nie dało się oszukać Niszczyciela.

- Gratulacje - powiedział Kishi. - To uzmysłowiło ogółowi ludności, jakie niebezpieczeństwa wynikają z pozwalania gaijinom na zamieszkiwanie na stałe wśród nas i to, że... akceptowanie ich jest złe. To jedna z wielkich rzeczy, jakie pan zrobił dla Japonii. Ten czerwcowy dzień przejdzie do historii jako początek *kiyome* (oczyszczenia) .

Kurata potrząsnął głową. - Oczyszczenie jeszcze się nie dokonało - powiedział. - Jest dopiero gotowe się zacząć. - Zatopił w Sugawarze poważne spojrzenie, jakby chciał rzec: „Zapamiętaj sobie dobrze i wiernie tę rozmowę”.

Sugawara kiwnął głową, mając nadzieję, że wyraz jego twarzy nie zdradzi ciężkiego jak ołów smutku, który mu zaległ na piersi.

Nad kanałem C&O w Georgetown roilo się od zwykłych niedzielnych tłumów biegaczy, spacerowiczów, turystów, pędaków uczących się chodzić, staruszków o laskach. Rowerzyści przedzierali się między dziecięcymi wózkami i obściskującymi się nastolatkami. Wszyscy oni parli desperacko naprzód, chrzęszcząc na zwirowanych ścieżkach. Po obu stronach ścieżki rosły drzewa, a ich konary tworzyły tunel ze wspaniałymi jesiennymi liśćmi. Za każdym razem, kiedy ostre południowe słońce wyglądało zza częściowo zachmurzonego nieba, zdawało się, że zaczynają płonąć.

Edward Rycroft i Jason Woodruff szli ramię w ramię, zaciągając się ochoczo playersami, papierosami, które Anglik palił nałogowo.

- Piękny dzień - odezwał się Woodruff.

- Jednak przypuszczam, że chodzi panu o coś więcej niż tylko o pogodę - skarcił go wzrokiem Rycroft, który brzydził się pustą rozmową.

-Ależ oczywiście, że tak - rzekł Woodruff defensywnie. Przeszli jeszcze kilkanaście kroków. - Wczoraj jeden z moich prywatnych saudyjskich klientów w banku poprosił mnie o przysługę.

-I co?

- W jakiś sposób dowiedział się, co wydarzyło się w Tokio.

Rycroft wzruszył ramionami. - Na ten temat powstało już więcej spekulacji niż na temat zabójstwa JFK. Cóż to ma wspólnego ze mną?

Uskoczyli przez rozpedzonym spacerowym wózkiem, popychanym przez młodą kobietę o kasztanowych włosach i pięknie uformowanych nogach w błyszczących purpurowych legginsach. Milcząc, minęli jeszcze kilkanaście osób, zanim tłok się przerzedził i mogli kontynuować rozmowę.

- On chciałby, żebyśmy stworzyli coś, co tak samo załatwi Żydów - powiedział w końcu Woodruff.

- To jest całkowicie zrozumiałe - odparł Rycroft.

- Deklaruje się zapłacić ogromną sumę za materiał w ilości wystarczającej, by wymieść wszystkich Żydów w Izraelu.

Cienki uśmiezek zmięczył rysy Rycrofta. - Oj, przecież tam jest Żydów jak mrówek.

- A ten klient ma bardzo zasobne konto.

- Czy rząd saudyjski macza w tym palce? Woodruff potrząsnął głową. - Oficjalnie nie, ale...

- Ale fundusze rządowe jakoś znalazły drogę na konto pańskiego klienta.

- Ma pan pełny obraz.

Przez jakieś pół minuty szli w milczeniu. Potem Woodruff znów się odezwał. - Pańska część umowy jest warta dwa razy tyle, ile pańskie akcje GenIntronu. W gotówce. Anonimowo. Prosto na konto. Bez podatków. Wreszcie możemy dostać pieniądze, na jakie zasługujemy.

Rycroft skinął głową, doszli do końca ścieżki i skręcili w dół zbocza, ku rzece.

- Mogę to zrobić - powiedział Rycroft, kiedy dotarli do stóp wzgórza i skręcili w lewo pod estakadą autostrady Whitehurst. - Zwłaszcza teraz, kiedy wreszcie pozbyliśmy się tej wścieklej dziry.

- Został jeszcze ten świętoszek, Brahimi - przypomniał mu Woodruff. Znów kilka minut przemilczeli, aż doszli do nadrzecznej ścieżki rowerowej równoległej do południowego krańca Rock Creek Parkway i skierowali się na południe, ku Centrum Kennedy'ego.

- Żaden problem - orzekł Rycroft. - Rzeczywista produkcja odbywa się w Tokio. A on nie ma dostępu do tamtejszych danych.

- Ale czy opracowanie formuły nie odbywa się tutaj? - zapytał Woodruff. - Sądziłem, że właśnie laboratorium w Rockville faktycznie przygotowuje specyficzne sekwencje, których celem są grupy etniczne.

- To prawda, ale to robiono w laboratorium Blackwood. Teraz tylko ja mam dostęp do tych prac. Mogę przygotować sekwencje osobiście.

Kiedy doszli do kompleksu Watergate, zatrzymali się przy czerwonym świetle dla pieszych i czekali, żeby przejść na drugą stronę do Foggy Bottom.

- O jakich kwotach rozmawiamy? - zapytał Rycroft.

- Pięćdziesiąt milionów.

- Dla każdego? Woodruff przytaknął.

- To strasznie tanio jak za dostarczenie im całego wysteryzowanego kraju.

Woodruff zmarszczył się. - Niech pan nie będzie taki zachłanny.

Rycroft wzruszył ramionami, odpalił papierosa od niedopałka poprzedniego, potem rzucił tłący się pet na chodnik. - Wie pan, jeśli pański arabski koleś chce zapłacić aż tyle, to przy zachowaniu ostrożności możemy zarobić nieograniczone kwoty.

Światło zmieniło się i przeszli przez ulicę.

- Nie do końca jestem pewien, czy podoba mi się, do czego to zmierza.

- To nie mój problem - powiedział Rycroft lakonicznie. -

Sadzę, że dyskretnie powinniśmy ujawnić nasze plany starannie wybranym ludziom. Arabowie nie są jedynymi, którzy chcieliby się pozbyć uprzykrzonych mniejszości, zajmujących tereny, które można by lepiej wykorzystać.

- A jakby się pan za to zabrał? - zapytał Woodruff z wahaniem.

- Spotkanie w wąskim gronie. Bardzo wąskim. Sami swoi.

- No, nie wiem - powiedział powoli Woodruff. -Jeżeli Kurata coś zwietryzy, zajmą się nami Sheila Gaillard i jej faszystowski pomagier.

- Też jestem tego zdania, ale tak się może stać niezależnie od tego, czy dostaniemy sto milionów czy trzysta - zaproponował Rycroft. - Dlaczegoż nie zmaksymalizować zysków za ryzyko, jakie podejmujemy? Sprzedajmy towar tym, którzy dają najwięcej.

- Tak sędę - powiedział Woodruff niepewnie.

- No to doskonale! Przyślę panu krótką listę zaproszonych. Pan może zająć się szczegółami. Proponuję spotkać się w Singapurze.

-Ale...

- Pan zajmie się szczegółami, ja dostarczam zarazki - wyciągnął dłoń. -Jesteśmy umówieni?

Woodruff zawahał się.

- Nie woli pan stu lub więcej milionów zamiast pięćdziesięciu?

Po dłuższej chwili Woodruff uśmiechnął się, chwycił rękę Rycrofta i potrząsnął nią. -Jesteśmy umówieni.

Rozdział 6

Usadowiona w koszu dziobowym swojego jachtu Tagcat Too, Lara Blackwood opierała się wygodnie o gładki nylonowy worek na spinaker. Obejrzała się na rufę i pociągnęła łyk wina Dry Rose. U jej stóp na papierowym talerzyku spoczywały resztki lunchu, obgryziona piętka bagietki, pozostałość krążka parmezanu i piramidka pestek po oliwkach. Spod pokładu sączyły się dźwięki gitary Marka Knopflera.

Przetarła zmęczone oczy. Ciężkie, ołowiane zmęczenie po całonocnym samotnym rejsie po zatoce Chesapeake wciskało ją

coraz głębiej w tkaninę żagla. Noc była wprawdzie długa, ale udana: nowe noktowizory i niedawno zainstalowany system termograficzny sprawdziły się; funkcjonowały świetnie i w kokpicie, i na zdalnym wyświetlaczu pod pokładem. Znacznie lepsze niż te stare, które zawiodły ją pod przyłaskiem Hatteras podczas ulewnego sztormu.

Lara słyszała, jak pod podmuchem słabej bryzy szeleści niedzielne wydanie Washington Post, które kupiła w portowym sklepiku. Wschodziło słońce, z zamkniętymi oczami wsłuchiwała się, jak woda uderza o palowanie, cumy poskrzypują, a fały¹ lekko stukają o maszty.

Co ja u licha robię, myślała. Obok płonącej w niej wściekłości na sposób, w jaki usunięto ją z Genitronu, narastało w niej uczucie miłego zdziwienia, że po raz pierwszy w swym dorosłym życiu ma dosyć czasu i pieniędzy, żeby robić to, na co ma ochotę - nawet odkurzyć swoje odwieczne marzenie o ukończeniu samotnego rejsu dookoła świata.

Lara uniosła do połowy powieki i przyglądała się warstwowi mgły, która dzieliła się na coraz to mniejsze kawałki w ciepłe leniwego, wrześniowego słońca.

Potem znów przymknęła oczy i pomyślała o swojej idolce, żeglarce Isabelle Autissier, która w ciągu jednego roku dwa razy opłynęła kulę ziemską, raz podczas BOC Challenge w 1990-91 i znowu na Vendee Global*.²

Lara poznała Autissier w Capetown podczas Vendee Global 96/97, kiedy fenomenalna fala, według radaru na amerykańskim lotniskowcu mierząca ponad dziewięćdziesiąt stóp, wyrzuciła obie ich łodzie. Autissier dobiła do portu z połamaną płetwą ste-

¹* Fał - lina służąca do podnoszenia żagla na maszt.

²* Międzynarodowe zawody żeglarskie.

rową. Jacht Lary, Tagcat, slup* ³z włókna węglowego długości pięćdziesięciu stóp, zatonał. Z szesnastu jachtów, które wystartowały w tych zawodach, tylko sześć ukończyło rejs.

Wkrótce po jej powrocie z Capetown, zarząd Gen-Intronu powiadomił Larę, że jeśli nadal z uporem będzie uczestniczyć w rejsach zagrażających życiu, złożą rezygnację en masse i storpedują każdy projekt IPO (pierwszej oferty publicznej), to jest wprowadzenia akcji spółki do obrotu giełdowego. Zastosowała się do ich życzeń.

Po wprowadzeniu spółki na giełdę, część nowo zdobytego majątku przeznaczyła na zbudowanie nowego jachtu Tagcat Too, wykorzystując swoje doświadczenia, zdobyte pod Przyłaskiem Dobrej Nadziei, kiedy otarła się o śmierć. Zainstalowała też pewne innowacyjne, luksusowe urządzenia, które pozwoliły jej sprzedać dom i na stałe zamieszkać bezpiecznie i wygodnie na jachcie.

Pod pokładem zadzwonił telefon. Ręka Lary odruchowo powędrowała do pasa, zanim skojarzyła, że to dzwoni telefon linii naziemnej zamontowany na stałe na Tagcat Too. Kolejny dzwonek. Niechętnie wstała i zeszła przez przedni luk. Telefon nie przestawał dzwonić. Przyspieszyła kroku. Tylko Biały Dom miał ten numer.

Ubrana w złachaną starą bluzę z rejsu o Puchar Ameryki i poplamione farbą workowate szorty, przedostała się na rufę w stronę stacji nawigacyjnej, mieszczącej komputery, systemy nawigacji satelitarnej, skomplikowane systemy komunikacyjne i specjalny telefon, który Biały Dom zainstalował jej zaledwie dwa dni wcześniej.

Lara błyskawicznie przeszła wąskim korytarzykiem wy-

³ * Slup - jacht o ożaglowaniu skośnym, wyposażony w jeden maszt.

łożonym mahoniowym drewnem, gdzie przyśrubowane do ścian wisiały fotografie w ramkach i oprawione certyfikaty. Były tam jej brązowe medale, zdjęcie na fordeku jachtu Heineken zrobione podczas rejsu Whitbread, licencja kapitańska oraz wyblakłe, żółknące już dyplomy z jej pierwszych żeglarskich czasów, kiedy zajęła pierwsze miejsce w zawodach żeglarskich szkół średnich i pierwsze miejsce w regatach Rolexa.

Mieszkanie na jachcie dawało jej więź z pierwszą pasją jej życia, mimo że nie miała teraz czasu, by wyruszyć w rejs. Teraz niewielka przestrzeń mieszkalna jakby obejmowała ją, przygarniała do swego łona i pozwalała trzymać w ryzach piekącą gniew i mroczny smutek, który ją gryzł przez cały czas od pamiętnej sceny z Rycroftem. Tak nagle i ostatecznie dała sobie wyrwać pracę całego życia; było to dla niej jak utrata ukochanego dziecka.

Przechodząc przez jadalnię, rzuciła przelotnie okiem na ikonę nowej poczty na laptopie oraz serty papierów, książek i czasopism zalegających dosłownie wszędzie.

Sięgając po telefon, Lara patrzyła na fotografie ojca zawieszane na grodzi między sonarem i ekranem noktowizora. Był to potężny człowiek, ponad sześć stóp siedem cali wzrostu. Należał do SEAL, Komanda Foki, sił specjalnych amerykańskiej marynarki. Obok wisiała równie wyblakła fotografia matki, Elsy, która zmarła przy jej urodzeniu. Była Holenderką, miała takie jak Lara wspaniałe jaśniejące oczy i jak większość ludzi z Niemiec, była bardzo wysoką kobietą. Niemiecy faszyci zabili rodziców Elsy i resztę jej rodziny w masakrze bojowników ruchu oporu pod Amsterdamem.

Else, która była konstabłem policji w Amsterdamie, poznała ojca Lary na konferencji Narodów Zjednoczonych w Brukseli na temat uchodźców.

Larę od dawna fascynowała Holandia, jej nieugięty, głębo-

ko tolerancyjny naród, jak również dostatek, do jakiego ten kraj doszedł w surowym klimacie, na grząskim, niemal jałowym spłachetku ziemi. Doskonałe wykształcenie i wielka solidność sprawiły, że holenderskie filie GenIntronu przynosiły największe obroty. Nie wspominając już o tym, że wśród ludzi wysokich - według statystyk Holendrzy są najwyżsi wzrostem na świecie - nie wyróżniała się tak w tłumie jak w każdym innym miejscu.

Po śmierci żony ojciec Lary odszedł z marynarki wojennej, żeby samotnie wychowywać córkę. Był to błyskotliwy, pełen pomysłów, przedsiębiorczy człowiek, który szybko stworzył dobrze działającą firmę konsultingową w Ałda-meda, gdzie testowano statki i sprzęt morski dla wojska i na potrzeby cywilne.

Telefon znów zadzwonił, Lara sprawdziła wyświetlacz i stwierdziła, że wprawdzie dzwoni Biały Dom, ale rozmowa nie była szyfrowana i nie musiała aktywować kodów. Po prostu podniosła słuchawkę.

- Blackwood.

- Pani Blackwood, tu Irene Whitehead z centrali telefonicznej Białego Domu.

- Witam.

- Przepraszam, że zawracam pani głowę w niedzielę. Mam na linii bardzo upartego rozmówcę z Tokio, to lekarz wojskowy, pułkownik James J. Condon, który twierdzi, że zna panią i musi z panią rozmawiać. Nie chciałam podawać pani numeru domowego, ale on upiera się, że musi z panią pomówić w sprawie życia i śmierci.

Lara uśmiechnęła się na wspomnienie Jima. Poznali się na seminarium z genetyki molekularnej podczas jej ostatniego roku na Uniwersytecie Cornelia. On był wówczas studentem drugiego roku medycyny i został jej partnerem w doświadczalnej części seminarium. W laboratorium ich współpraca przebiegała do-

skonale, był skrupulatny, lotny, wysoce inteligentny. Przez kilka późniejszych lat byli w kontakcie, wysyłali sobie kartki z wakacji i dowcipy przez e-mail. Skłoniła nawet swój personel w GenIntronie, by zasięgać u niego konsultacji, kiedy stacjonował w Instytucie Patologii Sił Zbrojnych.

- Oczywiście - powiedziała Lara szybko. - Proszę nas połączyć.

Telefonistka przełączyła Larę na czekanie i w słuchawce zabrzmiały banalne dźwięki muzyczki New Age, preferowanej przez nowego prezydenta.

- Sieczka dla jupasów- mruknęła Lara, otwierając luk wiodący do głównej zejściówki, gdzie zamontowano burzoodporną kapsułę z Lexanu, przez którą wyraźnie widziała pokład, kabestany, żagle i olinowanie bez konieczności wychodzenia na pokład w paskudną pogodę, /resztą nie chodziło tylko o zimno i wilgoć. W czasie sztormu na pokładzie można po prostu stracić życie. Rześkie, wilgotne poranne powietrze wpadało przez otwarty luk, niosąc ze sobą zapach kwiatów.

Otepiająca melodyjka w słuchawce przygrywała nadal; Lara zdjęła bezprzewodowe słuchawki z haczyka obok telefonu, założyła je na głowę i włączyła. Uwolniona od kabla, poruszała się po stacji nawigacyjnej, porządkując jej zawartość i czekając na połączenie, w rozróżnieniu włączała programy diagnostyczne w urządzeniach elektronicznych, komputerach, zdalnych kamerach i satelitarnym połączeniu z Internetem.

Z pomocą utalentowanego projektanta jachtów, stworzyła Tagcat Too, wyciągając poważne wnioski ze swojego fatalnego rejsu. Sama zaprojektowała elektronikę i system komputerowy, przyłożyła rękę nawet do oprogramowania. Kadłub został wykonany w stoczni w Rotterdamie i wyposażony w sprzęt przez najlepszych specjalistów tego marynarskiego kraju.

Na dziobie i rufie Lara dodała internetowe kamery noktowid-

zyjne. Dawały one nie tylko pełny obraz w czasie rzeczywistym, ale były też dodatkowymi oczami na pokładzie w czasie sztormu, kiedy była zmuszona do pozostania pod pokładem i nawigowania za pomocą elektronicznego steru. Stąd mogła ustawiać żagle, wykonać zwrot przez rufę, a nawet podnosić i opuszczać grot, bezan i kliwer przy użyciu elektronicznego systemu zwijania żagli.

Programy diagnostyczne nie wykazały problemów, a melodia nadal obrażała uszy Lary. Brzmiała tak, jakby ktoś wziął jakiś seksistowski, rasistowski lub homofobiczny utwór jakiegoś rapera i przerobił go na kwartet smyczkowy. Ale i tak było to lepsze niż oryginał, bo nie musiała słuchać chamskiego, obraźliwego tekstu.

Włączywszy kamery internetowe w trybie lokalnym, Lara przeniosła obraz na ekran laptopa. Kamerę na szczycie masztu można było podnosić i opuszczać, a także obracać po łuku większym niż 270 stopni. Lara włączyła silniki diesla, by je sprawdzić, jak co tydzień i przetestowała potężny elektryczny silnik sterujący na dziobie, połączony z generatorami.

Sprawdzała sterowniki silnika sterującego i ręcznej przepustnicy, kiedy w telefonie wreszcie coś stuknęło i zatrzeszczało.

- Halo? - odezwał się nieśmiały głos na drugim końcu. - Halo? Lara?

-Jim?

- A któż by inny?

- Minęło trochę czasu.

- Mnóstwo lat.

- Więcej niż można zliczyć - dodała.

Pletli tak przez kilka minut, ale po chwili Condon przerwał beztroską pogawędkę, a w jego głosie dało się wyczuć napięcie i zdenerwowanie.

- Laro, nie chciałbym być obcesowy, zwłaszcza po tylu latach, ale wdepnąłem po uszy w prawdziwe kłopoty.

- Mów śmiało - zachęciła go Lara, usuwając stos egzemplarzy *New Scientist* i *Economist* z krzesła przy stacji nawigacyjnej i rozglądając się za papierem i długopisem.

- Nie zrozum mnie źle - powiedział Jim szybko. - Jeśli dzwonię nie w porę, po prostu powiedz...

- Poczekaj chwilę, Jim - powiedziała Lara. Zrobiła sobie miejsce do pisania, przesuwając stertę sobotniej poczty z białymi nalepkami z adnotacją o zmianie adresu. - Mów wszystko po kolei.

W telefonie na chwilę zapadła głucha cisza.

- No? Opowiadaj!

Condon zrelacjonował jej wybuch epidemii koreańskiego trądu w Tokio.

- Czytałam o tym - powiedziała Lara. - Ale jestem zdziwiona, że nie zajęto się tym dokładniej.

- Bo to była tylko kupa zdechłych Koreańczyków - powiedział Condon sarkastycznie. - Dla japońskich mediów to mało ważny temat. - Przerwał. - Ale rzeczywiście spadło to jak bomba. Z tego, co wiem, cokolwiek zaatakowało tych ludzi, zapoczątkowało u nich ogólny proces dezintegracji komórkowej. Niesamowite: ściany komórkowe po prostu rozpadały się, rozpuszczały. Zaczynało się to od skóry i mięśni zależnych od woli. Najpierw pojawiały się straszne rany, potem ludzie jakby zaczęli topnieć, a zdeintegrowane tkanki po prostu zjeżdżały z kości. Większość ofiar ginie w sposób spektakularny, kiedy naczynia krwionośne pękają i wydaje się, że eksplodują krwią. Pyska wszędzie. Zdaje się, że to jest zaraźliwe.

- Boże - szepnęła Lara.

- To prawdziwy totalny niszczyciel - mówił dalej Condon. - Zwłaszcza, jeśli się jest Koreańczykiem. Przejeżdża po ludziach jak gąbka do po tablicy. A po dziesięciu dniach, znika!

Lara zadrżała. - I mówisz, że dotyka tylko Koreańczyków?

- Jak do tej pory - potwierdził Condon.
- Jak to wygląda?
- Dobre pytanie.
- Czyli?
- Mam próbki, ale pod mikroskopem nie widać żadnej struktury komórkowej i nic innego, co mógłbym zidentyfikować.
- To znaczy?
- Próbki nie reagują na żadne testy antygenowe, nie mnożą się ani na agarze, ani na żywych komórkach. Są, jak się zdaje, chemicznie obojętne.
- Jim, dlaczego nie porozmawiasz z CDC*, ⁴albo z Fort Derrick*.⁵
- Przede wszystkim dlatego, że mój dowódca trzęsie portkami, że złamaliśmy regulamin i pojechaliśmy do tego szpitala zdobyć próbki. Nie powinniśmy byli wtykać nosa w ich sprawy. Wiesz, dyplomacja i atmosfera politycznego zagrożenia wynikająca z samego faktu istnienia tam amerykańskich instalacji wojskowych.
- To łatwo zrozumieć, zwłaszcza, jeśli się zna nacjonalistyczną politykę nowego japońskiego rządu, który chce do szczerźnie wyeliminować nasze bazy. Od roku piszą o tym na pierwszych stronach gazet.
- Zapadło dłuższe milczenie. Wreszcie Condon westchnął. - Tak przypuszczam. Z drugiej strony, mam te niesamowite próbki, ale mój oficer przełożony za każdym razem, kiedy poruszam ten temat, wspomina o sędzie wojskowym. Chciałbym je posłać

⁴ * CDC - Centers for Disease Control and Prevention, ang. Centrum Monitoringu i Zwalczenia Chorób, agencja przy departamencie zdrowia rządu federalnego Stanów Zjednoczonych

⁵ * Laboratorium w stanie Maryland, najważniejszy amerykański ośrodek programu broni biologicznej

do Fort Detrick albo do CDC, żeby się im tam przyjrzeni, ale jeśli zrobię to bez aprobaty dowódcy, nieźle dostanę po dupie. A dostać to pozwolenie, to wyższa szkoła biurokracji... dwadzieścia stopni drogi służbowej, podania na piśmie podpisane przez setki urzędasów... To by trwało tygodniami. - Przerwał. - Nie mieliśmy na to czasu.

- Jak wtedy, kiedy wytrychem otworzyłeś zamek do kantorka laboratorium?

Condon roześmiał się dopiero po chwili. - Żebyś wiedziała! Nigdy byśmy nie dostali maksa punktów z tego egzaminu z sekwencji bez dobrych odczytników, no nie?

Lara pośmiała się z nim, ale zaraz westchnęła. - To co mogę dla ciebie zrobić?

- Pomyślałem, że może twoja firma byłaby w stanie pomóc.

- Moja dawna firma - uściśliła Lara i wyjaśniła mu swoją bieżącą sytuację. - Ale ty masz rację, trzeba zacząć od GenIntro.

- Zajmiesz się tym? - zapytał Condon z nadzieją.

W słuchawce zaległa wyczekująca cisza. Lara wstała i oparła się o boazerię z drewna tekowego. Po raz pierwszy słyszała, jak serce tłucze jej się w piersi. Po jej twarzy przebiegł uśmiech na myśl o nowym wyzwaniu, nowej tajemnicy. Ale uśmiech prędko zanikł na twarzy, kiedy uświadomiła sobie, że jeśli Condon się mocno nie pomylił co to tego, że nowa choroba atakuje tylko Koreańczyków, to właśnie spełnia się jeden z jej najczarniejszych koszmarów: ktoś testował broń biologiczną, która aktywuje specyficzne sekwencje genów, występujące najprawdopodobniej jedynie u konkretnych grup etnicznych. Przetestowali jakąś potworną nieznaną chorobę. Musiała mu pomóc, choćby dlatego, że chciała wiedzieć, co się za tym kryje.

Jej wzrok padł na fotografię i przypomniała sobie słowa,

które jej ojciec powtarzał jak mantrę: „Zawsze rób to, co jest słuszne. Nieważne, jak by to było trudne, niebezpieczne i wyczerpujące. Wszyscy prędzej czy później umrzemy, więc jeśli spełniwszy swój obowiązek umrzesz przez to wcześniej, umrzesz jak bohaterka”.

Jak dotąd nie stawiała sobie za cel bohaterskiej śmierci, ale wiedziała, że w tej sytuacji nie tylko musi zrobić to, co należy, ale także zrobić to we właściwy sposób. Jak pomóc Condonowi, żeby nikomu nie zaszkodzić? Jeśli Rycroft się zorientuje, że ktoś w GenIntronie z nią kolaboruje, wyleje tego kogoś na zбитy pysk. Był to mały mściwy gnojek i nie mogła mu dać okazji do wytoczenia jakiegoś procesu.

- Dobrze - powiedziała Lara niepewnie. - Ale wpierw muszę się nad tym dobrze zastanowić. Przyślę ci maila.

W głosie Condon dało się wyczuć rozczarowanie, kiedy dyktował jej adres.

- Dobra - powiedziała. - Skontaktuję się z tobą jak naj-
szybciej.

- Dobra - westchnął. - Ty tu rządzisz.

-Już nie. - Puste poczucie straty i izolacji znów zakłuło ją w piersi.

Kiedy się rozłączyli, cyfrowy przełącznik telefoniczny w podziemiach Białego Domu — przez który odbywało się połączenie - odnotował koniec rozmowy i wprowadził szczegóły do swojego rejestru, włączając lokalizację do cyfrowego pliku zawierającego całą tę rozmowę.

Lara natychmiast pobiegła do swojego laptopa w jadalni i zalogowała się na swoje bezpłatne konto pocztowe w Yahoo!, które założyła sobie sto lat temu, kiedy chciała surfować po chat roomach i forach internetowych.

Wpisała adres, który podał jej Jim.

„Przyślij adres w Hotmail lub Yahoo. Jeśli nie masz ta-

kiego, załóż. Posuń się do najwyższej ostrożności. Nikomu ani mru-mru. Może już nie mam nic do powiedzenia w firmie, ale dysponuję dużymi środkami. Opisz w skrócie naszą rozmowę i to, czego dowiedziałeś się w Tokio. Prześlij to do Ismaila Brahimiego pod adresem, który ci podam. Potem pod jego adresem domowym prześlij połowę swoich próbek zapakowaną w suchy lód razem z kopiami swoich notatek i fotografiami, które zrobiłeś".

Wpisała adres starego domu w Harpers Ferry, który Brahimie już od pięciu lat usiłował odrestaurować.

„Znajdź jakąś przenośną chłodziarkę i drugą połowę próbek przechowaj w niej razem z notatkami i zdjęciami. Nikt nie może tego znaleźć".

Lara zawahała się na chwilę, potem na samym końcu napisała „Miej się na baczności" i dopiero wtedy kliknęła „wyślij".

Rozdział 7

Na północ od Kioto wije się od wioski do wioski wąska droga, biegnąca między poszarpanymi, porośniętymi lasem urwiskami i wzgórzami Rakukoku, trasa starożytna, osadzona głęboko w historii. Drogą tą pełził biały landrover, za którego kierownicą siedziała Sheila Gaillard. Przeszukiwała wzrokiem las, podchodzący pod samą drogę.

- Wypatruj - powiedziała Gaillard płynną niemczyzną. -Ja co drugi raz przegapiam.

Jej pasażer, Horst von Neuman, kiwnął głową, skanując uciekający w tył krajobraz, szukając nieoznaczonej przerwy między drzewami, zarośniętej, celowo nie asfaltowanej ścieżki, która ledwie rozdzielała drzewa. Był to szczupły facet o surowych rysach, krótko przyszyżonych, piaskowych włosach i głębokich, żarłocznych niebieskich oczach.

- To tam - von Neuman pokazał miejsce, gdzie rosło potężne drzewo, zaznaczone na jego mapce.

Gaillard zwołniła i zjechała na pobocze. Poczekała, aż przejadą wszystkie auta, zanim skręciła w przestrzeń między drzewami. Wjechali w zielony tunel utworzony z pochyłonych gałęzi rozmaitych gatunków drzew. Bruk, ucharakteryzowany na pylistą drogę, zachrzęścił pod oponami landrovera.

Droga raptem skręcała w prawo; Gaillard zwołniła i przygotowała się do zatrzymania. Zaraz za wirażem przejazd blokowała wielka kłoda. Gaillard podjechała do niej i zatrzymała wóz. Opuścili szyby i Gaillard zgasiła silnik.

- Niesamowite - powiedział von Neuman, patrząc na teren gęsto porośnięty lasem. - Nie widzę ich, chociaż wiem, że muszą nas obserwować.

Gaillard kiwnęła głową. - I podsłuchiwać. - Spojrzała na zegarek. 3:58, dwie minuty za wcześnie.

Tokutaro Kurata był miłośnikiem przyrody, czcicielem bóstw lasów i strumieni, jak przystało na wiernego wyznawcę szintoizmu. W związku z tym zażyczył sobie, żeby droga wiodąca do jego rodowej posiadłości przypominała prostą, wiejską ścieżkę. A czego sobie życzył, dostawał. Zakamuflowanie wszystkich koniecznych urządzeń, infrastruktury i zabezpieczeń kosztowało znacznie więcej niż konwencjonalna budowa, ale przecież kosztami się tu nie przejmowano. Kurata był gotów zapłacić każdą cenę za to, żeby tereny wokół jego wszystkich rezydencji na całym świecie wyglądały tak, jakby nie wydano na nie nawet centa.

Punkt o czwartej dwóch umundurowanych ochroniarzy wychynęło ze sprytnie zakamuflowanego bunkra, jednego z całego ciągu podziemnych umocnień otaczających pięćdziesięcioakrową posiadłość, połączonych przez podziemne przejścia i wypakowanych elektroniką, wychwytyjącą dźwięki, wibracje, sygna-

ły w podcierwieni, a nawet osławiony zapach ludzkiego ciała.

Jeden ze strażników, wysoki człowiek około czterdziestdd, zbudowany jak obrońca piłkarski, zbliżył się do landrovera. Drugi, wyglądający na dużo młodszego brata swojego partnera, stał pełen rezerwy pod gęstym drzewem hikory (orzesznika), przyciskając do siebie półautomatyczne parabellum 9 mm, jakie miał na wyposażeniu cały personel ochrony Kuraty. Cięższa broń, jak wiedzieli, była ukryta w lesie, i z pewnością w tej chwili wycelowana w gości. Gdyby okazali choć cień wrogich zamiarów, rozniosłaby ich w pył.

Starszy ochroniarz zatrzymał się przy otwartym oknie kierowcy i w milczeniu czekał, aż Gaillard odezwie się pierwsza.

- Gaillard i von Neuman - rzuciła Sheila krótko i wę-złowało. Strażnik skinął głową i wcisnął guziczek swego walkie-talkie. Zaraz potem las wydał słaby hydrauliczny dźwięk i z ziemi wyrosły rzędy stalowych pali, tworząc szeroką barierę w kształcie litery U wokół landrovera i obszaru na tyle wielkiego, żeby pomieścić ciężarówkę z naczepą. Niby-kloda na drodze zamykała krąg, dzięki czemu każdy, kto by usiłował przedostać się sposobem na teren posiadłości Kuraty, musiał tu pozostać, aż zostanie sprawdzony, gdyby jego tożsamość okazała się niepewna.

Słupy sięgnęły jakieś cztery stopy nad ziemię i głośno zaskoczyły na miejsce. Strażnik wyszarpnął zza pasa jakieś urządzenie, wyglądające jak lornetka z małą klawiaturką. Urządzenie pisnęło dwukrotnie, kiedy strażnik przyciskał guziczki, po czym wręczył urządzenie Sheili Gaillard.

- Proszę patrzeć do środka, aż usłyszysz pani sygnał - poczył. Gaillard wzięła od niego kieszonkowy identyfikator siatkówki i przyłożyła do oczu. Strażnik wiedział, że w przypadku umówionych gości takich jak Gaillard i von Neuman, niepowtarzalny układ naczyń krwionośnych siatkówki był ściągany z bazy danych i przechowywany w postaci plików cyfrowych w

pamięci skanera, aby umożliwić szybką identyfikację. W przypadku upoważnionych, ale niespodziewanych gości skaner siatkówkowy łączył się w czasie rzeczywistym przez zakodowane łącza satelitarne z superkomputerami z Daiwa Ichiban w Tokio i Kioto.

Skaner pisnął i Gaillard oddała go strażnikowi. Ten spojrzął na wyświetlacz i pokiwał głową. Podeszedł do samochodu z drugiej strony i całą procedurę powtórzył z von Neumanem.

Kilka sekund po tym, jak von Neuman pozytywnie przeszedł test, kłoda usunęła się automatycznie z drogi, przepuszczając landrovera przez pierwszą linię zabezpieczeń. Po przejechaniu pięćdziesięciu jardów kolejny kordon straży - tym razem Japończyków - zatrzymał ich i kazał obojgu przemówić przez analizator głosu.

Znów prześwietleni, Gaillard i von Neuman wyszli wreszcie z landrovera i przekazali go strażnikowi, żeby zaparkował. Dalej mogła przejechać tylko limuzyna Kuraty i samochody, które jej towarzyszyły. Strażnik eskortował ich do sedana mitsubishi i otworzył przed nimi tylne drzwi. Opancerzone drzwi z grubymi, zielonkawymi kuloodpornymi szybami zatrzasnęły się i zablokowały, Takie samo szkło oddzielało część dla pasażerów od kierowcy.

- W środku nie ma klamek - zauważył von Neuman, gdy samochód nabierał prędkości.

- Herr Kurata jest niebywale ostrożny - odparła Sheila. Von Neuman skinął z aprobatą.

Wyjechali spomiędzy drzew i w oddali zobaczyli rezydencję Kuraty, trzypiętrowy drewniany pałac przypominający Kinkaju-ji, Złotą Świątynię z łagodnymi łukami dachów i ganekami okalającymi każde piętro. Jak i Złota Świątynia posiadłość Kuraty otoczona była z trzech stron górskim jeziorem, otoczonym gęsto rosnącymi drzewami i nieregularnymi wzgórzami.

Budowla ta, licząca 750 lat, zbudowana została przez przodków Kuraty i od tamtej pory podupadała, do momentu, kiedy przemysłowe imperium Kuraty pozwoliło mu na przywrócenie jej pierwotnej świetności.

- Posiadłość Kuraty zaprojektowano w stylu Shinden, na planie wielkiej litery U, z wielkim hallem głównym u podstawy, nad samym jeziorem - wyjaśniła Gaillard. - Pozostałe dwa boki są to długie, wąskie budynki i mury, które ciągną się od jeziora prawie do wyjazdu na drogę publiczną. Przestrzeń wewnętrzna jest wypełniona strumieniami, stawami, ogrodami i posagami. Na oko co prawda bardzo przypomina Złotą Świątynię, ale w rzeczywistości jest ze sześć do ośmiu razy większa.

- Ponadto jest to także pomnik narodowy otwarty dla zwiedzających w wakacje - mówiła dalej Sheila, kiedy mitsubishi posuwał się po krętej drodze. - To część mitu, który Kurata tak pielęgnuje: „Ja należę do was, wy należycie do mnie”.

- Dobry Boże! - von Neuman pokazywał coś za oknem.

- Co to za wielkie stwory, przypominające jaszczurki?

Wielkie jak aligatory!

Sheila uśmiechnęła się.

- To smoki z Komodo - powiedziała. - Warany żyjące na wyspach niedaleko Okinawy, bliskie wymarcia. Tak się składa, że klimat posiadłości Kuraty służy im idealnie, więc Kurata zdobył serca ruchu zielonych, zakładając ich kolonię na swoim terenie, oczywiście z naukowcami, którzy prowadzą obserwacje, opiekunami z ogrodów zoologicznych, którzy dbają, żeby zwierzątka były szczęśliwe oraz nieustającym strumieniem żywych owiec, kóz i cieląt do karmienia smoków.

- Sadzę, że przyczyniają się także do bezpieczeństwa? - zasugerował von Neuman.

Sheilka kiwnęła głową ze śmiechem.

W końcu mitsubishi zatrzymał się łagodnie na niewielkim

parkingu u stóp urwiska poniżej rezydencji Kuraty. Po uwolnieniu ich z samochodu, szofer oprowadził ich wokół artystycznie zaaranżowanego głązu, który zasłaniał widok na windę zainstalowaną w skale, Otworzył kluczem drzwi i zamknął je za nimi, kiedy weszli.

Winda wjechała na górę, zatrzymując się w małej altanie w zagajniku drzew kasztanowca. Kiedy drzwi windy się otworzyły, powitali ich dwaj Japończycy w oficjalnych garniturach. Jeden z nich, starszy, średniego wzrostu, był ochroniarzem, sądząc po lekkim wybrzuszeniu ubrania. Drugi był znacznie młodszy, atletycznie zbudowany i nawet jak na zachodnie standardy, wysoki.

Młodzieniec wyciągnął rękę najpierw do Sheili, mówiąc: „Witam”, zaś von Neumana pozdrowił po niemiecku: „Wilkommen”.

Kiedy Sheila poczuła stanowczy uścisk jego dłoni przeszedł ją nagły impuls. Spojrzała mu w oczy i ze zdumieniem poczuła przyływ wilgoci i gorąca w podbrzuszu.

- Jestem Akira Sugawara.

- Gaillard. Sheila Gaillard - powiedziała krótko, po czym natychmiast przerwała kontakt wzrokowy i wycofała dłoń. Łomot serca w jej piersi nie tylko ją zaskoczył, ale i rozgniewał. Zirytowana utratą panowania nad sobą, z wysiłkiem usiłowała przywrócić swój wewnętrzny chłód, którym kierowała się w życiu i dzięki któremu odnosiła sukcesy. „Żar ciała jest zły”, ostrzegła samą siebie. „Emocje osłabiają kontrolę nad sytuacją, rozmywają ostrość widzenia. Narażają na śmierć”. Ale walcząc sama ze sobą, Sheila musiała przyznać, że ów wysoki japoński przystojniak dysponuje bardzo pożądanym materiałem genetycznym.

Po przeczytaniu jej dossier Sugawara dowiedział się, że Gaillard stanowiła dziwaczny, ale nadzwyczaj skuteczny element aparatu bezpieczeństwa wuja, a jej rola, choć zazwyczaj niejako-

sna i pełna nieświadomości, była zawsze centralna i decydująca. Mimo tej wiedzy nie był przygotowany na jej osobliwą reakcję na najzwyczajniejszy uścisk dłoni. Starał się swego zdumienia nie okazać, kiedy podawał rękę von Neumanowi.

- Zaprowadzę państwa do mego wuja, który już was oczekuje - powiedział w końcu. Z tymi słowami wyprowadził ich z altany; starszy ochroniarz ruszył za nimi.

Po chwili rozpostarł się przed nimi krajobraz przypominający jako żywo fragment rodzinnego miasta Kuraty, Kioto, jakby przeniesiony w nowy świat. Często mówił o nim jako o wysepce cywilizacji otoczonej przez krainę barbarzyńców.

Sugawara wiódł ich długą, kamienną ścieżką wspinającą się lekko pod górę, pod przepięknym tunelem utworzonym z gałęzi klonów. Gęste ściany trzciny, podtrzymywane przez bambusowe ogrodzenie, otaczały ścieżkę z obu stron. Po obu stronach ścieżki biegly też poręcze wykonane z bambusa.

Na górnym końcu ścieżki stał prosty, jednopiętrowy budynek.

- To kopia sławnej herbaciarni w Kioto - wyjaśniła Gaillard po niemiecku.

- Proszę o wybaczenie - Sugawara odezwał się także po niemiecku, z lekkim akcentem. - Ściśle mówiąc, jest to wierna replika Koto-in, pawilonu należącego do świątyni Daitoku-ji. Oryginał został wzniesiony w 1601 roku przez Hosokawę Sansai, feudalnego władcę, który uwielbiał herbatę i właśnie dlatego zbudował herbaciarnię na terenie świątyni.

Von Neuman i Gaillard w milczeniu wymienili spojrzenia. Gaillard podziękowała za wyjaśnienia, Sugawara zaś uklonił się. Sheila wciąż usiłowała ukryć irytację z powodu niepożądanych drżeń, jakie bliskość młodego Japończyka wywoływała w jej łożądku.

Obeszli kopię świątyni i ruszyli w dół zygzakowatą ścieżką

wiodącą przez nieprzeniknione bambusowe pole. Po paru minutach wstąpili w coś, co można by określić jedynie jako królestwo zieleni, krainę falujących wzgórz ocienionych drzewami i pokrytych niemal całkowicie dywanem mchów, aż po brzegi małego stawu obrośniętego drzewami i bujną roślinnością. Do stawu wpływał mały strumyczek, kojąco pluszcząc o kamienie. Światło słońca przefiltrowywało się przez gęste listowie i rzucało zielonkawe promienie na i tak zielony świat.

W samym środku strumienia, o jakieś trzydzieści, czterdzieści jardów od nich, stał Tokutaro Kurata, w podwiązanej pod kolana białej zwiewnej szacie w tradycyjnym stylu, żeby nie zamokła w wodzie. Jednak krople wodyjuższej dosięgły. Trzymał w ręce niekształtny kamień wielkości piłki do koszykówki i rozglądał się po dnie strumienia z głową przekrzywioną, jakby przysłuchiwał się muzyce.

- Cśśś - Sugawara zatrzymał się i uniósł ramiona. Stanęli w milczeniu, patrząc, jak Kurata umieszcza kamień w strumieniu, odstepuje o krok, nasłuchuje, potem znów go podnosi i wypróbuje inne położenie. Sporadyczne pomruki smoków z Komodo delikatnie przerywały ciszę. Ciągnęło się to przez ponad pół godziny, aż Kurata wreszcie sam do siebie pokiwał głową, odwrócił się i łaskawie zauważył obecność gości. Ruchem głowy dał do zrozumienia, że przyjmie przybyłych na prostej drewnianej ławce, stojącej nieco powyżej miejsca, gdzie właśnie stał.

Kurata zaczął wspinać się na zbocze, zatrzymując się co chwila, by posłuchać strumienia. W końcu przywitał się z Gailard i von Neumanem, odprawił starszego ochroniarza i usiadł na ławeczce. - Proszę, usiądźcie — zakomenderował.

Kiedy się zbliżali, starszy ochroniarz przekrzywił na chwilę głowę i uniósł dłoń do dyskretnie ukrytego mikrofonu. Po chwili położył dłoń na ramieniu Sugawary i rzekł cichutko: - Sugawara-sama?

- Hai.
- Straż melduje przybycie pana Rycrofta.
- Dorno.

Gdy dołączyli do Kuraty, stary mąż stanu milczał przez kilka minut, wsłuchując się w gulgot wody na kamieniach i skałach.

- Mamy tu czterdzieści jeden odmian mchu. - Przerwał. - W Kioto znajduje się Koke-dera - ogród mchu w Saiho-ji, gdzie rosną czterdzieści dwie odmiany. Tu mogłoby rosnąć i więcej, ale uprawa ich wszystkich byłaby z mojej strony arogancją. - Uśmiechnął się, pomilczał. W ciszy szmerzący strumień zdawał się wypowiadać słowa niemal zrozumiałe.

- Widzicie, Saiho-ji zaprojektował w 1339 mnich zen, który uważał, że mech symbolizuje ponadczasowy aspekt natury i przemijalność człowieka. - Odwrócił wzrok od swoich gości i spojrzął na ogród. - Koniec końców mchy porastają ociosany kamień i wszystkie wytwory ludzkie, unicestwiają wszystko, co stworzył człowiek.

Kurata poszukał zrozumienia na twarzach dwójki swoich gości, ale nie znalazł go tam, przynajmniej w zadowalającym stopniu. Zachodnie umysły są niezdolne, by docenić ostateczne piękno zawarte w nieodwracalnej śmierci nas wszystkich. Ale nie pozwolił, by pogarda, którą czuł, dała się zauważyć. Wiedział, jak czerpać pożytek z tych istot niższych, nawet takich kurambo.

Byli narzędziami w jego rękach, kłodami drewna, które przytnie się i ukształtuje, zgodnie z jego celami.

Wreszcie popatrzył na Sugawarę i zapytał: - Gdzie pan Rycroft?

- Poinformowano mnie, że dotarł do pierwszego punktu kontrolnego, zanim pani Gaillard i pan von Neuman wysiedli z windy.

Kurata skinął głową beznamiętnie. Potem zwrócił się do Gaillard i von Neumana: - To mój nowy asystent, Akira Sugawara, syn mojej starszej siostry. Odebrał edukację na Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii, a teraz, szczęśliwie dla mnie, wie już wszystko.

Kurata roześmiał się, jego siostrzeniec zaś skłonił się nisko. Najwyraźniej było to dla nich niewyczerpane źródło rozrywki.

Znów poważniejąc, Kurata powiedział: - Z Akirą możecie załatwiać sprawy jak ze mną. Daję mu wszelkie moje pełnomocnictwa, jego młode oczy, uszy, bystry umysł i sprężyste ciało osiągną to, czego mój słabnący organizm i zmysły już nie mogą. Nie mam własnych synów i życzyłbym sobie, by któregoś dnia rozwinął się duchowo tak, by zająć moje miejsce.

- Oczywiście - przytaknęła Gaillard.

- Dobrze więc - podsumował Kurata. - W najbliższych dniach będę zajęty wieloma sprawami, powierzę więc kontakty z wami Akirze.

Przez chwilę w milczeniu wsłuchiwał się w muzykę strumienia.

- Tak - odezwał się po chwili, skupiając wzrok na Sheili. - Pewnie się pani zastanawia, dlaczego tak nalegałem na jak najszybsze spotkanie.

- Za pańskimi krokami zawsze kryje się jakaś mądrość, Kurata-sama - odparła Gaillard.

Kiwnął głową potaktująco. W tej samej chwili od strony repliki Koto-in dobiegły głosy. Tubalny głos Rycrofta słychać było wyraźnie. Nie minęło parę chwil, jak nowy dyrektor generalny GenIntronu gniewnie kroczył ku nim, najwyraźniej obeznany z tą ścieżką. Po bokach miał dwóch ochroniarzy Kuraty.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział, podchodząc. Wciąż miał obandażowaną twarz. - Musiałem przerwać wyjątkowo ważne badania. Potem idioci na lotnisku czuli się w obo-

wiązku obmacać każdą nitkę w mojej walizce. — Jego wyrafinowany brytyjski akcent był wyraźnie nosowy.

Kurata ledwo dostrzegalnie unióśł brwi. Sugawara z wysiłkiem zdusił uśmiech cisnący mu się na usta na widok bandaży.

- Cieszymy się, że jest pan wreszcie z nami - powiedział Kurata beznamiętnie. - Proszę zająć miejsce. Właśnie miałem zaczynać.

Rycroft rozejrzał się zbity tropu i wybrał pustą kamienną ławę jak najbliższej Kuraty.

- Chodzi o pannę Blackwood - rozpoczął Kurata.

- Nie rozumiem - przerwał Rycroft. - Podjąłem w jej sprawie stanowcze kroki. Ona już nie istnieje.

- Milcz, Edward! - warknął Kurata. - I nie waż się mi przerywać.

Rycroft już otwierał usta, ale ugryzł się w język. Na jego twarzy zastygł wyraz nadęsania.

Kurata spojrział na Sheilę Gaillard. - Pierwotnie wezwałem tu panią, ponieważ pani Blackwood przejawiała takie... ekstremalne zachowanie - rzucił okiem na obandażowaną twarz Rycrofta - kiedy dr Rycroft poinformował ją, że już nie będzie miała dostępu do laboratorium ani kont badawczych. - Gaillard popatrzyła na Rycrofta pytająco, ten zaś w milczeniu odwzajemnił spojrzenie.

- Pani Blackwood to bystra i przedsiębiorcza kobieta, której zachowanie tego dnia wyraźnie dowiodło, że potrafi być również nieprzewidywalna. Wprawdzie chciałbym nadal czerpać korzyści z jej zdolności, ale dzwoniłem do pani przede wszystkim dlatego, żebyście wiedzieli, z kim macie do czynienia, w razie gdyby potrzebna była jakiegoś rodzaju interwencja.

Kurata zrobił ruch głową do Sugawary, który wydobył segregator i wręczył go Sheili Gaillard.

- Oto teczka, którą przygotowałem dla pani na temat Lary Blackwood - powiedział Sugawara. - Odniosła wielki sukces dzięki swym zaletom, które wymienił Kurata-sama i choć osobiście jej nie poznałem, wszystkie dostępne dane potwierdzają, że ma ona imponującą prezencję fizyczną, jest wysoka, wysportowana, sprawna. - „I piękna”, dodał w myślach, przypominając sobie setki urzekających zdjęć przy artykułach w gazetach i czasopismach, które przeczytał, opracowując jej charakterystykę. Ale najbardziej zniewalające były filmy wideo. Ukazywały kobietę nie tylko piękną i intrygującą, ale kobietę silną, z charakterem. Wzrostem dorównywała przeciętnemu mężczyźnie, a siłą mięśni na pewno ich przewyższała, ale miała też w sobie wyjątkowe pokłady seksapilu i kobiecości, które tak go zafascynowały.

Gaillard wzięła od niego segregator. - Dziękuję. Jestem przekonana, że to będzie bardzo pożyteczne.

- Od naszej rozmowy zaszedł jeszcze jeden incydent, który wymaga koniecznie pani interwencji - powiedział Kurata i znów gestem wezwał siostrzeńca, by kontynuował.

Sugawara wydobył cienki zeszyt z wewnętrznej kieszeni i otworzył go.

- Wśród obowiązków, jakie wykonuję dla Kuraty-sama jest notowanie historycznego przebiegu Operacji Tsushima. W ich ramach byłem obecny na terenie Szpitala Ogólnego Otsuka po próbnym rozmieszczeniu zarasków koreańskiego trądu. - Sugawara ciężko przełknął ślinę na to przykre wspomnienie, poczuł znajomy zapach zgnilizny. Wraz z nim przypląnął obraz rozpacających rodzin i najgorsze ze wszystkiego, spojrzenia pełne niewinnego

zdumienia na twarzach najmłodszych ofiar, zbyt malutkich, by zrozumieć horror wokół nich, zbyt młodych, by pojąć własną, nieuchronnie zbliżającą się śmierć.

- Zauważyłem tam dwóch obcokrajowców. Po dalszym zbada-
naniu sprawy, dowiedziałem się, że byli to amerykańscy lekarze
z Camp Zama, którzy przybyli do szpitala badać przyczyny epi-
demii. Przekazałem te informacje do służb bezpieczeństwa Da-
iwa Ichiban, które następnie zidentyfikowali tych ludzi i moni-
torowali ich dalsze posunięcia. Dziś otrzymałem komunikat, że
jeden z tych lekarzy kontaktował się z panią Blackwood i prosił
ją o pomoc w zidentyfikowaniu patogenu w próbkach, które
zdobyli.

- To jest absolutnie niemożliwe - przerwał Rycroft. - Zde-
cydowanie odcięliśmy jej dostęp do środków firmy.

Sugawara skinął głową. - Na ile możemy stwierdzić, jest to
prawda.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - warknął Rycroft.

- Po prostu to, że jej słynna przedsiębiorczość jest powodem
naszej nieustającej czujności.

- Przedsiębiorczość - zachnął się Rycroft, po czym nie-
chętnie zamilkł.

Kurata wstał i podszedł do głazu wielkości stołu przykry-
tego szorstkim mchem, który wypuszczał już zarodniki. Wpatry-
wał się w strumień, odwrócony plecami do gości. Późnopołu-
dniowy wiaterek poruszał koronami drzew, zrywając pierwsze
jesienne liście. - Na teraz, chciałbym, żebyśmy nadal mieli panią
Blackwood pod obserwacją, w celu ustalenia, czy konieczna bę-
dzie bezpośrednia interwencja. - Znów odwrócił się do nich twa-
rzą. - Dziś w nocy wylatuję z premierem do Waszyngtonu na
wcześniej umówione spotkanie z prezydentem Stanów Zjedno-
czonych. Zaniepokojony ostatnimi wydarzeniami, tak zaaranżo-
wałem spotkanie, żeby przekonać się, czy istnieje jakiś sposób,

by skłonić ją do choćby minimalnej współpracy.

Potem, patrząc tylko na Gaillard, powiedział: - Uznałem, że musi pani szybko i zdecydowanie interweniować w sprawie tych amerykańskich lekarzy wojskowych. Pani i pani partner.

Zerwał się zimny, porywisty wiatr, liście zawirowały w powietrzu. - Hai, Kurata-sama - odparła Sheila.

Rozdział 8

Wieczorny mrok spływał na konary drzew w posiadłości Tokutaro Kuraty. Akira Sugawara siedział sam na ulubionej kamiennej ławie swego wuja i starał się ze wszystkich sił usłyszeć melodię, którą wygrywał strumień na kamieniu ułożonym za dnia. Ale nie słyszał jej, bo jego uszy wypełniały bolesne jęki, urywane odgłosy śmierci, które niosły się po terenie szpitala, kiedy groteskowy eksperyment zebrał swe śmiertelne żniwo w koreańskim getcie w Tokio. Sugawara przycisnęła dłonie do uszu, ale straszliwe dźwięki stały się jeszcze głośniejsze.

- Niech to szlag! - przeklął cicho. Odgłosy koreańskiego trądu nie zostawiały go w spokoju ani na chwilę, ani we śnie, ani na jawie, dręczyły w czasie jedzenia i spełniania potrzeb fizjologicznych. Prześladowały go wszędzie akordy syku, krzyku i płaczu, kakofonia ponurych dźwięków, gromadząca się w jego sercu dzień po dniu, coraz cięższa i coraz ostrzejsza z każdą upływającą sekundą.

Sugawara spoglądał na doskonale utrzymane gaje i usiłował dopatrzeć się piękna w mchach porastających okolice. Jednak cała ta sceneria wydawała mu się trywialna i niemal pornograficzna w porównaniu z cierpieniami, jakie spowodował Niszczyciel.

- Wujek jest z ciebie dumny - usłyszał Sugawara. Odwrócił się i ujrzał postać Toru Matsue wolno mijającego ogrodowe

rzeźby nad stawem. Sugawara wstał i ruszył w jego stronę.

Sugawara uklonił się. - Dobry wieczór, Sensei-san.

Dwaj mężczyźni stali w milczeniu przez długą chwilę, obserwując leniwe falowanie powierzchni stawu. Tworzyli bardzo niedobraną parę: Sugawara mierzący ponad sześć stóp wzrostu, szczupły, muskularny, młody, zwinny, wyprostowany; zaś siwo-włosy Matsue poruszał się sztywno, przygięty starością i artretyzmem, tak, że wydawał się jeszcze niższy niż jego pięć stóp i sześć cali.

- Wujek jest z ciebie dumny - powtórzył Matsue.

-Jestem mu za to wdzięczny, choć nie jestem godzien jego pochwał - odpowiedział Sugawara.

Dwaj mężczyźni rozmawiali po japońsku przez wzgląd na preferencje staruszka i jego brak płynności w angielskim, który nazywał „mową diabła”.

- Życzył sobie, żebym przekazał ci słowa zachęty.

- Ach, tak - skomentował Sugawara. Przyjrzał się baczniej najstarszemu ze służących rodziny Matsue służył ich klanowi przez ponad sześćdziesiąt lat, najpierw u ojca Sugawary. Po jego śmierci zatrudnił go Kurata, którego uczył podstawowych zasad japońskiego ducha.

- Robisz zadowalające postępy; Kurata-sama z każdym dniem pokłada w tobie więcej zaufania.

- Dzięki ci za dobre słowo - rzekł Sugawara. - Będę robił, co w mojej mocy, żeby cię nie zawieść.

Po studiach doktoranckich na uniwersytecie Stanforda Sugawara wrócił do Japonii, uważany za *kikoku-shijo*, „dziecię powracające do ojczyzny”. Coraz częściej tacy młodzi ludzie przywozili ze sobą zachodnie wpływy - skażenie Zachodem, jak wielu to ujmowało - i z tego powodu patrzono na nich podejrzliwie. W latach 50. urosło to do poważnego problemu, a potem było coraz gorzej, w miarę jak zachodni styl życia i mówienia

przenikał prastarą kulturę, tworząc odrębną subkulturę kikoku-shijo. Tradycjonaści obawiali się, że te naleciałości w którymś momencie przyćmią prawdziwą japońską drogę.

Kuratę od dawna trapiły niepokojące skłonności *kikoku-shijo* siostrzeńca. Aby młodego człowieka skierować na dobrą drogę i wychować w duchu odpowiednim, by Sugawara stanął kiedyś na czele najstarszego klanu Japonii, Kurata wyznaczył mu Matsue na sługę, przewodnika i nauczyciela *Nihonjinron* - sztuki bycia Japończykiem.

Nihonjinron był to starożytny kodeks honorowy ściśle przepisanych manier i reguł postępowania, podpartych równie surowym zestawem przekonań kulturowych i wskazań moralnych, które przez wieki wyewoluowały w to, co obcy często błędnie utożsamiali z Bishido, kodeksem samurajskiego wojownika. Ale *Nihonjinron* wykraczało poza *Bushido*, szło dalej i głębiej. Dla członków starego pokolenia takich jak Kurata, była to jedyna droga, jedyny prawdziwy wzór życia prawdziwego Japończyka. Zaczynało się od genów, a kończyło na niezachwianym oddaniu *Nihonjinro*.

Wreszcie Sugawara odezwał się.

- Martwię się, Sensei-san.

Matsue odwrócił głowę do młodzieńca i uniósł brwi.

- Proszę, wybaczyć, że ośmieliłem się wypowiedzieć głośno tę niespokojną myśl - zaczął Sugawara. - Jak wiesz, żywię bezbrzeżny szacunek dla Kuraty-sama, ale czy nie jest obowiązkiem człowieka przemówić głośno, kiedy czuje, że postęпки jego pana mogą nie być mądre?

- Rzadko wypada to robić - zaczął Matsue - i tylko po gruntownym przemyśleniu.

- *Hai* - zgodził się Kurata. - Nie spałem zeszłej nocy, rozmyślając o Operacji Tsushima.

- Co cię niepokoi?

Tak wiele spraw, pomyślał Sugawara. Sam pomysł zabijania ludzi, to raz. Przymknął oczy na krótką chwilę refleksji i w swojej osobistej ciemności ujrzał młode, okrągłe twarze, szeroko otwarte niewinne oczy, wypełniające się łzami i wreszcie zamknięte przez śmierć. Chciał zrzucić z siebie ciężar i lęki, ale wiedział, że Matsue nie zrozumie. Otworzył oczy i powiedział: - Zastanawiam się, czy to najbardziej... - przerwał, szukając odpowiedniego słowa, które trafnie odzwierciedlałoby jego myśli, bez przyznawania się do prawdziwych uczuć - najbardziej skuteczny sposób na rozwiązanie sprawy koreańskiej.

- Czy masz jakąś alternatywę? - zapytał Matsue.

- Myślałem, że może mogliby zostać przesiedleni - powiedział Sugawara. - Odstawieni z powrotem do Korei.

-A jeśli nie zechcą wyjechać?

Sugawara spojrział w bok, na ryby w stawie - Tak mi przykro, Matsue, ale na to brak mi odpowiedzi.

- Nie powinieneś czuć zwątpienia co do swoich powinności - rzekł Matsue, przypominając Sugawarze o najważniejszym obowiązku, który wbija się do głowy każdemu japońskiemu dziecku, poprzez młodość aż do dorosłości. - Możesz zaferować - z należnym szacunkiem, oczywiście - swoje rady co do najlepszego sposobu ukończenia tego zadania, ale nie leży w twoich kompetencjach kwestionowanie mądrości czy słuszności drogi do celu, która została ustalona przez consensus, dzięki zbiorowej mądrości wielu czcigodnych ludzi.

- *Hai*, Sensei-sama - powiedział Sugawara, kłaniając się głęboko, żeby podkreślić swą szczerość, którą nie do końca czuł.

- To dobrze - rzekł Matsue. - Inaczej wydasz się *narikin*.

Termin ten, często stosowany wobec powojennych japońskich nowobogackich, oznacza pionka, z którego zrobiono królową. W kulturze, w której cała władza wywodzi się z akcep-

tacji przez społeczeństwo, taki narikin, bogaty czy nie, traktowany jest pogardliwie, jako osamotniona gruba ryba, która nie posiada żadnego prawa egzekwowania nowo zdobytej władzy. Takich ludzi unikano, ich rodziny odrzucano, a to poczucie społecznej izolacji prowadziło większość z powrotem do stada.

Matsue odwrócił się od stawu i poszurał nogami w stronę dużego brązowego Rodina. Sugawara poszedł za nim.

Nie zatrzymując się, Matsue zagadnął młodego człowieka: - Rozumiem, że nie potrzebuję przypominać ci o twoim on wobec Kuraty-sama?

- Oczywiście, że nie, Sensei-san. Kurata-sama jest moim wujem, najbliższym krewnym. Jestem z nim związany *gimu*, długiem wdzięczności, którego nie spłacam nawet w tysięcznej części - powiedział Sugawara jak akolita recytujący katechizm. - Jest on także moim suwerenem, co z kolei wiąże mnie poprzez *giri*, które musi być oddane w stopniu równym ze zobowiązaniem. Będę szczęściarzem, jeśli ów dług będzie choćby w połowie spłacony w chwili mojej śmierci. Jedyne obowiązki wobec cesarza przewyższa ten wobec Kuraty-sama.

- Cieszę się, że to mówisz - przemówił Matsue, podchodząc do rzeźby z brązu. Zatrzymał się i przyjrzał wyrazowi twarzy posągu.

Kiedy Sugawara do niego dołączył, Matsue odezwał się, wciąż studiując twarz posągu. - Przyjrzyj się tej minie. Zauważ gruby, prymitywny wyraz emocji.

- Tak, Sensei-san.

- Te miny przypominają miny włochatych małp. Ich mięśnie twarzowe i mózgi w ich czaszkach nie stoją na tak wysokim stopniu rozwoju jak nasze, nie są zdolne do takich subtelności i niuansów, jak my, prawda?

- Takiej prawdy nas się uczą, Sensei-san — zrobił unik Sugawara. Jego niejednoznaczna odpowiedź wywołała

zmarszczkę niezadowolenia na obliczu nauczyciela.

- Nie zapominaj nigdy, młody Sugawaro, że w twoich żyłach płynie krew Yamato - powiedział Matsue surowo. - Jesteśmy shido minzoku, a inne rasy to zaledwie małpy. Jesteśmy rasą czystą, najczystsza w świecie, a badania DNA w laboratoriach Kuraty-sama dowiodły tego ponad wszelką wątpliwość. Sekwencja Yamato znajduje się w każdym genie i ma ją tylko nasza rasa, żadna inna. Także inne dziedziny nauki potwierdzają potęgę czystości rasy. Spójrz tylko na promień lasera. Jest potężny, ponieważ jest czysty, złożony z jednej, jedynej częstotliwości światła Pali i tnie, bo nie jest skażony innymi kolorami. Tak samo jest z Yamato minzoku, z rasą Yamato.

- A co do Koreańczyków, osadników z Bangladeszu, brudnych Filipińczyków i innego śmiecia z kontynentu -jest to rozbactwo; zagrażają czystości naszej rasy. A my, by pozostać potężnym mocarstwem, musimy być czysti. Nie ma innego wyjścia, jak eliminacja zagrożenia. Nie zapominaj o tym!

Starzec powtarzał slogany, które w końcu wydostały się na świat z sal konferencyjnych, gdzie spotykali się fanatyczni nacjonaliści i zaczęły przenikać do polityki, prowadzonej przez Zgromadzenie Parlamentarne, rząd premiera i wszystkie departamenty tego rządu.

W głowie Sugawary toczył się konflikt lojalności. W głębi swej duszy czuł się spętany przez girl i gimu, musiał wykonywać polecenia wuja. Reguła była prosta: obowiązek zawsze ma pierwszeństwo przed sumieniem, poczuciem złego i dobrego. To mu ułatwiło decyzję.

Na powierzchni Sugawara po prostu bał się bezwzględności Kuraty, jego porywczosci, skłonności do karania winnych i eliminowania tych, którzy mu się sprzeciwiali. A co chyba najważniejsze, potrzebował ochrony, którą dawały mu wpływy Kuraty. Był przecież winien wielu złych rzeczy, które już zdążył zrobić

w służbie wuja.

Jego serce zapadło się w piersi na samą myśl o tym, co do-
tąd widział, o czym wiedział. Miał też pewność, że zobaczy i
dowie się rzeczy stokroć gorszych. Po latach spędzonych w
Stanfordzie zdawał sobie sprawę, że - przynajmniej według za-
chodnich standardów - popełnił przestępstwo, bo wiedział o
zbrodni i nie zawiadomił o niej. Jego jedyną szansą na przetrwa-
nie były mocne skrzydła Kuraty. Ale tę ochronę mógł zdobyć
tylko za cenę lojalności i posłuszeństwa. Własne postępowanie
zapędziło go w pułapkę. Gdybyż umiał sprzeciwić się wcze-
śniej! Kiedy wrócił do Japonii z college'u, miał wielu przyjaciół,
którzy starali się strącić z siebie siłę tradycji. Powinien był się
ich trzymać, ale tradycja i sztywne nakazy posłuszeństwa zmu-
szały dobrych ludzi do złych postępów. Przełknął ślinę, poczu-
cie winy ścisnęło mu gardło.

- Tak, Sensei-san - skłonił się Sugawara. - Wybacz mi mój
zamęt w głowie. Nie mam prawa kwestionować tych decyzji.

Umierające dzieci w jego głowie zaczęły krzyczeć głośniej.

Rozdział 9

Burzliwy aplauz trząsł salą balową w Hilton's Grand Hotel
w Waszyngtonie, kiedy Lara Blackwood schodziła z podium z
aktówką pełną notatek i dokumentów, które uczy-niły jej poran-
ną prezentację najgorętszym tematem w mediach, w mieście
oszałałym na punkcie mediów. Wykład, który wygłosiła do
tłumnie zgromadzonej publiczności naukowców, pracowników
rządowych i dziennikarzy z czterdziestu czterech krajów, w nie-
których wywołał wściekłą furję, ale większość zachwycił.

To wydarzenie - zorganizowane przez Biały Dom sym-
pozjum na temat terapii genowej - zostało zaplanowane na dłu-
go, zanim Lara rozpoczęła pracę dla Białego Domu, ale od jej

przybycia przygotowania nabrały rozpędu, a dzięki swojej energii przekształciła serię suchych, przeważnie rozwlekłych wykładów i referatów w wydarzenie wielkiej rangi, które stacja CNN określiła jako „Zjednoczone Narody ludzkiej genetyki”. Nigdy wcześniej ogólnokrajowe media nie poświęcały tyle uwagi prawdziwym problemom nauki, tak słabo rozumianej, mylnie interpretowanej i demonizowanej. Właśnie takie były jej intencje.

U stóp podium, Lara wtopiła się w wir ludzki, który otoczył ją kręgiem, chcąc zwrócić na siebie jej uwagę. Wzorem znanych polityków, potrząsała najbliższymi dłońmi, poklepywała ramiona, patrzyła w oczy w niej utkwione. Jej pozycja, renoma i energia wyróżniały ją i w ciągu paru chwili otoczyły ją kamery telewizyjne. Prezenter sportowy pewnej sieci nazwał ją „gigantyczną Anną Kurni-kową”, a prasa polityczna posunęła się jeszcze dalej, porównując jej prezentację do Julii Roberts, a jej postawę do Janet Reno.

- Lisette Harley, CNN - odezwała się pierwsza reporterka, która wybiła się z napierającego na Larę młyna. Wycelowała mikrofon w twarz Lary. Oślepiające światła reflektorów padły na unikalne, jaśniejące, czerwone kolczyki z sycylijskiego bursztynu, które Lara kupiła na Malcie dzień po zwycięstwie w samotnym rejsie po Morzu Śródziemnym na swoim jachcie. Kolczyki miały kształt serc i zawierały owady.

- Czy należy poważnie traktować pani ostrzeżenie, że badania genetyczne mogą doprowadzić do powstania swego rodzaju „bomby etnicznej” — broni biologicznej, zdolnej do starcia z powierzchnią ziemi danej rasy lub grupy etnicznej, bez szkody dla pozostałych ras?

Lara zmrużyła oczy w intensywnym świetle.

- Fakty mówią same za siebie - odpowiedziała, kładąc przed sobą aktówkę i wyciągając z niej dwa arkusze papieru.

- Mamy tu - Lara wyrównała i pokazała arkusz reporterce - aktualną listę chorób ograniczających się do takiej czy innej grupy etnicznej. Mukowiscydoza dotyka głównie rasę białą, zespół Taya-Sachsa przede wszystkim semicką, niedokrwistość sierpowata dotyczy Afroamerykanów i tak dalej. Lista wymienia obecnie ponad dwieście takich chorób.

Lara przerwała i wydobyła z teczki jeszcze jedną fotokopię i wyciągnęła ją przed siebie, żeby operator mógł zrobić zbliżenie.

- Oto o wiele krótsza lista powiązanych z przynależnością etniczną chorób, na które istnieją lekarstwa i terapie, terapie, wyłączające u chorego specyficzne sekwencje DNA, które są przyczyną choroby.

Patrząc prosto w kamerę, Lara powiedziała dobitnie: -Wiem coś niecoś o tym, ponieważ ponad połowa tych terapii została opracowana przez moją byłą firmę Gen-Intron. Jeśli jesteśmy w stanie stworzyć środek farmaceutyczny, który dociera do specyficznych sekwencji DNA, kojarzonych z konkretnymi grupami etnicznymi, teoretycznie jest też możliwe opracowanie środka zabójczego, który działa na tej samej zasadzie.

- Ale badania nad ofensywną bronią biologiczną są zakazane na mocy umów międzynarodowych - sprzeciwiła się agresywnie inna osobowość telewizyjna. Lara zwróciła się ku źródłu tego wyzwania i ujrzała młodą, nienagannie uczesaną blondynkę z równymi białymi zębami i przesadnym makijażem, w garsonce za dwa tysiące dolarów.

Lara potrząsnęła głową, pytając wzrokiem, jak może być tak naiwna.

- Nie ulega wątpliwości, że terroryści gwizdzą na umowy międzynarodowe. A skoro tak, czy da się powstrzymać fanatów pewnych nacji od chęci zabijania przedstawicieli innych narodów albo... - zawahała się. - Albo dzisiejszych nacjionali-

stów japońskich od stosowania wysokiej technologii, żeby pozbyć się z kraju Koreańczyków czy innych niepożądanych nacji?

Szum przebiegł przez zgromadzonych. Jej firma została kupiona przez japoński koncern i wszyscy zastanawiali się, po czyjej jest stronie.

Blondynka kilkakrotnie otworzyła i zamknęła buzię. Lara wyobraziła sobie, że mózg reporterki, w ślad za ustami, jałowo chwytą powietrze w poszukiwaniu inteligentnej riposty, zupełnie jak ryba wyjęta z wody. Nie po raz pierwszy Larę przeraziła myśl, że większość ludzi czerpie wiadomości o świecie z telewizji. Zanim blond gwiazda telewizyjnych wiadomości ubrała myśli w słowa, reporterka CNN przerwała zamieszanie.

- Zdawało mi się, iż powiedziała pani, że pojęcie rasy jest przebrzmiałe, niedzisiejsze - zagaiła reporterka, bo ona najwyraźniej odrobiła zadanie. - Że nie ma genu determinującego bycie białym lub Japończykiem.

- Technicznie tak jest rzeczywiście - odparła Lara. - Nie istnieje taki pojedynczy gen, w rzeczywistości nie ma żadnego spójnego profilu DNA dla konkretnej rasy. W gruncie rzeczy w obrębie jednej rasy mamy do czynienia z takim samym lub nawet większym zróżnicowaniem genetycznym - użyła palców, by zobrazować cudzysłów przy słowie „rasa” - niż między przedstawicielami różnych ras.

- Jak więc tłumaczy pani teoretyczną możliwość wyprodukowania bomby etnicznej? - nalegała Hardey.

- Ponieważ ludzie, mieszkający na danym terenie, którzy zwyczajowo pobierają się w obrębie własnej grupy, rozwijają pewne sekwencje genów, które są identyczne. To nie tyle kwestia rasy, co procesu upodobnienia genetycznego. Widać to u Amiszów i u większości wiejskich społeczności na świecie, które nie migrują i wybierają małżonków spośród tych, których do-

brze znają. Żeby stworzyć etniczną bombę, jak pani to nazywa, trzeba jedynie możliwości przeszukania DNA i odnalezienia tych właściwych sekwencji.

Kolejne wykrzyzcane pytanie dobiegło z gąszczu reporterów, ale zanim Lara zdążyła odpowiedzieć, bardzo wysoki, niesamowicie chudy młody człowiek w prążkowanym garniturze przepchnął się przez tłum. Reporterzy telewizyjni rozpoznali go chwilę później niż Lara. Peter Durant, pracoholik, ekspert Białego Domu do spraw polityki zdrowotnej, a zarazem, wcale nie przypadkowo, człowiek, którego szef biura prezydenta obarczył obowiązkiem pilnowania Lary.

- Przepraszam, że muszę wam przerwać - powiedział Durant do kamer. - Pani Blackwood jest pilnie potrzebna na spotkaniu w Białym Domu. - Lara spojrzała na niego pytająco; Durant przechylił głowę w stronę wyjścia z sali. Idąc za jego spojrzeniem, Lara zobaczyła dwóch agentów tajnej służby, którzy stali - wyraźnie zaniepokojeni i osamotnieni w tłumie - tuż za kręgiem reporterów telewizyjnych.

Durant był jednym z niewielu ludzi spoza rządu, któremu należała się ochrona tajnych służb. Proponowane przez niego zmiany w systemie opieki zdrowotnej dopieklej dziesiątkom milionów ludzi, jak można się było spodziewać, spowodowały, że zaczęto mu grozić śmiercią. („To kolejny argument za finansowaniem przez rząd opieki psychiatrycznej" - lubił mawiać. Ludzie, którzy nie wiedzieli, że Durant nie ma poczucia humoru, brali to za świetny żart).

Badania genetyczne i przymusowe aborcje w przypadku płodów z poważnymi uszkodzeniami były głównym punktem programu ograniczenia kosztów Duranta. Lara w tej sprawie ścierała się z nim wielokrotnie, argumentując, że przymusowe przerwanie ciąży pozbawia kobiety wolnego wyboru w taki sam sposób, jak całkowity zakaz aborcji. Była to gorąca debata, któ-

ra nieraz odbijała się echem w prasie. Każda taka historia wywoływała więcej śmiertelnych pogroźek, wymierzonych przede wszystkim w Duranta.

Z tego to powodu, jak również z powodu demonstracji, które stały się plagą Lary w GenIntronie, przydzielono jej ochronę osobistą, która jak dotąd, okazała się niepotrzebna. Protestujący zadymiarze wydawali się przywiązani raczej do GenIntronu, nie do niej osobiście. Znowu mogła się cieszyć swobodą samotnych spacerów. Przeprosiwszy dziennikarzy, Lara wyszła za Durantem z sali na korytarz. Do dwóch agentów tajnej służby, których zauważyła Lara, dołączyli trzej inni, którzy wyłonili się z tłumu i uformowali coś w rodzaju tylnej straży, idąc pomiędzy tacami wypakowanymi brudnymi naczyniami po uroczystym lunchu.

Kiedy oddział ochrony dyskretnie się zdystansował, Durant zwrócił się do Lary. - Nigdy nie widziałem, żeby ktoś szybciej niż ty pozbył się tylu ludzi. Głośno wypuścił powietrze i potarł twarz, sfrustrowany.

Przyjrzała się wyrazowi jego twarzy i, jak zwykle, znalazła w niej więcej do lubienia niż do nielubienia. Parę razy wyszła z Durantem towarzysko i za każdym razem wracała do domu zdumiona, że człowiek tak inteligentny może być taki monotematyczny i nie umie czy też nie chce rozmawiać o niczym innym. Był największym sztyw-niakiem, jakiego spotkała w życiu. W końcu przestała przyjmować jego zaproszenia, bo głębokie polityczne dyskusje na temat współfinansowania służby zdrowia zupełnie nie pasowały do francuskiego bordeaux z pierwszego zbioru.

Kilkanaście kroków przeszli w milczeniu, zanim Lara odpowiedziała. Przechodząc ostrożnie nad stertą czegoś, co kilka godzin wcześniej udawało gumowego kurczaka, powiedziała spokojnie:

- Z kim mam się spotkać w Białym Domu?

Z wolna pokręcił głową, pochylił się i powiedział: - Nie wiedziałas dzisiaj tego, czego się spodziewaliśmy.

- To znaczy, że nie przeczytaliście wcześniej mojego referatu.

- Przecież wszystko było z tobą przedyskutowane — syknął ze złością Durant. - W odczuciu prezydenta...

- Nie pieprz, Durant - warknęła Lara. - Prezydent przez większość czasu nie ma żadnych odczuć, bardziej słucha swojego prozaku niż ciebie, mnie, czy kogokolwiek.

Durant otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale po zastanowieniu zaniechał tego. Zbliżyli się do windy towarowej i dogonili tajnych agentów, czekających na swoim stanowisku. Lara i Durant milczeli nadal, kiedy winda podjeżdżała. Jeden z agentów wszedł do kabiny, jak tylko otwarły się poharatane drzwi. Chwilę później wyszedł, zadowolony, że jest pusta i przytrzymał drzwi.

- Spotkamy się na dole według instrukcji, sir - powiedział agent.

Lara patrzyła, jak się pochyła i naciska guzik najniższego poziomu garaży.

- Jezu Chryste! Nie wiesz, co robisz! - powiedział Durant, jak tylko drzwi windy się zamknęły z głośnym cmoknięciem. Zamknął oczy i lewą ręką przetarł twarz.

- Co proszę? - Lara chłodno uniosła brwi.

- Teraz zadzierasz nie tylko z Białym Domem - ostrzegł, kiedy winda zjeżdżała w dół. - Chodzi też o inne interesy.

- W moim interesie jest dobro nauki — powiedziała Lara. - Swoimi politycznymi budżetami możesz się...

Durant spojrzął jej w twarz i dopiero wtedy zauważyła, że jest naprawdę przejęty.

- Laro, czy ci się to podoba, czy nie, polityczne bzdety mają wpływ na nasze życie, póki pracujemy dla rządu. Nie jest to zachwycające, ale nie ma znaczenia, czy rządysz czy należysz do rządzonych, polityka jest częścią życia, więc lepiej zacznij się do tego przyzwyczajać. - Przerwał, winda dalej turkotała w dół. - Nazwij to jak chcesz, ale to wszystko ma związek z twoimi niedawnymi zajęciami nadprogramowymi.

- Czym?

- Igrasz z ogniem... - hałaśliwie wciągnął powietrze w płuca, wpatrując się w sufit windy i nagie, fluorescencyjne lampy.

- Z ogniem? - zapytała Lara łagodniejszym tonem, kiedy uświadomiła sobie jego strach. - Jak to? Założę się, że to chodzi o finansowanie kampanii wyborczej. Wiem, że prezydent i jego partia dostają olbrzymie kwoty od Kuraty i jego kierownictwa. Już raz i mnie próbowali wykręcić ręce, żebyś robiła to, czego chcą.

Durant niespodziewanie zachichotał.

- Z czego się śmiejesz?

- Wyobraziłem sobie, jakby wyglądał ktoś, kto by próbował wykręcić ci ręce.

Uśmiechnął się. - Wiem, co ty i inni o mnie myślicie. - Jego głos nagle złagodniał. - Ale naprawdę leżą mi na sercu problemy służby zdrowia, całe to grzęzawisko... - Przerwał, szukając odpowiednich słów. Odwrócił od niej wzrok i przemówił w końcu jakby do sufitu. - Najwyraźniej polityka to nie twoja broszka. Jesteś przeinteligentną kobietą, która wniosła przeogromny wkład w rozwój medycyny i martwię się, że twoja pozycja w Białym Domu może być poważnie zagrożona, ponieważ pomagałaś tym lekarzom w Tokio. Uważają cię za kompletnie nieprzewidywalną.

- Świetnie - ucięła. -Jeśli prezydent chce się mnie pozbyć, to teraz jego ruch. Mam tego dosyć. - Stała z nim oko w oko, niemal dziabiąc go nosem. I czekała.

Wreszcie Durant wzruszył ramionami i odwrócił się.

-Wiesz, że jak mało kto mam dostęp do prezydenta i słyszę to i owo. Często nie są to rzeczy przeznaczone dla moich uszu. A przez ostatnią dobę miałem powody się niepokoić, że mimowolnie wplątałaś się w aferę większą niż ci się zdaje.

- Ależ ja tylko zrobiłam grzeczność dawnemu koledze z uczelni...

- Rozumiem, ale z reakcji niektórych kręgów wnioskuję, że wpakowałaś się w grubszą sprawę, dotyczącą naszych sojuszków i bezpieczeństwa narodowego.

- Przestań! - zaprotestowała Lara. - Nie wydaje ci się, że mamy obowiązek - obowiązek wobec publicznego zdrowia - by zbadać ten zarazek? Przecież to rzut beretem od Stanów.

Potrząsając energicznie głową, Durant powiedział: - Nie znam szczegółów, ale to sprawa o wiele poważniejsza niż mogłabyś się spodziewać. - Winda z trzaskiem zatrzymała się. - Może nam się to nie podobać, ale ochrona przed globalnym terroryzmem oznacza, że musimy współpracować z ludźmi, których nie lubimy, godzić się na kompromisy, które przed jedenaścim wrześnią były nie do przyjęcia. Zdaje się, że w takie coś wdepnęłaś i dlatego prezydent osobiście nalega, żebyś zapomniała o tym telefonie z Tokio. Tak będzie najlepiej dla kraju, dla świata..., a także dla Lary Blackwood.

Drzwi windy otworzyły się; wyszedł, potem znowu odwrócił się do niej. Ze sposobu, w jaki blokował wyjście, wyraźnie nie chciał, żeby poszła za nim.

- Zastanów się dobrze - powiedział, kiedy drzwi na powrót zaczęły się zamykać.

Rozdział 10

W ciemnościach tokijskiej nocy para wydobywała się z ulicznych kratek kanalizacyjnych, jak niezliczone duchy. Przyćmione światła odległej ulicy docierały w zakamarki wąskich zaułków i podświetlały parę, dodając duchom życia. Podpułkownik Denis Yaro usłyszał, że coś za nim świsnęło; odwrócił się w samą porę, by dostrzec, jak błysk miecza wychyla się z nieprzeniknionych cieni przedświt i równiutko odcina głowę Jima Conдона od karku.

- Matko! - westchnął Yaro bełkotliwie. Załamały się pod nim kolana i mrużąc oczy, wpatrzył się w mrok. W ciemnym zaułku w dzielnicy Kabukicho nie dało się wiele zobaczyć, było natomiast pole dla wyobraźni.

- Wypiłem o jednego za dużo - mamrotał Yaro, kołyszając się niepewnie na nogach. Rozporek jego spodni wciąż był niedopięty po odwiedzinach w nopan kissa, rozbieranej knajpie, do której wpadli, szukając drogi. - Ale halucynacje...

Głowa Conдона jak wydrążony melon postukiwała po kamieniach brukowych, a gejzer świeżej krwi z jego rozciętych arterii szyjnych otrzeźwił wojskowego lekarza. Błyskawiczna dekapitacja nie była alkoholowym zwidem. Ciało Conдона osunęło się, Yaro odruchowo doskoczył, by go podtrzymać i oberwał strumieniem krwi w twarz.

- Chryste - wymówił już wyraźnie Yaro, mocując się z ciałem przyjaciela, układając je delikatnie na bruku obok głowy. Wciąż walczył z zamroczeniem, usiłował myśleć logicznie i ja-koś wytłumaczyć sobie ten koszmar. Absurdalnie pomyślał, że czaszka doznała urazu. - Boże, Boże.

- Twój Bóg ci już nie pomoże - usłyszał kobiecy głos zza zasłony ciemności.

- Coo? - Yaro starł krew z oczu i wpatrzył się w noc. Najpierw dostrzegł błysk metalu, w którym odbijało się słabe światło dalekiej ulicy. Potem bardzo wysoki, chudy człowiek z mieczem wyszedł z najciemniejszego cienia. Za nim Yaro zobaczył podświetlone włosy blondynki, a poniżej włosów wysportowaną szczupłą sylwetkę kobiety o wielkim biuście.

- Nie wzywaj pomocy - powiedział mężczyzna. - Chyba, że chcesz od razu dołączyć do kolegi.

Patrząc na swego rozmówcę, Yaro pomyślał, że wygląda on jakby znajomo. Pił w tej samej knajpie? W zakamarku umysłu cichy, niepokojący głos mówił mu, że to niedobrze, że pozwolił mu ujrzeć swą twarz.

Podczas gdy zabójca stał oko w oko z Yaro, kobieta stanęła za lekarzem. Chwilę potem poczuł lodowaty dotyk stali na karku.

- Nie ruszaj się - rozkazała. Yaro próbował pokiwać głową, ale poniechał tego. - Teraz powiedz, kto za tobą stoi.

Myśli Yaro pędziły jak oszalałe. - Nie wiem, o czym mówicie - wykrztusił w końcu. Natychmiast poczuł mrozący dotyk na karku i stróżka krwi pociekła mu po szyi.

- Nie graj z nami w chuja, doktoru - powiedział mężczyzna, wymachując ostrzem milimetry od twarzy Yaro. - Widziano cię w szpitalu na przeszpiegach. Dowiedziałeś się skądś o Operacji Tsushima, a my teraz dowiemy się od ciebie, kto ci dał cynk.

- Nic nie wiem o żadnej Operacji Tsushima - powtarzał Yaro z uporem. Po prostu chcieliśmy nieść pomoc, leczyć chorych. Ouć! - Ostrze zagłębiło się mocniej w skórę.

- Nie miej nas za kretynów - powiedział mężczyzna.

- Dobrze wiemy, że nie przypadkiem wszyscy inni lekarze

wojskowi mieli zakaz opuszczania waszej bazy. Nie wydaje nam się, że po prostu zgłosiłeś się na ochotnika do pomocy. - I mężczyzna umieścił koniec miecza pod okiem Yaro. -Jeżeli nie opowiesz nam szczegółowo o tym, co chcemy wiedzieć, stracisz najpierw jedno oko, potem drugie.

Yaro zamknął oczy. - Nic nie wiem. Nie wiem, o czym mówicie. - Silny, metaliczny zapach unosił się w zaułku.

-A lepiej, żebyś wiedział - powiedział mężczyzna. -I to zaraz.

- Tsushima... - wyskrzypiał Yaro po dłuższej chwili.

- Cieśnina Tsushima... Rok 1905... Japończycy pokonali rosyjską flotę... Co uczyniło z Japonii mocarstwo światowe...

Yaro krzyczał straszliwie, kiedy miecz obrócił się w jego prawym oczodole.

Rozdział 11

Migotliwe światło z buzującego na kominku ognia igrało z pogłębiającymi się popołudniowymi cieniami, które osadzały się w kątach Błękitnego Pokoju w Białym Domu. Urządzenie klimatyzacyjne szumiało nieprzerwanie. Lara Blackwood siedziała przy ogniu w fotelu w stylu Bellange rocznik 1817 i bawiła się ustawieniami barometru i wysokościomierza na swoim zegarku.

Popatrzyła w płomienie i - nie po raz pierwszy tego coraz późniejszego popołudnia - przypomniała sobie koktajlowe przyjęcie dla personelu jakiś miesiąc wcześniej, kiedy ten sam psychiatra, który wypisywał prezydentowi recepty na prozac, powiedział jej na osobności, że prezydent zlecił mu stworzenie we wszystkich pokojach w Białym Domu „odpowiedniej, emocjonalnie korzystnej atmosfery, sprzyjającej sukcesom”.

„Ogień i lód, yin i yang, przeciwieństwa we właściwych

proporcjach" były według niego kluczami do wszelkiego sukcesu. Ośmielony drinkami z martini, posadzony obok Lary w upakowanej, hałaśliwej sali, ten podchmielony hochsztapler wywnętrzał się na temat swoich teorii, cały czas zapuszczając żurawia w rowek między piersiami Lary, który odsłaniała jej raczej skromna jedwabna suknia koktajlowa. Ponieważ w pokoju panował ścisk jak w metrze w godzinie szczytu, wykorzystywał ten fakt w pełni, wpijając się ramieniem w jej biust przy każdej nadarzającej się okazji.

Według opinii Lary opłacało się znosić tę małą niedogodność w zamian za cenny wgląd w skomplikowane sprawy Białego Domu, zajmowanego przez człowieka, którym wprawdzie elektorat pogardzał, ale oddał na niego głosy, ponieważ drugi kandydat był jeszcze mniej sympatyczny.

Jak przez cały czas tego popołudnia, odkąd prezydent wezwał ją niespodziewanie, Lara gapiała się w ogień, czuła zimny strumień powietrza i potrzasała głową na wspomnienie pijanego psychiatry.

Poruszywszy się, żeby nie ścierpły jej stopy, Lara popatrzyła na zegarek. Zmarnowała już jak dotąd półtorej godziny. Spoglądała wyczekująco na drzwi, marszczyła brwi, kiedy uparcie się nie otwierały, potem zwracała wzrok na sufit, życząc sobie, żeby facet w Pokoju Owalnym nad nią zebrał wreszcie dupę w troki.

Z głośnym westchnieniem, które jak miała nadzieję, zostanie zarejestrowane przez urządzenia podsłuchowe, Lara wstała już chyba tysięczny raz tego popołudnia i przypatrzyła się dwóm wazonom z Sevres na półce kominka. Broszurka, bez wątplenia pozostawiona tu przez jakiegoś turystę rankiem, kiedy pokój ten był dostępny dla zwiedzających, poinformowała Larę, że wazony zostały wykonane około 1800 roku i zakupione przez prezydenta Monroe do jego pokoju karcianego, „znanego jako

Pokój Zielony". Lara spoglądała leniwie na delikatne wazony, ozdobione scenami z Passy, „przedmieścia Paryża, gdzie Benjamin Franklin mieszkał podczas swego pobytu we Francji". Zastanawiała się, gdzie podzieli się wszyscy wielcy ludzie. Odwróciwszy się od kominka, zatoczyła powoli małe kółko, przyglądając się portretom na ścianach: Andrew Jackson, John Adams, Thomas Jefferson, George Washington. Był też portret Jamesa Monroe, namalowany przez innego sławnego Amerykanina, Samuela F.B. Mor-se'a, wynalazcę telegrafu. Oto giganci, ojcowie narodu; dlaczego miała wrażenie, że przez ostatnie pół stulecia rządziły w tych pokojach miernoty? Czy ludzie tak skarleli? Czyżby prymitywne marzenia elektoratu spełniały się w lide-rach, na których zasłużyli?

Zanim zdążyła zadać sobie kolejne pytanie bez odpowiedzi, Lara usłyszała głosy z holu. Odwróciła się ku otwierającym się drzwiom i słabo westchnęła, kiedy stwierdziła, że osobą, która pojawiła się w wejściu nie był wcale prezydent, ale Tokukaro Kurata, prezes Daiwa Ichiban Corporation, człowiek, który wyrzucił ją z jej własnej firmy. Za Kuratą postępował mężczyzna, którego pamiętała ze zdjęć: japoński premier Ryoichi Kishi; dwaj panowie zrobili parę kroków i zatrzymali się. Dopiero po Japończykach pojawił się prezydent, zamykając za sobą drzwi.

- Laro, spodziewam się, że zna pani pana Kuratę? - powiedział prezydent bez powitania. Lara przyjrzała się bacznie prezydentowi i nawet z pewnej odległości dostrzegła jego rozmiękczone oczy, co świadczyło, że tego ranka prezydent zażył swój prozac. Wprawdzie pomagało mu to opanować napady wściekłości i gwałtowne zmiany nastroju, pozbawiało go jednak intelektualnego pazura - rozbrajało instynkt drapieżcy, który według niej przydałby się przywódcy na jego stanowisku.

Lara kiwnęła głową. - Minęło już kilka miesięcy - powiedziała, siląc się na uprzejmość.

- A oto premier Kishi - przedstawił prezydent. Premier Japonii wykonał bardzo płytki grzecznościowy ukłon.

- Bardzo mi miło - powiedziała Lara, próbując nie okazać niesmaku. Kishi piął się mozolnie w górę w japońskim świecie polityki, jako prezes ultranacjonalistycznej partii Kokuhansha. On i jego poplecznicy byli prawdziwymi fanatykami, nacjonalistycznymi ideologami, którzy wypłynęli na powierzchnię na zasadzie szumowiny, na fali prawicowych sentymentów zostali wyniesieni, aż na szczyty władzy. Niezachwianie wierzyli w czystość rasową, odrodzenie japońskiego ducha, domagali się nawet kary śmierci dla tych bardziej umiarkowanych polityków, którzy nieśmiało sugerowali, że Japonia była w II wojnie światowej agresorem i powinna za to przeprosić.

Po ceremonii przedstawienia nastąpiła krótka, niezręczna chwila ciszy. Lara przenosiła wzrok z twarzy na twarz - w górę na prezydenta, w dół na premiera i prosto w oczy wodzowi najpotężniejszego zaibatsu w Japonii. Ciszę przerwał Kurata.

- Pan prezydent w swojej uprzejmości oprowadzał nas po tym historycznym budynku rządowym, kiedy napomknął, że pani przypadkiem jest tutaj. Nalegałem, żeby się zatrzymać i złożyć pani wyrazy uszanowania.

- Przypadkiem? - Lara rzuciła prezydentowi ostre spojrzenie, które szybko złagodniało, kiedy zobaczyła troskę na jego twarzy.

Dobra, koleś. Pobawimy się teraz w twoją gierkę, ale potem zapłacisz za mydlenie mi oczu.

Wcale nie zbита z tropu, rzuciła uśmiech Kuracie i powiedziała grzecznie: -Jak to miło z pana strony, że pomyślał pan o mnie.

Bez słowa, Kurata skłonił się leciutko i zwrócił do pozostałych mężczyzn.

- Nie chciałbym zatrzymywać panów, wzywają was ważne

sprawy - powiedział Kurata do prezydenta i premiera.

- Przy sprawach wagi państwowej jestem nieważnym pionkiem, pozwólcie więc, że pozostanę tu z panią Blackwood, a wy będziecie kontynuować rozmowę.

Larze wydało się, że zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż jak prośba. W każdym razie, prezydent i premier zgodzili się z nim tak szybko, że nie miała wątpliwości, iż scena ta została wcześniej zaaranżowana. Prezydent otworzył drzwi przed premierem, przepuścił go przodem. Potem, zanim zamknął drzwi, zwrócił się do Lary, kładąc dłoń na wypolerowanej mosiężnej gałce.

- Proszę uważnie i cierpliwie wysłuchać Kuraty-sana - powiedział prezydent. I nie czekając na odpowiedź, szybko wykonał zwrot i zamknął za sobą drzwi, nie pozostawiając wątpliwości, że cokolwiek powie Kurata, jest przez Biały Dom usankcjonowane.

Kurata podszedł bliżej do Lary. Miał na sobie ten sam (lub taki sam, bo plotka głosiła, że ma tylko dwa identyczne garnitury) ciemny garnitur, w którym wystąpił podczas końcowych negocjacji przy przejściu GenIntronu. Lara właściwie spotkała go tylko dwukrotnie, raz pod koniec negocjacji, drugi podczas ceremonialnego podpisania umowy. Resztą formalności zajęli się podwładni Kuraty. Nigdy nie była z nim sam na sam.

Kiedy podszedł, zauważyła ręczne szwy na jego garniturze oraz emaliowaną spinkę Daiwa Ichiban Corporation w kłapie.

- Może zechciałaby pani usiąść? - zaproponował. Lara potrząsnęła głową i uprzejmie odparła:

- Nie, dziękuję.

Dostrzegła zmarszczkę niezadowolenia, co było dla niej całkiem zrozumiałe. Kurata był średniego wzrostu Japończykiem swojego pokolenia: mierzył około pięć stóp siedem cali. Wprawdzie powojenna poprawa odżywiania i opieki medycznej

spowodowała, że młode pokolenie Japończyków było wyższe, Kurata i tak był o cztery cale niższy od Lary, a ona zdawała sobie sprawę, że patrzenie na nią z dołu onieśmiela go i drażni.

- Cóż, dobrze - zgodził się płasko i wpatrzył się w ogień.

Cisza przeciągała się przez minutę, potem dwie, akcentowana tylko sykiem i trzaskiem płomieni oraz szumem klimatyzacji w tle. Taka cisza u Japończyków wywoływała mniej napięcia i zakłopotania niż u ludzi kultury zachodniej. Lara powstrzymywała język, obserwując płomienie.

Wreszcie Kurata zwrócił na nią wzrok. Lara odwróciła głowę i spojrzała mu prosto w oczy, czego japońskie kobiety nigdy nie robiły. Ich kultura interpretuje to jako agresywne, czasem widzi w tym podtekst erotyczny. Wahała się przez chwilę i pozwoliła sobie na leciutki uśmiech.

- Jesteśmy niewymownie wdzięczni za wspanała i wydajną organizację, jaką po pani przejęliśmy - rzekł Kurata. - Fundament, który pani położyła, pozwolił nam na poczynienie radykalnych kroków naprzód w ciągu kilku krótkich miesięcy od transakcji.

Lara podziękowała za te słowa skinieniem głowy i zwalczyła w sobie gniew i chęć powiedzenia mu, żeby przechodził do sedna.

- Wkład GenIntronu zapoczątkował wydarzenia wielkiej wagi - ciągnął Kurata. - Wydarzenia, które będą miały przemożny wpływ na obraz świata.

Dobra! Powiedz wreszcie to, co chcesz powiedzieć!

-Jednakże doszły do mnie wieści, że bez upoważnienia komunikowała się pani z kołami, które zdobyły nielegalną wiedzę o naszych działaniach.

Lara zmarszczyła brwi.

- Może pani wiele zyskać dzięki współpracy z nami - mówił dalej Kurata. - Ma pani spore udziały i chociaż zgromadziła

pani okazały majątek dzięki naszej transakcji, może pani zyskać o wiele więcej, po prostu trzymając się z daleka od spraw firmy i nie przeszkadzając w naszych poczynaniach.

- Czy mówi pan o tych zarazkach tokijskiej epidemii? - zapytała Lara wprost.

- Dokładnie o to chodzi - potwierdził Kurata. - Jeżeli nie chcesz pani zapomnieć o całej sprawie z pobudek finansowych, muszę zaapelować, by wzięła pani pod uwagę swoje osobiste bezpieczeństwo.

Lara oniemiała, szczeka nieomal opadłajęj ze zdumienia.

- Czy pan mi grozi?

Otworzyła usta, potem jeszcze szybciej je zamknęła, bo wściekle słowa cisnęły jej się na usta. Zamiast się odezwać, odwróciła się i przeszła pod okna, za którymi już zapadał wieczór. Oddychając szybko w gniewie, Lara popatrzyła na pomnik Waszyngtona. Na pierwszym planie zobaczyła cztery czerwone światła znaczące teren lądowiska prezydenckiego helikoptera.

W ciemnej szybie odbijał się powiększony wizerunek Kuraty, nakładając się na monument.

- Zachodzą historyczne zmiany, których nie może pani powstrzymać - powiedział Kurata tak cicho, że Lara ledwie go do słyszała. - Może pani na tych wydarzeniach skorzystać albo może pani zostać przez nie zmiażdżona. Wybór należy wyłączyć do pani.

Stanął, oczekując na odpowiedź.

To ty zabiłeś tych wszystkich Koreańczyków, prawda? chciała powiedzieć. Ale nie odezwała się, zamiast tego obserwowowała jego beznamietną twarz odbitą w szybie. - Niezależnie od tego, co pani czuje, musi pani zdecydować, czy chce pani włączyć się w bieg dziejów, który teraz nabiera tempa.

Myśli Lary pędziły jak wicher. W pierwszym odruchu chciała uderzyć go w tę ślimakowatą głębę i powiedzieć, żeby

się odpieprzył i przeczytał o swoim nowym, udoskonalonym etnicznym Niszczycielu w Washington Post. Ale jakie miała dowody na to, że Kurata i jego neonacjonalistyczne zbiry stosują inżynierię genetyczną, może wykorzystują nawet jej własne osiągnięcia z GenIntronu, aby selektywnie zabijać Koreańczyków? Żeby ktokolwiek jej uwierzył, potrzebowała niezbitych dowodów, a one mogły pojawić się już w ciągu kilku godzin. Ostatni e-mail od Ismaila Brahimiego mówił, że już prawie skończył analizę próbek przesłanych przez Jima Condon.

Ismail Brahimi pomógłby jej ugryźć ten problem. Ale nie da się tego zrobić, jej każdy krok będzie śledzony przez Kuratę i jego ludzi. Doszła do wniosku, że pozorna uległość, przynajmniej na krótką metę, pozwoli jej zyskać na czasie i będzie najlepszą drogą do zwycięstwa.

Lekko skłoniła głowę. - Jak zawsze, jest pan bardzo przekonujący, Kurata-san.

Uniósł brwi, zaskoczony, że było to takie łatwe. Ale, pomyślał Kurata, człowiek taki jak on potrafi dokonywać zaskakujących rzeczy. Zwłaszcza, kiedy ma do czynienia z kobietami, zwłaszcza, jeśli te kobiety są mieszańcami, nawet tak sławnymi jak ta tutaj.

- Proszę wybaczyć - powiedział Kurata. - To nie ja mam dar przekonywania, ale sama idea jest przekonująca. Pewien Francuz, Victor Hugo, jak sadzę, powiedział, że: „Można powstrzymać inwazję całych armii, ale nie ideę, której czas nadszedł”. Uśmiechnął się. - Jest pani bardzo inteligentną kobietą, że dostrzegła pani, iż jest to właśnie jedna z takich idei.

Lara przełknęła gniew, który ścisnął jej gardło. - Oczywiście, Kurata-san.

Uklonił się. - Proszę wybaczyć, że zabrałem pani tak dużo cennego czasu. Wyjdę teraz, żeby dłużej nie sprawiać pani kłopotu.

Lara ukloniła się, pilnując, by jej ukłon był głębszy i niższy, żeby pokazać swoją uległość. *Ty oślizgły, obłudny skurwielu.*

- To żaden kłopot - przefiltrowała złość z tonu głosu. - Pan mnie oświecił.

Kurata odwrócił się, podszedł do drzwi i zniknął za nimi.

W samolocie linii United Airlines, który wyrównywał lot nad Oceanem Spokojnym na wschód od Japonii, Sheila Gaillard założyła na twarz jednorazową maskę chirurgiczną. Ze względów oszczędnościowych ta i inne amerykańskie linie poddawały powietrze w kabinie wielokrotnemu recyklingowi; wpuszczano tak mało świeżego powietrza, że panowały tu doskonałe warunki do przenoszenia się chorób. Wystarczyło, żeby jeden chory pasażer zakaszlał lub kichnął, a w ciągu godziny, dzięki cyrkulacji nieświeżego powietrza, każdy na pokładzie był narażony na kontakt z mikroorganizmami. Maski przyciągała od czasu do czasu zdziwione spojrzenia, ale było to lepsze od zachorowania. W przejściach między siedzeniami stewardessy przesuwają wózki z posiłkami, potrącając ramiona, łokcie i kolana nieszczęśliwych pasażerów wtłoczonych w siedzenia nie nadające się dla ludzi powyżej osiemdziesięciu funtów wagi. Wózki roztaczały woń szkolnej stołówki; nie wiadomo dlaczego zarząd tych linii lotniczych uznał, że pasażerowie będą na tyle głupi lub głodni, by uznać ich zawartość za jedzenie.

- Wolałabym jeść korzonki i stawowe ślimaki w szkole przetrwania.

Usłyszawszy to, Gaillard skrzywiła twarz w słabym uśmiechu aprobaty, pomimo rwącego bólu głowy. Odwróciła lekko głowę i kątem oka zauważyła autorkę tych słów krytyki. Była to młoda kobieta w granatowym mundurze sił powietrznych ze skrzydełkami pilota. Odmawiała właśnie przyjęcia plastikowego talerzyka pełnego bezkształtnych kawałków czegoś udającego

mięso. Obok siedziała druga kobieta w uniformie pilota, która entuzjastycznie pokiwała głową, dzieląc się z koleżanką na w pół roztopionym w gorącu batonem i torebką sklejoną, prażonych migdałów, którą jedna z nich wyjęła z torby podręcznej.

Sheila zazdrośnie spoglądała na batonik i przeklinała samą siebie za to, że zmuszona do pośpiechu złamała swoją kardynalną zasadę lotów międzynarodowych i poleciała amerykańską linią. Pośpiech był konieczny, ponieważ Kurata uznał, że ta wiedźma Blackwood będzie sprawiała kłopoty i chciał, żeby Sheila osobiście miała ją na oku. Dwanaście rzędów za nią siedział von Neuman wcisnięty niezgrabnie w wyboisty fotel tuż przy śmierdzących kiblach.

Lot ten z całą pewnością potwierdzał jej jak najgorszą opinię o amerykańskich liniach lotniczych. Może z wyjątkiem niewielkich Southwest Airlines, którymi nie miała często okazji podróżować, amerykańskie samoloty pasażerskie były po prostu latającymi szaletami, z gburowatą obsługą i aroganckimi urzędnikami przy odprawie, których brak kompetencji był żenujący, mimo konkurencji. Wciąż dochodziły ją słuchy, że linie Northwest są jeszcze gorsze i że ktokolwiek ma iloraz inteligencji wyższy od numeru buta, woli raczej złapać stopa niż wsiąść w taki samolot.

Zamknęła oczy i potarła powieki, aż jej głowę wypełniło nocne niebo z kolorowymi gwiazdami. Ale żadne uciskanie nie przynosiło ulgi w pulsującym bólu, który zaczynał się zaraz za linią włosów nad jej prawym okiem i wwierał się głęboko w mózg. Jej palce mimowolnie przeczesywały włosy w tym miejscu, odsłaniając cienką, poszarpaną bliznę. Kiedy miewała takie silne bóle głowy, blizna zawsze wydawała się gorąca jak płomień. Chirurdzy zrobili piękną robotę, ograniczając jej rozmiary i widoczność, ale była tam i zawsze przypominała jej o życiu, które już nie istniało i ledwie je pamiętała.

Miała dwadzieścia siedem lat, kiedy jej dawne życie umarło. Wyszła w nocy ze szpitala Bellevue w Nowym Jorku po trzydziestodwugodzinnym dyżurze, który spędziła na zszywaniu wszelkiej maści brakujących ogniów w teorii Darwina: pijaków, bandziorów, japiszonów, którzy za bardzo rozpędzili swoje beemwice i od czasu do czasu zwykłych ofiar wypadków, które autentycznie nie zasłużyły na swój los. Personel medyczny szpitala uważał ją za zdolną lekarzkę i świetnego chirurga. Aż do czasu, kiedy pewnego razu weszła do metra.

Została wypchnięta z wagonu przez bandę oprychów i przez kilka godzin dokonywano na niej zbiorowego gwałtu, pobito ją stalowym łomem i pozostawiono ledwie żywą z zaostrzonym śrubokrętem wbitym w czaszkę. Jej koledzy zrobili wszystko, by ocalić jej życie.

Wprawdzie po operacji i długiej fizjoterapii znalazła się w lepszej fizycznej kondycji niż przedtem, jej osobowość zmieniła się diametralnie z poważnej, skrupulatnej i grzecznej osoby w agresywną, zmienną, impertynencką i często tracącą panowanie nad sobą.

Śrubokręt gwałcicieli przebił jej płaty czołowe, unicestwiając solidną, stateczną, odpowiedzialną i sympatyczną dziewczynę, jaką kiedyś była.

Nienaruszona pozostała natomiast jej wiedza zawodowa, a także pewne dłonie i fenomenalna zdolność przyswajania nowych informacji i kojarzenia.

Trzy miesiące po powrocie do pracy została zwolniona za czynną napaść skalpelem na pielęgniarkę z sali operacyjnej, po tym jak kobieta podała jej nie ten hemostat. Napaść ta była kulminacją nasilającej się serii absencji w pracy, opuszczonych zebrań i spotkań, oraz wyzwisk, rzucanych na personel szpitala.

Dwa rzędy za nią ktoś kichnął. Sheila przebiegła palcami po krawędziach maski chirurgicznej i poprawiła metalową spinkę u

nasady nosa, żeby uszczelnić maskę.

Pokaźna odprawa po zwolnieniu z pracy plus odszkodowanie z polisy ubezpieczeniowej, pozwalały jej żyć przez kilka miesięcy, podczas których próbowała dojść do ładu z tym wszystkim, co jej się przydarzyło. W okresach jasności umysłu pomiędzy obezwładniającymi napadami bólu głowy i dziurami w pamięci, Sheila dogłębnie analizowała swój przypadek, stając się niemal ekspertem w swojej nowej praktyce medycznej. Wyszukała obfitą dokumentację wśród publikacji zarówno popularnych jak i specjalistycznych, świadcząca o tym, że urazy płatów czołowych zmieniają osobowość ofiar i często przekształcają wzorowych obywateli w zbirów i zbrodniarzy.

Bardzo znany był przypadek dróżnika kolejowego Phi-neasa Gage'a, który przeżył przypadkową eksplozję w roku 1848. Ostry, stalowy pręt długości trzech stóp i siedmiu cali wbił mu się w głowę pod lewym policzkiem i wyszedł na czubku głowy. Uważny, sumienny pracownik szybko się zdegenerował i stał się egoistycznym, złośliwym, zuchwałym szubrawcem, który według jego przyjaciół, „nie był już tym samym Gage'em”.

Zrozumiała, co to znaczy, kiedy przejrzała swoje dawne strony internetowe, to, co wtedy pisała. Nie potrafiła doszukać się w nich siebie. Z jednej strony wiedziała, że nie ma lekarstwa na ten słabo przez naukę poznany stan chorobowy, zorientowała się jednak, że miała sporo szczęścia, ponieważ śrubokręt przewiercił stosunkowo niewielki korytarz w szarej substancji jej mózgu. W odróżnieniu od wielu innych pacjentów z urazami płatów czołowych, nie utraciła zdolności planowania przyszłości i nie miała problemów z pamięcią, mową, zdolnością uczenia się i poruszania. Jednakże znacznie trudniej przychodziło jej zmobilizować się do działania, nie umiała doprowadzić rzeczy do końca i czasami nie chwytła puent dowcipów. Inni ludzie męczyli ją, nudzili i budzili pogardę, nie interesowała się nimi,

jeśli nie służyli jej seksualnym lub zawodowym potrzebom.

Kiedy przeglądała stare kwity do zeznania podatkowego, nie mogła pojąć, jak mogła robić darowizny na rzecz Czerwonego Krzyża i innych organizacji charytatywnych. Teraz wydawało się jej to wyrzucaniem pieniędzy w błoto.

Najbardziej martwiły ją chwilowe utraty pamięci. W trakcie normalnych, codziennych czynności nagle pojawiała się ciemna plama. Kilka godzin później odzyskiwała przytomność na łóżku albo na sofie. Zdarzało się jej obudzić z takiego stanu w jakimś znajomym miejscu, na przykład w bibliotece akademii medycznej, sklepiku na rogu, w taksówce. Pewnej nocy, tuż przed dwunastą, ocknęła się naga w domu na plaży w Long Island, zaangażowana w seks z trzema mężczyznami i kobietą. Sheila nigdy nie spenetrowała tego zaciemnienia pamięci i nie wiedziała, skąd się tam wzięła. Ostatnią rzeczą, którą pamiętała, był ból głowy, który zwałił ją na kolana, i jasne neonowe światła, które przesłoniły jej wzrok. Nie pamiętała żadnej świadomej decyzji udania się do miejsca, które, jak się potem okazało, było ekskluzywną, alternatywną agencją towarzyską.

Bóle głowy ustały w czasie, kiedy składała częste wizyty w domu na Long Island, gdzie szybko stała się poszukiwaną partnerką seksualną. Stwierdziła także, że napady niekontrolowanej wściekłości, opieszałość i skłonność do agresywnych zachowań, przez które wyleciała z pracy, ustały. Zastanawiała się, jak pozmieniały się połączenia neuronów w jej mózgu, co wywołało taką zależność od głęboko utkwionych w mózgu struktur przyjemności? Jakie neuro-przebieżniki i hormony oddziaływały z przeobrażoną strukturą jej mózgu? Szybko przekonała się, że nauka nie zna na to odpowiedzi i że neurologia nie poczyniła dostatecznych postępów, by rozwiązać zagadkę jej nowego zachowania. Z zapałem chłonęła wszystkie badania w tej dziedzinie, a kiedy skończyła, z przerażeniem stwierdziła, jak znikoma

jest ludzka wiedza o umyśle człowieka i o wpływie neuronów w naszych głowach na nasze zachowanie.

Uwolniona od bólów głowy, zdolna do opanowania wybuchów agresji, Sheila spróbowała wrócić do dawnej pracy, ale tego samego ranka, kiedy miała pojawić się na ostatecznej rozmowie w sprawie pracy, obudziła się z zaciemnienia pamięci na promie do Staten Island.

Przygnębiona porażką, dostała obsesji na punkcie mężczyzn, którzy ją zgwałcili i pobili. Jednego z nich ujęto, ale wypuszczono za kaucją, bo sędzia jakoś nie przejął się tym, co ją spotkało. Policja była przepracowana i wzięła się za inne, świeższe zbrodnie, których zaniedbanie mogło mieć dla nich poważniejsze konsekwencje niż stara sprawa, zwłaszcza taka, której ofiara jest złośliwa, nachalna i pyskata.

Stewardessa poklepała Sheilę po ramieniu.

- Obiad? - zapytała.

- Coś bym zjadła, ale z tego smrodu jasno wynika, że na tym pokładzie go nie dostanę.

Stewardessa wzruszyła apatycznie ramionami i poszła dalej.

Sheila wyobraziła ją sobie nagą, przykutą kajdankami do łóżka i obdartą ze skóry.

Tak samo wyobrażała sobie mężczyzn, którzy ją zgwałcili. Wytropiła ich wszystkich, jednego po drugim i przykuła ich kajdankami, trzymając na muszce. Nie utraciła swojej chirurgicznej sprawności i kiedy z nimi skończyła, ubrała się w ich skóry jak w peleryny, tak jak to robili kapłani Majów. Potem, upewniwszy się, że jeszcze żyją, oblewała ich benzyną i podpałała. Ich wrzaski poruszały najgłębsze struny w jej duszy, unosiły zasłonę zników pamięci. Przez całe miesiące próbowała zrozumieć, jakie zmiany w strukturze jej neuronów mogły zostać zapoczątkowane przez te ekstremalne emocje, uczucie transcendencji i fantazje, które pozwalały jej ożywiać na nowo tę przyjemność noc po

nocy.

Literatura nie pozostawiała wątpliwości, że mózg może się zregenerować i pokonać uraz, że nawet intensywne myślenie i uczenie się zmienia topografię mózgu i konfigurację komórek nerwowych. Doszła więc do wniosku, że ma powody wierzyć, że związki chemiczne wytwarzane podczas przeżyć z gwałcicielami pozwoliły uleczyć uszkodzone tkanki, ustalić nowe połączenia, które pozwalały na wykształcenie nowych, lepszych umiejętności.

Po zabiciu ostatniego z gwałcicieli zaniki pamięci nigdy już nie powróciły. I była pewna, że nigdy nie powrócą, tak długo, jak Kura ta daje jej dość pracy.

Rozdział 12

Mknące po niebie chmury zaczęły ustępować miejsca plamom błękitu, kiedy Lara w końcu zdołała skierować swoją łódź wiosłarską z włókna węglowego z powrotem do przystani jachtów. Pot ściekał jej po twarzy, kiedy wiosłowała z pasją, aż poczuła pieczenie w udach, plecach i ramionach. Oddychała głęboko i rytmicznie, wyluzowana, mogła tak płynąć w nieskończoność.

Wiosłowała z całych sił, skręcając do głównego kanału. Chociaż wiatr osłabł, a fala była minimalna, woda wyśpiewywała szybkie, ostre nutki, rozbijając się o pędzący dziób.

Lara nigdy nie potrafiła rozładować stresu i gniewu na poziomie emocjonalnym. Niespokojny duch, jako dziecko nauczyła się, że stres emocjonalny trzeba rozładować wysiłkiem fizycznym.

Ojciec zawsze tak twierdził. „Nazwij to jak chcesz, ale skrajny wysiłek wywołuje skrajne uczucie relaksacji przez wytwarzanie endorfin i innych związków chemicznych w mózgu,

których nikomu się jeszcze nie udało zidentyfikować".

Skrajny wysiłek fizyczny służył mu za medytację, a „dać sobie wycisk” było jego mantrą. Nawet, kiedy odszedł z Komanda Foki, trenował intensywnie, jakby nigdy nie porzucił swego poprzedniego zawodu i nie był szacownym, posuwającym się w latach konsultantem biznesowym. Aż do dnia swojej śmierci w katastrofie eksperymentalnej, szybkiej motorówki w wieku lat siedemdziesięciu sześciu, uprawiał jogging na plażach San Diego i wspinał się na pobliskie górskie szczyty.

- Uciekam przed starością - lubił żartować. - Jeśli zwolnię, dopadnie mnie.

Teraz Lara już wiedziała, że nawet jeśli można prześcignąć starość, śmierć nigdy nie pozwoli się wyprzedzić.

Wiedziała, że jest w tym prawda, kiedy puściła wiosła luzno na wodę i podryfowała do miejsca, gdzie przycumowany Tagcat Too pochylał się lekko w stronę wejścia do portu.

Z przeciwnej strony kanału dobiegł ostry gwizd. - Hej, lala!

Lara popatrzyła za dźwiękiem, na zwalistego faceta na rufie białej, dużej, ekskluzywnej łodzi motorowej. Sądziła, że jest kimś w rodzaju lobbyisty, bo większość czasu spędzał na tej łodzi, zabawiając niewielką grupkę osób.

- Musimy się kiedyś spiknąć - zaciągnął się papierosem i pomachał ku niej swoim drinkiem. Jego intensywne spojrzenie było w sposób zbyt oczywisty utkwione w jej piersiach. Spoczną Larę oblepiał kostium kąpielowy, przez naciągniętą tkaninę widać było sutki.

- Jak zrzucisz ten piwny bebecz i papierochy, może będziemy mieli o czym pogadać.

Spojrzał lubieżnie i zrobił obsceniczny gest środkowym palcem. Zawsze tak robił i Lara uznawała to wręcz za przyjazny gest. Mężczyźni jego pokroju przypominali psy goniące za samochodami. Uważali, że Lara z daleka wygląda sexy, ale po

przemysłeni dawali spokój: większość facetów nie lubi kobiet na tyle wysokich, że patrzą im prosto w oczy. Nie wspominając o tych, którzy oczy mieli na wysokości jej cycków. W ich świecie nie przewidziano, że kobiety mogą mieć jednocześnie cycki i muskuły.

Lara umieściła wiosła na nabrzeżu, wyszła ze swobodą z łodzi i wyciągnęła ją z wody. Przeciągnęła się, potem szybkim krokiem ruszyła do głównego luku Tagcat Too, wpisała kod szyfru i zeszła na dół, żeby sprawdzić pocztę, czy nie przyszła wiadomość od Ismaila. Nie było nic.

Z powrotem na nadbrzeżu, przepłukała łódź i wiosła wodą z węża, wysuszyła je i schowała w zamykanym na klucz składziku na nadbrzeżu. Głośny śmiech i słowa wymuszonych serdeczności poniosły się po powierzchni wody z dużej łodzi motorowej, kiedy człowiek, którego знаła z telewizji jako prezesa jakiejś komisji senackiej, podawał rękę właścicielowi. Blondynka o figurze lalki Barbie i w butach na niewyobrażalnie wysokich obcasach służyła za ozdobę senatora.

Lara zwinęła szlauch i powiesiła go na haku obok kranu, weszła na pokład swojego jachtu i rozejrzawszy się, czy wszystko jest w porządku, zeszła pod pokład z obrazem blondynki w głowie, myśląc jak łatwo kobiety wpasowują się w odwieczną rolę: kobieta jako ornament. Ukłucie zazdrości zaskoczyło Larę, kiedy sprawdzała, czy wszystkie luki są zabezpieczone. Nie, żeby chciała pasować do roli czyjegokolwiek trofeum, ale jej wymiary, wzrost i figura oznaczały, że nawet nie może tego spróbować, że nawet przez jedną noc nie zobaczy, jak to jest.

Znowu sprawdziła pocztę, potem przeszła na rufę i otworzyła drzwi z drzewa tekowego do swojej prywatnej kabiny. Tam zdjęła z siebie strój z lycry i rzuciła go do kosza na brudną bieliznę. Blond ozdoba z łatwością przyciągała mężczyzn, bo czuli się przy niej swobodnie. Lara zaś wywoływała w ludziach

skrępowanie, jak daleko sięgała pamięcią. W liceum ci, nad którymi górowała wzrostem, brali na niej odwet szyderstwem i drwiną, co sprawiło, że poświęciła się nauce i sportowi, w których wyróżniała się i w których znajdowała ucieczkę od obelg, ścigających ją w szkole.

Ostrożnie zdjawszy kolczyki, Lara pomasowała dziurkę w uchu i podeszła do robionej na zamówienie komody z szufladami wyłożonymi aksamitem, gdzie trzymała swoją kolekcję kolczyków.

W szufladzie było ich niezliczone mnóstwo, a takich szuflad było szesnaście, każda na stopę długa i szeroka, głęboka na cal. Przyjaciółka kiedyś zażartowała, że Lara zbiera kolczyki jak Imelda Marcos buty. Delikatnie włożyła kolczyki do szuflady i z miłością przesunęła oczami po rzędach biżuterii. Niektóre były bezcenne, inne kompletnie bez wartości, jeśli nie liczyć wspomnień, które wywoływały. Uwielbiała kolczyki, bo była to jedna z niewielu rzeczy, które mogła po prostu kupić na miejscu, bez czekania, przymiarek i poprawek. Poza odzież sportową, wszystko inne musiało być szyte na miarę, przerabiane, dopasowywane. Nawet naszyjniki i bransoletki trzeba było dostosować do jej wymiarów. Dzięki temu, że była wysoka i silna, mogła znaleźć się w miejscach, gdzie trafiało niewiele kobiet, ale im była starsza, tym bardziej żałowała, że nie jest dziewczyną o normalnych gabarytach, z normalnym życiem i normalnym facetem. I dziećmi.

Normalna, pomyślała odkręcając gorącą wodę pod prysznicem, normalności się bardzo niedocenia. Przepływowy podgrzewacz wody zaczął pracować. Lara nago poszła do jadalni, by jeszcze raz sprawdzić pocztę i weszła w końcu pod prysznic.

Najnormalniejszym facetem, jakiego znała, był Ismail, ale przecież kogoś, kto dostał Nagrodę Nobla, nie można uznać za przeciętniaka. Kochała go jak brata, był świetnym kolegą, złą-

czyły ją z nim wspólne zmagania o zbudowanie firmy i nowe metody terapii. Był taki czas, jeszcze w college'ii, kiedy, jak jej się zdawało, mogli zostać kochankami. Ale wówczas, tak jak i teraz, Ismail był pobożnym muzułmaninem i uważał seks pozamałżeński za grzech. Z początku uważała, że życie w celibacie jest dziwaczne i staroświeckie, ale w końcu przekonała się, że jej to odpowiada, ponieważ dzięki temu mogli się wspólnie uczyć długie godziny bez erotycznych podtekstów. Potem, niedługo po ukończeniu college'u, zostali współpracownikami i współzałożycielami nowej firmy. Oboje czuli, że romans z partnerem w interesach to początek równi pochyłej, wiodącej do katastrofy.

Zachowaliśmy się logicznie i racjonalnie, myślała, wcielając szampon we włosy. Ich trzeźwe spojrzenie opłaciło się z pewnością obojgu, ale teraz zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem oboje nie zapłacili zbyt wysokiej ceny.

Owszem, próbowała sobie zrekompensować stracone lata, ale przygnębiający ciąg przygód jednej nocy wypalił ją. Jedyni ludzie na tyle pewni siebie, by zaprosić ją na kolację czy gdziekolwiek, byli to inni sportowcy, ale większość z nich była totalnie zaabsorbowana sobą, a intelektualnie nie dorastali jej do pięt. Jedyny wyjątek skończył jako szary pył w katastrofie World Trade Center. Nigdy nie mogła patrzeć na te budzące grozę obłoki pyłu unoszące się nad dolnym Manhattanem, żeby nie pomyśleć o nim, jako o części wielkiego skłębionego ducha, który zabrał ze sobą tyle marzeń i nadziei.

Zadzwoił telefon.

Klnąc pod nosem, Lara zakręciła wodę i szybko przeszła do telefonu w kabinie. Identyfikator pokazywał numer komórki Ismaila.

- Ismail! - krzyknęła porywając słuchawkę. - Martwiłam się.

- Zaraz się zmartwisz jeszcze bardziej - powiedział niewesoło. Na linii dało się słyszeć zakłócenia.

- Gdzie jesteś? - zapytała.

- W drodze do La Jolla -jego głos przebijał się przez trzaski.

-Jak tylko dostałem wstępne wyniki, wiedziałem, że trzeba nad nimi więcej popracować, ale w laboratorium obserwuję mnie bez przerwy. Wiedziałem, że tam już nic nie zrobię, załatwiłem więc sobie małą pomoc w Instytucie Scrippsa.

- To znaczy?

- Próbkę, które przysłał mi twój znajomy zawierają syntetyczne zasady DNA.

- Boże.

W słuchawce zapadła cisza przerywana trzaskiem.

- Właśnie tak - powiedział Ismail.

Cały genetyczny kod życia zapisany jest w czterech zasadach DNA - adeninie, guaninie, cytozynie i tyminie, które powtórzone miliardy razy, jak paciorki naszyjnika, tworzą podwójną helisę DNA. Każdy ciąg trzech zasad wzdłuż łańcucha DNA tworzy kodon, specyficzny dla jednego z dwudziestu aminokwasów, które, z kilkoma rzadkimi wyjątkami, wykorzystywane są jako budulec przez wszystkie żywe organizmy, od drożdży po człowieka.

Gen to nic więcej jak ciąg trój zasadowych kodonów, które mówią komórce jak zbudować z odpowiednich aminokwasów pożyteczne białko. Komórka budująca białko według przepisu DNA, wie, że kiedy widzi kodon CAT, ma przyłączyć aminokwas zwany histydyną, kiedy znajdzie kodon TGG - tryptofan, natomiast kodon TAG pełni funkcję podobną jak kropka na końcu zdania, zaznacza koniec budowy białka.

Dwie helisy DNA są połączone za pomocą specjalnych wiązań pomiędzy konkretnymi zasadami: adenina zawsze łączy się

z tyminą w drugim łańcuchu, a cytozyna z guaniną.

Ale ponieważ istnieją tylko cztery zasady w DNA, ogranicza to liczbę aminokwasów, których może użyć komórka do budowy białka. Syntetyczne DNA, jakie w pionierskich badaniach uzyskali naukowcy ze Scripps Research Institute, zawiera dwie nowe zasady DNA, dzięki którym można poszerzyć zakres możliwych do utworzenia aminokwasów. Pozwala to na wyprodukowanie białek, jakie nigdy dotąd nie powstawały w żywych organizmach.

- Więc co to jest takiego? - zapytała Lara. - Założę się, że dla jednej z zasad będzie to fosforamidyt ksantozyny.

- Tak, ale ta druga to prawdziwa zagadka - mówił Ismail. - Szukałem każdego możliwego niespolaryzowanego izotermu tyminy i nic.

- Boże, Ismail! To znaczy, że to może być jedna z moich! Wiesz równie dobrze jak ja, że kształt molekuly jest o wiele ważniejszy niż wiązanie wodorowe, żeby połączyć dwa łańcuchy DNA parami C-G i A-T. Dlatego stworzyłam tę serię syntetycznych zasad DNA dla celów terapii genowej.

- Możliwe, że to jedna z twoich - powiedział Ismail z namysłem. - Ale pamiętaj, że i inni pracują nad syntetycznym DNA, więc równie dobrze...

- Nie wierzę w takie przypadki - powiedziała Lara. - Mamy nieznaną syntetyczne DNA w próbce patogenu z Tokio, akurat w czasie, kiedy wywalają mnie z mojego laboratorium... A to się dzieje zaraz potem, jak firma zostaje wykupiona przez japońskiego miliardera, którego siedziba znajduje się w Tokio.

- Trudno się nie zgodzić - powiedział Ismail. - Ale jest coś jeszcze bardziej niepokojącego.

- Nie wierzę.

- Wszystkie cząsteczki cytozyny w wiązaniach par C-G mają grupę metylową.

- O, nie! - Lara oparła się o grodz. - Ismail, kiedy cytozyna i guanina występują w parze w ludzkim organizmie, cytozyna prawie zawsze ma grupę metylową.

- Wiem - powiedział Brahimi. - Wiem.

Ale Lara mówiła dalej, głośno myśląc.

- Tej grupy metylowej nie ma w takich samych wiązaniach C-G u bakterii i u innych ludzkich patogenów. Sekwencja C-G pozwala ludzkiemu układowi odpornościowemu przyłączyć się do sekwencji bez grup metylowych i zapoczątkować uogólnioną reakcję immunologiczną, która jest pierwszą linią obrony organizmu.

Przerwała, żeby zastanowić się nad tym, co właśnie powiedziała. Aż przysiadła z wrażenia, kiedy z całą siłą dotarło do niej znaczenie własnych słów. I dopiero po chwili odezwała się bardzo cichym szeptem: - Mój Boże, Ismail, patogen z cytozyną z grupą metylową w sekwencji C-G może być ukrytą bombą zdolną do zmasowanego ataku, bez szans na obronę.

- I dlatego właśnie wzięłem chorobowe i pierwszym samolotem poleciałem do San Diego. Jest tam parę osób, które studiowało na stypendiach GenIntronu i używało naszych laboratoriów.

- Chryste Panie, Ismail. A co będzie, jeśli połączyli nasze procedury aktywacji etnicznych sekwencji i zamiast użyć ich do terapii, przywiązali tam ten syntetyczny, śmiertelny zarazek?

- Modłę się, żeby tak nie było.

- Sama modlitwa może nie wystarczyć - powiedziała Lara. - Syntetyczne patogeny oznaczają, że ludzki organizm nie może ich zwalczyć, nie jest w stanie wyprodukować przeciwciał.

-Jeśli Bóg pozwoli, możemy coś na to poradzić. Rozmowa nagle została przerwana w burzy zakłóceń.

- Ismail? Ismail? - Wciąż trzaski. - Cholera! - rzuciła słuchawką i podeszła do szuflad z ubraniami.

Walcząc z czarnym, ciężkim strachem, który gniótł ją jak kamień w żołądku, Lara szybko wciągnęła szorty i koszulkę z maratonu waszyngtońskiego. Ismail zadzwonił jeszcze raz, żeby powiedzieć, że dojechał do Scripps i skontaktuje się, kiedy będzie wiedział coś więcej.

Lara szybko udała się do stacji nawigacyjnej i w notatniku wyszukała numer telefonu Jima Condon z notatnika. Wybrała go, ale nie było odpowiedzi.

Rozdział 13

O drugiej nad ranem ulice tokijskiej dzielnicy Kabukicho wciąż roiły się od hulaków, imprezowiczów, ludzi kąpiących się w światłach neonów, szukających szczęścia, rozrywki, muzyki, odurzenia, kina i seksu. Na północny wschód od stacji kolejowej Shinjuku, niespełna tysiąc metrów od Ogrodów Cesarskich, dzielnica Kabukicho pulsowała jak co noc życiem, dopóki wschodzące słońce nie wyczyściło ulic i nie przepędziło sararimen do ich biur i urzędów, z oczami nabiegłymi krwią, zaspanych, pachnących odświeżającym sprejem do jamy ustnej.

Dyskretna ciemna limuzyna zatrzymała się i zaparkowała wbrew przepisom obok mitsubishi z nalepką z napisem: „Cześć żołnierzom wielkiej wojny na Pacyfiku”. Samochody z przodu i z tyłu miały takie same nalepki.

Na widok źle zaparkowanego pojazdu, policjant w białych bawełnianych rękawiczkach wyszedł ze swego kobana i ruszył w stronę limuzyny, chcąc ją przegonić, zanim zablokuje ruch. Kiedy się zbliżał, zobaczył, że z limuzyny przednimi drzwiami wysiedli dwaj wysocy, barczyści mężczyźni w ciemnych garniturach - zapewne ochroniarze. Jeden z nich otworzył tylne drzwi. Wysiadł z nich młody człowiek, który policjantowi wydał się jakby znajomy. Zanim z limuzyny wychynał Tokutaro

Kurata, policjant zatrzymał się wpół kroku. Stał tak, gapiąc się, kiedy cała ta świta zaczęła się zbliżać. Kurata i młody człowiek szli z przodu ramię w ramię, jeden ochroniarz przed nimi, drugi zamykał pochód.

Policjant nisko się skłonił mijającemu go Kuracie.

- Napęlniasz mnie dumą - powiedział Kurata do Akiry Sugawary, kiedy przechodzili obok błyskającej światłami bramy salonu gier. Kurata zmarszczył nos, jakby wyczuł jakiś nieprzyjemny zapach. Salony gier prowadzili zwykle Koreańczycy.

- Dziękuję, wuju - odparł Sugawara. - Miałem najlepszego mistrza.

Kurata uśmiechnął się. - Potrwa miesiące, zanim wypłaczą się z tej umowy.

- Bez wątpienia - zgodził się Sugawara, myśląc o pięciu Amerykanach, których właśnie wysadzili pod hotelem po wieczorze uctowania i picia. Ludzie ci byli właścicielami dużej firmy software'owej i zwrócili się do Kuraty z prośbą, by pomógł im wejść na japoński rynek w spółce joint venture, co pozwoliłoby im obejść „inspekcje jakości”, jakie rząd japoński stosował od ponad 21 miesięcy, aby nie dopuścić do sprzedaży ich produktu.

- Mają dobrą firmę - powiedział Kurata, kiedy zanurzyli się w wonnym obłoku dymu hibachi, dochodzącego z ulicznego kramu yakitori. - Chcę ją przejąć.

- Tak, Kurata-sama.

- Zdobędziemy ją tak, jak zwykle. Doprowadzimy do rozpaczliwej sytuacji, żeby odsprzedali ją po korzystnej cenie.

- *Hai* - Sugawara wydobył mały notatnik z kieszeni swego prostego granatowego garnituru i coś sobie zanotował.

- Europa to butik, Ameryka jest farmą. Bierzymy to, co chcemy i zostawiamy im to, co sami chcemy zostawić.

- *Hai*.

Przez kilka chwil maszerowali w ciszy, mijając roje młodych ludzi tłoczących się przy oknie *noppan kissa* („orgazm bez stosunku” głosił znak w oknie), rozbieranej knajpy. Mijali też inne przybytki kwitnącego w tej dzielnicy przemysłu erotycznego: peep-roomy, różowe salony, łaźnie tureckie, agencje towarzyskie, salony masażu, banki kochanek, lokale ze stripteasem i seksem na żywo, i sekuhara, gdzie kobiety przebrane jak urzędniczki brały pieniądze za molestowanie i seks.

Pomiędzy przedsiębiorstwami nastawionymi na zysk z usług erotycznych znajdowały się zwykle, legalne bary i restauracje, teatry, kina, sklepy i kluby muzyczne, sklepy video z pulszą, rytmiczną muzyką elektroniczną i całodobowy sklep spożywczy. Sugawara zauważył na progach wielu drzwi małe kupki soli, rytuał oczyszczenia, mający chronić mieszkańców od zewnętrznych wpływów.

Kiedy mijali kolejną *noppan kissa*, Kurata zajrzał do środka i wydał drwiące prychnięcie. - Dobre miejsce dla kobiety. Kobiety to po prostu dziury do wynajęcia, w których hoduje się dzieci - powiedział, cytując stare japońskie przysłowie.

- *Hai* - Sugawara poczuł się źle, bo nie umiał przeciwstawić się wujowi.

Kurata jak mędrzec pokiwał głową. - Ale pamiętaj... - przerwał nagle i spojrzął siostrzeńcowi w twarz.

Sugawara zrobił pół kroku, zatrzymał się i skłonił przed wujem. Obstawą też zamarła wpół kroku.

- Pamiętaj, że... - podjął Kurata konspiracyjnym tonem - nieważne, ile dają ci przyjemności, nigdy im nie ufaj; nigdy nie ufaj kobiecie, nawet jeśli urodzi ci siedmiu synów. - Kolejne stare japońskie powiedzonko.

- *Hai* - Sugawara skłonił się nisko, tym razem, żeby Kurata nie dostrzegł wyrazu obrzydzenia na jego twarzy. Dziękował Bogu, że jest ciemno.

W ciszy szli dalej, na rogu skęcili w wąski zaułek. Było tam ciemniej niż na głównej ulicy, ale dalekie jasne światła oświetlały część zaułka, rzucając blask na znaki kanji, które wyróżniały restaurację, do której prowadził ich Kurata. Musiał dotrzymać słowa, choćby była już druga nad ranem.

Kiedy Sugawara upewnił się, że jego wuj skończył mówić, zagadnął:

- Prosięś mnie, żebyś zajął się tą kobietą, Blackwood.

- *Hai* - odrzekł Kurata. - Byłoby lepiej dla niej, gdyby pracowała cipką niż mózgiem.

Sugawara poczuł, że oblewa się rumieńcem. Przełknął ślinę i milczał, dopóki Kurata znów nie przemówił.

- Opowiadaj.

- Monitoring jej telefonu wykazał, że jej przyjaciel, Ismail Brahimi, okazał się sprytnym osobnikiem i przejął próbki z Tokio, żeby je przeanalizować w Scripps Institute - powiedział Sugawara.

Kurata zmarszczył brwi. - To bardzo niedobrze. - W ciszy przeszli kilkanaście kroków. - Czy mamy jakichś swoich ludzi w Scripps?

- Przykro mi, ale obecnie nie.

Kurata uniósł brew i cmoknął wargami. - W takim razie mamy kilka możliwości - powiedział wreszcie. - Musisz skierować panią Gaillard, żeby natychmiast i stanowczo zajęła się Blackwood, Brahimi i jego kontaktem u Scrippsa. Zarówno Blackwood jak i Brahimi dysponują potężną siłą intelektu, ale przecież nie pozwolimy im błyszczeć, skoro ona jest naszym wrogiem, prawda?

- Jak sobie wuj życzy — powiedział Sugawara. Odwrócił głowę, żeby Kura ta nie zauważył wyrazu gniewu i pogardy, którego nie potrafiłby ukryć. Zamordowanie laureata Nagrody Nobla i kobiety, która jest do niej na najlepszej drodze, byłoby

nieodżałowaną stratą dla ludzkości. Sugawara westchnął w duchu i minęła dobra chwila, zanim się uspokoił.

- Doskonale - powiedział Kurata, intonując końcówkę słowa tak, żeby Sugawara zrozumiał, że jeszcze nie skończył, tylko się zastanawia. - Zanotuj to.

Sugawara kiwnął głową.

- Zgodnie z naszą ostatnią rozmową, wypadki przyciągają ku nam mniej uwagi niż coś, co wygląda na jawną zbrodnię. Jest wielu ludzi, którzy potrafią zabijać. Do tego nie trzeba specjalnego talentu. Ale pani Gaillard pracuje dla mnie tak długo, ponieważ jej geniusz leży w umiejętności aranżowania wypadków, nieodmiennie śmiertelnych. Przypomnij jej, żeby ta sprawa nie była wyjątkiem.

- *Hai*, Kurata-sama - powiedział Akira, znów przełykając gorycz zebraną w gardle.

Kiedy dochodził już do restauracji, z wnętrza dobiegł śpiew; były to pieśni w wojskowym rytmie, śpiewane przez mężczyzn, których upodobanie do tekstów znacznie przewyższało ich talent muzyczny. Był to bar pieśni militarnych, gdzie japońscy biznesmeni, ubrani w stare mundury wojskowe, przypinali do pasów miecze i pozowali do fotografii z obrazami przedstawiającymi sceny z II wojny światowej. Byli to zagorzali zwolennicy planów Kuraty związanych z *hakko ichiu*. Ten zwrot definiował cele Japonii w jej agresji podczas II wojny światowej, a obecnie drapieżcze projekty realizowane przy użyciu pieniędzy i biznesu. Strzępy słów niosły się po alei.

- *Sonno*, „cześć cesarzowi”; *joi*, „wygnać cudzoziemców”. Sugawara pamiętał słowa tej pieśni, uczyli go ojciec i wuj. Słuchał urywków melodii i dopasowywał brakujące słowa; znał część o *junshi*, honorze samuraja służącego swemu panu aż po śmierć i chwale *junshi* w służbie *Sanshu no shiki* - zwierciadła, miecza i klejnotów - cesarskich insygniów.

Sugawara odwiedził setki takich barów od Kiusiu po Hokkaido, zawsze z Kuratą, zawsze stojąc z boku, kiedy publika wychwalała „obrońcę Yamato” jak współczesnego mesjasza. Zawsze zdumiewał się, gdy widział, jak młodzi są uczestnicy takich imprez, większość, jak Sugawara, była zbyt młoda, by odegrać jakąkolwiek rolę w II wojnie, wielu jeszcze wtedy nie było na świecie.

Dość często Sugawara natykał się tam na oficerów lub szeregowców, z którymi odbywał służbę w Siłach Samoobrony, czasami spotkał profesora z czasów studiów w Akademii Obrony Narodowej. Czuł się skępowany, kiedy ci młodzi ludzie darli się na całe gardło, słowa pieśni przesuwaly się po ekranach, a stare kroniki filmowe pokazywały sceny japońskich zwycięstw.

- W poświęceniu nasza radość - dobiegły słowa z baru - nie ma lepszej nagrody niż chwalebna śmierć.

Sugawara pomyślał, że oto ma przed sobą odpowiedniki smarkatych niemieckich neofaszystowskich skinheadów, ale zamiast zdusić ten ruch w zarodku, rząd japoński pielęgnował i wspierał te bary, promował członkostwo w nich, bo często przyspieszało ono kariery młodych biznesmenów i urzędników. Ich uniformem nie były golone głowy, ale biznesowy garnitur, ich bronią nie kije bejsbo-lowe i kastety, ale jeny, zaibatsu i biurokracja. Mieli jednakże wspólnych wrogów: Żydów, cudzoziemców i wszystkich innych, którzy nie postępowali, nie wyglądali i nie myśleli tak jak oni.

Dla tych samurajów-*sarariman*, wojna nie tylko się nie skończyła, ale toczyła się nadal i tym razem była wygrywana.

- Chwała *Yamato zoku*, japońskiej rasie - słowa wydostały się na uliczkę i wypełniały ją coraz silniejszymi emocjami. - Cała siła dla *Yamato dam ashii* -japońskiej duszy. Sto milionów serc bijących wraz jak jedno.

Sugawara skulił się zażenowany, próbował nie słuchać

ostatnich wersów, które już grały w jego głowie. „Jesteśmy przeznaczonym, jedynym wybranym *shido minzoku* - narodem panów”.

Mimo, że Sugawara z trudem to pojmował, *Jiminto* - rząząca w Japonii Partia Liberalnych Demokratów pomyślnie przeprowadziła próbę wskrzeszenia boskiego kultu cesarza.

Chociaż amerykańscy okupanci i konstytucja, którą napisali dla Japonii zakazywały kultu cesarza, nie podjęto żadnych kroków, kiedy na nowo powołano do życia Instytut Cesarski, nikt też nie protestował, gdy w roku 1960 premier Hayato Ikeda i jego gabinet potwierdzili boskość cesarza i rolę, jaką święte zwierciadło - *yata* - odegrało dla japońskiej tożsamości.

Sugawara słyszał słowa coraz wyraźniej, ale co więcej, słyszał za tymi słowami ukrytą niezachwianą wiarę. Jak to możliwe, że tak wielu ludzi wierzy tak dosłownie w boską naturę człowieka, takiego jak wszyscy?

W 1973 roku naród celebrował inny obrzęd zakazany przez Amerykanów, mianowicie *kenjinogodoza* - kult pozostałych dwóch cesarskich insygniów - miecza i klejnotów. Cztery lata później cesarz Hirohito wyparł się słów, wymuszonych przez amerykańskich zwycięzców, w których wyrzekł się pretensji do boskości.

Potem była świątynia Yasukuni, gdzie japońskich poległych w wojnie - włącznie ze zbrodniarzami wojennymi, dorównującymi okrucieństwem najgorszym zbrodniarzom faszystowskich Niemiec - czczono jako bogów. Kult ten był sankcjonowany wizytami wszystkich premierów, ministrów rządu i ośmiu milionów ludzi każdego roku.

W Sugawarze budziło to wściekłość. Dlaczego naród japoński tak ochoczo dawał się prowadzić kłamcom i oszustom?

Kurata zatrzymał się raptownie i położył dłoń na ramieniu Sugawary.

- *Hai*, Kurata-sama? - Sugawara także przystanął.

- Zastanawiałem się właśnie nad czymś. Wydaje się, jakby właśnie toczył się proces wyrywania wielu cierni, które nas dręczyły przez ostatnie tygodnie i miesiące. - Kurata w zamyśleniu przyjrzał się siostrzeńcowi. Sugawara z doświadczenia wiedział, że trzeba teraz milczeć i być cierpliwym. Wuj kiwnął głową jakby do siebie i podjął swoją przemowę: - My - mam na myśli wszystkich patriotycznych Japończyków, a nie tylko Daiwa Ichiban - przez całe lata byliśmy nękani przez organizację znaną jako Shinrai, która za wszelką cenę chciała zmusić nas do wstępu do naszego bohaterstwa w Wielkiej Wojnie Patriotycznej.

- *Shinrai*, czyli „prawda”?

- Tak. To taka luźna banda malkontentów i ludzi emocjonalnie rozchwianych, w gruncie rzeczy fanatyków, którzy wspierali procesy sądowe przeciwko wielkim korporacjom i zakładom przemysłowym, które umożliwiły nasz wysiłek wojenny. Wzbudzili niezdrowe emocje i nawet skłonili Chińczyków do podjęcia pewnych działań, jeśli chodzi o nas i nasz wspianą kraj.

Znowu przerwał i przechylił głowę, słuchając patriotycznego ryku dobiegającego z wnętrza. Wiatr załopotał ich płaszcami.

- Wierzę, że przyszedł czas, abyśmy zaczęli eliminować te bezwartościowe świniaki. Musimy powstrzymać ich kłamstwa i blokować ich wysiłki. Mam w biurku segregator, który musisz dokładnie przejrzeć i przedyskutować z panią Gaillard program ich neutralizacji.

- *Hai*, Kurata-sama.

Kurata kiwnął głową i szybkim krokiem przeszedł przez drzwi otwarte drzwi restauracji. Sugawara postąpił za nim, a ochroniarze za Sugawara. Stanęli przy wejściu w małym, skąpo oświetlonym przedsionku, rozjaśnionym głównie przez rzesiste

światła wpadające z głównej sali, gdzie wy-brzmiewały właśnie końcowe nuty piosenki. Dwaj mężczyźni stali obok siebie, zagładając do środka.

- Mówię wam, coś trzeba zrobić - powiedział bardzo drobny, niski człowieczek z plikiem drukowanych jadłospisów w dłoni. - Zwyciężą, jeśli jakiś świeży boski powiew ich nie zmiecie.

Sugawara spojrzał pytająco, czy Kurata życzy sobie, aby przerwać człowieczkowi i ogłosić jego przybycie. Kurata potrząsnął głową i pokiwał wskazującym palcem.

- Ten komunistyczny kundel powinien zginąć! Wyobraźcie sobie, żeby premier przeproszał za Wielką Wojnę Patriotyczną! - krzyknął drugi mężczyzna, duży i okrągły, którego Sugawara pamiętał ze zdjęć w gazetach jako członka Zgromadzenia Narodowego z ultrapatriotycznej partii Kuraty. - Przynajmniej w Zgromadzeniu trzymamy się mocno.

Chudy prychnął. - A co masz zamiar zrobić z procesami? Koreańczycy, Amerykanie, Holendrzy - wszyscy śmierdzący *gaijini* sądzą nas o odszkodowania.

- Zmienimy wszystkie ustawy, które dają im takie podstawy - odparł gruby. - Poza tym, żaden japoński sędzia nie wyda wyroku na korzyść tych wszy. A ci, którzy wydadzą? Proste - przeciągnął palcem po gardle.

- Wszystko pięknie - nie ustępował chudy. - Ale słyszałem, że wysuwają roszczenia także wobec firm, korporacji. Uważają, że *zaibatsu* mogą ich spłacić w ramach public relations, żeby nie szargali im reputacji i nie psuli sprzedaży, zwłaszcza w Korei i Chinach.

Grubas wzruszył ramionami. - Co muszą, to muszą. My możemy tylko ułatwić im drogę, jaką wybierają.

Chudy obejrzał się za siebie i dostrzegł stojącego Kuratę.

- Kurata-sama! - krzyknął, upuścił jadłospisy na podłogę i

głęboko się uklonił. To samo zrobił gruby; Kurata, Sugawara i ochroniarze odwzajemnili się uklonami, każdy pod kątem odpowiednim do swej pozycji społecznej. -Jesteśmy zaszczyceni, pana zwolennicy pragną pana zobaczyć.

Szum rozmów rozbrzmiał w głównej sali po zakończeniu ostatniej pieśni. Chudy kopnął na bok rozsypane jadłospisy i poprowadził Kuratę do sali, gdzie siedziało, piło i paliło ponad dwustu mężczyzn.

Właściciel nie musiał wypowiedzieć nawet jednego słowa; ludzie siedzący najbliżej wejścia rozpoznali Kuratę i natychmiast ucichli, nisko się kłaniając. W ciągu paru sekund zrobiło się cicho jak w świątyni. Kurata także się skłonił, podobnie jak Sugawara i ochroniarze.

Sugawara rozejrzał się po sali i znów uderzyło go, jak młodzi są goście. Nowe pokolenie, wychowane na ideologii przeszłości, w którym odradzało się to, co zostało porzucone, zanim poprzednia generacja mogła odnieść sukces. Tu i tam Sugawara wypatrzył plamy znajomych kolorów: szaroniebieski Łądowych Sił Samoobrony, mundury khaki Morskich Sił Samoobrony, jasnoniebieskie Sił Powietrznych. Wśród mundurów Łądowych Sił Samoobrony tęczowo pobłyskiwały lamówki na mundurach, wyróżniające żołnierzy piechoty (czerwone lamówki), wojsk pancernych (żółte), artylerii (jasnozielone), oraz białe oddziałów powietrznodesantowych. Po cichu zmówił modlitwę dziękczynną za to, że nie rozpoznał tu nikogo znajomego. Akira przepatrząc stolik po stoliku, zauważył też niedobitki poprzedniego pokolenia, przy jednym ze stołów siedziało sześciu siwowłosych, skurczonych, pomarszczonych starców, umieszczonych na honorowym miejscu w centrum sali - pozostałości *Seikonkai* - Stowarzyszenia Doskonalenia Ducha. Byli oni najbardziej aktywną grupą weteranów od lat sześćdziesiątych, kiedy zniknął cały amerykański nadzór, aż po lata osiemdziesiąte, gdy coraz

częściej zaczęła przychodzić po nich śmierć.

Organizacja *Seikonkai* cieszyła się szacunkiem rządu, dostawała najwyższe odznaczenia, zaskarbiła sobie też poparcie cywilnych organizacji społecznych. Założył ją doktor Shiro Ishii, a składała się ona wyłącznie z weteranów niesławnego Oddziału 731. To tak, pomyślał Sugawara, jakby Josef Mengele i jego podwładni zostali uznani za bohaterów we współczesnych Niemczech, honorowani deklaracjami z Bonn, Berlina i władz innych miast.

- ... być tutaj dziś wieczorem - Kurata zaczął przemowę. Sugawara skoncentrował się na słowach wuja, chociaż słyszał je wcześniej setki razy.

- Jesteście siekącym ostrzem miecza Yamato - mówił Kurata. - Pierwszą i najcenniejszą linią obrony przed *gaijinami* i tymi członkami naszego narodu, którzy wolą płaszczyć się przed cudzoziemcami i niszczyć naszą wyjątkową kulturę. Bo my nie jesteśmy po prostu narodem, jesteśmy jednym plemieniem, zjednoczonym przez wspólnego przodka, wielkiego Jimmu. Jesteśmy najczystsza rasą świata, najczystsza, jaka kiedykolwiek chodziła po ziemi - i kiedykolwiek będzie - ponieważ inne rasy zanieczyściły swoją krew gorszymi genami. Jesteśmy silni swoją czystością, bo jesteśmy jednorodni. Tak jak laser tnie, ponieważ jego światło jest czyste, my jesteśmy silni i zwyciężymy dzięki czystości naszej krwi. Czujemy jak jeden, wierzymy jak jeden, działamy jak jeden! - Podniósł głos. - Jesteśmy jednością! Jesteśmy Yamato!

Od słuchaczy podniósł się ryk.

Kurata stał z ponurym uśmiechem satysfakcji na twarzy. Kiwał głową, kiedy zgromadzeni darzyli go aplauzem.

- Musimy pamiętać, że toczyliśmy wojnę ze światem, wojnę, która splamiła nasze ręce i krew - podjął Kurata, kiedy na sali znów zapadła cisza. - Mamy w sobie boskość, bo inaczej jak by

kamikaze - boski wiatr - zdolali po tylekroć utrzymać brud z dala od naszych brzegów. Jesteśmy błogosławieni! Wierzę, że *kamikaze* powrócą, by oczyścić nas z brudów i wygnać naszych wrogów.

Znów, przerwał, by zrobić miejsce na wiwaty.

- Wszyscy musimy wykonać swoją część pracy, żeby zaszkodzić sobie boską przychylność. Musimy walczyć; nie wolno nam ustępować, nie wolno godzić się na kompromisy.

Wszyscy powinniśmy pamiętać słowa naszego ukochanego Showa Termo - cesarza Hirohito - które wygłosił z okazji swoich osiemdziesiątych piątych urodzin. Tego dnia, po połączeniu się z duchami przodków w świątyni Yasukuni, powiedział narodowi, że kiedy przyjdzie dzień, gdy Japonia wytoczy znowu wojnę przeciwko złu, które się na nas sprzysięgło, duchy Yasukuni powstaną wraz z jej boską armią.

Grobowa cisza wypełniła salę, a Kurata obniżył głos. - Jesteście armią cesarza. *Banzaft*.

— *Banzaft*. — odpowiedział tłum zgodnym echem, brzmiącym jak wybuch mózdzierza.

Akira nie posiadał się ze zdumienia, że proste dźwięki mogą być tak bolesne.

Rozdział 14

Późnym rankiem ruch uliczny płynął bez przeszkód po Pennsylvania Avenue, przez skrzyżowanie z Szesnastą Ulicą na zachód od Białego Domu. Lara Blackwood stała przy oknach swojego biura w New Executive Office Building i patrzyła na dachy samochodów, taksówek i autobusów poruszających się w rytm ulicznych świateł. Jak tik nerwowy, jej prawy nadgarstek zdawał się unosić i przekręcać jakby niezależnie od niej, kiedy podnosiła zegarek do oczu.

- Cholera! - mruknęła po raz któryś. Czas włókł się jak dryf kontynentalny, nieskończenie długa noc przeszła w końcu w nieskończenie długi poranek. Ziewnęła, zasłoniła usta, mocno zacisnęła oczy, potem je otworzyła ze złudną nadzieją, że może obudzi się ze złego snu.

Tuż przed świtem zapadła w niespokojny sen po całej nocy kompletowania zarysu alternatyw, środków, jakie mogłaby wykorzystać przeciwko Kuracie. Zrobiła listę osób i agencji nie kontrolowanych przez Kuratę ani przez Biały Dom i wyszczególniła tych, na których mogłaby polegać. Była to lista przygnębiająco krótka.

Odwróciwszy się od okna, wychodzącego na Pennsylvania Avenue, Lara podeszła do swego biurka i pociągnęła kolejny łyk kawy. Była już zimna; Lara skrzywiła się i wysączyła ostatnie krople, w nadziei, że kofeina pomoże jej otrząsnąć się z nieustającego poczucia surrealizmu, w którym pozostawała od momentu, kiedy Kurata wyszedł z Błękitnego Pokoju. Czuła się oderwana od rzeczywistości, jak gdyby unosiła się w postaci jakiegoś nadnaturalnego jasnego punktu, poza sobą, obserwując siebie z zewnątrz, obserwatorka i obserwowana w jednym.

Nie wiedziała co ma zrobić, jak ma się czuć. Jej ojciec był niezwykle inteligentnym człowiekiem, fizycznie silnym i emocjonalnie bardzo opanowanym. Był samotnikiem, miał niewielu prawdziwych przyjaciół i żywił przekonanie, że lepiej wyjdzie, polegając wyłącznie na sobie. Swoje jedyne dziecko wychował w podobnym duchu.

Zdała sobie sprawę, że poza Ismailem nie ma żadnych bliskich ludzi, do których mogłaby udać się po radę. Siedząc przy biurku naprzeciwko Białego Domu, desperacko pragnęła, żeby znalazł się ktoś, kogo mogłaby poprosić o obronę. Nigdy wcześniej nie wdała się w konflikt z Białym Domem, ani *zaibatsu*. Olbrzymi globalny konglomerat, jakim była korporacja Daiwa

Ichiban dysponował niewyobrażalnymi środkami, w dodatku nie ograniczało go ani prawo, ani etyka.

Pukanie do drzwi wystraszyło ją.

- Tak? - odpowiedziała. - Proszę wejść - dodała, odwracając notatnik na czystą stronę. Drzwi otworzyły się.

- Właśnie przyszło - sekretarka Lary, Sandra Robinson, wyciągnęła ku niej zwykłą szarą kopertę.

Była to schludna, przeciętnej urody kobieta, która równie dobrze mogła mieć trzydzieści pięć jak i pięćdziesiąt pięć lat i zawsze, niezależnie od pogody, chodziła w swetrze, bluzce i spódnicy. Sandra Robinson skutecznie oferowała swe usługi stałemu strumieniowi przedstawicieli Białego Domu i uważała brak poglądów politycznych za swą największą zaletę.

- Przysłano kurierem - oznajmiła, kładąc przesyłkę na biurku. - Została prześwietlona, jest w porządku.

- Dziękuję - odparła Lara i ujęła kopertę.

Sandra spojrzała na filiżankę po kawie. - Zaparzam właśnie świeżą, przynieść?

Lara potrząsnęła głową. - Nie, dziękuję.

Sekretarka zamknęła za sobą drzwi.

Lara przyjrzała się kopercie z jej nazwiskiem i biuro-\wym adresem wydrukowanym porządnie na białej nalepce. Adresu zwrotnego nie było. Wsunęła palec wskazujący w szczelinę i rozwarła kopertę.

Koperta zawierała pierwszą stronę wydartą staraniem z jakiegoś japońskiego tabloidu oraz pojedynczą kartkę gładkiego papieru bez nagłówka, bez firmowego logo i żadnych znaków szczególnych. Z rosnącym niepokojem Lara rozłożyła gazetę. Dopiero po chwili dotarło do niej, że duża fotografia na pierwszej stronie przedstawiała sporego szczura, dobierającego się do odciętej ludzkiej głowy.

- Boże kochany! - odepchnęła się od biurka i wstała, chcąc

uciec od tego groteskowego obrazu. Poczowała przyptyw mdłości, które zaraz ustąpiły miejsca zimnym węzłom strachu, kiedy pozwoli odcyfrowywała literniectwo kanji w krzyczącym nagłówku: Lekarze Amerykańskiej Armii zamordowani. Policja wini długi hazardowe.

Z wysiłkiem przeniosła wzrok z nagłówka na fotografię i podpis pod nią. „Odcięta głowa lekarza Armii Stanów Zjednoczonych, doktora Jima Condon, została znaleziona przez służby porządkowe miasta w zaułku niesławnej dzielnicy hazardu i rozpusty. Jego ciało znajdowało się w pobliżu potwornie pokiereszowanych zwłok innego amerykańskiego lekarza, doktora Denisa Yaro.

Lara szybkim ruchem odwróciła zdjęcie.

- Boże. - Jej wargi zeszywniały. - Boże. - Lara czuła się, jakby potrafiła ją ciężarówka, usiadła cała drżąc, chwyciła się poręczy fotela, walcząc z mdłościami, które podniosły jej się do gardła.

Histerycznie przeszukała kopertę i obejrzała jej zawartość, żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś śladów świadczących o nadawcy.

Po kilku długich chwilach zauważyła białą kartkę, która też była w kopercie. Zawierała angielskie tłumaczenie artykułu, załączone przezornie, żeby nie straciła nic z jego treści. Opanowała drżenie rąk, zmusiła serce, by wróciło z gardła na miejsce, wyjęła swój telefon komórkowy i wybrała numer Ismaila. Po czterech dzwoneczkach włączyła się poczta głosowa.

- Ismail, bądź ostrożny. Bardzo ostrożny. Jim Condon i Denis Yaro nie żyją. W japońskich gazetach napisali, że chodziło o długi hazardowe, ale ja w to nie wierzę.

Lara siedziała nieruchomo z zamkniętymi oczami, koncentrując się na oddechu i dreszczach, które przebiegały po każdym calu jej skóry. Z czasem każdy wdech był głębszy i bardziej re-

gularny, rytm serca wyrównał się, myśli uspokoiły i poczuła głęboki spokój, który podtrzymywał ją zawsze, kiedy sztormy i silne wiatry rzucały nią po pokładzie. Ktoś chciał ją zastraszyć. Kto? Po prostu wiedziała, że to musiał być Kurata. A jeśli nie uda mu się jej wystraszyć, czy posunie się jeszcze dalej? Czy to on odpowiada za śmierć Jima i Denisa? Czy porwie się też na jej życie? Co prezydent ma z tym wspólnego? Czy po prostu wypożyczył Kuracie Biały Dom dla jego tajnych celów, tak jak to czynił już wcześniej dla innych zamożnych ludzi finansujących jego kampanię, czy też może Owalne Biuro było pod presją? Każde z tych pytań rodziło kolejne w tej gmatwaninie wątpliwości i niepewności.

Lara sięgnęła po telefon i wcisnęła bezpośredni numer do Petera Duranta. Odezwała się jego poczta głosowa.

- Szlag!

Wybrała numer jego komórki z tym samym rezultatem.

- Peter, tu Lara. Zadzwoń jak najszybciej. Sprawa nie-cierpiąca zwłoki.

Przez chwilę rozważała, czy nie przejść tunelem pod Pennsylvania Avenue do Białego Domu i tam go znaleźć. Przypomniała sobie jednak rozmowę z Kuratą i rozmyśliła się.

Kartkując notatnik do ostatniej strony, Lara spojrzała na swój plan działania. Musiała spieniężyć nieco akcji Gen-Intronu i dodać te pieniądze do żelaznego zapasu na pokładzie. Potem trzeba będzie kupić świeżą amunicję. Tyle było wiadomo. Dużo pływała po Karaibach i Indonezji, gdzie piractwo było na porządku dziennym, dlatego miała spory zbiór rozmaitej broni palnej, z której regularnie strzelała na strzelniczy w Arlington.

Ale choćby broń była sprawna, stara amunicja mogła być zleżała, spowodować zacięcie się automatu lub po prostu nie wypalić. Oczywiście, będzie musiała pojechać do Wirginii, by nabyć amunicję, ponieważ cała broń, jaką miała zamkniętą bez-

piecznie na łodzi, była w Dystrykcie Columbia nielegalna. Pomimo dobrych intencji prawodawców piszących przepisy dotyczące posiadania broni, przestępcy zawsze mieli do niej dostęp, podczas gdy uczciwi obywatele chodzili bezbronni.

Rozdział 15

Lara wyjeżdżała z podziemnego parkingu pod New Executive Office Building. Omijając w ostatniej chwili bezdomnego z trzema przelewającymi się od zawartości wózkami na zakupy, związanymi jak wagony pociągu, wcisnęła swój potężny uzbrojony wóz w leniwy strumień ruchu ulicznego i skierowała się do Arlington przez Memorial Bridge. Sprawnie manewrując w chaotycznym labiryncie zablokowanych i jednokierunkowych ulic, które zostały pozamykane lub przekierowane, żeby zapobiec atakom terrorystycznym na Biały Dom, zjechała z drogi rozklekotanej białej taksówce, która przejeżdżała na czerwonym świetle na G Street, zdołała też nie potrącić skejta na desce, który nie patrząc na nic, przejeżdżał sobie w poprzek ulicy.

Jadąc, Lara myślała intensywnie, zadając sobie coraz więcej pytań bez odpowiedzi. Jej myśli zaczęły krążyć jak po chaotycznej orbicie wokół jednej, głęboko niepokojącej myśli: praca jej życia, idee i procesy, które stworzyła, żeby ratować życie ludzkie, zostały obrócone w śmiercionośną broń. Poczucie winy tkwiło mrocznym brzemieniem w jej sercu. Zastanawiała się, ile czasu upłynie, zanim na czarnym rynku broni pojawią się fiolki z bombami genetycznymi wraz z rakietami Stingera, AK-47 i miotaczami napalmu. Nie miała wątpliwości, że kiedy tylko bomby genetyczne zostaną udoskonalone i skutecznie przetestowane, będą sprzedawane na wolnym rynku.

Czuła w sobie rosnącą pustkę, kiedy zdawała sobie sprawę, że użyte dyskretnie bomby genowe pozwolą potencjalnym agre-

sorom prowadzić wojnę z nieświadomymi niczego ofiarami - nie będą wiedzieli, że są atakowani, aż będzie za późno, jeśli w ogóle. W czasach, kiedy nowe, nieznanne choroby, jak gorączka Ebola, trafiają na pierwsze strony gazet, duży atak bomby genowej może niepostrzeżenie unicestwić całe populacje w ciągu jednej nocy bez żadnego śladu po atakującym.

Lara zadrżała. Drogi Boże! Jak mogło do tego dojść? Kiedy się teraz nad tym zastanawiała, wszystkie jej posunięcia - założenie GenIntronu, wybór kierunku badań naukowych, finansowe korowody z bankiem First Merc, które doprowadziły do kryzysu finansowego firmy i sprzedanie się Daiwa Ichiban Corporation - posunięcia, które kiedyś wydawały się tak niewinne i logiczne, teraz pobrzmiwały groźnymi wibracjami. Czowała te wibracje, chciała je zignorować, ale w rzeczywistości nie miała wyboru, jeśli jej firma miała przetrwać.

Wreszcie dojechała do alei Konstytucji i włączyła migacz, żeby skrócić w prawo, kiedy zadzwoniła jej komórka.

W płonnej nadziei, że to Ismail, gorączkowo wyszarpnęła telefon z torebki i wcisnęła guziczek.

- Laro? - Był to Peter Durant, z głosem pełnym zatroskania. Jej serce zapadło się.

- Muszę się z tobą zobaczyć, Peter. Musimy porozmawiać. - Poinformowała go o śmierci dwóch wojskowych lekarzy.

- Nie wiem - powiedział Durant z powątpiewaniem. - Zdaje mi się, że ekscytujesz się czymś, co wygląda po prostu na przypadek.

- Więc dlaczego ktoś mi przysłał te wycinki i próbował mnie zastraszyć?

W słuchawce rozległy się trzaski, kiedy Durant dumiał nad odpowiedzią. - Zameldowałaś o tym ochronie?

Tajne służby strzegły Białego Domu i jego budynków biurowych.

- Nie - odparła Lara.

- Dlaczego?

Zawahała się. - Bo... Bo nie wiem, komu można ufać.

- Chyba nie przypuszczasz, że sam prezydent ma z tym coś wspólnego?

- Już nie wiem, co mam myśleć - odpowiedziała Lara, potem opisała mu swoje spotkanie z Kuratą w Białym Domu.

- Nie wiem - odparł Durant. - Zdaje mi się, że wyobrażnia cię ponosi, że dopatrujesz się rzeczy, na które nie ma dowodów

- To dlatego, że ty wolisz ich nie widzieć, Peter - powiedziała ze złością. Światło się zmieniło i skręciła. - Jesteś dokładnie taki sam, jak każdy inny śmierzdel w tym mieście, który ma swoje wysoce moralne klapki na oczach, wygodnie blokujące wszystko, co nie służy ich samolubnym celom!

Budynki Departamentu Stanu wyrosły po prawej stronie, kiedy Lara skręciła w pas do skrętu w lewo, który miał ją poprowadzić wokół północnej strony pomnika Lincolna. Znowu zaczęła się zastanawiać, gdzie podzieli się wszyscy wielcy ludzie i prawdziwi bohaterowie.

- To jest chwyt poniżej pasa, Laro - obraził się Durant.

- Czy ty nie widzisz, że Daiwa Ichiban wykupili GenIntron, żeby mieć dostęp do najnowszych, najważniejszych fragmentów łamigłówek, których potrzebowali do udoskonalenia broni genowej? Właśnie na tym polegał ten tak zwany koreański trąd.

- Jezusie, Laro, naprawdę ponosi cię wyobrażnia. Nie masz żadnych dowodów na poparcie tych fantastycznych wniosków, do których właśnie doszłaś.

- Naprawdę musimy o tym porozmawiać.

- Dzisiaj mam napięty dzień - powiedział niechętnie. - Prezydent...

- Prezydent niech idzie na drzewo! - warknęła. - To jest naprawdę ważne, Peter.

- Dobra - zawahał się. - Spotkajmy się jutro o dziewiątej w moim biurze,

- Lepiej spotkajmy się poza Białym Domem.

- Laro, w moim biurze jutro o dziewiątej - uciął Durant kategorycznie i odłożył słuchawkę.

- Patafian - Lara skręciła na Memorial Bridge. Kiedy wreszcie przedostała się na południową drogę w stronę Pentagonu, znów spróbowała zadzwonić się do Ismaila.

- Myślę, że dziś popołudniu powinniśmy już mieć jakieś wyniki - powiedział Craig Bartlett, wprawnie prowadząc swoje podniszczone volvo przez wąski, kręty, dwupasmowy skrót, wijący się przez wzgórza między La Jolla i Rancho Bernardo na północ od San Diego. Był starszym asystentem w zakładzie genetyki molekularnej w Scripps Institute. Ismail Brahimi siedział na fotelu pasażera obok niego, kiedy rozdzwoniła się jego komórka.

- Halo? - powiedział. - Halo? - W słuchawce słychać było tylko trzaski. Potrząsnął głową i rozłączył się.

- Tu w górach trudno złapać zasięg - powiedział Bartlett. Brahimi skinął głową. - Dzięki za gościnność. Mogłem zatrzymać się w hotelu.

- Wiesz, że nigdy bym się na to nie zgodził.

- Dzięki - Brahimi powiedział sztucznie radosnym głosem. Coś w tych próbkach z Tokio było koszmarnie nie tak.

Bartlett zmrugał oczy pod oślepiającymi promieniami słońca, kręcąc kierownicą w prawo, w lewo, znowu w prawo, przez ostre zakręty wąskiej asfaltówki.

Za nimi człowiek w kasku, ubrany w pomarańczowe ubranie robocze wyszedł z zarośli i ustawił rząd pomarańczowych pachołków w poprzek drogi. Wróciwszy w krzaki, włączył walkie-talkie i powiedział do niego jedno słowo. - Teraz.

Droga zwężała się i stawała coraz bardziej niebezpieczna, kiedy volvo wspinało się ku szczytowi wzgórza, oddzielającego wybrzeże od głównego ładu. Zredukował prędkość przed zakrętem o 180 stopni, który jak wiedział, miał ich zaprowadzić za grań.

- Święty Jezu, co to? - krzyknął Bartlett, kiedy przejechali zakręt. Brahimi podniósł wzrok akurat w porę, by zobaczyć cysternę przewożącą propan, która zjechała z drogi, a jej przyczepa, kształtem przypominająca bombę, całkowicie blokowała przejazd. Przed oczami stanęły mu wszystkie telewizyjne newsy o płonących cysternach, zobaczył już słup ognia strzelający wysoko w niebo. Bartlett nacisnął hamulec. Poczł, że opony nie trzymają się nawierzchni; wpadli w poślizg. Cysterna z gazem była niebezpiecznie blisko. Z oczami rozszerzonymi ze strachu, wjechał w zakręt, volvo ześlizgnęło się bokiem w stronę cysterny, zwalniając niemal niedostrzegalnie. Przez moment zdawało się, że samochód się stoczy, ale po chwili odzyskał równowagę.

Całą wieczność później, pośród zapachu siarki i przypalanej gumy, w ogłuszającym pisku opon, samochód zatrzymał się w odległości jednej stopy od zepsutej cysterny.

- Niech to szlag - powiedział Bartlett, opierając głowę o kierownicę i mocno przełknął ślinę. Po dłuższej chwili usiadł prosto, odetchnął głęboko i wydał długie drżące westchnienie. Obok niego Brahimi próbował opanować drżenie rąk, patrząc na ciężarówkę.

- O co tu chodzi? - zapytał Brahimi, otwierając drzwi. Potem zobaczył kierowcę, leżącego twarzą do ziemi na drodze. - Patrz, Craig! - pokazał kierowcę. Obaj wybiegli z samochodu ku ciężarówce. Obaj spróbowali wybrać numer alarmowy na komórkach. Ale nie było zasięgu. Jakiś ruch na wzgórzu przyciągnął wzrok Brahimiego. Zatrzymał się i popatrzył na szczyt nad drogą. Zobaczył tam samotną postać, wysoką i szczupłą, z roz-

stawionymi nogami. Sylwetka wyraźnie rysowała się na tle jasnego słońca. Osoba ta stała zbyt daleko, by mógł rozróżnić, czy to mężczyzna czy kobieta, ani by dostrzec małą, metalową skrzynkę w jej ręce, ani też zauważyć, jak palcem wskazującym ten ktoś przyciska mały czerwony guzik.

Rozdział 16

- Nie do wiary, kurwa, nie do wiary - mruzczała Lara Blackwood, pochylając się nad rosnącą stertą papierów, wypluwanych przez małą laserową drukarkę w jadalni Tagcat Too. Obok drukarki na laptopie mrugał nieprzerwanie indykator twardego dysku. Godziny miną, zanim drukarka dogoni te wszystkie dane, które ściągnęła z Internetu - niektóre darmowe i łatwo dostępne, niektóre pochodzące z zastrzeżonych baz danych, objętych prawem własności - uzyskane ogromnym kosztem.

Lara wyciągnęła kolejny plik kartek z drukarki i ziewnęła, spojrzawszy na leżącą na wierzchu stronicę. Kilka dni strawi na czytaniu tego wszystkiego, ale musi to zrobić. Była przekonana, że gdzieś w lawinie informacji znajduje się coś na temat Kuraty, co pozwoli jej wykryć, w jaki sposób jest zamieszany w koreański trąd i dlaczego. Co więcej, być może natknie się na coś takiego, co rozjaśni jej w głowie i podpowie, co powinna zrobić.

Przeczytała strony zawierające drugi i trzeci wariant biografii Kuraty. Wydawały się wszystkie mniej więcej takie same, jednak Lara próbowała wciąż na nowo, nie tracąc nadziei, że jedna z relacji lub jakiś artykuł z gazety może zawierać ten jedyne skrawek informacji, którego szukała. Szybko przebiegała wzrokiem stronicę, przeskakując to, co już знаła na pamięć: Kurata, urodzony w Kioto, bohaterski młody żołnierz, syn starej samurajskiej rodziny, szkolony do misji samobójczej na torpedzie przeciwko amerykańskiej flocie, wprowadzony w rodzinny biz-

nes medycyny zielarskiej, który szybko rozbudował w dużą międzynarodową firmę, kupioną w 1955 przez Daiwa Ichiban Corporation, niewielką, nowo powstałą firmę o wielkich aspiracjach.

Przez następne dwadzieścia lat Kurata piął się błyskawicznie po szczeblach korporacyjnej drabiny, przekształcając Daiwa Ichiban w zaibatsu z międzynarodowymi udziałami, posiadający własne banki i udziały w przemyśle metalurgicznym, elektronicznym, stoczniowym, farmaceutycznym, chemicznym i samochodowym.

Przez te lata wyrósł na ikonę ruchu neonacjonalistycznego. Stare mity na temat wyższości rasowej Japończyków, kultu cesarza, boskiego pochodzenia narodu japońskiego oraz przekonanie, że świat białej rasy podstępnie zmówił się przeciwko Japonii, były z nim kolejno utożsamiane, aż stał się czarną perłą Japonii.

W roku 1976 Kurata zaangażował swoje ogromne wpływy i trudny do oszacowania majątek Daiwa Ichiban w kampanię na rzecz odnowienia podręczników szkolnych, starając się przedstawić w pozytywnym świetle rolę Japonii w drugiej wojnie światowej. Dzięki jego wysiłkom i przychylności rządu narodowego, japońskie dzieciaki uczyły się, że wojna została wywołana przez białych agresorów, japońskie inwazje na sąsiadów nazywano w nich „przyłączeniem”, a niewolniczą pracę podbitych narodów „mobilizacją siły roboczej”.

Już w roku 1977 nowe wytyczne japońskiego Ministerstwa Edukacji w sprawie podstaw nauczania historii, zredukowały historię II wojny światowej do sześciu stron z pierwotnych kilkuset. Większość z tych sześciu stron zajmowały fotografie Hiroszimy zniszczonej przez bombę atomową, listy poległych Japończyków, statystyki, zdjęcia z ataku bombowego na Tokio i inne „okrucieństwa białej rasy”.

W następnym roku Kurata wystąpił z inicjatywą zrehabilitowania generała Tojo i trzynastu innych skazanych japońskich zbrodniarzy wojennych i krok po kroku doprowadził do tego, że zaczęto ich czcić jako „bohaterów bogów” w świątyni Yasukuni. Od tamtej pory każdy japoński premier, z wyjątkiem Morihiro Hosokawy, odwiedzał Yasukuni, by modlić się do Tojo i innych poległych na wojnie.

Lara z niedowierzaniem potrząsnęła głową, wstała i zabrała swoją pustą filiżankę do kambuza, żeby ją znów napełnić. Wypiła łyk i wróciła do potępiających dowodów, wypływających wciąż z drukarki.

Z kolejnych kartek dowiedziała się, że to Kurata był przywódcą buntu przeciwko premierowi Hosokawie pod koniec lat dziewięćdziesiątych, kiedy ten zasugerował, że Japonia jest winna przeprosiny całemu światu za agresję na Pacyfiku. Kurata doprowadził polityczną karierę Hosokawy do szybkiego końca.

Jednym z posłów Zgromadzenia Narodowego, który zgadzał się z poglądami Kuraty był Shintaro Ishibara, który oświadczył, że Hosokawa zasługuje na śmierć za swoją deklarację o przeprosinach. Ishibara, współautor (z prezesem Sony Corporation, Akio Moritą) nacjonalistycznej, rasistowskiej, atakującej rasę białą książki pod tytułem „Japonia, która umie mówić nie”, stał się zaciekłym apologetą skrzydła prawicowego, między innymi twierdząc, że japońska inwazja na sąsiednie kraje była w istocie dla nich dobrodziejstwem.

„Kraje azjatyckie, których gospodarki kwitną - Korea Południowa, Taiwan, Singapur itd. - wszystkie były pod kontrolą Japonii w jakimś momencie przed i podczas II wojny światowej. Dzięki intensywnym wysiłkom i wkładowi Japonii, kraje te robią szybkie postępy w sferze ekonomicznej i społecznej. Nie można tego powiedzieć o żadnych regionach, gdzie panowali biali”.

- O, mamó! -jęknęła Lara, popijając kawę. - Tojo redux. - Miała teraz przed sobą pełne teksty artykułów z rozmaitych gazet i czasopism. Jeden z nich wskazywał, że Kurata osobiście finansował ciągły strumień fanatyków, między innymi człowieka, który postrzelił i ranił Hitoshi Motoshimę, burmistrza Nagasaki, po tym, jak ten oznajmił, że cesarz Hirohito jest współodpowiedzialny za zbrodnie wojenne.

Nie było wciąż namacalnych dowodów, ale wszystkie te artykuły zawierały sugestie, że ręce Kuraty, jego charyzma i pieniądze wspierały japoński ruch militarystyczny i przywiodły go do stanu sprzed II wojny światowej. Co więcej, według tych tekstów społeczeństwo japońskie - przyzwyczajone do posłuszeństwa wobec norm społecznych, które żądały, by „gwóźdź, który wystaje, został wbity” - społeczeństwo japońskie wydawało się zadowolone z jego duchowego przywództwa.

Analizy z bazy danych konkludowały, że trudności ekonomiczne Japonii w połowie lat 90 i późniejsze z początku nowego stulecia, spowodowały jeszcze więcej poparcia dla prawicy, która obwiniała za te problemy spiski inspirowane przez białych, oraz niewielkie, ale widoczne społeczności Hindusów, Koreańczyków, Filipińczyków, przybyszów z Bangladeszu i innych „gorszych” ras.

Lara westchnęła, zabierając się do ostatniej strony z pliku wyjętego z drukarki. Dlaczego nie wiedziała tego wcześniej? Wszystkie artykuły w jej bazie danych były indywidualnie dostępne, ale nigdy wcześniej nikt ich nie zebrał razem. Czy wydawcy i redaktorzy obawiali się kogoś obrazić? Czy zakupy koncernów medialnych przez Sony i inne japońskie korporacje ucięły dyskusję? Ta myśl przyprawiają o dreszcze. Odstawiła filiżankę i wzięła z drukarki następną porcję wydruków.

Lara aż gotowała się w środku, czytając. Wyszukiwarka po wpisaniu haseł „Kurata” i „Daiwa Ichiban” znalazła strony na

temat tajnych japońskich eksperymentalnych jednostek medycznych, które przeprowadzały potworne eksperymenty medyczne na nieszczęsnych chińskich cywilach w Mandżurii oraz na alianckich jeńcach wojennych. Istniał oddział 731 i lekarz nazwiskiem Shiro Ishi. Nazwisko to wydawało się Larze znajome. Chwyliła długopis i podkreśliła je. Tekst mówił, że Ishii był „japońskim Mengele”, który prócz wielu innych potworności, zamroził tysiące niewinnych ludzi na śmierć, prowadząc badania nad odmrożeniami i hipotermią. Władze okupacyjne zamieściły sędzię go za zbrodnie wojenne, ponieważ Amerykanie uznali go za geniusza w dziedzinie wojny bakteriologicznej. Zamiast ponieść karę, został przez nich nagrodzony nietykalnością wraz z setkami swoich współpracowników; zapewniono mu wygodne życie za pieniądze rządowe w zamian za współpracę nad tą bronią w celu zwalczania światowego komunizmu.

Historyczny tekst opisywał liczne „ośrodki eksperymentalne” w Mandżurii, Chinach i na Filipinach, w Indonezji i w samej Japonii. Zbierała jej się na mdłości, kiedy czytała szczegółowe opisy tortur, perwersji, zbrodni przeciwko naturze, które zostały oficjalnie usankcjonowane przez rząd japoński za wiedzą samego cesarza Hirohito.

Tekst skoncentrował się teraz na oficjalnej taktyce japońskiego rządu, jaką był gwałt jako instrument prowadzenia wojny. „Byłem świadkiem gwałtu na chińskiej kobiecie, dokonanego przez siedemnastu japońskich żołnierzy po kolei”, zeznał młody profesor uniwersytetu w Nankinie. Jego słowa przytoczono w bazie danych Archiwum Narodowego, zawierającej dokumenty pochodzące z procesów zbrodni wojennych w Tokio. „Nie będę przytaczał wszystkich przypadków sadystycznych i zwyrodniałych zachowań w związku z tymi gwałtami, powiem tylko, że na terenie uniwersytetu zostały zgwałcone mała dziewięcioletnia dziewczynka i siedemdziesięciosześcio-

-letnia babcia". Świadcowie procesu szacowali, że w ciągu sześciu tygodni japońskiej okupacji Nankinu, zgwałcono dwadzieścia tysięcy kobiet. Wiele z nich również okaleczono i zamordowano.

„Młode dziewczęta i kobiety między trzynastym a czterdziestym rokiem życia zostały spędzone i zbiorowo zgwałcone", relacjonował Hsu Chuan-ying, sześćdziesięciodwuletni urzędnik Chińskiego Ministerstwa Kolei przed Trybunałem do spraw Zbrodni Wojennych. „Odwiedziłem pewien dom, gdzie zostały zgwałcone trzy kobiety, w tym dwie nieletnie dziewczynki. Jedną z nich zgwałcono na stole, w czas mojej bytności tam krew na tym stole jeszcze nie wyschła".

- Potwory pieprzone! - Lara rzuciła papierami o stół i zerwała się z miejsca tak gwałtownie, że krzesło przewróciło się i huknęło o podłogę. - Przy tych bestiach nawet ta-libowie są święci jak Matka Teresa.

Dyszząc z gniewu, który zatykał ją w piersi, Lara postawiła filiżankę kawy i wyszła na pokład, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Wiatr był niespokojny, nie ukierunkowany, słabe, dalekie odgłosy huraganu dochodziły bezładnie od strony Karoliny. Lara wystawiła twarz do wiatru, rozkoszując się nim przez chwilę.

Jak to się stało, że nie wiedzieliśmy tego wszystkiego o Japończykach? Wiedzieliśmy o niemieckich faszystach, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, że Japończycy zmasakrowali ponad sześć milionów niewinnych cywili - głównie „niższych", „zanieczyszczonych" ras, Chińczyków, Koreańczyków, Filipińczyków i białych?

W oddali na parkingu, za ogrodzeniem z łańcucha, przepłynęło błyszczące bmw w poszukiwaniu miejsca do parkowania. Za pretensjonalnym niemieckim sedanem, grupa nastoletników w workowatych spodniach bujała się na chodniku. Przez chwilę przypatrywała im się. Trudno było powiedzieć, czy były to zwykłe dzieciaki zabijające czas, czy uliczny gang, wyruszający na żer. Gangi wyrostków często dewastowały budynki portowe, a od czasu do czasu włamywały się na łodzie i rabowały je. Śmieszne, pomyślała, że przepisy dotyczące kontroli broni nie były w stanie ich powstrzymać.

Japończycy dorównali lub nawet przewyższyli okrucieństwem nazistów i dokonywali swoich zbrodni z krwiożerością, która mogła konkurować z Idi Aminem i Pol Potem. Ale mało kto o tym wiedział..., a może nikogo to nie obchodziło.

Czy Stany Zjednoczone wciąż czuły potrzebę dotrzymania umowy z japońskim Mengele, teraz, kiedy komunizm upadł? Czy takie niemoralne układy były naprawdę nieuniknione? Jeśli musieliśmy czynić zło, żeby chronić naszej zdolności czynienia dobra, to jak to świadczy o dobru, które usiłujemy szerzyć?

Rozpalony gniew Lary nagle zwrócił się przeciwko niej samej, kiedy zdała sobie sprawę, że sprzedając GenIntron, sprzedała wraz z nim swoje przekonania, tak samo jak rząd, który chronił cesarskich potworów Japonii, tak samo złych, jak faszyci. .

W oddali grupka nastoletników rozeszła się. Lara zeszła pod pokład, starannie zamykając za sobą luk. Szła ostrożnie ku dziobowi, sprawdzając, czy wszystkie luki są dobrze zabezpieczone.

Wróciła do jadalni i wciąż rosnącego stosu wydruków. Drukowały się teraz zapisy obrad konferencji na temat

znaczenia Holocaustu dla bioetyki, zorganizowanej przez Uniwersytet Michigan w 1989 roku. Lara, wstrząśnięta, przeczytała tę stronę i dowiedziała się, że Shiro Ishii, japoński Mengele, został uhonorowany przez rząd japoński w 1984, otrzymując nagrodę za wybitne osiągnięcia w medycynie, m. in. za jego prace w dziedzinie „regulacji temperatury w organizmie ludzkim”. Z tego, co przeczytała wcześniej, wiedziała, że te prace były oparte na torturowaniu niewinnej chińskiej ludności cywilnej i alianckich jeńców wojennych w kadziach zamrażającej wody, żeby sprawdzić, jak długo utrzymają się przy życiu i w jaki sposób hipotermia prowadzi do śmierci. Jak mogli? Jak to możliwe, że współczesny rząd narodu, który uważa się za oświecony, odaje takie honory zwyrodniałemu potworowi?

Im dalej czytała, tym było gorzej. Mało tego, że Ishii został uhonorowany, ale również i jego współpracownicy z oddziału 731 zostali wyniesieni na prestiżowe stanowiska w Japonii. Byli wśród nich szefowie japońskich Narodowych Instytutów Zdrowia, minister zdrowia, profesorowie katedr uniwersyteckich na uczelniach w Tokio, Kioto, Osace. Wielu było zatrudnionych na odpowiedzialnych stanowiskach w takich renomowanych firmach, jak Takeda Pharmaceutical Company, Hayakawa Medical Company oraz - wstrzymała oddech - w zarządzie dyrektorów Daiwa Ichiban Corporation i jego filii, NorAm Parmco.

- O zgrozo - wykrztusiła Lara słabo; koszmar, jakim stało się jej życie, osiągnął rozmiary straszliwe, jakich wcześniej nie była sobie w stanie wyobrazić. Drżącymi rękami ledwie trzymała kartkę i odczytywała ją raz po raz od nowa, w nadziei, że może nazwiska w cudowny sposób znikną. Łzy napłynęły jej do oczu. Kurata mianował dwóch spośród zbirów Ishii'ego, zbrodniarzy wojennych, na wakujące miejsca w zarządzie GeIntronu, zwolnione przez nią i Ismaila Brahimiego.

Rozdział 17

Dwupiętrowy ceglany budynek Laboratorium 73 stał z dala od reszty podobnych do siebie budowli w rozległym kompleksie Tachikawa na zachodnim krańcu Tokio, gdzie gęsta miejska dżungla powoli ustępowała miejsca polom ryżowym i bambusowym gajom.

Tachikawa było starożytnym miastem na równinie położonej na wschód od Gór Chichibu, widocznych tylko w te rzadkie dni, kiedy smog nad Tokio lekko się rozwiewał. Pomimo starożytnych korzeni, Tachikawa była teraz tylko brudnym przedmieściem dla pracowników wielkich fabryk nowoczesnych *zaibatsu*: Hondy, Mitsubishi, Toshiby i wielu innych.

W mniej odległej przeszłości Tachikawa służyła japońskiej machinie wojennej jako ośrodek badawczo-rozwojowy. Tutejsze zaplecze naukowo-badawcze było jednym z pierwszych, zajętych przez oddziały aliantów po kapitulacji Japonii. Z powodu długiej zwłoki między kapitulacją a faktycznym wkroczeniem oddziałów Armii Stanów Zjednoczonych, większość najbardziej wrażliwych materiałów zdążono rozparcelować między naukowców i pracowników, którzy te materiały ukryli i zachowali jako argumenty przetargowe, żeby uniknąć więzienia lub egzekucji.

Do roku 1977, kiedy Stany Zjednoczone zwróciły ośrodek japońskim Siłom Samoobrony, tajne składy dokumentów, ksiąg laboratoryjnych a nawet prototypów wciąż leżały pod ziemią w prywatnych ogrodach i willach krewnych personelu badawczego. Żaden z naukowców pracujących w Tachikawie nie został postawiony przed Trybunałem do Spraw Zbrodni Wojennych w Tokio.

Większość budynków na powrót stała się siedzibą utajonych ośrodków badawczo-rozwojowych związanych z

obronnością Japonii. Prowadzono tam między innymi prace nad samolotem myśliwsko-bombowym FSX, za pomocą którego Japonia próbowała przewyciężyć amerykańską dominację technologiczną, tak jak to zrobiła w dziedzinie półprzewodników, telewizorów i samochodów.

Z najwyższych okien trzypiętrowego ceglanego budynku, w którym mieściło się Laboratorium nr 3, projektanci FSX z ledwością mogli zobaczyć Laboratorium nr 73, ukryte za bambusowym gąszczem, odgródzone nawet przed resztą tego pilnie strzeżonego kompleksu przez dwa wysokie na 22 stopy ogrodzenia pod wysokim napięciem, zwieńczone drutem kolczastym. Psy i uzbrojeni strażnicy nieustannie patrolowali pas między ogrodzeniami. Laboratorium nr 73 miało swoje oddzielne wejście, żeby jego pracownicy nie stykali się z personelem innych laboratoriów. Tylko elita Japończyków i Amerykanów wiedziała o Laboratorium nr 3 i jego pracach nad FSX, ale ani jeden z pracowników Laboratorium nr 3 nie miał najlżejszego pojęcia, co dzieje się za murami Laboratorium 73.

Prowadziło ono dokładnie ten sam rodzaj prac badawczo-rozwojowych, co przed II wojną światową i podczas niej, pod dowództwem generała broni Shiro Ishii'ego. Wówczas nosiło nazwę Oddziału 731.

Dach Laboratorium 73 jeżył się od talerzy satelitarnych, które łączyły jego superkomputery za pomocą światłowodów i ściśle zabezpieczonych kodowanych kanałów komunikacyjnych z innymi superkomputerami, umieszczonymi na całym świecie i obsługiwanyymi przez partnerskie ośrodki badawcze. Laboratorium 73 było centralnym ośrodkiem nerwowym globalnej sieci, która obejmowała liczne laboratoria Daiwa Ichiban Corporation i jej filie, w tym NorAm Pharmco, a obecnie i GenIntron.

Aby utrzymać ściśle bezpieczeństwo i nie dopuścić, żeby ludzie faktycznie zajmujący się badaniami poznali całościowy

obraz, badania naukowe zostały starannie podzielone na małe odcinki pomiędzy peryferyjne laboratoria, a ich rezultaty zbierano w jednym miejscu: w Tachikawa. Ale nawet w Tachikawa tylko garstka ludzi na samym szczycie miała pojęcie, co się tam naprawdę dzieje. Jedną z tych osób był Kenji Yamamoto.

Dobrze wykształcony naukowiec, Yamamoto już nie zajmował się badaniami. Po przepracowaniu trzydziestu pięciu lat jako pracownik naukowy Laboratorium 73, był teraz kierownikiem masowej produkcji, która polegała na wytwarzaniu dużych ilości substancji tworzonych w ośrodku.

Stał przy oknie wychodzącym na góry i z wysiłkiem próbował opanować wrzący w nim gniew. Zaczepnął powietrza, potem odwrócił się, żeby spojrzeć w twarz swemu prześladowcy.

- Nie mogę już dobitniej wyrazić, jak niebezpieczne jest pańskie żądanie zwiększenia produkcji w tak krótkim czasie - powiedział Yamamoto. Zaciągnął się papierosem i dmuchnął dymem, który jak geologiczne osady układał się w powietrzu poziomymi warstwami.

- Do ciężkiej cholery, Kenji! - Pod wpływem wściekłości zazwyczaj nienaganna angielszczyzna z BBC poszła w ką. - W ciągu ostatnich pięprzonych miesięcy nie zrobiłeś nic poza tym, że ciągle mówisz, czego nie możesz zrobić! Teraz ja ci powiem, co absolutnie, kategorycznie musisz zrobić. Kurata ustalił termin, więc weź się do roboty, chyba że jesteś gotów nadziać się na swój samurajski miecz.

- Rycroft-san, proszę posłuchać głosu rozsądku - prosił Yamamoto.

Edward Rycroft zwierzał i rozwierał pięści, wpatrując się płonąącym wzrokiem w swego kierownika produkcji.

- Kurata ma gdzieś zdrowy rozsądek - warknął Rycroft. - On chce wyników. Mnóstwa zdechłych Koreańczyków.

- Ale wasza najnowsza metoda produkcji jest słabo do-
wiedziona - obstawał przy swoim Yamamoto. - Jest szybka, ale
trzeba ją lepiej przetestować.

- Posłuchaj, Kenji. Kto opracował metodę produkcji dla te-
stu w Tokio?

- Pan, Rycroft-san.

- Czy zadziałało tak, jak powiedziałem?

- Oczywiście, Rycroft-san, ale...

- A czy poprzedni test w Korei przebiegał tak, jak mó-
wiłem?

- Tak, ale...

- Nie przerywaj mi więcej, jasne?

- *Hai*. - Yamamoto uklonił się.

- No, teraz lepiej - Rycroft obniżył głos. - Teraz słuchaj
mnie, Kenji, i to uważnie, bo wypierdolę cię na zбитy pysk, jeśli
będę musiał to jeszcze raz powtórzyć. To ja stworzyłem te pro-
cesy i za każdym razem wszystko odbywało się dokładnie tak,
jak przewidziałem. Nowy proces również stworzyłem ja i on też
będzie przebiegał bez zarzutu, bo ja tak mówię. Nie zapominaj,
z kim rozmawiasz, jestem o krok od Nagrody Nobla. Jak w ogó-
le śmiesz kwestionować moją opinię?

Yamamoto głośno przełknął ślinę i upokorzony skłonił się
głęboko.

- *Hai*, Rycroft-san.

- To zabieraj się do roboty - Rycroft pomaszerał do
drzwi i otworzył je. - Kenji, jeżeli materiały nie będą gotowe,
kiedy będę ich potrzebował, cała twoja rodzina będzie przez
wiele pokoleń żałować twego błędu.

Rycroft wyszedł na korytarz. Kiedy trzasnął drzwiami, za-
brzmiało to jak wybuch granatu.

Rozdział 18

Krople deszczu upstrzyły przednią szybę limuzyny prezydenta, jadącej wzdłuż Conecticut Avenue w kierunku Chevy Chase.

— Mówią, że to tylko zwykły huragan, ale nie można go lekceważyć. Gdzieś nad Karoliną Północną, jak mi się zdaje. Towarzyszące mu tornada zdewastowały już całe hrabstwo, pełne parkingów dla przyczep mieszkalnych - mówił prezydent do Lary. Siedział obok Petera Duranta na obitym pluszem siedzeniu i patrzył przed siebie. Lara siedziała osobno, naprzeciwko nich.

Potrząsnął głową. W jego głosie zabrzmiały tony powagi, kiedy rzekł: - To z pewnością zaszkodzi dzisiejszej frekwencji. - Prezydent był ubrany w obuwie golfowe i kwiecistą hawajską koszulę. Znowu potrząsnął głową. - Ludzie nie przyjdą. - Zamilkł, bawiąc się kijem golfowym ze złotą główką, prezentem od sułtana Brunei.

- Nie mogę uwierzyć, że pan to mówi w takiej chwili! - Lara Blackwood pomachała egzemplarzem porannego wydania Washington Post. Gazeta była otwarta na artykule o tragicznej śmierci Ismaila Brahimiego i Craiga Bartletta. Jej poranne łzy stwardniały i skryształizowały w gniew i niezłomne postanowienie. - To skandal, żeby pan martwił się, że deszcz popsuje panu zbijanie kapitału politycznego, kiedy zginęli tacy zdolni ludzie, a jeden z pańskich sponsorów ma zamiar wypuścić w świat straszliwą zarazę, która zabije setki tysięcy japońskich Koreańczyków.

Prezydent spojrział na Petera Duranta.

- Rozumiem, jak bolesna to dla ciebie strata - zaczął Durant. - Ale to wszystko wygląda na niezwykle ciąg zbiegów okoliczności. - Prezydent potakująco kiwnął głową. - W artykule cytują

kalifornijski patrol drogowy, który ręczy, że to był z całą pewnością wypadek.

Limuzyna zwolniła, kiedy członkowie eskorty motocyklowej zatrzymywali ruch uliczny, żeby prezydencka limuzyna mogła przejechać na czerwonym świetle.

- Co do tych dwóch wojskowych, to były wyraźnie dowody, że nie spłacili dużego długu hazardowego bandzie zorganizowanych przestępców.

Elokwentne argumenty, które Lara przygotowała sobie wcześniej, zawiodły ją teraz, zatarte przez gniew, unieszkodliwione przez surrealizm tej sytuacji.

- Czy nic do was nie dociera? - zapytała Lara retorycznie. - Chcą, żebyście uwierzyli, że to był wypadek. A zmarli Koreańscy w Tokio? Jak to wytłumaczysz?

Durant potrząsnął głową. - Ludzie tak samo myśleli, kiedy pojawił się wirus Ebola. Wciąż jesteśmy świadkami ujawniania się nowych chorób, nawet na terenach mocno zurbanizowanych, z powodu masowych podróży lotniczych.

Po długiej chwili ciszy odezwał się prezydent. - Myślę, że... że... - szukał odpowiedniego słowa - że kłopoty, jakie pani przeżywała ostatnio w pani byłej firmie, zbierają teraz swoje żniwo, a te świeże nieszczęśliwe wydarzenia dodatkowo wypaczyły pani ogląd sytuacji.

- Wypaczyły?! Mój ogląd? - Lara pochyliła się do prezydenta. Najpotężniejszy człowiek na świecie skurczył się. - Woli pan się bawić golfowym kijkiem niż przyjąć do wiadomości fakty, że mamy do czynienia z morderstwem i katastrofą medyczną. To pan wypacza sytuację, sir.

- Laro, proszę, uspokój się. - Durant położył dłoń na jej ramieniu. Strąciła ją ze złością, jakby ją parzyła.

- Myślę, że długotrwały stres przyczynił się do tego, że wyciągasz nieuprawnione wnioski - powiedział Durant. - Ani pre-

zydent, ani ja nie chcemy patrzeć, jak rujnujesz sobie reputację przez snucie teorii spiskowych, zupełnie jak ci samotnicy z pustyni, którzy co noc widzą UFO na niebie.

Lara odchyliła się na siedzeniu i odpowiedziała zdesperowanym westchnieniem. Kiedy się odezwała, mówiła cicho i raczej do siebie niż do swych towarzyszy podróży. -Ja wam po prostu nie wierzę... - Powoli potrząsnęła głową. - Nie chcecie wiedzieć? - Patrzyła to na jednego, to na drugiego.

Prezydent tylko wzruszył ramionami. - Jest wiele rzeczy, których nie chcę wiedzieć - wyznał. - Im jestem starszy, tym więcej jest rzeczy należących do tej kategorii.

Z zewnątrz dobiegły wiwaty, kiedy limuzyna zwolniła, przygotowując się do przejazdu przez kolejne czerwone światło. Prezydent pochylił się w przód, do niezaciemnionego fragmentu szyby i pomachał zebranemu tłumowi.

Limuzyna ruszyła szybciej. Prezydent wykręcił głowę, żeby nie tracić z oczu zachwyconej publiczności, aż znikli w oddali. Przez moment podziwiał własne odbicie na przyciemnionej szybie.

Lara odwróciła głowę i wyjrzała na świat, zaciemniony nie tylko przez szyby i ponurą pogodę. Drzewa migały za oknami, kiedy limuzyna skręcała w prawo, w Wisconsin Avenue.

- Niechże pan coś zrobi - powiedziała spokojnie, znów spojrzawszy mu w oczy.

- Nie rozumiesz? Tu nie ma nic do zrobienia - wmieszał się Durant. - Nie mamy nawet tyle danych, żeby uruchomić śledztwo. Niby co mielibyśmy zrobić? Wysłać FBI do San Diego, żeby zaczęli węszyć wokół wypadku drogowego? Zaangażować CIA do zbadania sprawy jakichś tam niespłaconych karcianych długów? - potrząsnęła głową.

- W takim razie nie mam wyjścia - powiedziała Lara. - Pójdę do Washington Post i roztrąbię to. Oni mnie lubią.

Limuzyna zjechała z Wisconsin Avenue na przyległą ulicę z wypielegnowanymi trawnikami.

- Niech się pani nie oszukuje - odparował prezydent. - Jasne, że uwielbiają panią cytować. Zapewne z radością przywaliliby mi pod byle pretekstem. Ale kiedy zaczną sprawdzać pani historię, znajdą jakiegoś zastępcę szeryfa w południowej Kalifornii, który przysięgnie, że nie ma żadnych dowodów przestępstwa. A ich człowiek w Tokio niby czego się doszuka? Zamknięty raport policyjny, dwóch kolejnych gajjinów, którzy dostali nauczkę od yakuzy. - Potrząsnął głową i wyjrzał przez okno. Kiedy minęli kilka przecznic, pokazał coś przez okno. - To jest dom, który chcę mieć. Kiedy moja druga kadencja dobiegnie końca.

Lara otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale prezydent tylko machnął ręką. Kiedy w końcu odezwał się, jego głos zabrzmiał dziwnie łagodnie. - Pani naprawdę nic nie rozumie. Jeśli za tym wszystkim stoi Kurata - mówię tylko czysto hipotetycznie - gdyby to on za tym stał, to dysponuje takimi środkami i wpływami, żeby ślad nigdy nie doprowadził do niego. Mogą zrobić tak, że choćby pani stawała na głowie, żeby dowieść tej intrygi, nikt pani nie uwierzy. Nie ma pani nic poza przeczuciem. A oni mają potężne możliwości. Mogą panią zrujnować, nie tykając pani palcem.

- Niewykluczone - powiedziała Lara, nagle uspokojona. - Ale z etycznego punktu widzenia, nie mam innego wyboru, jak tylko spróbować ich powstrzymać.

- Ale Laro! - powiedział Durant. - Ty przecież... - Prezydent uciszył go.

- Ubolewam, że doszła pani do takich wniosków - oznajmił prezydent sztywnym, formalnym tonem. - Wobec powyższego, z żalem muszę przyjąć pani rezygnację.

- Ale ja nie zamierzam rezygnować!

- Pani naprawdę nic nie rozumie - w głosie prezydenta brzmiało łagodne zdumienie.

Rozdział 19

Południowe niebo nad Tokio było bardzo jasne i pełne znaków kanji.

„Chwała cesarzowi”, głosił napis na niebie, niesiony przez silny wiatr w stronę miasta. Kiedy pierwszy napis zaczął się zacierać, eskadra dziesięciu australijskich samolotów rolniczych Kingsfort Smith KS-3 Cropmaster już się przegrupowywała, żeby przelecieć jeszcze raz i wypisać kolejne hasło.

Była pora przerwy obiadowej i w dole zebrały się tłumy - w parkach, na rogach, w oknach, na dachach biurowców - żeby popatrzeć na latające maszyny i slogany wypisywane przez nie na niebie.

- Słusznie - powiedział jakiś *sarariman* (pracownik biurowy) w niebieskim garniturze, do swoich kolegów, siedzących wraz z nim przy stolikach na dachu budynku firmy w tokijskim oddziale Minato. - Czas, żebyśmy odzyskali nasze dziedzictwo.

- Amerykanie są już teraz zbyt słabi, żeby nam mówić, kogo mamy czcić, w co wierzyć - dodał jego otyły, odziany w identyczny oficjalny strój towarzysz, zapalając trzeciego po lunchu papierosa.

- Rzeczywiście, dzięki nim całe Tokio się nad tym zastanawia - powiedział trzeci. - Co tydzień, w każdy poniedziałek, na początek tygodnia, dają nam do myślenia.

- Wycygał papierosa i zapalił go. - Co za poświęcenie. Mija już prawie rok, a jeszcze ani razu nie powtórzyło się żadne przysłowie.

- Kazałem żonie, żeby kupując jedzenie, jak najczęściej wybierała ich produkty - powiedział tłuszcioch.

- Ty chyba konsumujesz połowę ich rocznej produkcji ryżu - zażartował pierwszy *sarariman*, wypuszczając kłąb dymu. Koledzy zaśmiali się, tylko tłuścioch się zmarszczył.

- Nie żartuj sobie z tego, co ci mnisi potrafili osiągnąć swoją ciężką pracą - skontrował. - Jeżeli uważasz, że mają rację - rzucił wyzwanie pierwszemu - też powinieneś kupować ich produkty i wspierać ich działalność.

Pokiwano głowami, potem zapadła cisza, a głowy uniosły się w górę, by odczytać kolejne hasło.

- Masę kosztuje zrobienie czegoś takiego - nie dawał za wygraną tłuścioch. - Litery kanji są tak piękne i precyzyjne nie tylko dzięki zręczności pilotów, ale dzięki specjalnemu systemowi komputerowemu stworzonemu przez siostrzeńca Kuraty-sama, który wyznacza kurs każdemu z pilotów.

Trzeci mężczyzna prychnął. - Komputery już dawno były w tych samolotach - powiedział. - To są samoloty rolnicze, których mnisi używają na swoich farmach do oprysków. Czytałem artykuł w *Asahi Shimbun*, że wszystkie takie samoloty mają wyświetlacze komputerowe z systemem nawigacji satelitarnej, które pilnują pozycji samolotu, żeby nie ominęły żadnego kawałka pola albo nie spryskały dwa razy tego samego. Zgadzam się, że te litery są to wielka sztuka. Ja także cenię te słowa co tydzień, ale to nie było takie kosztowne jak mówisz, bo komputery i cały sprzęt mają już od dawna.

Tłuścioch zasepił się. - Ci, którzy nie wspierają tego, co im sprawia radość, są pasożytami. A mnisi są dobrymi ludźmi, patriotami i oddanymi Buddzie. Rezygnują ze wszelkich zysków.

- A mnie się zdaje, że czasami posuwają się do skrajności, nawet sekciarstwa - pierwszy mężczyzna strzepnął pół cała popiołu z papierosa, zaciągnął się i powiedział: - Poza tym, myślę, że znaleźli po prostu niezły sposób na marketing i wykorzystują uczucia patriotyczne, żeby sprzedawać ryż i soję.

- A powiedziałaś, że się z nimi zgadzasz - zaproponował tłuścioch.

- Zgadzam się z tymi przysłowiami - sprostował pierwszy. - Myślę, że przynoszą wiele korzyści japońskiemu duchowi. Ale uważam, że trzeba być bardziej realistycznym.

- Chyba cynicznym - powiedział gruby, wstając. - Wiara musi być bezwarunkowa - dodał. - Kiedy wszystko się zmieni, ci z nas, którzy wierzą, zapamiętają takich cyników jak ty.

I ze złością odszedł, chybocząc się na nogach.

Drugi mężczyzna odpalił kolejnego papierosa od niedopałka poprzedniego i wydmuchał okrągły kłęb dymu. - Zdaje się, że urzekła go nie tylko żywność tej sekty.

„Yamato żyje w waszej krwi!” - Kenji Yamamoto przeczytał wiadomość na niebie. - Niezłe, co? - zwrócił się do Akiry Sugawary. Obaj stali wśród rojów ludzi w parku cesarskim Shinjuku i obserwowali niebo.

- Rzeczywiście niezłe.

Yamamoto opuścił wzrok na komputer wielkości dłoni, który trzymał w prawej ręce i skupił się na wyświetlaczu pokazującym wykresy słupkowe. Słupki zaczęły rosnać, kiedy wbudowany analizator próbek powietrza zaczął rejestrować składniki markerowe, które dodano do piszących po niebie chemikaliów tak, żeby można było zmierzyć ich rozprzestrzenianie się w powietrzu.

- Teraz nadchodzi fala z pierwszego napisu. - Nacisnął specjalny guzik, który zaczął logować dane - czas przybycia oraz stężenie nieaktywnego markera wirusa. W różnych miejscach w całym Tokio - ze szczególnym uwzględnieniem dzielnic i prefektur zamieszkałych przez Koreańczyków - stało dwudziestu kilku innych pracowników laboratorium z identycznymi urządzeniami, pobierającymi próbki z atmosfery.

- No! Co jest? - powiedział Yamamoto niecierpliwie, stukając w ekran kolektora. - Co się z tym dzieje?

- Wpatrywał się w ekran, próbując wywołać w sobie nieco entuzjazmu, pomimo obaw.

- Rozbłyśki słoneczne - orzekł Sugawara, wyjmując przyrząd z ręki Yamamoto. - Od kilku dni są wyjątkowo intensywne. Mają bardzo szkodliwe działanie na instrumenty elektroniczne. Na stronie internetowej informującej o aktywności Słońca zamieszczono ostrzeżenie, że mogą wystąpić silne, nawet bardzo poważne burze geomagnetyczne.

- Jak to możliwe? - zapytał Yamamoto. - Nie byłem wcale świadomy....

Yamamoto spojrzał na wysokiego młodzieńca, w którym Kurata pokładał tyle zaufania. Starał się powściągnąć swoje emocje. Pomimo despotycznych uwag Rycrofta, że jest wręcz przeciwnie, Yamamoto wciąż czuł, że procesy nie przebiegają właściwie. Jedno słowo, jedno zdanie skierowane do tego młodego człowieka mogło rozwiązać problem.

- Nadzwyczajnie wysoki poziom cząsteczek i promieniowania słonecznego wchodzi w kolizję z polem magnetycznym Ziemi; może to wywołać burzę geomagnetyczną, zakłócającą transmisje radiowe i telewizyjne, oraz komunikację satelitarną. Może także spowodować niewyjaśnione awarie komputerów oraz zaburzenia pracy chipów półprzewodnikowych. Zjawisko to może także wywołać zakłócenia lub przerwy w pracy satelitarnych systemów nawigacyjnych. Trzeba pamiętać, że nasi piloci polegają na sygnałach GPS, zarówno w kwestii bezpieczeństwa jak i kształtu liter kanji. Zniekształcony sygnał z satelity może oznaczać katastrofę.

Z komputera Sugawary dobiegł głośny, ciągły sygnał. Obaj spojrzeli na ekran, po chwili zaczęły napływać dane z innych z innych kolektorów, przekazywane przez wbudowane w urządze-

nia komórkowe modemy. Dane przestały napływać, potem przyspieszyły.

- Przekaz drogą radiową też kiepsko działa - skomentował Sugawara nieregularny przesył danych. - Program wyszukujący błędy powoduje opóźnienia, ponieważ żąda, by ewentualne błędne dane zostały przesłane ponownie.

Yamamoto skinął głową, razem z Sugawara obserwując znajome wzorce pojawiające się w danych.

Wreszcie Sugawara powiedział: - Teraz są precyzyjne. Sześć razy z rzędu przekaz danych był bezbłędny. Jesteśmy przygotowani. - Spróbował ukryć rosnącą w sercu ponurą pewnością, że igra z czystym złem.

Podniósł wzrok znad komputera. — Czy mamy gwarancję, że nikt nie skojarzy tego z Daiwa Ichiban? Z Kuratą-sama?

Yamamoto westchnął. - Powtarzałem to panu tyle razy, że gdyby nie był pan tak młody, podejrzewałbym pana o starczą demencję. Po pierwsze, władze nie będą chciały badać okoliczności śmierci Koreańczyków. Te zgony rozwiązują ich problemy, a urzędnicy nie wcale nie chcą, żeby powróciły.

-Ale społeczność międzynarodowa...

- Nie mają żadnego wpływu. Niech pan popatrzy na Chiny, gdzie produkcja opiera się na niewolniczej pracy w urągających warunkach. A świat ciągle kupuje chińskie towary. - Potrząsnął głową. - Nawet gdybyśmy wykupili całostronicowe ogłoszenia w najpoczytniejszych gazetach i napisali tam, co się właściwie stało i kto to zrobił, skandal ucichłby w ciągu kilku tygodni. Sumienie Zachodu jest przytępione przez dobra konsumpcyjne, od których jest uzależnione.

Sugawara spojrział w bok, żeby Yamamoto nie zauważył narastającej w nim konsternacji. Yamamoto miał rację, świat nie miał sumienia. ONZ i Stany Zjednoczone wygłaszały pełne oburzenia frazesy, nie poparte czynami. I choćby Sugawara nie wie-

dzieć jak pragnął, by było inaczej, Kurata miał najwyraźniej rację, kiedy oskarżał Amerykanów o tchórzostwo, brak zdecydowania, niezdolność do rezygnacji ze swych płytkich przekonañ politycznych i kapryśnych poglądów. Sugawara spróbował skupić uwagę na słowach Yamamoto.

- Członkowie sekty nic nie wiedzą - ciągnął Yamamoto. - Po obniżonej cenie otrzymują kanistry ze sprejem do pisania po niebie za pośrednictwem australijskiego hurtownika, którego właścicielem są niemieckie zakłady chemiczne, które z kolei są filią NorAm Pharmco. Jeżeli sprawa wyjdzie na jaw, wina spadnie na szereg współpracujących firm. I to oni zostaną oskarżeni o rasowe ludobójstwo.

- Członkowie sekty nic nie wiedzą - powtórzył. - Poza tym, przysłowia na niebie pojawiają się regularnie od prawie roku bez żadnych skutków ubocznych; ludzie je uwielbiają, przyzwyczaili się do nich. Co więcej, okres wylęgania się choroby wynosi dziesięć dni, co oznacza, że ci cuchnący zjadacze czosnku zaczną wymierać około południa w następny czwartek. Prawdopodobieństwo, że ktoś powiąże czystkę Koreańczyków z przysłowiami na niebie jest mniej więcej takie samo, jak gdyby mieli pomyśleć, że trzęsienie ziemi w Osace było rezultatem przybycia gazety pod drzwi.

Przerwał, podniósł oczy znad komputera i potoczył wzrokiem po niebie. - Tam! - pokazał. - Trzecie przysłowie: *Un wa yusha o tasuku*. Los sprzyja odważnym. Właśnie tak jest!

Tak, pomyślał sobie Sugawara, i jeszcze: *Ja no michi wa hebi*. Ślimaki idą w ślady węży.

Patrzyli na wyświetlacz przez niemal pół godziny, gdy tymczasem przysłowia na niebie rozwiewały się.

Sugawara walczył z konfliktem lojalności. Jak to możliwe, żeby on miał rację, że Operacja Tsushima to zło, a inni się mylili? Jego umysł, jego poczucie obowiązku, mówiły mu, że tak

być nie może, ale serce się sprzeciwiało. Dlaczego czuje taką rozterkę? Został wychowany w surowej dyscyplinie tradycyjnego japońskiego domu. Jak mógłby myśleć inaczej niż jego rodzice? Niż wujek Kurata?

To pytanie prześladowało go niemal bezustannie. Nie wiedział, dlaczego. Czasami coś się dzieje samo z siebie. Wydawało mu się, że istnieje absolutne zło i absolutne dobro, słuszność i jej brak. Niezależnie od tego, że niektórzy ludzie wolą przeżyć swoje życie w miazmatach relatywistycznej otchłani, która usprawiedliwia ich zachowanie i sankcjonuje osobiste uprzedzenia, jego serce dyktowało mu, że istnieją uniwersalne zasady, którym trzeba być wiernym.

Ale nawet jeśli to on ma rację, a wszyscy razem z Kurata się myślą, co może z tym zrobić? Jakimi środkami dysponuje? Czego może dokonać pojedynczy człowiek?

Ujawnienie sprawy było wykluczone. Kurata miał sprytnie utkany plan awaryjny, na wypadek gdyby ktokolwiek zaczął podejrzewać ludzką ingerencję w to, co miało wyglądać jak zjawisko naturalne. Kurata miał ogłosić, że w toku wewnętrznego dochodzenia ustalono, że NorAm Pharmco i grupa związana z Amerykańskim Departamentem Obrony uknuła całą tę aferę bez wiedzy Kuraty i nikogo innego, poza firmą NorAm. W ramach zadośćuczynienia, wszystkie aktywa NorAm - szacowane na miliardy dolarów amerykańskich - zostaną przekazane Stanom Zjednoczonym i przeznaczone na zapewnienie bezpłatnych lub tanich lekarstw dla Trzeciego Świata.

Kurata mógł się wszystkiego wyprzeć, stworzył linię obrony, zaplanował rekompensatę tak, żeby Daiwa Ichi-ban Corporation nie poniosła szwanku. Sugawara włożył w ten plan niemały wkład i ten fakt zalegał mu na sercu.

- Chodźmy! - powiedział Yamamoto, zamykając klapkę komputera. — Wracajmy do laboratorium i po-dzielny się do-

brymi wieściami - próba generalna wypadła pomyślnie.

Czas, żebym zaczął działać, pomyślał Sugawara.

Lara Blackwood wgramoliła się przez luk głównej zejściówki swojego jachtu, gnana przez bezlitosny wiatr i krople deszczu wielkości grochu.

- Cholerny świat! - zamknęła luk i postąpiła chwilę, ociekając wodą, nad mosiężną kratką u stóp schodów, odprowadzając wodę do zęzy. Tagcat Too zakolysał się łagodnie, naprężając cumy. Potem Lara przeszła do swojej prywatnej kabiny, rzuciła niewielki płócienny worek na podłogę, rozciągnęła bolące plecy i ramiona. Za dużo stresu i napięć, za mało ruchu.

Spojrzała na leżący worek i pomyślała, jaką bombę zawiera: dyskiety i dokumenty, wydestylowana esencja jej krucjaty przeciwko Kuracie i Białemu Domowi. Wszystko było w tym worku: informacje ściągnięte ze stron internetowych z całego świata, szczegółowe zapisy jej rozmów z Jimem Condonem, z Ismailem Brahimim, z Kuratą w Białym Domu, z prezydentem w jego limuzynie i z Peterem Durantem, a także szczegóły intrygi, która zmusiła ją do odejścia z własnej firmy.

Na wierzchu leżał egzemplarz Washington Post otwarty na relacji z jej konferencji na temat genomu. Nazwisko reportera było zakreślone czerwonym kółkiem razem z terminem ich spotkania, ustalonego na 10 rano następnego ranka. Lara zsunęła się po framudze drzwi, pocierając czoło, w miejscu, gdzie czuła uciskający ból głowy. Potrzebowała porządnej porcji nocnego snu, żeby przygotować się na wywiad dla Post. Przygnieciona niesłabnącym napięciem ostatnich dwóch dni, przeszła się z rufy na dziób i z powrotem, wyłączając światła, sprawdzając luki i iluminatory. Potem stanęła przy stacji nawigacyjnej i sprawdziła zewnętrzne kamery internetowe. Nie widząc nic niezwykłego, Lara włączyła alarm i wróciła do swojej kabiny. Rozłożyła łóż-

ko, podniosła skórzaną przypinaną kaburę i wydobyła niej automatycznego Colta 38, do którego kilka godzin wcześniej włożyła świeżą amunicję. Rozłożyła broń, sprawdziła naboje i spust, potem poskładała broń z powrotem i położyła obok łóżka. W końcu ułożyła się do snu, przykryła i wyłączyła światło.

Przez kilka sekund miała wyrzuty sumienia, że nie wyszczotkowała zębów i zapadła w głęboki sen.

Ukryte oczy przenikały północny mrok, obserwując cienie igrające za zasłoniętymi iluminatorami Tagcat Too.

Po drugiej stronie szosy, za oknami na ósmym piętrze typowego wieżowca mieszkalnego, Horst von Neuman siedział cierpliwie na wygodnym składanym krzeselku obok płataniny elektronicznego sprzętu. Zamontowany na statywie mikrofon kierunkowy wycelowany był prosto w łódź Lary, obok niego stał talerz anteny, nakierowany na ten sam cel. Mały noktowizor wisiał na rzemyku na szyi mężczyzny. W jego lewym uchu tkwiła słuchawka podłączona do mikrofonowego wzmacniacza, kabelek od radia zwisał z prawego ucha.

Von Neuman kiwał głową, patrząc na talerz anteny, który wyłapywał słabe sygnały radiowe, znane jako promieniowanie Van Ecka, które wysyłały klawiatura komputera Lary, jej drukarka i monitor. Od anteny biegł kabel łączący ją z urządzeniem monitorującym TEMPEST, które w zasadzie było małym przenośnym komputerem, specjalnie zabezpieczonym, żeby wysyłane przezeń fale nie mogły zostać wykryte. Niewielu użytkowników komputerów osobistych zdaje sobie sprawę, że wszystko co robią w swoich systemach może być przechwycone przez niepowołane osoby, przy użyciu tak nieskomplikowanego sprzętu jak zwykły telewizor i garść komponentów dostępnych w każdym sklepie elektronicznym.

Większość jest również nieświadoma, że w podobny sposób

można zniszczyć delikatne chipy i obwody każdego przeciętnego komputera PC. Mężczyzna patrzył na talerz wycelowany w laptop Lary. W tej chwili właśnie odbierał dane, ale jeśli byłoby to konieczne, mógł wyemitować potężny sygnał radiowy w niskim paśmie. Obwody w komputerze Lary zadziałałyby wówczas jak zaimprovizowane anteny i pochwyciłyby sygnał, który następnie wywołałby w komputerze Lary awarię bez widocznej przyczyny. Przy większej mocy fale radiowe mogłyby w gruncie spowodować nieodwracalne zniszczenie obwodów.

Von Neuman śledził na ekranie urządzenia te same informacje, które pojawiały się na laptopie Lary. Punktualnie o północy kodowanym kanałem radiowym połączył się z Sheilą Gaillard. Zdał jej relację, że poza litaniami przekleństw inwigilowana kobieta nie powiedziała nic, nie miała żadnych gości, odwiedziła toaletę i spuściła wodę czterokrotnie i przez ponad sześć godzin siedziała przy komputerze.

- Bądź gotowy - powiedziała mu Sheila i rozłączyła się.

Rozdział 20

Akira Sugawara wyszedł za Kenjim Yamamoto po metalowych schodach na kładkę rozgałęziającą się w kilku kierunkach, biegnącą wśród szczytów wielkich zbiorników fermentacyjnych laboratorium 73 oraz naczyń bioreaktorów. Sugawara pomyślał, że trochę to przypomina destylarnię lub browar, a jeszcze bardziej zminiaturyzowaną rafinerię ropy naftowej: zbiorniki, rury i kolumny frakcyjne, stłoczone w olbrzymiej, mrocznej konstrukcji za głównym laboratorium.

Ich kroki niosły się głuchym echem na metalowej kładce, kontrapunktując jednostajny szum, ssanie i syczenie pomp, które jak stalowe serca trzymały ów organizm przy życiu.

Wokół nich potężne masy cieczy przepływały przez grube,

przejrzyste żyły z pyrexu, o średnicy rur kanalizacyjnych, które biegły pozornie bezładnie, ale kierunek zmieniały zawsze dokładnie pod kątem 90 stopni, dążąc ku innemu zbiornikowi, ukrytemu gdzieś w przepastnych trzewiach bestii. W jednym zbiorniku ciecz była mętna i brązowawa, w następnym - po przefiltrowaniu - przejrzysta i żółtawa; w kolejnym - miała kolor i konsystencję soku ananasowego. W niektórych miejscach z rur zwisały butle z odczynnikami, jak opite krwią kleszcze, wydzielając do systemu precyzyjne, komputerowo sterowane porcje swojej zawartości, niczym hormony czy soki żołądkowe.

Na każdym złączeniu, w każdym punkcie ssania znajdowały się zawory kontrolowane przez komputer, który wraz z systemem urządzeń pomiarowych sterował całym procesem. Komputer regulował przepływ, temperaturę, ciśnienie i skład chemiczny cieczy. Ten centralny system nerwowy, wysyłający nieprzerwanie impulsy, brzęczał jak chór mechanicznych świerszczy.

Nie był to jasny świat połyskującej w słońcu szklanej aparatury złożonej z retort, flasz i rurek, które pobrzękiwały na roboczych stołach zwykłych laboratoriów. Nie było to miejsce prowadzenia eksperymentów, lecz hala produkcyjna. Tutaj udoskonalone procesy laboratoryjne były przypieczę-towywane, żeby biznes śmierci mógł się skutecznie kręcić.

Sugawarę to miejsce przyprawiało o dreszcze. Gdziekolwiek spojrzał, widział niezbite dowody swojej winy. Przecież to on zaprojektował komputerowy system kontroli aparatury, napisał większość kodów. Jego ręka wskazywała drogę śmierci.

Yamamoto lubił mówić odwiedzającym, że ów system żyje; że oddycha, metabolizuje, rośnie, trawi i wydala. Sugawara wiedział, że tak jest w istocie i dostawał od tego gęsiej skórki. Oto stało przed nim monstrum Mary Shelley, potwór bez twarzy, który w końcu niepostrzeżenie wymknie się z laboratorium i do-

kona mrocznych czynów, zanim mieszkańcy globalnej wioski zapalą pochodnie i ruszą do szturm na zamek.

- Jak pan widzi, produkt końcowy jest dokładnie taki, jak przewidziano - Yamamoto zatrzymał się, żeby z rejestratora wyciągnąć długi arkusz z wykresem. Uniósł go w górę, pokazał Sugawarze. - Nie ma absolutnie żadnych wątpliwości, że ta partia materiału spełnia nasze wymagania, jeśli chodzi o siłę działania i dezaktywację po upływie określonego czasu.

Opuścił papier i odwrócił się, żeby przejść ku monitorowi komputera.

- Jak panu wiadomo, musimy być bardzo precyzyjni w procesie wytwarzania, ponieważ różnice genetyczne pomiędzy jakimkolwiek dwiema grupami rasy ludzkiej ludzi są minimalne. - Przyciszył głos. - Chociaż Kurata-sama i jego współpracownicy odsuwają od siebie tę świadomość, między nami a Koreańczykami różnice genetyczne są bardzo niewielkie. - Przerwał i powiedział dobitnie: - Różnice te nie są liczne, ale znaczące kulturowo, czyż nie?

Unikając bezpośredniej odpowiedzi, Sugawara poszedł za nim, zastanawiając się nad aluzją, którą właśnie zawiesił w powietrzu szef produkcji Operacji Tsushima.

Siła działania, ograniczony czas życia, specyfika genetyczna: były to trzy wyznaczniki etnicznej bomby, którą tu produkowano. Już po raz trzeci tego ranka Yamamoto wspominał o pierwszym i drugim, pomijając trzeci. Sugawara poszedł za starszym mężczyzną do terminala komputerowego. Zrobiło mu się lżej na sercu, kiedy pomyślał, że być może będzie mógł wykorzystać nieprawidłowości w procesie wytwórczym do opóźnienia Operacji Tsushima. Teraz pożałował, że początkowo odmawiał wycieczki po hali produkcyjnej.

Yamamoto naciskał na to codziennie od prawie dwóch tygodni. Sugawara zbywał go dzień po dniu. Dotychczas widział

tyle tego monstrum, ile naprawdę musiał i po prostu nie mógł zebrać energii psychicznej potrzebnej, żeby jeszcze raz przebrnąć przez zawile wnętrza bestii. Było to niezwykle wyczerpujące.

Znów zaczął się zastanawiać, jak doszło do tego, że tak myśli. Przeklinał wydarzenia - a może mutację genetyczną? - które kazały mu myśleć tak odmiennie, tak niezależnie od mentalności, w której się wychował, od sposobu życia jego rodziny, od zachowania, jakiego od niego oczekiwano.

Czy to przez jego pobyt w Ameryce?

W ciągu ostatnich tygodni, kiedy inni spali, on wpatrywał się w ciemność, usiłując przebiec wstecz swoje życie w poszukiwaniu punktu, gdy dokonała się w nim zmiana, momentu, kiedy zbłądził. Być może, jeśli uchwyci ten moment lub to wydarzenie, uda mu się wrócić na taką ścieżkę życia, do jakiej jest zobowiązany.

Ale choć bardzo się starał, objawienie nie przyszło. Nie mógł sobie przypomnieć takiego czasu, kiedy nie był dokładnie tym, kim był obecnie. Możliwe, że zawsze miał w sobie tę skazę, ale inni jakoś tego nie zauważali. Aż do teraz. Być może trzeba było czegoś tak potwornego jak Operacja Tsushima, żeby mógł zacząć jasno myśleć i wymusić na sobie decyzję: musi albo porzucić swoje prozachodnie sympatie i indywidualistyczne ciągoty, albo zerwać ze swoim narodem, zdradzić rodzinę, sprzeniewierzyć się giri, które go z nimi wiązało. Nie widział żadnego pośredniego rozwiązania. Niemożność dokonania wyboru, zdecydowanego skoku, zostawiała go w grzęzawisku.

Chciał być sam, by dalej bić się ze swymi myślami, zmagać się ze swym koszmarem na jawie. Jeszcze jeden obchód po hali produkcyjnej był ostatnią rzeczą, jakiej Su-gawara potrzebował, ale panu Yamamoto nie wolno było odmawiać.

- Jest pan oczami i uszami Kuraty-sama - i jego silnymi no-

gami - mówił, nalegając Yamamoto. - Musi pan umieć odpowiedzieć na wszystkie pytania, jakie będzie stawiał nasz przełożony. To pański obowiązek. Przecież nie chce pan go zawieść.

O, jakże chciałbym go zawieść, pomyślał Sugawara. Chcę go zawieść, ale nie mam odwagi. Wreszcie Sugawara zrozumiał, że upór i naleganie starszego człowieka być może oznacza, że chce mu coś zakomunikować, ale -jak to bywa - nie umie tego powiedzieć wprost.

Sugawara zszedł za Yamamoto po kilku schodkach na półpiętro umiejscowione za wysokim zbiornikiem ze stali nierdzewnej.

Sugawara wiedział, że jeśli poszedłby do Kuraty i powiedział mu wprost, że z procesem produkcji jest jakiś problem, to problem wyszedłby na jaw, a w rezultacie ktoś musiałby za to odpowiedzieć i stracić twarz. A tacy ludzie mogą być niebezpieczni.

Co więcej, Sugawara mógł się mylić co do tego, że w procesie produkcji jest problem. A Yamamoto zgodnie z prawdą powie wtedy: „Nigdy tego nie mówiłem”.

Sugawara wiedział, że w takiej sytuacji to on straci twarz, wiarygodność, swoje wpływy w organizacji. Prawdopodobnie uniemożliwią mu dostęp do informacji, których potrzebował, żeby śledzić przebieg projektu.

Dwaj mężczyźni zatrzymali się na niewielkiej powierzchni półpiętra, nie większej niż stół do ping-ponga. Yamamoto włączył wiszącą tam gołą żarówkę, w której świetle pokazał małą szklaną rurkę, przez którą przepływał bezbarwny płyn.

- Oto końcowe serum przed wprowadzeniem go do mikrosomów oddechowych - powiedział Yamamoto.

Sugawara uprzejmie pochylił się, chociaż wiedział, że niewiele jest tam do zobaczenia, poza ledwo widocznym przepływem śmierci, która dążyła do opatentowanej maszynerii, zamy-

kającej nośniki Niszczyciela w mikroskopijnej otoczce, tworząc drobinki, które będzie można rozpylić bez narażania nośników na uszkodzenie.

Wynaleziony przez doktora Ishii, potem udoskonalony i opatentowany przez NorAm Pharmco jako sposób na przenoszenie delikatnych leków organicznych przez inhalatory do płuc, mikrośom był jakby skorupką ochronną, warstwą zaledwie kilku molekuł, owiniętą wokół nośnika zarazy. Cząsteczka miała wielkość optymalną, żeby z oddechem przedostać się jak najgłębiej, do pęcherzyków płucnych, gdzie tylko pojedyncza warstwa komórek oddziela powietrze od naczyń włosowatych i gdzie dokonuje się wymiana tlenu na dwutlenek węgla.

Tutaj mikrośom natychmiast się rozpuści, uwalniając nośnik Niszczyciela, skąd dostanie się on wprost do krwio-biegu.

Cały proces przypominał się Sugawarze, kiedy patrzył na płynącą ciecz.

- Ilości są precyzyjnie odmierzane według potrzeb - powiedział Yamamoto. Proszę powiadomić Kuratę-samą, że wiernie przestrzegam instrukcji Rycroft-sana, co do jednej litery.

Starszy człowiek dotknął lekko ramienia Sugawary, a kiedy ten się odwrócił się, ujrzał, że Yamamoto patrzy mu prosto w oczy. - Wiernie, co do jednej litery. Potem wyczekał chwilę, skłonił się lekko. - Wiernie, co do jednej litery - powtórzył raz jeszcze. Potem, bez jednego słowa więcej, poszedł w stronę schodów wiodących w dół.

Tajemnicze powtarzanie tego samego zwróciło uwagę Sugawary. „Wiernie, co do jednej litery”. Zastanawiał się nad tym i nagle mgła się rozstąpiła.

- A więc o to chodzi! - powiedział Suagwara do siebie cicho. - To chce mi dać do zrozumienia. - Coś było nie tak w procesie produkcyjnym i była to wina Rycrofta. Ale niemłody, przywiązany do tradycji Japończyk nie potrafi zmusić się do

bezpośredniej krytyki innych, zwłaszcza jeśli chodzi o przełożonych. Otwarty bunt był wykluczony, ale Yamamoto chciał, żeby Kurata dowiedział się, że błędne instrukcje Rycrofta zostały wdrożone i są przestrzegane wiernie, co do jednej litery.

Po cichu Akira przeklął tradycyjną skłonność do owijania w bawełnę. Ale Yamamoto należał do bardzo starej szkoły i nigdy, w żadnych okolicznościach, nie wdałby się w rozmowę, w której rzucaliby otwarte oskarżenia na swojego szefa.

Sugawara stał, patrząc na plecy Yamamoto, który najwidoczniej nie chciał się wdawać w dalsze rozmowy. Według Yamamoto, wiadomość została wysłana i odebrana: z procesem było coś nie tak, i była to wina Rycrofta.

Okazja nadarza się tym, którzy jej szukają. Właśnie na coś takiego czekał Suagwara. Oto był klin, którego potrzebował, by wbić go między Kuratę a Operację Tsushima i odwlec ją. Być może dzięki temu zyska na czasie, żeby zrobić coś bardziej konkretnego.

Pięknie, pomyślał zadowolony. Wspaniale.

Sugawara szedł zaraz za Yamamoto. Musiał obmyślić, jak wykorzystać tę informację, jak zbudować przymierze przeciw Rycroftowi. Wiedział, że nie może wystąpić bezpośrednio przeciwko aroganckiemu Brytyjczykowi, bo to obraziłoby Kuratę. Poza tym, Rycroft miał swoich popleczników, którym zależało, by nic nie zakłóciło Operacji Tsushima. Projekt żył własnym życiem, nabrał przyspieszenia, i nie wiadomo, czy da się to zmienić.

Przez chwilę Sugawara rozważał, co będzie, jeśli nic nie powie, nie powstrzyma niszczycielskiej siły. Więcej ludzi poniesie śmierć - Japończyków i Koreańczyków - ale potem mógłby nagłośnić tę sprawę i uświadomić społeczeństwu, co się dzieje, kiedy politycy tworzą atmosferę rasizmu i elitaryzmu, że konsekwencje ponoszą i zwykli obywatele.

Przypomni sobie lekcje historii i zda sobie spraw, e arogancja politykw i ulego narodu stworzyy warunki do ataku na Pearl Harbor, wojny na Pacyfiku i caego upokorzenia, jakie potem nastpio. Wadze Japonii i jej ludnoc nigdy nie byli zmuszeni do przyjcia na siebie winy za dzieje ostatniego powiecza. Zaprzeczajc swojej winie, byli na najlepszej drodze, by historia si powtrzya.

Kuszcy pomys, pomy Sugawara, wchodzc za Yamamoto przez suz powietrzn do strefy odkaania i zatrzyma si, eby si przebra. Ale taka nauczka dla rodakw kosztowa bdzie niewinne ycie setek tysicy Koreaczykw, narodu, który i tak ju za duo wycierpiał pod uciskiem Japonii. Poza tym, my, zakadajc jednorazowe obuwie i czapk, ktora wygldaa jak karykatura czapki kucharza, nie ma sposobu, ebym mog zatrzyma te informacje dla siebie. Nie mia pocia, ilu ludziom Yamamoto robi lub zrobi podobne aluzje, wiodc ich do podobnych wnioskw. Nie byo sposobu, by podjc bezporednie kroki, podobnie jak nie byo sposobu, by uniknc mimowolnej wsplpracy z Yamamoto.

Caa sztuczka, my Sugawara, zawizujc jednorazowy biay kitel laboratoryjny, polega na tym, by wywierc waciwe naciski we waciwym miejscu, eby wynik nie by taki, jak spodziewa si Kurata, ani taki, jak chcia Yamamoto. Sugawara wszed za starszym czowiekiem do strefy czystoci, drzwi zamkny si automatycznie za nimi. Sugawara dozna uczucia, jakby w jego yciu jakie inne drzwi take si zatrzakiway.

Rozdzia 21

Telefon obudzi Lar w srodku nocy. Od razu signa po swego automatycznego kolta kaliber 38, zanim pojea, e nic jej nie grozi. Przemkna jej przez gow absurdalna my, eby po-

słać parę kulek w telefon i spać dalej. Sprawdziła jednak, która godzina; było parę minut po drugiej. Telefon zadzwonił znowu, choć ledwo go było słycać przez wycie wiatru i bębnienie deszczu o pokład. Lara poznała numer portu i podniosła słuchawkę.

- Blackwood.

- Przepraszam, że niepokoję, pani Blackwood. - Był to Sumter Jones, nocny dozorca przystani. - Jakiś wariat stoi tu pod bramą i domaga się, żeby z panią rozmawiać. Teraz zaraz.

Lara poczuła mrowienie w palcach. - Usiadła i przerzuciła nogi przez łóżko. - Ten wariat ma jakieś nazwisko?

- Ma. I to nie byle jakie - powiedział Jones. - Peter Durant. Widziałem go w telewizji.

Co mogło się stać, że Durant przyszedł tu w środku nocy w taką ulewę?

- Zaraz będę - rzuciła Lara. Odłożyła słuchawkę, włożyła bluzę i dzinsy, i podeszła do szafki ze sprzętem na złą pogodę. Założyła nieprzemakalną kurtkę, przypięła do paska komórkę, złapała klucze i latarkę, i ruszyła po schodach. Zatrzymała się i zawróciła do kabiny po broń. Potem z kaburą przy pasie, wyszła w mokrą, wietrzną noc.

Durant nigdy w życiu nie był na jej łodzi. Od razu na początku dała mu do zrozumienia, że uważa to za przekroczenie granic, niedopuszczalne pogwałcenie jej prywatności. Coś musiało się spaskudzić, skoro przylazł. Niecałą minutę później, Lara zobaczyła Petera i Sumtera Jonesa, stojących przy łańcuchu bramy. Jones był w żółtej kurtce deszczowej, Durant miał na sobie tylko dzinsy, bluzę i tenisówki. Był przemoczony do nitki.

Kiedy Durant zobaczył Larę, rzucił się naprzód i chwycił pręty bramy. - Dzięki Bogu, jesteś tu! - krzyknął histerycznie, zaciskając palce na prętach, aż pobielwały mu kłykcie. Wyciąga-

jąc własne klucze, Lara kiwnęła Jonesowi, że już może schować się przed deszczem, Jones jednak zawahał się. Lara spojrzała w jego ciemną twarz, dostrzegła na niej ślady troski.

- Wszystko w porządku, Sumter - zapewniła go. - Ja z nim pracuję. W porządku. - Lara wybrała długi klucz otwierający bramę.

Jones spojrzał na nią z powątpiewaniem, odwrócił się i odszedł do swojej służbówki. Kątem oka zauważyła, że patrzy zza rolet, i zastanawiała się, czy jeszcze ma ten swój muzealny, zardzewiały rewolwer.

- To jest zbyt strasznie, nie mam słów - bełkotał Durant bez związku. - Wysłałem Peggy i dzieciaki do rodziców, żeby byli bezpieczni.

Nagle zaczął krzyczeć: - Nie wiedziałem o niczym, aż do teraz! O, Boże!

Larze udało się wreszcie otworzyć bramę i stała bezradnie obok swojego kolegi. - Chodź na łódź - powiedziała w końcu, kładąc mu rękę na ramieniu. - Tam jest ciepło i sucho.

- Nie ma czasu, nie ma czasu! - Durant zerwał się i potykając się pobiegł w stronę parkingu. - Nie ma chwili czasu do stracenia. Chodź, szybciej!

Przemykał się między samochodami i ciężarówkami, zajmującymi miejsce najbliższej bramy.

- Zaraz tu będą! - wrzasnął. - Czytaj, póki się da. - Stał z ręką na drzwiach i czekał, aż Lara dobiegnie.

Kiedy Lara dobrnęła do jego minivana, otworzył drzwi i niecierpliwie machnął ręką: - Wchodź!

Pakując się między zwały dziecięcych fotelików, zabawek, niedojedzonych batoników i krakersów, w nieuchronną graciarnię dzieciństwa, Lara zamarła na widok zwykłej teczki formatu A4 z błyszczącym pomarańczowym napisem, który głosił: „Sto-pień tajności 40, nie wyciągać ze skarbca”. Lara znalazła skarbiec w

podziemiach Białego Domu. Była tam, zgodnie z przepisami, w towarzystwie uzbrojonego strażnika, który miał dopilnować, żeby nie usunięto, nie podmieniono lub nie skopiowano żadnych dokumentów.

Teczki w samochodzie Duranta skropione były świeżą krwią.

- Coś ty do cholery zrobił?

- Nie - przerwał jej Durant. - Nic nie mów! Nie ma czasu! - Porwał jedną z pokrwawionych teczek, wyciągnął z niej plik papierów i cisnął nimi w Larę. Katem oka Lara zauważyła, jak Durant zakrywa twarz dłońmi i pocierają, najwidoczniej próbując wziąć się w garść.

- Czytaj - zażądał Durant. - Czytaj po kolei. Może wpadłem w histerię, ale nie zwariowałem.

Kiedy Lara zaczęła przeglądać dokumenty w przyćmionym świetle lampki na suficie, poczuła, że zapada się w czarną czeluść.

- Chryste Panie - powiedziała ledwo słyszalnie, podnosząc wzrok na swojego dawnego partnera. - Powiedz, że to nieprawda.

Durant bezgłośnie poruszył wargami, bezskutecznie szukając słów. Milcząc, wręczył jej kolejny segregator.

Rozdział 22

Deszcz coraz mocniej bębnił w dach minivana, kiedy Lara kończyła czytać drugą teczkę. Nigdy wcześniej nie wyobrażała sobie, że można odczuwać tak głęboką, beznadziejną, nie dającą się ogarnąć pustkę i rozpacz. Nadal nie mówiąc nic, Durant po-
dał jej kolejne dwa segregatory.

- To zbyt wiele - powiedziała Lara. - To po prostu nie-

możliwe. Przecież takie pokrętnie intrygi nie zdarzają się naprawdę, chyba że w tanich powieściach sensacyjnych. Jak prezydent mógł coś takiego zrobić? Jak mógł Kurata?

- Lepiej uwierz - powiedział Durant. Pozbierał się nieco, jego głos brzmiał już spokojniej. - Wysłałem strażnika na intensywną terapię, żeby wyprowadzić te dokumenty.

-Jak? - Larze brakowało słów, kiedy usiłowała ogarnąć umysłłem straszne rzeczy na przeczytanych stronicach. - Dlaczego?

- W ciągu minionych dwudziestu czterech godzin twoje nazwisko zaczęło padać dziwnie często - opowiadał Durant. - Poza tym wciąż nie mogłem uwolnić się od myśli, że może jednak miałaś rację i te tajemnicze wypadki śmierci to nie zbieg okoliczności. Im więcej zadawałem pytań, tym bardziej nie chcieli mi nic wyjaśnić. Nominalnie jestem twoim szefem. Byłem przynajmniej, i miałem prawo wiedzieć. Wszystko. Podśledzałem więc trochę, starałem się uważać na szczegóły. I kiedy usłyszałem, że te dokumenty mają być zabrane ze skarbca do zniszczenia, postarałem się do nich zajrzeć.

-I...

- Zarekwirowałem je.

- Żadnych wątpliwości, że są autentyczne?

- Żadnych.

Lara schowała twarz w dłoniach; po chwili znów popatrzyła na Duranta.

- Wykorzystali mnie - powiedziała z goryczą. - Te złodziejskie skurwiele okłamały mnie i ukradły moją firmę, żeby móc zabijać ludzi!

- A teraz wszystkie teczki twojej sprawy idą do zniszczenia - dodał Durant.

Lara Blackwood opadła na siedzenie i pozwoliła, żeby cała potworność popełnionego błędu w pełni do niej dotarła. Było to

jak lepki, mroczny koszmar, zbyt straszny do zniesienia, a Lara zupełnie nie mogła się z niego wybudzić.

- Jeśli się dobrze przyjrzysz - mówił dalej Durant - zobaczysz, że na tych wszystkich segregatorach widnieje kod 99 zewnętrznej kontroli.

Lara pochyliła się nad teczką z twarzą przy samym papierze, próbując coś odczytać w skąpym oświetleniu.

Pochylona, nieomylnie wychwyciła świst kuli przecinającej powietrze za jej uchem. Odwróciła się, by ostrzec Duranta i zobaczyła, jak jego twarz zamienia się w krwawo-szarawą masę. Dwa kolejne pociski trafiły Petera w pierś, rozpryskując kawałki ciała, krew i płyny organiczne po całym wnętrzu auta.

Pociski wybuchające. Lara odchyliła się do tyłu, spod linii ognia. Leżąc płasko pod tylnymi drzwiami minivana, starła z twarzy krew i fragmenty ciała Duranta. Szarpnęła klamkę, ale drzwi były zamknięte. Ledwo usłyszała wytłumione *fut!* broni z tłumikiem i trzy następne kule wbiły się w martwe już ciało Duranta, mieląc je jak maszynka do mięsa. Sufit i ściany auta były całkowicie zbryzgane krwią.

Lara dała nura przez tylne okno minivana i wylądowała na chodniku pośród kawałków hartowanego szkła. Siekący deszcz i wiatr miały dziko odłamkami.

Znowu *fut*. Posypała się na nią kolejna porcja szkła, z minivana wyleciały szyby. Lara przetoczyła się po ziemi, przecisnęła między dwoma samochodami. Tylne światła pękły pod kulami o parę cali od jej twarzy. Po policzku pociekła ciepła strużka krwi, mieszając się z zimnym deszczem.

Prawą ręką wygmerwała automatyczną trzydziestkę ósemkę spod sztormiaka. Broń pachniała środkiem czyszczącym. Znowu jutł Grad ołowiu przeleciał nad chodnikiem, o parę cali od jej stóp. Próbowali strzelać pod samochodami, żeby ją wykurzyć lub zranić. Zostać w miejscu oznaczało pewną śmierć, zwłaszcza

cza, jeśli nie pozbędzie się jaskrawego żółtego sztormiaka.

Lara wydobyla swoje klucze z kieszeni sztormiaka i wepchnęła je w dzinsy. Następnie zrzuciła z siebie płaszcz i podpełzała na przód samochodu. Zatrzymała się, dotarłszy do szerokiej przerwy między rzędami aut. Kolejny strzał gruchnął za nią.

Ruszał się, rozkazała sobie Lara.

Zaczekała na silny powiew wiatru, żeby być jak najmniej widoczna dla niewidzialnego napastnika i rzuciła się przez odstęp między samochodami. Daleko za nią pocisk rozwalil zde-rzak.

Nie zatrzymując się, Lara zygzakiem poruszała się wzdłuż następnej ścieżki między autami, wskoczyła za wóz dostawczy i rzuciła się we względnie bezpieczną ciemność pod strzaskaną latarnią.

Stała tam przez dłuższą chwilę w chroniącym ją cieniu i ciężko dyszała. Najbardziej pragnęła dostać się do swojego chevroleta suburba-na, ale on stał zaparkowany na przeciwnym skraju parkingu, zbyt daleko i w zasięgu ognia. Sprytnie odcięli jej wszystkie drogi ucieczki.

Lara zmrużywszy oczy wpatrzyła się w kurtynę deszczu, rozejrzała się i zaczęła planować kolejne kroki, częściowo na bazie tego, co widziała, częściowo tego, co pamiętała. Wyrzuciła wątpliwości z głowy: to się może udać... to się musi udać. Jeśli będzie szybka, jeśli pobije lekkoatletyczny rekord życia.

Ruszyła nagle. Rzuciła się płasko na chodnik, kiedy pocisk uderzył o drzwi suburba-na. Lara toczyła się po ziemi, uciekając przed kulami. Po błysku zlokalizowała wylot broni, dostrzegła cień poruszający się w ciemności. Zatrzymała się na moment i trzykrotnie wypaliła w stronę cienia.

Krzyk mężczyzny przeciął ciemność. Strzeliła w źródło dźwięku i krzyk urwał się raptownie. Usłyszała broń padającą na chodnik. Przykucnęła i wypatrzyła nieruchomy wzgórek na

asfalcie. Ale w ciemności czekało na nią więcej zabójców. Deszcz łomotał o dachy pojazdów i ściekał jej po głowie, kiedy w myślach kolejny raz przebiegła swoje ruchy i trasę, a potem rzuciła się sprintem ku przystani.

Kule poszły za nią, tłukąc szyby w autach. Z kluczem w dłoni, zygzakiem dobiegła ku bramie przystani. Kule śmigwały, podążając za nią krok w krok.

Przy bramie schroniła się za betonowym śmietnikiem, wybierając klucz. Kule wrywały kawałki betonu tuż przy niej. Strach zbił się w jej żołądku w zimną, twardą kulę, kiedy zaczęła sobie wyobrażać, że jej plan się nie uda, że czas będzie biegł szybciej niż ona może działać.

Możesz zrobić tylko tyle, ile możesz zrobić, powiedziała sobie. „Więc lepiej zrób to”.

W tej chwili ponad szumem deszczu dały się słyszeć syreny. Uważnie patrzyła w ciemność, szukając tego dźwięku, kiedy wznosił się i opadał. Broń zabójców miała tłumiki, ale jej własna nie. Sumter lub ktoś inny musiał usłyszeć strzelaninę i zadzwonił na 911.

Rozdział 23

Mrugając oczami w tnącym deszczu, ociekająca wodą i zeszywniała z zimna, Lara ścisnęła klucz i spojrzała ku bramie wejściowej, na biuro komendanta portu i za nie, na skupisko budynków i wiat wychodzących na dok. Znajdowała się tam restauracja Rusty Pelican, obok niej punkt wynajmu łodzi, warsztat naprawy silników, dwa konkurujące ze sobą sklepy, sprzedające po zawyżonych cenach części mosiężne i stalowe.

Spojrzała przez kurtynę deszczu, który padał z różnym nasileniem, w jednej chwili całkowicie przesłaniając widok, a w następnej pozwalając coś dostrzec. Poczekała na przyływ nawał-

nicy i ruszyła, modląc się, żeby klucz pasował do zamka. Wsunęła go za pierwszym razem. Przekręciła klucz i pchnęła bramę.

Deszcz zelżał, kiedy pędem biegła przez nią. Spodziewając się w każdej sekundzie kuli snajpera, przebierała nogami, pędząc po rampie doku coraz głębiej w ciemność, bliżej Tagcat Too. Kule zaczęły dosięgać pokładów łodzi po obu jej stronach. Dała nura w bok, kula świsnęła tam, gdzie była przed chwilą.

Syreny zbliżały się. Ale strzały napastników nie ustały. Zanim dojadą, zginie. Przez chwilę pomyślała o Durancie i tęczkach, o straszliwej prawdzie, z którą trzeba się będzie zmierzyć, jeśli przeżyje tę noc.

Jeszcze raz deszcz i wiatr zarzuciły na noc nieprzeniknioną zasłonę i pobiegła przez mrok prosto do Tagcat Too. Bez chwili wahania odcumowała liny z kołków. Wiatr natychmiast zaczął spychać jacht z basenu portowego. Wskoczyła na pokład w momencie, kiedy kule znów się odezwały. Odbiły się od stalowego luku, kiedy zamykała go za sobą.

Pod pokładem zapaliła oba silniki na pełną parę. Potem, używając jednocześnie radaru i kamer noktowizyjnych, usiadła za przeciwburzowym sterem pod pokładem, żeby wyprowadzić Tagcat Too z doku.

- Boże - powiedziała do siebie cicho i zaczęła drżeć ze strachu i przenikliwego zimna. - Dzięki ci, Boże.

Jacht obracał się i kołysał pod wpływem silnych porywów wiatru. Musiała maksymalnie skoncentrować uwagę, żeby utrzymać swój duży kecz w wąskim kanale, prowadzącym do rzeki Potomac. Jeden fałszywy ruch i płetwa balastowa jachtu, wypełniona ultralegkim, zubożonym uranem, mogła natrafić na błotnisty brzeg lub, co gorsza, na betonowy falochron u brzegów kanału. Byłaby wówczas na łasce nawalnicy, która mogła podrzeć stalowy kadłub jej łodzi na kupkę metalowych wiórów.

Wraz z architektami morskimi, którzy projektowali Tagcat

Too, zrobiła wszystko, żeby jej jacht był zdolny wytrzymać najgorszą możliwą pogodę i najwyższe fale na Oceanie Atlantycznym. Ale sprawdzało się to tylko na otwartym oceanie, gdzie łódź musiała mierzyć się tylko z falami.

Kanał był wąski, a potężne powiewy wiatru mogły zerwać się w złym momencie i posłać jacht na betonowe falochrony, które rozdarłyby nawet mocny stalowy kadłub Tagcat Too. Całkowita koncentracja pozwoliła jej nie czuć zimna, opanować drżenie, wyrzucić z głowy wszystkie myśli, uczucia, strach. Stała się działaniem, była tylko tym, co teraz robiła. Tylko działanie mogło przynieść jej wolność.

Na ekranie noktowizora ustawionym na szeroki kąt, raczej instynktownie wyczuła niż zobaczyła zbliżające się betonowe słupy, jej osobiste Słupy Herkulesa. Jej ręce miały teraz swoje życie, manipulując sterem i pracą silnika dziobowego.

Ostatni z betonowych słupów zniknął w ciemności. Za nią. Odwróciła łódź i wytyczyła kurs prosto na środek rzeki Potomac. Dopiero wtedy wzięła głęboki oddech i włączyła radio meteorologiczne. To co usłyszała, jednocześnie ją przeraziło i ucieszyło.

„Krajowy Serwis Meteorologiczny wydał ostrzeżenie przez huraganem dla rejonów przybrzeżnych Karoliny Północnej, Wirginii, Maryland, Delaware i New Jersey, prędkość wiatru w porywach do ponad stu mil na godzinę, fale sztormowe sięgające do ponad dwudziestu stóp. Rozpoczęto ewakuację mieszkańców.”

Z radia dowiedziała się, że oko huraganu przesuwają się w okolicach przylądka Hatteras, marynarka wysłała statki na morze, żeby uprzedzić nadchodzący sztorm i oddalić niebezpieczeństwo płytkiej wody. Jak dotąd zginęło dwanaście osób, pasażerów kościelnego busa, który próbował przejechać wezbrany strumień na wiejskich terenach Karoliny Południowej. Huragan

sieje nawałnice i tornada wzdłuż całego wybrzeża Atlantyku.

Była między młotem a kowadłem. Kiedyś już zmierzyła się z huraganem. I przegrała.

Nie potrafiła strząsnąć z serca zimnego kamienia, który podpowiadał jej, że powtórzy się sytuacja z Cape Horn. Tylko że tym razem nie znajdzie się nikt, kto by ją wyłowił.

Rozdział 24

Hotelowa sala balowa wyłożona aż po sufit rzadkimi tropikalnymi gatunkami drewna mogła pomieścić setki gości na miejscach siedzących. Eleganckie kryształowe kandelabry były mocno przyciemnione, panował półmrok. Zamiast międzynarodowej konferencji na temat sprzedaży papierów wartościowych, która korzystała z sali niecałe dwadzieścia cztery godziny wcześniej, teraz znajdował się tam tylko Edward Rycroft, stojący na solidnym mahoniowym podium i spoglądający na osobliwie zorganizowaną konferencję, której dwunastu członków siedziało w dwunastu osobnych łóżach zasłoniętych parawanami, wyposażonych w wygodne fotele, małe stoliki z przekąską i miejscem dla ciężko uzbrojonych ochroniarzy, bez których ci ludzie, zresztą nie bez przyczyny, nigdzie się nie ruszali. Ludzie ci wraz z obstawą weszli do zaciemnionej sali różnymi wejściami, wszyscy o nieco innej porze, co zostało zaplanowane wcześniej. Żaden nie życzył sobie, żeby inni widzieli jego twarz. Był to zbiór znanych cywilnych i wojskowych dygnitarzy państwowych z tuzina krajów, znanych z konfliktów na tle etnicznym. Żaden z nich nie był zbyt szczęśliwy, że widzi go Rycroft i jego asystent, ale to była cena, jaką trzeba było zapłacić za zdobycie nowych możliwości zaspokojenia megalomańskiej obsesji władzy.

W odległym kącie pokoju, w cieniu kosztownych zasłon,

stał Jason Woodruff, obserwując zebranych i próbując wydedukować, który z nich zapłaci najwięcej.

- Podsumowując - mówił Rycroft - największa wartość genospecyficznej broni, jaką państwu oferujemy, leży w kilku aspektach. Po pierwsze, umożliwia precyzyjne dotarcie do populacji docelowej, która może być zbyt przemieszana z populacją korzystającą z broni, żeby wyłuskać jej członków za pomocą środków konwencjonalnych. Po drugie, bariera dostępu jest o wiele wyższa niż na przykład w przypadku broni nuklearnej. Kapitał zainwestowany w badania, urządzenia produkcyjne oraz głębie naukowego - Rycroft zawahał się - geniuszu zaangażowanego w sprawę, czyni nieprawdopodobnym, że nasza broń będzie w najbliższym czasie zduplikowana przez kogoś innego, jeśli w ogóle. Po trzecie, broń jest tak zaprojektowana, żeby nie było możliwości obrony przed nią, nie może być także w swojej końcowej postaci - nawet wykryta. Kiedy nasz projekt zostaje połączony z istniejącym patogenem, staje się ostateczną tajną bronią, co jednocześnie zabezpiecza jej użytkowników przez oskarżeniem o popełnienie zbrodni wojennej.

Rycroft przerwał przemówienie, by napić się wody ze szklanki. Był to jego show, jego biotechnologiczna demonstracja siły. - Wreszcie - podjął - nie możemy pominąć istotnie atrakcyjnej cechy, że nasza broń nie tylko pozostawia resztę populacji bez szkody, ale także nie powoduje szkód ani skażenia w budynkach, infrastrukturze, domach mieszkalnych, zakładach przemysłowych i innych drogich środkach trwałych. Wojna konwencjonalna jest kosztowna i absorbuje środki pieniężne, które lepiej przeznaczyć na zakup produktu naszej firmy. Wojna konwencjonalna niszczy rynki i prowadzi do kryzysów. Dzięki Niszczycielowi, wojny konwencjonalne z punktu widzenia finansów zdezaktualizowały się.

Rozejrzał się po sali i stwierdził, że wszyscy słuchają w na-

pięciu.

- Po tym wstępie, proszę pozwolić mi zaoferować kilka dalszych szczegółów. - Skinął w stronę Woodruffa, który wyłączył światło i włączył projektor.

Jak tylko w sali zapadła ciemność, Rycroft przycisnął pilot urządzenia i pojawił się slajd przedstawiający szympansa.

- Matka natura jest wyjątkowo oszczędna - rozpoczął Rycroft. - Wierzy w powtórne używanie dostępnych materiałów, zamiast tworzyć nowe. Dlatego właśnie skład naszych genów jest tylko w niespełna dwóch procentach różny od składu genów tego tu pięknego przedstawiciela małpiego rodu.

Projektor kliknął i pojawił się slajd z czterema zdjęciami mikroskopowymi.

- Oto komórki drożdży - używając laserowego wskaźnika, otoczył górną ćwiartkę zdjęcia po lewej. - Dalej, komórki ropuchy rogatej, grzyba i strzykwy - „ogórka morskiego”. Wprawdzie skład ich genów różni się od naszego o wiele bardziej niż szympansa, to i tak mają wiele takich samych genów i enzymów jak my.

Następny slajd, podobnie podzielony na cztery części, ukazywał twarze ludzi należących do czterech ras: białej, azjatyckiej, afrykańskiej i rasy Indian amerykańskich.

Rycroft przemaszerował wzdłuż ściany tuż za stożkiem światła, który łączył ekran z projektorem. - Przeciętnie, dowolnie wybrani dwaj ludzie na Ziemi różnią się swoim zestawem genów tylko w 0,2 procenta, inaczej jedną piątą procenta. Z tych 0,2 procent większość różnic - około 85% - to lokalne różnice między ludźmi. To właśnie te lokalne różnice sprawiają, że broń, którą oferujemy, jest tak skuteczna.

Zdjęcie grupy afrykańskich Pigmejów.

- Istnieją bardzo rozległe i wykrywalne różnice genetyczne między grupami Pigmejów żyjącymi w odległości tylko kilku

mil od siebie.

Slajd z ludźmi w tyrolskich kapeluszach, krowami z dzwonkami, ośnieżonymi szczytami w tle.

- Podobnie, struktura genetyczna mieszkańców alpejskich wiosek w Szwajcarii jest wyraźnie różna od wioski do wioski.

Slajd z rodziną o wystających kościach policzkowych przed przyczepą mieszkalną.

- To zdjęcie zrobiono w amerykańskim stanie Wirginia Zachodnia, gdzie również znajdujemy znaczące różnice między wioskami odległymi tylko o kilka mil. Pomimo zwiększonej mobilności niewielkiej części światowej populacji, większość ludzi wciąż pobiera się i rozmnaża w obrębie bardzo wąskich grup geograficznych, etnicznych, rasowych, językowych i religijnych. - Wokół stołu wszyscy słuchacze pokiwali entuzjastycznie głowami.

W szybkim tempie Rycroft pokazał teraz slajdy przedstawiające mężczyznę w jarmulce, kobietę w chuście i czadorze, grupkę dzieci przed drogowskazem do lotniska w Sarajewie, grupkę kobiet wśród ruin dworca kolejowego w Groźnym.

- Wprawdzie wielu ludzi uważa Niszczyciela za broń rasową, różnice rasowe stanowią jedynie 6% z owych 0,2% różnic pomiędzy ludźmi.

Ponownie pojawił się slajd z czterema rasami.

- W rzeczywistości różnice genetyczne między rasami nie są znaczące. Są po prostu lepiej widoczną manifestacją innych, bardziej znaczących różnic o których wspomniałem wcześniej.

Ekran pociemniał na chwilę.

- Nie jest ważne, dlaczego istnieją różnice genetyczne - głos Rycrofta wypełnił ciemność osobliwym rezonansem. - Ważny jest sam fakt, że one istnieją.

Przerwał, a na ekranie pojawił się wykres.

- A jeszcze ważniejsze dla was jest to, że możemy szybko

odnaleźć i wykorzystać te różnice.

Wskaźnikiem laserowym pokazał pierwszy wykres.

-Wprawdzie 0,2% to stosunkowo niewielki ułamek, lecz jeżeli go pomnożymy przez mniej więcej trzy miliardy zasad nukleinowych w naszym DNA, w rezultacie otrzymamy około dwa miliony różnic nukleinowych. Jest to liczba znacząca w systemie, gdzie pojedyncze nukleotydy na decydującej pozycji mogą wywoływać śmiertelne choroby takie jak zespół Huntingtona, mukowiscydoza i zespół Taya-Sachsa.

Podszedł do pulpitu i nalał sobie szklankę świeżo wyciskanego soku z pomarańczy. - Sztuczka, jak sobie wyobrażacie - powiedział po przerwie na przełknięcie - polega na zlokalizowaniu tych w przybliżeniu dwóch milionów nukleotydów. Stosujemy potężną nową technikę, zwaną analizą różnic reprezentatywnych, która porównuje zestaw genów dwóch osobników, odrzuca wszystkie segmenty identyczne i uwypukla różnice. Stosujemy opracowany przez firmę półprzewodnik który wykonuje cały proces na pojedynczym bioczipie.

Slajd ukazał schematyczny diagram tej techniki.

- Z powodu różnic między osobnikami nawet w tej samej odizolowanej wiosce, konieczne jest pobranie wielu różnych próbek w celu ustalenia, które z dwóch milionów nukleotydów są obecne u jednej grupy i całkowicie nieobecne u drugiej. To właśnie ta różnica stanowi granicę między życiem a śmiercią.

Pojawił się kolejny slajd ukazujący diagram przebiegu procesu laboratoryjnego.

- Udoskonaliliśmy proces lokalizowania tych znaczących różnic i tworzenia Niszczyciela - skrojonego na miarę organicznego nośnika, który uaktywnia się dopiero w obecności specyficznej sekwencji nukleotydów, która istnieje tylko u naszej populacji docelowej. Innymi słowy, nasz specjalnie zaprojektowany zarazek rozpoznaje specyficzny gen u populacji docelowej i

jest aktywowany przez ten gen i tylko przez ten gen. Dla wszystkich innych populacji jest absolutnie nieszkodliwy.

- Jako dyrektor badań naukowych w GenIntronie, dokonałem trzech kluczowych odkryć, które umożliwiły powstanie Niszczyciela. Po pierwsze, zidentyfikowałem regiony każdego ludzkiego chromosomu, które z największym prawdopodobieństwem zawierają unikalne sekwencje, które są nam potrzebne.

Rycroft znów napił się soku i podjął marsz wzdłuż snopka światła projektora. - Te niepowtarzalne geny można znaleźć wśród łańcuchów DNA, które nie funkcjonują aktywnie jako geny.

Pojawił się slajd ukazujący niewielkie fragmenty wszystkich genów produkujących białka i większe sekcje, które tego nie czynią.

- Te łańcuchy obejmują ponad 90% DNA poszczególnego osobnika. Aż do mojej pionierskiej pracy w GenIntronie większość renomowanych uczonych lekceważyło te obszary DNA jako DNA „śmieciowe”.

Ściśle mówiąc, pomyślał, ta część pracy została wykonana przez Larę Blackwood i tego islamskiego muła. Ale on jest już trupem, a Blackwood wkrótce nim będzie.

- Te obszary znane są pod nazwą intronów - ciągnął Rycroft. - Początkowo sceptyczni uczeni teraz zmuszeni są zgodzić się z nami, że wiele intronów odgrywa rolę kluczową, obejmującą między innymi ukształtowanie struktury i regulację pracy aktywnych, produkujących białka genów. Umożliwiły one GenIntronowi opracowanie terapii genowych na schorzenia powiązane z konkretnymi grupami etnicznymi, są one też połową klucza do naszego Niszczyciela.

Rycroft rozkręcił się, jak najwyższy kapłan spoglądający na natchnione twarze wyznawców, ich rozjarzone oczy zawisały na jego wargach, spijały każde słowo. W skąpym świetle rzucanym

przez projektor, ich ciała nikły w ciemności, a pozbawione tułowi twarze unosiły się na de czerni jak białe teatralne maski.

- Druga połowa klucza także leży w ludzkich intronach

- głos Rycrofta dostosował się do panującej atmosfery świątyni. Pod wieloma względami był w tej chwili najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Zamierzał takim pozostać.

- Drugim kluczowym odkryciem, jakie poczyniłem, była genetyczna skamielina, która spoczywa w genach każdej ludzkiej istoty. - Odkaslnął, przeczyścił gardło. - Od dawna wiadomo, że niektóre z naszych intronów to pozostałości pradawnych retrowirusów, które infekowały naszych przodków miliony lat temu - być może pięć, a bardziej prawdopodobnie dziesięć milionów lat temu - i zgodnie ze swoimi właściwościami, lokowały się w ich chromosomach.

- Retrowirusy, jak wiecie, są „retro”, ponieważ mają bardzo prymitywną strukturę w sensie ewolucyjnym, ich materiał genetyczny nie jest zawarty w DNA, ale w pojedynczej nici RNA. Jednakże, kiedy znajdują się w organizmie nosiciela - na przykład ludzkim - specjalny enzym przepisuje RNA w wirusowe DNA, które następnie podłącza się do naszego DNA. Kiedy dołącza do naszych genów, zmusza komórkę do produkowania coraz więcej wirusów, dopóki komórka nie rozpadnie się i nie zginie.

W sali zaległa taka cisza, że wentylator projektora sprawiał wrażenie małego sztormu w zamkniętej przestrzeni.

- Na szczęście ten bardzo silny retrowirus zmutował, zanim stał z powierzchni Ziemi cały nasz gatunek. Genom zmutowanego retrowirusa jednak wciąż tkwi w naszych komórkach, nie jako „śmieciowe” DNA, ale jako skamieniały przekaz z samego zarania naszego gatunku, który dociera do nas, mówiąc nam o historii i prehistorii pięknymi, jasnymi frazami czterech zasad nukleinowych - guaniny, cytozyny, tyminy i adeniny.

Zniżając głos dla dramatycznego efektu, Rycroft rozejrzał

się, próbując nawiązać kontakt wzrokowy ze wszystkimi obecnymi. - Mamy szczęście, że mutacje są tak powszechnym zjawiskiem w naszych genach, ponieważ moje badania odkryły istnienie jednego ze szczególnie śmiertelnych retrowirusowych intronów. Ten in tron jest wyraźnym, żywym dowodem na istnienie retrowirusa, który niemal wyeliminował cały gatunek ludzki w katastrofalnej globalnej epidemii, którą powstrzymała jedynie przypadkowa mutacja. Był to prawdziwy Niszczyciel i w swojej niezmutowanej postaci był śmiertelny w stu procentach.

Nieprzejrzysty slajd znów zasłonił obiektyw, pogrążając salę w niesamowitym mroku. Ludzie poruszyli się nieswojo w swoich krzesłach. Głos Rycrofta zabrzmiał w ciemności.

- Każda żyjąca ludzka istota w naszych czasach przechowuje gen śmiertelnego Niszczyciela - kontynuował Rycroft. - Wszyscy jesteśmy nosicielami Niszczyciela z tą samą mutacją w pojedynczej zasadzie nukleinowej. A wszyscy mamy tę mutację, bo ci, którzy jej nie mieli, wymarli.

Zamilkł. W sali zaszeleściły głosy, kiedy obecni zaczęli się nerwowo wiercić na krzesłach na myśl o prymitywnej śmierci płaczącej się po wszystkich ich komórkach.

- Jest to, w każdym znaczeniu tego słowa, infekcja przenoszona przez eony od samego zarania naszego gatunku, śmierć starannie przechowywana przez życie. - Przerwał, by słowa dobrane zapadły w umysły słuchaczy.

- Po odkryciu zmutowanego genu Niszczyciela prawdziwa praca dopiero się zaczęła. Nie było mi łatwo opracować metodę „włączającą” oryginalny gen tak, żeby zaczął dawać oryginalny, niezmiennie śmiertelny efekt Niszczyciela. Gdyby to było takie proste, ludzka rasa nie przetrwałaby tak długo.

- W najlepiej izolowanych, biologicznie zabezpieczonych laboratoriach GenIntronu udało mi się ustalić, że Niszczyciela

można aktywować za pomocą pewnej postaci syntetycznego DNA, zbudowanego z sześciu zasad zamiast czterech. Prócz tego odkryłem, że kiedy ten syntetyczny patogen aktywował Niszczyciela, stawał się agresywnie zaraźliwy i przenosił się z jednego członka populacji docelowej na drugiego, zapewniając maksymalną siłę uderzenia przy minimalnej początkowej inwestycji. Ten niemal nie-wykrywalny nośnik zawiera zarówno czynnik, który rozpoznaje populację docelową jak i czynnik inicjujący działalność Niszczyciela. Jest to niewielka, niestabilna, w zupełności syntetyczna, głównie białkowa cząsteczka, przypominająca bardzo małą komórkę drożdży. W środowisku naturalnym żyje dobę, najwyżej dwie. Jest tak niestabilna, że każda technika laboratoryjna - poza specjalnie opracowaną przeze mnie - której można by użyć do wykrycia tej cząsteczki, niszczy ją.

- Pamiętajcie, nośnik Niszczyciela nie jest wirusem. Sam w sobie nie jest zaraźliwy. On po prostu inicjuje wskrzeszenie przedpotopowego, prastarego genu, który dokonuje faktycznej rzezi.

- Kończąc swój wykład, chciałbym złożyć hołd doktorowi Shiro Ishii'emu, którego pionierskie dokonania w dziedzinie aerozolowego rozpylania zarasków nosacizny i innych, umożliwiły rozwiązanie technicznej strony naszego przedsięwzięcia. Badania nad rozpylaniem aerozolowym odegrały kluczową rolę w opracowaniu w firmie NorAm Pharmco rewolucyjnego inhalatora do aplikowania leków przez drogi oddechowe.

- GenIntron wykupił licencję na tę technologię, aby stosować terapie genowe. Prace te zostały starannie przetestowane i nieco udoskonalone przez armię oraz CIA w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, po czym przeprowadzono szeroko zakrojone badania, obejmujące wypuszczenie nieszkodliwych bakterii do kolei podziemnej w Nowym Jorku i w wietrznym rejo-

nie Zatoki San Francisco. Niewielkie poszerzenie tych pionierskich badań umożliwi nam dostarczenie Niszczyciela do koreańskiej populacji w Japonii, kiedy, za niecałe dwa tygodnie od dziś, zacznie się Operacja Tsushima. Po tej próbie generalnej - spojrzal na Woodruffa - skontaktujemy się z panami, by porozmawiać o waszych konkretnych, specyficznych potrzebach.

Rycroft uklonił się. - Na tym skończę. - Skrzywił się, kiedy znów zapalone światło poraziło go w oczy. Sala rozgorzała podnieconymi pytaniami.

Rozdział 25

W rezydencji Tokutaro Kuraty w Kioto, w pokoju na najwyższym piętrze, który wuj mu przeznaczył, Akira Sugawara siedział, skrzyżowawszy nogi, w ciemności na macie i wsłuchiwał się w deszcz.

Za wszelką cenę nie chciał myśleć o Sheili Gaillard, Horście von Neumanie i płatnych zabójcach, których wynajęli, żeby zgładzić Larę Blackwood. Atak, według raportu Sheili, okazał się sukcesem. Blackwood wprawdzie uciekła na swoim jachcie, ale nawet tak duża łódź nie miała szans w nadchodzącym huraganie i z pewnością została zniszczona.

Potrząsnął głową jak koń oganiający się od much, jakby tym ruchem mózg jakoś odegnać straszne uczucie, że jej śmierć, a właściwie wszystkie śmierci przed tą, były wielkim złem. Ale poczuł się jeszcze gorzej. Takie myśli sprzeniewierzały się jego obowiązkom wobec wuja.

Ale jak znalazł się w takiej sytuacji? Często wydawało mu się, że tak było zawsze, ale przecież wiedział, że wszystko działo się stopniowo, powoli wciągała go sieć Kuraty, od zlecenia do zlecenia. Każdy czyn zdawał się sam w sobie niewinny, unikający z powinności, lojalności rodzinnej, imperatywu kultu-

rowego. Ale teraz, myślał, kiedy przyjrzeć się całości, strumień wydarzeń poniósł nieuchronnie od niewinności do winy.

Krok po kroku, Kurata wciągał go coraz głębiej, zmuszając do coraz mroczniejszych, coraz bardziej obciążających czynów. Groźby, giń, materialne nagrody wpływające na jego rodziców za jego dobre sprawowanie - wszystko to uwiązywało Sugawarę do ścieżki wytyczonej przez wuja. Próbował jakoś znieczulić się na sens tego wszystkiego, co robił. Przez jakiś czas zwykłe biurokratyczne sztuczki działały: to nie byli ludzie, były to „jednostki”, „organizmy”, „pasożyty”, „istnienia niegodne życia”, „plaga, którą trzeba wytepić”.

Ale kiedy ich twarze wymykały się tyranii liczb i eufemizmów - tak jak tamtego dnia, gdy ze łzami w oczach patrzył na spektakl śmierci całych rodzin przed szpitalem w Tokio - czuł rozdzierający ból, który osłabiał poczucie obowiązku, które wiązało go tak mocno z Kuratą i jego „misją”.

Sugawara myślał o zbrodniach wojennych, winie i odpowiedzialności, i wiedział z całą ostrością, że jest obecnie winien wielu złych rzeczy. Powoli, na tle głosu radia i równego szumu dzwonienia deszczu o dach, rozległ się odgłos drewna sunącego po drewnie. Dobrze znał ten dźwięk: ktoś odsuwał przegrodę *shoji* w jego pokoju. Serce w nim podskoczyło. Nie było pukania, to musiał być Kurata.

- Dobry wieczór, Kurata-sama- powiedział Sugawara, otwierając oczy. Skąpe światło z korytarza wpadło do pokoju, obrysowując sylwetkę wchodzącego starca. Serce Sugawary zaczęło walić jak młot, popędzane strachem i poczuciem winy. Jakby starzec umiał czytać w jego myślach i przyszedł, by sprowadzić go z manowców na właściwą drogę.

- Dobry wieczór, siostrzeńcze - odparł Kurata, zasuważąc parawan. Podszedł do Sugawary. W przyćmionym świetle widać było, że trzyma w rękach pakunek.

-Jak słyszę, wszystko idzie jak należy - powiedział Kurata przyklękając, następnie siadając.

- Tak, czcigodny wuju - odpowiedział Sugawara. - Wkrótce dobrniemy do końca. - Z całej mocy usiłował ukryć rozczarowanie w głosie.

Przez kilka minut dwaj mężczyźni wsłuchiwali się w radiowe trzaski. Za chwilę mieli się zgłosić współpracownicy z przystani.

- Dobrze mi służyłeś - odezwał się w końcu Kurata. - Zaskarbiłeś sobie moje zaufanie.

-Jestem twym pokornym sługą, panie.

Kurata w ciemności skinął głową, przyjmując należny mu hołd. — Tak. Dobrze się spisałeś. Ale nie możesz spisywać się lepiej, jeżeli nie dowiesz się o wiele więcej o naszym ostatecznym celu oraz o strategii do jego osiągnięcia.

Sugawara chciał krzyknąć: „Nie! Nie mów! Ta wiedza ciągnie mnie głębiej na dno, znów daje okazję do zdrady! Coraz bardziej obciąża mnie *giri!*”.

Zamiast jednak powiedzieć szczerze, co czuje, Sugawara postąpił zgodnie z oczekiwaniem i rzekł: - Twoje zaufanie, Kurata-sama, zaszczyca mnie.

- Tak - rzekł Kurata. - Posłuchaj mnie uważnie. - Przerwał, potem zapytał: - Wiesz, co to *hakko ichiu?*

- Osiem zakątków świata pod jednym dachem, pod dachem Yamato - odpowiedział natychmiast Sugawara.

- Bardzo dobrze. To właśnie jest nasz cel.

Walcząc z kotłującym się w nim gniewem, strachem, frustracją i poczuciem nadchodzącej katastrofy, Sugawara odparł: - Wybacz moją impertynencję, panie, ale czy nie był to cel rządu narodowego przed rozpoczęciem wojny na Pacyfiku?

- Oczywiście, że tak. Cel zaszczytny, ale wykonanie pożałowania godne.

Sugawara odpowiedział tak, jak zapewne oczekiwał tego wuj. - Proszę, oświeć mnie, panie, w tym względzie.

- Generałom nie udało się zrealizować *hakko ichiu*, ponieważ działali zbyt prędko i pochopnie. Oderwali się też od korzeni i popadli w zachodnią pułapkę otwartej konfrontacji.

Sugawara był wstrząśnięty, ledwie łapał oddech. Jak i cała Japonia, nigdy wcześniej nie słyszał, żeby Kurata wyrażał się krytycznie o rządzie i militarystach z czasów wojny. Zawsze wychwalał ich pod niebiosa. To przecież właśnie wielki Kurata-sama doprowadził do ubóstwienia generała Tojo i innych militarystów w świątyni Yasukuni, to on nieustannie oskarżał polityków, którzy śmieli sugerować, że Japonia winna jest światu przeprosiny za wojnę na Pacyfiku.

- Rozumiem twoje wątpliwości - ciągnął Kurata. - To byli wielcy ludzie o szlachetnych intencjach. Ale, jak wielu naszych wielkich w tamtych czasach, pozwolili, by ich umysły zaćmił zachodni sposób myślenia, dali się zwieść zachodnim zasadom i ulegli zachodnim strategiom. Przede wszystkim powinni byli słuchać wielkiego Shumei Okawa.

Sugawara skinął na znak, że postać doktora Okawy, bohatera współczesnych konserwatystów japońskich, jest mu znana, Nie zajmując żadnej eksponowanej pozycji, sprawił, że jego idee były drogowskazem dla neonacjonalistów w latach 30. Odegrał kluczową rolę w zabójstwie dwóch japońskich premierów i w inwazji na Mandżurię. Oskarżony przez aliantów o zbrodnie wojenne pierwszego stopnia wraz z generałem Tojo, nie został stracony, ale wypuszczony na wolność w roku 1948.

- Okawa zachęcał Tojo i innych, do cierpliwości - kontynuował Kurata. - Żeby poczekali na odpowiedni moment. Ale uwiedzeni przez swoje świetne uzbrojenie, chcieli go użyć natychmiast. Zapomnieli o pierwszej zasadzie samurajskiej, która głosi, że „najzręczniejszy miecz nigdy nie opuszcza pochwy”.

- *A Un wa yusha o tasuku?* - zapytał Sugawara, cytując stare przysłowie, że los sprzyja odważnym.

- *Hai* - odparł Kurata - los sprzyja odważnym, nie sprzyja natomiast niepotrzebnej brawurze. *No aru takatva tsume o kaku-su*. Zachodnia filozofia otwartej konfrontacji nie jest dla nas. Narusza ona naszą świętą zasadę działania niepostrzeżenie, z ukrycia, dopóki zwycięstwo nie będzie pewne, pewne! Sprytny jastrząb kryje szpony.

Jak wszystkie japońskie dzieci, Sugawara został wychowany w niechęci do bezpośredniej konfrontacji. Nawet proste „tak” lub „nie”, które są drugą naturą ludzi Zachodu, były nie do przyjęcia. Zbyt prędko demaskowały i groziły utratą twarzy, gdyby przyszło zmienić opinię.

Bezpośrednich konfrontacji należało unikać, ponieważ od początku nieuchronnie prowadziły do tego, że będzie zwycięzca i przegrany. Przegrana oznacza utratę twarzy, a utrata twarzy jest o wiele gorsza na dłuższą metę niż wygrana lub przegrana w dyskusji, która doprowadziła do konfrontacji.

Człowiek upokorzony jest człowiekiem niebezpiecznym, który może w końcu poszukiwać zemsty. Tak więc, jeśli ktoś jest przygotowany na otwartą konfrontację z innym i wygra, musi być przygotowany na konieczność zabicia pokonanego. Tylko w ten sposób można utrzymać pokój na dłuższą metę.

- Dlatego dzielni, ale błędzący przywódcy wojny na Pacyfiku nie osiągnęli *hakko ichiu*. Zwalczali Anglosasów, używając ich zasad i przegrali. My teraz idziemy ku zwycięstwu, ponieważ powróciliśmy do mądrości naszych przodków.

Radio na stole skrzeknęło.

- I właśnie tę mądrość i taktykę pragnę byś sobie przyswoił, chłopcze, bo to ty właśnie odziedziczysz owoce naszych wysiłków.

Przymykając oczy, Sugawara wykonał głęboki ukłon. - Jestem zaszczycony twoim zaufaniem i odpowiedzialnością, jaką na mnie nakładasz. - Ale w duchu powtarzał: „Nie chcę jej, nie mów mi nic więcej”.

- Dobrze - powiedział Kurata. - Pamiętaj, że ziarno naszego nowego zwycięstwa leży w braku charakteru Amerykanów i ich sojuszników. Chociaż ich zdobycze technologiczne przyniosły koniec konfliktu, nie mają *dokyo*, hartu ducha zwycięzców. Zamiast zachować się jak przystało na zwycięzcę, rząd Stanów Zjednoczonych ujrzał okazję - jak by to oni powiedzieli - ubicia świętego interesu. Nie mają żadnych zasad. To pozwoliło nam nimi manipulować, podjąć przeciw nim działania, których nie dostrzegli.

- Zwolnili wszystkich naszych naukowców z oskarżeń o zbrodnie wojenne w zamian za udostępnienie części ich badań. Przed ich nędznymi trybunałami nie stanął ani jeden członek ultrapatriotycznych stowarzyszeń, żaden z dowódców tajnej policji Kempeitai, żaden członek *zaibatsu* - Mitsubishi, Mitsui, Yasuda, Kawasaki, Sumitomo - pomimo faktu, że oni wszyscy mocno angażowali się w to, co Amerykanie nazywają zbrodnią.

- Czemu, czcigodny wuju, nie postawiono tych obywateli przed sądem?

- Amerykanie są chciwi i chcieli ich wykorzystać dla zysku. Szybkie robienie pieniędzy jest dla nich ważniejsze niż jakiegokolwiek zasady - wyjaśnił Kurata. - Zamiast postępować jak zwycięzcy, spróbowali szybko się wzbogacić. Chcieli natychmiast pieniędzy i dóbr materialnych. Nie patrzyli w przyszłość, nie przewidzieli, że biznes, finanse i technologie są polem bitwy, na

którym toczyć się będą przyszłe wojny. Amerykanie sprzedają nam swoje technologie i kupują je z powrotem w postaci gotowych produktów, dziesięciokrotnie drożej; sprzedają nam raz, odkupują setki milionów razy. Dlatego zawsze będą przegrywać. Niespodziewana błyskawica przecięła niebo, oświeciła pokój i na chwilę oślepiła obu mężczyzn. W ułamku sekundy Sugawara zobaczył twarz Kuraty, uchwyconą jakby przez flesz reportera. Fanatyczne, jak w transie, spojrzenie oczu wuja przeraziło go. Co jeszcze gorsze, wzrok Kuraty był hipnotyzujący i paraliżujący, i Sugawara poczuł, jakby był do starca przywiązany, jakby go jeszcze mocniej przyciągały niewidzialne więzy. W ciemności rozległ się grzmot i Sugawara drgnął, próbując wymazać obraz wuja ze swoich myśli.

- To ludzie zdegenerowani - kontynuował spokojnie Kurata, jakby piorun wcale nie uderzył. -Wszyscy się tacy stają, bo ich kręgosłup rasowy się rozpada, pod wpływem kontroli przez międzynarodowy żydowski spisek Mędrców Syjonu.

- My nie odstępujemy od swoich zasad, ponieważ mamy *tan'itsu minzoku shakai* -kulturę jednej rasy, a nie skażoną, skundloną rasę jak w Ameryce. Premier Nakasone miał rację, kiedy powiedział całemu światu, że Stany Zjednoczone podupadają, ponieważ czarnuchy i Meksykanie skazili rasę i obniżyli poziom inteligencji.

- Takich ludzi łatwo wykorzystać, kupić i manipulować - oświadczył Kurata w rosnącym ewangelicznym ferworze.

- Będą nam służyć tak długo, jak pozwolimy ich korporacjom uzyskiwać skromne zyski, tak długo, jak będziemy im sprzedawać telewizory i samochody. Ich sprostytuowani politycy będą się na to godzić tak długo, jak będą od nas brać pieniądze. Tak długo, jak będziemy podpisywać ich długie, kredyty i bezsensowne wydatki, nic nie zrobią z tą sytuacją.

- Tymczasem kontrolowane przez Żydów banki i kor-

poracje sądzą, że to one mogą nami manipulować - podjął Kurata. - Oni, z kolei, jak zwykle źle nas rozumieją i uznają naszą ciszę i współpracę za uległość.

- Pamiętaj, robimy to, co robimy, ponieważ to jest słuszne i honorowe. Takie jest nasze przeznaczenie. Amerykanie i inne skundlone narody robią to co robią z zachłanności.

Kurata przerwał, kiedy wielokrotna błyskawica znów oświetliła pokój. Po chwili przetoczyła się nad nimi seria grzmotów.

Kiedy ucichły, Kurata podjął narrację.

- Od wojny na Pacyfiku, działamy niepostrzeżenie - powiedział Kurata z dumą. - Wygraliśmy, choć na to nie wygląda. Teraz jesteśmy górą. A Amerykanie, jak się zdaje, nie rozumieją tego.

- Proszę o pobłażanie, wuju - odezwał się Sugawara. - Z moich studiów wynika, że Amerykanie nie są narodem głupców. Jak mogliby tego nie zauważyć?

W przyćmionym świetle, Sugawara ujrzał, jak wuj kiwa głową. - Biali ludzie nie są tacy tępi - zaczął - ale są arogancy i arogancja ich zaślepia. Widzą świat takim, jakim chcą go widzieć, a nie takim, jakim jest rzeczywiście. Weź pod rozwagę: nigdy przez wszystkie lata od końca wojny na Pacyfiku rząd japoński nie wyraził się o Stanach Zjednoczonych jako o sojuszniku.

- Rzeczywiście - skostatował Sugawara. - Przypominam sobie, nawet z podręczników historii w szkole. W czasie wojny, faszystowskie Niemcy były naszym *doemi koku*, ale Stany Zjednoczone określane są mianem *joyaku*, więzi partnerskiej.

- Dobrze pojąłeś swoją lekcję, siostrzeńcze - powiedział Kurata. - Jak ci wiadomo, *joyaku* zajmuje niższą pozycję w hierarchii. Jednak przez ponad pół stulecia Amerykanie nie zauważyli, że w żadnym biuletynie rządowym, w żadnej umowie, żad-

nym komunikacie ani innym dokumencie nie występują jako nasi sojusznicy. To ślepotą. Głupota.

Przerwał, bo z radia dobiegły niecierpliwe dzwonki. - Gdzie do licha są wszyscy? - rozpoznali nieomylnie głos Sheili Gailard. „Pracownicy” zgłaszali się jeden po drugim. Ich historie były podobne: u jednego sztorm zalał ulice, drugi utknął w korcu, który się wytworzył po deszczu po wypadku, trzeci był kilka przecznic dalej, omijając zwalone drzewo, które zniszczyło linię energetyczną na alei Niepodległości.

Kurata uśmiechnął się pobłażliwie. - Podniecone dzieciaki. - Przerwał i wsłuchał się w nawałnicę.

Coś zaszeleściło, Kurata podał Sugawarze jakąś książkę.

- Oto książka, którą powinieneś wziąć sobie do serca.

- Dziękuję po stokroć - uklonił się Sugawara.

- Jest to w istocie zbiór - wyjaśnił Kurata. - Trzy dzieła, jakie zawiera, to „Żydowski spisak” Kamakage, naukowe opracowanie Yajimy „Wnikliwy sposób czytania Protokołów Mędrców Syjonu, oraz Satio „Tajemnice żydowskiej władzy”.

- *Hai* - przyjął do wiadomości Sugawara. - Słyszałem o nich wszystkich. Sprzedano miliony egzemplarzy.

- Teraz to są twoje podręczniki - poinstruował go Kurata. - W końcu tylko my, naród Yamato, stoimy między Żydami a ich dominacją nad światem. Zawsze pamiętaj: Yajima najlepiej podsumował sytuację, kiedy napisał, że:

„Wywoływać zamęt i wykorzystywać go potem dla własnych celów jest standardową taktyką działania międzynarodowego kapitału żydowskiego”.

- Żydzi są podstępni - mówił Kurata. - to, że nam ustępują pod wieloma względami, nie znaczy, że zostali pobici. Przyjrzyj się recesji, jaka dotknęła nasz kraj i problemom gospodarczym w połowie lat dziewięćdziesiątych, które wynikły z żydowskich manipulacji na rynkach finansowych.

- Co najważniejsze, musisz pamiętać, żeby unikać bezpośrednich, jawnych konfrontacji. Bo tak długo jak Amerykanie i ich sojusznicy nie zdają sobie sprawy, że zostali pokonani w bieżącej wojnie ekonomicznej, będziemy czerpać wszelkie korzyści z pokonanego kraju bez konieczności niszczenia jego trwałego majątku i odbudowywania go.

- To wszystko sprawia, że Operacja Tsushima jest jeszcze ważniejsza - ciągnął Kurata. - Czasami konieczna jest fizyczna eliminacja ludzi. Ale nie chcemy niszczyć ich dorobku, żeby tego dokonać. Byłoby to kontrproduktywne marnotrawstwo. Operacja Tsushima pozwoli nam usunąć uprzykrzone szkodniki z ojczyzny, a oni nawet się nie zorientują, że było to świadome działanie. Operacja Tsushima otworzy przed nami ostatni etap niepostrzeżonego działania.

Sugawara poczuł, że kolejny kawałek jego duszy obumiera.

Rozdział 26

Przy ujściu rzeki Potomac do zatoki Chesapeake wściekły wiatr w od rufy zalewał Tagcat Too potokami deszczu. Noc ustąpiła miejsca szaremu porankowi. Lara Blackwood przyglądała się radarowi, obserwując jednocześnie oddalające się brzegi rzeki. Gąszcz sygnałów tańczył po ekranie radaru jak śnieg. Pomimo zakłóceń, z łatwością wypatrzyła boje na kanale wyposażone w reflektory radarowe, żeby widać je było nawet w tak niekorzystnych warunkach. Poza tym nie zobaczyła nic. Żadnych statków. Żadnych łodzi.

Ale wiedziała, że nie można mieć stuprocentowej pewności, ponieważ radar nie był w stanie wyłapać rozmaitych odłamków rzuconych przez burzę i unoszących się na wodzie. Lara stłumiła ziewnięcie, obracając powoli sterem na południe i włączając automatycznego pilota. Zdjęła swój plastikowy kubek z uchwy-

tu kardanowego, wysączyła ostatnie krople zimnej kawy i wstała.

Chwytnąjąc się poręczy, żeby nie stracić równowagi w kolebiącej się łodzi, poszła do kambuza i przygotowała jeszcze jeden dzbanek kawy. Stalowy ekspres do kawy też był na zawieszaniu kardanowym, które pozwalało na utrzymanie go mniej więcej w poziomie nawet przy największych przechyłach. Z wyjątkiem koszmarnych trzydziestu sześciu godzin poprzedzających zatonięcie Tagca-ta nieopodal Przylądka Dobrej Nadziei, zawsze udawało jej się opędzić galonami mocnej kawy i krótkimi, częstymi okresami snu i unikać korzystania z tabletek amfetaminy, które miała przy sobie na wypadek wyższej konieczności.

Czekając, aż kawa się zaparzy, jeszcze raz w myślach przeanalizowała swój plan. Dopóki nie zorientuje się, co się naprawdę dzieje, Lara stwierdziła, że będzie bezpieczniejsza, jeśli ludzie, którzy chcą ją zabić, będą myśleć, że już nie żyje. Ruszyła po jachcie, żeby zebrać rzeczy, które mogły to uprawdopodobnić.

U stóp schodków zejściówki rzuciła na stos ubrania, skrzynki na lód, kamizelki i koła ratunkowe. Przeszła na dziób i kopnięciem wyważyła z zawiasów drzwi z drewna tekowego i mahoniowego. Zawlokła je pod zejściówkę i rzuciła na stertę razem z sedesem i piankowymi poduszkami z kabiny na dziobie.

Z szafki pod zejściówką wyjęła ubranie przeciwstorno-owe; włożyła nieprzemakalne ocieplane spodnie, zapinając starannie szelki. Potem wciągnęła kalosze i pozapinała rzepy spodni ciasno przy kostkach. Na wierzch zarzuciła kurtkę z goreteksu, wcisnęła na głowę czapkę bejsbolową, a na nią kaptur kurtki. Włożyła uprząż zabezpieczającą, pozapinała dobrze karabinki i tymczasowo zarzuciła linę na szyję. W końcu wciągnęła parę goretexowych rękawiczek z gumowymi wypustkami na palcach i otworzyła luk. Deszcz i wiatr zaczęły się wdzierać do

środku, kiedy jak najszybszymi ruchami wyrzucała przedmioty na pokład, potem do zalanego wodą kokpitu. Weszła po schodkach, zatrzymała się, zdjęła duży plastikowy pomarańczowy cylinder zamocowany na grodzi i zabrała go ze sobą w huragan. Odwinęła część liny ratunkowej i przypięła się starannie do jednego z uchwytów zamontowanych na całym jachcie.

Stała przez chwilę, oceniając sytuację. Wiatr szarpał spienione szczyty fal i ciskał jej w twarz. Zaczęła wyrzucać zebrane rzeczy w spieniony wir: drzwi do przedniej kabiny, sedes, poduszki, wszystko. Wystarczyło, żeby uniosła je dość wysoko, a wiatr już sam wyrwał jej rzeczy z rąk i unosił w dal.

Następnie wyszła z kokpitu na pokład i przypinając, i odpinając linę, dotarła do białego cylindra o zaokrąglonych końcach. Każdy krok był starannie wykalkulowany, każdy chwyt podwójnie sprawdzany; musiała walczyć z rozszalałym wiatrem, który mógł ją porwać z pokładu i rzucić w bezlitosne morze. Wreszcie dotarła do kanistra z łodzią ratunkową, szybko odpięła blokadę i straciła ją w morze.

- Nie uwierzę, że zrobiłam coś tak głupiego - powiedziała Lara do siebie, patrząc jak automatycznie nadymająca się tratwa podskakuje na falach i znika w oddali. Wiedziała, że było to posunięcie ekstremalne, ale wiedziała też, że tak trzeba, jeśli chciała stworzyć pozory wypadku i przekonać swych prześladowców, że dalsze poszukiwania będą daremne.

Wiedziała, że krok ten może okazać się fatalny, jeśli coś się stanie. Teraz został jej tylko nadmuchiwany ponton, który wisiał na dziobie. Z pewnością w czasie sztormu był bezwartościowy i przy niesprzyjającej pogodzie nie spisze się lepiej niż duża gumowa kaczka.

Z powrotem w kokpicie, podniosła jasnopomarańczowy cylinder i wyciągnęła antenę. Była to EPIBRP, alarmowa stawa radiowa, wskazująca położenie i wysyłająca międzynarodowe

wezwanie o pomoc, które zaalarmować miało ekipy ratownicze. Choć nie sadzę, żeby coś mogli w chwili obecnej zrobić, pomyślała, wciskając wodoodporny włącznik i rzucając urządzenie w ocean.

Kiedy patrzyła jak znika w nawałnicy, poczuła, że serce w niej podskakuje. „Odmierzamy czas swego życia” - pomyślała - „ważnymi wydarzeniami, które zmieniają bieg naszych losów: przed Chrystusem, Anno Domini, od rozvodu, po śmierci matki, przed ślubem, po urodzeniu dziecka. Kalendarze pokazują suche daty, ale każdy człowiek ustawia swój zegar według osobistych przeżyć”.

Było życie przed śmiercią ojca i po śmierci ojca. Było życie przed GenIntronem, potem trudny okres po nim. A teraz to. Jak będzie, kiedy to się skończy? Lara powoli potrząsnęła głową i wróciła przez luk pod pokład, w poszukiwaniu świeżej kawy i piątej klepki, którą musiała zgubić, żeby wypłynąć na morze w czas takiego huraganu.

Trudno było powiedzieć czy nowa *onsen* - łaźnia na gorących źródłach w Fuefuki, znajdowała się wewnątrz czy na zewnątrz. Siedząc na zanurzonej w wodzie skale, na skraju porośniętego bujną roślinnością basenu, wyciętego w czarnych wulkanicznych skałach, Edward Rycroft pozwalał, by wody *onsen* zrobiły gorący masaż jego zawężłonym, spiętym mięśniom i leniwie rozważał to pytanie. Sprawy rozwijają się całkiem dobrze, myślał, zanurzając się w kojącej kąpieli. Ta wiedźma Blackwood już najpewniej nie żyje. Cztery dni w huraganie to chyba więcej niż zdołałaby wytrzymać sama Superwoman. Do tego kokosy, które przyniesie mały, niecny plan Woodruffa. Uśmiech rozbawienia nadał jego twarzy prawie miły, nieszkodliwy wyraz.

Jak można się było spodziewać, pierwsi klienci z wielkimi

pieniężni przybyli z Bliskiego Wschodu. Saudyjscy biznesmeni, przysłani, by dobić targu w imieniu śliniących się, wielkookich fanatyków, którzy uważali swoją zwichrowaną odmianę islamu za jedyną drogę, nie byli zaskoczeniem. Już tylu tępych asfaltów dobiegało się do niego.

Rycroft uśmiechnął się jeszcze szerzej, kiedy przypomniał sobie drugie spotkanie. Z innymi brodacami w czerni. Przybyli z Jerozolimy, z pieniędzmi od ultraortodoksyjnych ekstremistów, którzy bardzo pragnęli, żeby współcześni Arabowie i Palestyńczycy podążyli za swoimi biblijnymi przodkami, których podbój Izraelitów wymiół z Ziemi Obiecanej. Ironia sytuacji cieszyła go, ale nie aż tak, jak sprawiedliwość, na którą czekał całe swoje życie.

Gorzki był czas czekania na tę sprawiedliwość, ale tym słodsza teraz będzie zemsta. Zmrużył oczy, patrząc na konary drzewa kamforowego i obłoki sunące po niebie. Próbował zgadnąć, czy panele wysokiego sufitu zostały odsunięte, czy też niebo i chmury były sprytną iluzją, stworzoną przez komputerowy system projekcji, zbudowany specjalnie dla Kuraty. Swoim pracownikom chciał zapewnić same najlepsze rzeczy.

Drażniło go, że nie potrafi tego rozróżnić. Czuł irytujące drapanie pod mostkiem. Usiłował zignorować to drażniące uczucie, rozglądając się wokół w poszukiwaniu czegoś, co zajmie jego uwagę. Ale to, co zobaczył, jeszcze pogłębiło rozdrażnienie: cudowne baseny parującej wody, rozrzucone tu i tam pod sklepieniem tropikalnych drzew, wszędzie wokół bujna zieleń, mech w skalnych zagłębieniach. Setki milionów jenów wydano na odtworzenie i zadaszenie tego wspaniałego *rotenboro*. Tylko bogactwo Kuraty mogło stworzyć imitację natury tak doskonałą, że nie dało się odróżnić, czy była to prawdziwa dżungla czy piętrowe oszustwo stworzone przez architekta, któremu dawali się uwieść kąpiący się tu mężczyźni.

Zresztą czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Jeżeli znawcy dawali się nabrać, jeśli wszystko pachniało i smakowało tak prawdziwie, to co za różnica? Rycroft dumał nad tym, patrząc na nagich Japończyków, relaksujących się w dużym basenie za kępą palm. Niektórzy gawędzili w grupach - *hadaka no tsukiai*, „towarzysze w nagości” - inni wypoczywali pojedynczo lub dwójkami. Mężczyźni spacerowali po ścieżkach błędzących przez dżunglę, między głazami, szli od sanitariatów w stronę dużego basenu lub jednego z wielu mniejszych, wielkości jacuzzi, jak ten, w którym przesiadywał Rycroft.

Mężczyźni ubrani w *yufondoshi* - przepaski na biodra - chodzili tam i z powrotem. Większość z nich miała przy sobie *furoshiki*, małe, przypominające chustki do nosa węzłki, w których trzymano przedmioty osobiste. Według zwyczaju panującego w Daiwa Ichiban, każde firmowe *furoshiki* miało wyhaftowane *hanko*, jakby osobistą pieczęć, znak zarejestrowany przez władze, którego Japończycy używają do podpisywania dokumentów i listów, zamiast podpisu.

Rycroft obejrzał się na dwa swoje *furoshiki* leżące na skraju basenu. Jedno z nich było proste, na drugim widniało *hanko*. Przyniósł ze sobą oba. Wyszywane zawierało jego portfel, klucze i zegarek. W czystym spoczywał ostry jak brzytwa nóż i plik papierów.

Rycroft uśmiechnął się spoglądając na *hanko* i wspominając zamieszanie, jakie wywołał, kiedy po raz pierwszy poprosił o takowe. On, *gaijin!* Większość łaźni w Japonii zakazywała wstępu ludziom Zachodu ze względu na ich złe maniery, nieznamość obyczajów i higieny. Rycroft udowodnił, że jest oddanym wyznawcą japońskich zwyczajów, opanował język jak rodowity Japończyk i zrobiono dla niego wyjątek. Dzięki Kuracie było to możliwe.

Z dużego basenu dobiegł gwar głosów; grupka młodych *sararimen* (urzędników) pluskała się w kącie. Rycroft obejrzał się na nich, po czym powoli przetoczył wzrokiem po całym obszarze, zatrzymując wzrok na pojedynczych osobach kąpiących się tu i ówdzie. Samotnicy wydawali się medytować, a może po prostu modlili się, żeby bogate w minerały wody uleczyły ich dolegliwości reumatyczne lub wysypkę, zgodnie z tym, co głosiły napisy w zewnętrznych salach, gdzie korzystający z łaźni szorowali skrupulatnie ciała przed wejściem do wspólnej kąpieli.

Czysty nonsens.

Z pewnością kąpiel była relaksująca, a wysoka temperatura mogła pobudzić krążenie krwi do jakiegoś stopnia. Możliwe, że relaks ma pozytywny wpływ psychosomatyczny, ale żeby leczyć? Rycroft znów się rozejrzał i powstrzymał pogardliwe prychnięcie.

Małpy. Złe, bezwłose, żółte małpy, tkwiące w przesądach i irracjonalizmie, chociaż ich zautomatyzowane mózgi wciąż czyniły postępy technologiczne.

Nienawidził ich. Niech piekło pochłonie tę żółtą zarazę!

Pod wodą palce dłonie Rycrofta zacisnęły się w pięści, rozłożył je, potem znowii zwinął. Myśleli, że przyswoił sobie ich zwyczaje i język, ponieważ ich cenił, chciał być czymś w rodzaju honorowego Japończyka.

Głupcy, zaślepieni arogancją głupcy!

Rycroft miał cztery lata, kiedy oddziały japońskiej armii wpadły do jego domu w Singapurze, gdzie jego ojciec był niższym urzędnikiem bankowym. Z domu na wzgórzu nie było ucieczki, poza drogą zablokowaną przez japońskie wozy wojskowe.

Schowany w wielkim wiklinowym koszu, służącym jako nocny stolik, Rycroft i jego starsza o rok siostrzyczka trzęśli się z przerażenia, kiedy pluton żołnierzy najpierw pobił ojca do nieprzytomności, potem zbiorowo zgwałcił matkę. Rycroft pamiętał, że nawet wówczas myślał, że trajkoczą między sobą jak małpy, takie same jak żyły w lesie na pobliskich wzgórzach.

Kiedy skończyli, jeden z nich wyciągnął rewolwer i strzelił matce w twarz. Rycroft miał wciąż w pamięci straszny widok jej drgającego ciała, kiedy przebiła ją kula. Ale nie umarła od tego, ani od następnych dwóch strzałów. W końcu jeden ze zwyrodnialców śmiejąc się, zdjął pasek i udusił ją nim.

Albo on, albo siostra musieli wydać głos, bo zaraz potem

żołnierze unieśli wieko wiklinowej skrzyni.

Rycroft nigdy nie zapomniał jak jego ojciec, nagi, zbroczony własną krwią, wyrwał się żołnierzom i rzucił na pomoc dzieciom. Na zawsze wbił mu się w pamięć błyskawiczny, sprawny ruch japońskiego oficera, który wydobył zza pasa sztylet i jednym precyzyjnym cięciem otworzył ojcu brzuch od mostka po krocze. Nie ma większego koszmaru niż zobaczyć szaroróżową kaskadę wnętrzości wylewającą się z rany na podłogę.

Na twarzy Rycrofta ojca malował się wyraz przerażenia, niezrozumienia i rozpacz, kiedy utkwił przepraszający wzrok w oczach syna. Potem głowa opadła. Oczy otworzyły się szeroko, po czym zamknęły. Choć mocno próbował, Rycroft nie umiał sobie przypomnieć dźwięku strzału z karabinu.

Gnany jakimś pierwotnym instynktem, mały Rycroft próbował obronić swoją starszą, choć mniejszą, siostrzyczkę. Nigdy nie zapomniał ich śmiechu, kiedy wyciągali małą ze skrzyni i rozdzielili ich.

Kiedy ją wlekli, powtarzali w kółko to samo zdanie. Nigdy więcej jej nie zobaczył.

Japoński oficer wziął małego Rycrofta jako maskotkę, niewolnika, osobliwość. Nauczyli go czytać i pisać po japońsku, żeby mógł pełnić rolę sługi, „jak przystało na członka niższej rasy”.

Nauczywszy się płynnie japońskiego, dowiedział się, co znaczyło zdanie powtarzane, kiedy zabierali siostrę: „Świeże mięso na rożen”.

Wszystko to przelatywało przez głowę Rycrofta, kiedy siedział w kotłującym się *onsen*, próbował się uspokoić i przygotować do działania. Przelykając gniew, stopniowo wypchnął wspomnienia ze swego umysłu. W samą porę.

- Rycroft-san.

Głos nadbiegł z tyłu. Rycroft przekreślił głowę i zobaczył swojego kierownika działu produkcji, Kenji Yamamoto, jak idzie ku niemu w *yufondohi* wokół pasa, w drewnianych chodakach na stopach, z *furoshiki* zwisającym u jednej ręki.

Yamamoto złożył ceremonialny ukłon; Rycroft także, ale płytki, ponieważ to on był tu szefem.

Rycroft rozsiadł się na nowo, kiedy Yamamoto zdjął przepaskę i zanurzył się w gorącej wodzie.

- Aaach! Kiedy się wchodzi, doznanie jest najbardziej intensywne, prawda?

- Bez wątpienia. - Rycroft zczekał, aż Yamamoto się usadowi. - Nie podoba mi się sposób, w jaki rzucasz podejrzenia na mnie i moje metody, Kenji.

- *Hai* - powiedział Yamamoto bez emocji.

- Nie pozwolę, żeby tak dalej było.

- Boli mnie, że muszę tak stawiać sprawę - Yamamoto nabrał wody w dłonie i oblał sobie głowę - ale jestem przekonany, że w metodzie musi być błąd. Właściwie pozwoliłem sobie przeprowadzić dodatkowe analizy laboratoryjne, które, choć jeszcze niekompletne, wskazują, że ta partia Niszczyciela może być mniej selektywna i aktywować się nie tylko przez sekwencje genów właściwe Koreańczykom.

- Sprzeciwiłeś się moim wyraźnym poleceniom - Rycroft uważał, by jego głos brzmiał spokojnie. - Powiedziałem ci, że nie ma takiego problemu, a ty w swojej głupocie, parłeś nadal. Są podstawy do twojego natychmiastowego zwolnienia.

- *Hai*, Rycroft-san. Jestem świadom. To ryzyko, jakie podjąłem, ponieważ jestem głęboko przekonany, że bieżący proces jest groźny nie tylko dla populacji docelowej, ale całej rasy japońskiej.

- Jesteś tępą kreaturą, Kenji - warknął Rycroft. - Nie ty tu decydujesz.

- Obawiam się, że pan także nie - skontrował Yamamoto. - Z całym szacunkiem uważam, że decyzje leżą w czcigodnych rękach Kuraty-sama.

- Możliwe - powiedział Rycroft. Obdarzył Yamamoto mrozącym uśmiechem i odwrócił się, żeby podnieść swoje białe *fu-roshiki*, leżące obok firmowego. Wręczył węzełek Yamamoto, który wziął go niechętnie i spojrzał na Rycrofta pytająco.

- Otwórz, otwórz, śmierzący żółtku. Przyjrzyj się swojej przeszłości i przyszości.

Na twarzy Yamamoto nie odbił się żaden znak, że słyszał rasistowską obelgę. Umieścił węzełek na suchym miejscu i niezwłocznie go rozwiązał. Przez zaciśnięte wargi wciągnął powietrze, gdy zobaczył sztylet. Jednak jego ręce najpierw sięgnęły po kopertę.

Rycroft obserwował blade oblicze Yamamoto i zmianę w jego rysach, kiedy przeczytał najpierw jeden dokument, potem następny. Jego dłonie zaczęły drżeć.

Wreszcie Yamamoto odwrócił się i rzekł: - Co to znaczy?

- To znaczy, że mam niezbity dowód, że twój pradziadek był Koreańczykiem, Kenji. Ty masz tu kopie, ja mam oryginał. - Rycroft poczuł miłe, odurzające ciepło zwycięstwa przebiegające przez jego ciało jak prąd elektryczny.

- A tak po prostu, oznacza to, że mogę zniszczyć ciebie, twoją rodzinę i rodzinę twojej żony. Parę słów i twój syn wyleci otoczony hańbą z uniwersytetu, a córki nie znajdą mężów lepszych niż jakiś barakumin z rzeźni albo ktoś, kto wylewa szambo.

Rycroft zawiesił głos, po czym dodał: - Może być inaczej, jeżeli zrobisz jedynie słuszną rzecz.

Pokonany Yamamoto pochylił głowę; otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Rycroft wyszedł z basenu. Yamamoto patrzył na nóż..

Rycroft owinał przepaskę *yufondoshi* dookoła pasa, wsunął stopy w drewniaki i podniósł swoje firmowe *furoshiki*. Zobaczył, że Yamamoto spogląda na niego, potem sięga i wyjmując sztylet z pochwy.

Rycroft spokojnie oddalił się. Kiedy zbliżał się do łazienek, odwrócił się i zobaczył, że woda w basenie zaczerwieniła się, a twarz Yamamoto zniknęła pod powierzchnią.

Poza zasięgiem wzroku, Rycroft usłyszał krzyk. Uśmiechnął się. Dossier Yamamoto jeszcze tego ranka znajdzie się na biurku Kuraty.

Rozdział 27

Z szeroko rozstawionymi stopami, napinając mięśnie pośród ciągłego wirowania, wznoszenia i opadania na miotanej wiatrem łodzi, Lara Blackwood stała w kokpicie za kołem sterowym *Tagcat Too*, zwrócona ku rufie. Manipulowała pękiem oznaczonych różnymi kolorami lin, przeciągniętych przez stełaż. Tutaj dla wygody i bezpieczeństwa zebrane były wszystkie liny kontrolujące, konieczne, żeby właściwie manewrować łodzią bez opuszczania względnie bezpiecznego kokpitu i bez konieczności używania urządzeń elektronicznych na wypadek przerwy w dopływie prądu.

Uważnie sprawdziła pozycje żagli. Mała powierzchnia kliwra i grota, bezan na rufie zwinięty. Ale to wystarczało przy takim wietrze - w porywach do 70 mil na godzinę, o 150 mil od centrum huraganu.

Lara walczyła z mdlącym strachem, kiedy *Tagcat Too* raz wznosił się na grzbietach mamucich fal, raz zapadał między nie. Przypominało jej to *Ocean Adantycki*, który już kiedyś ją pokonał. Na wierzchołkach fal widziała wielkie białe kłęby piany, ubitej przez nawałnicę, sunące z wiatrem. Kiedy jacht opadał,

patrzyła do góry, jak gwałtowny wicher ścina wierzchołki fal i wynosi pianę w powietrze, gdzie kondensowała się i mieszała z deszczem.

Zmrużywszy oczy spojrziała na żagle, manipulując sterem i pozycją żagli. Na każdym najmniejszym żaglu trzeba było precyzyjnie ustawić kurs względem wiatru. Kliwer był na ostrym bejdewindzie, wypchnięty na wiatr, wybrzuszony, grot także na ostrym bejdewindzie, na lewym halsie, ster maksymalnie na prawą. Kiedy dostosowała żagle i ster, łódź przestała szarpać i jej ruchy nabrały mniej gwałtownego rytmu.

Manewr ten jest znany jako leżenie w dryfie pod żaglami. Pozwala ograniczyć prędkość, ustabilizować łódź i poruszać się, dryfując burtą do fal. Przy właściwym ustawieniu żagli i pletwy sterowej, jacht mógł dryfować prawie bez końca bez dalszego dozoru. Oczywiście oznaczało to, że nie będzie się szybko posuwać do przodu. Ale ważniejsze teraz było, że manewr ten pozwalał jej nieco wypocząć.

Boże! Jakże potrzebowała wypoczynku!

Doprowadziwszy żagle do porządku, Lara poszła do zejściówki, odczepiła z haka linę ratunkową, otworzyła luk i zeszła pod pokład, gdzie panowało niemal tropikalne ciepło, było sucho i prawie cicho. Lara zabezpieczyła wodoszczelny luk zejściówki na wypadek, gdyby fala przedarła się przez kokpit. Po stała chwilę pod schodkami, zmęczona przymknęła oczy. Po chwili poczuła przyjemny aromat. Kawa. Zrzucając mokre wierzchnie ubranie na kratkę ściekową, ruszyła do kambuza i naląła sobie świeżą filiżankę, żeby się rozgrzać.

Wzięła ze sobą filiżankę, usiadła przy stacji nawigacyjnej i sprawdziła aktualne mapy meteorologiczne. Na lewej krawędzi ekranu miała wschodnie wybrzeże Stanów, po prawej Wyspy Brytyjskie i Europę. Szerokie masy szarych chmur pokrywały większą część Oceanu Atlantyckiego.

Tak jak miała nadzieję, zdołała ustawić Tagcat Too na krawędzi huraganu, tak, że mógł ją nieść dalej, nie rozbijając w kawałki. Centrum, jak wynikało z mapy, było wciąż około 150 mil od niej, na południe i lekko na zachód od jej pozycji. Według GPS, jej obecne położenie geograficzne znajdowało się w połowie drogi do Anglii. Albo, pomyślała z nadzieją, do Holandii, zależnie od kursu, jaki wyznaczy jej sztorm. Przy średniej prędkości dwudziestu węzłów - około dwudziestu dwóch mil na godzinę - w nieco ponad trzy dni pokonała 1650 mil, i to nie po prostej, bo w takim wypadku byłaby nawet bliżej Europy.

Na ekranie pojawiło się okno z ostrzeżeniem meteorologów, że obecny huragan może dorównać swą siłą potężnemu huraganowi Great Gale, który w listopadzie 1703 roku przywędrował z amerykańskich kolonii i zerwał dach nad sypialnią królowej w Londynie, zniszczył port w Bristolu i połowę floty angielskiej.

Lara zadrżała na myśl, że dryfuje na skraju historii, że nawalnica stulecia przesuwa się na wschód-północ-wschód wraz z jej jachtem. Wiedziała także, że gęsta powłoka chmur osłoni ją przez wszystkimi, którzy jej szukają, a potworny sztorm nie pozwoli rozpocząć pościgu tym, którzy wątpią w jej pozorowane zatonięcie. Zwykle satelity nie mogły jej widzieć, a wzburzone morze oszuka radary, tak że nawet satelity wojskowe, które mogą prowadzić obserwacje przez chmury, miałyby problem w odróżnieniu jej wśród zakłóceń radiolokacyjnych.

Jacht był stabilny, aparatura elektroniczna wskazywała, że jest na dobrym kursie. Lara ustawiła radar, głębokość zanurzenia i alarm na wypadek zmiany kursu, żeby obudzić się w razie niebezpieczeństwa. Poszła do jadalni, położyła się na ławie i zastanowiła się, czy czegoś ważnego nie pominęła.

Tagcat Too spisywał się w dryfie doskonale. Ta myśl ucieszyła ją. Zaprojektowała ten jacht, a teraz zdawał on egzamin

nawet lepiej niż miała prawo się spodziewać. Pozostawienie steru w rękach automatycznego pilota oczywiście nie było idealnym wyborem. Ale przyszedł moment, kiedy pozostawienie steru bez dozoru stanowiło o wiele mniejsze zagrożenie niż skrajnie wyczerpany sternik, skłonny popełnić serię błędów lub nawet przysnąć, kiedy elektronika będzie wyłączona.

Powoli oparła się i zmusiła mięśnie do odprężenia. Ramiona miała jak stalowe, zawężłone liny, kolana pulsowały ostrym bólem po kilkudniowym nieprzerwanym staniu.

Kiedy zapadała w płytki sen, pierwszy od czasu, gdy zaczęło się to całe szaleństwo, przed jej oczami zaczęły pojawiać się sceny, jak kolorowe slajdy w zaciemnionym pokoju.

Błysk! Telefon z Tokio, ciekawość.

Błysk! Peter Durant, zamęt.

Błysk! Straszne zdjęcia Denisa Yaro i Jima Condon'a zamordowanych w Tokio, gniew.

Błysk! Błękitna Sala, Kurata, zdrada.

Błysk! Prezydent i jego śmieszny szkocki beret, odraza.

Błysk! Gazeta, śmierć Ismaila, smutek.

Błysk! Durant w krwawych strzępach, nagi strach.

Błysk! Ucieczka, strach, radość.

Ostatnią myślą, jaka przeszła jej przez głowę zanim zapadła w ciemność, było zdumienie, że wciąż unosi się na falach, wciąż żyje.

Akira Sugawara siedział przy zielonym stoliku w barku dla pracowników Laboratorium 73, przytulając do siebie kubek herbaty z automatu. Spoglądając często na zegarek, oglądał w telewizji wiadomości CNN i próbował ukryć ogarniające go uczucie pustki. Czuł się jak pusta wylinka szarańczy na pniu sosny: prawdziwe życie przecięło jej grzbiet i poleciało.

Wiadomości czytała atrakcyjna biała kobieta, za nią mi-

gotała ściana monitorów, na których obraz zmieniał się bez specjalnej synchronizacji z treścią słów. Nad jej lewym ramieniem pojawił się rysunek żaglówki tonącej w sztormowych falach.

- Poszukiwanie osób, które mogły przeżyć zatonięcie prywatnego jachtu w zatoce Chesapeake zostało przerwane. Korespondent CNN James Nations mówi z pokładu kutra straży przybrzeżnej John Brady.

Zbliżenie na rozkołysany pokład łodzi. Szarobure chmury nisko nad wodą, mgiełka na obiektywie kamery. Na drugim planie wznoszący się helikopter. Terkot śmigła zagłusza pierwsze słowa reportera. „... centrum jest obecnie jakieś dwieście mil na północny wschód i wciąż napędza huraganowe wiatry. Sztorm jest nadal bardzo silny i wciąż panują bardzo niesprzyjające warunki. Straż przybrzeżna oznajmiła, że poszukiwania jachtu Tagcat Too i akcja ratunkowa zostały zawieszona. Jest ze mną kapitan Mary Evelyn Arnold, komendant tego kutra. Twierdzi, że znaleziono szczątki wskazujące, że jacht rzeczywiście zatonał, oraz że nikt nie miał szans na przeżycie”.

Sugawara upił łyk herbaty, skrzywił się i patrzył w ekran, na którym znów pojawił się reporter i kapitan kutra, oboje w jaskrawopomarańczowych sztormiakach. Obok nich leżał stos wyłowionych rzeczy.

- Co prowadzi panią do wniosku, że dalsze poszukiwania są bezowocne? - zapytał reporter.

Kapitan zamrugała w świetle reflektorów, najwyraźniej czuła się lepiej w obliczu szalejącego huraganu niż kamery telewizyjnej.

- Cóż - pochyliła się nad pomarańczowym cylindrem wielkości gaśnicy. - To jest alarmowa stawa radiowa jachtu, która rozwija się automatycznie tylko wtedy, gdy załoga zmuszona jest opuścić pokład lub w sytuacji awaryjnej, kiedy konwencjonalne radio zawodzi.

- Czy są jakieś inne dowody na to, że poszukiwania nie mają sensu?

Kamera pojechała za spojrzeniem pani kapitan, na stertę gumy i tkanin.

- Oto tratwa ratunkowa jachtu - wyjaśniła. - Co więcej - wskazała ręką - mamy tu sporą kolekcję przedmiotów oznaczonych podobnie jak tratwa, z nazwą jachtu Tagcat Too, kamizelki ratunkowe, odzież, skrzynię na lód.

- Co może nam pani powiedzieć o ciałach znalezionych w macierzystym porcie jachtu?

- Nic - ucieła kapitan. - To jest sprawa policji.

- Czy policja nie opiera się na pani opinii w swej decyzji, czy kontynuować pogoń za uciekinierką?

- Proszę ich zapytać - odparła. - Nie zajmuję się morderstwami.

- Czy wierzy pani, że może to być sprytny podstęp? - nalegał reporter. - Rozumiem, że Lara Blackwood jest doskonałym żeglarzem.

Arnold skinęła głową. - Należy do światowej czołówki. Według mnie przy swoich umiejętnościach i sporej dozie szczęścia jej jacht mógłby przetrwać obecną pogodę.

Wysączając ostatnie gorzkie fusy z kubeczka, Sugawara patrzył, jak na ekranie pojawia się znów twarz reportera. - Dalszy komentarz od Judy Paige z CNN, na żywo z portu w Waszyngtonie.

- Dziękuję, Jerry - zaczęła kobieta w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym, stojąca na tle łodzi. - Policja nie chce ujawniać istotnych informacji, zdradzają tylko, że podejrzana, była właścicielka przedsiębiorstwa biotechnologicznego i doradca Białego Domu Lara Blackwood, może być zamieszana w nielegalną sprzedaż informacji, które mogłyby zostać użyte do wytwarzania śmiertelnej broni biologicznej. Oficjalnie nie chcą powie-

dzień nic więcej, ale jak się domyślamy, organy ścigania otrzymają wkrótce zdjęcia satelitarne wykonane przez wojsko i Narodowe Biuro Zwiadowcze i wówczas spróbują ustalić, czy rzeźzony jacht rzeczywiście zatonął. Nasze źródła podają jednak, że policyjne motorówki, helikoptery i samoloty obecnie nie pracują, przebywają w swoich bazach z powodu niekorzystnych warunków atmosferycznych. Łączymy się z Atlantą.

Jak człowiek brnący po kolana w bagnie, Sugawara wstał od stołu. Kampania dezinformacyjna mająca oszkalować Larę jako przestępczynię rozpoczęła się i z pewnością skończy się jej śmiercią, nawet jeśli przeżyła sztorm. Rola, jaką on sam odegrał w jej zniszczeniu, uwieriała go jak kamień.

Spoglądając na zegarek, Sugawara wyszedł z barku. On i jego wuj mieli mieć za kilka minut telekonferencję z Gaillard. Zaczynał rozumieć, co musi zrobić, żeby ocalić swoją duszę.

- Myślę, że ona żyje - powiedziała Sheila Gaillard, siedząca samotnie w pokoju hotelowym z widokiem na park Lafayette i Biały Dom. Przed nią na biurku leżał laptop wyposażony w mikrofon i małą kamerę. Bezpieczny program telekonferencyjny kodował jej słowa i obraz, zanim dane docierały do szerokopasmowego stałego hotelowego łącza i dekodował obrazy i słowa przesyłane z Japonii, od Kuraty w jego rezydencji w Tokio i Sugawary w laboratorium. Obraz podskakiwał nieco w globalnej sieci. Trochę irytujące, pomyślała Gaillard, ale zawsze bezpieczne.

- Straż przybrzeżna i źródła rządowe utrzymują, że została uznana za zmarłą - zaproponował Sugawara. - Dlaczego myślisz, że ona żyje?

- Wiem to. Czuję w kościach - odparła Gaillard. - Jak wiecie, dzięki kontaktom Kuraty-sama zorganizowaliśmy przelot jednego ze specjalnych myśliwców marynarki wojennej nad tym terenem. Skomplikowane magnetometry w tych samolotach nie

mają problemu z wykryciem dużego metalowego kadłuba w płytkich wodach zatoki Chesapeake. A nic nie znaleziono.

- To bardzo duża zatoka - stwierdził Sugawara.

- To bardzo duży jacht - skontrolowała Gaillard. - Poza tym miałam okazję przejrzeć dane z radaru satelitarnego, które wydobyliśmy z Narodowego Biura Zwiadowczego, również dzięki kontaktom Kuraty-sama w Białym Domu. Pewien nadgorliwy młody człowiek przekazał mi swój opis fotografii satelitarnych i chociaż huragan zakłóca obrazowanie, odkrył wiele ciekawych rzeczy, na przykład skupisko niewyjaśnionych odbłasków na północnym Atlantyku. Wprawdzie ich analiza komputerowa wskazuje, że z dużym prawdopodobieństwem mogą to być fałszywe odbicia spowodowane falami lub też jakieś metaliczne odłamki unoszone przez fale, ale ja idę o zakład, że to ona.

- Dlaczego? - zapytał Kurata. Na ekranie widziała, że jest ubrany w tradycyjny jedwabny strój.

- Jeżeli przeciągnąć linię pomiędzy zatoką Chesapeake a tymi odbiciami, a potem poprowadzić ją dalej na północny wschód, jak strzała idzie wprost na Holandię. Związki Blackwood z Holandią są dobrze znane, a ja nie wierzę w przypadki.

Nie, to nie był przypadek. Ufała swoim przeczuciom. Żyła według nich, a inni z ich powodu umierali. Wiedziała, że to niewyjaśnione odbicie wykryte przez radar to Tagcat Too.

- Co w takim razie pani radzi?

- Przygotować się na jej przyjęcie w Holandii. Mamy tam dobre kontakty. Mogą się rozejrzeć za jachtem, za nią samą. Możemy też rozszerzyć kampanię związaną ze śledztwem na Europę, żeby agencje policyjne pomogły nam w poszukiwaniach.

- Myślę, że to dobra strategia - zgodził się Kurata. - Ma pani moje pełne poparcie.

- Dziękuję, Kurata-sama.

- Akira? - powiedział Kurata.
- Tak, wuju?
- Chcę, żebyś pojechał do Amsterdamu i wspierał tę operację, zwłaszcza jeśli chodzi o twoją wiedzę komputerową i sprawy, w których wyróżniałeś się w Cesarskiej Armii Japońskiej.
Sugawara wzdrygnął się. W prywatnych rozmowach wuj nigdy nie nazywał Sił Samoobrony ich właściwą nazwą.
- *Hai*, Kurata-sama.
- Zabierz ze sobą wszystkie informacje o *Shinrai*.
- *Hai*
- Z pewnością zauważyłeś, że najwyższe dowództwo *Shinrai* ma bazę w pobliżu Amsterdamu,
- *Hai*.
- Skorzystaj z tej sposobności i zobacz, ilu z nich możesz wyeliminować.
- Jak sobie życzysz, wuju - powiedział Sugawara ze sztucznym entuzjazmem.
- Doskonale - powiedział Kurata. - Jesteś żywotnym elementem wskrzeszenia Yamato, mój chłopcze.
Kiedy Akira Sugawara wylogował się z telekonferencji, jego umysł już wiedział dokładnie, jak ma pójść drogą wytyczoną przez serce.

Rozdział 28

Stary, wypolerowany mosiężny zegar wydzwonił godzinę i obudził Larę, zanim zdążył to zrobić elektroniczny budzik w zegarku ręcznym. Niechętnie otworzyła oczy i zamrugała, wciąż czując piasek pod powiekami, nie dowierzając, że godzina minęła tak szybko. Jej wzrok padł na stary zegar. Wyglądał tak cudownie archaiczne w kontraście z całą aparaturą elektroniczną tworzącą system nerwowy Tagcat Too.

Wyłowiony przez ojca podczas wyprawy na wrak amerykańskiego frachtowca zatopionego przez faszystowskie U-booty u wybrzeży Sardynii w 1944 roku i z miłością przez niego odrestaurowany, zegar był jednym z jej ulubionych przedmiotów. Patrząc na niego, zawsze z czułością wspominała ojca.

Z zegara jej spojrzenie przeniosło się na papiery i książki, zaścielające stół, włożone za barierki zapobiegające przewróceniu się w czasie kołysania. Jej prywatne śledztwo na temat Kuraty i zbrodniarzy wojennych, których umieścił w zarządzie GenIntronu.

Tagcat Too wciąż był stabilny, pochyliła się więc i przejrzała papiery, czując, jak przyplął gniewu wygania resztki snu. Jej oczy padły na książkę wydaną w roku 1994, którą wypożyczyła z biblioteki: „Prisoners of the Japanese” Gavana Dawsa.

Morze kołysało jachtem, a Lara uniosła tom i zajrzała powtórnie na strony, które wcześniej pozaznaczała żółtymi samoprzylepnymi karteczkami. Na stronie 258 przeczytała: „W Kliandoku dla pożytku japońskich studentów medycyny, przywiązano jeńca wojennego do drzewa, wyrwano mu paznokcie, rozcięto klatkę piersiową i wyjęto serce. Na Guadalcanal dwaj jeńcy zostali złapani na ucieczce. Żeby uniemożliwić im powrotną, Japończycy przestrelili im stopy. Wojskowy lekarz dokonał na nich sekcji żywcem, wycinając im wątroby”.

Czując potworne mdłości, czytała udokumentowane rewelacje o najgorszych, najobrzydliwszych czynach popełnianych przez japońską biurokrację. Chciała zatrzasać książkę, zamknąć w okładkach brutalną, przerażającą prawdę, ale jej palce wciąż kartkowały stronicę, zatrzymując się na miejscach, gdzie żółte kartki znaczyły kolejne, pełne inwencji odrażające zbrodnie. Nie wierzyła, żeby ludzie mogli być tak pomysłowi w sadystycznym zameczaniu innych na śmierć.

Pod wpływem tych tekstów uwierzyła w zło. Kolejna za-

znaczona strona dotyczyła działań Oddziału 731 pod chińskim miastem Harbin. „Kempeitai (tajna policja) uczyniła z jeńców króliki doświadczalne: z mężczyzn, kobiet i dzieci rasy żółtej i białej. Nazywano ich maruta, co znaczy «kłody drewna». Niektórym wszczepiano choroby: cholere, tyfus, wąglik, dżumę, syfilis, nosaciznę. Innych krojono żywcem, żeby zbadać, co się dzieje w kolejnych etapach gorączki krwotocznej”.

- Dobry Boże - krzyknęła Lara, zaciskając powieki i tłumiąc łzy.

Otworzyła się w niej czarna otchłań, kiedy po raz któryś zrozumiała, że kiedy sprzedała GenIntron, sprzedała nie tylko dzieło swego życia i tajniki swoich odkryć wrogowi, ale że był to wróg zdolny do zbrodni, które mogą wymyślić tylko ludzie, których fantazje dyktowane są przez czyste zło. Tym potworom sprzedała nową, jeszcze potężniejszą wiedzę, która pomoże im dać upust koszmaram o wiele straszliwszym niż te praktykowane przez japoński rząd podczas II wojny światowej.

„Dowództwo Zachodniej Armii Japońskiej podarowało profesorom medycyny na Cesarskim Uniwersytecie ośmiu członków załogi B-29”, Lara nadal zmuszała się do czytania. „Professorowie pokroili ich żywcem, w brudnej sali na cynowym prosektoryjnym stole, gdzie studenci wcześniej kroili trupy. Wycięli z nich krew i wypełnili naczynia krwionośne wodą morską. Wycięto im płuca, wątroby, żołądki. Zatrzymali przepływ krwi w arterii pod sercem, żeby sprawdzić, jak długo będą umierać. Wiercili dziury w czaszkach, wbijali noże w żywe mózgi, żeby zobaczyć, co się stanie.

Lara poczuła, że przewraca jej się w żołądku, przełknęła i czytała dalej, znajdując kolejną zaznaczoną stronę.

„W Kendebo funkcjonariusze Kempeitai odrąbali pilotowi myśliwca głowę, potem jego ciało poćwiartowano, usmażono, podzielono między 150 Japończyków i zjedzono po przemowie

wyłoszonej przez generała. Ob Chichi Jima, japoński generał, wydał na wyspie Bonin rozkaz, żeby schwytani lotnicy byli zabijani i zjadani; on i inni wyżsi oficerowie jedli mięso ludzkie na prywatnych przyjęciach. Pewien admirał zgłosił prośbę o wątrobę następnego lotnika".

Lara pobiegła na dziób i wymiotowała do toalety.

Rozdział 29

Okolo drugiej nad ranem, pod osłoną nocy, Akira Sugawara szedł przez hale produkcyjne Niszczyciela, schodami w górę, wzdłuż metalowej kładki, potem znowu w dół.

W ciszy nocy, bez zwykłych odgłosów dnia, bulgotanie, siorbanie i wrzenie w aparaturze brzmiało głośno i złowieszczo. Klikały przekaźniki, otwierały się zawory, płynna śmierć sączyła się rurami. Potworny organizm oddychał, trawił, metabolizował, wydalal, po prostu żył, myślał Sugawara, kiedy przechodził przez jego wnętrzości w stronę zaplecza budynku produkcyjnego.

Większość górnych lamp była wyłączona, pozostawiono tylko gdziegdzie światła fluorescencyjne dla bezpieczeństwa. W skąpym oświetleniu ekrany komputerów kontrolujących zachodzące procesy wpatrywały się w niego jak cyklopowe oczy; wypełniały korytarze upiornym światłem i malowały Sugawarę na różne kolory: czerwony, niebieski, zielony, bladoszary, znów czerwony. Zszedł po ostatniej kondygnacji schodów na gładką, betonową podłogę.

Starał się iść pewnym krokiem, z uczciwą miną, żeby pokazać kamerom monitorującym wizerunek człowieka, który ma jakąś misję.

Czuł się jednak jak złodziej, kiedy słyszał echo swoich kroków na betonie. Po prostu wiedział, że musi wyglądać jak zło-

dziej. Gdzieś tam w pokoju ochrony musiał siedzieć agent, który obserwował go na ekranie i mówił do siebie „Złodziej idzie.” I sięgał do przycisku alarmowego. Przy każdym kroku Sugawara spodziewał się usłyszeć syrenę, bał się, że za chwilę zbiegną się strażnicy.

Ale był namaszczony przez Kuratę. Tylko sam Kurata mógł rzucić mu wyzwanie. A Kurata spał. Sugawara modlił się, żeby spał spokojnie.

Dochodząc do służby powietrznej na końcu obiektów produkcyjnych, Sugawara wprowadził swój kod identyfikacyjny. Nastąpiła chwila oczekiwania, serce Akiry stanęło. Wiedział, że system potrzebuje chwili, żeby komputer rozpoznał kod i zwolnił zasuwę, ale sercem czuł, że zaraz tu będą, że zasuwę się nie otworzy, że kiedy się odwróci, zobaczy za sobą Kuratę, który go oskarży.

Miał przygotowaną bajeczkę. Spakował się i - tak jak wcześniej ustalili - wybierał się do Narita, żeby złapać samolot do Amsterdamu, kiedy nagle naszło go złe przeczucie, nagła intuicja, że coś jest nie tak. Nie mógł się pozbyć tego uczucia i postanowił sam sprawdzić. Prawdopodobnie nic się nie stało, to tylko nerwy po śmierci Yamamoto, brak snu i niezadowolający bieg wypadków w Holandii.

Na dnie serca nie wierzył, że Kurata kupi tę bajeczkę. Modlił się, żeby nie doszło do konfrontacji.

Zasuwę odemknęła się.

Sugawara westchnął, wszedł do służby i włączył światło. Zamrugał, spojrzął w obiektyw kamery i szybko przywdział jednorazowe białe obuwie, czapkę i kitel laboratoryjny. Zrobiwszy to, wszedł w drzwi i skierował się na prawo. Przeszedł przez służby wiodące sekcji o zwiększonym stopniu biobezpieczeństwa i skierował się do pomieszczenia, które odwiedził wcześniej tylko raz.

Nie ma syren, nikt nie włączył alarmu.

Serce tłukło jak młot. Jeszcze nie, jeszcze nie.

Na końcu korytarza spojrział w kolejną kamerę systemu monitorującego, wprowadził kod na kolejnej klawiaturze i czekał kolejną wieczność, aż szczęknę zasowa. Szczęknęła.

Sugawara sprawdził czas: 2:17. Lot do Amsterdamu miał dopiero o piątej.

Nie miał żadnych przyjaciół, żadnych sojuszników, nikogo godnego zaufania w Japonii. Policja nie powstrzyma Kuraty, nie będą na niego rzucać podejrzeń, nawet jeśli dostaną niezbite dowody. Rząd był zbyt głęboko umoczony w sprawę Niszczyciela, a zwłaszcza nowy premier, więc rząd też nie będzie prowadził dochodzenia, nie podejmie żadnych kroków. Poza tym Kurata ma szerokie plecy, może się wszystkiego wyprzeć i zniszczyć dowody, w czym zresztą Sugawara także maczał palce.

Potrzebował pomocy, ale w Japonii nie mógł jej znaleźć. I nie znajdzie jej, dopóki sam nie pomoże Larze Blackwood.

Ale żeby to zrobić, potrzebował niezaprzeczalnych dowodów.

Miał te dowody na małej kasecie z danymi w kieszeni spodni. Niepozorny przedmiot zdawał się ważyć tonę, Sugawara czuł, że jarzy się białym światłem i krzyczy „Złodziej! Złodziej!” na każdym jego kroku.

Wiedział, że główny komputer zarejestrował jego wejście, zanotował pliki, które skopiował. Miał nadzieję, że wirus, którym zainfekował komputer, zamaskuje jego akces, sprawi, że będzie to wyglądało jak rutynowy back-up danych. Ale niekoniecznie. Mogło to ich zaalarmować.

Ale dane to tylko dane. Niszczyciel był realny: można go zobaczyć, dotknąć, patrzeć, jak zabija. To było ostateczne świadectwo i Sugawara nie miał wątpliwości, że Lara Blackwood umiałaby rozwikłać jego sekrety, lepiej niż ktokolwiek inny.

Jeżeli pożyje dostatecznie długo, by jej go przekazać.

Rozglądając się po małym pomieszczeniu, Sugawara zobaczył czarne stoły laboratoryjne, okap zbierający parę, szafki, maszynię. W jednym kącie parował ogromny Dewar, zbiornik kriogeniczny z ciekłym azotem. Pospieszył do rzędu cylindrów wielkości baryłki na ropę, które stały pod ścianą na drugim końcu pomieszczenia. Sięgały mu prawie do piersi, pomalowane szarobeżową emalią, otoczone chromowymi paskami. Wszystkie zamknięte były grubymi pokrywami. Wyglądały jak ogromne termosy, którymi faktycznie były.

Pojawia się pytania, a odpowiedzi nadejdą z kamer monitorujących, danych w komputerze i brakującego inventarza. Będą go obserwować, śledzić, ścigać. Tyle wiedział na pewno.

Główne pytanie brzmiało: jak długo potrwa, zanim zrozumieją, że zdradził. Czy odkryją zdradę, zanim zdąży skontaktować się z Blackwood? Czy przybędzie do Amsterdamu tylko po to, żeby dostarczyć dowodów zbirom Ku-raty i zginąć niesamowitą, bolesną śmiercią, jaką tylko Sheila Gaillard może wykonać?

Śmierć Yamamoto mogła pomieszać im szyki, może zapomną o rutynie. Ale może są przez to bardziej czujni? Może przylapią go wcześniej?

Za nim coś stuknęło.

Boże!

Sugawara odwrócił się.

Nie było nikogo; to tylko drzwi zamknęły się automatycznie. Wziął głęboki oddech i zamknął na chwilę oczy. Wypuścił powietrze i podszedł do schowka zawieszzonego na ścianie.

Sprawił spis w schowku i kiwnął głową.

Potem pochylił się i zaczął jedna po drugiej otwierać szafki, aż znalazł tę, w której przechowywano pojemniki wyglądające jak zwyczajne termosy.

Skonstruowane na tej samej zasadzie, co normalne termosy, miały jednak znacznie grubsze szklane ścianki i większe komory próżniowe między ściankami, żeby utrzymać temperaturę - w tym wypadku zimno - przez dłuższy czas. Dodatkowo przestrzeń między szklaną, próżniową flaszą a plastikowymi ściankami zewnętrznymi wypełniona była żelazem izolującym.

Sugawara przeniósł termos do ogromnego Dewara. Postawił termos na stoliku obok i umieścił korek w płytkim metalowym naczyniu. Potem otworzył Dewara; obłoki ciekłego azotu zaczęły kondensować się w powietrzu. Ze ściany zdjął parę okularów ochronnych i założył je na oczy, na dłonie wciągnął izolowane rękawice.

Azot, bezbarwny, bezwonny, nietoksyczny gaz stanowi ponad 78 proc. powietrza, którym oddychamy, ale w swej ciekłej postaci może spowodować natychmiastowe odmrożenia. Lekarze powszechnie używają go do usuwania narośli skórnych.

Po przeczytaniu dokumentów, które Oddział 731 skutecznie ukrywał przed Amerykanami, Sugawara dowiedział się, że spora liczba naukowców prowadziła eksperymenty na jeńcach, żeby sprawdzić jakie działanie ma azot. Zanurzano kończyny jeńców w ciekłym azocie i stwierdzano, że zamrożone ciało jest twarde jak stal i kruche jak szkło. Dla czystej zabawy, niektórzy badacze rozbijali zamrożone kończyny, by patrzeć, jak ciało pęka na kawałki. Kiedy odtajało, wyglądało jak posiekane. Ofiary zwykle wykrwawiały się na śmierć. Protokoły laboratoryjne zakazywały ich leczenia, żeby doprowadzić eksperyment do końca.

Jeszcze bardziej makabryczne eksperymenty polegały na wlewaniu ciekłego azotu w ludzkie gardła i pryskaniu nim w oczy. Pierwszy powodował śmierć w straszliwych męczarniach, drugi ślepotę. Czuł wstyd za każdym razem, kiedy pomyślał o tych tajnych eksperymentach.

Sugawara wziął do ręki narzędzie, które wyglądało jak me-

talowa puszką z dziobkiem na długiej rączce. Trzymając je przez izolowane rękawiczki, Sugawara zanurzył puszkę w zbiorniku i usłyszał skwierczenie ciekłego azotu, kiedy czerpak, o temperaturze pokojowej, spowodował chwilowe wrzenie zimnej cieczy. Potem czerpak schłodził się do temperatury panującej w zbiorniku i został napełniony.

Sugawara wydobył parujący czerpak ze zbiornika i ostrożnie przelał jego zawartość do termosu, który wyjął z szafki. Początkowo azot jakby zbulgotał i zawrzał, parując gwałtownie, potem, kiedy wewnątrz termosu oziębiło się, a gwałtowna reakcja uspokoiła się, i napełnił go po brzegi. Podobnie postąpił ze specjalnym korkiem.

Kiedy termos i korek schłodziły się do temperatury ciekłego azotu, Sugawara jeszcze raz zajął do schowka, podszedł do cylindrycznych zbiorników na końcu pomieszczenia i otworzył ciężką pokrywę jednego z nich. Znów uniosły się kłęby skondensowanej pary.

Łapiąc za uchwyt, Sugawara pociągnął do góry. Z cieczy wynurzył się metalowy stelaż pełen hermetycznie zamkniętych ampulek. Przez chwilę stał bez ruchu, sparaliżowany tym widokiem - rzędy fiolek pewnej śmierci, gotowej do działania, do zabijania.

Ponieważ każda partia Niszczyciela była tak zaprojektowana, by ulegać samozniszczeniu po mniej więcej trzech dniach, każda nowa porcja była natychmiast zamrażana, żeby zatrzymać zegar biologiczny, aż Kurata będzie gotowy.

Sugawara sięgnął wolną dłonią, ujął pierwszą ampulkę, potem następną, uważając, by się nie wyślizgnęły. Spojrzał na dwie smukłe fiołki: każda miała swój niepowtarzalny kod kreskowy i numer seryjny.

Zanurzył stelaż z powrotem, zamknął przykrywą i podszedł do termosu. Wrzenie ustało, co świadczyło, że temperatura od-

powiednio się już obniżyła.

Pracując teraz szybko, Sugawara wylał z powrotem ciekły azot do Dewara, umieścił obie ampułki w schłodzonym termosie, używając szczypców wyłowił korek z metalowego naczynia i zamknął termos szczelnie.

Zamknął Dewar, podszedł do szafki z termosami, wydobył specjalną, wypełnioną żelazem zakrętkę zewnętrzną i dokręcił ją.

Dopiero wtedy zdjął okulary i rękawiczki.

Na koniec podszedł do wielkiej zamrażarki i otworzył drzwiczki. Wewnątrz znajdowały się nylonowe torebki, dopasowane wielkością do termosów. Każda z nich była wypełniona żelazem izolującym.

Odpiął rzep torebki. W ciszy zabrzmiało to jak karabin maszynowy. Niespodziewany dźwięk spłoszył Sugawarę i wywołał dreszcz, który zaczął się od nasady pleców, powędrował w górę między łopatkami i w końcu zjeżył mu włosy na głowie.

Z lekko drżącymi rękami, spodziewając się w każdej chwili syreny alarmowej, Sugawara wsunął termos do woreczka i zapiął rzep.

Potem odwrócił się i skierował do wyjścia, w przyszłość tak niepewną, że nie wiedział, czy w ogóle wyjdzie żywy na ulicę.

Rozdział 30

Lara wyjęła karton soku pomarańczowego z szafki w kam-buzie, wepchnęła plastikową słomkę i pociągnęła długi łyk. Szybko opróżniła kartonik, chwyciła jeszcze jeden i zabrała go ze sobą do jadalni.

Stojąc dla równowagi z szeroko rozstawionymi stopami, popijała sok i przyglądała się materiałom rozłożonym na stole. Była zaszokowana liczbą zbrodniarzy wojennych - potworów w ludzkim ciele - którzy wspięli się na wysokie stanowiska w spo-

leczeństwie japońskim, byli honorowani, sławni, otaczani szacunkiem, często właśnie dzięki potwornościom, które popełniali, a nie mimo nich.

Usiadła i położyła przed sobą listę, którą sporządziła na podstawie swoich danych.

Jedno nazwisko wyjątkowo ją szokowało. Poznała tego człowieka, był laureatem Nagrody Nobla. Szanowała jego i jego dokonania, przyjmowała za rzecz oczywistą, że zasługiwał na zaszczyty. Ale teraz stało się jasne, że wspiał się na szczyty kariery po trupach i cierpieniach niewinnych ludzi. Jego patenty zostały zapisane krwią. Ilu jeszcze było takich?

Zadrżała na samą myśl.

Rozbita Lara usłyszała szum zakłóceń z telewizora, zawieszzonego pod sufitem na mocnym stalowym wsporniku. Słaby obraz z logo CNN pojawiał się i znikał, nie dało się nic zobaczyć. Pogłodziła dźwięk, żeby usłyszeć przynajmniej fragment wiadomości, jak tylko odbiór się poprawi. Ostatnie wiadomości, które widziała, podawały, że została uznana za zabójczynię i uciekinierkę.

Wyjątkowo słaby odbiór telewizyjny i rwące się połączenie ze zwykle rzetelnym systemem satelitarnym, były z pewnością spowodowane burzami słonecznymi, o których ostatnio głośno było w mediach. Ludzie pyszną się postępem technologicznym, ale mimo tego są wciąż w ogromnej mierze na łasce przyrody, stwierdziła Lara.

Sączyła sok pomarańczowy, nie mogąc otrząsnąć z wrażenia, jakie wywarły na niej dzieje zapomnianego japońskiego holokaustu, w którym straszliwą śmiercią zginęło sześć milionów niewinnych osób cywilnych. Holokaustu, który rząd amerykański celowo zatuszował w imię rozwoju coraz lepszej i sprawniejszej broni na potrzeby zimnej wojny. Strategia ta teraz zwracała się przeciw niemu z całą siłą.

Przez trzaski Lara usłyszała fragmenty zdań dochodzących z telewizora, odłożyła trzymaną w rękę książkę i wzięła „Drugą Norymbergę” Arnolda C. Brackmana. Czytała bardzo dużo. Dlaczego nigdy wcześniej nie słyszała o tym opracowaniu? Czy to możliwe, żeby amerykańskie media tak obawiały się urazić Japończyków, że po prostu o takich publikacjach nie pisały? Westchnęła, otworzyła książkę i na głos przeczytała podkreślony tekst.

Ostatni żyjący sędzia Tokijskiego Trybunału ds. japońskich zbrodni wojennych, B.V.A. Roling z Holandii, wyrażał pogląd, że Stanom Zjednoczonym „hańbę przynosi fakt, że zatajały przed trybunałem informacje dotyczące eksperymentów biologicznych prowadzonych przez Japończyków w Mandżurii na chińskich i amerykańskich jeńcach wojennych (...) Teraz z uczuciem goryczy dowiaduję się, że sterowane centralnie najbardziej odrażające japońskie zbrodnie wojenne, były utrzymywane w tajemnicy przed trybunałem przez rząd Stanów Zjednoczonych”.

- To wszystko prawda - powiedziała do siebie, odkładając książkę na stół i poszła do kambuza. Wyrzuciła pusty kartonik do śmieci i włączyła jeden z silników, żeby jego alternator mógł naładować baterie i dostarczyć napięcia dla ekspresu do kawy.

Rozdział 31

Mężczyźni o poważnych twarzach krążyli po ulicach w dzielnicach czerwonych latarni w Amsterdamie, uważnie przyglądając się dziewczynom na sprzedaż, starannie unikając wzroku innych przechodniów, w nadziei, że nikogo nie rozpoznają ani sami nie zostaną rozpoznani. Zakupy przez szybę, oglądanie wystaw.

Mężczyźni chodzili, spacerowali, zatrzymywali się, wpatrywali w okienka, i dalej snuli się po wykładanych czerwona kostką chodnikach, które jeszcze błyszczały po nocnej ulewie. Wszyscy na próżno usiłowali sprawiać wrażenie, że po prostu wyszli zaczerpnąć świeżego powietrza i zupełnie przypadkiem zaplątali się w dzielnicę rozpusty.

Ponad ich głowami chmury zaczęły się rozrzedzać i co jakiś czas wpuszczać światło słońca. W serwisie meteorologicznym tego ranka można było usłyszeć, że silny sztorm z Ameryki utrzymuje się wciąż nad Morzem Północnym, wywołując ulewne deszcze i burze z piorunami i gradobiciem. Rolnikom grożą ciężkie straty.

Mężczyźni zgłodniali seksu myśleli tylko o jednym, szli sztywno, nadęci żądzą, jakby potężne guzy wyrosły im między nogami. I pomimo maski nonszalancji, która nikogo zwieść nie mogła - zwłaszcza dziwek, które napatrzyły się w życiu - był to poważny biznes.

Od czasu do czasu pojawiały się grupki młodych dorastających chłopaków, po dwóch lub trzech, którzy wstydliwie strzelali oczami, prychnali i mamrotali między sobą. Ich bezpośrednie spojrzenia i jawny zachwyty drażniły starszych facetów, którzy udawali, że znaleźli się tam przypadkiem.

Na Oude Zijds Achterburgwal rozgrywa się typowa scenka.

- Sio, chłopaki, odstraszcacie mi klientów - dobroduszenie mówi przez okno jedna z pracujących dziewczyn.

- Mamy pieniądze - odpowiada jeden z chłopaków, wydymając wargi.

- To je wydajcie albo zmiatać mi stąd.

Czują się przy niej jak małe dzieci, niepewni siebie, trochę przestraszeni. Spoglądają na siebie i decyzja podjęta wcześniej - prawdopodobnie nad hamburgerem z frytkami w pobliskim McDonaldsie - odbija się na ich twarzach.

Jeden z nich zwraca się do niej; teraz, kiedy mogą się jej lepiej przyjrzeć, widzą, że ma zarost pod nosem i że trzydzieści funtów nadwagi, co sprawia, że jej cycki mogą się jeszcze do brzo sprzedać, choć reszta figury na tym nie zyskuje. Wiedzą, że jest mniej więcej w wieku ich matek.

Mimo to chłopak podchodzi, otwiera usta. - Zastanawialiśmy się, czy...

- Żadnych grupowych zniżek - mówi kobieta, wiedząc, co zaraz usłyszysz. - Chcecie we trzech? Nie ma sprawy, każdy płaci za siebie.

Odchodzą.

Scenkę tę obserwowano przez najwyższej klasy lornetkę, ustawioną na specjalnym statywie w pokoju na trzecim piętrze taniego turystycznego hotelu po drugiej stronie ulicy.

Kiedy chłopcy niechętnie się oddalili. Sheila Gaillard zaciągnęła się dziesiątym już tego ranka papierosem i przez lornetkę przyjrzała się wysokiemu, chudemu facetowi w deszczowym płaszczu khaki, który oddalił się od zaparkowanych samochodów, podszedł zdecydowanym krokiem do okna prostytutki, dobił szybko targu i wszedł do środka. Zasłonki na oknie zasunęły się.

Jak się ma zamknięte oczy, wszyscy wyglądają tak samo", mruknęła do siebie Sheila, wypuszczając dym przez nozdrza. Kto jej to powiedział?

Odsunęła się od lornetki, przeciągnęła się i znów włożyła papierosa w usta.

Po chwili przesunęła lekko lornetkę, ogniskując obraz na szeregu budynków, które przerobiono na gejowski hotel i dom uciech. Właścicielem był niegdysiejszy dyrektor generalny holenderskiej filii GenIntronu, który zrezygnował ze stanowiska, żeby poprowadzić ten przybytek rozkoszy. Z informacji, które zdołała zgromadzić wynikało, że był on najbliższym znajomym,

jakiego Lara Blackwood miała w Holandii. Dokumenty podatkowe firmy wskazywały, że Blackwood zapewniła kapitał początkowy dla tego przedsięwzięcia w zamian za skromne udziały.

Gaillard skupiła obiektywy lornetki na sąsiadującym sex-shopie, gdzie panował spory ruch. Widziała, jak wyszła stamtąd dobrze ubrana kobieta, niosąc gruby, długi na trzy stopy, anatomicznie poprawny wibrator. Trzymała go pod pachą jak bagietkę. Kiedy stanęła na chodniku, podjechał mercedes, a szofer wyskoczył i otworzył przed nią drzwi.

Jaka przystojniara, pomyślała Sheila, patrząc za odjeżdżającym mercedesem. Pozwoliła sobie na krótką fantazję erotyczną, ze sobą, tą kobietą i wibratorem w roli głównej.

Ale fantazja rozviała się szybko, kiedy Sheila rozpoznała energiczne, długie kroki mężczyzny, który zmierzał w stronę hotelu. Horst von Neuman, jeden z tysięcy wschodniemieckich agentów Stasi, wypuszczony na szeroki świat dzięki zburzeniu muru berlińskiego. Podczas gdy reszta świata uważała ich za brutalnych okrutników, pozbawionych skrupułów i ludzkiej przyzwoitości, według niej byli sumienni, rzetelni, zdolni i pomysłowi. A co najlepsze, nie doznawali wyrzutów sumienia i mogli zrobić wszystko za odpowiednie pieniądze. Przed upadkiem komunizmu zdobyli doświadczenie w zadawaniu bólu, torturowaniu, upokarzaniu i uśmiercaniu swoich rodaków, a często nawet członków własnych rodzin.

Horst i wielu jego kolegów uciekli ze Wschodnich Niemiec lub ukryli się przed upadkiem muru, zabierając ze sobą dyski komputerowe, archiwalne dokumenty, fotografie. Utworzyli luźną sieć, coś w rodzaju współczesnej ODESSY, żyjąc z szantażu, szpiegowania, brutalnych przesłuchań i płatnych morderstw oraz z utrzymywania kontaktów z tymi członkami niemieckiego rządu, którzy wierzyli, że upadek muru nie był dobrą rzeczą.

Horst był jednym z lepszych egzemplarzy, myślała Sheila, patrząc jak przechodzi przez ulicę, zbliża się do hotelu i znika w bramie trzy piętra niżej.

Von Neuman był wysokim, ponaddwumetrowym, chudym mężczyzną o włosach niemal białych, bladej, wrażliwej na słońce skórze, ostrym haczykowatym nosie i wysokich kościach policzkowych, które niemal przecinały skórę pod jego oczami. Był inteligentny, ale nie na tyle, żeby nie wykonywać jej rozkazów do najmniejszego szczegółu. Miał też między nogami imponujący kawał miecha.

Sheila zapaliła nowego papierosa od niedopałka i wstała z krzesła. Stała pod drzwiami, kiedy Horst zapukał.

- Podszluchy założone - oznajmił Horst bez wstępów; poły zbyt obszernego, oliwkowego płaszcza deszczowego powiewały za nim jak żagle. - Nadajniki są bezpośrednio połączone z urządzeniem nagrywającym. - Ruchem głowy pokazał miniaturową aparaturę elektroniczną ustawioną na wyszczerbionym, opalonym papierosami pulpicie obok łóżka Sheili. Była to najnowocześniejsza japońska aparatura, produkowana przez jedną z firm Kuraty - dziesięciokrotnie mniejsze i o wiele bardziej czule niż najlepszy sprzęt używany przez FBI. Kurata powiedział jej, że jak tylko jego firma skończy pracę nad następną generacją, o jeszcze mniejszych rozmiarach i większej czułości, sprzeda starą generację rządowi Stanów Zjednoczonych.

„Będą piąć z zachwytem nad tą technologią, jak dzieci na Gwiazdkę”, powiedział wtedy Kurata, „Będą nas komplementować, nie zdając sobie sprawy, że sprzedajemy im przestarzały sprzęt za ciężkie pieniądze”.

Sheila zamknęła drzwi i patrzyła za Horstem, który podszedł do okna i spojrzął na hotel naprzeciwko. Wydawał się zadowolony z tego, co tam zobaczył, bo pokiwał głową i odwrócił się. Sheila przeszła przez pokój, usiadła w nogach łóżka i popa-

trzyła na elektroniczne pudełka, które ludzie Kuraty upakowali w obudowy nie większe niż przenośny odtwarzacz CD. Niektóre były jeszcze mniejsze.

Horst rozpiął wielki płaszcz, który wisiał jak namiot na jego chudym ciele. Strzasnął płaszcz z siebie, odsłaniając pod spodem jeszcze jeden płaszcz, uszyty z grubego płótna, z niezliczoną ilością kieszeni, pętelek i schowków. Był cały wypchany narzędziami, kablami, płytami z obwodami elektrycznymi, przyrządami pomiarowymi i innymi akcesoriami. Rozpiął zamek płaszcza i wyjął zwitek papierów z wewnętrznej kieszeni.

Sheila rozłożyła papiery, podczas gdy von Neuman zdejmował swój drugi płaszcz i odwieszał go na ścianę. Wyciągnął paczkę marlboro z kieszeni spodni i wetknął papierosa w usta. Podeszedł do niej, odpalił papierosa. Zapach jego potu podniecił ją.

Zaciągnął się papierosem i podeszedł do pulpitu z elektroniką. - Zaprogramuję też komórkowy skaner, żeby znaleźć elektroniczny numer seryjny jego komórki. Nie będzie z tym problemu.

- Cudnie - powiedziała Sheila wypuszczając dym. Zadzwonił jej telefon komórkowy. Leżał z dala od niej, pod oknem. Spojrzała tylko. Telefon zadzwonił drugi raz. Horst podniósł telefon i podał jej. Sheila przycisnęła zielony guzik na klawiaturze.

- Halo - powiedziała.

- Proszę aktywować kod 7666. Przycisnęła guzik funkcji i cztery cyfry szyfru.

- Sugawara przy telefonie. Pani Gaillard?

- Tak? - Niech to szlag! Nienawidziła buńczucznej pociotka Kuraty, miała żal o władzę, jaką starzec przekazał temu upierdliwcowi.

Na łączach ciągle coś trzaskało. Dlaczego połączenie jest

takie fatalne?

- Otrzymałem telefon od naszego źródła w Narodowym Biurze Zwiadowczym. Pokrywa chmur zaczyna się przerzedzać i twierdzą, że namierzili jacht pasujący do opisu Tagcat Too.

- Wiedziałam! - Kiedy miała rację, sprawiało jej to większą przyjemność niż seks. Przez moment od euforii zakręciło jej się w głowie.

- A jak się mają... sprawy w Amsterdamie?

- Sprawy sprawują się dobrze - powiedziała Sheila wymijająco. - Myślę, że te stare pierdziele z *Shinrai* też tu węszą. Tym razem trzeba ich będzie całkowicie wyeliminować.

- Przysporzyli Kuracie-sama niemało kłopotów, to prawda - powiedział Sugawara. - Ale czy ich śmierć pomoże w czymkolwiek?

- Tak, będzie o jedno zmartwienie mniej - warknęła Sheila.

- Później przekażę Kuracie pełne sprawozdanie.

Rozłączyła się nagle.

- Ona tu płynie - powiedziała Sheila, kładąc telefon na stole i podchodząc do chudego Niemca. - Teraz pozostaje tylko poczekać i dopadniemy ich.

Przycisnęła biust do jego piersi, rozpięła mu spodnie i popchnęła na łóżko.

Rozdział 32

Tagcat Too sunął wśród szarej piany po wzburzonym morzu. Wielkie skłębione tumany mgły przesuwały się w zapadającym zmroku. Pod pełnymi żaglami, w słabnącym wietrze, stalowy kecz Lary płynął w górę i w dół przez sztormowe fale, przychodzące teraz z południa.

Przez cały dzień po niebie pędziły szybkie, metaliczne chmury, siejąc przelotne deszcze. Słabnące centrum huraganu

niespodziewanie zahaczyło o prąd strumieniowy z południa i przesunęło się teraz ku wyżowi znad Azorów. Te warunki znacznie ułatwiały żeglowanie.

Lara stała z jedną ręką na sterze, z nogami rozstawionymi na wciąż kołyszącym pokładzie, przechylonym mocno ku nawietrznej. W pozapinanym sztormiaku i czapce wciśniętej na głowę wystawiła twarz na chłodną drobniutką mżawkę.

Odkąd minęła cieśninę Dover, kierując się na północ wzdłuż wybrzeży Holandii, napotykała na swojej drodze coraz więcej statków, długie lśniące tankowce, kontenerowce, promy, olbrzymie statki transportowe przewożące auta, a pomiędzy nimi rozmaite mniejsze jednostki pływające.

Mgła sprawiała, że nie było łatwo wśród nich lawirować, teraz, kiedy pojawiły się jeszcze przybrzeżne szyby naftowe, błyskające światłami niczym kasyna w Las Vegas.

Pochyliła się, żeby wyraźniej widzieć obraz na ekranie stacji nawigacyjnej. Zmarszczyła się, kiedy wskazania GPS na wyświetlaczu zadrgały gwałtownie pod wpływem rozbłysków słonecznych. Przyjrzała się radarowi i postanowiła wziąć kurs na wiatr. Nagle niskie buczenie potężnych silników, które jeszcze minutę temu lekko brzmiało gdzieś w tle, przeszło w ryk. We mgle wydawało się, że dźwięk osaczają ze wszystkich stron.

W jednej chwili potężny czarny dziób statku wychynął z ciemności.

- Jezu! - krzyknęła Lara, patrząc w przerażeniu, jak z mgły wyłania się potężny tankowiec do przewozu gazów skroplonych i pruje wprost na poprzedni kurs jej małego kecza.

- Boże! - Kadłub statku był prawie tak blisko, że widać było spawy na blachach burty. Z łomoczącym sercem Lara odwróciła głowę i zobaczyła olbrzymie kopuły zbiorników górujące nad kadłubem.

Tankowiec na powrót zanurzył się we mgle.

- Niech to cholera! - Tankowiec był znacznie bliżej niż to wskazywał radar. Czyżby rozbłyski słoneczne wywoływały zakłócenia radaru lub elektroniki? Pochyliła się i powiększyła obraz do pełnego ekranu, Przestudiowała kolorową komputerową mapę pełną ruchomych, migających obiektów, których było dość, by zadowolić najbardziej wymagających maniaków gier komputerowych.

Mapa roiała się wręcz od migających czerwono ikon, które ostrzegały przez możliwymi kolizjami. Jeszcze więcej było ikon żółtych. Niebieski obszar morza na ekranie otoczony był z dwóch stron lądem, Anglia na zachodzie, Holandia na wschodzie. Lara rozpoznała nieregularne zarysy południowej części wybrzeża Holandii - Westerschelde prowadzące do belgijskiego portu Antwerpii, poldery i płytkie wody Oosterschelde i Grevlingenmeer. Obraz pokazywał, że Tagcat Too płynie pod kątem sześćdziesięciu pięciu stopni na północny wschód i znajduje się około trzynastu mil na północy zachód od Hoek van Holland, wejścia do najruchliwszego portu świata, Rotterdamu. Zielona ikona statku - zbyt jeszcze odległa, by stanowić zagrożenie kolizją - wychyłała z kanału wiodącego od strony Rotterdamu.

Nie, pomyślała. Obraz wydawał się w normie. To musiało być zmęczenie, nie awaria elektroniki. Czas na ostatnią porcję amfetaminy.

Obserwowała ekran z namysłem, przyjrzała się mapie, potem spojrziała w bok, żeby oczy odpoczęły. Spojrzała znów na ekran, dotknęła go palcem. - Tu mniej więcej powinna być latarnia Scheveningen - powiedziała do siebie.

Potem wyciągnęła rękę w stronę światła migającego przez mgłę. - Tak - powiedziała cicho. Wszystko się zgadzało, latarnia była tam, gdzie przewidziała.

- Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa - odliczała sekundy. Przy „sto trzydzieści jeden” światło znów błysnęło.

- Mam - powiedziała do siebie. - Dwa światła zapalające się co dziesięć sekund. - Jeszcze raz rzuciła okiem na mapę. - To Scheveningen.

Niedaleko, pomyślała. Jeszcze kilka godzin.

Nagle komputer znów zabuczał, pojawiło się okno ostrzegawcze, ukazując dwie zbiegające się linie z ikoną kolizji na przecięciu.

Usłyszała huk silników kolejnego statku i zrobiła zwrot. Ze stacji nawigacyjnej rozległ się dźwięk alarmu. Lara zobaczyła migającą czerwoną ikonę pojawiającą się w miejscu Tagcat Too.

Skąd to się wzięło?

Zdażyła zrobić jeden krok w stronę zejściówki, kiedy świat stanął do góry nogami, a zewsząd rozległo się zgrzytanie metalu o metal, jęk torturowanej stali kadłuba.

Przez chwilę zdawało jej się, że zawisła w stanie nieważkości, do góry nogami, potem kabina powoli przetoczyła się nad nią. I zrobiło się ciemno.

Rozdział 33

Tagcat Too grzechotał i dzwonił jak beczka wypełniona złomem i tłuczonym szkłem. Wszędzie było czarno, a ciemność co chwila wybuchała potwornym zgrzytem metalu. Fale dźwięku, niemal dotykalne, rezonowały w całym kadłubie, rozrywały Larę od środka.

Seria potężnych szarpnięć wstrząsnęła jachtem.

Na chwilę włączyły się przyćmione światła awaryjnego systemu oświetlenia, zasilanego baterią. Zanim i te światła zgasły, Lara przez kilka sekund widziała nieznajomą scenę: poduszki, książki i inne przedmioty porozrzucone bezładnie, nic nie zostało na swoim miejscu. Wtedy zdała sobie sprawę, że leży twarzą

do materiału izolacyjnego, pokrywającego powierzchnie sufitów.

Jachtem rzucało na wszystkie strony, zgrzyt metalu przenikał głowę Lary ostrym bólem. Przypomniała sobie gazetową wzmiankę o robotniku budowlanym, który spadł z rusztowania i fragment stalowego pręta wbił mu się w głowę.

Na myśl o tym, co się działo, poczuła, jakby zimna, żelazna pięść zacisnęła się na jej sercu. Smukły, lśniący kadłub jej jachtu był właśnie zgniatany na miazgę przez stalową burłę jakiegoś oceanicznego gołiata. Ile czasu zostało? Ile jeszcze tortur, zanim jej jacht rozpadnie się i pójdzie na dno bezlitosnych zimnych wód Morza Północnego?

Rozdzierający dźwięk, coś jakby wybuch rozbrzmiało w kabynie i cisnęło ją twarzą w dół. I równie nagle jak się zaczęło, zgrzytanie ustało. Głębokie dudnienie silników statku i chlupot śrub wypełniły niespokojną ciszę, nabrzmiała nadzieją, goryczą i strachem.

Lara z drzeniem wciągnęła powietrze, kiedy jacht znów zaczął się trząść. Tagcat Too z jękiem znów zamienił sufit z podłogą. Lara, razem z poduszkami, workami i resztą dobytku - ześlizgnęła się najpierw na ścianę, potem na podłogę. Łódź odzyskała równowagę. Kadłub kołysał się i wirował, jak zwariowana karuzela w wesołym miasteczku.

Charakterystyczny dźwięk ciekącej wody dotarł do uszu Lary. Zamarła, słyszała ten odgłos tylko jeden raz w życiu. Na kilka sekund przed tym, jak Tagcat poszedł na dno w pobliżu Przylądka Dobrej Nadziei.

Popędziła do szafki przy zejściówce i wydobyła stamtąd spakowany na czarną godzinę worek żeglarski. Kiedy wracała do zdrowia w Cape Town, miała mnóstwo czasu, by porozmyślać o swoim wypadku i o tym, co należało zrobić inaczej. Jedną z tych rzeczy było przygotowanie ekwipunku niezbędnego do

przetrwania, wraz z codziennymi przedmiotami, o których nie pamiętała przed swoją pierwszą katastrofą, takimi jak ubranie na zmianę, przybory kosmetyczne, pieniądze i inne.

Łapiąc równowagę na rozkołysanym pokładzie, chwyciła torebkę, automatyczną trzydziestkę ósemkę i pudełko z amunicją. Wepchnęła je w wodoodporny worek, dodała do tego latarkę i pobiegła w górę schodkami zejściówki. Zatrzymała się raptownie, z desperacją rzuciła worek i wróciła do swojej kabiny. Podbiegła do górnej szuflady, w której trzymała swoje ulubione i najcenniejsze kolczyki. Zgarnęła zawartość szuflady w dłonie i upchała kolczyki po kieszeniach.

Zapinając kieszenie na zamki, ruszyła przez sięgającą już po kostki wodę, porwała worek i wbiegła po schodkach. Na pokładzie poczuła na języku delikatny słony smak, wyczuła też woń spalin. Idąc wzrokiem za tym zapachem, wypatrzyła rułę ogromnego, wylądowanego towarem kontenerowca, znikającego we mgle. Lara zdążyła przeczytać jego nazwę, „Abraham Lincoln”. Patrzyła na jego ogromny korpus sunący przez noc. Mgła podnosiła się miejscami i na wschodzie Lara widziała jasne światła platform wydobywczych. Podniosła głowę, przez powłokę mgły widać było gwiazdy i księżyc.

W tej chwili usłyszała syrenę z pokładu „Abrahama Lincolna”. Kolizję zauważono, statek zawróci, odpowiednie służby zostaną powiadomione o jej położeniu geograficznym, wyruszą ekipy ratownicze. Uratują ją tylko po to, żeby wylądowała w areszcie.

Miała do wyboru śmierć w morzu lub kompletne fiasko, którym skończy się jej ocalenie. Lara wyszła na pokład i walcząc z ogarniającym ją smutkiem, przygotowała się do opuszczenia jachtu. Znowu. Stała chwilę w milczeniu, przesuwając krążkiem latarki po pokładzie, patrzyła na zrujnowane olinowanie, które oplątywało pokład jak zwoje stalowych węży. Woda

wlewała się do kokpitu, zanurzając łódź coraz głębiej.

W oddali usłyszała, jak silniki „Abrahama Lincolna” zmieniają kierunek, dobiegł ją chłopot wody, kiedy śruby zaczęły obracać się w stronę przeciwną. Na lodowate wody opuściła dmuchany ponton, wrzuciła do niego swój worek przetrwania i zeszła z pokładu. Kiedy woda zaczęła wdzierać się na najwyższe części Tagcat Too, włączyła silnik pontonu i zostawiła go na kilka sekund, zanim oddaliła się o kilka jardów.

Przejęta grozą, patrzyła, jak woda zalewa pokład Tagcat Too, jak maszt majestatycznie zsuwa się pod powierzchnię. Przypomniała jej się dumna wieża nadajnika na szczycie World Trade Center. Wróciło czarne poczucie wielkiej straty, tak jak 11 września. Przez dłuższą chwilę nie była w stanie się poruszyć.

Łzy pocięły jej z oczu, kiedy instrumenty i anteny na szczycie masztu zniknęły pod wodą. Patrzyła w to miejsce bardzo długo. Silnik Tagcat Too wypuścił tęczową plamę, migoczącą w odległych światłach. Kiedy była już pewna, że zapamięta ten widok na resztę życia, odwróciła głowę ku światłom portu Scheveningen, zawróciła ponton i włączyła silnik na pełną parę.

Rozdział 34

Szczury lądowe sądzą, że morze ma zapach. Odwiedzą jakiś port lub przejdą się po morskim brzegu i napawają się charakterystyczną wonią ryb i jodu.

- Czujesz, jak morze pachnie? - mówią jeden drugiemu i oddychają głęboko.

Lara Blackwood wiedziała, że morze nie ma zapachu, a te przybrzeżne wonie, które atakowały nozdrza szczurów lądowych, nie pochodzą z morza, tylko z rozkładających się wodorostów i innych organizmów morskich, a nieustanna praca fal

wybija je w powietrze.

Morze nie ma zapachu, ale łąd z pewnością, pomyślała, kiedy opierała się o szorstkie ściany publicznych toalet i natrysków w przystani Scheveningen.

Wciągnęła długi oddech przez nos, jak degustator win; w portowym powietrzu wyczuła nutę benzyny, gnijących pod mólami wodorostów, woń spalin wielkich statków na redzie, ostry zapach środków dezynfekujących dolatujący z toalet, miły aromat mydła od strony natrysków oraz duszący smród dymu tytoniowego i smażonych frytek, nawiewany przez hałaśliwe wentylatory pobliskiego baru i restauracji.

Nad dokami unosił się sześćciojęzyczny gwar ludzi bawiących się w piątkowy wieczór, światła portu spływały na wodę i migotały na drobnych falach tworzonych przez ponton.

Nikt nie zwrócił na nią szczególnej uwagi, kiedy dopływała do wejścia do portu, ani wtedy, kiedy mijała Voorhaven i Eerste Binnenhaven, pierwszy wewnętrzny oort, gdzie dokowały największe jednostki, ani potem w wąskim kanale Tweede Binnenhaven, gdzie znajdowała się przystań dla małych jednostek pływających. Wszelkiego rodzaju nieduże łodzie - od dmuchanych pontonów, takich jak jej, do większych łodzi i kutrów - wpływały i wypływały nieustannie. Nie żądano kontroli paszportowej ani odprawy celnej, bo nikt nie przyplęwał z zagranicy w małych gumowych łódeczkach. Jej ponton był jednym z wielu przycumowanych w doku dla gości niedaleko baru i restauracji.

Lara westchnęła głęboko i przymknęła na chwilę oczy, walcząc ze zmęczeniem, które ogarniało ją jak lawina. Bezpośrednie zagrożenie minęło, zbliżał się kac amfetaminowy. Trzeba było tylko znaleźć bezpieczne miejsce, gdzie dałoby się wypocząć, naładować baterie.

Otworzyła oczy i spojrzała na swój worek przetrwania: tylko tyle jej pozostało z dotychczasowego życia. Lara poczuła

ukłucie smutku w sercu. Tagcat Too spoczywał na dnie Morza Północnego razem z jej trofeami, medalami olimpijskimi i fotografiami ojca. Wszystko, co mogłoby jej przypominać o przeszłości, zostało na pokładzie Tagcat Too, głęboko pod falami.

Usłyszała metaliczny dźwięk, odwróciła się i stwierdziła, że drzwi łazienki otwierają się. Sylwetka jakiejś kobiety odcinała się przez chwilę na tle światła. Lara podniosła swój worek i weszła.

Wzięła prysznic, rozkoszując się gorącą wodą, zmywając z siebie dym, pot i brud. Kiedy woda spływała po jej plecach, zaczęła rozmyślać o swoich następnych krokach. Musiała powstrzymać Kuratę od zabijania, ale jak? I jak zdoła przeżyć na tyle długo, żeby odpowiedzieć na to pytanie? Ismail nie żyje. Podobnie Peter Durant i lekarze z Tokio. Kurata z pewnością ją wytropi.

W jakimś momencie na pewno się zorientują, że żyje i znów urządzią polowanie. Wiedziała, że przede wszystkim musi zmienić swój wygląd, zanim ktokolwiek ją zobaczy.

Gdzieś kiedyś przeczytała, że najczęstsze próby przebrania się za kogoś innego - przyklejane wąsy, peruki, radykalny makijaż - są mało skuteczne, bo wyglądają sztucznie. Przypomniała sobie, że celem powinna być modyfikacja wyglądu, a nie przebranie się, że ważne są szczegóły ubioru i przedmioty codziennego użytku.

Zaczęła sobie przypominać opisy swojego wyglądu zewnętrznego, jakie pojawiały się w czasopiśmie i telewizji. Ułożywszy je w głowie, stwierdziła, że wszystkie kładą nacisk na jej siłę, wzrost, oczy i piersi.

Wychodząc spod prysznica przeczesła palcami mokre włosy patrząc na swoje odbicie w lusterku. Przynajmniej w Holandii jej wzrost nie będzie się wyróżniał, a siły nie można zobaczyć pod ubraniem. I koniec z kolczykami. Reporterzy wypisy-

wali legendy o jej kolekcji. Kurata z pewnością wiedział o tym, podobnie jak ludzie, którzy będą jej szukać.

Lara uważnie popatrzyła w lustro i zabrała się do pracy.

Kiedy wychodziła z toalety, nie było śladu po jej piersiach, obwiązała je na płasko bandażem elastycznym z apteczki. Podcięła krótko włosy i upchnęła je pod czapkę z daszkiem, żeby nie eksponować swoich błyszczących oczu. Ubrała się w zwykłą granatową bluzę i wyblakłe dzinsy. Na nogach miała buty żeglarskie.

Sztormiak wyrzuciła do kubła na śmieci, bo miał na sobie nazwę Tagcat Too i jej nazwisko. Wkrótce to znajda, ale lepiej się nie ogłaszać, nosząc je. Następnie wrzuciła worek do pontonu i odpłynęła z portu dla gości w głęboki cień, gdzie odłączyła bak na paliwo i umieściła go na betonowych blokach falochronu. Był już prawie pusty i stanowił doskonałą pławę.

Potem wyjęła szwajcarski wojskowy nóż z kieszeni i pocięła swój ponton. Patrzyła jak jej niezłomna łódeczka tonie wraz z najlepszym silnikiem przyczepnym, jakim kiedykolwiek dysponowała.

Wreszcie podniosła swój worek i poszła po betonowych blokach ku chodnikowi. Lata minęły, od kiedy była w tym porcie, ale pamiętała, że zaraz koło przystani jest linia trolejbusowa, która zabierze ją do Hagi, na centralny dworzec kolejowy. Stamtąd złapie pociąg do Amsterdamu.

Rozdział 35

Dworzec główny w Amsterdamie pachniał wilgotnym betonem i ozonem, kiedy w sobotę tuż po północy Lara wyszła na peron. Stała tam przez chwilę, czekając, aż przejdzie skłębiona grupka nastolatków, głośno rozmawiających gardłowymi holenderskimi głosami. Z sąsiednich peronów odjeżdżały pociągi do

Rzymu i Paryża, wśród snopów iskier sypiących się z pantografu.

Lara zakasłała i rozejrzała się - przeciąg panujący na peronie nieustannie wzbijał w powietrze drobiny kurzu. Od restauracji doleciał zapach kawy; z publicznej toalety wyszedł mężczyzna, zapinając spodnie.

Lara spróbowała opanować drzenie, ale ciągle czuła lodowate ciarki na plecach, kiedy zarzucała na ramię worek i szła wzdłuż rzędu wózków bagażowych, a potem w dół schodami do tunelu dla pasażerów, z którego wchodziło się na wszystkie perony.

Tłum zgęstniał, kiedy zbliżała się do głównej hali. Wielokrotnie przesiadała się na dworcu w Amsterdamie i szła pewnie, jak rodowita mieszkanka tego miasta, wtapiając się w tłum.

W głównej hali dworca zrobiło się luźniej, światła ulicy Damrak wpadały przez frontowe wejście. Kiedy mijiała kiosk z gazetami przy wejściu, kątem oka dostrzegła coś bardzo znajomego - własną twarz.

- Och! - westchnęła cicho i zatrzymała się.

Zimne ciarki przeszły jej po kręgosłupie, kiedy przyglądała się swojemu staremu zdjęciu na pierwszej stronie Het Parool.

Poniżej zamieszczono zdjęcie Tagcat Too. Holenderski nigdy nie był jej najmocniejszą stroną, ale zrozumiała wystarczająco dużo, by wiedzieć, że w artykule pisano o jej przypuszczalnej śmierci i że podejrzewa się ją o udział w aferze mającej na celu sprzedaż sekretów broni biologicznej krajom wspierającym terrorizm. Według artykułu, do transakcji nie doszło i Lara zabiła Petera Duranta. Było to niewiarygodne, ale po wszystkich takich kłamstwach i aferach korupcyjnych wśród znanych postaci korporacyjnej Ameryki, po tylu zamachach dokonanych przez terrorystów i innych szaleńców, podejrzewała, że opinia publiczna jest obecnie skłonna przyjąć najbardziej niedorzeczne do-

niesienia za prawdę, po prostu dlatego, że już tyle razy rzeczy niewiarygodnych okazywało się prawdziwych.

Z żołądkiem ściśniętym strachem, Lara spojrzała na budkę kasjera, gdzie młoda ciemnoskóra kobieta - chyba Indonezyjka - wpatrywała w jakiś videoklip na ekranie telewizora. Jej wargi cicho poruszały się ze słowami piosenki. Nie zauważona przez nią Lara ruszyła spokojnie ku wyjściu. Na zewnątrz, w brzoskwiniowym świetle latarni, wirowała drobna mgiełka. Poszła ku Stationsplein, przeszła przez szeroki most nad kanałem i skierowała się do przejścia ze światłami na Prins Hendrikkade.

Światła zmieniły się i poszła dalej, ku wschodniej części Damrak, minęła punkt informacji turystycznej, zamknięty nocą, i duży zegar nad rzędami turystycznych łodzi, kołyszących się delikatnie w ciemności. Po prawej stronie przejechał ze stukotem żółty tramwaj, sypiąc iskrami. Pod Starą Giełdą skręciła w lewo, zeszła z jasno oświetlonej ulicy Damrak. Przed sobą zobaczyła ciemny labirynt wąskich uliczek, skąpo oświetlonych neonami ze sklepów porno.

Lara poszła wzdłuż Oude Brugsteeg, mijając sklepy z jaskrawymi neonami, wystawy pełne ogromnych plastikowych penisów, nadmuchiwanymi tyłków, i drastycznych fotografii pornograficznych.

Doszła do Warmoesstraat, gdzie Oude Brugsteeg skręcała w lewo i przechodziła w Lange Nieuw. Jej kroki rozbrzmiewały głośno w wąskiej uliczce biegnącej wzdłuż ceglanoego muru. Przeszła przez Oude Zijds Voorburgwal, gdzie skręciła w prawo, mijając markizę małego gejowskiego kina. W połowie drogi do następnej przecznicy doszła do wysokiego, pozbawionego okien ceglanoego muru pomalowanego na biało, wyróżniającego się od budynków przyległych po obu stronach. Proste czarne drzwi tkwiły pośrodku białego muru, między dwiema gazowymi latarniami w dawnym stylu. Oko wizjera patrzyło na Larę, za

nim widać było światło. Na prawo, na framudze, dyskretna polerowana mosiężna tabliczka wielkości wizytówki wisiała tuż nad dzwonkiem. „Casa Blanca” głosił napis na tabliczce.

Nacisnęła dzwonek. Chwilę później w wizjerze zrobiło się ciemno, nad drzwiami na kilka sekund zapaliła się elektryczna lampa, a zaraz potem dał się słyszeć szcęk otwieranych zamków.

Drzwi otworzyły się, ukazując bardzo wysokiego, szczupłego, ciemnoskórego mężczyznę o gęstych brwiach, sumiastych wąsikach i meksykańskich rysach twarzy, pochodzących ze skrzyżowania genów indiańskich i europejskich. Miał czarne oczy i cały był ubrany na czarno: jedwabna koszula, szerokie spodnie, espadryle. Koszula rozpięta do pępka odsłaniała bezwłosą pierś (elektroliza, pomyślała Lara), na której wisiały złote łańcuchy. Był o pół głowy wyższy od Lary. Santiago Rodriguez, jej dawny dyrektor generalny.

- Czym mogę służyć? - zapytał oficjalnie. Wyraz jego twarzy wyraźnie dawał do zrozumienia, że osoba, którą zobaczył na progu, nie przypadła mu do gustu: wymiętolona, skulona kobieta schowana za bejsbolową czapkę.

- Przyjechałam sprawdzić, jak idą moje inwestycje.

Wysoki człowiek zmarszczył się na te słowa, jakby szukał czegoś w pamięci. Lara widziała jak na jego twarzy kolejno malują się zakłopotanie, szok, rozpoznanie i radość.

- Amiga! - rozłożył szeroko ramiona i zrobił krok do przodu. Poderwał ją z ziemi i uściśnął. - Myślałem, że nie żyjesz! - Przytulił ją mocniej i odstąpił o krok. - No, nie stój tak, włącz. Włącz! - Wziął jej worek.

Lara poszła za przyjacielem do eleganckiego salonu z niebieskimi dywanami i kolekcją antyków, od krzeseł w stylu Bergere po niezwykle dwuosobową kanapkę. Obrazy olejne w misternie rzeźbionych ramach wisiały na ścianach, a na podłodze

stały rzeźby, z których jedną rozpoznała - Zbuntowany niewolnik Michała Anioła. Rodriguez zauważył, jak opada jej szczęka.

- Bardzo dobra kopia. Od twojej ostatniej wizyty trochę zmieniłem wystrój. - Patrzył, jak Lara podchodzi do małego biurka w kącie pokoju, nad którym wisiała tablica z kluczami i przegródki na pocztę.

- I nieco rozszerzyłem działalność.

- Dwadzieścia trzy pokoje gościnne, umeblowane antykami, z reprodukcjami tak wiernymi, że można by je sprzedać największym ekspertem.

Rodriguez uśmiechnął się. - Chodź tutaj - podszedł do obitego skórą fotela z uszakami, z pięknymi mosiężnymi tapicerskimi nitami. - Właśnie popijałem przed snem doskonale porto.

Na małym stolczku stała kryształowa karafka i jeden kieliszek. Rodriguez położył jej worek pod ścianą obok identycznego fotela, potem podszedł do mahoniowego kredensu, otworzył oszklone drzwiczki i wydobyl drugi kieliszek.

Lara opadła na fotel.

- Już lepiej - Rodriguez napełnił z karafki kieliszki.

Siedzieli, unosząc kieliszki.

- Twoje zdrowie - powiedział Rodriguez. Stuknęli się szkłem.

- I twoje - powiedziała Lara. Wypili.

Po chwili Rodriguez odezwał się z troską w głosie.

- No, jakże się miewasz?

- Jestem wymęczona. I cieszę się, że żyję. Rodriguez pokiwał głową. - Czytałem gazety. Zastanawiałem się, ile ci zabierze, żeby dostać się tutaj.

- Mam dużo szczęścia, że tu w ogóle dotarłam. Znów z wolną pokiwał głową. - Byli tu jacyś, rozglądali się za tobą. - Przerwał.

Lara poczuła, jak jej serce przyspiesza.

- Niektórzy to byli policjanci - ciągnął Rodriguez. - Ale tajniacy, jakby nie byli tu oficjalnie.

- Skąd wiesz?

Uśmiechnął się. - Dobrze wiesz, że w moim biznesie mam dużo do czynienia z policją.

- Nie przypuszczam, że moje udziały u ciebie... i nasza przyjaźń stanowiły jakikolwiek sekret.

- Prawda, prawda - powiedział, pociągając kolejny łyk. - Spodziewałem się policji. Ale potem pojawili się inni. Najpierw jakiś wysoki Niemiec, o takiej ostrej twarzy.

A potem, bardzo późno wczoraj w nocy ni z tego ni z owego, staruszek. - Przerwa. - Właściwie odniosłem wrażenie, że on się o ciebie martwi. Kiedy wychodził, powiedział coś bardzo dziwnego.

- Co takiego?

- Powiedział mi: Jeśli ją pan zobaczy, proszę jej powiedzieć, że są też inni, którzy poszukują prawdy".

- Prawdy? Nic więcej nie powiedział?

- Zostawił adres mailowy. Jeden z tych anonimowych. - Przeszukał kieszenie, wydobyl karteczkę i poda jej. - Powiedział, że jeśli zechcesz się z nim skontaktować, żebyś wysłała maila z kontaktem.

Lara zadrżała. - To jest za bardzo pokrętnie.

- Mhm. I jakbym skądś go znał. Ale nie mogę sobie przypomnieć.

Lara powoli potrząsnęła głową i postawiła drinka na stole. - Dziwne to wszystko. - Przerwała. - Jestem już taka zmordowana i nie mam pojęcia, co tu się dzieje.

- Zabiłaś tego facia w Waszyngtonie, o którym piszą gazety?

-Jasne, że nie!

-Jasne, że nie. A czy sprzedawałaś sekrety broni biolo-

gicznej komórkom terrorystycznym?

- No chyba na tyle mnie znasz!

Rodriguez uśmiechnął się. -Ja cię znam, ale coś mi się zdaje, że jakieś grube ryby chcą, żeby świat myślał inaczej. Żeby mogli na ciebie napuścić wymiar sprawiedliwości.

Przerwał dla podkreślenia swojej przenikliwości. - Co ty takiego wiesz, przed czym chcą cię powstrzymać?

Znużona, Lara opadła na oparcie fotela. I nagle popłynął potok słów, opowiedziała mu wszystko począwszy od niespodziewanego wyrzucenia jej z GenlIntronu. Ciężar w jej piersiach topniał, kiedy mówiła o telefonie z Tokio, o dziwnych rozmowach z Kuratą, prezydentem, Ismailem Brahimim i Peterem Durantem. Potem opowiedziała o przemocy, o zabójstwach, o swoim odkryciu, do czego zmierza Daiwa Ichban, wreszcie o wyczerpującej morskiej podróży, która zakończyła się utratą jachtu.

Nagle przerażenie rozszerzyło jej oczy. - Boże! - Pochyliła się do przodu. -Jaka ja jestem głupia, że tu przyszłam. To takie oczywiste miejsce, będą mnie tu szukali! Naraziłam cię na niebezpieczeństwo.

Potrząsnął głową.

- Nie bez przyczyny na parterze nie ma okien, a drzwi wejściowe są ze stali, tylko obite drewnem.

Lara uniosła brwi.

- Nawet w takim kraju jak Holandia są ludzie gotowi skrzywdzić gejów za to, co robią w tych pokojach. Podkładali nam już bomby, napadali na nas zbiry z nożami i pałkami. - Odstawił szklankę i wstał.

- Chodź - podszedł do biurka z kluczami. Lara poszła za nim.

- Zobacz - pokazał rząd małych ekranów, przekazujących widok z sześciu kamer umieszczonych na zewnątrz.

- Mam świetny monitoring, solidne mury i drzwi oraz - wskazał czerwony guziczek - alarm, który w razie potrzeby wezwie policję z posterunku na Warmoesstraat, parę przecznic stąd.

Lara powoli kręciła głową.

- W najśmielszych snach nie przypuszczałam, że kiedykolwiek w coś takiego wdepnę.

Położyła rękę na ustach, usiłując stłumić ziewnięcie. Bezskutecznie. Poczowała zakłopotanie, kiedy spotkała spojrzenie Rodrigueza.

- Jestem kiepskim gospodarzem - zauważył. - Muszę dowiedzieć się wszystkich szczegółów, ale dopiero jak się wyśpisz i wszystko sobie dobrze przypomnisz.

- Dzięki - powiedziała Lara i znów szeroko ziewnęła. Rodriguez zdjął z tablicy mosiężny brelok z kluczem.

- Chodź za mną. - Podniósł jej torbę i ruszył ku wąskim schodom. Lara podążyła za nim.

- Mam jeden wolny pokój. Może wystrój uznasz za nieco szokujący, ale jak się domyślasz, moja klientela znajduje w nim... inspirację. - Zniknął za rogiem i Lara podbiegła, żeby go dogonić.

Na czwartym piętrze Rodriguez zatrzymał się na podeście i otworzył przed nią drzwi do korytarza.

- Numer 410 - powiedział, podając jej klucz. Lara przeszła przez drzwi.

Kiedy włączyła światło, pokój dosłownie zwałił się na nią: szare ściany i czarna marmurowa posadzka wsysały całe światło z halogenowych lamp na suficie. Pokój był cały w chromie i czarnej skórce. Były tam krzesła w stylu Bauhaus i stoliki wyglądające jak fotele dentystyczne, a może ginekologiczne, chromowane żaluzje, czarne zamszowe draperie.

W różnych miejscach dużego pokoju stały błyszczące chro-

mowe ramy, przypominające sprzęt do ćwiczeń siłowych, ze skórzanymi pasami i sprzączkami, pasującymi na kostki i nadgarstki - i pełno czarnych lin, poprzewleka-nych przez dźwignie i bloki.

W samym środku jak teatralna scena stało łóżko z czterema chromowymi kolumnami, do których gęsto przymocowano klamry. Przypominało to trochę żaglówkę, tyle że liny i bloki miały trzymać ludzi, a nie żagle.

- Wow - powiedziała Lara z podziwem, kiedy zobaczyła własne odbicie w lustrze zajmującym cały sufit. Patrzyła w nie, dopóki Rodriguez nie spojrział na nią z szerokim uśmiechem.

Bez dalszych pogawędek weszli i zamknęli drzwi. Lara zajrzała do łazienki i z ulgą stwierdziła, że poza wielką wanną w stylu jacuzzi, szaro-czarno-chromowe pomieszczenie było funkcjonalne i prozaiczne, przeznaczone tylko do tego, do czego powinno służyć.

Podeszła do bukietu złożonego z dwunastu delikatnych róż wykonanych z czarnej skóry, z błyszczącymi chromowymi łożyczkami, liśćmi i kolcami. Zanurzone były w wielkim kryształowym wazonie, błyszczącym tęczowo w świetle halogenów. Kryształowy wazon był wypełniony, jak się zdawało, rtęcią, pokrytą cienką warstwą oleju mineralnego. Łodygi róż tworzyły dołączki w cieczy, pojedynczy chromowy liść pływał na powierzchni.

Rodriguez zauważył, jak ciekawie się im przygląda.

- Zrobił to bardzo znany artysta z Niemiec, który regularnie rezerwuje ten pokój - powiedział Rodriguez. -Wszyscy mówią, że jest to warte fortunę. To prawdziwa rtęć, ale olej zapobiega wydostawaniu się szkodliwych oparów.

- Fascynujące - szepnęła Lara. Odwróciła się i jeszcze raz zdumiała się na widok osobliwej kolekcji czegoś w rodzaju rzeźb na drugim końcu pokoju. Były to falliczne słupki wysokie

na jakieś dwie stopy, takie, jakie ustawia się wzdłuż chodników, żeby samochody tam nie parkowały. Stały wzdłuż całej ściany, od drzwi łazienki, aż po okno balkonowe.

- To też nowy nabytek — powiedział z dumą Rodriguez. - Masz przed sobą prawie kompletną kolekcję „Amster-damjes” - słupków ulicznych z Amsterdamu. Zabytkowych i współczesnych, autentycznych i imitacji, funkcjonalnych i kiczowatych. - Położył jej worek na stojaku na bagaż.

Lara podeszła do słupków i stwierdziła, że niektóre wyglądają na bardzo stare, inne są nowe. Większość była na szczycie zaokrąglona, ale niektóre — abstrakcyjne projekty, które ktoś mógłby nazwać sztuką - były zaostrome, wydawało się, że mogą skaleczyć. Wszystkie były podpisane trzema literami x ułożonymi pionowo.

- Muzea regularnie proponują mi zakupienie tej kolekcji.

- Muszę przyznać, że to najdziwniejszy pokój, jaki w życiu widziałam - powiedziała Lara. - Ale zastanawiam się, jak ludzie mogą tu zasnąć.

Śmiejąc się głośno, Rodriguez pochwyił jedną z opasek na nadgarstek i przeciągnął czarną linę przez blok.

- Przecież nie wynajmują tego pokoju, żeby tu spać.

Lara poczuła, że się rumieni. - Rzeczywiście, chyba nie

- powiedziała, przyglądając się chromowanemu łożu.

Odwróciła się i podeszła do oszklonych drzwi prowadzących na mały balkonik, z którego roztaczał się widok na dachy przyległych budynków.

- Musi być ten pierwszy raz - uśmiechnęła się na widok pytającego spojrzenia Rodrigueza.

- Pierwszy raz?

- Dzisiaj na pewno ktoś tu będzie spał. Rodriguez roześmiał się.

Rozdział 36

Odgłosy wystrzałów przerwały rozmowę Lary z ojcem. Siędzili na Tagcat Too, a uczucie całkowitego spokoju było niemal dotykalne, kiedy Lara pokazywała mu swoją kolekcję kolczyków. Uśmiechnął się ciepło, z wdzięcznością, kiedy powiedziała mu, że szafirowe kolczyki z Kaszmiru lubi najbardziej ze wszystkich.

Ojciec zniknął po pierwszych odgłosach strzałów, zabierając ze sobą Tagcat Too. Potem była ciemność wypełniona dalszą strzelaniną, krzykami, eksplozjami, przekleństwami, krótkimi rozkazami i okrzykami bólu. Jeden z głosów należał do Rodrigueza. Mówiono po holendersku, niemiecku, angielsku.

Lara obudziła się i zerwała na nogi. Elektroniczny zegarek na nocnym stoliku pokazywał czwartą nad ranem. Wyciągnęła swego kolta '38 z worka, napełniła komorę, podeszła do drzwi i sprawdziła, czy są zamknięte na klucz. Oddychając ciężko, przyłożyła na chwilę ucho do drzwi. Gwałtowne hałasy dochodziły z niższych pięter. Przesunęła pod drzwi ciężki fotel, wciągnęła spodnie i resztę ubrania, które porozrzuciła wczoraj po podłodze.

Groźne odgłosy zbliżały się. Lara rozejrzała się za jakąś drogą ucieczki. Jedyne okno wychodziło na stromy dach przyległego budynku. Przyjrzała się uważnie mokrym, śliskim dachówkom i szybko zajrzała do łazienki. Tam nie było nawet lufcika.

- No to świetnie - mruknęła do siebie, zapięła worek, przetrzuciła pasek przez głowę i ramię, żeby worek wygodnie leżał na jej lewym biodrze.

Za drzwi dobiegły agresywne głosy. Rozległ się łomot, próbowano wyważyć drzwi. Kolejny cios i drzwi zaczęły iść w drzazgi. Lara odbezpieczyła kolta, uniosła ramię i strzeliła w

nie, tuż nad oparciem fotela.

Człowiek za drzwiami krzyknął i łomotanie ustało. Dały się słyszeć niespokojne kroki. Lara uśmiechnęła się leciutko, kiedy usłyszała stłumione przekleństwa i niecierpliwe rozkazy. Wydawała je kobieta, po niemiecku i angielsku.

Dziwne, pomyślała Lara, odsuwając zasuwkę okna i podnosząc szybę w górę. W tej samej chwili w drzwi uderzył grad pocisków z broni automatycznej. Lara wysunęła się przez okno, żeby nie oberwać, ale zrobiła to nieostrożnie i zaczęła zjeżdżać twarzą w dół po stromej krzywiznie dachu. Dachówki były wyjątkowo śliskie po wczorajszym deszczu. Desperacko szukała czegoś, żeby się przytrzymać i wypuściła pistolet, który, postukując, stoczył się z dachu. W słabym blasku ulicznych latarni Lara zobaczyła, że pędzi na nią rynna. Zrozumiała, że jeśli nie zmniejszy prędkości, rynna zarwie się pod nią.

Jest! Z dachu na wysokość stopy wystawała rura wentylacyjna. Ale była za daleko. Zbliżając się do niej, Lara usiłowała unieść się na kolanach, żeby jakoś jej dosięgnąć. Było jednak zbyt ślisko. Za nią i nad nią rozlegały się wściekle, podniesione głosy. Desperacko przeturlała się na plecy i wyciągnęła nogi, żeby nawiązać kontakt z rurą.

Teraz widziała swoje okno i z dziwną obojętnością patrzyła, jak kilkoro ludzi opiera się o parapet. Zobaczyła kobietę unoszącą broń.

W następnej chwili, Lara wyciągniętym kolaniem zahaczyła o rurę wentylacyjną i okręciła się na niej z rozpędu. Zagrzmiały strzały i posypały się na nią odłamki terakoty. Kule trafiały tam, gdzie przed chwilą była.

Lara chwyciła się rury, ale pęd i wilgoć nie pozwoliły jej utrzymać chwytu. Ale przynajmniej nieco zwolniła i zdołała się odwrócić, zjeżdżała teraz wolniej, na plecach i nogami w kierunku rynny. Za nią śmigwały kule, jakby coraz celniej. Kiedy do-

jechała do rynny, ostrożnie wcisnęła się pod okap, gdzie nie mogli jej widzieć napastnicy.

Głęboko oddychając, Lara odpoczywała przez kilka sekund, przy czym miała okazję przetestować wytrzymałość rynny. Zawałała się pod nią niemal natychmiast i Lara spadła z dachu o kolejne dziesięć stóp niżej. Zatrzymała się na podeście metalowych schodów przeciwpożarowych. Ogłuszona upadkiem długo nie mogła złapać oddechu. Wreszcie udało się i uniosła się na łokciach. Zdumiona, poczuła straszliwy ból w udzie, w miejscu gdzie uderzyła ją spadająca doniczka.

Latarki z okna zaczęły przeszukiwać schody przeciwpożarowe. Znów rozległy się podekscytowane głosy. Lara niezdarnie podniosła się na nogi i zeskoczyła błyskawicznie na ziemię, lądując w stosie starych pudeł, skrzynek i śmieci. W tej samej chwili zatrzymała się przy niej niebieska furgonetka. Drzwi otworzyły się raptownie, z hukiem.

Czterech mężczyzn w czarnych maskach skoczyło ku niej.

- Prosimy z nami - powiedział jeden z nich niecierpliwie.

-Jesteśmy przyjaciółmi.

- Nie! Puśćcie mnie! - Uderzyła go łokciem w twarz, rozległo się wilgotne chrupnięcie łamanej kości. Pod mężczyzną ugięły się kolana, upadł, zaczepiając o drugiego. Lara rzuciła się do ucieczki, ale kilka sekund potem mocny cios obalił ją na wyboisty chodnik.

Przez następne sekundy z bijącym sercem szarpała z nimi, silne ramiona przygniotły ją do ziemi, dłoń w rękawicze zatkała jej usta, igła wbiła się w udo. Potem środek usypiający zaczął działać, przynosząc przyjemne uczucie roztopiania się w ciemności. Lara poczuła metal na rękach. Kajdanki? Potem jakieś ręce chwyciły ją, dźwignęły w górę, przeniosły gdzieś. W końcu z wdzięcznością zapadła w przytulną ciemność.

Rozdział 37

Głosy w próżni. Słowa pozbawione znaczenia. Dźwięki bez kontekstu. Czarność.

Potem, stopniowo, Lara Blackwood poczuła, że znowu staje się sobą. Świadomość wracała powoli, niosąc ze sobą strach i wspomnienia: zamaskowani mężczyźni i igła sprowadzająca narkotyczny sen.

Na policzku poczuła gładki materiał, wyczuła lekko stęchły zapach od dawna zamieszkanego domu, zapach kurzu, drewna i starych książek.

Z każdym uderzeniem serca słowa, które do niej docierały, nabierały sensu, zaczynała rozumieć ich treść, tworzyć kontekst, aż w końcu rozróżniła dwa głosy rozmawiające po holendersku. Nie wiedzieli, że ich rozumie.

Głosy, o dziwo, wydawały się przyjazne; przestła się bać. Jeszcze bardziej uspokajający był brak dźwięków typowych dla instytucji, czy byłby to szpital, czy posterunek policji. Nie słyszała żadnych chaotycznych hałasów w tle, nie było dzwoniących telefonów, tupania kroków, szelestu papieru, zamykanych drzwi, pokasływania ani trzaskania szufladami.

Zamiast tego czuła łagodny powiew z otwartego okna i usłyszała w oddali głosy bawiących się dzieci.

Potem pukanie do drzwi i stłumiony głos po drugiej stronie zapytał po holendersku, czy można wejść. Głos tuż nad nią wyraził zgodę. Szczęknęła klamka, skrzypnęły zawiasy, zatroskany głos odezwał się teraz po angielsku. -Jak ona się czuje?

-Jeszcze śpi - usłyszała głos starego człowieka.

„... Staruszek... Właściwie odniosłem wrażenie, że on się o ciebie martwi”.

Z zamkniętymi powiekami, przypominała sobie słowa Rodrigueza.

„Kiedy wychodził, powiedział coś bardzo dziwnego... powiedział mi: «Jeśli ją pan zobaczy, proszę jej powiedzieć, że są inni, którzy też poszukują prawdy»”.

Serce Lary przyspieszyło, w pierwszym odruchu chciała otworzyć oczy, wstać, ale zaniechała tego. Nie poruszyła się, jakby jeszcze spała, ukrywając się za szaroróżową zasłoną powiek, próbowała dowiedzieć się jak najwięcej, zanim postanowi, jak się zachować. Leżała na prawym boku, przodem do rozmawiających.

Wreszcie Lara otworzyła oczy i odezwała się: - Czy to pan jest tym człowiekiem, który też poszukuje prawdy? - Mówiła niewyraźnie, język miała spuchnięty i suchy.

- Ach! Śpiąca królewna się budzi!

- O, rany! - wykrzyknęła Lara, kiedy zobaczyła przed sobą mgliście znajomą twarz starego, ale pełnego energii człowieka. - Pan... Czy pan nie jest przypadkiem Jan DeGroot?

- Owszem - ukłonił się po staroświecku.

- Profesor... emerytowany profesor uniwersytetu w Leiden - powiedziała niepewnie. - Był pan dawniej kierownikiem badań naukowych w firmie Eurodrug.

- Przyznaję się do wszystkiego - zażartował z uśmiechem. - A to - wskazał drugiego Holendra, dojrzałego, ale znacznie młodszego niż DeGroot - jest Richard Falk, zastępca naczelnego dowódcy holenderskich sił zbrojnych i - wraz ze mną i kilkunastoma innymi osobami, założyciel organizacji *Shinrai*.

- *Shinrai*?

- To po japońsku „prawda” - powiedział Falk. - Do naszej siatki należą ludzie z całego świata, także Japończycy. Chcemy doprowadzić do sprawiedliwego zakończenia sytuacji, która panią również dotknęła.

-Jakiej sytuacji?

Tu włączył się DeGroot. - Przez pięćdziesiąt lat politycy i

pisarze koncentrowali się na zbrodniach faszystowskich Niemiec, mówiło się wiele o ODESSIE i spisku stworzenia Czwartej Rzeszy. Dali się zwieść! - fuknął. - Zapewne dzięki ich wysiłkom, dzięki temu, że Niemcy uznały swoją winę, dzięki protestom Żydów, i ciągłemu przeciwstawianiu się ruchom neofaszystowskim, przestało nam grozić aryjskie zło.

- Ale koncentracja na Niemcach odwróciła uwagę opinii publicznej od holokaustu japońskiego, od ich zwyrodniałych eksperymentów medycznych, od ich zacieklego rasizmu, wagnerowskiego poczucia wyższości i przeznaczenia, które się teraz obecnie w Japonii odradza.

Lara usłyszała, jak bierze kolejny głęboki oddech. Wada wymowy Holendra zdawała się pogłębiać pod wpływem emocji.

- Widzi pani - kontynuował DeGroot nieco spokojniej. - Poza naszymi japońskimi sojusznikami, większość członków *Shinrai* wycierpiała wiele z rąk Japończyków w drugiej wojnie światowej. Japończycy zgładzili miliony niewinnych ludzi, a tych, których nie zabili, okaleczyli fizycznie i psychicznie, jak mnie. Nic nie może się tak wryć w pamięć, jak widok bliskich, ukochanych ludzi, towarzyszy broni, torturowanych, okaleczanych, rozpruwanych, wyrzucanych przez okna, wykrwawiających się na śmierć.

- Pewnie byłoby słuszne nazwać nas fanatykami - mówił dalej DeGroot. - Większość z nas ma z pozoru normalne życie, wielu z nas zrobiło karierę, zdobyło uznanie w swoim zawodzie, jednak nic nie jest dla nas tak ważne, jak sprawiedliwość, której Japonia odmawia nam i całemu światu.

- Przez pół stulecia pracowaliśmy, żeby aroganccy Japończycy okazali skruchę, tak jak to zrobili Niemcy po wojnie. - Przerwał i już ciszej dodał: - Starsi z nas przypominali młodszemu, którzy zapominają, że historia lubi się powtarzać - a tutaj to widać wyraźnie: Japończycy nigdy nie zostali ukarani, nigdy

nie zostali zmuszeni do konfrontacji ze swoimi zbrodniczymi czynami, nigdy nie wzięli za nie odpowiedzialności. I jeśli tego nie zrobią, będą dalej robić swoje, a świat będzie przez to coraz gorszy.

-Jest pani ostatnią ofiarą - odezwał się Falk. -I być może, zdoła nam pani pomóc, by nie było ich jeszcze więcej.

W hallu Casa Blanca pachniało zastałym dymem papierosowym, zjełczałą kawą i świeżym strachem.

Konstabl Joost Van Dyke siedział cały spięty na skraju sofy obitej złotym brokatem i mrugał oczami, które piekły go i łzawiły od papierosowego dymu. Ta wściekła baba paliła jednego za drugim. Miał tego pecha, że był pierwszym policjantem, który odpowiedział na wezwanie po strzelaninie na Oude Zijds Acherburgwal. Na miejscu stwierdził, że drzwi do modnego gejojskiego hotelu i domu uciech zostały zdemolowane przez eksplozję profesjonalnych materiałów wybuchowych, w środku natomiast zastał rzeźnię. Właściciel nie żył, podobnie jak dwaj nieostrożni goście, których hałas wywabił z pokojów. Trzej inni byli ranni. Na najwyższym piętrze znaleziono zwłoki pewnego recydywisty, bandyty z Północnej Irlandii, który wynajmował się często jako płatny zabójca.

Potem noc wypełniła się detektywami, karetkami, pojazdami z kostnicy i strumieniem oficerów z Komendy Głównej, coraz wyższej rangi. Wszyscy po kolei zadawali mu te same pytanie, tymczasem świt stał się porankiem, a poranek południem.

Potem pojawiła się ta kobieta, która przypominała mu kobrę, którą kiedyś widział w zoo. Była niezwykle przystojna: wysoka, blondwłosa, na twarzy regularne, zabójcze rysy kobry i głos, który przewiercał człowieka do szpiku kości. Przyjechała do hotelu w towarzystwie jego przełożonej, która sprowadziła go do hotelowej kafejki.

Kobieta stała nad sofą, na której samotnie siedział Van Dyke.

- Dobrze - mówiła, buchając dymem przy każdej sylabie. - Przeanalizujemy to jeszcze raz.

Van Dyke rzucił błagalne spojrzenie swojej komendantce, żeby zrobiła coś, cokolwiek, z tą kobietą wężem, żeby pozwoliły mu wreszcie pójść sobie. Pani komendant niedostrzegalnie potrząsnęła głową. Obok niej stali komendant główny policji w Amsterdamie, pracownik dyplomatyczny w biurze burmistrza i dwaj urzędnicy amerykańskiej ambasady. Razem tworzyli coś na kształt milczącego, greckiego chóru. Na osobistą prośbę prezydenta Stanów Zjednoczonych, udzielono tej kobiecie wszelkiej pomocy i pełnomocnictw w śledztwie. A teraz wszystko spadło jak tona gruzu na skołowaną głowę Van Dyke'a. Jego dalsza kariera w policji zależała od tego, co teraz powie.

Van Dyke spróbował wziąć głęboki oddech, ale znów zakrtusił się dymem. Kobieta kobra przewróciła oczami, popijając wodę ze styropianowego kubka.

- Przepraszam - Van Dyke odkaszlnął i spojrzał po raz setny w swoje notatki. - Jak już powiedziałem, zaobserwowałem pięć osób, wychodzących z tego budynku od czasu, kiedy powiadomiłem Komendę Główną i poprosiłem o posiłki.

Sheila patrzyła na niego w milczeniu.

- Wszyscy byli nadzy lub niekompletnie ubrani. Kiwnęła głową. Wciąż milcząca, wciąż wyczekująca. Żeby zaatakować? - zastanawiał się.

Na górze słychać było pracujących detektywów śledczych i techników z laboratorium kryminologii, którzy zabezpieczali ślady.

Jeszcze raz wyjaśnił, co znaleziono na miejscu przestępstwa: poza zwłokami, ekipy znalazły jak dotąd automatycznego kolta '38 na przyległej posesji oraz pojedynczą łuskę kalibru '38

na podłodze pokoju 410. Zabezpieczono też włosy z poduszki w pokoju 410, pojedynczy kolczyk z niesamowitą szafirową gwiazdką, która zdumiała nawet Wilema z posterunku, a on znał się na szafirach, bo stacjonował kiedyś w Indiach. Następnie świeże odciski stóp i ślady opon w przyległej alejce. W pokoju 410 zabezpieczono sporą ilość odcisków placów, zebrano je także z klucza. Wkrótce spodziewają się danych z FBI, żeby sprawdzić, czy te odciski pokrywają się z odciskami zbiegłej Amerykanki, Lary Blackwood.

- Tak, tak to już słyszałam - kobra wymachiwała smrodliwym papierosem. - Chcę jeszcze wiedzieć, co pan osobiście widział. Ludzie, pojazdy - wszystkie szczegóły, które zwróciły pana uwagę o tak wczesnej porze dnia.

Bezradny konstabl spojrział w swoje notatki i nic tam nie znalazł. Potrząsnął głową i zastanawiał się, czy już powinien zacząć żegnać się z karierą. I wtedy coś mu zaświtało.

- Furgonetka - powiedział radośnie.

- Pamięta pan kolor?

Van Dyke potrząsnął głową. - Ciemna - powiedział przepraszająco.

Przymykając oczy, próbował przypomnieć sobie pojazd.

- Prowadził go starszy człowiek - dodał w końcu. - Twarz jakby znana. - Podniósł wzrok. - Ale w pewnym wieku wszyscy starzy ludzie są podobni do siebie.

- Dziękujemy, konstablu, za tą ostatnią wnikliwą uwagę - powiedziała Sheila zgryźliwie. - Może pan odejść.

Niepewnie, Van Dyke spojrział na swego dowódcę. Potwierdziła kiwnięciem głowy. Van Dyke pospiesznie ruszył do wyjścia, gdzie chciwie wciągnął w płuca haust świeżego powietrza, bez śladu dymu tytoniowego, który zanieczyszczał kawiarrenkę.

Kiedy konstabl stał przy drzwiach, dwaj technicy medycyny

sądowej, którzy wcześniej przeszukali kawiarenkę i jej toalety, wyszli z wozu technicznego i ruszyli w stronę hotelu.

Sheila Gaillard przeciągnęła się, świadoma wrażenia, jakie jej piersi robią na obecnych mężczyznach, k'orzy, bez powodzenia, starali się dyskretnie odwracać wzrok. Spojrzała na burmistrza Amsterdamu, uśmiechnęła się do niego uwodzicielsko. Może się przydać, pomyślała.

W tej chwili weszli dwaj technicy.

- Przepraszam - powiedział jeden z nich. - Ale prosiła pani o kontakt, kiedy będziemy mieli wstępne rezultaty.

Sheila odwróciła się. - Tak?

- Odciski palców podejrzanej są identyczne z tymi znalezionymi w pokoju, na kluczu, na parapetach, schodach przeciwpożarowych oraz na pistolecie znalezionym w alejce.

Zabrzmiały przyciszone rozmowy. Wreszcie, burmistrz zapytał Sheilę: - Rozumiem, dlaczego firma Daiwa Ichiban wysłała panią, członka personelu bezpieczeństwa, żeby udzieliła nam pani pomocy w tropieniu osoby, która popełniła te ohydne zbrodnie. W końcu ma pani dostęp do ludzi, którzy ją znali najlepiej. Ale chciałbym panią zapytać, czy ma pani jakieś pojęcie, co mogło sprawić, że osoba tak uzdolniona i inteligentna jak Lara Blackwood, nagle zeszła na drogę przestępstwa. Dobrze ją pamiętam sprzed lat, z czasów zawodów olimpijskich... Pływała tu w licznych regatach, osobiście wręczałem jej nagrody. - Miał smutek w głosie, jakby nie chciał uwierzyć.

Gaillard potrząsnęła głową i ukryła radość, że kupili jej bajeczkę - Może być jakaś medyczna przyczyna - powiedziała łaskawie. - Może uraz mózgu? - Udając smutek, potrząsnęła głową. - Może nigdy, się tego nie dowiemy.

Burmistrz pokiwał głową.

Sheila zwróciła się do głównego komendanta Policji Miejskiej i powiedziała: - W świetle tego ostatniego incydentu, czy

będzie możliwe wydanie krótkiego komunikatu i listu gończego?

Komendant wstał. - Do organów ścigania czy także do mediów?

- Do całego świata - powiedziała Sheila. - Wtedy nie będzie miała gdzie się ukryć.

Rozdział 38

Lara siedziała przy szklanym stoliku, zajmującym jeden kąt nieskazitelnej, na biało wykafelkowanej kuchni. Pomieszczenie i umeblowanie aż biły w oczy czystością. Przy niej siedział Falk, po przeciwnej stronie stołu jeszcze dwie osoby: Beatrix VanDeventer, Holenderka zasiadająca w Trybunale Światowym w Hadze i Henry Noord, holenderski oficer łącznikowy Interpolu i były szef Departamentu Policji w Rotterdamie. Przy drzwiach stali dwaj młodzi ludzie, ostrzyżeni po wojskowemu, z bronią przy pasach. Czterej inni zajęli posterunki w różnych miejscach domu i na ulicy. Jeden z nich miał bandaż na nosie, który Lara mu bezlitośnie złamała.

U szczytu stołu DeGroot niechętnie opowiadał o swoich doświadczeniach wojennych, kiedy dostał się w ręce Japończyków. Niezliczone blizny i przebarwienia skóry wyraźnie świadczyły o gehennie, jaką przeszedł. Powiedział im, że jako jedyny przeżył chorobę wirusową, która zabiła wszystkie inne ludzkie króliki doświadczalne. Normalnie wskaźnik śmiertelności w takich eksperymentach wynosił sto procent, bo ci, którzy przeżyli wirusy, byli zabijani i poddawani sekcji, żeby stwierdzić, dlaczego nie umarli.

- Ale ja byłem jakimś dziwem natury i zatrzymali mnie w roli maskotki - dźgali mnie, nakłuwali, upuszczali krew, wycinali próbki tkanek, wszystko oczywiście bez znieczulenia. -

Trzeba dodać, że jego uważne obserwacje japońskich eksperymentów medycznych i dostęp, jaki miał jako doświadczalny królik, do technik eksperymentalnych i procesów laboratoryjnych, pomogły mu w przyszłości tworzyć własne patenty farmaceutyczne.

Jak Noord, Falk i VanDeventer, DeGroot był już prawdopodobnie po osiemdziesiątce, zażywny, energiczny żywy dowód na to, że wiek i brutalne przeżycia niekoniecznie przynoszą niepełnosprawność.

- Po wojnie, na uniwersytecie, uważali mnie za cudownie uzdolnionego - powiedział DeGroot. - Opatentowałem trzy szczepionki, zanim skończyłem studia. Ale pamiętajcie, że Japonia prowadziła prawdziwą kampanię wojenną za pomocą broni biologicznej. Niezliczonych Chińczyków zabili zarazkami wąglika, dżumy, cholery, nosacizny. Musieli więc też stworzyć i przetestować szczepionki, żeby samych siebie chronić przed swoją własną bronią. To, co moi profesorowie i koledzy uważali za wyjątkowy talent i zrozumienie procesów biologicznych, wynikało po prostu z moich obserwacji i niezatartych wspomnień po potwornych eksperymentach na niewinnych ludziach.

Dwukrotnie ożenił się i rozwiódł. - Trudno jest żyć z człowiekiem, który co noc budzi się z krzykiem z koszmarów, a i na jawie nie dają mu spokoju - powiedział rzeczowo.

Jego patenty przyniosły mu miliony, jednak dla siebie wykorzystywał tylko niewielką ich część. Reszta szła na finansowanie działalności *Shinrai* lub na opiekę nad ofiarami japońskich zbrodni. - Ponieważ ani Japończycy, ani Amerykanie, ani żaden inny kraj, nie ruszyli palcem, żeby pomóc tym biednym wrakom. — Falk splunął.

DeGroot podniósł widelec i zjadł kęs warzywnego curry, które przynieśli Falk i VanDeventer.

- Przedziwne - powiedziała Lara, popijając wino. - Ta siatka

organizacyjna - *Shinrai* - to naprawdę coś niesamowitego.

DeGroot wzruszył ramionami, przelknął i popił winem. - Pomagamy sobie, bo nie mamy innego wyjścia. Musimy. - Znów się napił. - Jesteśmy jak ludzie Kuraty, tylko po przeciwnej stronie. Ludzie Kuraty tkwią w wielu rządach, korporacjach i instytucjach, a motywują ich do tego pieniądze. Nas jest mniej. I nie chodzi nam o pieniądze, działamy z przekonania.

- Jesteśmy biegunowym przeciwieństwem organizacji Kuraty - powiedziała VanDeventer. - I jak bieguny magnetyczne, nie istnielibyśmy bez siebie.

- Zresztą nasza organizacja zbudowana jest analogicznie - dodał Falk. - Nasi ludzie podobnie zajmują wysokie, wpływowe stanowiska. Jesteśmy w miejscach, z których możemy obserwować przepływ ważnych informacji, kierować ludźmi i akcjami pod przykrywką oficjalnej działalności.

- Rzeczywiście - powiedział DeGroot. - Nasi ludzie są na takich pozycjach, na które lubi werbować Kurata. W konsekwencji wielu członków *Shinrai* działa na dwa fronty, żebyśmy mogli skuteczniej monitorować ich posunięcia.

W ciszy, która zapadła, rozległ się wieczorny śpiew ptaka; wiatr szeleścił w drzewach, a jesienny zapach palonych liści unosił się w powietrzu.

- Nie do wiary - szepnęła Lara. - Całe sekretne światy, walczące o strefy wpływów - prawdziwe wojny - wszystko to dzieje się w ukryciu, w podziemiu. - Potrząsnęła głową.

- To długa tradycja, sięgająca setki lat wstecz. - VanDeventer wytarła usta serwetką. - Współczesny świat Zachodu oszukuje się, myśląc, że rządy i społeczeństwa będą się zachowywać w pewien konkretny sposób tylko dlatego, że powinny. - Potrząsnęła głową. - Byłam bardzo młodą urzędniczką u sędziego Rolinga, wielkiego człowieka, sędziego w Trybunale ds. japońskich zbrodni wojennych w Tokio. Wtedy nauczyłam się, że

cywilizacja to tylko cienka otoczka, która ledwie przykrywa zwierzęta, którymi w głębi jesteśmy.

- Zwłaszcza Japończycy.

- Dlaczego zwłaszcza? - zapytała Lara, nabierając ostatki curry na widelec.

- Ponieważ tak lubią nas częstować swoimi zbożnymi zapewnieniami o swoim wysokim stopniu rozwoju cywilizacyjnego - powiedziała VanDementer. - A jednak ich zbrodnie przebiły nawet faszystów, jedli ludzkie ciało! To nie cywilizacja, to obłuda!

- Obecnie wiemy - dodał Falk - że Japończycy mieli bardzo zaawansowany program budowy bomby atomowej. Osiągnęli w tej dziedzinie więcej niż Niemcy, planowali spopielenie Los Angeles. A jednak przed całym światem użalają się nad Hiroszimą i Nagasaki, przezornie nie wspominając, że sami z pewnością użyliby bomby atomowej, gdyby taką mieli. Nie ma wątpliwości, że gdyby nie zrzućenie bomb atomowych, oddziały atakujące Japonię zostałyby przywitane kontratakami broni bakteriologicznej.

- Pracownik produkcyjny Ishii'ego, niejaki Karasawa, pracował dwadzieścia cztery godziny nad dobę, zarażając ludzi wąglikiem, dżumą, tyfusem i cholera. Według archiwów w waszym Fort Detrick, Japończycy naprodukowali zarazków dość, żeby zainfekować połowę planety.

- Co więcej - ciągnął Falk - raporty najwyższego dowództwa Japonii pokazują, że nie było żadnych moralnych skrupułów co do użycia tej nowej broni - żadnych dyskusji i sporów, jak w Stanach. W tym rasistowskim świecie, wszyscy poza Japończykami są istotami niższymi, zwierzętami, które można prowadzić na rzeź, na chwałę cesarza.

- Nie pamiętam, czy o tym wspomniałem - włączył się DeGroot - ale broń Oddziału 731 nieomal powstrzymała Ameryka-

nów na Pacyfiku.

Lara potrząsnęła głową. - Nie, nie mówią pan o tym.

- Może pani pamięta, że w wojnie przeciwko Japończykom przełom nastąpił po zacieklej bitwie o wyspę Saipan w roku 1944.

Lara nie wyglądała na dobrze zorientowaną. - Na lekcjach historii mówi się o Pearl Harbor i przechodzi od razu do Hiroszimy, bez zagłębiania się w szczegóły.

DeGroot zmarszczył się i mówił dalej. - Tak właśnie było. Była to krwawa bitwa, w której zginęło 14 tysięcy Amerykanów i dwadzieścia cztery tysiące Japończyków. Zginęły też tysiące Koreańczyków. Traktowani jak niewolnicy, byli sprowadzeni na wyspę jako siła robocza. Ale kiedy rozpoczęła się bitwa, Japończycy wszystkich ich wycięli w pień - mężczyzn, kobiety, dzieci - bo obawiano się, że przejdą na stronę Amerykanów.

- Dobry Boże - westchnęła Lara.

- Oddział 731 Ishii'ego przygotowywał niespodziankę dla napastników. Ogromny oddział szturmowy wyposażono w zarazki dżumy. Statek wiozący ten oddział został na szczęście zatopiony przez Amerykanów, zanim dotarł na Saipan. Gdyby nie to, koleje wojny mogłyby potoczyć się inaczej.

- Najważniejsze w tym wszystkim jest to - włączyła się cicho VanDeventer - że, pomijając japońskie uroczyste zapewnienia, na ludzkiej cywilizacji nie można polegać, narody i społeczeństwa rzadko robią cokolwiek z pobudek moralnych. Pokój wciąż jest utrzymywany bronią i przemocą.

- Chociaż w rzeczywistości tą bronią może być gospodarka lub jakaś inna siła, która może niszczyć, pozornie nie niszcząc - dodał Noord.

- Prywatne wojny - powiedziała Lara.

- Taka będzie przyszłość - powiedział Degroot. - Najskuteczniejsze ataki to takie, których atakowany nie dostrzega, najskuteczniejsze bitwy to takie, kiedy walczący nie wiedzą, że walczą, a najlepsze zwycięstwa, to zwycięstwa, których pokonani nie widzą.

- Wojny przyszłości - mówił Falk. - Dziś toczą się ich pierwsze potyczki. Mieliśmy już tuziny takich Pearl Harborów, ale opinia publiczna nie jest tego świadoma, widzi tylko uboczne skutki - awarie kontroli lotów, przerwy w dostawie elektryczności, nowe wirusy i bakterie odporne na antybiotyki, katastrofy lotnicze, zatonięcia statków, miliony dolarów wyprowadzane przez hakerów z systemów bankowych, awarie sieci telefonicznych, zakłócenia funkcjonowania połączeń satelitarnych. A zwykli ludzie nie mają o niczym pojęcia.

- Sądzą, że są zorientowani - przerwała VanDeventer. - Przy takim jak obecnie natłoku informacji, może im się zdawać, że coś wiedzą.

- Naiwność - skomentował Noord. - Dzieje się tyle rzeczy - być może najważniejszych, mających wpływ na ludzkie życie - rzeczy niedostrzeżonych, nigdzie nie zapisanych, nie komentowanych w książkach.

- Opinia publiczna nie ma o nich pojęcia - powtórzyła VanDeventer.

- Nie zgadzam się z tym - powiedział DeGroot znad wystygłego curry. - Czasami pojawia się wskazówka. Niestety, najczęściej tą wskazówką jest śmierć.

Światła lotniska Valkenburg były coraz bliżej.

Siedząc dokładnie za drugim pilotem helikoptera Daiwa Ichiban Corporation, Sheila Gaillard wpatrywała się w ciemność. Widziała, jak małe lotnisko niedaleko Leiden pojawia się w polu widzenia.

Obok niej siedział komendant policji miejskiej w Amsterdamie. Dwaj funkcjonariusze w cywilu siedzieli za nimi.

Wypuściła dym z kolejnego papierosa, zagęszczając smog, który warstwami wypełniał kabinę. Pierdoleni dyplomaci. Ona wiedziała, że ślad Blackwood prowadzi do domu DeGroota albo zaprowadzi tam najbliższym czasie. Nie potrafiła tego udowodnić, ale wiedziała, czuła to w kościach. Po spotkaniu w Casa Blanca odnalazła skołowanego konstabla Van Dyke'a i pokazała mu ściągniętą z Internetu fotografię DeGroota.

- Tak - powiedział konstabl niechętnie. - To może być ten człowiek, którego widziałem. Ale wtedy było bardzo ciemno, a oni wszyscy są tacy podobni do siebie.

Tylko, że wyżej postawione szczyty w Departamencie Policji odmówiły wzięcia pod uwagę tak nikłych poszlak.

- Nie, z pewnością nie podpiszemy się pod żadnym wtargnięciem na teren domu obywatela holenderskiego na podstawie pani informacji. - Nie było z kim gadać, byli nieugięci.

- Blackwood jest niebezpieczną kobietą - argumentowała. - Życie pana DeGroota może być zagrożone.

Nie dali się przekonać.

- Nie ma pani prawa wstępu na jego posesję - usłyszała. - Poślemy jednego z naszych ludzi, żeby z nim porozmawiał, upewnimy się, czy istnieje... jakieś niebezpieczeństwo.

Sheila gwałtownie zaatakowała papierosa, spalając od razu połowę, strzepnęła popiół na podłogę helikoptera, obok leżących tam niedopałków, przeklęła Holendrów, i z braku lepszego celu, tego dupowłaza siostrzeńca Kuraty, Akirę Sugawarę.

Wcześniej skontaktowała się z Sugawarą i poprosiła, żeby Kurata porozmawiał w jej imieniu z Holendrami. Kurata odpowiedział, że na razie powinna zachować pozory współpracy.

Ziemia zbliżyła się szybko, po tym jak pilot dostał pozwolenie na skorzystanie ze specjalnego pasa.

Kiedy zbliżali się do wyznaczonego lądowiska, Sheila zobaczyła na dole wóz policyjny z Leiden i inny, nieoznakowany, obok niego.

Pięprzona parada, pomyślała. Potrzebne jeszcze syreny, nadmuchiwany Goofy i Myszka Miki. Ale przynajmniej odciągną uwagę od jej własnej ekipy operacyjnej, która powinna już dyskretnie dotrzeć na miejsce. Tylko, że wizyta policji wzbudzi czujność DeGroota. Jeszcze jedna okazja zmarnowana.

Kurwa mać, pomyślała, miażdżąc obcasem niedopałek na dywaniku helikoptera. Niech to cholera.

- Najważniejsze - mówił DeGroot, idąc z kuchni do zagraconego salonu, i siadając na fotelu - to jak powstrzymać te straszne wydarzenia i jak nie dopuścić do ich powtórki.

- *Shinrai* ma zwolenników na całym świecie, także w Japonii - wyjaśnił Falk. - Ale zmobilizowanie ich trochę potrwa.

Zadzwoił telefon.

DeGroot podniósł słuchawkę. - Tak? Marszczył brwi, słuchając, po czym odłożył słuchawkę.

- Zdaje się - powiedział spokojnie - że mamy przyjaciela i sprawę niecierpiącą zwłoki.

Wszystkie twarze zwróciły się ku niemu.

- Człowiek, który dzwonił, przedstawił się jako *maruta* i powiedział, że jest członkiem organizacji Kuraty.

Zbiorowe westchnienie.

- Powiedział, że zbliża się tu mały kontyngent policji.

- Uwierzył mu pan?

- Nic mi nie przyjdzie z tego, że mu nie uwierzę.

- Co robimy? - zapytała Lara.

- My, to znaczy ja i moi przyjaciele, nie zrobimy dokładnie nic - powiedział DeGroot. - Inaczej narazilibyśmy naszego nowego przyjaciela, jeśli to przyjaciel.

- Ale... - zaczęła Lara.
- A pani zaczeka w żydowskim schowku. -Gdzie?
- Pamięta pani „Dziennik Anny Frank”? Skinęła głową.
- Po holendersku tytuł brzmi „Het Achtehuis”. To dosłownie znaczy „za domem”, i odnosi się do skrytek, w których Holendrzy ukrywali znajomych Żydów przed hitlerowcami.

Wstał. - Proszę, pokażę pani.

Lara poszła za nim do sypialni z tyłu domu i zobaczyła, jak przesuwają wieszaki w szafie. Przyłożył końcówkę małego śrubokręta do zagłębienia, które wyglądało jak główka gwoździka. Wtedy tylna ścianka szafy obluzowała się.

- Czy słowo „*maruta*” coś znaczy? - zapytała Lara.

- Dosłownie po japońsku to kłoda drewna - powiedział DeGroot, wyciągając deskę i sięgając w pustą przestrzeń. Ale w rzeczywistości oznacza coś więcej. Dużo więcej.

Zabrzmiało mechaniczne kliknięcie i część ściany za szafą otworzyła się do środka, odsłaniając ciemną, ciasną przestrzeń.

- O ludziach, których Japończycy używali jako królików doświadczalnych mówiło się *maruta* - kłoda. Gestem kazał jej wejść do schowka.

- Ishii i jego ludzie zużywali *maruta* jak papier toaletowy lub maszynowy... Kiedy ich było za dużo, zabijało się ich, żeby nie marnować jedzenia i przestrzeni - ciągnął DeGroot, kiedy Lara sadowiła się w skrytce.

- Jest wiele rzeczy, których, choćbym nie wiem jak chciał, nie zapomnę - powiedział DeGroot. - A jedna z nich... to film wywiad z technikami z Oddziału 731, przeprowadzony przez funkcjonariuszy wywiadu w Tokio.

Lara skuliła się po jednej stronie przestrzeni wielkości dwóch trumien, żeby dało się z powrotem zamknąć drzwiczki.

- Kiedy zapytano go, jak mógł prowadzić eksperymenty na ludziach, powiedział, pamiętam słowo w słowo: „Często nie

było środków znieczulających. Wrzeszczeli i wrzeszczeli. Ale nie uważaliśmy *maruta* za ludzi. Byli po prostu kawałkami mięsa na blacie rzeźniczym".

Lara zadrżała.

- Dehumanizowanie innych to pierwszy krok konieczny do okrucieństwa i zbrodni wojennych - powiedział DeGroot, zamykając ją. Ciemność zapadła wokół Lary. Usłyszała jeszcze, jak zabezpiecza wejście do żydowskiego schowka.

Sugawara stał przy telefonie publicznym, próbując opłonić drżenie w kolanach. Było mu lekko na sercu po tym, co właśnie zrobił, bo było to słuszne, ale umierał ze strachu, co nastąpi potem. Raporty Gaillard były tajne, przeznaczone tylko dla niego i Kuraty. Jego kroki zostaną wysłędzone. Tego był pewien. Ale wiedział też, że musi podążać nowo obraną drogą, bo nie było już odwrotu. Spalił za sobą wszystkie mosty łączące go z przeszłością; nic więcej mu nie pozostało.

Wreszcie odwrócił się i ruszył ku hali odlotów lotniska KLM.

Rozdział 39

Zbuntowany czas przewrócił do góry nogami przeszłość, potrząsnął nią i puścił jak pozrywany film, od tyłu, na przyspieszonych obrotach.

Lara próbowała poukładać porozrywane fragmenty w spójną myśl.

Najpierw był żydowski schowek, potem stłumione głosy, kiedy VenDeventer i Noord pożegnali się.

Potem pospieszne kroki, stukanie do drzwi schowka, jasne światło i DeGroot nakazujący jej panicznym gestem, żeby się nie odzywała. Podsunął jej dziecięcą tabliczkę do pisania - zni-

kopis z foliowym arkuszem, po którym wodzi się patyczkiem.

Napisał tam: „Proszę nic nie mówić. Szybko za mną. Porozumiewamy się tylko tak, do odwołania. Szybko!”.

Poszła za DeGrootem korytarzem. Falk i jego obstawa czekali przy otwartych drzwiach.

- To tak przyjemnie zobaczyć się ze starymi znajomymi, prawda, generale? - powiedział DeGroot konwersacyjnym tonem.

- O, tak - potwierdził Falk lekko - Ale każdego roku jest nas coraz mniej. - Pomimo beztróskiego tonu, twarz Falka była porożyta zmarszczkami, wzrok ostry i czujny.

Spojrzał w bok, przez drzwi, potem gestem dał znać, żeby przechodzili szybko.

- To konsekwencje tak długiego życia - powiedział DeGroot.

To na użytek podsłuchu, pomyślała Lara. Wcześniej DeGroot powiedział, że dom regularnie sprawdzano w poszukiwaniu pluskiew, zrobiono to nawet parę godzin temu, przed jej przewidywanym przybyciem. Może myśleli, że ktoś ustawił na okna mikrofony kierunkowe lub te nowe lasery. Wyszli.

Lara zeszła po stopniach do przestronnego garażu w amerykańskim stylu, w którym mógł się pomieścić cały warsztat samochodowy. Był tam stary, pogruchotany citroen, z rdzą wystającą spod szarej farby i lśniący nowością czarny Chevrolet suburban z przyciemnionymi oknami, jak czołg bojowy, taki duży i ciemny, że zdawał się zabierać całe światło z pomieszczenia.

Ochroniarze Falka ustawili się wokół suburbana. Lara skierowała się od razu do jego otwartych tylnych drzwi. DeGroot złapał ją za rękę; ruchem głowy skierował ją do citroena. Zawahała się i zmarszczyła, kiedy DeGroot zacieśnił chwyt. Niechętnie dała się zaprowadzić do citroena, wielkiego sedana, przypominającego ogromnego żuka.

DeGroot otworzył tylne drzwi; Lara wsiadła. Jeden z uzbrojonych ludzi Falka usiadł za kierownicą. DeGroot pomyślał chwilę, wyczyścił znikopis i zaczął coś pisać, ze zmarszczonymi brwiami, wyraźnie zirytowany opóźnieniem.

Pokazał notatkę Larze.

„Na podłogę. Leżeć. Nie ruszaj się, dopóki nie powiem. Bardzo ważne. Życie lub śmierć”.

Lara kiwnęła głową i ułożyła się na dole, zaskoczona przestronnością wnętrza. Były tam odchylane siedzenia przymocowane do przednich siedzeń, tak jakby Citroen kiedyś służył jako taksówka lub limuzyna. Potem zauważyła przyciemniane okna i stwierdziła, że to jednak limuzyna, sprzed jakichś dwudziestu lat.

Resztki domowej wykładziny przykrywały podłogę. Lara położyła się.

DeGroot przykrył ją czarną muslinową tkaniną.

Jak tylko tylne drzwi trzasnęły, silniki obu pojazdów zagrały; Lara usłyszała zgrzyt otwierających się drzwi garażu.

Pojechali. Zatrzymywali się, skręcali, jechali dalej. Silnik Citroena wibrował równo, głęboko, wyraźnie nowy i dobrze utrzymany. Przyspieszał szybko i bez wysiłku, wyboje i zakręty brał jak auto wyścigowe.

Z przodu zaczęło klikać radio, bez słów, tylko seria stuknięć, jakby ktoś w oddali wciskał przycisk nadajnika, ale nic nie mówił.

Więcej zakrętów, więcej stuknięć. Przystanek, potem regularne głuchoe odgłosy i wyższe obroty silnika wskazywały, że są na autostradzie.

- Może pani usiąść - donośny głos DeGroota zabrzmiał niemal biblijnie, kiedy wreszcie przerwał ciszę.

Lara przewróciła się na plecy i wstała. Wciągając się na siedzenie, popatrzyła przez szybę i zauważyła, że rzeczywiście

wjechali na autostradę. Zobaczyła znak E10, który właśnie mijali.

- Co się dzieje?

- Ten co dzwonił, *Maruta*, powiedział, że jedzie do nas policja, że powiedziano im, że być może pani mnie wzięła jako zakładnika. - Zaśmiał się krótko, zabrzmiało to jak kaszel. Lara rozpoznawała już ten dźwięk, DeGroot w ten sposób próbował maskować swoją wadę wymowy.

- Była to z pewnością wymówka, żeby rozejrzeć się za panią.

Z głośnika radia dobiegły trzy kliknięcia; DeGroot przechylił się, podniósł mikrofon i nacisnął klawisz odbioru.

- Za nami jedzie Falk, a ktoś za Falkiem - powiedział DeGroot. - To nie policja.

- Nie policja? - zaniepokoiła się Lara.

DeGroot pokiwał głową. - Dzięki naszemu panu *Marucie*, odegraliśmy dla policji małą scenkę. Po ukryciu pani w schowku, Falk i ja wyszliśmy z Noordem i panią VanDeventer, porozmawialiśmy o tym, jak miło spędziliśmy wieczór i że umówimy się na kawę. Była to uroczą scenka, z pewnością przekonała ich, że nic nam nie grozi. Zaproponowali, że postawią strażnika na wypadek, gdyby miała się pani pojawić, ale powiedziałem, że Falk i jego ochrona zostaną u mnie przez kilka dni i że nie ma takiej potrzeby.

Radio znowu zastukało: dwa wolne i cztery szybkie.

Zbliżyli się do zjazdu z autostrady, kierowca szybko skręcił z E10 w Plesmanlaan.

DeGroot spojrział w ciemność i powiedział: - Niedaleko jest moje laboratorium. Ten region jest znany jako Leeuwenlioek. Stąd pochodził Holender, który wynalazł mikroskop. - Przerwał. - Lubię powiew historii i poczucie ciągłości dziejów, jakie odczuwam, pracując tu.

Citroen jechał dalej, teraz wolniej. W głośniku znów rozległy się trzy stuknięcia.

- Ciągłe są za nami. - powiedział DeGroot. - Nie ma wątpliwości, że jesteśmy śledzeni.

Jechali przez kilka minut w ciszy, rozmyślając o pościgu. Citroen przejechał przez rondo. Minęli dworzec kolejowy, potem skręcili w ulicę o kolejnej nazwie, na której można połamać sobie język: Wiłem DeZwijerlan.

Kolejne trzy nagłe stuknięcia w głośniku. Citroen skręcił w lewo, w wąską uliczkę. „Leidseweg” głośił napis na tablicy. Chwilę potem trzy stuknięcia, pauza, i jeszcze dwa.

- Ciągłe są za nami - powiedział DeGroot. - Dwa samochody.

Lara spojrzała przez przyciemnioną tylną szybę i zobaczyła reflektory trzech pojazdów.

- Ale niedługo - powiedział DeGroot jakby z satysfakcją i niecierpliwością.

- Teraz Noord i VanDeventer zajmą pozycję - powiedział niezrozumiale. - Ćwiczyliśmy to bardzo długo, chociaż nie sądziliśmy, że kiedyś będzie okazja użyć tej sztuczki.

Lara spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Proszę poczekać - powiedział DeGroot. - Wkrótce pani zobaczy, jak mysz walczy z tygrysem.

Rozdział 40

Nocna mgła zebrała się na polderze Boterhuis na wschód od Leiden, tocząc się nad wodami rzeki Joppe i układając się na zamkniętych gołbami polach jak kołderka.

Smugi mgły, unoszone lekkim wiatrem, rozsnuwały się, tworząc jakby świetliste postaci, sunące leniwie przez wąskie Leidseweg. Były to owe słynne, odwieczne poltergeisty, co po

niemiecku znaczy „duchy polderów”. Holendrzy nazywali je *poldergeests*.

Przygarbiona na tylnym siedzeniu wynajętego mercedesa z wyłączonymi reflektorami, Sheila Gaillard mrużyła oczy, koncentrując się na tylnych światłach auta jadącego przed nią. Nie zastanawiała się nad faktem, że właśnie przejeżdża przez miejsce, gdzie narodziła się postać zadomowiona w mitologiach narodów całego świata. W mercedesie była tylko ona i kierowca, flamandzki Belg, wypożyczony z NATO.

Jakieś pół mili przed nimi we mgle jechało wynajęte bmw, a za nim, kolejne pół mili, widać było światła masywnego, ciemnego chevroleta suburba. Na samym przedzie, jeszcze dalej, ledwie teraz widoczny, jechał pokiereszowany citroen.

- Kurwa - nie wytrzymała, kiedy tylne światła śledzonych aut znów znikły we mgle. Kierowca zwolnił.

- Szybciej! - warknęła Sheila.

- Ale jest ciemno, nie mam świateł - marudził kierowca. - Możemy zginąć.

- Właśnie, możemy- ryknęła Sheila. - Słusznie. - Przerwała, złapała jego spojrzenie w tylnym lusterku. -Ale jeśli ich zgubisz, zginiesz z całą pewnością.

Uśmiechnęła się.

- No, powolutku.

Mercedes ruszył do przodu i wypadł z mgły.

Gaillard nie miała żadnej satysfakcji ze swego chwilowego zwycięstwa nad kierowcą. Palilo ją upokorzenie, jakim był dla niej widok DeGroota wychodzącego z domu, śmiejącego się z sugestii, że może być w niebezpieczeństwie. W dodatku policjanci też się z nim śmiali... z niej.

Nie chcąc już dłużej znosić upokorzenia, Sheila kazała im się wysadzić przy dworcu kolejowym, gdzie złapała taksówkę i

pojechała z powrotem do swojej ekipy obserwującej dom De-Groota. Dwie załogi, skompletowane w pośpiechu z ludzi o nierównych umiejętnościach, który nigdy wcześniej ze sobą nie pracowali. Źle wyekwipowani i nieliczni.

- Niech to cholera - pomrukiwała Sheila. Kierowca rzucił jej zmartwione spojrzenie, które niemal ją rozśmieszyło. - Kurwa.

Mając za sobą pieniądze i wpływy Kuraty, nigdy nie narzekała na brak ludzi i środków, ale teraz wypadki biegły zbyt szybko, żeby przygotować się dobrze do akcji w kraju, gdzie ludzie są straszliwie nieprzekupni. Pieprzone Holendry ze swoją dumą i chorym poczuciem obowiązku. Nie byli aniołami, ale - myślała z zalem - nie bez przyczyny organizacja Kuraty miała tu mniej wsparcia niż gdziekolwiek indziej na świecie.

- Pieprzone Holendry - powiedziała na głos, ignorując spłoszone spojrzenie kierowcy. Przyspieszył, sądząc, że o to jej chodziło.

I pieprzony Kurata. - Zachować pozory współpracy, mruknęła. Niech cię, Tokutaro. Podwójny pech: nie ma środków i nie ma postępów. A kiedy zgubią tę żdzirę Blackwood, to mnie będzie się czepiał.

Poruszyła się na siedzeniu, próbując rozciągnąć zdrętwiałe mięśnie łydek i ud. Tyle się nasiedziała, tyle nieróbstwa.

- A to co? - zapytała, kiedy przed sobą zobaczyła światła hamulców: najpierw suburbana, potem bmw. - Zwolnij.

Po chwili radio na siedzeniu obok Sheili zaszumiało, najpierw sygnał kodu, potem głos.

- Suburban się zatrzymał - powiedział głos z bmw.

- To ty się też zatrzymaj - Sheila myślała prędko. - Jeśli nie ruszą w ciągu kilku sekund, zawracaj i czekaj gdzieś w pobliżu Leiden. Nie chcę, żeby cię zaatakowali.

- Zrozumiałem.

Sheila kazała kierowcy zjechać na mały zjazd przy stacji pomp. Ukrywszy mercedesa za tą niewielką budowlą, Sheila wyszła i patrzyła na scenę, która rozgrywała się przed nią. Kiedy tylne światła citroena zniknęły w ciemności, BMW zawróciło i minęło ich. Chwilę potem światła hamulcowe suburbana zgasty, Sheila rzuciła się pędem do mercedesa.

- Szybko teraz - rozkazała, trzaskając drzwiami. - Najszybciej, jak się da.

Tnąc mgłę, mercedes podskakiwał na wąskiej wyboistej drodze; tylne światła suburbana uciekały szybko. Wjechali do małej wioseczki Wamond.

- Nie podjeżdżaj za blisko - rozkazała Sheila, szukając na drodze citroena. Tam musiała być Blackwood i reszta dupków z *Shinrai*.

- Chyba nie są tacy głupi w tym chevrolecie, żeby nas doprowadzić do tego drugiego auta teraz, kiedy go nie widać? - Kierowca głośno wypowiedział myśl, której Sheila unikała.

Zignorowała go.

Kurwa, pomyślała, kiedy suburban wyjeżdżał z drugiego końca wioski, jadąc powoli, jakby nieświadom ogona. Pojawiły się drogowskazy do przystani jachtów. Złe przecucie mówiło jej, że może w tej chwili Blackwood wsiada na pokład łodzi i wtedy szukaj wiatru w polu.

- Za nimi - zdecydowała Sheila. - Nie mamy nic do stracenia.

Kierowca wzruszył ramionami.

Wieś się skończyła, droga skręciła ostro i na chwilę stracili suburbana z oczu. Kiedy mercedes wyjechał z zakrętu, Sheila zobaczyła ze zgrozą, że suburban przejeżdża przez mały most zwodzony, który zaraz potem zaczął się podnosić.

- O w mordę!

Suburban zniknął pod drugiej stronie mostu.

- Sukinsyny.

Kiedy mercedes zatrzymał się przed mostem, Sheila wysiadła. Tablica informacyjna głosiła „Molensloot”, była to pewnie nazwa tego pozał się Boże kanału, który można by przesadzić jednym susem.

Do mostu powoli zbliżała się łódź kabinowa. Oczywiście, musi płynąć powoli, pomyślała Sheila, stojąca w cieniu mostu. Teraz zesza nad wodę, a łódź się zbliżała. W świetle księżycy zauważyła jej numer rejestracyjny. Wtedy po raz pierwszy tego wieczora uśmiechnęła się.

Rozdział 41

Świt zastał samolot KLM 747 czterdzieści tysięcy stóp nad syberyjską tundrą, na północny zachód od jeziora Bajkał. Wewnątrz, na pierwszym pokładzie, z przodu kabiny pierwszej klasy, łagodny pisk cyfrowego zegarka Akiry Sugawary wyrwał go z koszmaru. Kurata testował na nim nowe ostrza: odcinał mu palce rąk i stóp, odrąbywał nogi i ręce, po jednym calu. Każdy bolesny cios powodował strumienie krwi i krzyki Sugawary, który błagał Kuratę, by raczył z tym skończyć i po prostu go zabił. Każdą prośbę Kurata witał drwiącym śmiechem, a przy każdym nowym mieczu ciało Sugawary goiło się i tortura zaczynała się od nowa.

Sugawara wyrwany nagle ze snu, wciąż czuł strach, a kończyny wciąż pulsowały wyśnionym bólem. Z trudem otwierając sklezione oczy, Sugawara zobaczył obok siebie wolne miejsce. Reszta części dla niepalących była prawie pusta, czyste powietrze, którym tu oddychał, kończyło się raptownie cztery rzędy dalej za nim, gdzie kłębił się już papierosowy dym, wydychany przez przeważnie japońskich pasażerów.

Chwytnąjąc głęboeki oddech, Sugawara przełknął strach, usiadł prosto i sprawdził zegarek: 8:51 rano według czasu tokijskiego. Przetarł dłońmi twarz, przycisnął klawisz prostujący oparcie fotela i wezwał stewarda.

Dopiero wtedy pochylił się i wymacał termos w specjalnym pojemniku. Termos bez kłopotu przeszedł kontrolę i prześwietlenie na lotnisku, a potem wpasował się w przestrzeń pod fotelem lotniczym - śmierć w bagażu podręcznym.

Wyprostował plecy i sięgnął po telefon. Czy już wszystko odkryli? Czy zaalarmowano tych w Amsterdamie, żeby go odpowiednio przywitani? Akira wybrał numer w Tokio, wpisał nazwę użytkownika i hasło, żeby przesłuchać pocztę głosową, gdzie Gaillard zostawiała meldunki dla niego i Kuraty. Zmarszczył brwi, słuchając o postępach tej strasznej kobiety. Jej sukcesy były jego porażką.

- *Hai* - zapytał steward. - W czym mogę pomóc?

Sugawara spojrział na wysokiego blondyna w mundurze KLM. Posługiwał się doskonałą japońszczyzną. Zawsze zaskakiwali go ci Holendrzy, ze swoją zdolnością do języków, do przyswajania obcych kultur. „To bardzo dobrze dla biznesu” - powiedział mu kiedyś przedstawiciel Philipsa na konferencji elektronicznej w Tokio. „Nie ma sensu robić interesów z ludźmi, jeśli się nie zna ich języka, nie rozumie ich kultury”.

Sugawara grzecznie skłonił się stewardowi, jednocześnie szukając w poczcie wskazówek, czy Gaillard i Kurata są już na jego tropie. Po chwili rozłączył się.

- Zdaje się, że przespałem śniadanie - powiedział Sugawara, odkładając telefon na miejsce. - Czy mogę prosić o kawę?

- Oczywiście - odparł steward. - Czy życzy pan sobie pełne śniadanie? Czekam na pana.

- Tak, bardzo proszę o śniadanie - Sugawara znów spojrział na zegarek: 8:53. Relacja telewizyjna z uroczystości w Tokio

powinna się była już zacząć, ale Kurata nie wystąpi przed dziewiątą. Sugawara przyciągnął mały osobisty ekran telewizyjny przymocowany do oparcia, ustawił go i włączył.

Najpierw ekran pokazał prędkość, pozycję samolotu, czas lokalny i temperaturę na zewnątrz. Potem mapę z małą ikoną samolotu, pokazującą pozycję nad Syberią.

Przeskakując z kanału na kanał, Sugawara szybko odnalazł satelitarny program z Tokio. Obraz był mętny i niewyraźny, ale znośny, na ekranie pojawił się pasek informacji, przepaszający widzów za zakłócenia odbioru spowodowane aktywnością Słońca.

Na ekranie zobaczył długie sznury limuzyn zaparkowanych w pobliżu wejścia do świątyni Yasukuni. W tle mała grupa demonstrantów krzyczała: „Nie ma przebaczenia dla zbrodniarzy wojennych! Precz z rządem!”. Obraz przesunął się na pochód odświętnie ubranych mężczyzn, zbierających się na pustej przestrzeni obok hotelu Kudan Kaikan.

Sugawara założył słuchawki. Komentator telewizyjny wyjaśniał widzom, że ponad 400 z 751 członków parlamentu - włączając w to większość członków gabinetu - właśnie zakończyło modlitwę w świątyni Yasukuni za japońskich poległych wojennych. Teraz wszyscy udawali się na ceremonię poświęcenia gruntu pod Dom Modlitwy Pamięci Poległych Wojennych. Według komentatora, najpierw nastąpi szinto-istyczna konsekracja placu budowy, potem przemówienie Tokutaro Kuraty, prezesa Daiwa Ichiban, który przekazał na ten cel sto dwadzieścia pięć milionów dolarów.

W głosie komentatora zabrzmiał podziw, kiedy mówił: „Kurata jest dobrze znany wszystkim Japończykom jako obrońca Yamato”. Na ekranie pojawił się Kurata z premierem, w otoczeniu członków gabinetu.

Komentator rozwlekle mówił na temat drogi życiowej Ku-

raty, od wojennego *kamiakaze* do najzamożniejszego człowieka Japonii i głównego obrońcy „wyjątkowej kultury naszego narodu”.

Kamera zgubiła Kuratę i natychmiast pokazano front świątyni Yasukuni.

„Oto ludzie, dla których Kurata toczył swoje bitwy”, mówił komentator. Na ekranie masy szarych wyznawców. Pośród nich weterani drugiej wojny światowej, wystrojeni w galowe mundury, maszerowali po schodach w ścisłym szyku, wrzucali monety do skrzynek ofiarnych i klaskali w ręce, by wezwać duchy swych poległych towarzyszy. Otaczali ich ludzie w cywilnych ubraniach.

„Zebrani zadają weteranom wiele pełnych podziwu pytań”, powiedział komentator. „Ciekawi, w większości zbyt młodzi, by pamiętać Wielką Wojnę na Pacyfiku, zapytują starych weteranów, za co otrzymali swoje medale, w jakich bitwach brali udział, ilu zabili Amerykanów?”.

„Ich zainteresowanie wojną, której nie mogą pamiętać” - rzekł komentator bardziej uroczystym tonem, „jest świadectwem wysiłków Kuraty i Stowarzyszenia Rodzin Poległych, a nowy Dom Modlitwy będzie dla nich olbrzymim pomnikiem”.

Pomnikiem zbrodni, pomyślał Sugawara ze złością. Poczuł się winny, że jest Japończykiem, genetycznie obciążonym złem, przez pokrewieństwo z Kuratą.

„Niech cię szlag!”, pomyślał Sugawara, kiedy kamery jeszcze raz pokazały Kuratę idącego przez rój ludzi i wchodzącego na podium.

Nie ma czegoś takiego jak genetyczne obciążenie winą, nie ma genu przekazującego złą karmę poprzednich pokoleń. To, że Kurata jest zły, to że jego krewni postępują źle, nie znaczy, że on, Suagwara, jest także zły. „Wydaje się raczej”, myślał, kiedy tłum cichł przed przemówieniem Kuraty, „że społeczeństwa

mają swoje kulturowe genomy - swoiste cechy i obyczaje, uprzedzenia, normy i wierzenia - które są przekazywane potomkom prawie tak jak geny". I być może w tym kulturowym genie znajduje się gen winy i zła. Stadne myślenie i uległość japońskiego społeczeństwa sprzyjały kwitnieniu zła, bo potępiały każdego człowieka sprawiedliwego, który próbował się im przeciwstawić.

Krew zaszumiała mu w uszach jak wiatr w jesiennych liściach. Sugawara znał jedyny sposób na uleczenie się z kulturowego zła, które go zainfekowało: postępowanie według własnych decyzji i przekonań. Musi przestać słuchać stada i przyjąć osobistą odpowiedzialność za swoje czyny. Oznaczało to, że musi skończyć z dotychczasowym życiem, które go tak pieściło. Przygryzł wargi, kiedy Kurata zaczął przemowę pełną znajomych frazesów.

- Japonia znów toczy wojnę - mówił Kurata bez notatek. Telewizja pokazała entuzjastyczną reakcję tłumu.

- Ponad pięćdziesiąt lat po naszej honorowej wojnie o wyzwolenie Azji spod władzy białego człowieka, znów toczymy wojnę przeciwko siłom, które chcą rozerwać nasz kraj i splamić honor naszych bliskich, poległych w bitwach tej sprawiedliwej wojny, przeciwko rewizjonistom, którzy głoszą kłamstwa na temat roli naszego wielkiego narodu.

- Być może fizycznie przegraliśmy Wojnę o Wielką Azję Wschodnią - ciągnął Kurata - ale spójrzcie, co osiągnęliśmy: nie ma już holenderskiej Indonezji, nie ma amerykańskich Filipin, nie ma francuskich Indochin ani brytyjskiej Malezji, Birmy, Singapuru.

Od tłumu doszedł aplauz.

- Było to naszą ogromną zdobyczą - kontynuował Kurata. - Osiągnęliśmy swój cel stworzenia Azjatyckiej Strefy Współdobrobytu wielkim kosztem i poświęceniem naszego narodu. Ale

wrogowie, zarówno w naszym społeczeństwie jak i za granicą, uparcie zaprzeczają prawdzie, umniejszają nasze sukcesy.

Steward przyniósł śniadanie i ustawił je na tacy przed Sugawarą. Jego obojętne oczy spoczęły na ekranie telewizora, potem na twarzy Sugawary i uciekły w bok. Sugawara poczuł wstyd.

„Nie jestem taki, jak myślisz”, pomyślał. Chciał powiedzieć: „Nie jestem jednym z nich”.

- Czy coś jeszcze podać? Sugawara potrząsnął głową.

- Ci wrogowie, podburzani przez cudzoziemców i innych nieczystych ludzi, stworzyli stek śmiesznych kłamstw, które mają wspierać ich sprawę: A gwałt Nankinu, Marsz Śmierci w Bataan, wymordowanie milionów Chińczyków i innych Azjatów, zmuszanie do prostytucji i tak zwane zbrodnie medyczne? - Tłum ucichł, opuszczając szczęki na tak jawną wzmiankę o tych delikatnych sprawach.

- To kłamstwa - oświadczył Kurata spokojnie. - To historia pisana przez zwycięzców, stworzona, by usprawiedliwić ich próby zniszczenia naszej kultury. Nie udało się. To kłamstwa! Kłamstwa!

Tłum wiwatował, wznosząc okrzyki „*Banzai!*”. Sugawarze zrobiło się niedobrze; napił się soku pomarańczowego, nie mógł jeść.

Tłum nie mógł się uspokoić przez dobrą minutę.

- Dlatego zebraliśmy się dziś tutaj - powiedział Kurata. - Nasz nowy Dom Modlitwy Pamięci Poległych Wojennych zaświadczy o prawdzie, opowie naszą prawdziwą historię. Wzniesie się na dwieście stóp nad tą uświęconą ziemią, obok fosy Pałacu Cesarskiego i naprzeciwko Budokan, gdzie nasz boski cesarz co roku 15 sierpnia przewodzi ceremonii upamiętniającej koniec Wojny o Wielką Azję Wschodnią. Wzniesie się tak wysoko, żeby ukazać prawdę, zdemaskować ich kłamstwa, roztoczyć zasłużoną chwałę, uczcić poległych na wojnie, którym za-

wdzięczamy więcej niż zdołamy odplacić w dziesięć tysięcy lat.

Tłum wiwatował.

- Przy waszej pomocy spowodujemy, że parlament nie wyda upokarzających przeprosin, które zhańbiłyby naszych poległych - ciągnął Kurata. - Przepraszać! Zadufani anglosascy rasiści sami powinni przeprosić nas za to, że postawili nas w takiej sytuacji, że musieliśmy bronić siebie i całego świata azjatyckiego.

Znów okrzyki „*Banzai!*”.

W dali za Kuratą, na bezchmurnym niebie pojawiły się znaki. „Chwała cesarzowi” przeczytał. „Cześć obrońcy Yamato”.

Sugawara poczuł ściskanie w dołku na widok dryfujących po niebie liter; teraz są jeszcze nieszkodliwe, za kilka dni staną się zabójcze.

W tej chwili poczuł się jak zawieszony w potwornej pustej otchłani. Nigdy w życiu nie czuł się tak osamotniony, tak daleki od pomocnych dłoni przyjaciół i rodziny, tak wyizolowany od wsparcia, które daje społeczeństwo. Gdyby teraz upadł, nikt by go nie podtrzymał.

Pośród wiwatów Kurata ustąpił miejsca na podium kapłanowi, który miał dokonać poświęcenia gruntu. Sugawara przypomniał sobie swoje dzieciństwo, rodziców, proste czasy, kiedy decyzje podejmowali za niego inni, a za nich z kolei stadne społeczeństwo.

Czuł wyrzuty sumienia z powodu hańby, jaką sprowadził na rodzinę i niełaski, w jaką przez niego popadną. Pomyślał o odwecie, jaki weźmie na nim Kurata, jeśli go złapie na zdradzie. Z doświadczenia wiedział, że jego najgorsze koszmary są niczym w porównaniu z prawdziwą karą, jaką wymyśli dla niego Kurata.

Bał się. Uczono go, że samuraj jest nieustraszony, że odwaga rodzi się, gdy wygna się strach.

Przelatując nad Syberią, Sugawara zastanawiał się, czy naprawdę można nazwać odwagą pozornie bohaterские czyny, które wynikają z tego, że nie ma innego wyjścia. On z pewnością nie miał odwrotu: to wiedział już na pewno, nawet jeśli Kurata pozostawał jeszcze w nieświadomości.

Myślał też o Holandii, o zamrożonej śmierci podróżującej z nim pod siedzeniem fotela, o Larze Blackwood i Sheili Gailard. Zrozumiał, że porwał się na skok nad otchłania.

Pozostawało pytanie: czy zdoła przeskoczyć otchłani, czy też spadnie na dno?

Rozdział 42

Gęsta mgła zaczynała się w ciemności - na nocnym niebie - i kończyła także w ciemności, w spokojnych wodach Bóg jeden wie gdzie. Pomiedzy był rodzaj błotnistej szarości, mrok, w którym niełatwo się poruszać. Lara Blackwood wyobrażała sobie, że życie większości ludzi jest właśnie takie.

Siedziała na rufie małej łodzi motorowej z włókna szklanego, z bliźniaczymi, cicho pracującymi silnikami przyczepnymi na rufie, połączonymi kablem ze sterem i tablicą kontrolną pośrodku łodzi. U steru stał DeGroot, Falk u jego boku. Ledwo było ich widać w mroku.

Przez blisko cztery godziny DeGroot pilotował łódź przez niekończące się ciągi śluz i kanałów, trzęsawisk i grobli, stawów, jezior, przepławek. Tylko od czasu do czasu spoglądał na mapę i GPS.

Łódź przepłynęła chyba pod setką mostów i od dłuższego czasu poruszała się równolegle z drogą szybkiego ruchu pełną samochodów, choć w tej chwili niewidoczną z powodu mgły.

Wąski kanał rozszerzył się i skończył; DeGroot zawrócił i wyłączył silniki; łódź dryfowała ku niskiej przystani i uderzyła

delikatnie o stare opony samochodowe przymocowane do brzegu. Lara milczała.

Falk i Lara przycumowali łódź do nadbrzeża, w powietrzu dawał się wyczuć dym palonego drewna.

Wszyscy poszli za DeGrootem po drewnianej kładce ułożonej na bagnach. Biały, dwupiętrowy dom wyłaniał się stopniowo z mgły. Podeszli do zadaszanej werandy oświetlonej energooszczędną żarówką, drzwi otworzyły się, rzucając jasne światło z wnętrza.

- Dobry wieczór - odezwała się czarna na tle drzwi postać. - Wejdźcie i rozgrzejcie się.

Lara weszła za wszystkimi i przedstawiono jej Bernarda Claesa, hodowcę tulipanów i pracownika rządowego.

- Jesteśmy na działającej farmie tulipanów i innych kwiatów cebulkowych. Przynosi spore zyski - powiedział Falk. - Tak się tylko składa, że należy do holenderskiego rządu.

- Bezpieczna siedziba - dodał. - Na konferencje, tajne spotkania i tego rodzaju sprawy.

W salonie niebieskawy blask ekranu telewizora odbijał się od ścian, w rytm głosu prezentera wiadomości. Na głos dziennikarza nakładał się szum pracującego komputera. Szczapy na kominku trzaskały i posykiwały.

Lara spojrzała w telewizor; na ekranie pojawiła się wąska, brukowana uliczka. Kamera drżała, były to zdjęcia amatorskie. Pomimo kiepskiej jakości, Lara natychmiast rozpoznała fasadę Casa Blanca, hotelu w Amsterdamie. Ogarnęło ją przerażenie.

Głos zza kadru wyjaśniał, że film uzyskano od przypadkowego turysty, który tego ranka wyszedł na spacer i znalazł Santiago Rodrigueza wbitego jak na pal na wysoki na dwie stopy słupek uliczny - Amsterdamje.

Larze zakręciło się w głowie, ściany pokoju zachwiały się i runęły na nią, światło zaczęło razić, kiedy słuchała, jak mówią

o Rodriguezie: renomowany hotelarz, szanowany obywatel Amsterdamu, lider europejskiej społeczności gejowskiej.

Poczuła mdłości, kiedy prezydent beznamytnie opisywał, że Rodrigueza znaleziono jeszcze żywego, z wbitym w odbyty słupek, którego ostry koniec sięgał niemal serca.

Rodriguez zmarł po siedmiu godzinach operacji. Był bardzo silny, bronił się. Policja twierdzi, że pod jego paznokciami znaleziono krew i fragmenty tkanek co najmniej czterech osób.

- Dobry Boże - powiedziała Lara głośno. To ona zabiła Rodrigueza. To ona doprowadziła zabójców do Casa Blanca. Teraz wysyłali jej wiadomość, co się stanie z innymi, którzy jej pomagają.

Rozdział 43

Ciężar wydarzeń uderzył Akirę Sugawarę jak twarda, stalowa pięść, dukająca go w żołądek, odbierająca dech w piersi.

Zamknięty w toalecie na lotnisku w Schiphol, Sugawara klęczał przed sedesem i w falach mdłości pozbywał się resztek posiłków serwowanych na pokładzie.

Charczał i pluł. Fala mdłości minęła.

Oderwał kawałek papieru toaletowego, wytarł usta i przełknął gorzko-kwaśny smak w ustach, znów patrząc na swój specjalny termos.

Nieprawdopodobna sytuacja, w jakiej się znalazł, rozstroiła go całkowicie. Cóż on sobie wyobrażał? Jak mógł wykraść Kuracie ampułki? Wytropią go teraz i zabiją. Kobieta wąż, Sheila Gaillard, będzie go torturować całymi godzinami... całymi dniami...

Czy już odkryli jego zdradę? Czy zaalarmowano wszystkich? Czy kiedy przekroczy próg biura Daiwa Ichiban w Schiphol znajdzie tam śmierć, która go wyprzedziła?

Pochylił się w ataku suchych mdłości, potem przysiadł na piętach.

Jak mógł być tak potwornie głupi?

Jakiś głos w jego głowie mówił mu, że jedyną nadzieją jest teraz skontaktować się z Kuratą, wyznać wszystko, zwrócić skradzione fiołki Niszczyciela i zdać się na łaskę Kuraty.

Ale Kuratą nie był litościwy.

Najlepszą rzeczą, jaka mogłaby się teraz zdarzyć, byłaby cicha, nieunikniona śmierć i hańba.

Trzęsąc się, Sugawara wstał i splukał toaletę. Potrząsnął głową. Za daleko już zabrął, żeby zawracać. Stanął nad otchłanią i skoczył. Teraz jego życie zależało od krzywej lotu, która ginęła gdzieś w nieznannej dali. Leciał, nie wiedząc, co go czeka.

Wychodząc z toalety, przeniósł swoje bagaże pod umywalki. Ochlapał twarz, przepłukał usta, uważając, by nie zabrudzić garnituru.

Przeczesał włosy i spojrzal na zegarek. Tłumacz i kierowca, z którymi był umówiony, wkrótce będą czekać przed lotniskiem. Miał się podawać za naukowca przewożącego próbki nasienia byków. Znaleźli dla niego bank spermy i punkt inseminacyjny o pół godziny drogi od lotniska. Tam, jak mu powiedziano, chętnie uzupełnią zapas ciekłego azotu w jego specjalnym termosie.

Dopiero wtedy będzie gotów, by pojawić się w biurze Daiwa Ichiban.

Biorąc głęboki oddech, Sugawara spojrzal po raz ostatni na swoje odbicie w lusterku i wyszedł z toalety, żeby się przekonać, dokąd zawiedzie go trajektoria jego życia.

- Słowa nas oszukują, Matsue-san.

Tokutaro Kurata przerwał długą, medytacyjną ciszę. Siedział na prostej kamiennej ławie obok zgarbionej postaci Toru Matsue, starego sługi rodziny, który nauczał młodego Akirę za-

sad Nihonjinron po jego powrocie z Ameryki. Dwaj panowie przybyli do Kioto, żeby nacieszyć oczy wspaniałymi barwami jesiennych liści i przy medytacji odpocząć od zamieszania w Daiwa Ichiban.

- Czasami zdaje mi się, że przedkładamy słowa nad prawdziwe myśli - mówił dalej Kurata, a nikły, chłodny wiaterek szeleścił w pojedynczym krzewie bambusa w kamiennym ogrodzie.
- W aktywnym działaniu nie wolno zagubić celu.

Umilkł, patrząc na ogród krajobrazowy Daisen-in. Założony w 1529 przez poetę, malarza i mistrza parzenia herbaty Soami, z ciemnymi urwistymi skalami i piaszczystymi ścieżkami, zgrabionymi tak, by przypominały nurt rzek. Iluzja gór i strumieni, iluzja ziemi, iluzja życia. Po piasku sunęły kamienne łodzie.

- Pan Sugawara to zagubiony młody człowiek - powiedział w końcu Matsue. - Obawiam się, że styczność z Amerykanami sprawiła, że z trudem przystosowuje się.

Kurata skinął głową w milczeniu.

- To dobry chłopiec - mówił Matsue. - Chciałby pana zadowolić, postępować słusznie.

- Ale pogubił się, bo czasami wątpi, czy zadowalanie mnie i słuszne postępowanie to jedno i to samo. - Kurata odwrócił się i popatrzył starcowi w twarz.

- *Hai*, Kurata-sama - powiedział Matsue. - Jak zawsze, jest pan bardzo spostrzegawczy.

Znów Kurata kiwnął głową, przyjmując należną pochwałę.
- Prawda zawsze leży blisko. Żeby ją znaleźć, musimy porzucić słowa, logikę, metafizykę i szukać oświecenia. Inaczej stajemy się jak ci ludzie, którzy stojąc po kolana w wodzie, giną z pragnienia.

Matsue milczał. Popołudnie przechodziło w wieczór, chłodny wiatr zdawał się wywiewać światło dnia jak dym. Zadrzał, ale nie tylko z zimna; zbliżało się coś mroczniejszego niż noc.

Kurata odwrócił się ku bramie ogrodu i wykonał serię gestów. Po chwili jeden ze strażników przyniósł mały koc i ułożył go na ramionach Matsue.

- Wielkie dzięki, Kurata-sama. Lata robią swoje. Kurata skinął głową. - W świecie słów i logiki, Akira sprawdza się dobrze, pomimo tych wewnętrznych konfliktów. To co możemy zobaczyć i opisać, nie sprawia nam kłopotu. - Znowu popatrzył na ogród, jakby szukając w nim odpowiedzi. Wiatr znów zerwał się, silniejszy, zimniej szy.

Siedzieli w milczeniu przez ponad pół godziny, a resztki dnia znikwały powoli z nieba. Kiedy Kurata znów się odezwał, w jego głosie brzmiała stanowczość.

- Przeczuję zmartwienia, stary przyjacielu. Czuję podskórnie coś, czego nie potrafię wyrazić słowami. Boję się, że być może zbyt wcześnie obdarzyłem go tak dużym zaufaniem. - Przerwał.

- Nie udało mi się wpoić mu właściwych zasad - powiedział Matsue.

Kurata potrząsnął głową. - Najlepszy ogrodnik nie wyhoduje kwiatów na jałowej skale. Nie, wydarzenia ostatnich kilku dni dały mi wiele do myślenia. Mogę tylko powiedzieć, że powinniśmy bardzo bacznie śledzić poczynania naszego młodego Sugawary. Prześledzić jego kroki, przyjrzeć się temu, co robił w ciągu minionych dni i tygodni, ustalić, czy istnieją uzasadnione przyczyny mojego niepokoju, którego nie umiem ująć w słowa.

Wstając, Kurata wyciągnął dłoń do Matsue. Starzec ujął ją z wdzięcznością i podźwignął się. Koc zsunął się z jego ramion na ziemię. Kurata podniósł go i zarzucił z powrotem na zgarbione plecy.

- Tylko czas pokaże, czy młody Sugawara sprostą przeznaczeniu, które może mu przypaść w udziale - powiedział Ku-

rata. - Mógłby być spełnieniem wielkości Yamato minzoku, przyjąć na siebie obowiązek swego urodzenia. Jesteśmy shido minzoku, to my, nasz ród, jesteśmy światłem przewodnim tej wyjątkowej, czystej rasy. - Odwrócił się ku bramie ogrodu, dostosowując krok do szurania Matsue.

- *Yamato minzoku* trwa w sile, ponieważ jesteśmy czysti - powiedział Kurata. - Jesteśmy czysti, bo jesteśmy odporni na skażenie. Albo Sugawara wzniesie się na wyżyny, albo musi umrzeć. Na drodze czystości nie ma innego wyboru.

- *Hai*, Kurata-sama.

Rozdział 44

Świst aluminiowego kija bejsbolowego tnącego powietrze, cios i długie, bolesne zawroty głowy starej kobiety, przechodzącej piekło. Beatrix VanDeventer zwinęła się z bólu na zimnej betonowej podłodze piwnicy swego domu i błagała o litość.

Sheila Gaillard zaśmiała się i dźgnęła ją końcem kija. VanDeventer znowu jęknęła.

- Możemy cię trzymać przy życiu przez całe dni - powiedziała Gaillard. - Horst się na tym zna. - Spojrzała w bok na Horsta Von Neumana, stojącego w cieniu klatki schodowej. Na górze usłyszała kroki swoich ludzi, przeszukujących dom w poszukiwaniu cennych wskazówek.

- Zlitujemy się nad tobą, jeśli wymienisz nazwiska reszty członków waszej żalostnej siatki.

VanDeventer jęknęła.

Sheila potrząsnęła głową i zamachnęła się kijem. - Jak chcesz.

Zadzwonił telefon komórkowy Sheili. Dzwonek sygnalizował połączenie kodowane. Jego delikatne tony niemal gubiły się w przepastnej piwnicy.

Sheila opuściła dwudziestopięcioletnią sztangę, którą wcześniej połamano golenie VanDeventer i sięgnęła po telefon.

- Zostaw mnie na chwilę - rozkazała Horstowi. - Idź na górę i zobacz, jak im idzie. Muszę mieć potwierdzenie informacji tej starej sukki, upewnić się, że nie wprowadziła mnie w błąd.

Telefon zadzwonił jeszcze raz; błaganie starej kobiety o śmierć ledwo już było słychać. Von Neuman zaczął wspinać się po schodach, wlokąc za sobą długi cień.

Gaillard wytarła spocone dłonie, podeszła do torebki, i spojrzawszy na mapę, gdzie zaznaczyła miejsce pobytu tej dziwki Blackwood, odebrała telefon. - Tak?

Po chwili: - Kurata-sama, jak to dobrze, że pan dzwoni.

Stała, spoglądając na pokiereszowane ciało VanDeventer, rozkoszując się jednym uchem jej charczeniem, drugim odbierając dobre wiadomości od Kuraty. Uśmiechnęła się.

Sugawara jechał powoli dobrze utrzymaną, wysadzaną drzewami ulicą. Zwolnił, zbliżając się do masywnego, trzy-piętrowego budynku z cegły. Zaparkował wynajęte volvo, raz jeszcze spojrzął na mapę i kartkę z ręcznie wypisanymi wskazówkami, którą dali mu ludzie Sheili w biurze Daiwa Ichiban w Schiphol. Zwracali się do niego z szacunkiem, nie kazano go zatrzymać, ani odesłać z powrotem do Tokio, ani, co byłoby najgorsze, nie oddali go w ręce kobiety węża.

Mimo to strach go nie opuszczał. Spoglądał na siedzenie pasażera, na małą niebieską lotniczą torbę z logo KLM, którą kupił na lotnisku. Na dnie spoczywał termos z Niszczycielem, wtłoczony między gazety, bluzę, przybory toaletowe. Sheila Gaillard była szybka i nieprzewidywalna, a on był przygotowany, by dotrzymać jej tempa.

Dom z ciemnej cegły stał nieco z dala do ulicy, oddzielony od niej szerokim, otoczonym drzewami trawnikiem z pięknymi

klombami. Wysoki płot z kutego żelaza ze średniowiecznymi ostrzami biegł wzdłuż chodnika. Dobrze mieszkają sędziowie Trybunału Światowego, pomyślał.

Brama wjazdowa była otwarta, prowadziła do brukowanej alejki otoczonej krzewami. Sugawara zaparkował swoje volvo za stojącym tam mercedesem i BMW.

Wysiadł, przerzucił torbę przez ramię i wszedł na szerokie schody; drzwi otwarły się, zanim nacisnął dzwonek. Wysoki, chudy mężczyzna -jeden z ludzi Kuraty - pokiwał głową. Sugawara wszedł do środka.

- Proszę za mną - powiedział uprzejmie z niemieckim akcentem.

- Tak jest.

Szli bocznym korytarzem. Na podłogach leżały wytarte perskie dywany, na ścianach wisiały portrety olejne, jak sądził, przodków VanDeventer.

Na końcu korytarza, chudy Niemiec otworzył drzwi na zewnątrz, od których wiodły schody w dół. Nic w dotychczasowym życiu Sugawary nie przygotowało go na scenę czystego horroru, jaka go przywitała u stóp tych schodów.

Najpierw uderzył go zapach - miedziany zapach strachu zmieszany z amoniakowym smrodem ludzkich odchodów. Kiedy jego oczy przywykły do mętnego światła, zobaczył wymęczone, spuchnięte, pobite ciało Beatrix VanDeventer, rozciągnięte na betonowej podłodze, ubabrane w jej własnych odchodach. Jej oczy błyszczały, szeroko otwarte z bólu, spuchnięte wargi szeptały coś, czego nie słyszał.

Zatrzymał się nagle i zamknął oczy, modląc się, żeby obudzić się z koszmaru.

- Witaj, Akira - powiedziała Sheila.

Akira! Nigdy nie była tak poufała. Otworzył oczy i starał się nie patrzeć na jatkę. Ale spojrzenie Sheili przejmowało go

równą grozą.

Ubrana była w obcisły dres z syntetycznego materiału, który opinał jej chirurgicznie powiększony biust, w jednej ręce trzymała aluminiowy kij.

- Kurata-sama dzwonił, żeby powiedzieć, że jesteś w drodze - oświadczyła Sheila. A do von Neumana, który zszedł za Sugawarą po schodach, rzuciła: - Weź od niego torbę.

Strach eksplodował w żołądku Sugawary jak benzyna wylana na otwarty płomień. Zaczął się odwracać, uciekać, przytrzymując torbę. Ale chudy Niemiec był bardzo szybki i bardzo silny, a potworna scena tortur pozbawiła Suagwarę refleksu. Poczul bezradną, półświadomą niezdolność do ruchu, jaka we śnie przyśrubowuje człowieka, który widzi pędzącą nań lokomotywę. Próbując ogarnąć sytuację, Sugawara dał sobie wyrwać torbę i poleciał w tył, na fotel, na który cisnął go chudzielec.

Dyszząc ciężko, Sugawara popatrzył na Sheilę.

-Wujek się o ciebie bardzo martwi - powiedziała. - Kazał mi mieć na ciebie oko.

Strach ogarniał Sugawarę jak płonący stos.

- Chcę, żebyś ze mną współpracował - Sheila stanęła nad nim, pochylając się tak nisko, że jego twarz niemal dotykała jej piersi. Przyklekła, ujęła w dłonie jego twarz i skierowała ją na torturowaną sędzinę.

- Zobacz, co się przytrafia ludziom, którzy nie chcą współpracować - znów dźgnęła starą kobietę kijem. Cichy jęk zabrzmiał tak, jakby w piwnicy powiał ponury wiatr.

- Coś takiego właśnie mnie uszczęśliwiał, Akira. Sugawara poczuł mdłości, żołądek podszedł mu do gardła, ale nie wymiotował.

- Doskonale - Sheila wstała i podeszła do lotniczej torby Sugawai. Rozpięła zamek, pogmerła w środku, wydobyła termos, jakby wiedziała, że go tam znajdzie.

Porozpinała rzepy żelowej torebki i wysunęła termos. - Ho, ho - mruknęła. - Co my tu mamy?

45

Akira Sugawara zobaczył, jak koniec krzywej jego życia zaczyna się zarysowywać.

Jak w zatrzymanym kadrze, patrzył na Sheilę; trzymała termos w żelowej torebce, jej rozbawione spojrzenie maskowało czyste zło, oczy błyszczały niezdrowo. Kątem oka dostrzegł chudego Niemca i bezkształtne szczątki Beatrix VanDeventer, sędziny Trybunału Światowego w Hadze.

Dźwięki docierały do niego ze zwiększoną ostrością w tej zatrzymanej chwili, od której zależał bieg jego życia: odgłosy kroków i stukoty na wyższych piętrach, odległy szum ulicy, lekkie syczenie grzejnika w jakimś kącie zagraconej piwnicy, pełnej pudeł, szafek, starych mebli i innych rzeczy zgromadzonych przez właścicielkę przez całe długie życie.

Już wcześniej poznał styl pracy Gaillard, słyszał też, jak opowiada o swoich licznych akcjach, których nie oglądał. Wiedział, że zwykle liczyła na zastraszenie przeciwnika, potem, kiedy opanowała sytuację, nie było już ucieczki.

Kiedy chudy pochylał się nad nim, a Sheila pociągała za rzepy na torebce termosu, Sugawara wiedział, że to jego jedyna szansa - niemal beznadziejna - i że w następnej sekundzie zostanie mu odebrana. Lepiej zginąć w trakcie próby ucieczki niż błagać o litość, która nigdy nie przyjdzie i niż skończyć pobitym na miazgę, pokrojonym, z wybebeszonymi wnętrzościami lub wyrzuconym żywcem przez okno, jak ofiary Oddziału 731 Ishii'ego.

Skup się, pomyślał, uciekając się do sztuki walki opartej na buddyzmie zen, którą ćwiczył od dzieciństwa. Znaleźć środek, zwizualizować ruch.

W skupieniu tak głębokim, że niemal wyparło świadomą

myśl, Sugawara wyskoczył z krzesła i wyrwał termos z rąk Sheili.

- Hej! - krzyknęła i uniosła kij.

Przytulając termos jak piłkę w czasie meczu, Sugawara przeskoczył przez sofę i usłyszał świst kija rozdzierającego powietrze tuż za nim.

Pierwszy cios.

Skoczył na nogi i pobiegł ku najciemniejszej części piwnicy. Ale z Sheilą trudno było bawić się w chowanego; skoczyła jak kot i była tuż za nim.

- Zablokuj schody - krzyknęła do Niemca, zbliżając się do Sugawary.

Sugawara zniknął za starą szafą akurat w chwili, kiedy Sheila wymierzała kijem drugi cios. Drewno poszło w drzazgi, posypało się Sugawarze na głowę.

Drugi cios.

Pobiegł, podskoczył, zrobił unik, potem zrozumiał, że próbuje go zagnać na schody. Zatrzymał się nagle i stanął z Sheilą oko w oko. To posunięcie zmroziło ją na chwilę, zauważył jej spojrzenie zachwycone pogonią. Oblizła wargi i uśmiechnęła się bardzo seksownie.

- Chodź, słodziutki - powiedziała niskim, chropawym głosem. - Znasz mnie aż za dobrze i wiesz, że nie unikniesz tego, co nieuniknione. - Jej oczy były zniewalające, urokliwe. Wiedział, że potrafi unieruchomić ofiarę jak kobra.

Oderwał wzrok od jej oczu. Potem usłyszawszy buty chudego Niemca zgrzytające na betonie po swojej prawej, Sugawara przeskoczył w lewo i bez wysiłku wsunął się w ciemny kąt między dwiema wielkimi skrzyniami. Zrobił dwa kroki, ale potem jakaś lina oplatała mu się wokół kostki i upadł ciężko, uderzając głową o jedną ze skrzyń.

Jak niewidzialna pięść, rzuciła się na niego betonowa pod-

łoga, waląc go w bok, pozbawiając oddechu.

Zamroczyło go na chwilę.

Nie słyszał, jak podchodziła. Raczej wyczuł, niż zobaczył, że zawisła nad nim. Leżał absolutnie nieruchomo na boku, w wąskim przesmyku, i próbował panować nad oddechem, przez usta, płytko, powolny wdech, powolny wydech, powolny wdech. Walczył z chęcią wciągnięcia powietrza w głąb płuc.

Wiedział, że nawet bez kija jest o wiele bardziej biegła w sztukach walki niż on, gołymi rękami potrafiła bez wysiłku okaleczyć lub zabić.

Nie mógł się z nią równać. W każdej sekundzie z ciemności może nadejść atak i gra skończona. Potrzebował jakiejś broni, czegoś, co wyrównałoby szanse. Gorączkowo szukał w myślach i coś zaczęło mu świtać. Ale żeby to zadziało, potrzebował zyskać na czasie.

Myślał gorączkowo. Jest prawo- czy leworęczna? Próbował przypomnieć sobie, jak pije, używa widelca. Potem przypomniał ją sobie w piwnicy, jak dźga staruszkę kijem... trzymanym w prawej ręce.

Uzależniając swe życie od tego jednego obrazka, przetoczył się w stronę skrzynki, którą Sheila miała po prawej stronie. Nie będzie mogła się zamachnąć, albo użyje lewej ręki. Kiedy się turlał, przypadkiem dotknął rzepa przy termosie.

W tej samej chwili usłyszał świst i aż mu pobielalo w oczach, kiedy kij wszedł w kontakt z jego lewą dłonią. Ręka mu zdrętwiała, przewrócił się na plecy i wierzgnął nogami w ciemność.

Kolejne uderzenie przyjął na podeszwę lewego buta - wibracje przeszły po nodze aż do biodra. Zrobił półobrót, niemal salto w tył, i metalowy kij uderzył w beton, w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się jego głowa. Mała iskierka wystrzeliła w tym miejscu w powietrze.

Usiłując wstać na nogi, Sugawara zmusił lewą rękę do pracy, przyciskając termos kurczowo do boku. Prawą ręką zdjął pokrywkę. Potem okrążył skrzynię, znów przesuwając się na prawo, żeby utrudnić jej zamach.

Tu już panowało przyćmione światło, Sugawara przykucnął, by być jak najbliżej podłogi i modlił się o łut szczęścia.

Ułamek sekundy później, kij świsnął i uderzył w skrzynię o stopę nad jego głową.

Trzeci cios.

Wstając zobaczył ciemny zarys twarzy Sheili, przymierzającej się do kolejnego uderzenia. Sugawara zrobił coś niespodziewanego, podszedł do niej, wszedł w zasięg kija. Patrzył, jak się uśmiecha, podchodził coraz bliżej. Upuściła kij. Ale zanim zdążyła puścić w ruch swoje śmiercionośne ręce, zamachnął się termosem i chlapnął jej w oczy ciekłym azotem. Wyobraził sobie, jak ciało zamarza na kość, jeszcze raz wyrzucił strumień cieczy w jej rozwarłe oczy.

Potępieńcze wycie rozdarło ciemność, a Sugawara niemal poczuł ból, który sam wywołał.

- Sheila? - krzyknął chudy Niemiec. Sugawara słyszał jego kroki coraz bliżej.

Nie tracąc czasu, Sugawara postawił termos na podłodze i podniósł aluminiowy kij. Pochylając się, zauważył słaby błysk - to jedna z fiolek z Niszczycielem wypadła. Wyglądała na nienaruszoną. Zastanawiał się przez sekundę, czy obie wypadły i czy ta druga się nie potłukła.

Sugawara podniósł się na nogi i zobaczył snop światła latarki, chwiejący się w ciemności. Odchylił kij, akurat kiedy chudy Niemiec wychynął zza rogu skrzyni, zerkając na wszystkie strony, z pistoletem w ręku.

Wilgotne chrupnięcie kija trafiającego chudego Niemca w twarz, rozległo się jak perkusyjny podkład dla jęków Sheili Ga-

illard. Niemiec złożył się w pół i upadł jak zestrzelony ptak.

Mechanicznym gestem Sugawara schował do kieszeni jego broń - w ciemności wyczuł, że to jakiś automat - podniósł też latarkę i obejrzał pole bitwy. Sheila Gaillard klęczała w chmurze oparów ciekłego azotu. Obejmowała twarz dłońmi, jęczała i kołysała się w przód i w tył.

Natomiast w rytmie hałasów na wyższych piętrach nie zaszła żadna zmiana. Ludzie tam pracujący chyba niczego nie usłyszeli.

Wyciągnąwszy pistolet chudego Niemca, Sugawara stwierdził, że jest to baretta. Magazynek był pełny. Odbezpieczył broń i trzymając Sheilę na muszce - wiedział, że nawet ranna może być niebezpieczna - Sugawara podniósł fiolkę, którą znalazł i włożył ją z powrotem do termosu.

Lewa ręka mrowiła go, ramię pulsowało bólem. Ale mógł nim poruszać. Kiedy Sheila jęczała, Sugawara zamknął termos, przerzucił pasek torby przez ramię i pobiegł ku schodom.

Powstrzymał go jęk torturowanej kobiety. Coś szeptała. Podeszedł i przyklęknął. Otworzyła oczy i w paroksyzmie bólu utkwiała w nim przenikliwe spojrzenie. Szepnęła: - Zabij mnie. Zabij mnie, teraz.

Wstrząśnięty Sugawara wstał. Popatrzył na pistolet w ręce. Nawet wycelował w siwą głowę. Przymknął oczy.

Ale nie mógł tego zrobić.

Zawstydzony, otworzył oczy i zaraz je odwrócił. Wtedy dostrzegł mapę i zapisany notatnik. Poznał pismo Sheili Gaillard.

Pochwycił mapę, wyrwał notatki, złożył je byle jak i wepchnął obok termosu do torby. Ruszył po schodach, przeskakując po tryz stopnie.

Kiedy otwierał frontowe drzwi, usłyszał okrzyki.

- Zatrzymać się! - krzyknął ktoś, kiedy Akira wystrzelił jak z procy w stronę wynajętego volvo, szukając w kieszeni kluczy-

ków. Chwilę potem w drzwiach pojawił się mężczyzna z bronią. Sugawara zanurkował za bmw, rozległ się strzał, kula utkwiała w oponie.

Więcej głosów.

Sugawara przechylił się przez bagażnik bmw i wystrzelił, chybiając, niemniej spowodował, że napastnik musiał się schować.

Sugawara doskoczył do swego wozu, otworzył drzwi, wrzucił do środka torbę i siadł za kierownicą. Kiedy przekreślał klucz, na schodach wejściowych pojawiło się więcej ludzi.

Celując z baretty, Sugawara strzelał przez zamknięte okno pasażera. Szyba prysła. Jeden z ludzi odpowiedział ogniem, chowając się za kolumnę.

Starter volvo ryknął, silnik zapalił natychmiast. Sugawara pochylił głowę, wrzucił bieg i przycisnął pedał gazu.

Volvo pomknęło, objechało bmw, zjechało z podjazdu, niemal zderzając się z drzewem. Kręty tor jazdy zbił z tropu strzelających, ale wiedzieli, że w końcu będzie musiał przejechać przez bramę.

Kiedy volvo było już blisko ulicy, strzały stały się coraz celniejsze, kule trafiały w nadwozie, tłukąc przednią i tylną szybę. Sugawara był już na ulicy, kiedy poczuł, że dostał w bark.

Rozdział 46

Wczesnopołudniowe słońce rzucało wydłużone cienie, a coraz krótsze dni zwiastowały zbliżającą się zimą.

Lara Blackwood w zamyśleniu spacerowała po małej grobli otaczającej farmę tulipanów. „Farma tulipanów” była nazwą mylącą, ponieważ uprawiano tu wszystkie inne rośliny cebulkowe, była też szklarnia z różami na rynek zagraniczny. Ale dwieście lat temu rzeczywiście zaczynała od tulipanów i nazwa prze-

trwała.

Spojrzała w bok, na odległe pole, gdzie pracował traktor ciągnący dziwaczną maszynę rolniczą. Wzbijany przez nią kurz kotłował się przez chwilę i opadał, bo dzień był bezwietrzny. Lara otarła pot z czoła.

Doszedłszy do końca ziemnego wału, spojrzała ku zachodowi i myślała przez chwilę, czy mogła poprowadzić całą sprawę inaczej. Tylu ludzi zginęło i tylu jeszcze zginie. Nie była w stanie rzucić z serca ciężkiego kamienia, który w nim zalegał.

Wreszcie zawróciła i ruszyła brukowaną ścieżką biegnącą po grobli, która prowadziła od głównej drogi do farmy tuli-panów. Rząd szklarni zasłaniał widok na stary dom. Tumany kurzu na drodze sygnalizowały, że zbliża się jakieś auto.

Nagle rozległ się klakson - nagłący, długi, głośny. Lara zobaczyła nadjeżdżające pogruchotane volvo. Zauważyła dziury po kulach w przedniej szybie. Zaalarmowana, patrzyła, jak samochód nagle zjeżdża z drogi i taranuje szklane ściany najbliższej szklarni. Rozpryskujące się odłamki szkła przypominały Larze lawinę górską. Biegiem ruszyła w tamtą stronę. Klakson wciąż buczał, kiedy przedarła się przez gąszcz krzaków dzikich róż i zbliżyła się do volvo, które zatrzymało się na stalowej kolumnie podtrzymującej dach. Dziury po kulach widniały także w tylnym zderzaku i na masce.

W powietrzu rozszedł się zapach benzyny. Lara zatrzymała się w szoku, widząc stróżkę paliwa, ciekącą spod auta. Zanim zdołała pomyśleć o niebezpieczeństwie, zobaczyła pierwsze małe płomyczki liżące kałużę. Zamarła. Potem zebrała siły i popędziła do volvo, przeskakując rozlaną benzynę.

Zobaczyła młodego Japończyka leżącego na kierownicy. Drzwi były zablokowane. Kilka kul trafiło w drzwi, jedna z nich prosto w zamek.

- No to świetnie - mruknęła do siebie. Zapach benzyny był coraz silniejszy. Lara, raniąc łydki o ciernie róż, dotarła do drzwi od strony pasażera, które na szczęście się otworzyły.

Młody człowiek odzyskał przytomność, kiedy Lara ujęła go pod pachy i zaczęła wyciągać. Krew ciekła jej po rękach, gdy wlokła go w bezpieczne miejsce. Zaledwie jednak zdołała go odciągnąć, wyrwał się nagle z zaskakującą siłą i z powrotem wskoczył do volvo. Lara pobiegła za nim.

Kiedy wyciągała go po raz drugi, zauważyła, że ściska jakiś cylindryczny przedmiot owinięty w tkaninę. Spróbowała mu go zabrać, ale on trzymał go kurczowo, jakby od tego zależało jego życie.

- Nie! Nie dotykać! - krzyknął po angielsku. Lara odciągnęła go trochę dalej od samochodu.

- Nie... nie otwierać... - wymamrotał. - Tam jest śmierć. Śmierć. Nie otwierać.

W tym momencie nastąpił wybuch.

Czerwonobrzoskwiniowy zachód słońca wlewał się przez okna sypialni na farmie tulipanów, rozświetlając twarze ludzi zebranych przy łóżku Sugawary.

Rozdział 47

Zapomnieli włączyć elektryczne światło, tak byli pod wrażeniem opowieści Japończyka. W gasnącym świetle dnia tworzyli scenę, namalowaną ciepłymi kolorami i naturalnym światłowieniem, jak z obrazów Vermeera: Sugawara na łóżku, podparty poduszkami, przykryty kołdrą, uszytą ręcznie przez jakąś kobietę, która nie miała pojęcia, że jej dzieło odegra tak wielką rolę w historii; na krzesłach po jednej stronie Sugawary siedzieli Falk, Noord i lekarz, który przyleciał helikopterem z Rotterdamu. Ich mocne, podługowate holenderskie rysy, jakby przenie-

sione prosto z innego stulecia, dodawały obrazowi wiarygodności. Tylko pękaty woreczek krwi, zwisający ze stelaża z nierdzewnej stali i rurka podłączona do ramienia Sugawary, łączyły tę scenę ze współczesnością.

Lekarz twierdził, że kula weszła tuż pod lewą łopatką Sugawary i wyszła równiutko pod samym ramieniem. Ominęła wszystkie ważniejsze arterie o ułamki milimetra. Jest młody, zdrowy i w dobrej kondycji, oznajmił lekarz. „Dużo płynów i będzie dochodził do zdrowia”.

Przy oknie na prostym krześle siedziała Lara z twarzą w blasku zachodu; cienie kładące się na jej rysach kontrastowały z jasnymi oczami; czarne błyszczące włosy połyskiwały złotem.

W ciemnym kącie przy drzwiach, skąd właśnie wycofało się słońce i zapadała już noc, siedział w napięciu mały milczący Chińczyk, który przyjechał kilka minut po wypadku z Sugawarą. Lara usiłowała przypomnieć sobie jego nazwisko; przedstawiono ich pośpiesznie, w zamieszaniu, musieli znaleźć pomoc medyczną dla Sugawary i wygasić pożar bez wzywania straży.

Lara przypominała sobie jedynie, że jest to „człowiek Al-Bitara”. Finansowany przez azjatycką firmę produkującą półprzewodniki, był szefem azjatyckiej gałęzi *Shinrai*. Przybył tu właściwie, żeby załatwić ich przewiezienie do Singapuru. Ten plan miał prawdopodobnie ulec zmianie po tym, co powiedział im Sugawara. Xue, przypominała sobie w końcu Lara, Victor Xue. Tak się nazywał.

Nie było tylko DeGroota. Odleciał, wraz z próbką Niszczyciela, tym samym helikopterem, który przywiózł lekarza, do renomowanego laboratorium naukowego na uniwersytecie w Leiden.

Po odlocie DeGroota, Sugawara przez kilka godzin zdumiewał ich szczegółowymi rewelacjami na temat organizacji Kuraty i Operacji Tsushima.

- Myślę, że powinniśmy zakładać najgorszy wariant - powiedział Falk, dając Larze znak głową. Pod nieobecność DeGrota, starszy oficer przejął dowództwo w grupie. - To znaczy, że musimy być przygotowani, żeby powstrzymać te wydarzenia.

Przyznano mu rację. Noord włączył nocną lampkę, kiedy ostatnie ślady dnia znikły i zapadła ciemność.

- Kiedy to się ma stać, jak pan mówił? - zapytał Noord.
- Jeszcze nie mówiłem - odparł Sugawara, sięgając po szklanekę mleka, ustawioną na nocnym stoliku i spragniony wypił długi łyk. - Ale to będzie - przymknął oczy - dokładnie za pięć dni.

Dało się słyszeć zbiorowe westchnienie.

- Pięć? - Noord został z otwartymi ustami; poruszał nimi, ale nic już nie zdołał powiedzieć.

Sugawara pokiwał głową i dopił mleko.

- Przyniosę jeszcze - zaoferowała się Lara, sięgając po pustą szklanekę i przyglądając się jego twarzy. Zobaczyła mocne, kanciaste rysy i głębokie, zniewalające, ciemne oczy, które promieniowały inteligencją, pomimo silnych środków przeciwbólowych, które zaaplikował lekarz.

Zdumiała ją jego siła, kiedy wyciągała go półprzytomnego, zakrwawionego z płonącego auta, zaskoczył upór, z jakim trzymał próbki Niszczyciela aż do chwili, kiedy osłabiony z upływu krwi stracił przytomność.

- A w jaki sposób ten Niszczyciel zostanie zaaplikowany? - zapytał Falk.

Sugawara opowiedział o napisach na niebie i wspólnocie rolniczej pewnej sekty religijnej.

- Są bardzo skryci, a ich ostrożność graniczy z manią przesładowczą - powiedział Sugawara. - I bardzo zdolni. Mają siedzibę w niedostępnej, odosobnionej dolinie na zachód od Tokio.

Falk gwizdnął sfrustrowany.

- Pięć dni - powiedział Falk. - Niedostępna dolina, dobrze

strzeżeni maniacy. - Nabrał powietrza i wypuścił je głośno.

Potem odezwał się do Sugawary: - Czy jest pan absolutnie pewny, że wszystkie osoby na stanowiskach, które mogłyby oficjalnie powstrzymać tę operację, zostały już skaptowane przez Kuratę?

-Jestem absolutnie pewien. Osobiście tego dopilnowałem. - Zalał się rumieńcem i zwiesił głowę. - Pamiętajcie, że to bardzo wpływowy człowiek, który kontroluje członków parlamentu, wywiera naciski na biura rządowe, nawet na ministra sprawiedliwości i organy ścigania. Być może znalazłby się ktoś na niższym szczeblu, ktoś młodszy, kto zgodziłby się nam pomóc, ale oni nie mają nic do powiedzenia, dopóki tkwią na niższych stanowiskach. Na krótką metę z pewnością się nam nie przydadzą, a przecież trzeba działać szybko.

Noord potrząsnął głową i popatrzył na Falka.

Falk też kręcił głową. - Nie ma czasu na działanie siłowe. To zbyt daleko; poza tym musimy zniszczyć rzeczywisty zarazek i urządzenia, gdzie się go produkuje. A te miejsca są doskonale strzeżone. Potrzebowalibyśmy czegoś graniczącego z inwazją, żeby to osiągnąć, a nie da się tego zrobić po cichu.

Wszyscy ponuro pokiwali głowami.

- Nie wspominając o tym - dodała Lara - że nasz szturm stworzyłby ryzyko wypuszczenia Niszczyciela do atmosfery. - Zastanowiła się. - Ale potrzebujemy tylko trochę czasu. Dzięki panu Sugawarze, mamy niezbity dowód, że Kurata jest w to zaangażowany. Musimy jakoś opóźnić operację, zyskać na czasie i ogłosić wszystko opinii publicznej.

- Na to nie ma czasu - Sugawara potrząsnął głową. - Kurata i Daiwa Ichiban mają za duże poparcie, są zbyt silni, żeby takie rewelacje odniosły natychmiastowy skutek. Może na dłuższą metę tak. Ale pięć dni to nie za dużo czasu, żeby nam ludzie uwierzyli.

Lara powoli pokiwała głową. Patrzyli na siebie dość długo, żeby wyczuć jakąś trudno uchwytną wzajemną więź, łączność na poziomie podświadomości.

- Trzeba nam czarów i magii - powiedział Noord. - Albo cudu boskiego, który powstrzyma tę Operację Tsushima i popsuje urządzenia produkcyjne.

Przez długi czas w pokoju panowała atmosfera jak na stypie.

Wreszcie Lara przerwała ciszę. - Nie trzeba czarów. Ani cudu boskiego.

Głowy odwróciły się ku niej z nadzieją.

- Musimy naukę zwalczać naukowo - oznajmiła.

Sugawara miał wrażenie, że pod wpływem bólu i pulsowania w boku pokój pojawia się i znika, jak obraz na zepsutym telewizorze.

Poczuł się lepiej, kiedy zaczął mówić. Bolesne rany, które ta nowa sytuacja w nim otworzyła, odwróciły uwagę od bólu po kuli. Kiedy szczegółowo opisywał plany Kuraty, o których nikt z zewnątrz wcześniej nie słyszał, ogrom tego wszystkiego przytłoczył go jak wielki szary kamień.

Dzień po dniu szedł przez życie według nakazów wuja. Jak większość ludzi wykonywał zadanie za zadaniem. Zdał sobie sprawę, że stał się jak mieszkańcy pięknych, górskich miejscowości, którzy codziennie jeżdżą do pracy ze wzrokiem utkwionym w drogę, zaabsorbowani prozą życia, i nie widzą piękna krajobrazu.

Tylko, że to, czego on nie zauważył, było ogromną siecią zła.

Ale teraz, kiedy Sugawara postanowił opowiedzieć tym nieznanym wszystko, co wiedział, teraz, kiedy uporządkował wszystkie informacje, żeby były dla nich bardziej zrozumiałe,

kawałki łamigłówny stworzyły przerażający obraz całości. I wstydził się coraz bardziej, że miał w tym swój udział. Gdyby wcześniej dostrzegł tę całość, zamiast skupiać się na fragmentach, które przechodziły po kolei przez jego ręce. Uświadomiwszy sobie swoją winę, pomyślał, że wolałby umrzeć.

„... naukę zwalczać naukowo”. Sugawara próbował opłacać ból, słuchając słów pięknej kobiety, która uratowała mu życie. Jej głos wydawał mu się jak muzyka. Jak symfonia.

- Jeden z najślawniejszych naukowców Zachodu, Ludwik Pasteur, powiedział kiedyś, że: „Okazja faworyzuje przygotowanych”. Zdaje mi się, że przypadkowo udało mi się skojarzyć coś, co może wskaże nam drogę do celu.

- Umilkła na chwilę. Wokół niej głowy podskoczyły, brwi unosiły się do góry, ludzie w napięciu pochyliłi się w przód na krzesłach. - Najpierw muszę wam coś opowiedzieć. - I Lara opowiedziała o problemach, jakie miała z elektroniką na jachcie, tuż przed jego zatonięciem u wybrzeży Holandii.

- Tak - zawołał Sugawara. - Znam to zjawisko. Zakłóciło wypisywanie haseł na niebie i pracę instrumentów pomiarowych w Tokio.

- To bardzo interesujące z intelektualnego punktu widzenia - powiedział Noord. - Ale co to ma wspólnego z powstrzymaniem Niszczyciela?

- Mnie się widzi, że wszystko - zaproponował Falk. - Jeśli mogę wybiec naprzód, zdaje mi się, że pani Blackwood sugeruje, żebyśmy użyli przeciwko naszym przeciwnikom broni elektromagnetycznej.

—Jeśli dobrze pamiętam, czegoś takiego użyliśmy w Iraku, a potem w Jugosławii, prawda? - zapytała Lara. Falk uśmiechnął się i pokiwał entuzjastycznie głową.

- Broń elektromagnetyczna? - zdumiał się Noord.

- Obwody elektryczne - zwłaszcza mikroprocesory i kom-

putery - są niezwykle wrażliwe na rozmaite typy promieniowania elektromagnetycznego, zwłaszcza na pewnych wysokich częstotliwościach na granicy spektrum widzialnego - wyjaśnił Sugawara. - Studiowałem to w szkole, przeszedłem też szkolenie w tej dziedzinie w czasie służby w Siłach Samoobrony. Światło, fale radiowe, telewizja, mikrofałe - to wszystko jest promieniowanie elektromagnetyczne.

Falk z wolna pokiwał głową i odezwał się po chwili:

- Ma pani rację, pani Blackwood, Amerykanie rzeczywiście posłużyli się tym zjawiskiem. Może pani sobie przypomina, że podczas Wojny w Zatoce Perskiej dużo się mówiło o tym, że Amerykanie unieszkodliwili iracki system obrony przeciwlotniczej, zanim wysłali swoje eskadry.

- Pokiwano głowami. - Niewiele ujawniono na temat technicznej strony tego przedsięwzięcia, poza wzmiankami o inteligentnych bombach i tym podobnych.

Wojskowy przerwał, jakby zastanawiając się, czy mówić dalej i jak wiele może powiedzieć. Sugawara sięgnął po szklankę z mlekiem i wypił duszkiem.

- To była właśnie broń wykorzystująca impulsy elektromagnetyczne, w skrócie EMP.

- EMP? - upewnił się Noord.

- W 1962 - mówił Falk - Amerykanie zdetonowali bombę nuklearną w atmosferze nad atolem Johnsona na Pacyfiku, około osiemset mil na południe od Hawajów. Była to tak zwana Operacja Starfish, przełomowa z punktu widzenia militarnego i naukowego. - Pochylił się, oparł łokcie na kolanach. - Widzicie, kiedy odpalili operację Starfish, w Honolulu zgasty latarnie uliczne, włączyły się alarmy przeciwwłamaniowe. Ludzie, którzy mieli nowe radiodbiorniki na tranzystorach stwierdzili, że przestały działać - impuls elektromagnetyczny wysłany przez bombę przepalił elementy krzemowe w tranzystorach.

- Dzisiejsze półprzewodniki są milion albo raczej miliard razy bardziej delikatne, więc nie trzeba było wiele impulsów EMP, żeby przepalić chipy w systemie obrony powietrznej Sadama.

- To Amerykanie spuścili, bombę nuklearną na Irak? - przerwał Noord.

Falk uśmiechnął się i potrząsnął głową. - Potrafimy wytworzyć EMP bez bomby nuklearnej. Uczni z Los Alamos i Lawrence Livermore Labs wspólnie z kalifornijską firmą Maxwel Laboratories opracowali specjalną technologię. W gruncie rzeczy technologia wytwarzania pewnego konkretnego rodzaju bomby EMP - znanego jako generator kompresji strumienia elektromagnetycznego - jest tak prosta i dobrze znana, że nawet buntownicy czeczeńscy zbudowali i użyli go w roku 1996, żeby zniszczyć skomplikowany rosyjski system zabezpieczeń i wejść na teren ściśle strzeżony.

- Fascynujące - powiedział Noord.

- Jak to działa? - zapytała Lara. - Jestem biologiem, ale na fizyce się trochę znam.

- A ja ani na jednym, ani na drugim - przyznał się Noord. - Tak, że do mnie poproszę prostym językiem.

- Mówiąc prosto - zaczął Falk - EMP jest to bardzo krótki impuls elektromagnetyczny, trwający od jednej miliardowej do jednej kilkumilionowej sekundy, ale o ogromnej mocy i natężeniu do 50 tysięcy woltów na metr kwadratowy. W istocie cylinder o średnicy dwóch worków golfowych i wysokości przeciętnego człowieka może wytworzyć impuls silniejszy niż błyskawica.

Kiedy impuls taki natrafi na obiekt służący jako antena - na przykład linię telefoniczną lub energetyczną, kadłub samolotu, metalowe ogrodzenia, domowe instalacje elektryczne, okablowanie wewnątrz różnych urządzeń i komputerów, metalowe

złączki w chipach półprzewodnikowych - może wyindukować prąd elektryczny o natężeniu tysięcy amperów. Dla kontrastu, spawarka potrzebuje tylko stu amperów, czasami nawet mniej. Czyli jest to krótkotrwały „piorun”, który smaży wszystko w cholere.

- Trzeba zdawać sobie sprawę, że wszystkie nowoczesne urządzenia, samoloty, samochody, przemysłowe urządzenia produkcyjne - cały sprzęt elektryczny i elektroniczny zawiera mikroukłady scalone - włączył się Xue. - Jeżeli układy zostaną przepalone, samochody się zatrzymają, samoloty spadną z nieba, staną fabryki, a wszystkie procesy zostaną przerwane. Mikrofalówka nie podgrzeje obiadu, nie obejrzysz dziennika w telewizji, ani nie pograsz w gry komputerowe.

- W korporacji doktora Al-Bitara, Singapore Electro-chip, który tak hojnie wspiera Shinrai, wiele czasu poświęcamy na próby zminimalizowania skutków promieniowania elektromagnetycznego. Podpisaliśmy wiele umów z obronnością rozmaitych krajów, na produkcję tak zwanych utwardzonych układów scalonych i obwodów, które miałyby być zainstalowane w pojazdach i urządzeniach, i przetrwać EMP wywołany na przykład wybuchem bomby nuklearnej.

- Pamiętam - powiedziała Lara. - W czasie zimnej wojny radziecki pilot doleciał migiem-25 do Japonii. Kiedy rozbebeszyli samolot, okazało się, że elektronika jest na bazie lamp próżniowych, a nie układów scalonych.

- A świat zachodu rechotał z takich archaicznych komponentów - powiedział Falk poważnie. - Długo trwało, zanim się połapali, że ruscy nie używali przestarzałej technologii, a raczej technologii jutra, zaprojektowanej na przetrwanie wojny nuklearnej.

- Pamiętam, jak w czasie pracy w Elektrochip natknąłem się na dane na ten właśnie temat - mówił Xue. - Opisywano tam

całkiem małe urządzenie, tanie i w zasięgu możliwości każdego garażowego mechanika amatora. Wynikła nawet dyskusja, chociaż niewystarczająca, o tym, że kilka takich nieskomplikowanych bomb EMP można by użyć do zniszczenia baz danych w firmach i instytucjach finansowych, infrastruktury informatycznej, telekomunikacyjnej i elektronicznej. W kraju tak uzależnionym od wysokiej technologii jak Stany Zjednoczone, wywołałoby to katastrofę większą niż zburzenie World Trade Center. Bomby elektromagnetycznej można też użyć do zniszczenia danych organów ścigania albo komunikacji alarmowej w nagłych wypadkach przez planowanym atakiem terrorystycznym.

Xue wstał nagle i opuścił pokój.

- Dokładnie - powiedziała Lara z entuzjazmem. - Dlatego właśnie EMP jest rozwiązaniem naszego problemu. Może przepalić aparaturę w tych samolotach, które robią napisy na niebie. I niech sobie siedzą na pasie startowym albo w hangarach, a Niszczyciel będzie się rozpadał. Możemy też zniszczyć komputery kontrolujące procesy produkcji i urządzenia produkcyjne. Dzięki temu zyskamy czas, aby legalną drogą, przez naciski na polityków i opinię publiczną, powstrzymać Kuratę raz na zawsze.

Xue wrócił z laptopem w teczce. Ustawił go na stoliku przy łóżku Sugawary, otworzył i włączył.

Falk odetchnął głośno. - Matra Bae Dynamics opracowała takie e-bomby dla Brytyjczyków. Wystrzeliwuje się je z działa 155 mm lub małej wyrzutni. - Przerwał. - Ale oczywiście ta broń jest strzeżona jeszcze bardziej niż pociski nuklearne. To znaczy, że raczej nie zdołam jej zdobyć dla naszego użytku.

- Ale jeżeli Czeczeńcy ją zbudowali, to i my możemy - stwierdziła Lara.

Falk spojrział z niedowierzaniem - W pięć dni? To niemożliwe! Prace trwały całe lata.

- I to musi wystarczyć - odparła Lara.
- Może być inna droga - Xue napisał coś na klawiaturze laptopa. - Proszę - odwrócił laptop, żeby wszyscy mogli zobaczyć.
- To jest rosyjski generator kompresji strumienia MC-1
- Falk, Lara i Noord skupili się wokół laptopa. Xue pilnował, żeby i Sugawara miał dobry widok.
- Pamiętam, że jakiś czas temu widziałem to na stronie internetowej laboratorium Los Alamos - powiedział Xue.
- I jestem zaskoczony, że takie informacje są ogólnie dostępne po atakach na Nowy Jork.
- A więc? - zapytał Noord.
- MC-1 został skonstruowany pod kierunkiem fizyka jądrowego Andrieja Sacharowa w najbardziej tajnym laboratorium Związku Radzieckiego, Arzamas -16. Od rozpadu Związku Radzieckiego, Rosjanie sprzedali tę technologię Szwecji, Australii i, o ile mi wiadomo, wszystkim, którzy byli gotowi zapłacić sto tysięcy dolarów gotówką.
- Ja to sfinansuję, jeśli potraficie to zdobyć - powiedziała Lara bez wahania. Popatrzyła na Xue i Falka: - Ale chyba nie macie aż takich kontaktów?
Falk potrząsnął głową z powątpiewaniem. - Pomyślę intensywnie, ale w pięć dni? - Wzruszył ramionami. - Nie sądzę, żebyśmy mogli odnieść sukces operacyjny.
Xue ustawił laptop z powrotem na stole i znów coś wpisał. - Niedobrze - powiedział cicho. - Tu jest słaby sygnał, modem chwilami nie łączy. - Chwilę potem uśmiechnął się.
- Zdaje się, że łatwo możemy zbudować potrzebne nam urządzenie w tym krótkim czasie - odwrócił znów laptop, żeby wszyscy się przyjrzeni.
- Oto schemat bardzo skutecznego generatora kompresji strumienia elektromagnetycznego. Jak widzicie, jest wybitnie prosty, mógłbym go skonstruować przez weekend z rzeczy, któ-

re już mam w swoim warsztacie... poza materiałem wybuchowym C-4 i detonatorem RP501.

Falk gwizdnął z podziwem. - Można też użyć semtexu. A ten detonator to nic szczególnego. Można dostać wszędzie.

- Niesamowite, gdy się pomyśli, że pierwszy lepszy terrorysta dysponujący modemem i orientacją w Google'u może w kilka sekund uzyskać te same dane - powiedziała Lara.

Xue skinął głową. - Miedziany drut dwunastka, żywica epoksydowa, aluminiowe rury i kilka innych elementów z aluminium i pleksiglasu.

W pełnej zdumienia ciszy, która nastąpiła, Xue wstał. - Teraz pójde pozałatwiać pewne sprawy. Będę w biurze Electrochip w Amstelveen, jeśli będziecie mnie potrzebowali. Za pozwoleniem doktora Al-Bitara, myślę że zdołam zorganizować dyskretny transport, a także wsparcie techniczne.

Jak tylko wyszedł, zadzwonił telefon; Noord podniósł słuchawkę z nocnego stolika i słuchał, kiwając głową. Nagle jego twarz gwałtownie pobieliała, jakby ją ktoś posypał talkiem.

- To Był DeGroot - powiedział Noord, opuściwszy bezradnie rękę, w której trzymał słuchawkę. - Mówi, że analiza próbki Niszczyciela wykazała, że stało się coś bardzo, bardzo poważnego. DeGroot przypuszcza, że Rycroft próbował tak zmodyfikować Niszczyciela, żeby zabijał Japończyków, a nie Koreańczyków, ale w efekcie wyprodukował zarazek, który w ogóle nie jest etnospecyficzny.

- Dobry boże - szepnęła Lara. - To reaktywuje in tron Niszczyciela we wszystkich naszych genach. Prehistoryczna śmierć, panowie, płynąca do dziś w naszych żyłach. Miliony lat temu nieomal starła nasz gatunek z powierzchni ziemi; gdyby nie mutacja, nie byłoby już ludzi. - Potrząsnęła głową. - Miliony lat dżin przesiedział w butelce, a teraz ten zuchwały szaleniec ma zamiar go wypuścić.

Parę godzin później, Lara ciągle nie spała, walcząc z obsesyjnymi myślami. Leżała w ciemności, fizycznie na granicy wyczerpania, ale gniew i śmiertelny strach, z jakim wyszła z pokoju Sugawary, nie dawały jej zasnąć. Rzuciła się na łóżku w bluzie i ciepłych spodniach, które od ucieczki z Waszyngtonu służyły jej za nocny strój. Waszyngton? Kiedy to było? Wydaje się, że minęły całe wieki. Z dnia na dzień jej życie zmieniło się, od wywiadów dla CNN do ucieczki i oskarżeń o zbrodnie. Potrząsając głową, Lara sięgnęła po zegarek, była pierwsza szesnaście w nocy.

Pięć dni. Odliczanie do dnia zagłady. Myślała o roli, jaką sama odegrała w tym nadchodzącym holokauście. Po pierwsze, to ona odkryła gen Niszczyciela, dała Rycroftowi środki i możliwości, żeby doprowadził do takiej niedopuszczalnej sytuacji. Sprzedała firmę Kuracie.

Bolesne poczucie winy ustąpiło miejsca lękowi przed tym, co mogło się stać i co z pewnością się stanie, jeśli ten zmutowany przedpotopowy wirus zostanie reaktywowany w organizmach miliardów ludzi. Ebola przy nim będzie jak ból głowy. Niszczyciel nie był jakimś tam rzadkim wirusem, który pełni się gdzieś w dżungli lub na niedostępnej równinie. Tkwił w każdej komórce każdego człowieka. Jak będzie się rozprzestrzeniał? Czy kiedy nośnik Kuraty pobudzi do życia gen Niszczyciela i ktoś zachoruje, i umrze, czy wirus będzie przechodził z człowieka na człowieka, czy będzie ulegał samoreplikacji, bez potrzeby ponownego użycia substancji Kuraty? Sądziła, że będzie się przynosił drogą kropelkową - przez kichnięcia, kaszel, westchnienia kochanków.

Za każdym razem, kiedy próbowała rozumować naukowo, zaczynała zasypiać. Ale logiczny wywód prowadził prosto do śmierci i to wyrывało ją ze snu, aż w końcu ciemność i sen zwy-

ciężyły, przynosząc chwilową ulgę.

Rozdział 48

Wysoki, wiercący w uszach dźwięk przerwał przytulną miękkość snu. Lara obudziła się, obejmując wzrokiem ciemny, nieznajomy pokój. Zasnuty snem umysł walczył, pamięć wracała, usytuowała ją w czasie i przestrzeni.

Potrząsając głową, usiadła.

Za oknami ktoś strzelał.

Coś błysnęło biało. Chwilę potem zabręczało szkło i głucho łupnięcie zatrzęsło zewnętrznymi ścianami, jak kartonowym pudłem.

- Znaleźli nas - powiedziała do siebie Lara. Sygnał alarmowy nie przestawał dzwonić, a niespokojne głosy, gromko rzucające rozkazy i krótkie odpowiedzi wypełniły cały dom. Wyskoczyła z łóżka i włożyła ubranie.

Strzelanina na zewnątrz nasilała się, eksplozje wstrząsały domem. Otworzyła drzwi i usłyszała głosy. Poszła za nimi do kuchni, gdzie znalazła DeGroota, Falka i Noorda wciśniętych w coś, co na pierwszy rzut oka było dużą spiżarnią. Kiedy podeszła bliżej, zauważyła, że „spiżarnia” jest w rzeczywistości połączeniem zbójowni i centrum dowodzenia elektronicznego. Trzej mężczyźni byli ubrani w miękkie kamizelki kuloodporne, osłaniające cały tors od szyi po pachwiny.

Falk odwrócił się od ekranu komputera, zauważył Larę. Oficer wstał i ze ściany zdjął dla niej koszulkę kuloodporną.

- Proszę założyć. Mamy niespodziewanych gości.

Przypominając sobie szkolenie obronne, jakie przeszła, kiedy dostarczono jej opancerzonego suburbana, sprawnie wsunęła się w kamizelkę, stwierdzając z ulgą, że jest ona dodatkowo zabezpieczona ceramicznymi płytkami przed pociskami cięższego

kalibru. Przez to ubranie było cięższe, ale bezpieczniejsze.

Zewnętrzna warstwa przypominała wiatrówkę, z dużą ilością kieszeni zapinanych na zamki. Większość była czymś wypełniona, walkie-talkie ze słuchawką, latarka, zestaw pierwszej pomocy, strzykawka z morfiną, składany nóż, race, farby do kamuflażu. Wszystko zostało starannie przemyślane, żeby kamizelka kuloodporna służyła jednocześnie za podstawowy ekwipunek bojowy i przetrwania, w razie nagłych wypadków, jak właśnie teraz. Ktoś, zapewne Falk, dobrze nad tym pomyślał.

Przeglądając zawartość kieszeni, Lara spojrzała na ekran komputera, na którym przesuwano się kilkanaście czerwonych punktów. Było tam też pięć, sześć punktów zielonych, z których cztery nie poruszały się, a reszta przemieszczała się w stronę środka ekranu, jak się domyśliła, głównego budynku farmy.

- Podczerwień - wyjaśnił Falk, wskazując ekran. - W połączeniu z radarem naziemnym. - Na ponurej twarzy oficera błyszczały kropelki potu. - Każdy z naszych ludzi ma mały nadajnik IFF, tu ich widać na zielono.

- Wygląda na to, że źli wygrywają - stwierdziła Lara.

Falk poważnie pokiwał głową.

- Próbował pan wezwać pomoc?

Falk przytaknął. - Telefon został odcięty; radio i komórki są zablokowane

-Jak to możliwe?

- Komputery - powiedział Falk. - Analizatory spektrum... kierunkowe, skierowane na nas. Kiedy tylko wykrywają sygnał, analizator spektrum dostosowuje częstotliwość i wszystko szlag trafia.

Na ekranie kolejny zielony punkt znieruchomiał na zbyt długo. Lara modliła się, żeby żył, żeby tylko się ukrył.

- Przecież ktoś musi monitorować te częstotliwości, zwłaszcza zarezerwowane dla wojska - sugerowała Lara.

Znużony Falk przytaknął. - Ale już nie tak starannie jak za czasów zimnej wojny. Obawiam się, że tym sposobem znaleźli-by tu już tylko trupy.

Na zewnątrz wybuchł granat i nieruchome zielone światelko, za które modliła się Lara, zniknęło z ekranu. Falk przeżegnał się.

W przedłużającej się ciszy usłyszeli, jak wchodzi Akira Sugawara, z rumieńcem na twarzy, silny i wyprostowany, nagi do pasa, z bandażem na ramieniu. Młody organizm szybko się regeneruje, pomyślała przelotnie. Urzekł ją widok szupłej, muskularnej sylwetki, podziwiała go, że tak pozbierał się po odniesionych zaledwie wczoraj ranach. Przesunęła oczy po wydatnych mięśniach, spływających od szyi na barki. Wyglądał jak koszykarz.

Pochwycił jej spojrzenie. Lara zauważyła szeroko otwarte oczy. Speszony? Zaskoczony? Przez chwilę ich tajemnicze porozumienie drżało niezdecydowaniem. Patrzyła mu w oczy jeszcze przez ułamek sekundy, potem nagle odwróciła wzrok.

Sugawara zakaszłał.

- Co się dzieje?

- Pana byli współpracownicy namierzali nas wcześniej niż się spodziewaliśmy - powiedział Falk, podając mu kamizelkę kuloodporną. Lara ukradkiem przyglądała się, jak Sugawara wyćwiczonymi ruchami wciąga ubranie. Pomimo rany, nie okazywał bólu, poruszał się swobodnie, bez wahania.

- Pani Blackwood?

Lara odwróciła się do Falka, który rozdawał karabiny szturmowe M-16 wraz z wyposażeniem. Każdy z nich miał przymocowaną na szczycie grubą tubę. Lara odebrała broń i obejrzała ją, zadowolona, że jej funkcje mechaniczne przypominają karabiny, których używała na strzelnicy pod Waszyngtonem.

- To urządzenie na lufie to jest celownik laserowy - po-

wiedział Falk. - Ale nie wykorzystuje światła widzialnego ani podczerwonego, które byłoby łatwe do wykrycia przez napastników... Świeci specjalnym pasmem ultrafioletu.

Lara skinęła głową.

- Dobrze - powiedział Falk i zwrócił się do niecierpliwego głosu w radiu.

W tej chwili potężna eksplozja wstrząsnęła całym domem. Laraomal się nie przewróciła, Sugawara krzyknął, uderzając o krzesło. Główne światła zamigotały i zgasły, włączyło się za to przyćmione oświetlenie z systemu awaryjnego. Ostro zapach materiałów wybuchowych wypełnił całą kuchnię.

Na dworze błysnęło kilkakrotnie, rozbrzmiała kanonada wybuchów.

- RPG - stwierdził Falk spokojnie. - Granaty z napędem rakietowym.

Chwilę potem niedający się z niczym pomylić zapach dymu i ognia doleciał od strony salonu, który objęły trzaskające płomienie.

Pośród zgiełku i zamieszania, Lara usłyszała głos Falka. - Niedobrze - powiedział wojskowy ponuro, patrząc na ekran komputera. - Wszyscy zginęli... Zginęli. Co do jednego.

Lara popatrzyła na nieruchome zielone punkty na ekranie; wiedziała, że Falk mówi o swoich ludziach, żołnierzach ochraniających farmę, którzy zostali wypożyczeni ze swoich jednostek na „manewry szkoleniowe”.

- Idziemy! - usłyszeli głos Noorda wśród dzikiego zamieszania. - Przegrupować się! - Usłyszała krótkie odpowiedzi żołnierzy, którzy stacjonowali z nimi w domu. Potem grzmot stóp i strzały.

Eksplozje rozbrzmiewały wokół domu ze wszystkich stron, byli pod ciągłym ostrzałem, aż podłoga drżała pod ich stopami. Pokój był pełen dymu, czuli na ciałach żar płomieni.

Tuż pod kuchennym oknem wybuchł granat, wyleciały zbrojone szyby, do kuchni wpadł szrapnel.

Wstrząs przewrócił wszystkich na podłogę. Szrapnel świsnął przez kuchnię, obijając się o ściany i sufit. Płomienie z salonu były coraz jaśniejsze, ich ryk przyprawił Larę o dreszcze - jakby żywe stworzenie karmiło się powietrzem wpływającym przez nową dziurę w kuchennej ścianie.

- Do piwnicy - rozkazał Falk, zabierając pozostałe M-16, potem szybko otworzył zwykłe drzwi obok „spizarni”. Płomienie jaśniały, kiedy zbiegali po schodach. W tej samej chwili w ścianę kuchni uderzył kolejny granat, roznosząc w pył zewnętrzną ścianę „spizarni”. Seria z automatu przeszła przez dziurę w murze, zostawiając na ścianie kuchni linię małych kraterów. Posypał się tynk.

Ciało Falka zatańczyło, trafione serią pocisków z broni automatycznej, poranione, ale wciąż żywe, dopóki pociski nie wspięły się nad kamizelkę i nie zmieniły jego głowy w krwawy gejzer.

Sugawara pociągnął Larę na podłogę, bo pociski śmigały dosłownie wszędzie. Skwierczenie płomieni nasilało się, powietrze było coraz gorętsze od żaru. Krztusili się w gryzącym dymie. Gdzieś poza zasięgiem ich wzroku, podziurawiona kulami, osłabiona ogniem ściana zawaliła się; ogień buchnął jaśniej, podsycany walącą się konstrukcją, w nocne niebo wystrzelał słup iskier i rozżarzonych odłamków muru. Otaczały ich mury stojące w płomieniach. Lara poczuła swąd spalonych włosów. Było jak na patelni. - Szybko - Sugawara poklepał ją po ramieniu. - Wynośmy się stąd. Pochyl się. - Prawie pełznąc po gruzach, poszła za nim przez oświetloną płomieniami ciemność do wyrwy w ścianie kuchni. Nagle wyszli w chłodną, ciemną noc, tylko na plecach czuli ciepło bijące od pożaru. Schronili się za kontenerem na śmieci. Za nimi i ponad nimi zewnętrzny mur

płonął gwałtownie; łagodny wiatr przywiewał w ich stronę dym i płomienie. Lara odwróciła się, kiedy po przeciwnej stronie budynku jedna ze ścian zapadła się do środka pod wpływem wiatru. Zdjęła M-16 i rozejrzała się, próbując ustalić kierunek, z którego padają strzały, starając się odróżnić ogień swoich od strzałów atakujących, ocenić siły, jakie pozostały wrogom. Sugawara chyba też oceniał sytuację, skanując płamę ciemności wizjerem na lufie M-16.

- Chyba trzeba wiać z tego domu, zanim się na nas zawali - powiedziała Lara, spoglądając na niepewną ścianę. Ale zanim Sugawara zdążył odpowiedzieć, ostre białe błyski przecięły noc i rozległ się terkot karabinu maszynowego.

- Padnij! - Pociągnął ją, by skryć się za kontenerem. Pociiski odbijały się z brzękiem od metalu, coraz niżej.

Lara cofała się, wciskając się obok Sugawary w załom, kule chybiały o cale. Odpryski tynku uderzały ją w twarz.

Siedzieli tak, dopóki ich ludzie nie odpowiedzieli na ogień. Lara usłyszała M-16 Noorda i jego małego oddziału, a zaraz potem odpowiedź wrogów z innej broni. Wymiana ognia przedłużała się, akcentowana okrzykami bólu. I nagle przejściowy spokój.

W ciszy rozlegał się żarłoczny trzask ognia, który buchał wysoko w niebo i ożywił cienie wokół nich. Pożar z pewnością jest widoczny z odległości wielu kilometrów na tych płaskich polderach, pomyślała Lara. Ktoś to zobaczy, zbada, zaalarmuje straż. Tylko czy zostanie tu jeszcze ktoś żywy?

W tańczących wokół nich cieniach i płomieniach coś przyciągnęło jej instynktowną uwagę. Jeden z cieni różnił się od innych. Poruszał się jakoś inaczej, znieruchomiał na zbyt długo. Przyklekła na jedno kolano, odwróciła się szybko i zobaczyła na rogu domu mężczyznę. Błyskawicznie uniosła M-16 i pociągnęła za spust. Pociiski wyrzeźbiły żłobki w zewnętrznych deskach,

potem przeszły twarz napastnika.

Znów zaległa cisza, ale na krótko. Przerwał ją ostry, lodowaty głos kobiety.

- Piękny strzał, moja droga.

Lara odwróciła się i stwierdziła, że patrzy wprost na lufę krótkiej, niezgrabnej broni, Heckler&Koch MP5A. Trzymała ją wysoka atrakcyjna blondyna, uśmiechnięta jak czyste zło.

Potężny uzbrojony facet w kamizelce kuloodpornej, obwieziony amunicją i granatami jak bożonarodzeniowa choinka, przebiegł za nią. Lara odwróciła głowę w sam czas, żeby zobaczyć, jak Sugawara próbuje wycelować w niego z M-16. Ale szybkie ręce osiłka chwyciły za lufę M-16. Uderzył Sugawarę w skroń, wyrwał mu karabin i rzucił twarzą do ziemi.

Rozdział 49

W niedalekiej odległości ciszę nocy wciąż przerywał ogień z broni ręcznej. Po płaskich spokojnych polderach niesły się brutalne odgłosy śmierci.

Lara zamarła w miejscu, a straszliwa kanonada jej własnego serca walczyła z wściekłym gniewem, który wrzał w niej jak roztopiona stal.

- Sprawiliście mi za dużo kłopotów, wy dwoje - odezwała się Sheila Gaillard.

Sugawara podniósł się na dłoniach i kolanach, obejrzał na Gaillard. Osilek w kamizelce kuloodpornej wymierzył mu silnego kopniaka w żebra. Sugawara przetoczył się przez plecy. Facet zamierzył się do kolejnego ciosu.

- Nie - powstrzymała go Sheila. Mężczyzna zastygł jak dobrze wytresowany pies. Chwilę potem Sugawara uniósł się na łokciach i potrząsnął obolałą głową.

Postać Gaillard była wyraźnie widoczna w blasku pożaru,

jej spektakularny biust zakrywała kamizelka kuloodporną, na twarzy miała bandażę, na lewym oku czarną opaskę. Płomienie grały na jej twarzy, kiedy zrobiła krok w kierunku Lary. Przyłożyła lufę do jej czoła i popchnęła ją tak mocno, że Lara upadła w gruz.

- Bang! - powiedziała Sheila cicho. Jej twarz jaśniała radością. - Teraz tylko nacisnąć cyngiel i wypierdolić cię w kosmos razem z twoim Noblem... Zostanie tylko krwawa plama, wsiąkająca w grunt. - Uśmiechnęła się szeroko. - Garść drżącej, ociekającej galarety. Koniec dumnej ludzkiej istoty. Siedziby intelektu, płataniny bilionów trylionów impulsów elektrycznych, które zwiemy świadomością... lub duszą.

Przerwała na chwilę. - Jak myślisz, ty masz duszę, Blacwood? Która będzie żyć wiecznie po tym, jak cię rozwałę? - Lara dziwiła się, że czuje taki wewnętrzny spokój, kiedy patrzyła, jak palec Sheili owija się wokół spustu. Nie miała wątpliwości, że broń była odbezpieczona. Gdyby się poruszyła, mogłaby sama spowodować wystrzał. Pachołek Sheili stał obok, celując w Sugawarę, też z palcem na spuście karabinu maszynowego.

Lara zauważyła, że uśmiech Sheili zanika, a palec zaciska się na spuście. Postanowiła, że jeśli ma zginąć, może równie dobrze zginąć, próbując coś zrobić. Przeturlała się, akurat w chwili, kiedy złowrogi pomruk znów dobiegł od ściany płomieni nad nimi. Kąt padania światła zmienił się gwałtownie.

Sheila odwróciła się, żeby sprawdzić, skąd nadchodzi groźny dźwięk. Zewnętrzna ściana tuż nad nimi kołysała się przez chwilę jak pijany człowiek. Zbir pilnujący Sugawary też się odwrócił, ściana zaczęła pochylać się nieznacznie w ich stronę.

Właśnie tej krótkiej chwili potrzebowała Lara.

Jednym błyskawicznym, gładkim ruchem odepchnęła karabin maszynowy i wykonała siad życia. Słyszając, że coś się dzieje, Sheila odwróciła się do niej, podniosła lufę broni i wystrzeli-

ła długą serię.

Ściana nadał chybotą się powoli, jakby z obawą. Kawałki spadające z jej szczytu sypały iskry, płonące odłamki gruzu zwiastowały, że zaraz runie.

Pociski z H&K Sheili trafiły nie tam, gdzie chciała, przesywając brzuch jej towarzysza. Sugawara przeturlał się. Lara skoczyła na równe nogi, a Sheila znów pozbierała się i wycelowała. Patrząc na Sheilę unoszącą broń, Lara zanurkowała w przód i kopnęła Gaillard z całych sił. Sheila straciła równowagę i poleciała w tył, ku fundamentom domu. Ale podniosła się, okręciła, znów wycelowała.

Wtedy zaczął strzelać Sugawara. Gaillard upadła na kolana, wciąż jednak nie upuściła swojego H&K, nie dawała za wygraną, próbując oddać decydujący strzał. Wtedy ściana nad nimi po raz ostatni jęknęła.

- Wiejemy! - krzyknął Sugawara. Lara pobiegła razem z nim w ciemność.

Nad Tokio wstawał rześki świt; zdawało się, jakby przez noc jesień wymalowała wszystkie liście na złoto, czerwono i żółto.

Głęboko w czeluściach laboratorium produkcyjnego Niszczyciela, Tokutaro Kurata szedł po metalowej kładce za Edwardem Rycroftem. Z każdym krokiem Kurata wyobrażał sobie liście i próbował przywołać uczucie wewnętrznego spokoju, jakie czerpał z ich widoku podczas porannej jazdy z biura.

Kurata zmarszczył brwi, bo kojące wyobrażenie ulotniło się, ustępując miejsca widokowi hali produkcyjnej, dżungli rur, zbiorników, bioreaktorów, komputerów i bulgocącej, sączącej się wokół śmierci.

Zatrzymali się na podeście. Rycroft wskazał grupkę pracowników w białych kitlach na końcu pomieszczenia.

- To będzie ostatnia seria - powiedział Rycroft, obserwując pracowników. Kurata poszedł za jego wzrokiem.

- Jeszcze czterdzieści osiem godzin i ta partia materiału przejdzie wszystkie etapy. Będziemy mieli wystarczający zapas Niszczyciela już na trzy dni przed zaplanowanym startem.

Rycroft poszukał aprobaty we wzroku Kuraty.

Kurata kiwnął głową dopiero po dłuższej chwili. - Dobrze się pan spisał - odezwał się Kurata, zły sam na siebie, że w jego głosie brzmi zmęczenie. Tę noc spędził bezsennie, dręczony gniewem i goryczą po wyjeździe, a ściślej mówiąc, zdradzie siostrzeńca. Kurata ze wszystkich sił starał się odzyskać równowagę i nawet udało mu się zobaczyć oczami umysłu te kolorowe liście, ale jakby zamazane, jakby za grubą zasłoną.

- Ale ostatnio sprawy nie mają się najlepiej - ciągnął Kurata już spokojniejszym tonem. - Śmierć Yamamoto wciąż mnie trapi; mój siostrzeniec sprowadził hańbę na mnie i całą rodzinę, Sheila Gaillard nie daje znaku życia. Znowu mnie zawiodła; obawiam się, że może już nie żyje.

„Tak, ale są i dobre strony: nie żyje także DeGroot”, chciał powiedzieć Rycroft, ale zatrzymał tę myśl dla siebie. DeGroot od dawna był jego rywalem, jako doskonały specjalista w dziedzinie genetyki molekularnej. Rycroft uważał go, obok Lary Blackwood, za swego najważniejszego konkurenta do Nobla. Kiedy znikli ze sceny, Rycroft poczuł się już zwycięzcą, a Nobel przyniesie mu z dawna wyczekiwaną sławę. Spóźnioną może, ale zasłużoną, tak jak i bogactwo, które zdobędzie, sprzedając Niszczyciela pierwszym klientom, których sprowadził Woodruff. Uśmiechnął się na tę myśl. Pierwsza partia miała pójść do bandy palestyńskich terrorystów, którzy chcieli Niszczyciela wypróbować na Żydach. Druga do brodatych ultraortodoksyjnych syjonistów w czarnych kapeluszach, pragnących powtórki z ludobójstwa, które w biblijnych czasach oczyściło Ka-

naan. Zakpił sobie / . nich. Obie strony konfliktu były tak genetycznie do siebie podobne, że poszedł na skróty i sprzedał im identyczną wersję Niszczyciela. Niech szlag trafi te fanatyczne plemiona, pomyślał. W tej chwili słowa Kuraty sprowadziły go na ziemię.

- Wprawdzie uwolniliśmy się od DeGroota i tej bandy szkodników - powiedział Kurata - ale Blackwood i Sugawara są wciąż na wolności. Moje źródła powiadomiły mnie, że ich ciała nie odnaleziono.

- Tak, ale co oni mogą nam zrobić? - sprzeciwił się Rycroft. - Za mało ich jest.

- Lepiej spytać, czego nie mogą zrobić - powiedział Kurata ostrzej niż sobie tego życzył i zobaczył, że Rycroft sztywnieje. Dalej już spokojniej: - Uniknęli amerykańskiej i holenderskiej policji, huraganu i wszystkiego, co byłem w stanie na nich zesłać - zamilkł, bo z komputera dobiegł sygnał alarmowy. Poniżej człowiek w białym kitlu podbiegł, by przestudiować dane na monitorze, zresetował alarm, po czym odszedł do swojej pracy.

- Zupełnie jakby byli zaczarowani - powiedział Kurata niejasno. - Jak gdyby byli widomą manifestacją jakiejś nieuchronnej siły, której nie da się powstrzymać, idei, której czas nadszedł.

- Nie sądzi pan chyba, że stanowią zagrożenie dla Operacji Tsushima? - zapytał Rycroft.

- Oczywiście, że tak - odparł Kurata. - Arogancją i głupotą byłoby sądzić inaczej, a z pewnością brakiem rozsądku. - Kurata dostrzegł wyraz twarzy Anglika i przypomniał sobie, jak łatwo go obrazić. Kurata czuł obrzydzenie do ludzi, których tak łatwo sprowokować do okazywania uczuć.

- Trzeba być rozważnym i zrobić założenie, że może im się uda odnieść kolejny sukces.

- Jak mogę pomóc? - zapytał Rycroft.

- Chciałbym rozpocząć Operację Tsushima jak najszybciej,

wcześniej niż ustaliliśmy.

Rycroft pokiwał głową. - Jak powiedziałem, będziemy gotowi za czterdzieści osiem godzin, ale jak słyszę, jest jakiś problem z samolotami, z nawigacją.

Kurata przytaknął. - Wciąż mamy do czynienia z niezwykle silnymi burzami geomagnetycznymi spowodowanymi rozbłyskami na Słońcu - powiedział. - Przewidziałem konieczność zmiany naszych planów i bez zbytniego rozgłosu zwiększyłem liczbę piszących po niebie samolotów. Niestety, skomplikowana powietrzna choreografia zależy od precyzyjnej nawigacji elektronicznej i nawigacyjnych sygnałów satelitarnych. Z tego powodu musieliśmy odwołać loty.

- Słyszałem, że wczoraj, w połowie pokazu - powiedział Rycroft.

Kurata skinął głową. - Chcę, żeby pan podzielił Niszczyciela na dwie połowy - powiedział Kurata. - Pierwszą część chciałbym załadować do samolotów już dziś.

Rycroft przypomniał mu: - Pamiętaj pan, że nośnik zacznie ulegać rozpadowi po trzech dniach?

Kurata kiwnął głową. - Jeśli samoloty nie będą mogły wylecieć w ciągu trzech dni, chcę mieć drugą część w pogotowiu. - Zatopił w Rycrofcie długie, poważne spojrzenie. - Osobiście analizowałem prognozy i aktywność burz geomagnetycznych. Pojawiają się takie momenty, kiedy wszystko jest jak należy. Czasami te chwile spokoju trwają tylko kilka godzin, ale są.

- Więc kiedy niebo pozwoli, wypuszczę w powietrze śmierć.

Rozdział 50

We wnętrzu pustego odrzutowego samolotu transportowego

747 było zimno, ciemno, głośno i niekomfortowo. Przypięci do spartańskich foteli pomiędzy paletami z towarem i zapieczętowanymi kontenerami przeznaczonymi dla Singapore Electorchip, siedzieli Victor Xue, Lara Blackwood i Akira Sugawara. Ubrani byli w identyczne szarzielone nylonowe kurtki i spodnie, dla ochrony przed zimnem panującym w nieogrzewanym samolocie towarowym. Z ich ust unosiły się kłębuszki pary.

Xue zapłacił załodze hojną ręką, żeby lekko zmienili trasę lotu, wpuścili ich na pokład załadowanego transportowca i przewieźli niepostrzeżenie dla nikogo do Osaki w Japonii. Postanowiono, że pilot zgłosi złe funkcjonowanie aparatury tuż po wejściu w przestrzeń powietrzną Japonii i dokona nieplanowanego lądowania w Osace, w celu przeprowadzenia napraw. Potem polecą do swego miejsca przeznaczenia na Tajwanie.

Lara poruszyła się, starając się znaleźć wygodniejszą pozycję dla swoich długich nóg pod ciasnym, tymczasowym fotelem ustawionym na gołej podłodze. Przeszedł ją dreszcz, kiedy przełotnie dotknęła Akiry. Uśmiechnął się, jego twarz niewyraźna w skąpym świetle kabiny towarowej, ale i tak zrozumiała, że odczuwa tę dziwną niewysłowioną więź, która ich połączyła.

Jakie to dziwne uczucie, pomyślała. Trochę jak licealne zauroczenie, a poza tym? Z trudem próbowała określić uczucia, które wymykały się definicji. Może to była więź łącząca towarzyszy broni, którzy przeżyli bitwę, i którzy wiedzą, że jedno nie przetrwałoby bez drugiego? Z pewnością tak, pomyślała. Ale było w tym coś więcej. Nuta erotyzmu, fizyczny pociąg, którego nie mogła odeprzeć. Seks i niebezpieczeństwo wydają się rzadko chodzić w parze, myślała, ale to logiczne z punktu widzenia ewolucji, że ludzie, którzy otarli się o śmierć, chcą tworzyć nowe życie. Niezaprzeczalny imperatyw, jak w przypadku córek Lota, które skłoniły ojca, by odbył z nimi stosunek,

żeby ludzka rasa nie wyginęła. Czy po prostu wpadła w pułapkę ewolucyjnego popędu, który miał zapewnić przetrwanie samolubnych genów, czy też kryło się za tym coś więcej?

Może, pomyślała, znalazła jego dłoń i lekko ją ścisnęła, może to jest miłość. Ta myśl zawstydziała ją, bo jako człowiek nauki aż za dobrze wiedziała, że to, co większość ludzi nazywa miłością, jest zjawiskiem biochemicznym, dość dobrze poznanym. Ale czy to ma jakieś znaczenie? Lara zastanawiała się nad tym, kiedy silniki odrzutowca wyrównały obroty i samolot zaczął lot na swej przewidzianej wysokości. Victor Xue odpiął pas i podszedł do swojej podręcznej torby. Odpiął elastyczny pasek, zabezpieczający zawartość i przeniósł ją na paletę skrzynek sięgającą mu do pasa.

- Chodźcie tu - powiedział, zdejmując prawą rękawiczkę, otworzył zamek torby i wydobyl plik papierów. Rozłożył je w równych kupkach na wierzchu palety. W końcu sięgnął i włączył lepsze światło, używane przy załadunku. Intensywne światło raziło ich przez chwilę.

Lara i Sugawara odpięli pasy i zebrawi się przy zaimprovizowanym stole konferencyjnym.

- To jest powiększenie schematu z Internetu - powiedział Xue. - Mamy jego kopie, a także innych schematów, w magazynie niedaleko lotniska w Osace. Jest już tam ekipa, która gromadzi wszystkie potrzebne materiały i specjalistów, którzy podjęli się budowy urządzenia.

- Nie traci pan czasu - pochwaliła go Lara.

- Bo też nie mamy czasu do stracenia - powiedział Xue. - Wiem, że niby mamy całe pięć dni, ale nie wiadomo, czy tamci nie przyspieszą akcji, zwłaszcza, że jest przerwa w aktywności słonecznej.

Akira i Lara skinęli głowami.

- Oto urządzenie, którym się posłużymy - Xue pochylił się

nad rysunkami. - Głównym elementem konstrukcji jest jakby rura w rurze. - Lara i Akira śledzili gesty Xue. - Ta wewnętrzna jest wypełniona materiałem wybuchowym i umiejscowiona dokładnie w środku rury o większej średnicy, która służy jako izolator. Można ją wykonać z pleksiglasu.

- Potem zewnętrzną warstwę owijamy miedzianym drutem dwunastką. Żeby całość była trwalsza, trzeba ją jeszcze umieścić w jakimś materiale izolującym. Można użyć betonu, chociaż zdaje mi się, że wojsko używa jakiegoś wytrzymałego materiału syntetycznego, żeby zaoszczędzić nawadze. Wszystko znajdziemy w dobrze wyposażonym sklepie żelaznym.

- Oprócz materiałów wybuchowych - zauważył Sugawara.

Xue wzruszył ramionami. - Jeżeli ten sklep żelazny będzie w Somali lub Teheranie...

Żart wywołał krótki, acz niewesoły śmiech.

- Ale poważnie - poprosiła Lara.

- Nadaje się każdy materiał wybuchowy - powiedział Xue. - C-4, Semtex, co tylko chcecie. Moje poszukiwania wskazują, że idealne byłyby bloki PBX-9501, ponieważ wywołują falę uderzeniową doskonale dopasowaną do kompresji pola elektromagnetycznego. Ale ponieważ C-4 jest tak niezawodny i dostępny, zamówiłem już przesyłkę, która powinna być w Osace mniej więcej w tym samym czasie, co my. Może nie jest idealny, ale bezpieczny, łatwo daje się formować i zaoszczędzi nam czasu.

Przerwał, kiedy odrzutowiec wszedł w turbulencje, które rzucały nimi na prawo i lewo i wywołały mnóstwo przedziwnych odgłosów z przypiętych pasami kontenerów.

- Nienawidzę tego - powiedziała Lara, chwytając się palety dla równowagi. - Rozstraja mnie to.

- Przeżyłysz sobie Atlantyk w ciężkim huraganie, a taka mała turbulencja cię rozstraja? - zapytał Akira.

Lara wzruszyła ramionami. - Każdy ma swoją słabość. - A ty? - chciała zapytać.

- A w jaki sposób powstaje impuls elektromagnetyczny?

- Całe to urządzenie ma na celu przemianę energii wybuchu w bardzo silne pole elektromagnetyczne - zaczął Xue. - Rzecz zaczyna się od tego, że rozładowujemy szereg kondensatorów, takich jak te produkowane w Maxwell Labs, żeby wywołać przepływ prądu w spiralnej cewce z miedzianego drutu, którą nazywamy stoją-nem. Kondensatory mogą zostać naładowane niewielkim prądem, tak jak małe strumyczki wypełniają wielkie zbiorniki wodne ograniczone tamą. Rozładowanie kondensatorów można porównać do wysadzenia tamy w powietrze - tylko że po rozładowaniu kondensator nie ulega zniszczeniu, można go ponownie naładować. Na tej samej zasadzie mała, kilkuvoltowa bateria stroboskopu może wytworzyć napięcie równe pięćdziesięciu tysiącom voltów lub więcej.

Xue przerwał i poszukał w nich śladów zrozumienia. Lara i Akira mądrze kiwali głowami. - Podstawowe sprawy - powiedział Sugawara.

- Jak duże są te kondensatory? - zapytała Lara. - Zakładam, że powinny być większe niż te wielkości ziarnka ryżu na płytach komputera.

- Mniej więcej wielkości baryłek na ropę - oznajmił Xue. - Na szczęście istnieją odpowiednie wersje, używane w metalurgii. Dzięki temu są łatwo dostępne, jeśli się wie, gdzie ich szukać.

- Wyszukiwarka internetowa - powiedział Sugawara.

- A jaka jest droga od silnego pola magnetycznego do tego czegoś, co smaży układy scalone? - zapytała Lara.

- Cóż - kontynuował Xue. - Kiedy prąd początkowy przepływa przez cewkę, materiał wybuchowy zostaje zdetonowany. Pamiętajcie pewnie, że został on wcześniej umieszczony w meta-

lowym cylindrze, nazywanym zworą. Wybuch rozszerza cylinder zwory i wciska fragmenty metalu w cewkę, przez którą płynie prąd o wysokim napięciu. Dzięki temu następuje zwarcie w zwojach cewki elektromagnetycznej, co jak gdyby zamyka silny strumień prądu wewnątrz urządzenia. Kiedy materiał wybuchowy spala się od jednego końca urządzenia ku drugiemu, następuje kompresja pola magnetycznego, aż do wytworzenia się jednorodnego, niewiarygodnie silnego pola elektromagnetycznego, które zostaje uwolnione na mikrosekundy przed tym, jak całe urządzenie się zdeintegruje.

- Aha - powiedziała Lara. - Jakież to proste.

- Tak i nie - powiedział Xue zagadkowo. — Prawie każdy garażowy terrorysta może coś takiego zmontować w ciągu paru godzin i wziąć na cel miejscową centralę telefoniczną, serwer internetowy lub centrum komunikacyjne organów ochrony porządku publicznego. Ale żeby osiągnąć maksymalny zasięg i siłę oddziaływania, musimy przeprowadzić testy na zwojach cewki, żeby sprawdzić, jak długo potrwa, zanim wytworzy się maksymalny prąd. Następnie musimy wiedzieć, ile czasu upłynie od detonacji do momentu, zanim fala detonacji dotrze do zwojów. Jeśli to zrobimy, możemy użyć prostego obwodu, żeby zainicjować detonator zanim strumień spiętrzy się w zwojach. Potrzebujemy też ustalić, jakie napięcie przyłożyć do odpowiednio uformowanego materiału wybuchowego, ale w tym przypadku będzie to łatwo sprawdzić. Jeśli zrobimy to jak należy, strumień końcowy impulsu elektromagnetycznego będzie sześćdziesiąt razy silniejszy niż początkowy... a może i więcej.

- I to wszystko z przekształcenia energii wybuchu w energię elektryczną. Fascynujące - zdumiał się Sugawara.

Wszyscy na jakiś czas zamilkli. Równy huk silników odrzutowych wypełniał ciszę.

- Czy można... - Lara szukała słów, by ująć swą myśl. -

Czy można użyć jednego takiego urządzenia do... hm, napompienia kolejnego, aby osiągnąć jeszcze większą siłę rażenia?

Xue skinął głową. - O, tak. Tak jest w wersjach dla wojska. Ponieważ taka bomba EMP musi dać się przemieszczać, nie może być zamknięta w betonie i podłączona do szeregu kondensatorów wielkości beczki, zaczynając od małych kondensatorów i proces przebiega wieloetapowo.

- A więc - Lara mówiła powoli, żeby się nie zgubić - zamiast robić dwie bomby o mocy, która powiększy strumień sześćdziesiąt razy, można je połączyć tak, żeby jedna naładowała drugą i wtedy mamy sześćdziesiąt razy sześćdziesiąt... czyli...

- Cholera! 3600 razy więcej niż strumień początkowy.

- A jeśli będą to trzy etapy, ponad 200 tysięcy razy więcej.

- Ale krytyczną sprawą jest synchronizacja czasu. Mili-sekundy, mikrosekundy... - mówił Suagwara. - Trzeba uważać, żeby nie zdetonować drugiej i trzeciej fazy zbyt szybko albo zbyt późno.

Nagle samolot zanurkował gwałtownie. Wstrząs przygwoździł Xue i Sugawarę do pokładu. Papiery sfrunęły jak konfetti z palety, której używali jako stołu. Lara jedną ręką uchwyciła się palety, rozstawiła nogi, przyklękła na jedno kolano, zupełnie jakby znów była przy sterze Tagcat Too w czasie sztormu. Znajome ruchy i praca mięśni obudziły w niej poczucie głębokiej straty, które ostatnio przyćmiło krańcowe wyczerpanie, strach, życie pod presją i ciągłą konieczność działania. Wolną ręką dotknęła pojedynczego szafirowego kolczyka, jedyne go przedmiotu, który pozostał po dawnym życiu.

Chwilę później samolot odzyskał równowagę. Xue wstał, chwytając się pasów wiążących ładunki. Akira wciąż siedział na pokładzie i pocierał zraniony bark.

- Nic wam się nie stało? - zapytała Lara z troską w głosie. Sugawara pokręcił głową i oparł się na kolanach, po czym wstał.

- Nic. Wszystko w porządku, ale uderzyłem się w szwy i piecze jak ogniem.

- Mam nadzieję, że nie puścili.

- Nie. Raz tak już było, i wiem, jakie to uczucie. - Roztarł bark przez materiał kurtki. - Nic mi nie będzie.

- Niezły korkociąg - powiedział Xue, pochylając się, żeby pozbierać porozrzucane notatki. Lara i Akira pomogli mu.

Jak ten Akira się swobodnie porusza, pomyślała Lara, patrząc jak młody Japończyk pochyla się i zbiera rozsypane kartki obiema rękami.

Wreszcie, kiedy ułożyli wszystko z powrotem na palecie, Sugawara odezwał się.

- To wszystko - zatoczył łuk ręką nad dokumentacją EMP - to bardzo dobry pomysł. - Przerwał. - Ale uważam, że powinniśmy stworzyć też awaryjny plan fizycznego zniszczenia samolotów jeszcze na ziemi, w razie gdyby bomba EMP nie zadziałała. Nawet, jeśli Niszczyciel ulotni się w trakcie operacji, lepiej, żeby skaził niewielki teren, zamiast rozpylenia nad całym Tokio.

- Owszem, ale byłoby misją samobójczą podejść na tyle blisko z bronią, którą mamy obecnie do dyspozycji. I istnieje duże prawdopodobieństwo, że sami byśmy się zarazili - powiedział Xue. - Pamiętajcie, Niszczyciel przetestowany przez DeGroota nie działał selektywnie.

- Ale co u licha mogło się tam stać? - zapytała Lara retorycznie.

- Mnie się zdaje, że Rycroft kombinował coś w procesie produkcji - powiedział Sugawara. - Szef wydziału produkcji fabryki próbował mi coś powiedzieć na ten temat. Myślał, że proces został niewłaściwie zmodyfikowany, żeby przyspieszyć produkcję. Chyba o to chodziło.

- Niezależnie od tego, dlaczego tak się stało, twoja pro-

pozycja szturmowa byłaby samobójstwem - powiedziała Lara zmartwiona.

Sugawara rozejrział się. - Chcę na nią wyruszyć sam - powiedział. Lara potrząsnęła głową i podeszła do niego. Położyła dłoń na jego przedramieniu i rzekła: - To ja pomogłam stworzyć tego potwora. Wolałabym umrzeć, powstrzymując go, niż żyć dalej ze świadomością, że pozwoliłam go wypuścić.

Stali oko w oko przez dłuższą chwilę, wymieniając się komunikatami głębszymi niż słowa.

Xue czekał cierpliwie z wszechwiedzącym uśmiechem na twarzy. Wreszcie przerwał ciszę. - Doktor Al-Bitar może posiadać pewną broń, która zwiększy nasze szanse podczas takiej misji.

Akira i Lara spojrzeli na niego i zgodnie pokiwali głowami.

- Dobrze. Teraz proponuję, żebyśmy się trochę przespalili - powiedział Xue. - Bo jak przybędziemy na miejsce, będziemy mieli pełne ręce roboty. - Bez słowa Lara poprowadziła ich przez ciemne wąskie przejścia między paletami i kontenerami, pod drzwi załadunkowe, gdzie zostawiono dla nich śpiwory, wodę i skrzynkę słodkich batoników z muesli. Xue wziął swój śpiwór i szybko schował się gdzieś pomiędzy towarem. Akira sztywno pochylił się, żeby zabrać swoje posłanie.

-Jak rana? - zapytała Lara.

Akira wstał powoli. - Mam sztywne ramię. - Roztarł bark. - Ale wcześniej bardziej bolało.

- To dobrze - powiedziała Lara szczerze, podnosząc swój zwinięty śpiwór.

Stali nie odzywając się, patrząc na siebie długo, wyczuwając drganie pokładu pod nogami.

- No to... - powiedziała Lara, przygryzając dolną wargę.

- No... - powiedział Akira przestępując z nogi na nogę. Lara ujęło rzadkie połączenie siły i wrażliwości, jakie dostrzegła w

rysach jego twarzy. Przypomniała sobie jego odwagę w strzelaniu na farmie tulipanów, która teraz wydawała się już taka odległa, zimną krew, którą zachował pośród chaosu. Przede wszystkim jednak podziwiała jego siłę psychiczną i odwagę cywilną, zdolność do przedarcia się przez zaminowane pole, stworzone przez jego rodzinę i kulturę, do oderwania się od nich i dokonania własnego wyboru.

Lara myślała o tym, kiedy dokładnie studiowała jego rysy, chłonąc każdy szczegół. Oczy wydawały się egzotyczne, migdałowe w kształcie, ciemne, głębokie. Podniecały ją. Poczula, że opuszcza ją zwykła pewność siebie, stała niepewnie, nie wiedząc, co ma powiedzieć lub zrobić. Chciała go przytulić. Jej ciało mówiło jej, że chciałaby nawet więcej. Umysł natomiast podpowiadał, że to absurd, jakaś wersja stresu pourazowego.

- No to... Myślę, że lepiej pójdźmy już spać - powiedział.

Lara kiwnęła głową. Chciała powiedzieć, że we dwoje utrata ciepła będzie mniejsza. Ale zamiast się odezwać, tylko przytaknęła: - Mhm - i patrzyła, jak jego plecy znikają w ciemnym korytarzyku.

- Dobre posunięcie - mruknęła do siebie Lara, snując się między paletami. - Masz, czego chciałaś. - Potrzęsnęła głową, znalazła odpowiednią wnękę, rozwinęła śpiwór i położyła się.

Za chwilę serce zabiło jej szybciej, kiedy usłyszała kroki i pokazał się znów Sugawara.

- Znalazłem to - wyciągnął w ciemności coś bezkształtnego. - To jest brezent, ale będzie ci cieplej niż w samym śpiworze.

„Tobie też”, niemal jej się wyrwało, ale powiedziała tylko: - To bardzo miło z twojej strony. - Wzięła brezentową plandekę. - Dziękuję ci.

Cisza znów zbliżała ich do siebie, czas i przestrzeń wypełniły się wspólną potrzebą, niepewnością, wzajemnym przyciąganiem, lękiem przed odrzuceniem. W końcu Lara powie-

działa: - Może razem się przykryjemy? - Przez jedną straszną chwilę drżała niepewna jak nastolatka; przepadła gdzieś silna baba, która sama przepłynęła ocean i zakładała firmy biotechnologiczne. Jej świat zawęził się nagle, stał się małą główką szpilki, wypełnioną emocjami i fizjologią. Jak miliardy kobiet przed nią myślała tylko o jednym: czy ten facet mnie zechce?

- Hm... hm... Dobrze. - Zawahał się. Zaskoczony? - zastanawiała się Lara. - Dobra. To bardzo miło. Tylko przyniosę swój śpiwór.

Zostawił Larę targaną uczuciami i wrócił trochę za szybko. To też ją podnieciło. Najwyraźniej zaplanował to, wziął ze sobą śpiwór, tylko na razie gdzieś go upchnął w pobliżu.

Lara posunęła się, żeby zrobić mu miejsce. Rozłożył śpiwór, wszedł do środka i przykrył oboje brezentem.

Leżeli tak nieruchomo przez kilka minut. Potem nieśmiało otoczył ją ramieniem. Lara przyjęła je i wtuliła się w niego najgłębiej, na ile pozwalały śpiwory i ciepłe ubrania. Ucałowała go skromnie na dobranoc i zaraz potem oboje zapadli w sen, a odrzutowiec bucząc, leciał ku swemu przeznaczeniu.

Wschodzące słońce wspinało się nad pejzażem osnutym mglistymi kurtynami smogu, które gęstniały wraz z odległością. Drapacze chmur w Tokio rysowały się jako niewyraźne sylwetki górujące nad portem.

Tokutaro Kurata stał na dachu Laboratorium 73, wpatrując się w poranne jaśniejące niebo, dopóki na dole nie wzmógł się hałas ruchu samochodowego. Spojrzał w dół, gdzie z placu załadunkowego odjechał właśnie mitsubishi sedan, kierując się do pierwszej bramy. Edward Rycroft stał obok Kuraty z rękami wbitymi w kieszenie białego laboratoryjnego kitla. Patrzył na jastrzębia pikującego za gajem drzew kamforowych.

- Nie poznają różnicy? - zapytał Kurata. Rycroft potrząsnął

głową.

- Granulki wyglądają identycznie jak te, które dostają od nas już od miesięcy. - Głos miał ostry, poirytowany. - Myślę, że jest to substancja powierzchniowo czynna, która rozpuszcza się w środku piszącym, żeby ten się nie zbryłał i nie zatykał dysz.

Spojrzał Kuracie w oczy. - Niech się pan uspokoi. Jutro o tej porze będzie po wszystkim.

Kurata odwzajemnił spojrzenie. - Proszę wybaczyć, że jestem dziś nieswój. Hańba mojego siostrzeńca tak mnie przybija.

- Rozumiem - powiedział Rycroft spokojniej.

- A jakie są prognozy co do Słońca?

Rycroft uśmiechnął się. - Intensywność się zmniejsza. Strefa zakłóceń geomagnetycznych przesuwana się dalej na północ. Nie jest szaleństwem przypuszczać, że jutro około południa będzie spokój.

Kurata uśmiechnął się szeroko.

Rozdział 51

Pośród urwistych wzgórz Japonii, pewien uskok lądu, spowodowany przez dawno już zapomniane trzęsienie ziemi, tworzył barierę broniącą wejścia do doliny z małym jeziorem pośrodku, izolującą ją od świata, który rozciągał się poniżej. Dolina miała kształt niemal regularnej misy, strome góry opadały w dół, przechodząc w płaskie, wielopoziomowe pola ukształtowane przez osady geologiczne nagromadzone przez wieki. Poletka rodzące słynny ryż przytulały się do górskich zboczy, zwisały z nich jak wypełnione wodą płytkie talerze, wspinały się ze swą zielenią ku niedosięgłym szczytom. Na przeciwległym krańcu doliny też były pola ryżowe, tak że płaski kawałek ziemi pośrodku doliny otoczony był niemal całkowicie polami, a z jednej strony zamknięty jeziorem, z wyjątkiem strzeżonej drogi wjaz-

dowej.

Płaski grunt był obsadzony warzywami, za które wspólnota nieraz dostawała nagrody. Wzdłuż wąskiego pasa lądowiska, używanego przez samoloty rolnicze wspólnoty, pasło się bydło. Gała żywność uprawiana tu była organicznie, ale piloci wspólnoty byli cenieni przez innych rolników za umiejętność precyzyjnego rozmieszczania środków chemicznych. Na skraju jeziora przysiadł metalowy hangar, w pobliżu stało skupisko mniejszych budynków.

Obserwator stojący na skraju pobliskiej drogi, wspinającej się po jednym z górskich zboczy, zobaczyłby strażników patrolujących wzdłuż podwójnego ogrodzenia, otaczającego teren wspólnoty.

Krytycy wspólnoty twierdzili na łamach gazety „Asahi Shimbun”, że te ogrodzenia to swego rodzaju mury więzienne, powstrzymujące członków sekty przed ucieczką w szeroki świat. Starsi wspólnoty kpili z tego, wskazując na liczne próby wykradania ekologicznie czystej żywności. Nie wspominając o tych krytykach wspólnoty, którzy stanowili zagrożenie dla farmy i fizycznego bezpieczeństwa jej mieszkańców. Inspekcja rządowa zaproszona przez wspólnotę i opisana przez „Asahi Shimbun” zdawała się łagodzić obawy, że jest to kolejna sekta zbrojna, jak ta, która w tokijskim metrze wypuściła trujący gaz. Tego dnia obserwator na wzgórzu zobaczyłby także mitsubishi sedana podjeżdżającego powoli do bramy krętą, pylistą drogą. Mitsubishi został prześwietlony, papiery sprawdzone dwukrotnie, i w końcu przepuszczono go do hangaru, gdzie po raz kolejny przeszedł staranną kontrolę. Wreszcie drzwi hangaru otworzyły się i mitsubishi zniknął z pola widzenia.

Rozdział 52

W Osace zachodziło już słońce, kiedy wielki helikopter Si-

korski usadowił się wdzięcznie przed terminalem towarowym Singapore Electrochip. Był to jeden z największych budynków wśród wielu podobnych, obitych blachą hal stojących gęsto w sektorach przeładunkowych, z dala od terminali pasażerskich i ciekawskich oczu. Było to zdarzenie rutynowe i uszło uwagi ludzi w roboczych ubraniach, którzy załadowywali i rozładowywali skrzynie, kontenery i palety z samolotów na sąsiednich terminalach.

Lara Blackwood i Akira Sugawara trzymali się za ręce, przykucając z tyłu latającej maszyny, ukrywając się za zawczasu przygotowanymi skrzyniami i paletami. Helikopter został „zbiegiem okoliczności” przysłany w celu dokonania drobnych napraw do tego samego hangaru, co transportowiec 747, który przywiózł ich z Amsterdamu. Pieniądze tajemniczego doktora Al-Bitara znowu kupiły dyskrecję, milczenie, ślepotę i współpracę.

Lara oparła się o Akirę, poczuła, jak przysuwa się do niej w ciasnej przestrzeni. Kontakt z jego ciałem wypełniał jej serce ciepłym poczuciem bezpieczeństwa, odpędzał chłód i mrok, które towarzyszyły jej nieustannie odkąd umknęła śmierci w Waszyngtonie.

Śmigło helikoptera obracało się coraz wolniej. Zza spiętrzonych towarów dobiegły czyjeś głosy. Był wśród nich głos Victora Xue, wydający polecenia, i inne głosy, odpowiadające rzeczowo i z szacunkiem. Zza kadłuba słychać było wózki widłowe i inne, ciszej pracujące maszyny. Zgrzyt ogromnych drzwi załadunkowych helikoptera sprawił, że wszystko zaczęło wibrować.

Moment później Lara i Akira pod stopami usłyszeli stuki. Wstali i otworzyli mały luk wejściowy w pokładzie.

- Proszę, sprawdźcie czy nie zostawiliście żadnych swoich rzeczy - głowa Victora Xue pojawiła się w otworze. - Dziękujemy za skorzystanie z naszych nocnych linii lotniczych. -

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę. - Zaczekajcie chwilę.

Głowa na chwilę znikła. - Teraz, szybko. Wszyscy są zajęci przeładunkiem. - Wyskoczyli szybko przez luk i obeszl stopy skrzyń i tekturowych pudeł, które wypełniały furgonetkę towarową. Xue błyskawicznie przeprowadził ich od helikoptera na zaplecze terminala towarowego, do otwartych drzwi pojazdu. Zdalnie zamknął drzwi.

- Dobra, możecie się podnieść.

Kiedy Akira i Lara usiedli, zobaczyli przypominające jaskinię pomieszczenie ze ścianami z białej blachy i wysokim na trzy piętra sufitem. Bardzo jasne światło lalo się z nieosłoniętych lamp wiszących na dźwigarach, nieco zdominowane przez światło dzienne wpadające przez świetliki w dachu. Byli otoczeni wysokim na dziesięć stóp murem kontenerów, palet, skrzyń: zupełnie tak jak to powinno być na terminalu towarowym.

Akira i Lara patrzyli, jak Xue skręca furgonetką w lewo, objeżdża skrzynie, cofa i zatrzymuje się na skraju otwartej przestrzeni. Tam też stały palety, blaty robocze, tokarka, wiertarka i inny sprzęt, a dalej stoły zajęte przez komputery, elektroniczną aparaturę pomiarową, papiery i schematy. Stopy rur i rurek, zwoje drutu, elementy metalowe i plastikowe leżały tam, gdzie wypakowano je z wózków widłowych. Elektryczna betoniarka stała beczynnie obok palet z workami cementu.

W jednym z kątów człowiek w oliwkowym mundurze maskującym zajmował się metalową baryłką zawieszoną nad dużym przenośnym palnikiem gazowym; nad baryłką unosiły się opary, przypominające parę wodną.

W innym kącie migotały niebieskawe błyskawice; człowiek w brązowym kombinezonie roboczym pracował ze spawarką. Przerwał na chwilę, uniósł maskę ochronną z twarzy i zaczął wygładzać trzymany przedmiot ręczną szlifierką, wzbijając w powietrze snopy iskier. Lara domyśliła się, że szlifuje nierów-

ne miejsca pozostawione przez spawarkę. Jeszcze dalej stało kilka namiotów, wokół których porzucano składane stoliki, krzeselka i sprzęt do gotowania. Wyglądało to jak wystawa wielkiego sklepu sportowo-turystycznego.

Nieco bliżej nich człowiek w białym kitlu laboratoryjnym pochylał się nad monitorem komputera. Wstał, popatrzył na furgonetkę i ruszył ku nim szybkim krokiem, powiewając połami kitla.

- Niesamowite - powiedziała Lara. - Jak zdołaliście zebrać to wszystko tak szybko?

- *Shinrai* ma duże możliwości - odparł Xue. - Ale najważniejsze, że kiedy dr Al-Bitar każe się brać do roboty, ludzie poruszają niebo i ziemię.

- Najwyraźniej - Lara była pod wrażeniem rozmachu tej organizacji. Patrzyła na podchodzącego mężczyznę. Był to szczupły człowiek średniego wzrostu, o ciemnej skórze, bujnej, szpakowatej brodzie, w ciemnoniebieskim turbanie i uśmiechu, z którego promieniowała pewność siebie i serdeczność.

- Dobry wieczór, Victor! - przywitał się, wyciągając dłoń. - Mam nadzieję, że mieliście dobrą podróż.

Victor uściśnął mu rękę. - W tych okolicznościach, można powiedzieć, że nawet bardzo dobrą, chociaż spanie na podłodze nieogrzewanego samolotu transportowego to nie jest coś, co bym polecał ludziom powyżej dwudziestu pięciu lat. - Potem przedstawił swoich towarzyszy:

- Lara Blackwood i Akira Sugawara, a to jest doktor John LaPorta, szef badań naukowych w Singapore Electrochip. To wybitny fizyk, który pojawił się w naszej firmie, kiedy nabyliśmy bardzo dobrze prosperującą firmę półprzewodnikową, którą sam założył. Właściwie jego patenty i odkrycia utorowały drogę informatyce kwantowej.

- Proszę nie wierzyć w ani jedno słowo - odparł LaPorta.

- Cieszę się, że mogę od czasu do czasu zrobić coś pożytecznego. - Wyciągnął rękę do Lary. - Tak się cieszę, że mogę panią poznać, pani Blackwood. I widzieć, że jest pani bezpieczna.

Lara ujęła jego dłoń i odwzajemniła uprzejmości.

-I pan - LaPorta podszedł do Akiry. -Jestem pod wrażeniem pańskiej odwagi.

Akira wzruszył ramionami, patrząc na dłoń LaPorty.

- Dziękuję, ale robię tylko to, co uważam za słuszne.

- To jest czasami najtrudniejsze.

Zamilkł. Xue patrzył na niego wyczekująco. Wtedy podjął:
- W bardzo krótkim czasie poczyniliśmy spore postępy - rozejrzał się po hali. - Na szczęście podstawowe urządzenie nie jest skomplikowane, a jego projekt łatwy do sporządzenia. Już prawie skończyliśmy montować pierwszy prosty generator, i zaczęliśmy pracę nad kolejnymi, które zaprojektowałem i które mogą być o wiele skuteczniejsze. Proszę tędy, zaraz wszystko pokażę.

Ruszyli za nim do komputera, przy którym pracował.

Xue wskazał monitor. - Co pan tu ma?

- To symulacja naszej e-bomby - podszedł do klawiatury, wpisał szereg poleceń i wyprostował się, kiedy na ekranie pojawiła się animacja. - Sztuczka polega na skorelowaniu przebiegu fali spalania w materiale wybuchowym z polem magnetycznym i dokładnym początkowym kształtem stojana i zwory tak, żeby osiągnąć maksymalny rezultat. Ponieważ nie jestem ekspertem od materiałów wybuchowych, dobrze się składa, że charakterystyka spalania większości materiałów jest łatwo dostępna w takiej postaci, jakiej mogę użyć z moim modelem elektromagnetycznym.

Lara i Akira obserwowali graficzną symulację do końca.

- Dzięki tej symulacji możemy ustalić właściwe parametry początkowe ładunku. Pomoże mi też zaprojektować odpowied-

nie obwody do ładowania i detonacji, które dadzą maksymalną siłę EMP. - Przerwał. - Ale, szczerze mówiąc, projekt jest tak prosty, że żadne z tych ulepszeń nie będzie miało kluczowego znaczenia. Moi synowie mogliby coś takiego zbudować w garażu w ciągu weekendu.

- Naprawdę? - zdumiała się Lara. - W takim razie dziwię się, że terroryści nie odpalają takich bomb po całym świecie. Gdyby je zdetonować w kilku strategicznych miejscach, można uniemożliwić kontrolę lotów, uszkodzić centrale telefoniczne, połączenia internetowe, po prostu można rzucić Stany Zjednoczone na kolana.

Xue potrząsnęła głową. - Ale to nie wzbudza sensacji w mediach, nie giną ludzie, krew się nie leje. Nie ma drastycznych scen, urwanych kawałków ciała, zabitych niemowląt. Terroryści chcą siać zgrozę i cierpienie, urządzić krwawą jatki. Chcą niszczyć i mordować. Swoje chore umysły owijają w politykę lub religię, tymczasem w gruncie rzeczy one niewiele dla nich znaczą. Stanowią tylko przykrywkę dla ich psychozy- To rzeźnicy, masowi mordercy, skuteczność działania nie ma dla nich znaczenia. Po co atakować żołnierzy, skoro można podłożyć bombę na urodzinach kilkuletniej dziewczynki?

- Czarujące - mruknęła Lara.

- Przedstawię wam innych, którzy z nami pracują - powiedział LaPorta, kierując się ku człowiekowi ze spawarką. - Nie mamy zbyt wiele czasu, musimy wszyscy dziś wieczór zabrać się do sedna rzeczy.

Mężczyzna zauważył, że podchodzi, odstawił szlifierkę i wytarł ręce o ręcznik. Kiedy podeszli bliżej, Lara stwierdziła, że przyspawał grubą na pół cala płytkę stalową do czegoś, co wyglądało jak kołyska czy widełki.

- To jest Satoshi Kakudate przedstawił LaPorta. Nowy znajomy uklonił się; Akira odwzajemnił grzeczność. -Jest jednym z

naszych najbardziej aktywnych członków. W prawdziwym życiu jest operatorem maszyn w japońskim oddziale General Motors. Dzięki niemu to, co tu złożymy, nie rozleci się w kawałki.

- Zrobię, co w mojej mocy - powiedział Kakudate bezbłędną angielszczyzną.

- Nad czym pan teraz pracuje? - zapytała Lara.

- To jest rama, do której przymocujemy wszystkie inne komponenty - wyjaśnił. - Powiedziano mi, że będziemy używać ciężkich materiałów, na przykład betonu, więc musi być solidna.

Głos o subtelnym południowym akcencie dobiegł gdzieś z tyłu: - Tak solidna, że będzie to prawdopodobnie jedyna rzecz, która przetrwa ten wybuch!

Wszyscy odwrócili się ku źródłu głosu. Stał przed nimi wysoki, wysportowany mężczyzna po pięćdziesiątce. - W razie ataku nuklearnego schowałbym się tylko pod czymś, co zbuduje Satoshi. - Wyciągnął rękę i zanim LaPorta zdążył go przedstawić, oznajmił: -Jestem Charles Brooks.

Xue powiedział: Charles jest bankowcem...

- Nieladnie, Victor - poskarżył się Brooks. - Nie mogłeś mnie przedstawić jako jakiegoś innego przestępcę? - Uśmiechnął się. - Zresztą, jestem na emeryturze.

- Tak - powiedział Xue. - Charles odszedł z bankowości i teraz pracuje nad zadośćuczynieniem grzechów popełnionych w swojej karierze.

Zaśmiali się obaj.

- Ładna emeryturka - zauważyła Lara, przyglądając się parującej beczulce. -Jak kocioł czarownic z Makbeta.

- Tak, to właśnie coś takiego, co mogłyby wiedźmy uwarzyć - powiedział Brooks. - Jestem tutaj, ponieważ mam skromne doświadczenie wojskowe...

- Charles należał do Zielonych Beretów - przerwał Xue. - To nazywa skromnym doświadczeniem, a przecież był dla nich

tak cenny, że trzymali go w rezerwie do późnej starości.

- Dzięki za to wotum zaufania - powiedział Brooks żartobliwie. - To prawda, że w tym kociołku mamy niebezpieczne rzeczy. Używam go jako bojlera, żeby stopić C-4 tak, żebyśmy mieli idealnie równy cylinder materiałów wybuchowych. Inaczej, jeśli po prostu wepchniemy go do miedzianej rury, porobią się zmarszczki, puste miejsca i inne nieregularności na powierzchni, które zakłócają równe i gładkie spalanie. Urządzenie zadziała, ale siła wybuchu nie będzie warta naszego wysiłku.

Przerwał, żeby dobrze zrozumieli. Potem popatrzył na Larę i Akirę. - Przydałaby mi się pomoc przy jednym z tych wywarów.

- Jasne - powiedzieli jednocześnie.

- Potrzebujesz ich obojga? - zapytał Xue. - Ktoś musi mi pomóc rozładować furgonetkę.

Brooks potrząsnął głową.

- Charles i Akira to nasi dwaj wojskowi - powiedział Xue. - Pozwólmy im zacieśnić więzi.

- Dobrze - powiedziała Lara niechętnie. Chciała osobiście zobaczyć, jak się odlewa materiał wybuchowy, ale musiała zgodzić się z Xue. Gdyby musieli uciec się do środków ostatecznych i przeprowadzić szturm z bronią w rękę, dwaj żołnierze powinni nadawać na tych samych falach.

LaPorta odprowadził ich z powrotem do furgonetki. Zatrzymali się przy jego komputerze. - Prawie już skończyłem z cewką i obwodem zapłonowym. Satoshi i ja będziemy potrzebowali pomocy przy nawijaniu zwojów na tokarce i lutowaniu elektroniki. - Popatrzył na Larę.

- Z przyjemnością.

- Doskonale - powiedział Xue. - Ja muszę pojechać po kondensatory i kontener z bronią, którą nam przysłał dr Al-Bitar.

Otworzył boczne drzwi furgonetki, wszedł do środka i za-

czął podawać pudła Larze.

Skończyli rozładowywanie w kilka minut.

- Proszę to zanieść Satoshiemu, dobrze? - Xue wskazał wysokie, wąskie pudło z logo DuPonta. Lara przyjrzała się uważnie etykietce.

- Kevlar, tkanina balistyczna, przeczytała. - Czy to nie jest to samo, czego używa się do kamizelek kuloodpornych?

- Dokładnie.

- A do czego nam to potrzebne? - zapytała, podnosząc pudło i zakładając je swobodnie na ramię.

- Jestem pewien, że sama pani wie, że uncja do uncji, to jest mocniejsze od stali.

- Tak.

- Wie pani też, że beton sam w sobie jest kruchy, dlatego w konstrukcjach używa się stalowych prętów wzmacniających.

Lara skinęła głową.

- Nie możemy użyć prętów zbrojeniowych w betonowej koszulce wokół naszego urzędnika, ponieważ musi ona mieć właściwości izolujące.

- Aha! - zrozumiała Lara. - A kevlar to syntetyczna tkanina, która ulega topnieniu, więc zgaduję, że położymy cienką warstwę betonu wokół generatora, a potem owiniemy je kevlarem. Wybuch sproszkuje beton, wysoka temperatura nie dotrze od razu do kevlara, i dzięki temu siła wybuchu przełoży się na maksymalną wartość EMP?

- Pani przyszłość jest w projektowaniu broni - pochwalił ją Xue, kierując się do pustej furgonetki i siadając za kierownicą.

- Chyba się kiedyś tym zajmę - uśmiechnęła się.

- Chytry plan - przyznał Xue, włączając silnik. - Niedługo powinienem wrócić.

Lara pokiwała głową, odwróciła się i zaniósła pudło z kevlarem do Brooksa i Sugawary. Zobaczyła, że w skupieniu prze-

lewają stopione C-4 do długiej błyszczącej miedzianej rury około sześciu cali średnicy. W milczeniu oparła pudło o blat roboczy, i podeszła tam, gdzie Satoshi Kakudate i John LaPorta w pocie czoła taszczyli gigantyczną szpulę drutu w stronę tokarki.

- Czy mogę pomóc? - zapytała. Szpula miała rozmiary małego stolika, drut miedziany był w emaliowanej koszulce. Przez środek szpuli biegł jednocalowy pręt stalowy, który mężczyźni usiłowali przenieść na widełki, żeby się obracała.

- Nie odmówimy - powiedział Kakudate.

Lara była wyższa o głowę od obu mężczyzn i jakieś dwadzieścia lat młodsza. Chwyliła za jeden koniec pręta, oni obaj za drugi. Razem z łatwością przenieśli szpulę na widełki. Satoshi podszedł do tokarki, na której uchwyt obróbkowy już założono cylinder z pleksiglasu długości czterech stóp.

- Dziękujemy! - powiedział LaPorta z wdzięcznością.

- To ja dziękuję! - odparła Lara. - Że w ogóle mogę tu być.

- Tak powinno być - odparł LaPorta. Pochylił się nad szpulą, znalazł wolny koniec drutu i podał go jej. - Proszę to zaciągnąć do Satoshiego. Z tego będą zwoje stojana. Jeśli pomoże pani Satoshiemu podawać drut tak, żeby zwoje były równiutkie, ja będę kręcił szpulą i uważał, żeby nie uszkodzić drutu.

- Oczywiście.

Praca szła szybko, przerywana tylko przybyciem kontenera lotniczego. Brooks i Sugawara przelali C-4 do czterech zwór miedzianych, Kakudate, Lara i LaPorta nawinęli cztery stój any, rozdzielając każdy z nich na trzy osobne zwoje, żeby zmaksymalizować rezultat. Przy użyciu lexanowych bloków izolacyjnych, włożyli zworę wypełnioną materiałem wybuchowym dokładnie w środek rury z pleksiglasu, prosto w środek zwojów stojana. Zwora wypełniona materiałem wybuchowym była dłuższa niż zwoje na pleksiglasie i wystawała sporo na końcu, gdzie miała rozpocząć się detonacja, i trochę na drugim końcu.

- To po to, żeby uzyskać odpowiednie parametry fali wybuchu - wyjaśnił Brooks. - Ukształtuję C-4 odpowiednio i założę detonator, kiedy beton stwardnieje.

Xue wrócił tuż po dziewiątej wieczorem z ciężarówką pełną kondensatorów, akurat kiedy przygotowywali się do wykonania koszulek betonowych stojana.

- Widzę, że źle wyliczyłem czas - powiedział, kiedy kazali mu zabrać się za brudną robotę przy mieszaniu cementu. - Mogłem posiedzieć dłużej!

Złożone e-bomby zabezpieczono dokładnie, żeby beton nie wypływał i opuszczono do plastikowych cylindrów. LaPorta i Kakudate wywiercili dziury w bocznych ścianach i przeciągnęli przez nie półcalowe izolowane kable miedziane, po czym każdy z nich przyczepili do wolnego końca zwoju stojana. Kable starannie oznaczono, dziury zatkano zwykłym kitem okiennym i przed północą ostatnia partia betonu została wylana. Wszyscy siedmioro pokryci byli grubą warstwą pyłu cementowego, po której tu i ówdzie spływały strużki potu. Zebrali się wokół skrzynek z wodą mineralną. Obok spoczywały pudła gotowej żywności z automatu: muesli, wołowe kotlety, batoniki, chrupki, krakersy serowe.

- Tam skąd pochodzę, to nie jest śniadanie mistrzów, Victorze - zażartowała Lara, polykając czwartego batona i popijając wodą.

- Przekażę twoje uwagi szefowi kuchni - odparł. Roześmiali się znużeni, pochłaniając przekąski. Sugawara stał obok Lary; czuła ciepło jego ciała, ale jakoś było jej wszystko jedno. Po fatalnej nocy podczas lotu z Holandii i całej harówce, która dopiero co się zakończyła, tylko wyczerpanie rządziło jej umysłem, ciałem i uczuciami. I w dodatku tyłu tu obcych ludzi.

- Tam jest prysznic - Xue pokazał grupkę namiotów w dalekim końcu magazynu. - Nie wiem, czy woda będzie ciepła, ale

radzę wszystkim splukać z siebie cement, bo dostaniecie podrażnienia skóry. - Przerwał. - W torbach na zakupy przy drzwiach są ręczniki i przybory toaletowe. - Potem zwrócił się do Lary i Akiry. - Ponieważ wy się nie mogliście spakować jak normalni ludzie, kupiłem dla was wszystko, dresy, koszulki, ciepłe spodenki i różne takie. Mam nadzieję, że będą pasować. - Pokazał na ciężarówkę wciąż pełną gigantycznych kondensatorów. Każdy miał dwie elektrody wystające na górze, zamocowane na białych ceramicznych izolatorach, które wyglądały jak uszy jakiegoś dziwnego bohatera kreskówki.

Akira i Lara podeszli do ciężarówki, inni przeszli do namiotów i pryszniców. Szli w milczeniu obok siebie, rozdzieleni zmęczeniem i nieśmiałością.

-Jestem totalnie wyczerpana - powiedziała Lara, ścierając pył z twarzy.

-Ja też - powiedział Sugawara. - Sen nam dobrze robi. Jestem taki zmęczony, że widzę wszystko w zbyt jasnych barwach.

Nagle lampy na suficie pogasły jedna po drugiej, został tylko jeden rząd żarówek fluorescencyjnych w kącie najdalej od namiotów.

- Widzisz, już nie jest tak jasno -jego niewymuszony śmiech wywołał szczery uśmiech na twarzy Lary.

Ścisnęła jego dłoń. Odpowiedział ciepłym, swobodnym uściskiem, który wydał się Larze tak naturalny. Obejrzała się czujnie i z ulgą stwierdziła, że wszyscy są albo w namiotach, albo pod prysznicem. Wszyscy z wyjątkiem Johna LaPorty, który ściągnął plastikową folię ochronną z komputera i siedział tam jeszcze, pochłonięty tym, co się działo na ekranie.

-Jak twój bark?

- Czuję taki tępy ból, ale nic wielkiego, przyzwyczaiłem się.
- Wzruszył ramionami. - Wkurza mnie to, ale nic poza tym.

- To dobrze.

Kiedy doszli do ciężarówki, Sugawara wspiął się i zrzucił dwie sklepowe torby. Wręczył Larze tę podpisaną jej imieniem i odwrócił się w stronę namiotów.

- Chcesz ze mną spać w namiocie? - zapytał znów nieśmiało jak przedtem.

- Tak, ale nie dziś. Nie wiem, jak ty, ale ja nie chcę potem widzieć tych wszystkich porozumiewawczych mrugnięć i spojrzeń, które będą rzucać w naszą stronę.

Sugawara kiwnął głową. - Dobra, masz rację. Ale pomyślałem, że lepiej zapytam.

- To miło. Lecz skoncentrujmy się teraz na naszej misji. Jeśli się uda, zobaczymy co będzie.

- Przecież się uda! - powiedział Sugawara z przekonaniem.

- Zatrzymał się. - Uda się. Musi się udać.

Idąc dalej, Lara zobaczyła, że do każdego namiotu jest przypięta karteczka z nazwiskiem. Znalazła swój.

- Chciałabym mieć w sobie tyle optymizmu, co ty - powiedziała. - Zawsze patrzę na sprawy trochę inaczej, kiedy się wyśpię.

Patrzyła na niego. Odważny, przystojny facet, który poruszał się z taką gracją, mimo rany. Wyglądał jak zagubiony mały chłopiec. Wzruszyło ją to.

- Dobranoc - posłała mu całusa.

Rozdział 53

Wstał elektryczny świt.

Pierwszą rzeczą, która przegnała przyjemne sny Lary, jak słońce poranną mgłę, było wysokie elektryczne buczenie i trzaski. Pomiędzy wyładowaniami dało się słyszeć szum małego silnika. Przewróciła się na drugi bok i spojrzała na zegarek. Było siedemnaście po szóstej rano.

Pobuszowała w ubraniach, które przywiózł Victor i założyła prostą czerwoną koszulkę i obszerny, męski ocieplany kombinezon. Kurtka była w sam raz, ale przy spodniach musiała porządnie zaciągnąć sznurek w pasie, żeby nie spadły.

Kiedy wygramoliła się z namiotu, zobaczyła Johna LaPortę i Satosiego Kakudate. Pracowali przy szeregu ogromnych kondensatorów. Obok nich stał generator. Najwyraźniej testowali obwody, które miały naładować kondensatory.

A gdzie Akira?

- Kurde, nic z tego nie będzie!

Lara obejrzała się za głosem i zobaczyła, że Charles Brooks i Victor Xue stoją w odległym kącie, przy zaimprovizowanym stole zrobionym z płyty pilśniowej położonej nacztrech baryłkach.

Gdzie jest Akira?

Włożyła stare tenisówki, podeszła do Xue i Brooksa i stwierdziła, że patrzą na mapę topograficzną i fotografie lotnicze.

- Dzień dobry, pani Blackwood - przywitał ją Brooks nieco

szorstko. Potem odwrócił wzrok ku czterem identycznym białym ciężarówkom na przeciwnym końcu hali i wrzasnął: - Akira!

„Skąd się wzięły te ciężarówki?" - zastanawiała się Lara. Bez wątpienia, sprowadził je przedsiębiorczy Victor Xue. Zauważyła podwójne tylne koła i domyśliła się, że samochody te służą do przewozu ciężkich ładunków.

- Hej, Sugawara! - wrzasnął Brooks po raz drugi. Akira wychylił się z paki jednej z ciężarówek. Larze zrobiło się jaśniej na sercu.

- Chodźże tu!

- Nie da rady! - odkrzyknął. - Za minutkę.

Brooks wzruszył ramionami. - Patrzcie tutaj - pokazał jedno ze zdjęć lotniczych. Lara i Xue pochylili się. - Mamy spory problem z dostarczeniem naszych gadżetów - stuknął palcem wskazującym w mapę. - Zobaczcie, cały kompleks jest otoczony podkową pól ryżowych. A tutaj... - przesunął palcem po kształcie litery U na mapie. -- Poziomice są bardzo blisko siebie, to znaczy, że mamy tu strome urwisko i potrzebny by nam był profesjonalny sprzęt do wspinaczki, ale nawetjak się spuścimy po tej skale, wylądujemy po pas w tym zaszlamionym polu ryżowym.

Wszyscy uważnie przyglądali się mapie i fotografiom.

- Dobrze, a teraz popatrzcie tu - powiedział Brooks, przesuwając palcem po jednym ze zdjęć. - Widzicie, pas piasku i ziemi, biegnący po dnie doliny - postukał. - Ogrodzenie biegnie od wejścia do doliny do tego urwiska, które jak się zdaje ma paręset stóp wysokości.

- Teraz zobaczcie to na mapie - Brooks zatoczył luk obejmujący podkową pól ryżowych i strome urwisko. -Jak widzicie, będziemy musieli wszystko znieść na własnych plecach na środek pola ryżowego, żeby znaleźć się w promieniu mili od pasa startowego. Zjazd po linach i lądowanie w szlamie!

- A nasz plan B wygląda jeszcze gorzej - to znaczy, natarcie z bronią, gdyby e-bomby zawiodły. - Poszli za nim do kontenera w zewnętrznej części hali. Otworzył drzwi kontenera i wszedł do środka. Wrócił po chwili z dużą tubą w jednej ręce i dziwną bronią na trójnogu w drugiej.

- OK - powiedział, ustawiając trójnog. - Mamy tutaj 30-milimetrowy granatnik AGS-17 Plamya. Zmyślne urządzenie, w minutę wyrzuca od pięćdziesięciu do stu granatów. Zasięg efektywny maksymalnie pół mili. Postawił tubę na jednym końcu, otworzył ją. - A tutaj pocisk ziemia-powietrze SA-&Grail, stary model bez czujników IR. Zdaje egzamin, jeśli ma napęd odrzutowy, ale nie ma siły, żeby trafił w poruszający się samolot.

Brooks patrzył na Xue przez dłuższą chwilę. - Nie chcę cię krytykować z powodu tego, co zdołałeś sprowadzić w tak krótkim czasie. Bo rzeczywiście prawie go nie było. Ale najlepsze, co tu mamy - postukał w kontener - to 82-milimetrowy moździerz. Ma zasięg kilku mil, to dużo, jeśli ustawimy się na tej grani - postukał palcem w krętą drogę równoległą do doliny. - Kłopot w tym, że mamy tylko dwanaście pocisków moździerzowych, a są to pociski dymne, a nie kruszące.

Z Xue uszło powietrze i wpatrzył się w sufit, jakby szukał w nim boskiej inspiracji.

Brooks mówił dalej: - Żeby skutecznie przeprowadzić fizyczną interwencję, mamy do wyboru:

a) niepostrzeżenie przedostać się do kompleksu i uszkodzić samoloty;

b) stanąć u podstawy tej wielkiej skarpy na końcu pasa startowego i spróbować trafić w samoloty, kiedy będą startować;

c) wynająć szybki helikopter - na przykład Bell Jet Ranger albo Huey - i spróbować strącić samoloty z powietrza.

Uniósł brwi i spojrzał na Larę i Xue. Potem wznosił palec w

górze.

- Pierwsze byłoby samobójstwem, bo wiemy, jak dobrze strzeżona jest wspólnota, drugie naraża nas na pewną śmierć i duże prawdopodobieństwo uszkodzenia zbiornika, czyli rozwleczenia Niszczyciela stąd aż do Tokio.

- A tu jest miasteczko - pokazała Lara na mapie. - Samolot mógłby się tam rozbić i rozprzestrzenić chorobę. Ale tu każda fizyczna interwencja byłaby zwyczajnie zbyt niebezpieczna.

- Ale może lepiej, żeby zarazek rozprzestrzenił się nad tym słabo zaludnionym terenem niż nad Tokio.

- Być może - odparła Lara. - Ale z drugiej strony, nie jest wykluczone, że czas rozpadu może być źle obliczony i to świństwo okaże się trwalsze niż myślimy. I w końcu rozprzestrzeni się na cały świat.

W ciszy spoglądali na siebie porozumiewawczo.

- W takim razie musimy zmusić do pracy generator EMP, to jedyna nadzieja - powiedział Xue.

Sugawara wyskoczył z ciężarówki i podbiegł do nich z wyrazem podniecenia na twarzy.

- Co jest? - zapytał Brooks.

- Chcecie najpierw złą czy dobrą wiadomość? - zapytał Sugawara.

Lara uniosła brwi.

- Niech będzie zła - powiedział Brooks.

- Dobra - Sugawara wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić. - Słuchajcie. - Jeszcze jeden wdech. - Szperałem w Internecie i włamałem się do pewnych plików Daiwa Ichiban. Prócz tego oglądałem telewizję NHK, w której mówią, że Kurata zorganizował specjalny pokaz powietrzny w hołdzie dla Yamamoto, tego gościa, który się zabił w łaźni.

- I co? - zapytała Lara.

- Chcą to zrobić jutro w południe - powiedział Sugawara. -

Synoptycy twierdzą, że burze geomagnetyczne... uspokajają się.

- A dobra wiadomość? - zapytała Lara.

- W dwóch częściach - Sugawara zdobył się na uśmiech. - Po pierwsze, Yamamoto był kuzynem Kuraty. Wiedziałem o tym, jak i większość rodziny. Mój wuj lubi zatrudniać krewnych. Uważa, że są bardziej godni zaufania. - Milczał przez chwilę. - W moim przypadku się nie sprawdziło - uśmiechnął się.

- Dobra - przerwał Brooks niecierpliwie. - Kurata zrobił kuzyna szefem produkcji Niszczyciela. Do rzeczy.

- Już, już - odpowiedział Sugawara. - Włamałem się do danych Rycrofta. Zachowywał się podejrzanie, Yamamoto zresztą też, kiedy mówił mi, jak Rycroft kazał mu coś zmienić w procesie produkcji. Potem Yamamoto się zabił, a teraz dowiadujemy się, że Niszczyciel wcale nie działa selektywnie.

- Dobrze, dobrze - poganiał go Brooks. - Co nam to daje?

Sugawara uśmiechnął się. - Z plików Rycrofta dowiedziałem się, że prababka Yamamoto była naprawdę Koreanką.

Sugawara przenosił wzrok z twarzy na twarz, kiedy powoli docierało do nich znaczenie jego słów. -A co więcej, domyślam się, że Rycroft wykorzystał tę wiedzę, żeby zmusić Yamamoto do popełnienia seppuku.

W ciszy, która zapadła słyszeli, co się dzieje na przeciwległym końcu hali. Za metalowymi ścianami grały klaksony, rozlegało się buczenie olbrzymich silników.

- To ci dopiero - powiedziała Lara. -Jeśli to się rozejdzie, twój wuj będzie skończony u swoich towarzyszy, rasowych purystów.

Sugawara uśmiechnął się szeroko i pokiwał głową. - Dlatego ściągnąłem wszystkie pliki Rycrofta i anonimowo przesłałem je do redakcji „Asahi Shimbun”.

- Dziś wieczór mogą o tym napisać - stwierdziła Lara.

Xue potrząsała głową. - Pomyśla, że to jest szyte, uznają to za polityczną próbę zniszczenia Kuraty. Minie kilka dni, zanim to sprawdzą.

Sugawara skinął głową. - Wyślę to samo do innych gazet, do amerykańskich, chińskich, koreańskich biur prasowych, ale trzeba czasu, żeby to odniosło skutek.

- Tylko jaki będzie ten skutek - zastanawiała się Lara.

-Wszystko pięknie, ale mamy jeszcze kupę roboty- powiedział Brooks. - Musimy owinąć wszystkie urządzenia w ke-
vlar, ustawić na widelkach i wnieść na ciężarówkę.

Podmuch położył trawę na obrzeżu lądowiska, kiedy w tu-
manach kurzu mały jednosilnikowy samolot zajmował pozycję
obok kilku podobnych maszyn, zgodnie z sygnałem dawanym
przez człowieka w jasnożółtym kombinezonie. Człowiek skrzy-
żował ramiona i pilot zgasił silnik. Wylazł z kabiny i przyłączył
się do innych pilotów, którzy zebrali się na skraju lądowiska.

- Specjalna substancja została dodana do materiałów piszą-
cych - rozpoczął dowódca eskadry. - Dzięki temu materiał w
zbiornikach będzie zdolny do użytku, nawet, jeśli nie wylecimy
przez dzień lub dwa.

- Samoloty pozostaną tutaj w gotowości - dodał. - Mamy
być gotowi do lotu w każdej chwili, od jutrzejszego wschodu
słońca. Jeśli nastąpi przerwa w zakłóceniach geomagnetycz-
nych, ceremonia odbędzie się wcześniej rano.

Po chwili zakrzyknął: - Niech żyje Kurata! Zgodnym chó-
rem, piloci odkrzyknęli: - Niech żyje Kurata!

- Obrońca Yamato! - krzyknął dowódca eskadry.

- Obrońca Yamato! - odpowiedzieli piloci.

- Jest chyba dla was jasne, że ja, jak cały naród japoński, mam wielu wrogów - Kurata stał przy wielkim oknie swojego biura, z którego roztaczał się szeroki widok na miasto. W oddali widział dach świątyni Yasukuni i nowo wybrane miejsce na Salę Modlitwy.

- Mam najwyższy szacunek dla „Asahi Shimbun” - mówił Kurata do telefonu. - Ale narazicie swoją reputację na szwank i sprawicie zawód wiernym czytelnikom, jeśli pochopnie wydrukujecie test, który jest jawnym atakiem politycznym.

Zrobił przerwę na głęboki oddech, wsłuchując się w słowa wydawcy na drugim końcu. Walczył z narastającym uczuciem przerażenia.

- To prawda, że moja prababka urodziła się w Korei - powiedział Kurata - ale jej rodzice byli Japończykami czystej krwi. Mój prapradziadek, jej ojciec, był kupcem, handlował tekstyliami i ceramiką, i tam prowadził interesy. Nie sadzę, żeby coś się poprzestawiało w genach - roześmiał się, ale czuł pustkę w środku. Słuchał dalej.

- Oczywiście - powiedział Kurata zapalczywie. - Spuścizna mojej rodziny jest dla mnie źródłem dumy i z radością otworzę swoje archiwa genealogiczne do państwa wglądu.

Przerwa.

- Te informacje są przechowywane przez Toru Matsue z mojego osobistego otoczenia — powiedział Kurata. — On i jego rodzina są ekspertami w dziedzinie genealogii. Będzie w stanie dostarczyć dowodów, że wasze insynuacje są fałszywe.

Kolejna pauza.

- Ależ proszę bardzo.

Kurata rzucił słuchawką. Odbiła się od telefonu i spadła na biurko, przesuwając papiery i przewracając antyczny wazon z artystycznie ułożonym bukietem tulipanów. Wazon, pochodzący

z wykopalisk archeologicznych w północnowschodnich Chinach i przemycony dla Kuraty wielkim kosztem, stoczył się na skraj biurka i spadł na podłogę, roztrzaskując się w kawałki.

Rycroft szedł do swojego samochodu z szerokim, zadowolonym uśmiechem na twarzy. Ostatnie ciepłe promienie słońca ogrzewały mu plecy.

„Wreszcie zdechniesz, Kurata, ty podły Japońcu”, myślał. „Ty i reszta tych gnojów”. Rzucił okiem na zegarek. Spotkanie z Woodruffem i pierwszym z bliskowschodnich klientów miało się odbyć za niecałą godzinę. Musiał się pospieszyć.

Nucąc pod nosem, Rycroft wychodził za swym cieniem z laboratorium 73. Niósł dwie teczki, jedną błyszczącą aluminiową z fiolkami, które miał dostarczyć arabiszonom i parszywym żydłakom i drugą, wypchaną papierami, dyskietkami i taśmami. Już nigdy jego stopa nie powstanie w Laboratorium 73.

Z danymi, które teraz posiadał, będzie mógł szybko zidentyfikować chorobę, która wkrótce zdewastuje Japonię i Bliski Wschód. Nobel przyjdzie sam. Będzie bogaty. A co ważniejsze, dziesiątki tysięcy japońców padną trupem.

Dochodząc do swego mitsubishi, Rycroft postawił teczki przy bagażniku i poszukał kluczyków. Zaczepił o plaster na prawym palcu wskazującym. Skaleczył się, otwierając jedną z fiolek Niszczyciela, podczas przygotowywania transportu „substancji powierzchniowo czynnej”. Nastąpiła miejscowa reakcja, małe pęcherzyki. Nic się nie stanie, pomyślał, otwierając bagażnik. Po prostu reakcja alergiczna. Niszczyciel nie mógł go skrzywdzić, Niszczyciel był na Japońców.

Noc była wyjątkowo ciemna.

Wysokie chmury, które zebrały się zaraz po zachodzie słońca, nie przepuszczały nawet światła księżyca.

Lara siedziała za kierownicą białej ciężarówki, jednej z czterech w ich konwoju, który posuwał się dwupasmową szosą. Konwój otwierał Victor Xue. Sugawara siedział obok Lary i przysypiał. Nie do wiary, jak szybko silny organizm potrafi się zregenerować. Ale mimo wszystko Sugawara męczył się szybciej niż zwykle i po około dwóch godzinach jazdy z Osaki przekazał Larze kierownicę.

Konwój zwolnił. Xue włączył prawy migacz i zjechali z głównej szosy na krętą drogę, która wspinała się aż na urwisko, z którego było już widać tereny wspólnoty mnichów. Akira ziewnął. Nie mogąc się powstrzymać, Lara też ziewnęła. Zmęczone oczy łzawiły.

Pociągnęła nosem i jechała dalej. Zaczęło świtać.

Krajobraz zaczął rysować się wyraźniej, w świetle wstającego dnia szare cienie nabierały kolorów. Lara miała niesamowite uczucie, że odgrywa dobrze znaną rolę w jakimś dramacie antycznym, pełnym nienawiści, bez katharsis. Sztuka ta rozgrywać się będzie niezależnie od tego, czego dziś zdołają dokonać.

Minęli rolnika ciągnącego pusty wóz. Zrobiło się jej go żal, i innych mu podobnych, którzy żyli tu, uczyli się chodzić, rodzili dzieci, pracowali, starzeli się i umierali. Litowała się nad ich wąskimi horyzontami, które obejmowały tylko to, co dobrze znali (namaszczone jako wyższe i lepsze) i odrzucały wszystko, co odmienne (uznając je za gorsze). Byli to ludzie tacy jak ona, fizycznie podobni, jednakże odgradzili się od całego bogactwa świata, od bogactwa doświadczenia. Bolała nad ich niewykorzystanymi możliwościami, nad całym zmarnowanym potencjałem.

W imię czego?

Żeby ludzie żądni władzy mogli bez przeszkód ze strony własnego narodu podporządkowywać i niszczyć innych, których arbitralnie określali jako niższy gatunek. Ta lista byłaby bardzo długa.

Za kierownicą o wschodzie słońca, Lara zdawała sobie sprawę, że ludzie są z natury dobrzy, ale cywilizacje są złe; ludzie są jednakowi, a cywilizacje różne, stwarzające podziały. Tylko, że ludzie nie mogą istnieć bez cywilizacji i kultury. Dobro i zło potrzebowało się nawzajem, żeby przetrwać.

Nauka nie pozostawia wątpliwości: nie ma czegoś takiego jak wyższość rasowa czy kulturowa, istnieją tylko sztucznie stworzone różnice, żeby zachłanni mogli robić swoje i grabić tych, których uznali za godnych pogardy. Grabież i śmierć w imię wyższości.

Podziały między ludźmi nie biegną po linii rasy, ani po linii dobra i zła. Ludzi dzielą pieniądze i władza. Tragedia antyczna, która rozgrywać się będzie tak długo, jak istnieć będą ludzie.

Suagwara przerwał tok jej rozmyślań.

- Popatrz tam. Widzisz tę kępę drzew? Skręć tam.

Jak zaplanowano, pozostałe ciężarówki pojechały dalej na wprost, żeby zająć pozycje ustalone według zdjęć lotniczych i map topograficznych.

Kiedy konwój znikł w mgielce przedświt, Lara skręciła w prawo, w wąską, stromą drogę, którą wskazał Sugawara.

Spojrzała na Akirę, coś jej mówiło, żeby zawrócić i uciec stąd, zniknąć. Bała się, że nie zdołają powstrzymać nienawiści i przemocy.

Ale przecież tym razem mogą coś zmienić? Tego ranka.

Chciała tylko jednego - zostać z nim sam na sam w spokoju. Dziwne to wszystko, pomyślała, na przestrzeni historii pokój rzadko był dziełem pacyfistów. To ludzie o dobrych intencjach,

ale ślepi na ludzką naturę, i swoją ugodowością zachęcali agresję. Ich pokój był służalczą narzuconą przez zwycięzcę. Spokojne Bałkany pod sowiecką hegemonią, ludy podbite przez Rzymian...

Nie, cieszyć się pokojem i zachować godność można tylko dzięki sile zwycięstwa. Pokój jest możliwy tylko wtedy, kiedy mamy wolę użycia przemocy. A spokój, którym mogłaby cieszyć się z Akirą, może przyjść dopiero, kiedy stoczą walkę o słuszną sprawę.

Czuła zapach Akiry, wspominała jego dotyk, poczuła muśnięcie przyszłości. Zaczęła się bać, że go straci. Dziwne, ale strach przed śmiercią bladł przy strachu, że nie będą mogli żyć razem. Przy nim czuła, że do kogoś należy, nie była już sama. Lecz była niemal pewna, że to iluzja, którą wcześniej czy później zniweczy śmierć.

Później, modliła się.

- Zatrzymaj się tu - powiedział Sugawara. - Przy tym gaju.

Lara zwolniła i zjechała na pobocze. Sugawara miał wziąć M-16 i jeden z telefonów komórkowych, a potem przejść przez resztę drogi szczytem skarpy, żeby mieć na oku lądowisko. Ona miała zaparkować ciężarówkę i otworzyć tylne drzwi w kierunku samolotów.

Opuścili szyby w oknach. Kiedy Lara wyłączyła silnik, usłyszeli dźwięk, który zmroził im krew w żyłach: zza urwiska dobiegał szum silników samolotu.

Rozdział 56

Ostatki nocy otaczały herbaciarnię w rodowej siedzibie Kuraty w Kioto. Kurata siedział w milczeniu na werandzie herbaciarni, wpatrując się we wschodzące słońce. Obok niego Toru Matsue przycupnął tak cichutko, że Kurata od czasu do czasu

oglądał się, żeby sprawdzić, czy stary sługa nie odszedł. Mądry człowiek, pomyślał Kurata, ale czasami dziwaczny. Skąd to jego niezrozumiałe, uparte naleganie, żeby wyjechać do posiadłości w Kioto podczas Operacji Tsushima.

Serce Kuraty łomotało: mocno, gniewnie, prędko.

Nie mógł odnaleźć w sobie spokoju. W chłodzie poranka nie grały świerszcze, słychać było za to nieustannie dzwonienie telefonu w odległym budynku głównym. Wcześniej jakoś nigdy nie zwracał na to uwagi.

Wiedział, kto tak wydzwania i to złościło go jeszcze bardziej. Najpierw „Asahi Shimbun”, potem reporterzy telewizyjni. Potem prasa zagraniczna, a wszyscy pytali o te przeklęte dokumenty, które dostali z anonimowego źródła.

Telefon znów zadzwonił. Dlaczego dziś? Dlaczego teraz, kiedy tak bardzo potrzebował medytacji, żeby ukoić wewnętrzne rozdrażnienie? Dlaczego jego słuch tak się nagle wyostrzył, że potrafi wyłowić to słabe dzwonienie pośród nocy?

Kioto zawsze go uspokajało, pomagało opanować gniew, strach, frustrację. Próbował wyobrazić sobie ogród skalny w ciemności, oczami umysłu chciał zobaczyć wielką skałę ukrytą w mroku - skałę, która była dla niego jak statek, który zawsze zabierał go na spokojne wody. Lecz koncentrując się na tym, zrozumiał, że Kioto zawiodło go po raz pierwszy w życiu.

Zawód ten był momentem przełomowym, pełnym głębokiego znaczenia.

Kurata westchnął i kątem oka zobaczył, jak Matsue odwraca głowę. Spróbował przedstawić sobie straszliwe, chorobą zniszczone ciała Koreańczyków, i dopiero wtedy spokój powrócił, kojąc wzburzenie duszy.

Dobrze. Wszystko będzie dobrze. Jego najtrwalsze dzieństwo, praca całego życia, zostanie zakończona, zanim nadej-

dzie kolejny wieczór. Nic więcej się nie liczyło. Obrońca Yamato wymierzy najsilniejszy cios w imię czystości i obrony swej rasy.

Edward Rycroft musiał przyjąć do wiadomości, że Niszczyciel nie działa tak jak powinien, kiedy nabiegłe krwią pęcherze zaczęły wyrastać mu na twarzy. Kiedy końce palców posiniały mu, potem zszarzały, a potem zaczęły gnąć, był już pewien, że umrze. Typowa w przebiegu choroby seria małych wylewów krwi do mózgu sprawiła, że w jego myślach rzeczywistość zmieszala się z niejasnymi wspomnieniami z dzieciństwa. Jak przez mgłę poczuł, że upada, chwytając się umywalki, ale palce zbyt już uległy rozkładowi, żeby utrzymać się na śliskiej powierzchni porcelany. Padając na podłogę łazienki, brocząc jasną krwią tętniczą, wiedział, że to już koniec.

Singapur, rodzice i Japończycy. Zamiast własnego charczenia usłyszał śmiertelne krzyki rodziców, zamiast tortur Niszczyciela, toczącego jego wnętrzności, poczuł strach małego chłopca, którego zaraz odkryją mordercy rodziców.

Spłynął na niego ciepły, kojący spokój, kiedy pomyślał, że wszyscy cholerni Japończycy też wkrótce będą trupami. Ostatni paroksyzm śmierci wykrzywił mu usta w coś na kształt uśmiechu.

Rozdział 57

Lara chwyciła telefon i połączyła się z Xue. Serce jej łomotało: w koniuszkach palców drżał rezonans samolotowych śmigieł.

Xue odebrał po drugim dzwonku.

- Czy jesteś już dość wysoko, żeby zobaczyć samoloty na pasie? - zapytała bez wstępów.

- Dobra. - Słuchała. - Nie możesz ich teraz unieszkodliwić?
- Znow chwila przerwy.

- Kurwa. Dobrze. Zrobimy, co w naszej mocy. - Miała na twarzy strach, kiedy odłożyła telefon i schowała go do kieszeni. Sugawara patrzył wyczekująco.

- Oni też słyszeli - powiedziała Lara. - Próbują zająć dogodną pozycję, ale pozostałe dwie ciężarówki są w obniżeniach i nie mają dobrego wyjścia na pas.

- OK, my mamy najlepszy strzał. Jedź jak najszybciej na to wzgórze. Do farmy.

Włączyła silnik i nacisnęła gaz. Samochód ryknął, ruszając pod górę. Lara prowadziła w skupieniu. Silnik zgrzytał, opony piszczały.

- O, szlag! - krzyknęła Lara. Skręciła nagle, próbując ominąć kozę, która nagle przyplątała się na drodze. Samochodem zarzuciło. I kiedy już się zdawało, że zderzenia udało się uniknąć, spłoszone zwierzę rzuciło się znow pod koła. Chrupnięcie i beczenie rozległo się w jednej chwili, ciało kozy uderzyło w maskę i rozplaszczyło się na szybie.

- Kurwa! - krzyknęła Lara, kiedy ciało zwierzęcia przesłoniło jej widok. Zahamowała gwałtownie, zatrzymali się natychmiast i koza zjechała z maski.

Cały incydent trwał nie więcej niż dziesięć sekund. Lara przeklinała pod nosem i znow wcisnęła gaz. Objechała martwe zwierzę, wyteżając wzrok przez potrzaskaną szybę.

- Kiedy wjedziesz na górę - krzyknął Sugawara - nie zwalnij. Przejeżdżamy od razu przez bramę. Jeśli zdążymy, blokujemy pas, otwieramy drzwi i biegniemy z całych sił, żeby zdążyć przed wybuchem.

Trzymając się klamki, Lara skręciła o 180 stopni, Sugawara na chwilę zamknął oczy i modlił się. Przede wszystkim modlił się, żeby im się udało i żeby nie musiał nikogo zastrzelić. Piloci

nie byli złymi ludźmi, nie mieli pojęcia, że mają w samolocie śmiertelny ładunek.

Z jednej strony niewinni, ale z drugiej... Byli winni temu, że oddali swoje zdolności w służbę rasowej nienawiści. Ale czy zasługiwali za to na śmierć? Akira uznał, że nie, ale i tak zabije, jeśli od tego będzie zależało opanowanie Niszczyciela. Lepiej już odciąć załogę pechowych marynarzy w komorze wodoszczelnej i pozwolić im zginąć, niż zatopić cały statek.

Modlił się też za Larę i za siebie. Spojrzał w jej skoncentrowaną twarz, kiedy dzielnie rzucała się w ostateczną rozgrywkę z masową śmiercią.

Ciężarówka oderwała się na chwilę od ziemi, przejeżdżając przez grań. Lara mocowała się z kierownicą, cały czas przyciskając do oporu pedały gazu.

Strażnik przy bramie odwrócił się ku nim z szeroko otwartymi oczami. Zerwał się do biegu.

Sugawara poczuł, że jądra cofają mu się ze strachu, kiedy zobaczył roztaczający się przed nimi widok. W oddali, na końcu lądowiska, jeden samolot podchodził już do startu.

Sugawara przerzucił M-1 6 na pełny automat i wychylił się przez okno. Zbliżali się do ogrodzenia przy końcu pasa startowego, samolot rósł w oczach, nabierał prędkości i zaczynał odrywać się od ziemi,

W tej chwili od strony wzgórz dobiegła potężna eksplozja. Potem kolejna.

Silnik ciężarówki nagle wysiadł.

- O cholera - zaklęła Lara. - Co teraz?

Sugawara ogłuszony seriami ze swego M-1 6, nawet nie zauważył, że silnik zgasał. W nieopisanej euforii patrzył, jak samolot drży w powietrzu, potem opuszcza się, kołami dotyka kurzu.

Wystrzelał wszystkie naboje. W ciszy, która nastąpiła, naj-

głośniejszym dźwiękiem było teraz zgrzytanie opon ciężarówki o żwir, kiedy Lara usiłowała opanować wóz. Akira włożył nowy magazynek i przygotował się do opuszczenia wozu.

Lara zatrzymała samochód. W oddali samolot, który startował, toczył się powoli w stronę ogrodzenia na końcu pasa startowego. Rozległ się zgrzyt, kiedy metalowe ogrodzenie wygięło się pod naporem maszyny.

Uśmiechnęli się do siebie, chłonąc słodką, potężną w swej wymowie ciszę. Ciszę zwycięstwa. Ciszę życia.

Błogie uczucie wyparowało jednak w jednej chwili, kiedy rozległy się strzały i pojawili się rozjuszeni ludzie.

- Wynośmy się stąd - powiedziała Lara, dostrzegłszy biegnących.

-Już się robi - Sugawara wystrzelił z M-16, plosząc na pastników. Biegiem ruszyli ku wyrwie, którą zrobili w ogrodzeniu. Zbiegli z niewielkiej skarpy. Za sobą słyszeli pościg.

- Czekaj chwilę - powiedziała Lara. Zatrzymała się i z kieszeni wyjęła zdalny detonator. Otworzyła pokrywkę i przycisnęła czerwony guzik.

Kolejna gromka, ogłuszająca eksplozja zatrzęsa okolicą, tym razem z ciężarówki, którą właśnie porzucili.

Nie czekając dłużej, uciekali w coraz jaśniejszy dzień.

Rozdział 58

Międzynarodowe lotnisko w Osace tętniło życiem.

Ludzie taszczyli walizy, machali teczkami, nieśli zakupy ze sklepów wolnocłowych, jedni przytulali dzieci, inni ślicznie zapakowane prezenty dla bliskich, a wszystko to odbywało się w stęchłym sztucznym powietrzu, w którym pachniało paliwem odrzutowym, niepokojem, dymem papierosowym frustracją, pośpiechem, bawkami, oczekiwaniem, środkami dezynfekcyjnymi,

strachem, kawą, radością, smażonymi potrawami i smutkiem: esperanto międzynarodowych podróży w wersji zapachowej.

Wahadłowe drzwi do głównego terminala otworzyły się na oścież i pojawiła się w nich Lara Blackwood. Za nią biegł Sugawara, mówiąc:

- Zobaczycie, już on coś wymyśli, żeby się z tego wywinąć, jeśli pozostanie żywy. Muszę go zabić, to mój obowiązek. I muszę to zrobić sam.

- Oj, zaczekajcie... Zaczekajcie! Stańcie na chwilę!

- Charles Brooks zatrzymał się nagle w drzwiach. Zamykający pochód Victor Xue nie przewidział tego i zderzył się z nim. Sugawara i Lara przystanąli, słysząc wołanie Brooksa.

Stali tak wszyscy przez dobrą chwilę. - Sugawara, Lara, Brooks i Xue - rozciągnięci na odcinku dwudziestu stóp. Po chwili otoczyli Sugawarę.

- Słuchajcie, już tyle wałkowaliśmy ten temat - powiedział Brooks. - Zdawało mi się, że już się zgodziłeś przyjąć naszą pomoc. Sam nie masz najmniejszych szans.

Sugawara wziął głęboki oddech. - Kurata to moja powinność - powiedział z uporem. - To mój krewny, to ja powinienem ostatecznie zamknąć tę sprawę. Nie chcę, żeby komukolwiek z was coś się stało z powodu moich powinności. - Spojrzał na nich wszystkich po kolei. Jego oczy dłużej zatrzymały się na Larze.

Lara potrząsnęła głową. - Możemy być z tobą. I chcemy. - Spojrzała mu w oczy i dodała cicho: -Ja chcę być z tobą.

Kręcąc głową, Sugawara powiedział: - To wyłącznie moja sprawa... - przerwał, kiedy włączyły się megafony i ogłoszono przylot samolotu. Grupka wykrochmalonych zakonnic przebiegła obok nich, wszystkie czarno-białe, przyobleczone w świętość.

Lara zaczerpnęła oddechu. - Wszyscy mamy obowiązek do-

prowadzić do tego, żeby Kura ta i jego kolesie nie mogli zrobić tego znowu. Jeśli tobie się nie uda, i tak będziemy musieli spróbować.

Sugawara nadal potrząsał głową. - Muszę to zrobić sam, inaczej nie będę w porządku. To moja rodzina to wszystko zrobiła, moje geny, moja kultura. Nie będzie sprawiedliwe, jeśli wy też będziecie ryzykować. - Poszedł dalej, a wszyscy ruszyli za nim ruchomymi schodami do transportera bagażowego.

- Daj spokój z tym twoim głupim kodeksem samuraja - powiedział Brooks szorstko. - Zejdź na ziemię, chłopie, Jeśli twoja wycieczka kamikaze się nie powiedzie, a nie mam wątpliwości, że Kurata pożre cię żywcem - wtedy my, pozostali, będziemy musieli go wykończyć... tylko już bez twoich wielkich zdolności i wiedzy.

- Naprawdę nie mamy wyboru - włączyła się Lara. - Wiesz dobrze tak samo jak ja, że jeśli nie wyeliminujemy Kuraty, on nie zrezygnuje z Niszczyciela... Jego imperium mu to umożliwi. Bez twojej pomocy prawdopodobnie nam się nie uda. Bez naszej pomocy, ty przepadniesz. Razem możemy sobie poradzić... i wyjść z tego żywi.

- Doktor Al-Bitar nie będzie szczędził środków. Sugawara zmarszczył brwi i zapatrzył się w podłogę.

Milczał.

Wreszcie spojrzął na swoich nowych przyjaciół.

- Dlaczego to robicie? - zapytał. - Ryzykujecie życiem. Przecież nie musicie.

- Bo tak trzeba - powiedziała Lara.

Sugawara potrząsnął głową. - Nikt już tak nie postępuje.

- Mnóstwo ludzi tak postępuje - sprzeciwiła się Lara. - Ty też. - Przerwała. - Inaczej już bym nie żyła.

Sugawara odwrócił się i popatrzył na transporter z bagażem. Wziął głęboki oddech i westchnął, patrząc na Larę, Bro-

oksa i Xue. - Zgoda - znowu potrząsnął głową i wreszcie się uśmiechnął. - Rzeczywiście, nie dam rady walczyć z wami wszystkimi i jeszcze z Kuratą.

Lara pocałowała go, Brooks poklepał go po ramieniu, a Xue uściskał mu dłoń.

Poszli wynająć samochód.

Rozdział 59

Zanieczyszczone przemysłowym brudem powietrze przesłaniało widok na zmierzchające niebo w południowo-zachodniej dzielnicy Kioto, rzadko odwiedzanej przez turystów: tory kolejowe, stacje rozrządowe, magazyny, składy towarowe, oddalone od pełnych świetności świątyń i scenerii starożytnego miasta i jego wzgórz.

Zza podniesionych do połowy w górę drzwi roletowych prowadzących do dużego składu, w gęstniejącym mroku rozległ się zduszony dźwięk.

- Świetnie - rozległ się podekscytowany głos. Wewnątrz Charles Brooks siedział przykucnięty nad puszką farby olejnej, z której wylano pierwotną zawartość i do połowy wypełniono benzyną. Sześć identycznych puszek stało rzędem wzdłuż lekko uniesionych drzwi. Wszystkie były szczelnie zamknięte oprócz tej jednej, którą teraz oglądał uważnie, Sprawdził czas na zegarku i godzinę zapisaną czarnym markerem na puszcze. Opary benzyny i oleju lnianego gryzły go w oczy.

- Dokładnie godzina - oznajmił Brookes, wstając i zaglądając do puszek. Na dnie leżał ćwiczebny granat ręczny, zawlecza i szczątki dwóch częściowo rozpuszczonych gumowych taśm. Sprężynowa zawlecza, która wyskoczyła z trzonka granatu, wydała głuchy odgłos.

Po drugiej stronie magazynu Lara i Xue spoglądali znad

map, które rozłożyli - jak zwykle - na skrzyniach i pakach. Wokół nich piętrzyły się pudła z uzbrojeniem, które ludzie Al-Bitara przysłali im z Osaki.

Brooks przykrył puszkę pokrywką i wstał. Rozprostował grzbiet i ruszył w ich stronę. - Jedna grubsza taśma gumowa i dwie cienkie - powiedział, idąc. - Najdokładniejsze urządzenie zegarowe, jakie możemy skonstruować w tak krótkim czasie. - Przetarł zażawione oczy, zatrzymał się obok Lary i ujął ją za ramiona. Uśmiechnęła się do niego.

Przed nimi na zaimprovizowanym blacie leżały mapy Rakuhoku, górzystego regionu na północ od Kioto. Od czasów starożytnych wierzono, że góry te zamieszkane są przez diabły i złe duchy. W czasach bardziej współczesnych, miejsce to zasłynęło jako siedziba Tokutaro Kuraty.

Na mapie porozrzucane były zdjęcia rezydencji Kuraty, otoczonej z trzech stron przez górskie jeziora, schowanej głęboko w gąszczu drzew i skalistych wzgórz.

Brooks wskazał ręcznie rysowaną mapkę, którą sporządził dla nich Sugawara. - Rezydencja Kuraty została zaprojektowana w stylu Shinden, na trzech bokach wielkiej litery U, z ogromnym hallem głównym u podstawy, nad jeziorem. Pozostałe dwa boki tworzą wąskie budynki i mury, ciągnące się od jeziora aż po wejście od strony drogi głównej. Przestrzeń wewnętrzną wypełniają ogrody ze strumieniami, stawami, rzeźbami. I chociaż przypomina Złotą Świątynię, jest w rzeczywistości sześć do ośmiu razy większa.

- Akira uważa, że jego wuj prawdopodobnie zamknie się tutaj - Brooks wskazał plan trzeciego piętra.

Lara pochyliła się i pokazała coś na rysunku. -Jeśli dobrze pamiętam, Akira powiedział, że czyhają tu na nas detektory ruchu, czujniki ciśnienia nacisku na ścianie zewnętrznej, ukryte przejścia, promienie podczerwone, systemy obrazowania ter-

micznego i do tego kolonia smoków z Komodo, które chodzą swobodnie po zewnętrznym terenie posiadłości.

- Niech was nie zwiedzie ich pozorna ociężałość - ostrzegał Brooks. - Są duże jak aligatory i mogą zagryźć w ułamku sekundy.

Lara wzdrygnęła się. - To nieciekawie. Mam nadzieję, że nocą, w niskiej temperaturze będą w letargu.

- Nie liczyłbym na to.

Lara przyjrzała się bliżej fotografii lotniczej.

- Dla pewności, zaopatrzenie przybywa tędy, tak? - Prześledziła trasę z Kioto do posiadłości Kuraty.

- Dla ludzi, owszem - odparł Xue. - Zwierzęta, którymi karmi się smoki Komodo przybywają z przeciwnej strony, pamiętasz?

Brooks postukał w mapę palcem wskazującym. - Z farmy, którą Kurata utrzymuje tylko po to, by zapewnić pożywienie smokom.

Lara skinęła głową.

Zadzwoniła komórka Xue.

- *Hai* - posłuchał chwilę i powiedział po japońsku - Tak, tak ustaliliśmy. Dzięki, do usłyszenia.

- Nasza czujka - Xue uśmiechnął się, zamykając klapkę komórki. - Dostawca Kuraty rozpoczął wieczorny objazd.

Jedzenie u Kuraty było zawsze świeże, jak wyjaśnił im Sugawara. Dostarczano je zawsze bezpośrednio przed przygotowaniem posiłków. Handlarz ryb, którego rodzina zaopatrywała rodzinę Kuraty od ponad stu dwudziestu lat starał się dla niego o najświeższe owoce morza, potem po objechaniu innych sklepów spożywczych w Kioto, dostarczał składniki do całego posiłku do pałacu Kuraty. Włącznie z wyprawami do wiosek rybackich zadanie to zajmowało mu ponad trzy godziny przed każdym posiłkiem. Właściciel -jakiego ojciec, dziadek i pradziadek - zajmo-

wał się zamówieniami Kuraty osobiście, zawsze kiedy ta wielka postać przebywała w swojej rezydencji.

- Dobra. Jeśli Akira ma rację...

- Lepiej, żeby miał - uśmiechnęła się Lara.

- Pewnie - zgodził się Brooks. - Dla jego dobra, jak i dla naszego. - Przerwał. - W każdym razie, zakładając, że Akira ma rację, mamy około półtorej godziny, zanim ten gość dojedzie do bramy - powiedział Brookes, podchodząc do drzwi. Podniósł ciemnozielony plecak z podłogi i zarzucił go najedno ramię. Sięgnął do przełącznika przy drzwiach i przycisnął czarny przycisk, drzwi podniosły się do góry. Rześkie powietrze i drobny deszczyk wdarty się do magazynu. Z dala dobiegał szum opon.

- Płaszcz deszczowe są w ciężarówce - powiedział Brooks, zwracając się do Lary.

- Ma pan nagranie? - zapytała.

Brooks wydobyl miniaturowy magnetofon z torby i włączył go. Z głośnika popłynął spłoszony głos Sugawary. Po japońsku przedstawił się, krzyczał coś o intruzach, zabójcach, ogniu, Kurata w niebezpieczeństwie, na pomoc, szybko!

- Najważniejsze wymierzyć czas - powiedział Brooks.

- Nie zadzwonię z tym na policję, dopóki nie dasz znać, że jesteś gotowa wyjść.

- Albo jeśli się nie odezwę do czasu wybuchu granatów:

- przypomniała Lara.

Brooks kiwnął głową. - Żeby to zadziało, trzeba wywołać maksymalny chaos. - Przerwał, żeby wybrać numer na komórce.

- Victor? - Granaty dymne są już w śmigłowcu? Tak?

Świetnie!

Brooks słuchał przez chwilę i powiedział: - Dobrze. Czas zacząć przedstawienie.

Akira Sugawara stał przy zakratowanym oknie swego poko-

ju i patrzył w dół na limuzyny zaparkowane na żwirowanym dziedzińcu. Jeszcze jeden czarny samochód wyjechał ze zgrzytem opon z mroku. Chwilę potem limuzyna zaparkowała przy innych samochodach. Trzej mężczyźni w czarnych garniturach wyszli tylnymi drzwiami: Sugawara poczuł, jak żołądek mu się ściska, bo rozpoznał w nich wpływowych ludzi z rządu. Ludzi, którzy mieli pomóc Kuracie przetrwać.

Potem Akira usłyszał lekki szmer i odwrócił się. Rozejrzał się po dużym, niezamieszkanym teraz pokoju, o powierzchni dwudziestu jeden mat tatami, siedem na długość i trzy na szerokość. Wnęki w ścianach - *takonoma* - mieściły starożytną kolekcję Kuraty, bezcenne miecze i sztylety, przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Strażnik Kuraty powoli przesunął przegrodę *shoji*, odsłaniając Toru Matsue stojącego w wejściu. Chwilę potem do starca dołączył Tokutaro Kurata.

W panującej ciszy wiatr wyjący w drzewach wydawał się głośniejszy, pieśń ptaka drażniła uszy. Sugawara poczuł, że nad górną wargą gromadzą mu się kropelki potu, a strużka ścieka po plecach.

Minęła wieczność, zanim Kurata przerwał ciszę. - Tak, siostrzeńcze - powiedział bez uprzejmości, bez ukłonu.

- Kurata-*san* - odezwał się Sugawara i skłonił się zgodnie z etykietą. Kurata zauważył, że powiedział *san*, zamiast bardziej uniżonego *sama*. Był to ważny znak, wuj nie był już jego panem.

Kurata zrobił krok naprzód, potem kolejny i jeszcze jeden, aż przeszedł przez cały pokój i stanął twarzą w twarz z Sugawara. Matsue zachowywał stosowną odległość.

Kurata obrzucił siostrzeńca bacznym spojrzeniem, jak człowiek, który decyduje, czy ma kupić garnitur, który mu szyje krawiec. Niespodziewanie mocno, głośno, otwartą dłonią ude-

rzył Sugawarę w lewy policzek, aż ten się zachwiał. Sugawara musiał zrobić pół kroku w bok, żeby odzyskać równowagę.

- Psie odchody są w moim domu milej widziane niż ty - Kurata mówił tak cicho, że Sugawara musiał wyteżać słuch, żeby dotarła do niego obelga. Dzwoniło mu w uszach.

Próbując się opanować - bo Sugawara wiedział, że gniew dekoncentruje człowieka i wystawia na śmieszność - przyjął obelgę uprzejmym ukłonem.

-Jak sobie życzysz, wuju.

Dostrzegł, że twarz Kuraty leciutko łagodnieje.

- Nie rozumiałem, jak haniebnie głupim jesteś człowiekiem - powiedział Kurata. - Odrzuciłeś swoją wspaniałą przyszłość, żeby odwlec o kilka godzin to, co jest nieuniknione.

- Kilka godzin? - zapytał Sugawara bez zastanowienia.

Kurata uśmiechnął się zwycięsko. - Druga połowa Niszczyciela została załadowana do zapasowej eskadry. Wylecą, kiedy wydam im rozkaz jutro rano.

- Ależ, wuju - wybuchnął Sugawara - W Niszczycielu jest błąd! Wirus zabije wszystkich! Nie wolno ci...

Kurata uderzył Sugawarę po raz drugi.

- Kłamstwa - powiedział Kurata. Zamachał rękami w powietrzu, usiłując odegnać tę myśl, jak natrętą muchę. - To dywersja i prowokacja, twoja pokretna taktyka grania na zwłokę.

I znowu Kurata uderzył siostrzeńca w twarz, tym razem wierzchem dłoni. Potem podszedł do okna i wyjrzał. - Tam są ludzie, którzy rozumieją przyszłość - mówił. - Ludzie, którzy wiedzą, że tę ziemię dziedziczą bezwzględni. - Potrząsnął głową i znów spojrzał na Sugawarę. - Odwlokłeś demonstrację, którą przyszli zobaczyć. Nie pozwolę, by to wydarzyło się po raz drugi.

- Ale, wuju, zabijesz wszystkich, nie tylko Koreańczyków!

- Miałeś przyszłość w swoich rękach - powiedział Kurata,

ignorując go. - Jesteś moim jedynym męskim potomkiem, wszystkie dokumenty były już przygotowane i zabezpieczone, moje imperium miało być twoim. Rano wszystko to zmienię.

Sugawara przyjął to uprzejmym ukłonem.

Kurata potrząsnął głową. - Uchyliłeś się od swoich obowiązków, sprzeniewierzyłeś się powinnościom, odwróciłeś się plecami do przyszłości.

- Z całym szacunkiem, wuju - sprzeciwił się Sugawara. - Odwróciłem się plecami do przeszłości, żeby móc lepiej patrzeć w przyszłość.

- Przyszłość! - warknął Kurata. - Nie ma przyszłości bez przeszłości, a ty, żałosna kupko gnoju, nie masz już żadnej przyszłości przed sobą.

- Wuj wybaczy moją zuchwałość, ale jestem przekonany, że postąpiłem odpowiedzialnie i w zgodzie z moimi obowiązkami.

- Obowiązkami! - Kurata uniósł dłoń, jakby chciał znów wymierzyć policzek siostrzeńcowi, ale po chwili powoli opuścił rękę. - Kto dał ci prawo określania swoich obowiązków? Nie masz prawa podejmowania takich decyzji. To ja wyznaczam twoje obowiązki; cesarz wyznacza twoje obowiązki, wiele pokoleń czcigodnych przodków wyznacza twoje obowiązki! Twoim obowiązkiem jest być wiernym swojemu dziedzictwu, swoim przodkom.

- Proszę o wybaczenie, wuju, ale czy możliwe, że moi czcigodni przodkowie nie byli ludźmi swoich czasów, którzy zrozumieliby, że ja także jestem człowiekiem swoich czasów?

- Człowiek swoich czasów - mruknął Kurata z pogardą i znów uderzył Akirę. - Jesteś człowiekiem swojej krwi! Każda komórka w twoim ciele, twoje geny, to twoje dziedzictwo. Ty, ja i wszyscy ludzie przed nami urodziliśmy się jako naczynia mieszczące geny; my nie trwamy wiecznie na tej ziemi, ale nasze geny przechodzą z pokolenia na pokolenie. Twoim świętym

obowiązkiem i powinnością jest zachować wierność i cześć wobec fizycznej obecności w twojej krwi dziesięciu tysięcy lat rasowej czystości.

- Wuju, nie jestem maszyną wynajętą przez geny, nie jestem bierną urną, która przenosi popioły przeszłości w przyszłość. Kontroluję moje przeznaczenie, nie pozwolę, by dawno zmarli dyktowali mi, jak mam żyć.

- A więc sam możesz się już uważać za zmarłego.

- Jesteś Koreańczykiem - odparł Sugawara. - Musisz zdawać sobie sprawę, że wkrótce wszyscy się o tym dowiedzą.

Kurata zawrzał gniewem. - Kłamstwa! To wszystko kłamstwa! - I zaczął okładać Sugawarę po twarzy i głowie.

Sugawara przyjął ciosy bez oporu, a kiedy Kurata zmęczył się, powiedział: - Możesz mnie bić, ile chcesz, ale to nie zmienia prawdy. Prawda jest wciąż taka sama. Zapytaj Matsue.

Oczy Kuraty zrobiły się ogromne, kiedy zwrócił się do wiernego sługi rodziny. - Powiedz temu niegodnemu psu, jaka jest prawda.

Matsue przez długą chwilę patrzył to na Kuratę, to na Sugawarę i w końcu rzekł: - Jak wiesz, panie, moja rodzina służy twemu czcigodnemu rodowi od ponad sześciu pokoleń.

Kurata kiwnął głową.

- I tak się stało, że mój prapradziadek towarzyszył twojemu prapradziadkowi w jego podróżach po Korei.

Kolejne niecierpliwe kiwnięcie głową.

- Zdarzyło się tak, że twoja praprababka okazała się kobietą bezpłodną i za jej przyzwoleniem, twój prapradziad położył się z koreańską kobietą, która urodziła mu syna, twojego pradiadka.

W tej chwili coś jakby złamało się w Kuracie. Jakby szklanka mleka nagle zamieniła się w proszek. Naczynie było na miejscu, ale zawartość skurczyła się.

- To nie może być prawda - zawsze gromki głos Kuraty zabrzmiał teraz starczo i słabo. - Po tych wszystkich latach, po całej pracy, wysiłkach jakie włożyłem w podtrzymanie japońskiej czystości. Proszę, powiedz, że to...

- To prawda - dobił go Matsue. Dlatego tak usilnie nalegałem, żebyś tu, panie, przybył na czas Operacji Tsushima. Obawiałem się, że możesz się zarazić.

- Ale jak mogłeś pozwolić...

- Wciąż jesteś obrońcą Yamato - powiedział Matsue. - Liczy się to, żeś bronił wszystkiego co japońskie, a to leży w sercu i umyśle, nie w genach. Dążysz do wyższej prawdy, pomagasz Japończykom odnaleźć ducha narodu. Ta wyższa prawda wyraża ponad geny.

Kurata zadrżał, zdawało się, że ledwie trzyma się na nogach. Matsue stanął u jego boku, ale Kurata machnięciem ręki odrzucił pomoc. Potem podszedł do małego ołtarza w kącie pokoju i przykląkł przed nim. Wreszcie wstał i potoczył wzrokiem po pokoju.

- Wielki Budda naucza nas, że ciało i kamienie są tylko iluzją, a prawdziwą rzeczywistość tworzy duch - powiedział Kurata. - Matsue-san ma oczywiście rację, że rzeczywistość leży w sercu i umyśle, a nie w genach. Fizyczna powłoka jest tylko sposobem na podtrzymanie ducha. Fakty muszą być interpretowane przez mędrców, żebyśmy mogli osiągnąć wyższą prawdę, której poszukujemy. - Pokiwał głową. - Oto jest prawda. Nasza kultura opiera się na duchu, nie na cielesności, i tę kulturę należy chronić.

- Jego głos znów nabrał dawnej siły.

Sugawara odezwał się: - Ale w rzeczywistości...

- Twoja rzeczywistość zależy teraz ode mnie - przerwał Kurata podchodząc do gabloty i wyjmując z niej sztylet. Podszedł do Sugawary z wyciągniętą dłonią. - Twoja rzeczywistość to co

najwyżej wybór między szybką śmiercią z własnej ręki lub powolną... - wyrzwał przez okno w ciemność kryjącą jego parki i ogrody -... powolną śmiercią w pazurach smoków z Komodo.

Sugawara patrzył na sztylet, ale nie podszedł, nie wziął go z rąk wuja.

- Twoja rzeczywistość to ostateczna decyzja, wziąć ten sztylet czy nie.

W tej samej chwili przerażające bolesne beczenie przerwało nocną ciszę. Sugawara wiedział, że czasami zwierzęta wymykały się ze swoich zagrod i wtedy komodo urządzały polowanie. Żalony pisk kozy wznosił się i opadał. Śmierć i ból wypełniły ciemną noc. I równie nagle zapadła cisza.

Sugawara wziął do ręki starożytny sztylet.

Rozdział 60

Uliczka była szara. Szarość wypełniała mgłą. Noc wsysała szczegóły otaczającego świata, zamieniając go w szaroczarne kontury.

Ciemna ciężarówka z wyłączonymi światłami zatrzymała się na skraju drogi, silnik zgasł, opony chwilę zgrzytały na zwi-rze. Chłodny wilgotny wiatr wlatywał przez otwarte drzwi paki.

Lara wyglądała przez przednią szybę. Klony, które za dnia, kiedy robiła rekonesans, świeciły jesiennym złotem i szkarłatem, były teraz ciemnymi plamami. Po niebie pełzły niskie chmury, które ledwo można było odróżnić od koron drzew. Światła Kioto tutaj nie docierały. Było całkiem tak, jak w żydowskim schowku, myślała Lara. Była prawie niewidzialna, ubrana cała na czarno, ze skórą pomalowaną na czarno farbą do kamuflażu.

- Dobra, to już ostatnia - powiedział cicho Brooks. Zaciągnął hamulec ręczny i wszedł na pakę ciężarówki, teraz pra-

wie pustą, poza kartonowym pudłem z dwudziestoma czterema granatami i jedną puszką ze śladami farby. Plamy farby tworzyły też abstrakcyjne wzory na rozłożonych pudłach kartonowych zaścielających podłogę. Podobnie jak przy poprzednich dwudziestu trzech puszkach, Brooks wyskoczył z paki i podbiegł do stóp kamiennego muru, otaczającego posiadłość Kuraty. Wyćwiczonymi palcami Brooks podważył wieczko puszek i - jak poprzednio - ułożył je luźno na wierzchu. Potem pobiegł z powrotem do ciężarówki, wszedł do środka, i zamknął drzwi. W pozabawionej okien pace włączył małą latarkę; snop światła był czerwony dzięki plastikowej nakrętce, dla ochrony przed noktowizorami. W końcu usiadł po turecku przy kartonie z granatami.

Lara usiadła przy nim.

Podał jej granat. - Załóż gumowe taśmy o tak - zademonstrował - tu, niżej, gdzie zawlecza się wygina. Upewnij się, że taśmy są zaczepione na tej pękatej części.

- Rozumiem.

Powiał lekki wiatr i krople deszczu z liści zabębniły na dachu ciężarówki. Z opuszczonej górskiej drogi nie dolatywał żaden dźwięk. Zza kamiennego ogrodzenia dochodziły głosy żywego inwentarza. Jutrzejszy obiad smoków z Komodo, pomyślał Brooks. Z opowiadań Sugawary wiedział, że komodo były karmione po południu w tej najodleglejszej części posiadłości, żeby piski zabijanych zwierząt nie przeszkadzały wrażliwym uszom gości. Sugawara mówił także, że Kurata lubił odwiedzać zagrody w czasie karmienia i patrzeć jak smoki zaspokajają głód.

- Dobrze - Brooks umieścił gumowe taśmy na ostatnim granacie. - Teraz powkładamy je do puszek. - Spojrzał na zegarek. - Dostawca Kuraty powinien podjechać pod bramę dla służby za pół godziny. - Wyłączył światło i otworzył tylne drzwi ciężarówki. Lara wysiadając, wytaszczyła skrzynkę z granatami.

Położyła granaty na siedzeniu pasażera i założyła na głowę lornetowy noktowizor od Xue. Chwilę zabrało jej pozapinanie pasków i ustawienie soczewek. Mrok zaniknął w zielonym po-
blasku elektronicznego obrazu. Potem wzięła jeden granat i pod-
biegła do puszki po farbie, którą niedawno ustawili pod kamien-
nym murem. Tam uniosła wieczko i wyciągnęła zawleczkę z
granatu. Upewniła się, że gumowe taśmy utrzymują zapalnik,
potem wpuściła granat do puszki i zamknęła ją wieczkiem. Włą-
czyła guzik stopera przy swoim zegarku i pobiegła do ciężarów-
ki.

Stała na zewnętrznej platformie, prawą ręką trzymając się
framugi okna, lewą uchwytu na dachu.

- Dobra, czas płynie.

Brooks zapalił silnik i powoli ruszył, jadąc bez świateł w
ciemności. Po przejechaniu około pół kilometra Lara zapukała
w sufit, Brooks przyhamował. Chwyliła granat i znów wybiegła
w noc. Nosila maskujące spodnie bojowe na szelkach, a przed-
mioty w kieszeniach objęły się jej o nogi, kiedy biegła. Po kilku
sekundach była z powrotem na platformie ciężarówki.

W niecałe dwanaście minut przejechali całą drogę od głów-
nej bramy do pierwszej puszki, którą ustawili pod murem przy
bramie używanej przez służbę, pracowników i dostawców.

- Mamy dobry czas - orzekła Lara bez tchu, wsuwając się
na miejsce pasażera. Brooks nacisnął gaz i zjechał ze wzgórza. -
Sprawdźmy: masz magnetofon i nagranie Su-gawary?

- Mam - odparł Brooks głosem na poły zirytowanym, na
poły rozbawionym.

Lara spojrzała. - Przepraszam. - Zwolnił przed zakrętem. -
Chyba jestem trochę zdenerwowana.

-Ja też. Nawet bardzo.

Jechali przez chwilę w ciszy, szukając miejsca, gdzie mieli zaparkować ciężarówkę.

- Patrz - powiedziała Lara. - Tam, w dole. - Pod nimi, na serpentynie wijącej się w górę po zboczu, pojawiła się para reflektorów.

Brooks spojrział na zegarek. - To powinien być on, dostawca. Akira mówi, że można według niego ustawiać zegarki.

- Już niedaleko - powiedział Brooks, zajeżdżając w miejsce, które wcześniej wybrali do zaparkowania. Po chwili zatrzymał wóz.

- Wygląda dobrze - kiwnął do siebie głową. Zaciągnął ręczny hamulec. Silnik zbliżającego się samochodu dostawczego było już słychać na ostrych zakrętach.

Do szumu silnika dołączył teraz lekki zgrzyt opon.

- Powodzenia - powiedział Brooks i po ojcowsku ucałował Larę w policzek.

Kiedy reflektory zaczęły już malować szczyty drzew wokół nich, Lara chwyciła swój plecak, przebiegła na drugą stronę drogi i ukryła się tam w zaroślach. Brooks szybko wysiadł i otworzył maskę ciężarówki. Używając małej latarki, osłoniętej czerwonym plastikiem, pochylił się i poluzował dwie świece zapłonowe. Wyjął lampy awaryjne i przymocował je do trójkątów ostrzegawczych, które ustawił na drodze przed i za swoją ciężarówką.

Potem stanął przy kabinie, czekając, by zatrzymać zbliżający się samochód dostawczy.

Akira Sugawara chodził tam i z powrotem po pokoju, nie zwracając uwagi na gabloty pełne pamiątek po chwalebnej historii swojej rodziny. W prawej ręce trzymał sztylet, który dał mu Kurata, w lewej pochwę. Po każdym kroku obracał sztylet.

Krok, obrót, krok, obrót. W tym rytmie też biegły jego myśli.

Podchodząc do przegrody shoji, Sugawara zobaczył cień strażnika rysujący się na papierze ryżowym.

„Tutaj” - pomyślał Sugawara, przystawiając sztylet do przegrody. „Przez papier. Wbić koniec sztyletu w kark strażnika i w jednej chwili zostanie sparaliżowany, upadnie na podłogę, nie robiąc hałasu”.

W tej chwili usłyszał znajomy głos Matsue i odpowiedź strażnika, kłaniającego się nisko.

Sugawara umieścił sztylet w pochwie i wrócił na środek pokoju w momencie, kiedy przegroda rozsunęła się.

- Matsue-san - Akira uklonił się starcowi. Ten również skłonił się płytko. Sugawara próbował wyczytać coś z twarzy starca, ale niczego nie dostrzegł pośród fałd, zmarszczek i długich dziesięcioleci ćwiczenia sztuki nieprzeniknionej wyrazu. Matsue zatrzymał wzrok na sztylcie, potem spojrzął na Sugawarę.

- Kurata-sama życzy sobie, bym cię poinformował, że zostaniesz zabrany do smoków jeszcze, zanim on i jego goście zasiądą do obiadu. Chce zjeść posiłek w poczuciu spełnionego obowiązku, wiedząc, że ta trudna sytuacja została rozwiązana. - Matsue przerwał. - Policja stwierdzi, że to nieszczęśliwy wypadek. Nie dość często odwiedzałeś swego wspaniałomyślnego wuja, żeby wiedzieć, jakie środki ostrożności należy przedsięwziąć... - Zamilkł, jego brązowe oczy nadal nie zdradzały żadnych uczuć.

- Kurata-sama już wydał odpowiednie rozkazy; wkrótce po ciebie przyjdą. Może wolałbyś być do tego czasu nieprzytomny.

- Matsue odwrócił się na pięcie i opuścił pokój. Shoji zamknęła się za nim jak gilotyna.

Dostawca Kuraty miał dużą ciężarówkę chłodnię z podwójnymi tylnymi kołami, największą, jaką dało się przejechać tą górską drogą.

Lara obserwowała, jak kierowca uprzejmie rozmawia z Brooksem. Nie słyszała słów, bo szumiał kompresor chłodni i silnik pracował. Reflektory ciężarówki oświetlały wóz Brooksa i jego światła awaryjne. Ukryta głęboko w zaroślach, Lara skrótowała paski plecaka, żeby go nie zgubić, kiedy będzie biegła. Setny już chyba raz dotknęła sprzętu poupychanego w kieszeniach bojówek i zwisających u pasa. Wymacała kolt. 45 z tłumikiem na całą długość uda, składany nóż, garotę złożoną z dwóch krótkich kijów i metalowej struny, i jeszcze jeden zwój drutu owinięty wokół pasa. Miała też magnezję, kanister gazu obronnego i toporek do rozbijania zamkniętych drzwi. Sprawdzała, czy wszystko jest na miejscu. Niektóre przedmioty, jak kolt, dobrze знаła. Niektóre były nowe, dopiero niedawno Brooks przeszkolił ją, jak ich używać. Miała nadzieję, że będzie pamiętać jego instrukcje, kiedy przyjdzie czas. Ale modliła się, żeby nie było konieczności używania tego ekwipunku. Zwłaszcza garoty. Nie wiedziała, czy umiałaby kogoś zabić w taki sposób.

Zobaczyła, że kierowca wozu dostawczego bierze latarkę Brooksa i pochyła się nad silnikiem. Wypadła z kryjówki w przydrożnych zaroślach i podbiegła do tylnych drzwi ciężarówki dostawcy.

Serce jej zamarło, kiedy zobaczyła, że szeroka metalowa płyta opuszczanej platformy blokuje dostęp do klamek. Nie dało się wejść. Chyba żeby opuścić platformę i narobić hałasu.

Gorączkowo Lara przyglądała się ciężarówce. Podeszła na przód wozu, zajrzała do kabiny. Tam nie było się gdzie schować. Za sobą usłyszała, że silnik Brooksa zapala, maska trzaska. Kierowca szybko uporał się z problemem.

Zbyt szybko!

Kroki zbliżały się. Lara schowała się pod wielkimi oponami, żeby kierowca jej nie zobaczył.

Kiedy kierowca wszedł do kabiny i zatrzasnął drzwi, Lara wydobyła ze spodni latarkę i obejrzała podwozie. Krople potu spływały jej na oczy. Starła pot, przeglądając płataninę linek hamulcowych, obwodów elektrycznych, kabli, wał napędowy, linki hydrauliczne, pompy platformy i ramę podwozia.

Kierowca włączył silnik.

Desperackim ruchem Lara schowała latarkę i kiedy ciężarówka ruszała, wpełzła pod nią i uchwyciła się stalowej ramy. Nie była szeroka, palce zaczęły ją boleć w jednej chwili.

Ciężarówka jechała, wlokąc Larę piętami po ziemi. Uniosła stopę i poszukała oparcia. Minęła wieczność, zanim wymacała drugą poprzeczną ramę. Ostrożnie umieściła najpierw jedną, potem drugą stopę i uniosła się. Trzymała się podwozia z całych sił, usiłując nie zwracać uwagi na ból w palcach, mięśniach rąk, barków i pleców. Zresztą wiedziała, że upadek przyniesie jej więcej szkody.

Ciężarówka nabrała prędkości, ale już po chwili zaczęła zwalniać. Lara próbowała przekręcić głowę, żeby zobaczyć, jak układa się plecak. Czy szura po ziemi i hałasuje? Czy go zobaczę? Ciężarówka zwolniła i skręciła w lewo. Zaraz się wszystko rozstrzygnie.

Ze zgrzytem zjechali z asfaltu na żwir. Potem nagle samochód znalazł się w jasnym oświetleniu. Najpewniej podjechali pod bramę i poddawani są inspekcji przez strażników. Ciężarówka znów się zatrzymała. Tym razem rozległy się głosy, pozdrowienia, przyjazna pogawędka. Kierowca wysiadł i, jak się Lara domyśliła, rozdał strażnikom przywiezione dla nich przysmaki.

Po chwili światła zgasły i ciężarówka pojechała dalej. Serce

Lary zabiło, bo trzy palce zsunęły jej się z ramy pod wpływem nagłego szarpnięcia. Udało jej się poprawić chwyt, zanim ciężarówka znów nabrała prędkości.

Trzymała się mocno, kiedy wóz zatopił się w mrok. Po minucie, może dwóch, samochód podskoczył na wyboju. Ochlapana wodą z kałuży, znów straciła chwyt. Lara wiedziała, że może zeskoczyć w sposób kontrolowany i zaryzykować, że dostrzegą ją strażnicy, lub próbować dalej wisieć i w końcu ześlizgnąć się i upaść pod koła.

Trudny wybór.

Opuściła kolejno obie nogi na żwir. Potem, upewniwszy się, że leży dokładnie między tylnymi kołami, puściła się.

Prawidłowo, ale nie do końca.

Spadła i zaczęła natychmiast zwalniać. Plecak przyjął na siebie główne uderzenie i zamortyzował upadek, wrył się w żwir mocniej niż reszta ciała. Pod wpływem siły tarcia zrobiła niemal salto, tylne koła ciężarówki przejechały nad nią. Lara uderzyła o ziemię tyłem głowy, zobaczyła wszystkie gwiazdy, ból przeszył jej plecy i straciła oddech.

Zwykła ciemna noc zmieniła się w totalną czerń.

Rozdział 61

Odór gnijącego mięsa wypełnił nozdrza Lary. Potem poczuła szturchnięcie. I jeszcze silniejszy smród rozkładu. I chrząknięcie.

Lara otworzyła oczy i spojrzała prosto w piekło: głębokie, czerwone ślepie odbijające błysk odjeżdżającej ciężarówki. Jeden ze smoków komodo pochylał się nad nią, a ogromne szczęki krzywiły się w odrażającym gadzim uśmiechu, jakby się zastanawiał, czy nadaje się do zjedzenia, czy nie.

Lara gorączkowo usiłowała przypomnieć sobie, co Sugawa-

ra mówił o tych zwierzętach. Lubily żywy łup, ale czy to oznacza, że jaszczur pójdzie sobie, czy nie? Czy nagły ruch spłoszy go czy pobudzi do ataku?

Zanim coś postanowiła, wielki gad rozwarł szczęki i od smrodliwego oddechu przewróciło jej się w żołądku. Komodo zaatakował i Lara przetoczyła się przez grzbiet. Z bólu aż zawierowało jej w głowie. Nagle zatrzęsa się, bo komodo chwycił jej plecak i zaczął potrząsać potężnymi szczękami.

Lara błyskawicznie odpięła paski plecaka, wysunęła się z niego i przeturlała dalej. Komodo nadal targał plecakiem, ale po chwili skoczył ku niej. Wycofując się w mrok, Lara odpięła kieszeń z koltem, w najgorszym razie strzeli gadzinie między oczy. Wielki jaszczur rysujący się w gęstym mroku jako pełznąca sylwetka, poruszał się teraz szybciej i zbliżył do Lary. Wciąż się cofając, wydobyła kolta i gruby tłumik, który sporządził dla niej Brooks.

Nagle coś uderzyło ją w tył uda, coś zimnego, twardego, nieruchomego. Kiedy zapach zgnilizny z pyska warana znów się nasilił, Lara obróciła się i wyciągnęła lewą rękę, żeby podeprzeć się przy upadku. Jej palce dotknęły zimnego, zlanego deszczem niskiego kamiennego muru. Spadła przez krawędź na drugą stronę, uderzając barkiem o ziemię. Głowa i plecy pulsowały bólem. Uderzyła uzbrojoną ręką o kamień i kolt poleciał gdzieś w ciemność.

Lara usiadła, a płaska głowa warana pojawiła się z wolna nad krawędzią muru. Gorączkowo zaczęła szukać broni, ale w ciemności nie mogła jej znaleźć. Śmierzący oddech gada znów ją owionął i Lara zamarła patrząc, jak bestia opuszcza łeb, a złowrogie oczy szukają ofiary.

Błyskawicznym ruchem Lara wstała i wydobyła toporek w momencie, gdy komodo zaczynał rozwierać szczęki. Z wielką siłą opuściła jego ostrze. Rozległ się wilgotny, rzeźniczy odgłos

i ostrze toporka zatopiło się w głowie gada, tuż za oczami.

Nie było ryku ani fontanny krwi, potwór po prostu dostał drgawek, ześlizgując się po murze, a toporek wysunął się Larze z ręki, tak mocno utkwiał w czaszce.

Czy jest ogłuszony? Martwy? A może gotuje się do nowego ataku? Czy przyjdą inne? Czy przestraszą się i uciekną? Wzięła głęboki oddech i postanowiła nie czekać, aż się to wszystko wyjaśni.

Nie bacząc na ból w głowie i pulsowanie w plecach, Lara stojąc w ciemności pobiegła wzrokiem po kamiennym murze aż do kompleksu budynków. Z wcześniejszej lektury na temat pałacu Kuraty Lara wiedziała, że ta służbowa droga prowadzi do budynków gospodarczych przylegających do budynku głównego. Patrząc w dal, Lara kątem oka dostrzegła na ziemi niewyraźny kształt swego kolta. Podniosła go i pobiegła wzdłuż ogrodzenia, przygięta do ziemi, modląc się, żeby nie natknąć się na kolejnego komodo.

Akira Sugawara przykucnął, wcisnął się w kąt pokoju i patrzył na trzech mężczyzn, których przysłał po niego Kurata. Ich dowódca był wysokim, szerokim w barach zapaśnikiem sumo. Wszyscy trzej byli ubrani w dresy i nieśli długie drewniane tyczki.

- Nie skazujcie się na śmierć - powiedział Sugawara, machając sztyletem. - To nie wasza walka.

- Jeśli Kurata każe się bić, to się biję - powiedział zapaśnik, opuszczając kij. Sugawara skoczył w bok, unikając ciosu. W tej samej chwili, drugi z mężczyzn zamachnął się i Sugawara zanurkował pod pałką.

Prosto w zasięg kija trzeciego mężczyzny. Poczul uderzenie w głowę i przykryła go ciemność.

Deszcz zmienił się w drobną, mglistą mżawkę. Lara stała w załomie wysokiego na sześć stóp częstokołu z bali i spoglądała przez szczeliny na jednopiętrowy budynek kuchenny. Naprzeciwko siebie miała kontenery na śmieci. Na lewo zadaszony pasaż łączył kuchnię z głównym budynkiem pałacu. Służba w białych uniformach wytaczała chromowane wózki z kuchni.

Personel kuchni prowadził ożywioną rozmowę z dostawcą, który już przygotował się do odjazdu. Człowiek w wysokiej czapce, najwyraźniej szef kuchni, wyszedł razem z nim.

Rozległy się ostatnie podziękowania za przywiezione towary. Potem dwaj pomocnicy kuchenni poszli otworzyć bramę. Towarzyszył im uzbrojony strażnik, w razie gdyby jakiś komodo zechciał się wymknąć.

Sugawara twierdził, że same budynki nie były zbyt ściśle strzeżone przez ochroniarzy, ponieważ bramy i ogrodzenia z elektronicznym zabezpieczeniem oraz smoki komodo uważano za wystarczające zabezpieczenie. W rezultacie, Kurata miał tam niewielu tradycyjnych strażników i wartowników, polegał raczej na wczesnym ostrzeganiu i świetnie wyszkolonych oddziałach szybkiego reagowania.

Lara zaobserwowała, że po krużgankach obiegających budynki krążyli tylko dwaj wartownicy na każdym piętrze. Zachowywali się rutynowo, przewidywalnie, niezbyt się przykładając, co zresztą było dla niej korzystne. Obliczyła, że przez czterdzieści pięć sekund obaj byli z drugiej strony budynku i nie mogli widzieć kuchni ani pasażu łączącego ją z głównym budynkiem.

Dostawca zaczął się zbierać. Odgłos silnika, skrzyni biegów i zgrzyt opon na żwirze. Przez szczelinę w murze Lara zobaczyła, że wszystkie oczy wlepione są w wóz dostawczy. Nawet strażnik, który normalnie patrolował ten teren, odwrócił się plecami do kuchni, gotując się do strzału na wypadek, gdyby jakiś

smok zaciekawiał się otwartą bramą.

Teraz! Lara zwinnie przesadziła ogrodzenie, wylądowała z drugiej strony i przykucnęła w cieniu.

Wszystkie oczy wciąż były wpatrzone w wóz dostawczy. Lara czekała w ukryciu, aż ciężarówka znajdzie się między nią a grupą mężczyzn przy bramie. Wtedy rzuciła się biegiem ku kontenerom na śmieci. Wszystko trzeba rozegrać jednym ciągiem, pomyślała. Teraz nie ma odwrotu. Nie było czasu, by kryć się i czekać. Strażnik zaraz wróci na swój posterunek, może ją odkryć personel kuchenny. Trzeba więc działać natychmiast. Po kuble na dach kuchni, potem daszkiem nad pasażem do głównego budynku. Potem na samą górę. Za jednym zamachem, bez odpoczynku.

Lara dobiegła do kontenerów na śmieci, kiedy poczuła dym z papierosa; zamarła w cieniu i idąc wzrokiem za zapachem. W oddali zobaczyła grupkę ludzi w ciemnych garniturach. Wyglądali jak zawodowi szoferzy, zabijający czas paleniem. Ale zapach dymu był zbyt mocny jak na taką odległość. Czekala ze ściśniętym żołądkiem.

Oby nie za długo. Dogodny moment zaraz minie. Strażnik wróci, a w kuchni zaroi się od ludzi.

Wtedy zza rogu budynku kuchni wychynął rozżarzony koniec papierosa i twarz innego strażnika, jednego z żołnierzy Kuraty. Szedł w jej stronę!

Lara błyskawicznie wcisnęła się w ciemny załom między dwoma kontenerami i zdała sobie sprawę, że ma tylko jeden rodzaj broni zdolny zabić szybko i dostatecznie cicho, by nie zdradziła się ze swą obecnością. Niechętnie wydobyła z kieszeni spodni garotę. Każdy z toczonej kawałków drewna miał długość około czterech cali i płytkie żłobienie wokół obwodu. Sztywna metalowa struna owinięta była wokół wyżłobienia. Z wahaniem patrzyła na nieznaną sobie broń. Przypomniała sobie

uwagi Brooksa.

Strażnik podszedł bliżej, rozkopując butami żwir. Lara ujęła jeden kij, drugi puściła luźno, żeby odwinąć drut. Potem ujęła drugi koniec, skrzyżowała kije i wykonała pełną pętlę ze struny.

Strażnik minął kontenery. Lara wysunęła się ze swojej niszy, zarzuciła pętlę na głowę strażnika i z całej siły pociągnęła za drażki. Napreżyły się pod jej rękami, przecinając ścięgna i mięśnie. Jak krajalnica do jajek lub sera.

Struna wydała wysokie C. Głowa strażnika oddzieliła się bezgłośnie od tułowia i uderzyła o ziemię jak wydrążony melon. Lara uskoczyła, kiedy strumień krwi siknął z karku.

W kilka sekund było po wszystkim. Lara wytarła garotę o koszulę strażnika i wcisnęła ją do kieszeni. Następnie wrzuciła ciało i głowę do pojemnika na śmieci. Kiedy odgłos silnika zanikał w oddali, Lara czekała pod okapem kuchni i obserwowała pałac Kuraty. Strażnicy na balkonach zniknęli za rogami. Wcisnęła stoper na zegarku - czterdzieści pięć sekund. Czas mijał szybko, wspięła się po ścianie na dach kuchni, przeszła po daszku nad pasażem na drugie piętro głównego budynku i przeskoczyła przez barierkę.

Następny etap przeraził ją. Chociaż przestudiowała fotografie i tysiące razy ćwiczyła ruchy w myślach, wszystko to zbladło w momencie, kiedy musiała to zrobić naprawdę. Tak jak wiele japońskich budynków z tej epoki, dachy pałacu Kuraty pokryte gontem łagodnie zakrzywiały się w dół i wybiegały sporo poza ścianę budynku. Tworzyły długi na sześć lub osiem stóp okap przykrywający poniżej leżący balkon. Ale w odróżnieniu od zachodnich konstrukcji, które zwykle podparte były słupami, tu nic takiego nie było.

Tak jak zaplanowała, Lara podeszła do rogu balkonu, wspięła się na barierkę i przykucnęła na niej. Poniżej widziała personel kuchni wracający do pracy. Samotny strażnik zamknął

bramę i manipulował przy zamku.

Oby nie spojrział w górę.

Lara modliła się o to, o równowagę, o sukces. Ostrożnie oderwała palce od barierki i uniosła się. Bariierka była wilgotna i śliska. Poczwała jak jej buty przesuwają się lekko. Spojrzała w dół na kuchnię, to pomagało jej zachować równowagę. Wreszcie wstała. Pod nią kelner w białym uniformie wyszedł na zewnątrz i zapalił papierosa. Nie odrywając wzroku od kuchni, Lara uniosła ręce nad głowę, ku skomplikowanej kratownicy legarów i belek stropowych biegnących pod okapem.

Gdy palce jej rąk sięgnęły kilkusetletniego drewna, wystarczyło, bo sam dotyk sprawił, że poczuła się pewniej. Teraz dopiero spojrzała w górę, szukając solidnego oparcia dla rąk. Ale nagle z przerażeniem zdała sobie sprawę, że źle to wszystko obliczyła. Była za niska. Mogła zaledwie dotknąć belki.

Lara wspięła się na palce: prawie. Ale ciągle za mało.

Pot zalał jej oczy. Gdzie są wartownicy? Ile już minęło z tych czterdziestu pięciu sekund? Ostrożnie, jedną ręką otarła pot z czoła. Brakowało paru centymetrów, żeby dobrze uchwycić się belki i Lara wiedziała, że ma tylko jedno wyjście. Zgięła kolana w półprzysiadzie, z oczami utkwionymi w belce, której musiała się uchwycić.

Boże, proszę, to jedyna, ostatnia szansa, proszę.

Bo jeśli nie, zginie albo od upadku, albo z rąk strażników.

Potem podskoczyła. Jedna stopa poślizgnęła się przy starcie. Poczwała w brzuchu stalowe motyle. Drugą nogą odepchnęła się mocniej. Oderwała się od podłoża, patrzyła na swoje dłonie, oby wyżej, oby dosięgły belki.

Dosięgły. Najpierw prawa, potem lewa.

Wtedy z dołu dobiegło wołanie. Kelner w białym ubraniu krzychał coś, pokazując ją palcem.

Lara zignorowała go i zaczęła się kołysać jak cyrkówka na

trapezie. W przód i w tył. W tył, bliżej budynku, w przód - w ciemność nocy. Jeszcze raz. I znów. W dole nadal słychać było okrzyki. Potem, bardziej pod wpływem biegu zdarzeń niż własnej decyzji, Lara podciągnęła nogi w górę. Czubkami butów dotknęła dachówek, próbując się o nie zaczepić.

Na dole strażnik, który już zamknął bramę, pojawił się u boku kelnera i też ją obserwował. Lara z całą siłą jaką miała w ramionach, przemieszczała ciało, podciągając się belka po belce, aż wreszcie zdołała wgramolić się nogami na dach.

Wtedy strażnik oddał pierwszy strzał.

Kula utkwiała w drewnianym okapie o kilka cali od jej lewej dłoni. Lara walcząc z siłą ciężkości i śliskimi dachówkami, pełzła w tył na brzuchu. Zaraz potem dachówki, które przed chwilą przykrywała ciałem, zostały podziurawione pociskami z broni automatycznej. Leżała chwilę, łapiąc powietrze. Wydobyła wytłumionego kolta, sprawdziła magazynek i wystrzeliła.

Syrena przeszła ciemność, kiedy Lara pełzła na czworakach w stronę pokoju, w którym według przewidywań Suga-wary miał znajdować się Kurata. Zwiesiła głowę znad okapu. Poniżej otworzyły się drzwi na balkon i wyszedł z nich mężczyzna w dresie. Miał w ręku pistolet. Lara znieruchomiała, wymierzyła z kolta. Człowiek w dresie spojrzął w dół.

Lara wycelowała, pociągnęła spust. Pierwsza kula trafiła go pod nos, głowa odskoczyła w tył. Druga utkwiała w gardle. Nie żył już, kiedy jego ciało osunęło się na podłogę balkonu.

Lara przeskoczyła przez barierkę i lądując, zobaczyła trzech mężczyzn w pokoju za otwartymi drzwiami. W rogu pokoju leżał na plecach Sugawara z rękami związanymi taśmą. Usiłował kopnąć potężnego mężczyznę w dresie.

- Nie zostawiać obrażeń - krzyknął niższy ochroniarz. - Pamiętaj o autopsji. - Lara przeszła przez drzwi. Duży odwrócił się, jakby ją wyczuł raczej niż usłyszał.

Trzeba było aż czterech kul, żeby wielki, wyglądający jak zapaśnik sumo mężczyzna przestał się poruszać. Ale ten mniejszy był szybki, wyciągnął pistolet i wymierzył w Larę. Sugawara stanął z trudem na nogi i z rękami wciąż skrępowanymi, podniósł z podłogi sztylet i wbił go w plecy małego. Kula z jego pistoletu przeszła przez dach, ostrze sztyletu przebiło materiał i wyszło, czerwone, tuż pod mostkiem. Krwawiąc obficie, mężczyzna upuścił broń, zachwiał się i upadł.

- Lara! - krzyknął Sugawara z uśmiechem. Czerwona opuchlizna dekorowała bok jego głowy.

- Tak, to ja - odparła. Otworzyła zamek kolta i wsunęła nowy magazynek, zanim upchnęła broń z powrotem w kieszeni na udzie. Podeszła do Sugawary i zdarła taśmy z jego nadgarstków. Pod nimi był bandaż elastyczny.

- Nie poszło nam tak dobrze jak chcieliśmy - powiedział Sugawara, rozcierając nadgarstki. - Kurata wyśmiał mnie, kiedy powiedziałem, że ma koreańskie pochodzenie. Tą drogą nic nie zdziałamy. Dał mi do wyboru seppuku albo rzucenie smokom na pożarcie. - Rozejrzał się po pokoju, zatrzymując wzrok na długim sztylcie na macie *tatami* w jednym z kątów. Podeszedł tam.

- Prawie się udało - Lara pochyliła się, by podnieść pistolet małego. Wręczyła broń Sugawarze, sprawdziła zegarek, potem wydobyla telefon. - Wzywam śmigłowiec.

- Jeszcze nie - powiedział Sugawara, podnosząc sztylet. Pochwa leżała nieco dalej, Sugawara podniósł ją również i schował sztylet.

- Jak to: „Jeszcze nie”? - zapytała Lara z niedowierzaniem. - Taka tu dobra obsługa, że nie chce ci się wyjeżdżać? - wybrała numer na klawiaturze.

Na zewnątrz podekscytowane głosy nakładały się na wycie syreny.

- Nie rozumiesz, Kurata znowu się wykręci, zwali wszystko na wrogów, którzy niby chcą go zniszczyć. Właśnie je obiad z wojskowymi z całego świata i jeśli dobrze pamiętam, namawia ich żeby kupili Niszczyciela do swoich arsenałów - świetna rzecz, żeby zdusić bunt regionalne i etniczne bez konieczności używania broni i wychodzenia na kanalę.

Lara wsłuchiwała się w telefon. - Tak. - Zamilkła. - Czas zacząć działać. Powiedz Victorowi, że spróbujemy dostać się do zagród dla zwierząt, tak jak planowaliśmy. - Zamknęła telefon i zwróciła się do Sugawary.

- Ale to niczego nie zmienia. Przecież wiedzieliśmy, że ma w planie sprzedać się różnym armiom.

- Tak, ale założę się, że mają całą dokumentację - dowody, dzięki którym wszystko wyjdzie na światło dzienne.

Przygwoźdźmy tych ludzi, którzy potrzebują pieniędzy
Ku-raty na zatuszowanie tego wszystkiego - nalegał Sugawara.
Na schodach rozbrzmiały kroki. Wsunął sztylet za pasek.

- To nie powstrzyma projektu Niszczyciela - odparła Lara. -
Kurata będzie dalej naciskał.

Sugawara wziął głęboki oddech. - Nie, jeśli nie pożyje na
tyle długo, by zmienić testament. Lara uniosła brwi.

- Powiedział mi dziś wieczorem, że jestem jedynym spad-
kobiercą całego jego imperium. Jutro, po mojej planowanej
śmierci, będzie mógł zmienić testament, nie wzbudzając podej-
rzeń.

Lara cicho gwizdnęła.

- Widzisz, potrafię to powstrzymać.

- Mógłbyś zabić wuja?

- Po tym wszystkim, co zrobił? Bez wahania!

- To twój krewny. Najbliższa rodzina.

- *Genya* to nie przeznaczenie - odparł Sugawara. - Cza-sami
musi się zrobić coś, czego się nie chce.

Drzwi od schodów otworzyły się i wpadli ludzie w dre-
-sach.

Rozdział 62

Wartownik za drzwiami dostał od Lary kulę prosto w lewe
oko, upuścił swój karabin maszynowy i ugiął się w kola-nach.
Trzej faceci za nim po kolei potknęli się o leżącego towarzysza.
Lara zastrzeliła dwóch, Sugawara strzelił do trzeciego. Za
pierwszym razem spudłował, potem umieścił dwie kule w piersi
mężczyzny.

Na schodach zastukotało więcej kroków. Lara wsunęła swo-
ją czterdziestkę piątkę do kieszeni spodni i pochyliła się, żeby
podnieść karabiny maszynowe strażników.

- H&K - powiedziała, podając jeden z karabinów Sugawara. - Najlepsze z najlepszych.

Kroki na schodach zgłośniały, ale nikt się nie odzywał. Zdyscyplinowani, pomyślała Lara.

- Tędy - powiedział Sugawara. Ruszył w stronę pustego kąta, gdzie nie było się za czym schować, żadnego okna, żadnej drogi ucieczki. Lara spojrzała na niego pytająco.

- *Chodai-gamae* - wyjaśnił Sugawara, pochylając się i macając dłońmi po krawędzi paneli ściennych. Jeden z nich odsłodził ze stłumionym stuknięciem. - *Chodai-gamae* znaczy „ukryta komnata” - wyjaśnił. - Dom każdego szlachcica z tej epoki musiał mieć takich wiele. Stamtąd robiono zasadzki na wrogów lub się przed nimi ukrywano. A czasami służyły za drogę ucieczki.

- O, cholera! - wykrzyknęła Lara zaskoczona i ucieszona. - Wskakujmy!

Lara zrobiła krok w stronę *chodai-gamae*, ale zatrzymała się. Przełożywszy karabiny do jednej ręki, sięgnęła do kieszeni na prawe łydce i wydobyła pojemnik z gazem łzawiącym. Potem, kiedy kroki na schodach stały się już dość wyraźne, wyszła na podest schodów i ustawiła pojemnik na skraju najwyższego stopnia.

Nagle w pewnej odległości zagrzmiała eksplozja, po niej błysk. Lara sprawdziła czas: godzina i trzy minuty. Nieźle, jak na zegar na gumowej taśmie. W reakcji na wybuch kroki umilkły.

- Przespaliście swoją szansę - mruknęła Lara pod nosem, wchodząc do „komnaty” Sugawary. Ujęła jeden z pistoletów maszynowych w dłoń, starannie wycelowwała w kanister. Pierwsza kula zerwała z kanistra zatyczkę i zrzuciła go w dół klatki schodowej. Rozeszły się kłęby gryzącego środka chemicznego. Na schodach rozległy się podekscytowane okrzyki,

potem kroki wycofały się.

Dopiero wtedy Lara dołączyła do Sugawary w *chodai-gamae*.

Znaleźli się w ciasnym tunelu. Sugawara wstawił na miejsce panel i skierował Larę naprzód. W jednej ręce trzymając broń, czołgali się na trzech punktach podparcia, aż przejście doprowadziło ich do pionowego szybu z drabiną.

Zza ścian dobiegł stłumiony grzmot drugiego granatu. Lara nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Z deszczu pod rynnę - szepnął zwięźle Sugawara, spoglądając w dół szybu. - To przejście prowadzi do wyjścia w piwnicach u podnóża domu, a kończy się w wodzie.

Lara kiwnęła głową.

- Ale najpierw zajmijmy się Kuratą, zgoda? Lara znowu skinęła.

- Dobrze więc. Po drodze na dół jest jeszcze jedno przejście. Prowadzi do podobnej deski w pokoju, gdzie Kurata zorganizował swoje spotkanie. Lubi ustawiać swoje podium właśnie przed ukrytym wejściem.

Larze zrobiło się gorąco z gniewu na tych ludzi, którzy zbrali się tam, żeby dowiedzieć jak popełnić ludobójstwo. Oto Pol Poci, Hitlerzy i Miloszevicie przyszłości. Bez żalu usunęłyby ich spośród żywych. Jeżeli opuszczą ten dom, będą zabijać i zabijać bez końca - niewinne ofiary, których jedyną zbrodnią był inny kolor skóry, inna religia, inne przekonania polityczne.

Nie wdając się w dalszą rozmowę, Lara zsunęła się za Sugawarą w dół szybu.

Na podeście, który prowadził do sali zebrań Kuraty na drugim piętrze konferencyjnej, zgiełk podnieconych rozmów prze-filtrował się przez ruchomą deskę.

Najpierw głos Kuraty, mruczący, jakby rozmawiał przez te-

lefon. Potem stuk odkładanej słuchawki. - Właśnie poinformowano mnie, że mamy na terenie obiektu jakieś zamieszki. Władze zostały powiadomione, wysłano oddziały, które wspomogą naszą ochronę.

Kolejna eksplozja. Zdenerwowane głosy nasiliły się.

- Rozumiem, że wszyscy mamy wrogów, którzy chcą nam zaszkodzić - kontynuował Kurata. - Zapewniam panów, że tutaj jesteśmy całkowicie bezpieczni. Jak wicie, ta sala to jakby wewnętrzna twierdza, z murami grubymi na stopę. Wszystkie drzwi są zabezpieczone od wewnątrz. - Pauza. - Jakaż ironia tkwi w tym, że średniowieczne środki ostrożności, podjęte wiele stuleci temu, okazują się niezawodne w tych barbarzyńskich czasach, w których obecnie żyjemy.

Konwersacja przycichła.

- Proponuję dokończyć nasze interesy, podczas gdy ochrona zlikwiduje kłopoty.

- Teraz? - zapytał Sugawara.

- Teraz.

Lara wyskoczyła przez ruchomą deskę *chodai-gamae*, uderzając Kuratę w plecy. Posypały się drzazgi.

- Nie ruszać się! - krzyknął Sugawara.

Gniewne, przestraszone głosy wypełniły salę. Lara przeturlała się po podłodze i wyplątała się spod Kuraty, który pozostał na podłodze pod szczątkami wejścia do *chodai-gamae*. Wstając, Lara zobaczyła ponad tuzin mężczyzn, siedzących na zachodnią modłę na krzesłach wokół stołu. Karafki z wodą i szklanki stały przed każdym z nich. Papiery przykrywały niemal wszystkie blaty w sali.

Ogarnęła ją wściekłość, kiedy rozpoznała wielu ludzi obecnych w sali. Byli tam oficerowie amerykańskiej armii. W pobliżu nich siedzieli ludzie, którzy z pewnością zostaliby uznani za

najgorszych zbrodniarzy wojennych, gdyby rząd Stanów Zjednoczonych nie usankcjonował ich zbrodniczych czynów zagra niczną pomocą i argumentem, że byli ważni dla utrzymania sta- bilności w regionach, w których rządzili.

Człowiek w ubraniu khaki zerwał się na nogi, przewracając swoje krzesło, i rzucił się ku drzwiom. Jego też Lara poznała, był to skorumpowany szef meksykańskiej agencji wywiadowczej, znany z tego, że chronił baronów narkotykowych i zabijał bez wahania swoich rodaków, którzy domagali się bieżącej wody i elektryczności. Bluzg ognia z H&K Lary trafił Meksykanina w plecy, tył jego głowy eksplodował, rozpryskując różowo-szaro- czerwona materię po wszystkich tam obecnych.

Pandemonium!

Za Meksykaninem, wszyscy zerwali się ze swoich miejsc i rzucili ku jednemu wyjściu z sali. Lara i Sugawara kosili ich jednego po drugim. W końcu w sali zaległa cisza, przerywana tylko waleniem w drzwi. Strażnicy z zewnątrz usiłowali dostać się do środka.

W oddali rozległ się kolejny wybuch, walenie w drzwi ze- lżało na chwilę, potem rozległo się na nowo.

Lara wyprostowała się, pośrodku masakry i rozejrzała się. Teraz przez ciszę przebiegł niski pomruk bólu. Akira i Lara od- wrócili się w stronę dźwięku. Ich oczy napotkały Kuratę z ból- em kulejącego ku drzwiom, wyciągającego ręce ku ryglom, które nie dawały strażnikom wejść.

Razem skoczyli u drzwiom, przeskakując przez stoły, ciała i poprzewracane krzesła. Kurata nie był dla nich równym prze- ciwnikiem. Rzucił się butnie, kiedy Lara okręciła go i przy- gwoździła jego ramiona do ściany.

- Możecie mnie zabić - powiedział Kurata - ale nie dożyje- cie do wschodu słońca.

Lara wzruszyła ramionami. - Możliwe. - Potem zwróciła się

do Sugawary:

- Jest twój. - Lara puściła Kuratę i odsunęła się, wydobywając swoją czterdziestkę piątkę z kieszeni na udzie. Skoncentrowała się na odkręcaniu prowizorycznego tłumika. Nie było powodu ryzykować celności strzałów teraz kiedy i tak cisza nie była potrzebna.

Kurata stał zeszywniały, wpatrując się płomiennym wzrokiem w siostrzeńca. Sugawara podniósł lufę swojego H&K.

- A więc nie miałeś odwagi odebrać sobie życia i wolisz odebrać je mnie? - Kurata utkwiał wzrok w oczach siostrzeńca. Sugawara zawahał się na ułamek sekundy, przykuty mocą spojrzenia wuja. Kurata zaśmiał się.

- A więc, siostrzeńcze, nie masz nawet odwagi zabić wroga w walce? prowokował Kurata.

Obelga zmroziła Sugawarę; wycelował pistolet i zaczął pociągać za spust. Przez moment twarde spojrzenie Kuraty zdrzało w przebłysku strachu.

Sugawara odetchnął głęboko.

I opuścił broń.

Za domem znowu zabrzmiał grzmot wybuchu. Na drzwi zaczęto napierać z większą siłą, ściany pokoju drżały.

Lara wysunęła się naprzód ze swoją czterdziestką piątką.

- Kończmy już z tym i wynośmy się. - Ale Sugawara nie unosił broni. Lara zatrzymała się, kiedy Sugawara wydobył sztylet z pasa i podał go Kuracie.

- Na głowę upadłeś? - zapytała, cofając się przed teraz uzbrojonym Kuratą.

Kurata spojrział na sztylet rozumiejącym wzrokiem, po czym spojrział na siostrzeńca, który stał w zasięgu ciosu, z lufą karabinu opuszczoną na podłogę.

- Mogę cię teraz zabić - powiedział Kurata. - Sam dokończę robotę.

- Tyle że cię rozniesie moja przyjaciółka - ostrzegł Sugawara. - Wielki obrońca Yamato zabity przez białą. - Zamilkł. - Lepiej żeby *wakizashi* i własna dłoń uwolniła cię od tego upokorzenia. - Patrzył znacząco na sztylet, właściwie mały miecz.

Kurata jakby zapadł się w sobie, powietrze z niego uszło, zmęczony starzec, którego rzeczywistość dopadła w swoje szpony.

- *Hai* - skinął głową ze smutkiem. - Wygrałeś tę grę.

- Po czym rozebrał się do pasa i usiadł na podłodze, krzyżując nogi.

Zawahał się, spojrzał na Sugawarę i powiedział: - Bądź moim *kaishaku* - rozkazał. Lara spojrzała pytająco.

- To część rytuału seppuku - wyjaśnił Sugawara. - *Kaishaku* jest sekundantem, człowiekiem, który dobija samuraja po dokonaniu rytualnego rozplątania jamy brzusznej, bo śmierć nie nastąpi natychmiast. W dawnych czasach obcinało się głowę mieczem, po II wojnie światowej czyni się to strzałem z pistoletu.

Sugawara podszedł do wuja i nisko się skłonił.

- *Hai*.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Kurata wbił sztylet po lewej stronie brzucha i przeciągnął nim w prawo, otwierając ogromną ranę. Krew lała się strumieniem, wnętrzności wypadły przez cięcie. Sugawara i Lara stali jak zamurowani.

Kiedy Kurata wyciągnął sztylet - *wakizashi* - jego oczy utkwione były w dali, w czymś, czego Lara i Sugawara nie widzieli. Ostrze *wakizashi* ociekało krwią. Po chwili Kurata spokojnie spojrzał w dół i jakby sam do siebie pokiwał głową. Pewnymi, świadomymi ruchami Kurata przesunął sztylet, ostrze biegło w górę i w dół. W końcu ujmując rękojeść obiema dłońmi, uniósł sztylet i wycelował w środek cięcia, które już wcześniej wykonał.

Ręce Kuraty zadrżały, kiedy zanim zatopił sztylet po rę-

kojeść, wykonując teraz z wysiłkiem cięcie pionowe. Wydał jakby zdziwione: „Ach!” i ucichł, kiedy potoki krwi znów wyciekły z rany. Ostrze najwidoczniej przecięło aortę. Teraz śmierć przyjdzie szybko. Kurata zachwiał się i uderzył twarzą o podłogę.

Pochylając się teraz nad wujem, Sugawara mówił coś sam do siebie, po czym przyłożył pistolet do skroni Kuraty i pociągnął za spust.

Jednocześnie z zewnątrz dobiegła kolejna eksplozja. I równie wyraźnie zabrzmiał terkot śmigła helikoptera.

Dał się słyszeć też odgłos piły elektrycznej, przebijającej się przez mocne drzwi do sali konferencyjnej.

Lara podeszła do Sugawary i dotknęła jego pleców.

- Czas się związać - powiedziała.

Sugawara przytaknął.

Lara poszła za Sugawarą w dół szybu, przez ukryte drzwiczki na jego dnie wiodące do jeziora. Woda była płytka i błotnista. Brodzili wzdłuż brzegu, dochodząc do artystycznie zaaranżowanych głazów, które udzieliły im schronienia przed reflektorami, które przeszukiwały już teren wokół domu. Wszędzie pełzali uzbrojeni ludzie.

W tej chwili wybuchła kolejna bomba Charlesa Brooksa. W tej chwili uzbrojeni ludzie Kuraty przypadli do ziemi lub ukryli się. Lara się uśmiechnęła.

- Chodź - ponagliła go, wybiegając zza skał w stronę kamiennej dróżki, prowadzącej do zagród dla zwierząt. Sugawara pobiegł za nią.

Wszystko wokół nich eksplodowało. Odłamki skały leciały na głowy.

- Cholera! Trafili mnie!

Lara odwróciła się i przez gęste zasłony ciemności zobaczyła jak Sugawara zgina się, opada na ręce i kolana. Zmieniła kurs

i dopadła go, kiedy usiłował podnieść się do pozycji siedzącej. Pod ciągłym staccatem ognia, Lara słyszała pociski wbijające się w ziemię wokół nich.

- Chodź - usiłowała go podnieść, ale nie trzymał się na nogach. Złapała go w niedźwiedzi uścisk i razem z nim przeturlała się, by uciec spod kul.

W chwilowej ciszy słyszała, jak świszczący oddech Sugawary i poczuła metaliczny zapach krwi. Kule wciąż szukały ich w ciemności.

- Idź - powiedział Sugawara.

- Nie ma mowy.

Sugawara był śliski od krwi, ale Lara wkrótce strażackim chwytem zarzuciła go sobie na plecy i zaczęła biec.

Biegła zygzakiem, a odwróciwszy się dostrzegła snajpera strzelającego do nich z dachu posiadłości.

- Tędy - powiedziała do siebie, kierując się w stronę kamiennego muru, równoległego do ścieżki, którą biegła.

- Tam są smoki komodo - powiedział Sugawara przez zacisnięte zęby.

- One nie mają przynajmniej broni - odparła, przeskakując wraz z Sugawara przez mur, w gęstszy mrok. Sugawara zacisnął zęby w bólu i nie protestował zbyt mocno.

Chwilę potem fragmenty kamieni wyleciały w powietrze i zasypały teren wokół nich odłamkami. Potem strzały ucichły.

- Przeładowują - powiedziała Lara, poprawiając sobie Sugawarę na plecach i pobiegła najszybciej jak mogła, chowając się za murem. Wtedy nagle zaczęło lać jak z cebra. Ciemne zasłony deszczu oddzieliły ich od posiadłości.

- Dzięki ci, panie - westchnęła Lara.

Gdzieś przed sobą słyszała przerażone beczenie kóz i owiec w zagrodzie, a jeszcze dalej okrzyki ludzi Kuraty, zachęcające do zabijania. Po chwili strzały rozległy się znów, najpierw jeden

karabin maszynowy, potem dwa, potem nie dało się już liczyć. Strzelano na oślep, w deszcz.

Lara i Sugawara dotarli na peryferie posiadłości, ukryli się w cieniu. Kiedy zbliżyli się do zagród, gdzie trzymano zwierzęta, Larę z wysiłku paliło już w płucach. Uwolniła jedną rękę i wyciągnęła telefon komórkowy. Zwolniła, żeby na pewno dobrze wybrać numer.

- Prawie... - łomot serca, głęboki wdech, łomot - ... doszliśmy - powiedziała do telefonu, ledwo łapiąc oddech. - zagrożda... dla zwierząt.....teraz.

Jakby za sprawą czarów, ciemna, podobna do ważki sylwetka helikoptera ze zgaszonymi światłami przedarła się przez kurtynę deszczu i mroku. Sugawara wydał się lżejszy niż kiedykolwiek, Lara mijała zwierzęta, brnąc przez błotniste podłoże, minęła szopy i doszła do niskiego budynekczku przykrytego daszkiem z blachy.

- Sugawara ranny - powiedziała do telefonu. - Nie mogę wejść na dach, jak planowaliśmy. Potrzebna lina.

Podmuch spod helikoptera zmieniał kierunek deszczu, a hałas sprawiał, że nie słyszała własnych słów. Modliła się, żeby ją zrozumieli.

Potem, po raz pierwszy tej nocy, poczuła pewność, że zaraz zginie. Strzelający próbowali namierzyć helikopter po szumie silnika.

Helikopter schodził w dół. Lara zobaczyła zwisającą z luku linę ratunkową opuszczającą się coraz niżej i niżej. Pociski śmięgały wokół niej, słyszała, jak trafiają w kadłub helikoptera.

- Dobrze - pomyślała, kiedy sięgnęła drabinki. Wcisnęła telefon do kieszeni i obwiązała się liną.

- Ciągnijcie! Macie nas oboje! - powiedziała. Desperacko trzymała się liny, kiedy helikopter zaczął się unosić. Usłyszała

huk turbiny, kiedy helikopter poderwał się w górę. Trzymała się kurczowo liny, na której zawisło życie - jej i Akiry.

Epilog

Wiosna zaczęła wyganiać bezbarwną zimę z tokijskich parków. Jasnozielona mgielka rozciągnęła się między konarami drzew i upstrzyła suche, spłowiełe trawniki.

Wiatr wciąż był jednak zimny i przenikliwy. Targał tłumami zebranymi przed siedzibą główną Daiwa Ichiban. Ludzi było tylu, że nie mieścili się na chodnikach i blokowali ulicę. Po przeciwnej stronie szerokiej alei stały w gotowości wozy telewizyjne i anteny satelitarne. Ekipy operatorskie przeciskały się przez tłum, przeprowadzając szybkie, spontaniczne wywiady po drodze do tymczasowej trybuny zbudowanej przed głównym wejściem do firmy.

- Wydaje się, że mamy tu dziś prawie cały przekrój społeczeństwa Tokio - powiedział jeden z reporterów, przygotowując się do wywiadu. - Jak można się było spodziewać, przybyło wielu Koreańczyków, nie ma natomiast przedstawicieli parlamentu, rządu, władz miejskich i prefektury. To wydarzenie będzie zapewne polityczną śmiercią wielu urzędników publicznych. - Kamera zrobiła zbliżenie na młodą Japonkę obok reportera.

- Zaskoczeniem jest wielka liczba zwykłych obywateli Japonii, którzy odrzucili wezwania swoich politycznych przywódców do bojkotu tej uroczystości i przybyli tu tak tłumnie, że policja sobie nie radzi. Jeszcze większym zaskoczeniem jest to, co myślą, zwłaszcza młodzi ludzie, którzy zebrali się tu dzisiaj na uroczystość inauguracji Fundacji na rzecz Międzynarodowego Pojednania imienia DeGroota.

Na podium Lara Blackwood i Dr Hassan Al-Bitar oblegani byli przez reporterów z całego świata. W drugim końcu Henry Noord rozmawiał z grupą przedstawicieli korporacji i organizacji pozarządowych, którzy przybyli tu, żeby wesprzeć inaugurację. Hostessy w białych strojach podawały kawę i herbatę.

Ochroniarze otaczali podium wianuszkami. W oddali protestujący prawicowi nacjonałiści wygłaszali głošne, choć pozbawione przemocy protesty przeciwko zbliżającej się ceremonii. Telewizja pokazywała wielu członków rządu i parlamentu wśród protestujących.

Lara Blackwood jednym uchem słuchała członka zarządu organizacji B'nai B'rith*, ⁶obserwując jak pracownicy techniczni instalują telebim nad podium. - To bardzo interesujące - powiedziała. Oboje zaczęli się przysłuchiwać wywiadowi z młodą Japonką.

- ... musimy odrzucić rasistowską politykę, która doprowadziła nas do wojny na Pacyfiku i ściągnęła na nas pogardę całego świata - powiedziała dziewczyna.

- Czy pani rodzice mają podobne odczucia? - zapytał reporter.

Młoda kobieta potrząsnęła głową. - Są gdzieś tam - pokazała protestujących nacjonalistów. - Ale oni także nie znają obsługi komputera i wciąż palą papierosy, które ich zabijają. Należą do przeszłości, ich oczy są zamknięte na przyszłość, a umysły nie dopuszczają nowych idei.

Reporter uklonił się i odwrócił do kamery, na ekranie widać już było tylko jego głowę i ramiona.

- Jest nadzieja - powiedziała Lara do przedstawiciela B'nai B'rith.

- Są powody tak przypuszczać. - Zamilkł, kiedy reporter za-

⁶ * Żydowska organizacja społeczna założona w Nowym Jorku w 1843, wspierająca kulturalne i społeczne interesy Żydów

czał swój komentarz.

- Dzisiejsze uroczystości rozpoczną się za około dziesięć minut - powiedział reporter. Zmienił pozycję, żeby kamera mogła pokazać szeroką perspektywę z podium w tle.

- Niecałe sześć miesięcy po najbardziej niezwykłej serii wydarzeń, które wstrząsnęły Japonią od II wojny światowej, los potężnej korporacji Daiwa Ichiban jest wciąż niepewny. Ostatnim z rodzinnych zaibatsu, Daiwa Ichiban, rządził żelazną ręką Tokutaro Kurata, który zginął śmiercią samobójczą wraz z lojalnym sługą rodziny Toru Matsue. Jedyny spadkobierca Kuraty, jego siostrzeniec, Akira Sugawara, został śmiertelnie postrzelony prawdopodobnie przez jednego z pracowników ochrony Kuraty. Człowiek ten został aresztowany i oskarżony o zabójstwo. Mówi się, że Sugawara sporządził pospieszny, ręcznie spisany testament, pozostawiając spadek obywatelce Stanów Zjednoczonych, Larze Blackwood, założycielce jednego z oddziałów Daiwa Ichiban, firmy GenIntron. Testament ten jest poddawany w wątpliwość.

Lara patrzyła na obraz w telewizji, który teraz pokazywał podium filmowane z ręcznej kamery. Reporter mówił dalej.

- Brak jasnej drogi sukcesji doprowadził do skomplikowanej sytuacji prawnej, dzięki której przejęcie firmy jest niepewne. Posłowie do parlamentu twierdzą, że wielkie znaczenie korporacji dla przemysłu i całej gospodarki Japonii jest zbyt wielkie, by zostawiać korporację w rękach cudzoziemki. W rezultacie powstał projekt ustawy dotyczącej znacjonalizowania korporacji i wypłacenia pani Blackwood stosownej rekompensaty. Jest to sprawa niejasna i pełna kontrowersji. Tymczasem zarząd dyrektorów Daiwa Ichiban częściowo uznał własnoręczny testament Sugawary, wybierając panią Blackwood na dyrektora generalnego całej firmy.

- Pani Blackwood poinformowała nas, że jeśli ostatecznie

zwycięży w sporze, ma zamiar odzyskać kontrolę nad GenIntrom, a resztę Daiwa Ichiban odprzedać firmie Singapore Electrochips. Dr Hassan Al-Bitar, prezes Electrochip, powiedział, że jeśli transakcja zostanie zrealizowana, przejmie wszystkie aktywa byłego Daiwa Ichiban Corporation i umieści je w specjalnym truście, którego właścicielem będzie nowa fundacja, którą dziś uroczystie inaugurujemy. Nowa fundacja, założona i finansowana przez panią Blackwood i Al-Bitara, będzie promować równość społeczną i religijną, zachęcać do szacunku i zrozumienia między tradycyjnie wrogimi grupami.

- Nowa fundacja powstała w okolicznościach bardzo osobliwych. Blackwood z jednej strony była intensywnie poszukiwana przez międzynarodowe organy ścigania, oskarżona o wielokrotne zabójstwa, dopóki agencje rządowe USA nie ujawniły, że zaszła pomyłka. Jeszcze dziwniejsze są krążące plotki o groteskowym spisku uknutym przez pewną sektę religijną powiązaną z Daiwa Ichiban w celu eksterminacji Koreańczyków.

Ryk samolotów poniósł się po porannym niebie, Lara spojrzała w górę; samoloty, które zakupili od sekty nadleciały w ścisłym szyku. Tłum ucichł, głowy uniosły się, by czytać napisy na niebie.

„Żadna rasa nie jest lepsza niż inne” - pojawił się pierwszy napis.

Komentator mówił dalej spokojnym tonem. - Mamy niepotwierdzone doniesienia o ultratajnych aktach ze szczegółami na temat zbrodni wojennych i całkiem niedawnych afer wśród prominentnych Japończyków i Amerykanów, jak i pogłoski, że członkowie nowej fundacji wykorzystali te akta, żeby wymusić masowe rezygnacje ze stanowisk rządowych w obu krajach i wyrzucić presję na zarządach wielu globalnych korporacji.

„Żadna religia nie jest gorsza od innych” — pojawiła się

druga linijka.

- Pogłoski te są prawdziwą wodą na młyn dla tabloidów, ale żadna z nich się nie potwierdziła - powiedział komentator telewizyjny.

Członek B'nai B'rith spojrział na Larę pytająco. Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Ciekawe.

- Myślę - powiedział przedstawiciel B'nai B'rith - że gdybym dysponował takimi dokumentami, jak sugerują plotki, ujawniłbym je opinii publicznej. Nazwałbym zło po imieniu.

„Wszystkie zbiorowe osądy są złe” - na niebie pojawił się trzeci wers.

Lara wzruszyła ramionami.

-Ja też czytałam o tych pogłoskach - powiedziała. - Gdyby były prawdziwe - choć przecież nie są - wcale nie jestem pewna, czy bym to zrobiła.

- Dlaczego?

- Mnie się wydaje, że nawet jeśli zniszczyć jedną klikę tak nagannych postaci, nie zabraknie następnych, równie niegodnych, gotowych zająć ich miejsce. Jeśli odkrywa się od razu wszystkie karty, można co najwyżej spowodować zwykłą wymianę ludzi na stołkach. Natomiast dzięki groźbom można nimi skutecznie sterować. Nie można wystrzelać się z całej amunicji. Lepiej trzymać ich w szachu i panować nad sytuacją, niż wykorzystywać prawdę do niszczenia.

Człowiek B'nai B'rith mruknął ze zrozumieniem, ale bez aprobaty.

„Dokonują ich tylko rasiści” - na niebie pojawił się czwarty wers, potem nazwisko autora tej myśli: Elie Wiesel.

- Ludzie są zmęczeni wizjami zbrodni wojennych - mówiła dalej Lara, kiedy mistrz ceremonii zaczął obchód, rozsadzając ludzi na swoich miejscach. - Kolejne o nich informacje niczego

nie wnoszą. Ludzie są rozczarowani rządem i środowiskiem biznesu; ujawnienie ich afer tylko potwierdziłoby ich odczucia, ale niczego nie zmieni. Czy nie lepiej po cichu wykorzystywać swoje informacje by pracować na rzecz zmian i czynić świat lepszym niż po prostu rujnować?

- Wygląda mi na to, że wiele pani nad tym myślała. -Jego ton zdradzał, że dawał wiarę plotkom.

- Oczywiście - powiedziała Lara. - Plotki częściowo dotyczą także i mnie. To poważny problem etyczny, zasługujący na gruntowne przemyślenia. - Przerwała, kiedy członek B'nai B'rith rozłożył dla niej krzesło. - Cieszę się, że nie musiałam podejmować takiej decyzji - powiedziała niezbyt przekonująco.

Zanim usiadła, przedstawiciel B'nai B'rith zapytał: - Gdyby, tylko gdyby, to miała być prawda - przyglądał się bacznie jej twarzy - i taka grupa jak fundacja użyła podobnych informacji, żeby wymuszać poprawne zachowanie na podłych ludziach, gdyby to miała być prawda, to na mocy jakiego prawa miałyby ta samozwańcza grupa wykorzystywać swoją ogromną władzę, przeogromny wpływ na społeczeństwa.

- Gdyby to była prawda - zaczęła Lara, odwzajemniając intensywnie spojrzenie - byłby to prawdziwy dylemat filozoficzny, przy założeniu, że w demokracji władza powinna wywodzić się z ludu.

Przedstawiciel B'nai B'rith kiwnął głową.

- Tylko że w takiej sytuacji sprawowanie władzy odbywa się zakulisowo, prawda?

- Tak, ale myślę, że...

Nagle wśród ekip telewizyjnych zaczęło się poruszenie. Zebrany tłum jakby westchnął.

Lara zmarszczyła brwi, odwróciła się i razem ze wszystkimi patrzyła na telebimy ustawione za podium. Wielki napis „z ostatniej chwili” wypełnił ekran, po chwili pojawiła się poważna

twarz dziennikarza. Napisy przesuwające się na dolnym pasku ekranu wyjaśniły wszystko.

- Wiadomości z Bliskiego Wschodu: „Nieznana, wyniszczająca choroba zaczęła atakować Żydów i Palestyńczyków. Potworna zaraza wybuchła w Jerozolimie i jak dotąd zabiła wszystkich, którzy się nią zarazili. Na żywo z Jerozolimy mówi...”.

OD AUTORA

Znów, po raz kolejny, kosztujemy owoców drzewa wiedzy złego i dobrego.

Niejeden raz w przeszłości ludzkość uległa zaślepieniu wiedzą, a rezultaty tego bywały tragiczne. Najwięksi światowi eksperci w dziedzinie etyki biomedycznej mogą przytoczyć mnóstwo dowodów na to, że warunki, które przyczyniły się do powstania zbrodni medycznych nazistowskich Niemiec i cesarskiej Japonii istnieją do dziś w laboratoriach i szczelnie zamkniętych komorach tajnych ośrodków badawczych.

Książka ta oparta jest na prawdziwych wydarzeniach. Doktor Shiro Ishii, „*japoński Mengele*”, był generałem broni armii japońskiej. Ishii przewodniczył oficjalnemu programowi rządowemu, który usankcjonował zbrodnie medyczne popełniane na alianckich jeńcach wojennych i chińskiej ludności cywilnej, zbrodnie, które dorównały najbardziej odrażającym eksperymentom medycznym faszystów. Jednakże nazwisko to większości ludzi nic nie mówi.

Jak mogliśmy o tym zapomnieć?

Pamiętamy, że faszyści wymordowali ponad dziesięć milionów Żydów, Romów, homoseksualistów, kalek i niepełnosprawnych umyślowo, dysydemtów politycznych i innych, których Trzecia Rzesza zakwalifikowała jako zbędnych „podludzi”.

Tymczasem mało kto wie, że podczas II wojny światowej z rąk Japończyków zginęło sześć milionów niewinnych cywili. W tym względzie także dorównali hitlerowcom.

Jak mogliśmy o tym zapomnieć?

W czasie wojny domowej na Bałkanach w latach dwięćdziesiątych międzynarodowa opinia publiczna potępiała Serbów za to, że uczynili gwałt narzędziem wojny, a przecież łatwo puściliśmy w niepamięć fakt, że Japończycy już pół wieku temu uczynili gwałt istotnym elementem swojej taktyki wojennej. Setki tysięcy kobiet przymusowo zamknięto w wojskowych burdelach, gdzie były regularnie gwałcone przez japońskich żołnierzy. Te kobiety, zmuszane do spełniania najbardziej prymitywnych żądań cesarskiej armii japońskiej były matkami, żonami, ukochanymi, córkami i siostrami.

Dlaczego puściliśmy to w niepamięć?

Dlaczego procesy zbrodniarzy wojennych w Norymberdze tak mocno wryły się w naszą świadomość, podczas gdy tak niewiele osób wie o istnieniu Trybunału w Tokio, który ujawnił zbrodnie równie odrażające?

Co to wszystko ma wspólnego z Projektem Ludzkiego Genomu?

Zmagalem się z tymi pytaniami od momentu pierwszej publikacji tej książki w Internecie w roku 1996 i wciąż nie znalazłem zadowalających odpowiedzi. Niestety, wiele z rzeczy, które wówczas napisałem, sprawdziło się lub prawie się sprawdziło. Pierwsze wydanie ukazało się na cztery lata przed odkryciem sekwencji ludzkiego genomu i na pięć lat przed atakami terrorystycznymi z 11 września j 2001.

W roku 1996 wielu osób uznało fabułę osnutą na produkcji broni biologicznej z wykorzystaniem genetycznych i stworzonych form życia za wręcz fantastyczną. Inni uważali za niedorzeczność, że jeden bardzo zdeterminowany, bardzo bogaty i

żadny władzy człowiek może wpłynąć na oblicze globalnej polityki, wykorzystując frustrację, nienawiść i ekstremizm kilku tysięcy fanatyków.

Było to oczywiście zanim Osama bin Laden wykazał, że islam może zostać wypaczony w polityczne zło w taki sam sposób, jak to się stało w przeszłości z chrześcijaństwem i judaizmem. Napisałem tę książkę, zanim Al Kaida stała się synonimem irracjonalnego fanatyzmu, a słowo „talibo-wie” nie oznaczało brutalnych, mizoginicznych dyktatorów, czerpiących zyski z handlu narkotykami, którzy nadużywają imienia swego Boga i bluźnią przeciwko wszystkiemu, co miliony prawdziwych muzułmanów uznają za największą świętość.

Wówczas jeszcze nie wiedziałem, że większość tego, co napisałem, okaże się w 2001 roku niemal prorocze. I modłę się do Boga Najwyższego, żeby reszta moich słów nigdy się nie sprawdziła. Modłę się, aby moja książka nie była ponurą przepowiednią, ale przestrogą, że ambicja, chciwość, żądza władzy i nienawiść rasowa mogą nas zniszczyć, jeżeli nie uświadomimy sobie, że mimo różnic wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami a Bóg, którego czcimy, to niezależnie od imienia, ten sam Bóg.